

W imieniu pomyłki!
Hans-Dieter Otto

Przełożył Piotr Lewiński

MUZA SA

Tytuł oryginału

Im Namen des Irrtums!

Projekt okładki i stron tytułowych

Maryna Wiśniewska

Redakcja

Dorota Wojciechowska-Ring

Redaktor prowadzący

Sławomira Gibka

Opracowanie graficzno-techniczne

Piotr Trzebiecki

Korekta

Zespół

© 2006 F.A. Herbig Verlagsbuchhandlung GmbH, Munchen © for the Polish edition
by MUZA SA, Warszawa 2007

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana,
przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez pisemnej zgody posiadacza praw.

ISBN 978-83-7495-140-1

MUZA SA Warszawa 2007

Dedykowane nieszczęśliwcom,
którzy stali się ofiarami pomyłek sądowych
i którzy w dotkliwy sposób przypominają nam,
jak wiele znaczy nie być tak nieszczęśliwym i zrozpaczonym jak oni.
A także sprawiedliwym, którzy nieustrudzenie poszukują prawdy,
nigdy nie zaprzestając walki o przestrzeganie prawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Indubio pro reo!”

„W razie wątpliwości - na korzyść oskarżonego!”. Ta zasada wywodząca się z prawa rzymskiego bywa wciąż ignorowana podczas procesów karnych na całym świecie. Naruszanie tej najważniejszej reguły dowodowej prawa karnego jest bezsprzecznie najczęstszą przyczyną orzekania błędnych wyroków. Zawsze zdarzały się wypadki skazywania ludzi na dożywotnie więzienie czy nawet na karę śmierci dlatego, że nie mogli wykazać przed sądem swojej niewinności, a nie dlatego, że sędziowie dowiedli im winę.

Klasycznym tego przykładem jest pochodzący z francuskiej historii prawa fakt postępowania przeciw pomocnicy sklepowej Cauvin z 1892 roku. Cauvin zostaje obwiniona o zamordowanie bogatej wdowy z Marsylii. Oskarżyła ją piętnastoletnia pomoc domowa Marie Michel. Kiedy Cauvin wykrzykuje podczas rozprawy: „Ta dziewczyna bezwstydnie kłamie! Jestem niewinna!”, przewodniczący składu orzekającego przerywa jej słowami: „Proszę to udowodnić!”. Odwraca on po prostu regułę dowodzenia i skazuje Cauvin na dożywotnie przymusowe roboty. Pięć lat później zostaje ona uniewinniona przez inny sąd przysięgłych, po tym jak Marie Michel wyznała, że kłamała, niesłusznie ją oskarżając.

Helene Gillet i sąd Boży

(Francja, 1624 5 czerwca 1625)

Historia ta wydarzyła się czterysta lat temu. Jednak spośród wielu spraw, które zostaną przedstawione w tej książce, omówiono ją na początku, bo

jest najbardziej poruszająca. Zalicza się do tzw. causes celebres, najsławniejszych kazuśów prawnych Francji. Znamy ją, ponieważ wspomniano o niej w kilku tekstach prawnych z siedemnastego i osiemnastego wieku, na przykład w aktach parlamentu w Dijon. Paryski adwokat Richter opisał ją w swojej książce z 1770 roku. Ta tragiczna historia rozpoczyna się pod koniec 1624 roku w niewielkim francuskim miasteczku Bourg-en-Bresse, malowniczo położonym na zboczach Jury Francuskiej, między Genewą a Lyonem. Zdarzyło się to w momencie, gdy cała Francja uroczyście świętowała małżeństwo Henrietty, siostry króla Ludwika XIII, z królem angielskim Karolem I.

Pierre Gillet, szlachetny i surowy pan na zamku Bourg-en-Bresse, ma dwudziestodwuletnią córkę Helenę, miłą i śliczną jak malowanie. Jest też pobożna i cnotliwa, do tego mądra i wykształcona, stanowi przedmiot marzeń wszystkich młodzieńców z miasta. Jeden z nich bywa nawet na zamku. Uczy jej młodsze siostry pisania i rachunków. Jest tak zakochany w Helenę i owładnięty żądzą jej posiadania, że przekupuje służącą jej rodziców, by go ukryła w sypialni dziewczyny. Do napoju wypijanego przed snem przez Helenę ktoś dodaje odurzający narkotyk. Wówczas mężczyzna, którego nazwiska nie wymienia się w zapiskach, gwałci nieprzytomną. Dziewczyna nie może wzywać pomocy. Ze strachu i wstydu nie opowiada potem rodzicom, jakie nieszczęście ją spotkało. Nie odważa się nawet zwierzyć z tego matce.

W październiku 1624 roku w Bourg-en-Bresse szerzą się plotki, że Helenę jest brzemienna. I rzeczywiście, brzuch znacznie jej się zaokrąglił, a piersi zdają się jeszcze pełniejsze. Ludzie poszeptują między sobą. Ale nikt nie pyta jej wprost o ciążę. Niedługo potem wszystkie te oznaki znikają. Teraz sąsiedzi szepczą jeszcze bardziej, i to coraz głośniej. Podczas świąt i uroczystości jest to w tamtych tygodniach jedyny temat do rozmów. Dowiaduje się też o tym sąd karny i postanawia zbadać sprawę. Kilku szacownym starszym damom oraz akuszerkom zleca się przepytanie i wybadanie Helenę Gillet. Ustalają one, że prawdopodobnie jakieś piętnaście dni wcześniej powiła ona dziecko. Przemawiają za tym pewne oznaki.

Henryk II w edykcie z 1556 roku zarządza, że każda kobieta może podlegać karze jako dzieciobójczyni już wtedy, gdy zataja ciążę i poród, nawet jeśli utrzymuje, że dziecko urodziło się martwe. Dlatego Helenę zostaje aresztowana i przesłuchana. Kobieta informuje tylko o zgwałceniu jej. Zaprzecza jednak, by zaszła wskutek tego w ciążę i urodziła dziecko. Ale przemawiają za tym opinie akuszerki. Ostatecznie jednak to tylko przypuszczenia, niedostateczne do wydania wyroku skazującego. Brak jakichkolwiek dowodów, w szczególności corpus delicti, nie ma śladu urodzonego dziecka. Wygląda na to, że Helene zostanie niebawem zwolniona. Co innego było jej jednak pisane. Przeznaczenie zbliżyło się do niej w postaci kruka. Jakiś żołnierz, idąc wzdłuż muru zamkowego, zauważył, jak kruk próbuje wyszarpnąć coś białego z niewielkiego dołka pod murem. Odgania ptaka, ale ten wciąż powraca na miejsce i rozgrzebuje spulchnioną ziemię. Żołnierz ogląda dołek i spostrzega kawałek płótna. Wyciąga go i znajduje w środku zwłoki niemowlęcia. Natychmiast powiadamia sąd karny. Zostają przeprowadzone dalsze ustalenia. Zwłoki zawinięte są w kobiecą koszulę. Rozmiar i krój odpowiadają dokładnie koszulom noszonym przez Helenę - jak na wszystkich wyszyto na niej inicjały „H.G.”.

Teraz wszczęty zostaje proces o dzieciobójstwo przeciw zrozpaczonej młodej kobiecie. Pomiedzy dniem, który podała ona jako datę zgwałcenia, a momentem porodu określonym przez akuszerki, upłynęło dokładnie dziewięć miesięcy. Wobec przytłaczających poszlak Helenę wyznaje, że w swojej położonej na uboczu komnacie bez niczyjej pomocy wydała na świat dziecko. Jednak urodziło się martwe. Po tym potajemnym porodzie mężczyzna z sąsiedztwa, który przemocą pozbawił ją dziewictwa, jeszcze raz potajemnie odwiedził w nocy jej sypialnię. Zabrał z łóżka martwego noworodka, zawiązał w jedną z jej lnianych koszul i oddalił się. To jedna z wersji, o których wspominają dawne źródła. Według innej relacji Helenę sama zakopała zwłoki noworodka pod murem zamkowym.

Kobieta zaklina się przed sądem, że nie zabiła dziecka, przysięga na życie własne i swojej matki.

Jej ojciec, sam będący adwokatem, podejmuje się jej obrony. Martwe, znalezione w jamie dziecko może pochodzić od innej matki, przekonuje. Prawdziwa matka mogła, w celu odsunięcia od siebie podejrzeń, ukraść koszulę innej kobiety, o której krążyły pogłoski, że jest brzemienna. W gruncie rzeczy brak dowodów morderstwa. Dlatego przyjęta w prawie francuskim reguła dowodzenia, że wszystkie wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego, powinna zostać zastosowana na korzyść Helenę. Jednak edykt króla Henryka z 1556 roku mimo to przyznawał sądowi możliwość skazania Helenę Gillet, także w razie potwierdzonego urodzenia nieżywego płodu. Oświadczenie oskarżonej, że nie znała tej zasady, nie na wiele się zdaje. Albowiem z królewskiego rozkazu edykt jest odczytywany z ambony cztery razy w roku we wszystkich kościołach.

W dniu 6 lutego 1625 roku sąd przysięgłych w Bourg-en-Bresse skazuje Helenę Gillet za ukrywanie ciąży i dzieciobójstwo na karę śmierci przez ścięcie mieczem. Parlament w Dijon zatwierdza wyrok 12 maja 1625 roku, nakazując zarazem, aby egzekucję wykonano w Dijon już następnego dnia.

Ten wyrok sądu przysięgłych jest przynajmniej o tyle zgodny z ówczesnym pojmowaniem prawa, że do skazania wystarczył już sam fakt zatajenia. Przyjęcia zabójstwa natomiast opiera się na poszlakach, które nie są w żadnym razie przekonujące. Według obecnych standardów sam wyrok śmierci należałoby uważać za błędny już z powodu niewspółmiernej surowości. Najprawdopodobniej dzisiejszy sąd, opierając się orzeczeniu biegłych medycyny sądowej, doszedłby do wniosku, że nie sposób podważyć twierdzenia oskarżonej o urodzeniu martwego płodu.

Mieszkańcy Bourg-en-Brasse mają wiele współczucia dla biednej, cieszącej się wcześniej nieposzlakowaną opinią dziewczyny, która stała się ofiarą niecnego rozpustnika. Rozumieją, że przemilczała wszystko, by strzec swojego dobrego imienia i nie upubliczniać doznanej hańby. Nie poj-

/()

mują, czemu to milczenie miałyby stanowić przestępstwo, które należy karać śmiercią. Ludność uważa Helenę za niewinną.

Dochodzi do manifestacji objawów niezadowolenia, kiedy ogłoszona zostaje data egzekucji, a kat Simon Grandjean czyni do niej przygotowania. Wielka i niespokojna cizba ludzka gromadzi się 13 maja pod szafotem. Helenę zbliża się do niego w białej sukni, blada i drżąca, w towarzystwie dwóch ojców jezuitów i dwóch mnichów kapucynów niosących przed sobą wizerunek Chrystusa. Kiedy dziewczyna z rezygnacją wstępuje na szafot i rozlegają się sygnały trąb, wstrząsa się cała. Nie obcięto jej długich czarnych włosów. Przez oburzony tłum przebiega szmer. Nigdy dotąd nie widziano tak ładnej i miłej skazanej.

Także kata ogarnia jakiś niepokój. Dzień wcześniej wyspowiadał się i przyjął komunię świętą. Teraz, stojąc wobec tej wdzięcznej, pogodzonej z losem dziewczyny, ma wrażenie, jakby żądano od niego popełnienia morderstwa. Simon Grandjean pada na kolana z rękoma wzniesionymi do nieba i błaga Helenę, by mu wybaczyła to, co musi z nią teraz zrobić. „Czyń waść swoją powinność!” - upomina go oskarżyciel królewski. Helenę klęka na stercie piasku i modli się po raz ostatni. „Wybaczam wam i daruję!” - mówi cicho swojemu katu. Ten odpowiada poruszony, że wolałby być na jej miejscu, unosi z niechęcią miecz i uderza. Ale klinga ześlizguje się po długich falujących włosach i zamiast w szyję trafia w lewe ramię. Helenę, zlaną krwią, osuwa się z okrzykiem na prawy bok. Przerażony kat odrzuca miecz i błaga stojących wokół, by go zabili. „Jezus! Maria!” - krzyczą ludzie i obrzucają szafot kamieniami. Wtedy wkracza do akcji żona kata, zaniepokojona o reputację swego dzielnego małżonka. Upomina go i dodaje odwagi. Potem podnosi Helenę i skłania, by na nowo uklękła na piasku. Podaje mężowi miecz i woła doń: „Rób, co do ciebie należy!”. Simon Grandjean zamierza się ponownie i chybia po raz wtóry. Zdjęty przerażeniem, rzuca miecz, zeskakuje z szafotu na oczach gniewnego tłumu i umyka do pobliskiej kaplicy.

Jego połowica czuje się powołana, by dokończyć sfuszerowane dzieło męża, ale nie ma dość siły, by zamachnąć się długim mieczem. Rozluźnia

//

więc więzy, którymi spętano Helenę ręce na plecach, zakłada jej pętlę na szyję i próbuje udusić, czyli uśmiercić w sposób niezgodny z wyrokiem. Ten rodzaj egzekucji uchodzi za bardziej hańbiący niż ścięcie mieczem.

Helene jest zdziwiona i osłabiona, ale broni się, jak może, próbując unikać uderzeń pięścią w szyję i pierś. Rozwścieczona napastniczka, sama pochodząca z katowskiego rodu, kilkakrotnie nadaremnie usiłuje zacisnąć pętlę. Wyjący tłum obrzuca ją kamieniami. Kilka z nich trafia ją w głowę. Ona jednak nie odstępuje półzywej dziewczyny. Wreszcie wyciąga z kieszeni nożyczki i dźga skazaną dziewięć czy dziesięć razy w gardło i twarz.

Ludzie nie posiadają się z oburzenia. „Helenę jest niewinna!” - krzyczą podnieceni i nacierają ze wszystkich stron na szafot. Tak długo uderzają żonę kata kamieniami i kijami, aż kobieta umiera. Potem wyciągają z kaplicy Simona Grandjeana i również zabijają. Ostrożnie zdejmują z szafotu Helenę i niosą do lekarza. Dziewczyna ma wiele ran, ale żadna nie jest śmiertelna. Kiedy odzyskuje przytomność, mówi z uśmiechem: „Czułam w sercu, że Bóg mi pomoże. Miejcie dla mnie litość!”. Parlament w Dijon został teraz właściwie zobowiązany powołać nowego kata i powtórzyć egzekucję po wyzdrowieniu skazanej. W średniowieczu jednak sytuację, gdy przestępca żył jeszcze po kilku ciosach kata, traktowano jako sąd Boży. Dlatego należało mu darować życie. Parlamentowi nie przysługiwało jednak takie prawo łaski. Miał je tylko król.

Ludwik XIII, nazwany później Le Juste, czyli „Sprawiedliwy”, słyszał już o strasznych wypadkach w Dijon. Bardzo go one poruszyły. W jego mniemaniu lęk przed śmiercią, jakiego doświadczyła Helena, oraz zadane jej cielesne cierpienia, przewyższyły już wyznaczoną jej karę. Kiedy rodzina dziewczyny zwraca się do niego, nie tylko ułaskawia skazaną 5 czerwca 1625 roku, ale też unieważnia wydany na nią wyrok. Dokumentuje tym zarazem, że orzeczenie sądu przysięgłych w Bourgen-Bresse jest w jego oczach wyrokiem błędnym. Helenę Gillet zostaje w pełni zrehabilitowana, jej cześć została przywrócona.

Eliza Fenning i feralne kluski
(Anglia, 21 marca-26 lipca 1815)

Także następujący dramat sądowy, rozegrany w Londynie na przestrzeni kilku miesięcy 1815 roku, pozostaje do dziś przedmiotem niemilknącej dyskusji. Dzieje się mniej więcej podczas owych słynnych stu dni, kiedy na kontynencie wszyscy wstrzymują oddech po ucieczce Napoleona Bonaparte z Elby i jego marszu na Paryż, a połączone armie Blüchera i księcia Wellingtona w czerwcu 1815 roku na polu bitwy pod Waterloo kładą kres marzeniom uzurpatora. O tym wydarzeniu mówi cała Europa, tragicznej historii młodej Elizy Fenning nie zauważa wówczas nikt poza granicami jej kraju.

W 1815 roku ściganie przestępstw karnych w Anglii jest jeszcze sprawą dosyć prostą: należy znaleźć kogoś, kto mógł popełnić dany czyn, i skazać go możliwie szybko, nie dając szansy obrony przed zarzutami. Możliwością wydania błędnego wyroku większość osób nie zaprzętała sobie podówczas głowy. Historia Elizy Fenning stanowi tu jednak wyjątek. Już niedługo po ogłoszeniu orzeczenia pojawiają się protesty opinii publicznej, a sprawa wywołuje spore zamieszki i burzliwe debaty.

Eliza Fenning to piękna, nader atrakcyjna dziewczyna w wieku dwudziestu jeden lat. Zatrudniona jest jako kucharka w domu Roberta i Charlotte Turnerów przy Chancery Lane w Londynie. Poza tym pracują tam jeszcze służąca i dwóch praktykantów.

Ojciec Roberta Turnera zapowiada swoją wizytę w dniu 21 marca 1815 roku. Chce być w domu na obiedzie z synem i synową. Ponieważ lubi steki, Elizie polecono je usmażyć. Do tego dziewczyna przygotowuje kluski, które gotuje w rondlu. Jedzenie smakuje, ale niedługo potem wszyscy dostają silnych bólów brzucha i wymiotują. Również Eliza i Roger Gadsen, jeden z praktykantów, zjedli w kuchni steki i trochę klusek i cierpią na podobne objawy. Wezwany lekarz zajmuje się chorymi i aplikuje leki. Niedługo potem wszyscy wracają w pełni do zdrowia.

I na tym właściwie cała sprawa mogłaby się zakończyć, gdyby pan Turner senior nie zauważył, że zginęła paczuszka arszeniku, którą trzymał

w szufladzie biurka. Trucizna ta jest w Londynie w wolnej sprzedaży, każdy może ją bez trudu dostać, by zwalczać robaki i szkodniki. Surowa kontrola trucizn zostanie wprowadzona w Anglii dopiero w 1920 roku.

Oczywiście - domyśla się stroskany ojciec - w kluskach był ten arsze-nik! Cała rodzina miała nim zostać otruta! Z jakiego właściwie powodu, tego jednak nie wie. Żaden motyw nie przychodzi mu do głowy. Prosi lekarza, żeby poszukał śladów trucizny na garnku, w którym Eliza gotowała kluski. Niedługo potem doktor oświadcza, że istotnie znalazł w nim resztki arszeniku. I to wszystko. Brak pisemnego orzeczenia, nie wszczęto też dalszych badań.

Dla Turnerów sprawa jest jasna: Eliza gotowała, więc to ona dosypała trucizny, choć mógł to zrobić każdy inny. Wezwano policję, Eliza Fenning zostaje aresztowana. Energicznie odpiera zarzut usiłowania zabójstwa, ale niedługo potem zostaje wniesione przeciw niej oskarżenie, a ona sama osadzona w londyńskim więzieniu Old Bailey. Dziewczyna nie ma obrońcy, nie wprowadzono jeszcze takiego udogodnienia. Broni się właściwie sama, ma tylko prawo złożyć oświadczenie przed ławą przysięgłych, która niedługo potem sprawuje nad nią sąd. Nigdy nie miała arszeniku, twierdzi, nie mogła go więc dosypać do potraw. Czemu miałyby coś podobnego robić? Nie miała przecież ku temu żadnych powodów.

- Och, przeciwnie - twierdzi pani Turner, zeznając jako świadek - miała najwyraźniej powód! Chciała się zemścić na rodzinie.

A mianowicie, niedawno przyłapała Elizę, w stroju mocno niekompletnym, w pokoju jednego z praktykantów na wymianie pieścizot i zagroziła, że ją z tego powodu zwolni. To nieprawda! - protestuje Eliza. Jest zaręczona i kocha narzeczonego, którego niebawem poślubi. Już nawet ustalono termin wesela. Nie miała żadnego romansu z praktykantem, pani Turner przypisuje jej to, by móc ją oskarżyć. Ale może pani Turner jest też o nią zazdrosna i chce ją usunąć, bo jej mąż rzucał na nią okiem i próbował kilkakrotnie nawiązać romans?

Sąd pomija ten zarzut milczeniem, nie badając go dokładnie. Nie zajmuje się też twierdzeniami i pogłoskami, jakoby pan Turner junior był nie-

IH

całkiem normalny i postanowił zgładzić całą rodzinę. Jedyną podejrzaną jest Eliza, innych możliwych sprawców w ogóle nie bierze się pod uwagę. Brak jakichkolwiek dowodów winy dziewczyny, są tylko mgliste poszlaki. Ale sędzia nie jest wobec niej przychylnie usposobiony. Jest przekonany o jej winie i odnosi się do niej wrogo. W tym sensie wpływa też na przysięgłych. Trudno tu mówić o uczciwym procesie Elizy Fenning. Dziewczyna wyjaśnia, że nie ma nawet pojęcia, ile trzeba arszeniku, by zabić całą rodzinę. A przecież ona sama też jadła tamte kluski. Zaszkoziły jej tak samo jak wszystkim. Jest zupełnie niewinna!

Istotnie, poza pobieżnym badaniem wezwanego do domu lekarza brak jakichkolwiek jednoznacznych dowodów na to, że w potrawach był w ogóle arszenik, który wywołał mdłości. Orzeczenie doktora mogło zostać kupione, żeby zniszczyć Elizę. A za tym, że z biurka skradziono jakąś truciznę, przemawiają tylko zeznania Mr Turnera seniora. Nikt poza tym nie widział, że w szufladzie biurka znajduje się arszenik. Równie dobrze może chodzić o zatrucie pokarmowe. To przecież bardzo prawdopodobne. W 1815 roku nie ma jeszcze urządzeń chłodniczych, a standardy higieny pozostają na niskim poziomie. Dolegliwości żołądkowe spowodowane nieświeżymi produktami spożywczymi są na porządku dziennym.

A jednak sąd przysięgłych uznaje Elizę Fenning za winną. „To najokrutniejsza rzecz na świecie! - pisze zrozpaczona w liście z więzienia. - Uznali mnie za winną!“. Daje też wyraz nadziei, że pójdzie do więzienia najwyżej na sześć miesięcy. Straszliwie się jednak myli. Niedługo potem sędzia ogłasza wyrok: „Ma zostać powieszona za szyć, póki nie nastąpi zgon!“. Przerażona Eliza opiera się o ławę oskarżonych i wydaje straszliwy okrzyk.

Do 1861 roku usiłowanie zabójstwa traktuje się w Anglii jak zbrodnię główną i karze na równi z morderstwem popełnionym. A za to grozi kara śmierci. Brak możliwości odwołania, wyrok jest prawomocny, Eliza zostaje umieszczona w celi śmierci w więzieniu Newgate.

Rozlegają się protesty opinii publicznej przeciw temu wyrokowi, czego wynikiem jest kilka petycji i próśb o ułaskawienie do księcia panującego,

lorda kanclerza i Ministerstwa Sprawiedliwości. Wszystkie zostają odrzucone. Datę egzekucji wyznaczono na środę, 26 lipca 1815 roku, na godzinę ósmą rano. Właśnie tego dnia miało się odbyć wesele Elizy.

Rankiem owego dnia wielka szubienica zostaje przetransportowana z więzienia na plac przed nim, by ludzie mogli oglądać wykonanie wyroku. Będzie powieszonych razem troje skazanych, poza Elizą Fennig jeszcze dwóch zbrodniarzy, sprawców odrażających przestępstw. Duże grupy ludzi już na długo przed ósmą rano ciągną ulicami w kierunku Newgate i wlewają się na ustawione trybuny, by zająć jak najlepsze miejsce, z którego będzie widać cały spektakl.

Niedługo przed ósmą Eliza ze skutymi rękoma zostaje wprowadzona na szafot. Ma na sobie białą muślinową suknię z wysoką talią, ściągniętą elegancką, modną kokardą, do tego biały czepek i wysoko sznurowane liliowe buciki. W tym stroju chciała tego dnia stanąć przed ołtarzem, tyle że ślubną suknię włożyła na swoją egzekucję. Kobieta mówi do towarzyszącego jej pastora: „Na Boga sprawiedliwego i wszechmocnego i święty sakrament, który przyjąłem, nie jestem winna przestępstwa, za które mnie skazano!”.

W tłumie zapada milczenie, kiedy Eliza z rezygnacją wstępuje po stopniach na podest szubienicy. Spokojnie wysłuchuje modlitwy pastora. Potem kat próbuje włożyć jej na głowę tradycyjną białą czapeczkę nocną. Ale to niemożliwe, bo skazana ma już czepek. Dlatego mężczyzna próbuje zawiązać jej na twarzy chusteczkę z białego muślinu. Okazuje się jednak za mała. Wtedy wyjmuje z kieszeni własną brudną chustkę do nosa i próbuje ponownie. Eliza protestuje i domaga się, by ją zdjął. Pastor jednak tłumaczy, że na wszelki wypadek musi mieć zasłoniętą twarz, kiedy kat będzie jej zakładał stryczek na szyję. Dziewczyna woła raz jeszcze: „Jestem niewinna!”. Potem kat zwalnia zapadnię i Eliza opada jakieś pół metra w głąb.

Dygocze nieco, aż po kilku minutach następuje zgon.

Opłaciwszy koszty egzekucji, jej ojciec może odebrać ciało córki. Pięć dni później zostaje pochowana na londyńskim cmentarzu w obecności liczego tłumu. Tysiące ludzi przychodzą na pogrzeb i demonstrują prze-

ciwko błędnemu wyrokowi, którego nie skorygowano do chwili obecnej. Tej straszliwej niesprawiedliwości nie naprawiono do dziś. Nigdy nie udowodniono Elizie winy. Nie było żadnych dowodów, tylko przypuszczenia. Te liczne wątpliwości nawet przy ówczesnym systemie prawnym musiały być uwzględnione na korzyść oskarżonej i powinny doprowadzić do jej uniewinnienia.

Niesprawiedliwość w cesarstwie? Historia sprawy Carla Haa

(Niemcy, 1906-1924)

W cesarstwie niemieckim za czasów cesarza Wilhelma pogwałcenie reguły dowodowej „wszelkie wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego” odegrało szczególną rolę w dwóch głośnych procesach karnych: w słynnej sprawie Alberta Ziethena, którą zajmiemy się dokładniej w rozdziale o wznowieniu postępowania (Inercja wymiaru sprawiedliwości), jak również w spektakularnym procesie adwokata Carla Haa.

Carl Hau poślubia w 1905 roku starszą o pięć lat bogatą Linę Molitor. Podczas licznych zawodowych pobytów zagranicznych wskutek hulaszczego trybu życia przepuszcza on prawie cały jej majątek. Szóstego listopada 1906 roku matka Liny, dysponująca milionami wdowa z Baden-Ba-den, otrzymuje tajemniczy telefon. Ma się niezwłocznie zgłosić na pocztę główną po odbiór pilnej depeszy, mówi zmienionym głosem dzwoniący.

Pani Molitor natychmiast udaje się tam w towarzystwie córki Olgi. Na Kaiser-Wihelm-Straße ktoś strzela do niej z odległości dziesięciu metrów. Trafia panią Molitor w plecy, zabijając na miejscu. Mężczyzna w ciemnym płaszczu i ciemnym kapeluszu odrywa się od zagłębienia w murze i odbiega nierozpoznany.

Podejrzenie pada natychmiast na Carla Haa, którego kilku świadków widziało rzekomo zamaskowanego w pobliżu miejsca przestępstwa. Zostaje aresztowany w Londynie. Jego żona odbiera sobie życie, uznawszy, że to

on jest winowajcą. Ale Hau do końca życia utrzymuje, że to nie on oddał śmiertelny strzał. Jaki miałby mieć motyw, żeby zabijać swoją teściową?

Kiedy 17 lipca 1907 roku przed sądem przysięgłych w Karlsruhe rozpoczyna się proces o morderstwo, staje się jasne, co sądzi prokuratura. Wskutek braku pieniędzy Hau wziął sobie na cel spadek żony i dlatego z zimną krwią zastrzelił bogatą teściową. Ale to tylko przypuszczenia, poszlaki są nikłe. W gruncie rzeczy nie można Hauowi niczego dowieść. Wybiera konsekwentną linię obrony, odmawiając zeznań na temat najważniejszych punktów sprawy. Powodem takiego postępowania jest to, że chce ochraniać kobietę, którą kocha. W toku postępowania okazuje się, że chodzi o Olgę Molitor, siostrę jego żony.

Co ciekawe, zyskuje tym sympatię obecnej na sali widowni i prasy. Opinia publiczna domaga się uniewinnienia. Tłum przed gmachem sądu z każdym dniem groźnie się powiększa. Władze miejskie Karlsruhe muszą wprowadzić do akcji wszystkich dostępnych policjantów, by zapewnić spokój i porządek. Pod koniec procesu pojawia się nawet wojsko z nasadzonymi bagnietami. Podobne ekscesy nie zdarzyły się w Niemczech nigdy wcześniej podczas procesu karnego. Posiedzenie, na które wezwano 72 świadków i 9 biegłych sądowych, wzbudza ogromną sensację. Kiedy sąd przysięgłych uznaje Carla Haula za winnego i skazuje na śmierć, dwadzieścia tysięcy zgromadzonych przed gmachem sądu ludzi kwituje wyrok krzykami, gwizdami i buczeniem. Już o trzeciej nad ranem pojawiają się dodatki nadzwyczajne gazet, w których krytykuje się wyrok. „Berliner Tageblatt” uważa, że nie dowiedziono w pełni winy. Winowajcą może też być ktoś inny. Zbyt wiele jest pytań i nierozwiązanych zagadek. Wątpliwości co do winy Carla Haula powinny być uwzględnione na jego korzyść. I taka opinia przeważa w gruncie rzeczy do dzisiaj, choć wielu wybitnych prawników jest odmiennego zdania, uważając wyrok za słuszny.

Rewizja wniesiona przez Carla Haula została odrzucona 12 października 1907 roku przez Sąd Najwyższy Rzeszy. Kilka tygodni później wyrok złagodzano do dożywotniego ciężkiego więzienia. Skazany długich dwanaście lat spędza w izolatce w Bruchsal. Jego wnioski o wznowienie pro-

cesu nie odnoszą skutku. W 1924 roku, po siedemnastu latach, zostaje zwolniony warunkowo. Pisze dwie książki o swoim życiu, na podstawie których powstał nawet film *Der Fali Mauritius*. Dwa lata później Carl Hau popełnia we Włoszech samobójstwo.

Granice prawdy

Błędnych wyroków dałoby się uniknąć tylko wtedy, gdyby sędziowie byli z absolutną pewnością przekonani o winie oskarżonego. Wychodząc jednak z takiego założenia, w większości spraw musieliby wydać wyrok uniewinniający. Kiedy jednak można mieć całkowitą pewność? Tylko wtedy, gdy nabrało się silnego przekonania, że inaczej być nie może. Głośne uniewinnienia także nie służyłyby sprawiedliwości. Dlatego sędziowie muszą się zadowolić „wysokim stopniem prawdopodobieństwa”. Taki stopień prawdopodobieństwa uchodzi za prawdę. Miejsce pewności zajmuje hipoteza. Sędzia rozważa rozmaite sprzeczne możliwości. Jeśli kilka prowadzi w tym samym kierunku, w świadomości sędziego te zgodne możliwości nabierają przewagi, stąd poczucie wysokiego prawdopodobieństwa. Kiedy jednak istnieją rozsądne wątpliwości co do winy oskarżonego, sędzia nie powinien wydawać wyroku skazującego.

O tym, jak trudno jest nie przekroczyć tych granic i z jakim brakiem zrozumienia w oczach opinii publicznej może się spotkać wyrok, kiedy sąd ściśle trzyma się zasady „wątpliwości należy rozstrzygnąć na korzyść oskarżonego”, świadczy wyrok hanzeatyckiego sądu odwoławczego w Hamburgu z 5 lutego 2004 roku w sprawie Marokańczyka Abdelghaniego M.

Ten trzydziestojednoletni chuderławy student elektroniki z nastroszoną brodą został oskarżony przez 3. senat do spraw karnych o pomocnictwo w 3066 zabójstwach oraz przynależność do związku terrorystycznego. Jako przyjaciel pilota-samobójcy Mohammeda Atty z hamburskiej komórki terrorystycznej miał on wiedzieć o przygotowaniach do zamachów z 11 września 2001 roku w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Prokurator

federalny Walter Hemberger żąda piętnastu lat więzienia, obrona - uniewinnienia. Proces trwa prawie pół roku. Podczas trzydziestu dwóch dni postępowania przesłuchano pięćdziesięciu trzech świadków oraz przejrzano setki dokumentów i materiałów dowodowych. Liczono na skazanie Abdel-ghaniego M. i oczekiwano, że sąd okaże się bezkompromisowo surowy, podobnie jak Amerykanie. Przecież przed prawie rokiem ta sama izba, choć w bardzo odmiennym składzie, skazała na piętnaście lat więzienia oskarżonego o podobne czyny Mouniera el M. Wyrok nie jest jednak prawomocny wskutek rewizji złożonej w sądzie federalnym.

Jednak w postępowaniu przeciw Abdelghanemu M. następuje zwrot, kiedy 11 grudnia 2003 roku federalny urząd kryminalny wysłał nieoczekiwanie faks do hamburskiego sądu drugiej instancji. Informuje on, iż Ramzi B., zamieszkały w Stanach Zjednoczonych domniemany inspirator ataków, zeznaje, że Abdelghani M. nie miał z nimi nic wspólnego. Amerykanie odmawiają udostępnienia Ramziemu B. w charakterze świadka. Sąd apelacyjny wypuszcza w związku z tym Abdelghaniego M. z aresztu śledczego, ponieważ brak jednoznacznych dowodów o popełnienie przestępstwa, a łańcuch poszlak przeciw oskarżonemu okazuje się niewystarczający. Pociąga to za sobą uniewinnienie. Nie zmienia tego nawet przesłuchanie pewnego wątpliwego świadka z Iranu, którego w ostatniej chwili przedstawia prokuratura federalna. Ów rzekomy były szpieg - występujący przed sądem pod pseudonimem Zakeri, ze sztuczną brodą i w okularach - którego wywiad federalny nie uważa za wiarygodnego, okazuje się czystym mitomanem, wygłaszającym spekulatywne i rozwlekłe teorie spiskowe.

Kiedy 5 lutego 2004 roku Abdelghani M. zostaje rzeczywiście uniewinniony z braku dowodów, sędzia przewodniczący Klaus Rihle mówi oskarżonemu: „Dla pana, panie M., ten dzień może być powodem do radości. W żadnym razie jednak nie jest to powód do radości dla wymiaru sprawiedliwości”. Rihle dał do zrozumienia, że sąd trzymał się podstawowej zasady in dubio pro reo. Nie był on „żadną miarą przekonany o niewinności oskarżonego”, ale „nie wystarczyło tego po prostu” na wyrok skazują-

cy. Dowody oskarżenia były bardzo słabe. Organa ścigania mogły przedstawić przeciw M. tylko kilka przekazów pieniężnych na rzecz późniejszych zamachowców oraz fakt wyświadczenia drobnych przysług. „Planowanie ataków z 11 września było bezprecedensowym tajnym działaniem” - kontynuuje Riihle w ustnym uzasadnieniu wyroku. Nie dowiedziono, że M. o tym wiedział. W procesie tym „osiągnięto granice poszukiwania prawdy”. Nawet jeśli zamachy te były „jedną z najstraszniejszych zbrodni w dziejach ludzkości”, w państwie prawa nie można nikogo skazać „tylko dlatego, że trzeba zadośćuczynić za przestępstwo”. Słowa Riihlego brzmią prawie jak usprawiedliwienie. „Niektórzy ludzie - mówi - przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, przyjmą ten wyrok z mieszanymi uczuciami albo wręcz z gniewem, inni uznają go za porażkę w walce z międzynarodowym terroryzmem”. W tym postępowaniu chodziło jednak wyłącznie o winę oskarżonego, a nie „o zapowiedź walki z terrorem”.

Wyrok ten bez wątpienia odważny i zasadny pod względem prawnym, przyznaje też oskarżonemu odszkodowanie za pobyt w areszcie śledczym. Hamburgscy sędziowie nie ulegli naciskom politycznym, ale ściśle trzymali się reguły dowodowej, której naruszenie przez sądy jest tak często krytykowane. Gdyby podstawowa zasada „wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego” przestała obowiązywać, powiedział Riihle, „wtedy terroryści osiągnęliby swój cel - wyrządzenie szkody państwu prawa”.

Wyrok ten spotyka się jednak z ostrą krytyką. Gani go otwarcie ówczesny federalny minister spraw wewnętrznych Schily. Nie tylko Amerykanie wyrażają brak zrozumienia dla tego orzeczenia, oświadcza, on sam też nad tym ubolewa. Oczekuje, podobnie jak federalny prokurator generalny Kay Nehm, że wyrok uniewinniający nie zostanie podtrzymany przez sąd federalny. Nehm, podobnie jak oskarżyciel posiłkowy, złożył wniosek o rewizję.

Nadzieje te jednak się nie spełniły. W dniu 9 czerwca 2005 roku 3. senat do spraw karnych sądu federalnego zatwierdza uniewinnienie. Sędziowie federalni nie dopatrzili się żadnych uchybień prawnych w wyroku han-zeatyckiego sądu drugiej instancji. Przewodniczący składu orzekającego

Klaus Tolksdorf wyjaśnia w ustnym uzasadnieniu wyroku, że sąd zdaje sobie sprawę, iż wobec śmierci 3066 zamordowanych ofiar decyzja ta nie spotka się z ogólną aprobatą. „Jednak sąd także przy karaniu odrażających postępków musi przestrzegać przepisów prawa. Państwo prawa nie może być bronięte środkami, które naruszałyby jego własne normy”.

Podejrzany o terroryzm Abdelghani M., który przez dłuższy czas przebywał w obozie wojskowym Osamy bin Ladena, jest teraz wolnym człowiekiem. Wynik tego procesu może się wydawać niezadowolający. Niesmak taki jest jednak zawsze lepszy niż wysłanie człowieka na piętnaście lat za kratki mimo wszelkich wątpliwości.

Potwierdzono to też otwarciem w wyroku rewizyjnym najwyższego sądu karnego Niemiec w przypadku Mounira el M. W dniu 4 marca 2004 roku 3. senat do spraw karnych sądu federalnego uchylił wyrok sądu drugiej instancji w Hamburgu z 19 lutego 2003 roku wydany na dwudziestodziewięcioletniego Mounira el M. Sąd drugiej instancji skazał tego studenta elektroniki, od 28 listopada 2001 roku przebywającego w areszcie śledczym, na piętnaście lat więzienia za pomocnictwo w zamordowaniu 3066 osób oraz przynależność do związku terrorystycznego. Sąd uznał za dowiedzione, że jako członek „hamburskiej komórki terrorystycznej” załatwiał on interesy finansowe zamachowców i ukrywał fakt ich nieobecności. Był to pierwszy w świecie proces w sprawie ataków terrorystycznych z 11 września w Nowym Jorku. Mounir el M. był blisko zaprzyjaźniony z zamachowcami. Według sądu drugiej instancji w grupie pilota terrorysty Mohammeda Atty zajmował się on w Hamburgu przygotowaniem zamachu.

Trzeci senat sądu federalnego, pod przewodnictwem sędziego federalnego Klause Tolksdorfa, uznaje, że ocena materiału dowodowego przez sędziego z Hamburga nie wytrzymuje weryfikacji prawnej. Nawet przy tak odrażającym akcie okrucieństwa wymiar sprawiedliwości musi działać w granicach prawa, podkreśla Tolksdorf, niezależnie od tego, jak silne są podejrzenia wobec Mounira el M., który niezmiennie zaprzeczał zarzutom. Zadaniem wymiaru sprawiedliwości jest zawsze minimalizowanie niebezpieczeństwa wydawania błędnych wyroków. Sędziowie federalni negatyw-

nie oceniają fakt, że Ramzi B., domniemany inspirator zamachów, zgodnie z decyzją władz amerykańskich nie mógł zeznawać na procesie, nie miał więc okazji, by oczyścić z zarzutów Mounira el M. Urząd kanclerza Niemiec i federalne Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zablokowały przekazanie sądowi protokołów przesłuchań Ramziego B. przez tajne służby amerykańskie, przedłożonych wcześniej wywiadowi federalnemu i federalnemu urzędowi kryminalnemu Niemiec. Zdarzenia te, oceniają sędziowie federalni, sędziowie hamburskiego sądu drugiej instancji musieli jednak uwzględnić w ocenie materiału dowodowego. W procesie karnym fakt utrzymywania pewnych informacji w tajemnicy przez władzę wykonawczą nie powinien zasadniczo obciążać oskarżonego, jeśli działa to na jego niekorzyść, musi zostać zrekompensowane przez szczególnie ostrożną ocenę materiału dowodowego. Sąd drugiej instancji wcale się jednak nie zajmował możliwością istnienia odciążających zeznań Ramziego B.

Tę odważną i słuszną decyzję, w pełni uwzględniającą zasadę in dubio pro reo, Gerhard Strate, hamburski adwokat zajmujący się rewizjami wyroków, skomentował następująco: „Ten wyrok sądu federalnego to także sukces w dziedzinie praworządności postępowania sądowego”. Proces ten musi być przeprowadzony ponownie przez 4. senat do spraw karnych han-zeatyckiego sądu odwoławczego. Już 7 kwietnia 2004 roku sąd drugiej instancji nakazuje zwolnienie z aresztu Mounira el M. Marokańczyk ten zostaje wypuszczony z aresztu śledczego, ponieważ nie wchodzi już w grę mocne podejrzenie o pomocnictwo w zabójstwie, a tylko przynależność do związku terrorystycznego zagrożona względnie łagodnym wymiarem kary. Ponieważ M. przebywa w więzieniu już od dwóch lat, dalszy areszt śledczy nie byłby usprawiedliwiony.

Także ta decyzja, zgodna z logiką wcześniejszego orzeczenie sądu federalnego, wywołuje krytykę, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. „Sądzimy, że istnieją silne dowody przeciwko Mounirowi el M., uważamy też, że jest to człowiek niebezpieczny” - komentuje wyrok sądu drugiej instancji rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Nowy proces Mounira el M. rozpoczyna się 10 sierpnia 2004 roku przed 4. senatem do spraw karnych sądu apelacyjnego w Hamburgu. Trwa cały rok. Po siedemdziesięciu dniach rozpraw, podczas których przesłuchano stu dwunastu świadków, 19 sierpnia 2005 roku sędzia przewodniczący Ernst-Rainer Schudt ogłasza wyrok w pilnie strzeżonej sali nr 237: siedem lat pozbawienia wolności za przynależność do związku terrorystycznego. Podczas trwającego trzy i pół godziny odczytywania uzasadnienia wyroku sędzia nie pozostawia wątpliwości, że według sądu Mounir el M. należy do ścisłego rdzenia grupy hamburskich zamachowców z 11 września. Jest człowiekiem o takich samych przekonaniach, jak owi przepełnieni nienawiścią fanatycy i podzielał terrorystyczne zamiary swoich towarzyszy. Podobnie jak Osama bin Laden był też gotów do walki zbrojnej. Sąd nie daje wiary, że chciał on pojechać do obozu terrorystów Al-Kaidy w Afganistanie nauczyć się jazdy konnej, strzelania i pływania, kierowany poczuciem religijnego obowiązku. „Pana wyjaśnienie jest absurdalne” - zwraca się Schudt do oskarżonego, który także podczas tego procesu nie odezwał się ani słowem. Schudt wyraźnie nad tym ubolewa. „Jak mam zrozumieć kogoś, kto ze mną nie rozmawia?”. Mounir el M. prawdopodobnie wiedział też, że jego przyjaciele w Stanach Zjednoczonych planowali zamachy przy użyciu samolotów. Nie da się jednak dowieść, że był on szczegółowo wtajemniczony w planowanie tych ataków terrorystycznych. Nie wiedział, jakie cele, kiedy i gdzie mają zostać zaatakowane. Dlatego sąd drugiej instancji uwalnia go od zarzutu pomocnictwa w zamordowaniu ponad trzech tysięcy ludzi. Z uwagi na niebezpieczeństwo ucieczki natychmiast po ogłoszeniu wyroku oskarżony wraca do aresztu śledczego.

Zdaniem byłego niemieckiego ministra spraw wewnętrznych Otto Schily'ego decyzja ta „stanowi wyraźny znak zdecydowania państwa prawa w walce z terroryzmem, a przez to także zachętę dla organów ścigania”. Amerykański oskarżyciel posiłkowy, którego matka zginęła w jednym z uprowadzonych samolotów, mówi wręcz o „przytłaczającym zwycięstwie”. Zdaniem obrońców jednak jest to wyrok całkowicie błędny. Wnie-

śli oni o rewizję, ponieważ ten „zgniły kompromis między prawem a bezprawiem” jest nie do utrzymania. Także prokuratura federalna, która podobnie jak w pierwszym procesie domagała się piętnastu lat więzienia, nie uznała prawomocności tego wyroku. Sąd federalny musi ponownie rozpatrzyć sprawę.

Również w anglo-amerykańskim prawie karnym nie wolno wykluczyć żadnej wątpliwości: winy należy dowieść beyond any reasonable doubt. Tego, że nie zawsze tak się dzieje, dowodzą trzy następujące sprawy z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. W latach dwudziestych dwudziestego wieku i później, niedługo po drugiej wojnie światowej, trafiają one w Londynie na nagłówki gazet. Także historia z Phoenix w Arizonie pozostaje do dziś w najwyższym stopniu kontrowersyjna.

Listy miłosne jako dowód. Sprawa Edith Thompson
(Anglia, 1922-1923)

Edith Thompson, lat dwadzieścia osiem, to pełna temperamentu, piękna kobieta o mocnej, sprężystej figurze, mająca zawadiacki pukiel brązowych, falujących włosów opadający z lewej strony na czoło. Edith jest żoną starszego o cztery lata Percy'ego, urzędnika agencji okrętowej. Ich małżeństwo jest bezdzietne, nie przebiega też zbyt szczęśliwie. Edith bowiem nie dochowuje mężowi wierności.

W czerwcu 1921 roku zakochuje się ona w dwudziestoletnim stewardzie okrętowym Fredericku Bywatersie, który towarzyszy parze małżonków podczas ich podróży urlopowej na wyspę Wight. Kiedy Bywaters staje się zbyt poufały wobec Edith, Percy, nie namyślając się długo, wywała go za drzwi i zarzuca żonie wiarołomstwo. Dochodzi do ostrych kłótni kończących się rękoczynami. Percy ostro bije żonę. Edith szuka pocieszenia u Fredericka Bywatersa. Meldują się pod fałszywymi nazwiskami w hotelu, gdzie spędzają ze sobą noc. Młody, impulsywny Bywaters szaleje z zazdrości. Nienawidzi Percy'ego Thompsona, bo

jego zdaniem unieszczęśliwia on Edith, do tego źle traktuje. Dlatego postanawia go zabić.

Kiedy 4 października 1922 roku około północy Edith i Percy Thompsonowie wracają do domu po spektaklu w londyńskim teatrze, Frederick Bywaters czatuje na nich z nożem. Wyskakuje z ciemności i zadaje Percy'emu kilka śmiertelnych pchnięć. „Nie rób tego! - krzyczy Edith. - Nie rób tego!”. Ale Bywaters już uciekł, zostawiając ją z martwym mężem na ulicy.

Podczas pierwszego przesłuchania na policji kobieta oświadcza, że to jakiś nieznajomy zadźgał Percy'ego. Policjanci są jednak sceptyczni i nie wierzą jej. Znajdują sześćdziesiąt dwa płomienne listy miłosne napisane przez nią do Fredericka Bywatersa. W ten sposób trafiają na jego ślad. Zostaje aresztowany i oskarżony o morderstwo.

Kiedy Edith widzi go na posterunku policji, woła głośno: „Mój Boże, czemu on to zrobił! Wcale tego nie chciałam!”. Niedługo potem także ona zostaje zatrzymana. Z jej listów miłosnych wynika bowiem, że kilkakrotnie usiłowała bez powodzenia otruć męża. Próbowwała też dosypywać mu do potraw okruchów szkła, jak pisze do Bywatersa. Jednak Percy odkrywa to w porę. Wyjawia też Frederickowi, że usunęła ciężę, w którą z nim zaszła. Teraz staje się dla prowadzących śledztwo oczywiste, że zabójstwo z 4 października zostało ukartowane wspólnie. Także Edith Thompson zostaje oskarżona o morderstwo.

Proces obojga rozpoczyna się 6 grudnia 1922 roku w londyńskim sądzie przysięgłych Old Bailey. Frederick Bywaters przyznaje się do winy, zaprzecza jednak, by Edith była wtajemniczona. Kocha ją i nie potrafił już znieść, jak to małżeństwo coraz bardziej ją unieszczęśliwiało. Dlatego chciał dać Percy'emu Thompsonowi nauczkę. „Nie miałem zamiaru go zabijać! - zapewnia sąd. - Chciałem go tylko zranić”. Edith zeznaje, że nic nie wiedziała o zamachu. Wbrew radom swego obrońcy zeznaje jako świadek i robi złe wrażenie. W jednym ze swoich listów prosiła Bywatersa, by przysłał jej coś, co mogłaby podać mężowi. Na pytanie, co miała przez to na myśli, odpowiada tylko: „Nie mam pojęcia!”.

Przysięgli obradują ponad dwie godziny, po czym uznają oboje oskarżonych za winnych morderstwa. Frederick Bywaters i Edith Thompson zostają skazani na karę śmierci.

Wątpliwości, jakie pojawiły się co do współwiny Edith, nie zostają uwzględnione na jej korzyść. Dopuszcza się ona wiarołomstwa i usunęła ciążę, ale czy rzeczywiście jest też winna zabójstwa? Czy jej listy są na to wystarczającym dowodem? Bywaters do końca utrzymywał, że to on i tylko on jest winowajcą. Wyrok pozostaje do dzisiaj kontrowersyjny, ponieważ istotne wątpliwości co do współwiny Edith nie zostały uwzględnione na jej korzyść. Po odrzuceniu apelacji Edith, także ona, podobnie jak Bywaters, zostaje umieszczona w celi śmierci, ale w innym więzieniu.

Opinia publiczna i prasa, początkowo nastawione wrogo wobec Edith Thompson, próbują jej teraz pomóc. Podczas wielkiej kampanii zebrano prawie milion podpisów, próbując uzyskać ulaskawienie albo przynajmniej odroczenie wykonania wyroku. Nadaremnie. Rankiem 9 stycznia 1923 roku oboje zostają powieszani. Bywaters znosi swój koniec spokojnie. „Edith jest niewinna” - zaklina się raz jeszcze, już stojąc pod szubienicą.

Kiedy przychodzi kolej na Edith, kobieta przeżywa załamanie. Z jej celi dobywa się straszliwy jęk. Aż do końca liczy na ulaskawienie. Tak się boi, że prawie mdleje, kiedy kat wiąże jej nadgarstki za plecami. Na krótkim odcinku między celą śmierci a szubienicą musi ją nieść dwóch strażników. Kobieta krzyczy histerycznie, przewraca się i jeszcze pod szubienicą musi być przytrzymywana. Potem opada zapadnia.

„Let him have it, Chris!”. Sprawa Dereka Bentleya
(Anglia, 2 listopada 1952-30 lipca 1998)

Mieszkańcy Londynu są zatrwożeni. Przez cały 1952 rok miasto terroryzują uzbrojone gangi młodzieżowe. Tylko w ostatnim miesiącu zastrzelono czterech policjantów. Ale osiemnastoletni Derek Bentley i jego

szesnastoletni kompan Christopher Craig nie należą do żadnego gangu. Chadzają jednak we dwóch na złodziejskie eskapady i dokonują włamań.

Także w niedzielę, 2 listopada 1952 roku, są w drodze, w poszukiwaniu jakiegoś opłacalnego „włamu”. Już dwukrotnie tego dnia im przeszkodzono i musieli odejść z pustymi rękoma. Teraz wybrali sobie za cel dom towarowy Parker & Barlow w Croydon Surrey. Obaj uzbrojeni są w noże. Bentley ma ponadto jeszcze kastet, a Craig rewolwer. Craig aż kipi nienawiścią do policji, której poprzysiągł zemstę, bo niedługo przedtem aresztowano jego brata. Bentley, choć dwa lata starszy od Craiga, jest jednak niedorozwinięty umysłowo, ma psychikę jedenastolatka. Ponadto cierpi na epilepsję w następstwie doznanego podczas wojny urazu głowy.

Craig i Bentley próbują wspiąć się na dach domu towarowego. Udaje im się to, zostają jednak przy tym zauważeni przez jakąś dziewczynkę, mieszkającą z matką po drugiej stronie ulicy. Matka dzwoni po policję. Ponieważ radiowóz jest całkiem niedaleko, po ledwie kilku minutach przyjeżdżają nim dwaj policjanci. Gdy zauważają to włamywacze, usiłują uciec. Ale nieuzbrojony policjant Frederick Fairfax jest szybszy. Udaje mu się chwycić i zatrzymać Bentleya. Ten nie stawia oporu. Za to Craig chwyta rewolwer i ostrzeliwuje się, próbując uciec. Trafia Fairfaksa w ramię.

„Let him have it, Chris!” - woła Bentley do przyjaciela („Daj mu to, Chris!”). Te słowa w późniejszym procesie odegrają istotną rolę. Co Bentley chciał przez to powiedzieć? Nie zamierza wcale uciekać, stoi za to przy rannym Fairfaksie.

Niedługo potem przybywają kolejni uzbrojeni policjanci. Craig strzela do wszystkiego, co się rusza. Sierżant Sidney Miles wdziera się schodami i przez drzwi na dach. Kula trafia go w głowę, ginie na miejscu. Craig wystrzelał cały magazynek, skończyła mu się amunicja. Chcąc uniknąć uwięzienia, skacze z dachu i ląduje kilka metrów niżej na dachu szklarni. Leży tam ze złamanym kręgosłupem, doznawszy porażenia.

Craig i Bentley zostają oskarżeni o morderstwo. Ale czy Bentley popełnił w ogóle jakieś zabójstwo? Przecież wcale nie strzelał, nie ma nawet broni palnej. W środę 9 grudnia 1952 roku przed sądem kryminalnym Old

Bailey rozpoczyna się proces obu oskarżonych pod przewodnictwem sędziego lorda Goddarda. Z uwagi na bezwzględność i liczne wydane przezeń wyroki śmierci nadano mu przydomek „sędzia-kat”. Nie pała sympatią do obu oskarżonych. obrońca Craiga dowodzi, że nie ma pewności, czy kula, która zabiła policjanta Milesa, pochodzi z rewolweru oskarżonego. Na kuli przedłożonej sądowi nie ma śladów krwi. Sędzia Goddard nie pozostawia jednak żadnych wątpliwości, że to Craig oddał zabójczy strzał.

Trudniej odpowiedzieć na pytanie, czy także Derek Bentley jest mordercą, to znaczy, czy jako współsprawca aprobował zabójstwo we wszystkich szczegółach. Czy zgodził się, by Craig użył broni palnej? Jak należy rozumieć jego słowa: „Let him have it, Chris!”? Czy w sensie: „Daj mu to, Chris”? Czy miało to znaczyć, że Bentley aprobował strzały z rewolweru Craiga i przystał na śmierć jednego czy nawet kilku policjantów? W takim razie jego zamysł jako współsprawcy obejmował także zabójstwo, ponieważ chodziło o wspólny zamiar, o zgodny, może nawet umówiony wcześniej plan. Prokurator interpretuje słowa: „Let him have it, Chris!” jako wezwanie do Craiga, by strzelał.

Obrońca nie neguje, że Bentley winien jest napadu rabunkowego z bronią w rękę. Zaprzecza jednak, by miał on zamiar zabijać. Słowa, które wykrzyknął do przyjaciela, są bardzo dwuznaczne. Mogły też znaczyć: „Oddaj mu broń, Chris!”. Bentley wcale nie chciał, by Craig zastrzelił policjanta. Sam też był uzbrojony w nóż, a przecież go nie użył, gdy ranny Fairfax leżał na dachu. Łatwo byłoby Bentleyowi, argumentuje obrońca, całkowicie unieszkodliwić stróża prawa. Jednak tego nie uczynił. Dowodzi to, że wcale nie zamierzał ranić, a co dopiero zabijać. Ponadto pozostaje nierozstrzygnięte, czy został on już formalnie zatrzymany przez Fairfaksa, czy też nie.

Przysięgli obradują przez godzinę i piętnaście minut. Potem wydają werdykt dla obu oskarżonych: winny zarzucanego czynu. Sędzia lord Goddard pozostawia karę dla Craiga, z uwagi na ciężki uraz, który do końca życia przykuwa go do wózka inwalidzkiego, do uznania brytyjskiej rodziny królewskiej. Dzięki temu Craig wychodzi na wolność już po dziesięciu latach

2Q

więzienia. Derekowi Bentleyowi wymierza jednak Goddard karę śmierci. Ława przysięgłych zaleca okazanie łaski i złagodzenie kary na dożywotnie ciężkie więzienie. Goddard nie przekazuje tej prośby o ułaskawienie do Home Office, w którego gestii ona pozostaje. Uważa, jak później wyjaśnił, że Bentley w żadnym razie nie zostanie powieszony, a i tak go ułaskawią.

Obrońca Bentley'a składa odwołanie od wyroku do Court of Appeal. Zostaje ono odrzucone 13 stycznia 1953 roku. Teraz sprawa pozostaje w rękach sir Davida Maxwella Fife'a, sekretarza królewskiego, mającego prawo proponować królowi, których skazanych przestępców kryminalnych objąć amnestią. Procedura ta obowiązuje w Wielkiej Brytanii od 1837 roku, kiedy nie chciano narzucać ledwie dziewiętnastoletniej podówczas królowej Wiktorii konieczności podejmowania w tak młodym wieku tak trudnych decyzji. W ostatnich latach po drugiej wojnie światowej w ponad pięćdziesięciu procentach wszystkich przypadków karę śmierci rzeczywiście zamieniono w drodze łaski na dożywocie. Jednak w roku 1953 roku wykonano też trzynaście wyroków śmierci. Również w sprawie Dereka Bentley'a sir Maxwell Fife odmawia zalecenia ułaskawienia. Może dlatego, że zamordowany jest policjantem i ktoś powinien „za to zapłacić”.

Kiedy opinia publiczna dowiaduje się, że egzekucję Bentley'a wyznaczono na 28 stycznia 1953 roku, zaczynają się zamieszki. Ojciec Bentley'a organizuje kampanię przeciw straceniu syna, a w prasie i radiu pojawiają się krytyczne wypowiedzi na ten temat. Także w parlamencie wywiązuje się dyskusja na temat owego wyroku. Dwustu deputowanych podpisuje petycję, domagając się ułaskawienia albo przynajmniej wstrzymania egzekucji. Wszystkie te wysiłki okazują się daremne. Rankiem w dniu egzekucji przed więzieniem Wandsworth gromadzi się potężny tłum. Rozgniewani ludzie domagają się niewykonywania wyroku śmierci.

Derek Bentley zostaje doprowadzony do szubienicy i powieszony 28 stycznia 1953 roku. W owym czasie w Wielkiej Brytanii osoby w wieku poniżej osiemnastu lat nie podlegały egzekucji. Jednak w chwili śmierci Bentley ma już lat dziewiętnaście. Ale czyż nie należało uwzględnić faktu, że zdaniem lekarzy miał on psychikę jedenastolatka?

Także po egzekucji nie ucichły głosy, uznające ten londyński wyrok za błędny. Sprawa staje się w Anglii bardzo głośna, wkrótce już wszyscy wiedzą, że Derek Bentley został stracony za śmierć policjanta, którego wcale nie zabił. I zabijać nie zamierzał.

Ojciec Bentleya, jego siostra Iris, a po ich śmierci jej córka Maria nie zaprzestają wysiłków, by doprowadzić do zmiany tego wyroku. Rodzina walczy o to od czterdziestu pięciu lat. W kwietniu 1997 roku sprawa zostaje zbadana przez komisję rewizyjną, która już w listopadzie tegoż roku kieruje ją do Court of Appeal. W okresie 20-24 lipca 1998 roku sędziowie Sądu Najwyższego badają ją ponownie. A trzydziestego lipca 1998 roku Sąd Najwyższy uznaje, że wyrok wydany na Bentleya był błędny.

Sędzia przewodniczący lord Thomas Bingham daje wyraz głębokiemu ubolewaniu, że doszło do takiej niesprawiedliwości. To przykre, że zauważone obecnie w przebiegu tej sprawy błędy i pomyłki nie zostały podówczas rozpoznane. Nie przedstawiono żadnego nowego materiału dowodowego, a wszystkie fakty, które musiał uwzględnić Court of Appeal, znane były już w 1953 roku. Jednak wnioski końcowe, jakie z nich wtedy wyciągnięto, były fałszywe.

W dniu 13 kwietnia 1999 roku Home Secretary odmawia rodzinie Bentleya odszkodowania za doznaną niesprawiedliwość. Po tym jednak, jak w podobnej sprawie przyznano później odszkodowanie, postanowiono postąpić tak samo w sprawie Dereka Bentleya. Po ponad czterdziestu latach potwierdzono oficjalnie to, co już niedługo po egzekucji Bentleya w 1953 roku napisano na jego nagrobku: „Ofiara brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości”.

Wolność dla Debry Jean Milkę?

(Stany Zjednoczone, Arizona, 2 grudnia 1989-?)

Wśród około trzech i pół tysiąca skazanych, którzy oczekują na egzekucję w celach śmierci w więzieniach amerykańskich, jest jakieś pięćdziesiąt

kobiet. Debra Jean Milkę to jedna z nich. Ta kobieta, urodzona 10 marca 1964 roku w berlińskim szpitalu wojskowym, mająca numer więzienny 83 533, od ponad szesnastu lat siedzi w samotnej celi i zaklina się, że jest niewinna. Jej cela znajduje się na szczególnie strzeżonym oddziale więzienia państwowego Perryville koło Phoenix w stanie Arizona.

Dramat Debbie Milkę to zarazem pełna nienawiści i pragnienia zemsty historia rozbitej rodziny. Wszystko zaczęło się od nieudanego małżeństwa matki Debbie (Niemki) z chorym na alkoholizm amerykańskim żołnierzem Richardem (Samem) S. Matka, obecnie, po powtórnych małżeństwie, Renatę Janka, opuszcza męża w 1978 roku z obiema córkami: Debbie i Sandy. Dziewczyny są zupełnie różne. Podczas gdy Debbie jest spokojnym i pilnym dzieckiem, jej o dwa lata młodsza siostra często przysparza problemów. Podrabia podpisy i kradnie pieniądze. Dochody Sama S. nie wystarczają, by zapewnić całej rodzinie bezproblemową egzystencję. Dlatego matka pracuje całymi dniami. Po odejściu od męża nie ma już innego wyjścia. Kobieta prosi ojca Sandy by wziął ją do siebie. Ponieważ pracodawca matki ogłasza niewypłacalność, decyduje się ona na dobrze płatne stanowisko w pewnej firmie w Stuttgarcie i wyjeżdża z Phoenix w marcu 1983 roku. Teraz Sam S., który w tym czasie powtórnie się ożenił, otrzymuje prawo do opieki nad Sandy.

Debbie, która zapisała się już do college'u, przejmuje całe gospodarstwo, także samochód. Jeszcze w tym samym miesiącu zakochuje się w układaczu wykładzin dywanowych Marku M. Dopiero później dowiaduje się, że jest on uzależniony od alkoholu i narkotyków. Mimo to wychodzi za niego za mąż w grudniu 1984 roku, a 2 października 1985 roku wydaje na świat syna Christophera. Małżeństwo rozpada się już po kilku latach. „Zabieraj swego parszywego bachora i wynocha z mego życia!” - domaga się Mark M. Zarzuca żonie, że jest zła i nic niewarta. Debbie nie może się pogodzić z jego alkoholizmem i narkomanią oraz rosnącym zamiłowaniem do wynaturzonych pisemek pornograficznych. Po jego wielokrotnych groźbach kobieta odchodzi. W listopadzie 1988 roku, po prawie rocznej separacji, następuje rozwód.

Debbie przyjmuje propozycję swojej teściowej Ilse M., by zamieszkała z nią w kontenerze mieszkalnym, dzięki czemu Christopher może częściej odwiedzać ojca. Na początku lata 1989 roku Debbie udaje się na przyjęcie weselne do przyjaciół. Tam otrzymuje telefon od swojej siostry Sandy, która informuje ją, że Mark jest z Christopherem w „narkotykowej melinie”. Kiedy Debbie jedzie tam, widzi, że Mark jest „na haju” i nie chce oddać syna. Poddusza kobietę i zabiera jej kluczyki do samochodu. Debbie postanawia wyprowadzić się z kontenera. Przyjaciel Sandy, niezdolny do pracy weteran wojenny Jim S., odnajmuje Debbie pokój. Mieszka w mieszkaniu ze swoją dwuletnią córeczką i potrzebuje pieniędzy. Przyznana mu renta nie wystarcza na utrzymanie.

Dlatego rad jest, kiedy pod koniec sierpnia 1989 roku Debbie i Christopher wprowadzają się do niego. Jim S., starszy od niej o piętnaście lat, prowadzi gospodarstwo i pilnuje Christophera, kiedy matka jest w pracy. Debbie znalazła dobrą posadę w towarzystwie ubezpieczeniowym. Nowy pracodawca oferuje pakiet socjalny, ubezpieczenie zbiorowe, które prócz ubezpieczenia zdrowotnego umożliwia też zawarcie umowy na ubezpieczenie na życie. Debbie ubezpiecza na życie swego syna, przy składce sześciu dolarów miesięcznie, na sumę pięciu tysięcy dolarów. Upoważniony do odbioru odszkodowania jest automatycznie rodzic posiadający prawo do opieki nad dzieckiem, czyli ona sama. Za trzydzieści dziewięć dolarów sama ubezpiecza się na życie na podobną sumę, do której prawo ma jej ojciec. Kiedy niedługo potem Debbie znajduje sobie odpowiednie mieszkanie w pobliżu miejsca pracy, a także miejsce dla dziecka w przedszkolu, informuje Jima S., że wyprowadzi się do 1 stycznia 1990 roku. Podczas corocznych odwiedzin matka Debbie kupuje jej toyotę, którą córka spłaca jej w miesięcznych ratach. Wygląda na to, że nadeszły lepsze czasy dla Debbie Milke, jej przyszłość zapowiada się bardzo dobrze.

Kobieta dowiaduje się, że Jim S. kupił sobie rewolwer. Na jej pytanie, na co mu to potrzebne, odpowiada, że chce sobie postrzelać na pustyni do grzechotników. To ulubione hobby w Arizonie. Debbie mówi mu, by nigdy nie używał broni przy dziecku. Tym, by rewolwer był przechowywany

w szafie, już sobie nie zaprzęta głowy. Nie wie, że Jim kupił jeszcze dwa rewolwery, jeden dla siebie i jeden dla swego przyjaciela Rogera S., schizofrenicznego alkoholika, którego ona zna tylko przelotnie.

Pierwszego grudnia 1989 roku Jim S. jedzie z obojgiem dzieci do centrum handlowego, by im pokazać Świętego Mikołaja. Następnego dnia Christopher nalega, by tam znowu wrócić, gdyż chce jeszcze raz zobaczyć Mikołajów, którzy przechadzają się w celach reklamowych. Debbie, początkowo przeciwna, potem jednak pyta Jima, czy nie pojechałby jeszcze raz z Christopherem do centrum handlowego. Ten się zgadza, bo i tak ma zrobić świąteczne zakupy. Jego samochód jest zepsuty. Jedzie więc toyotą Debbie. Ona nie ma nic przeciwko temu, bo tego przedpołudnia 2 grudnia nie potrzebuje wozu. Ale Jim nie wspomina jej, że najpierw wpadnie do Rogera S., by zabrać go ze sobą.

Jazda trwa pół godziny. Około dziesiątej trzydzieści zajeżdża tam z Christopherem. Roger S. robi dla Jima wszystko, jest mu uległy. Ale nie jest zadowolony, że u Jima mieszka jakaś młoda kobieta - gdyż dzięki temu on sam gra raczej podrzędną rolę. Teraz zdarza się coś bardzo osobliwego. Obaj mężczyźni, zamiast udać się z Christopherem do centrum handlowego, jadą z nim na pustynię. Jim uzasadnia to później, mówiąc, że chciał trochę odczekać, by zabrać swoją córkę, którą też zamierzał zawieźć do sklepów, od jej matki, a swojej eksprzyjaciółki. To podczas tego oczekiwania musieli wpaść na pomysł, by wypróbować na pustyni rewolwer Rogera S.

Okolo godziny czternastej trzydzieści Jim dzwoni do Debbie Milkę, informując, że Christopher zniknął. W chwili nieuwagi czmychnął z centrum handlowego. Debbie powiadamia o tym całą swoją rodzinę oraz policję. W trakcie przesłuchań przekazuje też policji pistolety z szafy Jima. Potem wypija kilka butelek coli z rumem i zażywa valium, by się uspokoić. Jim wspomina podczas przesłuchania prowadzonego przez detektywa D., że także Roger S. pojechał z nimi do centrum handlowego. Detektyw wyrusza natychmiast i przybywa o pierwszej w nocy. Roger S. jest przesłuchiwany. Rankiem 3 grudnia, w niedzielę, obszerna rozmowa z nim zostaje nagrana na magnetofon. Niczego jednak jeszcze nie wnosi.

W południe sprawę przejmuje detektyw Armando S. z Police Department Phoenix, choć właściwie ma tego dnia wolne. To silny mężczyzna, znany z tego, że podczas przesłuchań zawsze uzyskuje zeznania z przyznaniem się do winy. Przez długie lata ciężko pracował i teraz liczy na to, że otrzyma awans na swego rodzaju sędziego pokoju. W tym celu jednak musi wygrać wybory komunalne. Jakaś spektakularna, dająca się łatwo rozwiązać sprawa byłaby mu teraz bardzo na rękę.

Detektyw Armando S. bierze w obroty Rogera S. Po południu Roger S. oświadcza nagle, bliski wyczerpania, że wie, gdzie są zwłoki chłopca. Jim go zabił. Obiecał mu dwieście pięćdziesiąt dolarów, jeśli pojedzie toyotą na pustynię. Kiedy detektyw Armando S. wraz z detektywem M. oraz Rogerem S. są już w drodze na miejsce przestępstwa, Roger S. zmienia zeznanie i oświadcza, że to Debbie Milkę obiecała mu pieniądze, pochodzące rzekomo z ubezpieczenia na życie. To ona namawiała do tego przestępstwa. Christopher został zabity w odludnym miejscu, w wyschniętym korycie rzeki na pustyni. Jim S. miał wysiąść z chłopcem, podczas gdy on sam został w wozie. Potem usłyszał strzały, a Jim wrócił już sam.

Roger S. prowadzi funkcjonariuszy policji na miejsce, gdzie zabito Christophera. Na piasku leżą zwłoki chłopca z trzema kulami w potylicy. Na miejscu przestępstwa odkryto też odciski stóp odpowiadające numerowi buta Jima. Niedługo po siedemnastej zostaje on aresztowany w pobliżu swojego mieszkania. Kiedy dowiaduje się później na posterunku, że jest oskarżony o morderstwo, odmawia dalszych wyjaśnień i domaga się adwokata. Późnym wieczorem w mieszkaniu Rogera S. zostaje przeprowadzone przesłuchanie. Broń, będącą narzędziem zbrodni, znaleziono w miejscu wskazanym przez Rogera S. Rewolwer należy do Jima, który mówi, że właśnie z niego strzelał. Później Jim zdecydowanie temu zaprzecza.

Od niedzielnego popołudnia Debbie Milkę przebywa u rodziny we Florence. Około godziny szesnastej trzydzieści zjawia się tam zastępca szeryfa i prosi Debbie o przybycie do biura szeryfa hrabstwa Pinal, gdzie czekają funkcjonariusze policji z Phoenix, by odbyć z nią rozmowę. Debbie udaje się tam w towarzystwie swojej przyjaciółki Janet F. W pomieszczeniu

ambulatoryjnym muszą czekać ponad godzinę na detektywa Armanda S. Polecił on śmigłowcem do Florence, by móc osobiście przeprowadzić przesłuchanie. Trzej policjanci, którzy przyjechali z Phoenix samochodem, by przesłuchać Debbie, otrzymują przez radio polecenie, by z nią nie rozmawiać, bo Armando S. jest już w drodze.

Detektyw pojawia się krótko po godzinie dwudziestej i nakazuje towarzysze Debbie opuścić pomieszczenie. Detektyw H. daje Janet do zrozumienia, że Debbie Milkę zostaje aresztowana jako „jedna z trójki odpowiedzialnej za morderstwo”. Debbie pozostaje teraz sam na sam z detektywem Armandem S. w zamkniętym pokoju, którego stalowe drzwi on zamyka. Przełożony zalecił mu zabrać na przesłuchanie magnetofon kasetowy, on jednak nie stosuje się do tego. Nie ma też nakazu aresztowania Debbie. Armando S. zeznaje później pod przysięgą podczas procesu, że lecąc do Florence, nie zamierzał jej aresztować. Teraz jednak siada przed nią, ledwie trzydzieści centymetrów od jej głowy, i rozpoczyna przesłuchanie, jak to później zrelacjonowała Debbie, słowami: „Znaleźliśmy twojego syna. Został zamordowany, a ty jesteś aresztowana”.

Oświadcza jej, że pozostanie w areszcie. Według raportu, który detektyw Armando S. spisał później z pamięci, Debbie zaczęła na to histerycznie krzyczeć, płakać i szlochać. Ale na procesie zeznaje, że nie widział jednak żadnych łez. Przestrzega ją, że nie akceptuje takiego widowiska, i wzywa do powiedzenia prawdy na temat jej współudziału w przestępstwie. Kłamstw nie będzie tolerować. Potem poucza o przysługujących jej prawach, a ona skwapliwie kiwa głową. Opisała Christophera jako bardzo złośliwego, a czasem chorobliwego. Chłopak zachowuje się już jak ojciec. Nie chce, by mały wyrósł na kogoś takiego jak on. Ale nie jest przecież obłąkana, nie jest zwierzęciem. Lepiej by było, żeby Chris umarł. Tak podobno przedstawia tę historię Jimowi S. A on był gotów jej pomóc. Drugiego grudnia poinformował ją, że zrobi to tego dnia razem z Rogerem S. Umówili się, że nie poda jej żadnych szczegółów na temat zabójstwa.

Później podczas procesu Debbie zaprzeczyła temu zeznaniu. Do niczego się nie przyznała, z tym morderstwem nie ma zupełnie nic wspólnego. Nie

ma żadnych świadków tego przesłuchania. A także żadnych notatek, nie wspominając już o podpisie Debbie. Detektyw Armando S. napomina ją, by nikomu nie opowiadała o ich rozmowie. Mniej więcej po trzydziestu pięciu minutach opuszcza z Debbie pomieszczenie. Kobieta nie ma kajdanek. W korytarzu czeka kilku policjantów. Armando S. także teraz nie doprowadza do tego, by rzekome zeznanie powtórzyła w obecności świadków. A przecież z pewnością by tak postąpił, gdyby rzeczywiście powiedziała mu to, co on opisał później w raporcie. Kobieta zostaje przewieziona samochodem policyjnym na komendę główną policji w Phoenix, a stamtąd do więzienia.

Trzy dni później detektyw Armando S. informuje media, że sprawa jest wyjaśniona, bo uzyskał przyznanie się do winy. Zabójstwo na zlecenie bezdusznej matki, wyborny kąsek dla prasy. A do tego z góry wydany wyrok, który nie pozostanie później bez wpływu na przysięgłych. Trzy dni potem nie ma jeszcze żadnych solidnych dowodów rzekomego uknuć morderstwa przez matkę. Dopiero teraz, rankiem 6 grudnia, detektyw Armando S. siada i wystukuje z pamięci sześćoipółstronicowy raport, w którym twierdzi, że Debbie Milke wszystko mu wyznała. Bezpośrednio potem pisze raport z przesłuchania Rogera S., a wieczorem formułuje na piśmie podsumowanie całej sprawy. Zawiera ono pewne niezgodności w stosunku do dwóch pozostałych raportów, a także dopisek: „Personel wspierający: prokurator okręgowy Noel L.”.

W dniu 8 grudnia 1989 roku zostaje zwołane Grand Jury (wielka ława przysięgłych) rozpoznające, czy na podstawie raportów policyjnych zasadne jest wniesienie oskarżenia o zabójstwo wobec Jima S., Rogera S. i Debbie Milke. Debbie nie ma jeszcze żadnego adwokata. Jako jedyny świadek zostaje wysłuchany detektyw Armando S. Ława przysięgłych postanawia, że procesy należy przeprowadzić. Prokurator Noel L. wnosi przed sądem okręgowym hrabstwa Maricopa oskarżenie także przeciw Debbie Milke.

Jej proces rozpoczyna się 12 września 1990 roku. Po zakończeniu postępowania prokurator L. wypowiada się wobec przedstawicieli prasy, że w ogniu krzyżowych pytań popatrzył w oczy Debbie i dojrzał w nich

„skończone zło". Wtedy nagle pojął, że jest ona winna. Prokurator jasnowidz, niesłyszany incydent jak na proces o zabójstwo.

Ponieważ Debbie Milkę nie ma pieniędzy na adwokata, zostaje jej przydzielony jako obrońca z urzędu Kenneth R. Od samego początku źle jej doradza i popełnia kilka obciążających błędów. Dopuszcza na przykład, by Debbie Milkę wystąpiła dobrowolnie jako świadek. W tej roli nie robi ona dobrego wrażenia. Podano jej wcześniej środek przeciw stanom lękowym, pod którego wpływem jej zeznania robią wrażenie pozbawionych emocji i obojętnych. Nastraja to nieprzychylnie przysięgłych, którzy nic nie wiedzą o tych medykamentach. Już na początku rozprawy, podczas tak zwanego voluntariness hearing, sędzia Cheryl H. dopuszcza raport policyjny jako „zeznanie".

Świadek obrony, psycholog dr Leonardo Garcia-Bunuel, który opiekował się Debbie podczas jej pobytu w areszcie śledczym, przebywa podczas pierwszej fazy procesu w Hiszpanii. W jego imieniu występuje dr Kassel. Sędzia nie chce zaczekać, aż dr Garcia-Bunuel wróci, bo spowodowałoby to opóźnienie procesu. A dwóch przysięgłych chce się udać na urlop, tak że na ławie przysięgłych pozostałoby już tylko jedenastu, czyli o jednego mniej niż nakazuje prawo. Spowodowałoby to przerwanie procesu. Nie jest to szczególnie szczęśliwa decyzja tej sędzi, postaci kontrowersyjnej z powodu rozmaitych błędów popełnionych podczas wcześniejszych procesów. W 1997 roku zostanie ona zwolniona z urzędu sędziego w sprawach karnych i przydzielona do sądu rodzinnego. Tam aż do przejścia na emeryturę w 2001 roku występuje już tylko w procesach cywilnych. To, że dr Garcia-Bunuel nie zeznaje osobiście na tym etapie przewodu sądowego, okazuje się niekorzystne dla Debbie. Później, podczas mitigation hearing, kiedy trzeba już tylko ustalić wymiar kary, oświadcza on, że odnosi wrażenie, iż Debbie nie ma nic wspólnego z tym przestępstwem. Kilka lat później podpisuje nawet odpowiednie oświadczenie z mocą przysięgi.

Debbie Milkę relacjonuje przysięgłym, jak detektyw Armando S. przekreślił ich rozmowę. Powiedziała ona, że nie chce, by jej syn stał się taki jak jego ojciec. Detektyw napisał jednak w raporcie, który ona zobaczyła do-

piero podczas procesu: „Powiedziała mi, że to zrobiła, bo nie chciała, by Chris był taki jak jego ojciec”. Debbie zaprzecza temu zeznaniu i wszelkiemu współudziałowi w przestępstwie.

Obrona wnosi o zgodę na przedstawienie akt personalnych detektywa Armanda S. jako materiału dowodowego. Sędzia jednak odrzuca ten wniosek. Dopiero po latach adwokaci odkrywają, że było co najmniej dwadzieścia pięć spraw, w których Armando S. zachowywał się samowolnie. A w przynajmniej pięciu uzyskane przez niego rzekome przyznania się do winy zostały uznane za bezprawne lub doprowadziły do błędnych wyroków.

Podczas postępowania przeciw Debbie Milkę detektyw Armando S. zeznaje pod przysięgą i szczegółowo relacjonuje przebieg rozmowy z nią. Kobieta przyznała się do współudziału w przestępstwie. Policjant wyjaśnia, że rozmawiał też wielokrotnie z jej przyjacielem Erniem S. Ten opowiedział mu, że zamierzali się pobrać, ale on nie chciał mieć dzieci. Tym samym detektyw przedstawia obciążający motyw do popełnienia morderstwa. Debbie miała je ukartować, by móc poślubić Erniego S. Ten jednak, powołany na świadka, zeznaje pod przysięgą, że nigdy nie było mowy o małżeństwie.

Teraz prokurator L. chwyta się innego motywu. Debbie kazała zamordować swego syna, by móc zainkasować pięć tysięcy dolarów jego ubezpieczenia na życie. A podczas przesłuchania przez detektywa Armanda S. zaprzeczyła ona, by istniała taka polisa. Nikt, nawet obrońca, nie zwraca uwagi na to, że ubezpieczenie wypłacane jest tylko w razie śmierci z przyczyn naturalnych. Oraz to, że Debbie nie wypełniła też żadnego formalnego wniosku, a ubezpieczenie wchodziło w skład pakietu świadczeń socjalnych oferowanego przez pracodawcę. Nigdy tu nie było polisy indywidualnej. Jim S. nie zostaje przesłuchany jako świadek, a Roger S. odmawia składania zeznań przeciwko Debbie. Później, w odrębnym procesie o morderstwo, obaj zostaną skazani na śmierć. Sąd zakłada, że chodziło o współ-sprawstwo i nie wnika, który z nich zastrzelił chłopca. Obaj obwiniają się wzajemnie. Podczas swego procesu Jim S. tak przedstawia przebieg wydarzeń: Poszli wtedy w stronę szkółki żeglarskiej. Kiedy wrócili do wozu, najpierw Jim S., potem Christopher, na końcu Roger S., Jim usłyszał nagle za

sobą trzy strzały. Odwrócił się i zobaczył, że młody Chris leży z trzema kulami w głowie na piasku pustyni. Później w więzieniu Jim wyjaśnia w kilku listach, że Debbie Milkę nie ma nic wspólnego z tym zabójstwem. Współ-więzień z więzienia Maricopa utrzymuje, że Roger S. przyznał mu się do zamordowania Christophera. Podczas procesu nie wspomniano o tym ani słowem. Wiele przemawia za tym, że Jim S. został niesłusznie skazany.

W procesie Debbie Milkę obrona nie powołuje żadnych świadków, którzy mogliby przedstawić w pozytywnym świetle oskarżoną i jej charakter. Nawet jej matki. Renatę Janka wyrzekła się córki, dowiedziawszy się o jej rzekomym przyznaniu się do winy. „Skoro to była ona, pomyślałam, to nie chcę mieć z nią nic wspólnego”. Po pogrzebie Christophera rozmawiała nawet w komendzie głównej z detektywem Armandem S. Ten zapewnił ją, że Debbie Milkę jest winna i już nigdy nie wyjdzie na wolność. obrońca nie wzywa Renatę Janka na świadka obrony.

Prokuratura natomiast wykorzystuje swoje atuty i powołuje na świadków oskarżenia Richarda S., ojca Debbie, jego żonę oraz Sandrę, siostrę Debbie. Nie zostawiają na niej suchej nitki, przedstawiając ją jako osobę wyrachowaną, egoistyczną i oziębłą. Ich zeznania są druzgocące. Ona jest zupełnie jak jej matka, która go porzuciła, oświadcza Richard S. Gdyby jeszcze raz dano Debbie szansę urodzić dziecko, znów by je zabiła. Potwierdza to jej siostra Sandra, mówi też, że Debbie to typowa dzieciobójczyni. Domaga się dla siostry śmiertelnego zastrzyku. „Zasłużyła na to - woła z sali - za to, co zrobiła Chrisowi!”. Ta strategia prokuratury rozbudza nastrój nienawiści wobec oskarżonej.

W dniu 12 października 1990 roku ława przysięgłych uznaje, że Debbie Milkę jest winna zabójstwa; 18 stycznia 1991 roku sędzia Cheryl H. określa wymiar kary. Skazuje podsądną na śmierć. Wyrok ma zostać „wykonany przez dożylne wstrzyknięcie substancji w ilości wystarczającej do spowodowania zgonu”. Debbie zostaje umieszczona w celi śmierci w więzieniu Perryville.

Kilka miesięcy po wyroku pisze do matki za pośrednictwem dziadków z Berlina, których adres jeszcze pamięta. Na kopercie gryzmoli wezwanie

o pomoc w nieco łamanej niemczyźnie, którą jeszcze pamięta: „Babciu i dziadku - nie jest prawda. Dla matki. Proszę babciu! Proszę!”. W liście pisze, że nigdy nie przyznała się do winy. „Nie musisz odpowiadać, mamo, ale chciałabym wiedzieć, czemu mnie opuściłaś”.

Renate Janka przechodzi długi i bolesny proces, podczas którego coraz lepiej rozumie wszystkie okoliczności sprawy. Zmienia zdanie i robi odtąd wszystko, by pomóc córce. Jest teraz mocno przekonana o jej niewinności i pisze potem książkę *Uwolnijcie wreszcie moją córkę*.

W 1992 roku Debbie dostaje nowego adwokata. Jest nim znany obrońca w sprawach karnych Anders Rosenquist. Reprezentuje ją do 2001 roku. Początkowo nie chce za to żadnego honorarium, bo uważa, że Debbie Milkę jest niewinna. Według niego doszło do straszliwej pomyłki sądowej. Składa odwołanie wobec wyroku, które jednak zostaje oddalone przez Superior Court hrabstwa Maricopa. Także petycja mająca na celu późniejszą rewizję wyroku (post conviction relief) zostaje odrzucona w grudniu 1997 roku.

Debbie Milkę oczekuje na egzekucję już ponad siedem lat. Dziewiętnastego grudnia 1997 roku wyznaczono termin egzekucji na 29 stycznia 1998 roku. Przedstawiono kobiecie formularze do wypełnienia i zapytano, co sobie życzy na ostatni posiłek przed straceniem i co ma się potem stać z jej zwłokami. Pojawiają się psychiatrzy oraz lekarz, który obmacuje jej ramię i zaznacza na żyle najlepsze miejsce dla wkłucia. Wszystko jest nagrywane na wideo. Chodzi o sprawdzenie, jakie są reakcje kandydatki na śmierć. Debbie prawie zupełnie traci głowę.

W dniu 12 stycznia 1998 roku adwokatowi udaje się powstrzymać bliski już termin egzekucji. Jednocześnie składa on w sądzie najwyższym Arizony (United States District Court) tzw. wniosek Habeas Corpus, będący próbą uchylecia aresztu. W uzasadnieniu stwierdzono, że Debbie Milkę nie miała uczciwego procesu, dlatego wyrok narusza amerykańską konstytucję. Oskarżona nie miała skutecznego przedstawiciela prawnego, naruszono też zasadę wykluczenia samoobciążania się. Pod koniec 1998 roku sprawa zostaje przydzielona sędziemu federalnemu Robertowi Broomfieldowi.

W Berlinie z inicjatywy matki Debbie rozpoczyna się akcja „Wolność dla Debbie Milkę”. W okresie od lipca 1998 roku do września 2000 roku trzydzieści pięć razy informowano o jej sprawie w niemieckiej i szwajcarskiej telewizji. Wcześniej obrońca Debbie mecenas Rosenquist mówi w programie telewizji Pro 7 „Die Reporter” z 3 września 1998 roku i 7 stycznia 1999 roku, że historia Debbie Milkę to doskonały przykład na to, że system prawny w Stanach Zjednoczonych nie jest normalny.

„Skoro nasz wymiar sprawiedliwości dopuszcza, że wskutek niedowiedzonego zeznania nieposzlakowany członek społeczeństwa zostaje podejrzany o morderstwo i łąduje w celi śmierci, to każdy z nas musi się bać!”.

Wiele prominentnych osobistości przyłącza się do tej inicjatywy, w tym Richard von Weizsacker, Egon Bahr, Guenther Jauch, Elke Sommer, Uschi Glas i wiele innych znanych postaci z radia, telewizji i świata polityki. Nie mogą oni jednak wpływać na przebieg postępowania w Stanach Zjednoczonych. Debbie Milkę nadal przebywa w więzieniu i pisze rozpaczliwe listy do matki: „Proszę, wyciągnij mnie stąd!”.

W kwietniu 2001 roku obronę Debbie przejmują Mikę D. Kimmer, jeden z najlepszych obrońców w sprawach karnych w Arizonie, oraz Lori Voepel, specjalistka w zakresie procedury Habeas Corpus. Od 28 lipca 2003 roku do postępowania włącza się jako „Amicus-Party” (partia zaprzyjaźniona) American Civil Liberties Union, wspierana przez znanych i poważanych prawników Arizony.

Stowarzyszenie to koncentruje się zwłaszcza na problematyce upublicznionych w ostatnich latach w Ameryce przypadków fałszywego lub wymuszonego przyznania się do winy. Sędzia federalny Broomfield zezwala na to przyłączenie się, co w amerykańskim prawie karnym nie jest w żadnym razie regułą. Obrona i prokuratura wymienili oświadczenia, a sędzia Broomfield musi teraz podjąć decyzję. Być może dojdzie do przesłuchania (evidentiary hearing), podczas którego mogą również zeznawać świadkowie. Od jego wyniku zależy, czy utrzymany zostanie wyrok śmierci, czy też sprawa zostanie odesłana do Superior Court stanu Arizona. Może uda się przedtem wyciągnąć Debbie Milkę z więzienia za kaucją.

Choć pozostaje chwilowo kwestią otwartą, czy wyrok z 12 października 1990 roku zostanie uchylony, a Debbie Milkę uniewinniona, wiele przemawia za tym, że wydany na nią wyrok skazujący jest błędny. Nie dowiedziono jej winy ponad wszelką wątpliwość (beyond any reasonable doubt). W całym postępowaniu widoczne stały się uchybienia przeciw obowiązującej w państwie prawa regule in dubio pro reo („wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego”). Wobec tak problematycznego i niedostatecznego materiału dowodowego prokuratury nie powinien zapaść wyrok skazujący.

Niedostateczność ludzkich zdolności poznawania

„Sprawiedliwość nie jest z tego świata!”. Słowa te napisano w księdze wyłożonej na Campo Verano, najpiękniejszym cmentarzu Rzymu, obok ozdobionego różami grobu Marty R. W dniu 9 maja 1997 roku o godzinie 11.37 ta przystojna, dwudziestodwuletnia studentka o blond włosach zostaje śmiertelnie ugodzona kulą w skroń, kiedy przechodzi z przyjaciółką pod oknami wydziału prawa rzymskiego uniwersytetu La Sapienza. Na terenie uniwersyteckim panuje taka wrzawa, że jej towarzyszka nawet nie słyszała wystrzału. Dlatego początkowo nie potrafi sobie w ogóle wyjaśnić, czemu idąca obok Marta R. osuwa się nagle na ziemię. Policja działa zupełnie po omacku i dopiero po kilku miesiącach wpada na trop dwóch docentów, Giovanniego S. i Salvatore F. W chwili popełnienia przestępstwa znajdowali się oni w sali wykładowej nr 6, z której prawdopodobnie oddano strzał. Na seminarium z filozofii prawa ci dwaj młodzi, uzdolnieni naukowcy pracują nad ciekawą teorią, mówiącą, że niemożliwe jest wyjaśnienie morderstwa, jeśli sprawca nie ma motywu, a narzędzie zbrodni nigdy nie zostanie odnalezione. Czyżby zastrzelili młodą, zupełnie im nieznaną studentkę, aby dowieść swojej teorii morderstwa doskonałego? Proces obu docentów ciągnie się przez sześć lat. Przechodzi przez trzy instancje, zaprzatając uwagę i poruszając umysły w całych Włoszech.

Chociaż wymiar sprawiedliwości czynił, co mógł, wykorzystując do wyświecenia tej sprawy najkosztowniejsze procedury w historii włoskiego prawa, nie może dowieść Giovanniemu S. i Salvatore F. zamordowania Marty R. Nigdy nie znaleziono narzędzia zbrodni, a sprawcy nie mają motywu. W dniu 15 grudnia 2003 roku najwyższy sąd kasacyjny Włoch wydaje wyrok. Obaj oskarżeni zostają uznani za winnych nieumyślnego zabójstwa i skazani na krótkie wyroki więzienia.

Niesmak, jaki budzi taka niedoskonałość ludzkich zdolności poznawania i wyrokowania, jest wielki. To, co uchodzi za prawdę, aż nazbyt często okazuje się prawdą fałszywą. A w trakcie trudnego dociekania prawdy, co rusz zdarzają się wymiarowi sprawiedliwości poważne błędy. Objasnią to trzy dalsze przykłady - jeden bardzo skomplikowany z Danii i dwie nieco świeższe sprawy z Niemiec.

Człowiek, który zabijał oczami

(Dania, 1947-1957)

Pierwsze spotkanie okaże się dla nich fatalnym zrzędzeniem losu i zniszczy życie ich obu. Dochodzi do niego wiosną 1947 roku w duńskim więzieniu państwowym Horsens. Tutaj dwudziestopięcioletni wytwórca narzędzi Palle Hardrup oraz osiem lat starszy notoryczny kryminalista Björn Nielsen zostają przydzieleni do jednego warsztatu. Obaj zostali skazani na wieloletnie więzienie za kolaborację z hitlerowcami podczas okupacji niemieckiej w okresie drugiej wojny światowej. Pochodzący z dobrej rodziny, blady, delikatny i bardzo inteligentny Hardrup jest ze swoim współczynnikiem inteligencji profesora uniwersytetu naiwnym idealistą i nacjonalistycznym antykomunistą. Wskutek jego współpracy z Niemcami żaden duński współobywatel nie doznał bezpośredniej szkody. Nielsen natomiast jest synem brutalnego pijaka. Wydał on nazistom rodaka działającego w ruchu oporu i wymuszał pieniądze od przedsiębiorców. To przebiegły, karany wcześniej łajdak. Już

pierwszego

dnia odczuwa silną sympatię do mądrego i mającego szerokie zainteresowania Palle Hardrupa. Rozmawiają o wielu rzeczach: wędrowce dusz, religiach hinduskich, jodze, okultyzmie i spirytyzmie. A ponieważ Nielsen jest członkiem „stowarzyszenia badań psychicznych”, mówią też o hipnozie. Nielsen traktuje młodszego towarzysza w sposób bezczelnie dominujący. Mimo to Hardrup jest nim zafascynowany.

Kiedy po krótkim czasie na własne życzenie zostają umieszczeni we wspólnej celi, zaczynają eksperymentować z technikami hipnozy. Nielsenowi udaje się zasugerować Hardrupowi, że nie może on rozpleść założonych rąk. Eksperyment rzeczywiście się udaje, a Nielsen pozwala nowemu przyjacielowi zastosować tę technikę z powodzeniem także na sobie. Teraz już Hardrup jest pełen zapału dla tajemnic technik sugestii. Starają się o odpowiednie książki z biblioteki więziennej, które wspólnie studiują. Nielsen ma niezawodny instynkt co do słabości swego egzaltowanego towarzysza z celi. Odkrywa, że Hardrup jest lunatykiem, chodzi we śnie i należy do ludzi łatwo ulegających wpływowi.

Zaczynają od wspólnego treningu jogi, tak w każdym razie sądzi Hardrup. W rzeczywistości chodzi tu o ukrytą hipnozę. Hardrup mógłby w ciągu kilku tygodni osiągnąć jogiczną doskonałość, gdyby skwapliwie zastosował się do jego wskazówek, wmawia mu Nielsen. Udaje mu się w krótkim czasie wprowadzić towarzysza w stan transu i skłonić go do zaakceptowania jego woli jako własnej. Nigdy w pełni nie wyjaśniono, skąd Nielsen, nie mający wyższego wykształcenia, ani nawet zawodowego, posiada takie zdolności. Prawdopodobnie udoskonalał wrodzony talent psychologiczny poprzez intensywne samokształcenie.

Niedługo potem Nielsen odważa się na kolejny krok - wpojenie „instancji kontrolnej”. Prosi Hardrupa, by go zahipnotyzował, i udaje, że się to powiodło. W rzekomym transie przemawia do Hardrupa jak medium spirytystyczne, któremu pewna bezcielesna istota użycza swego głosu. „Jestem twoim duchem opiekuńczym X” - sugeruje Hardrupowi. Musi wypełnić pewną misję, która jest jego przeznaczeniem. „X” staje się sygnałem, który z miejsca wprawia Hardrupa w stan somnambuliczny, kiedy Nielsen go

wypowie. Hardrup czuje uniesienie. Rzeczywiście wierzy, że wszedł w bezpośredni kontakt z potężną nadnaturalną istotą. Osobowość Hardrupa została już rozszczepiona, jego świadomość jest całkowicie kontrolowana przez Nielsena. Wpaja on swemu towarzyszowi, by z nikim o tym nie rozmawiał, inaczej duch opiekuńczy natychmiast się wycofa. Hardrup popada niebawem w całkowitą izolację społeczną. Teraz zaczyna się faza kryminalna. Najpierw duch opiekuńczy „X” nakazuje Hardrupowi, by podarował Nielsenowi swój zegarek i akordeon. Potem Hardrup zostaje wytresowany podczas seansów hipnotycznych, by kradł pieniądze i przekazywał je duchowi opiekuńczemu. W wyobraźni włamuje się on do domów i rozpruwa sejfy.

Nielsen „pieczętuje” swoją ofiarę. Rozkazuje, by nie dała się zahipnotyzować nikomu innemu. Czy jest to nieomyślny znak, że hipnotyzer realizuje swoje przestępcze cele? Hardrup otrzymuje w hipnotycznym transie rozkaz ucieczki z więzienia, aby w podziemiu organizować „walczące jednostki” dla nowego społeczeństwa zjednoczonej Skandynawii. Nielsen sugeruje mu, że jego misja polega na tym, by zjednoczyć Północ. Hardrupowi rzeczywiście udaje się zbiec, ale dociera tylko do Hamburga i zostaje ponownie ujęty.

W maju 1949 roku Nielsen zostaje zupełnie niespodziewanie ułaskawiony i zwolniony warunkowo. Niedługo potem więzienie opuszcza Palle Hardrup. Z miejsca kontaktuje się z kompanem i odwiedza go w Kopenhadze. W lutym 1950 roku Nielsen zapewnia młodego człowieka, że ma dla niego odpowiednią kobietę, hożą dziewczynę o imieniu Bente. Oboje przypadają sobie do gustu i dochodzi do zaręczyn. Nielsen rozkazuje Hardrupowi, by pożyczył od Bente sporą sumę pieniędzy i przekazał je swemu duchowi opiekuńczemu. Chce się przekonać, jakie są właściwe granice jego władzy nad towarzyszem, więc nakłania go, by rozkazał narzeczonej oddać się Nielsenowi. Jeśli nie prześpi się z Nielsenem, oświadcza Hardrup dziewczynie, to z nimi koniec. Bente początkowo wzbrania się, potem jednak się zgadza i idzie z Nielsenem do łóżka. Dwa miesiące później Hardrup poślubia ją pod presją hipnotyczną, bo

wcale jej nie kocha. Kiedy Hardrup znajduje pracę, Nielsen domaga się regularnie większej części jego zarobków.

Wreszcie uznaje, że nadszedł już czas na najważniejszą rzecz: podczas intensywnej fazy treningu Hardrup ćwiczy w wyobraźni ze wszystkimi szczegółami napad na bank. Dokonuje tego na polecenie ducha opiekuńczego i w imię Boga - wbija mu do głowy Nielsen. A jeśli kasjer będzie się wzbraniał wręczyć mu żądane pieniądze, to ma go zastrzelić. Hardrup, posłuszny przymusowi hipnotycznemu, napada 23 sierpnia 1950 roku na bank w Hvidovre. Pracownicy nie stawiają oporu; udaje mu się uciec ze zrabowaną sumą 21 500 koron.

Pod koniec marca 1951 roku Hardrup wraz z byłym esesmanem zakłada NKPD, Narodowo-Komunistyczną Partię Danii. Oblicza w obecności Nielsena, że na jej działalność potrzeba będzie około trzydziestu pięciu tysięcy koron. Obiecuje dostarczyć tę sumę w najbliższych dniach.

W dniu 29 marca 1951 roku Palle Hardrup podjeżdża na starym rowerze swego przyjaciela Nielsena pod kopenhaską filię Landmannsbank w Nórrebrogade. Ma na sobie kombinezon i czapkę narciarską oraz, mimo deszczowej pogody, okulary przeciwsłoneczne. Ze skórzanej teczki wyjmuje rewolwer i podchodzi prosto do głównego kasjera Moliera. Oddaje jeden strzał w sufit, podaje mu teczkę i każe ją napełnić pieniędzmi. Kiedy Molier próbuje ukryć się za biurkiem, otrzymuje śmiertelny strzał w pierś. Teraz Hardrup powtarza żądanie siedzącemu za swoim biurkiem naczelnikowi banku Wisbomowi. Ale i on usiłuje się schować. Hardrup zabija i jego.

Jednemu z urzędników udaje się wcisnąć nogą przycisk alarmu. Kiedy rozlega się syrena, Hardrup - jak zeznało później kilku świadków - stoi przez kilka sekund bez ruchu, z osłupiałym spojrzeniem i pistoletem w wyciągniętej ręce. Potem bierze się w garść, wsadza broń do tylnej kieszeni i ucieka na zewnątrz. Jakiś przechodzień próbuje go zatrzymać w chwili, gdy zamierza wsiąść na rower. Zsuwają mu się przy tym okulary słoneczne. Świadek ten zezna później, że Hardrup miał wtedy osobliwie nieobecne spojrzenie.

Hardrup ucieka na rowerze i chroni się w jakimś domu, nie zauważywszy, że na rowerze ściga go praktykant blacharski Helmer Hansen. Kiedy ten wchodzi do ciemnej sieni budynku, czuje nagle na piersi lufę pistoletu. Spodziewa się, że lada chwila padnie strzał. Wtedy Hardrup opuszcza broń, jakby chciał ją podać ścigającemu, i kilka razy mruczy cicho: „Mój duch opiekuńczy mnie opuścił! Mój duch opiekuńczy mnie opuścił!”.

Hansen rzuca się do ucieczki i wpada na zewnątrz prosto w ramiona patrolującego policjanta. „Jakiś obłąkany! - krzyczy do niego. - Tam, w domu! Morderca z pistoletem!”. Policjant wzywa natychmiast posiłki. Kilka minut później Hardrup zostaje zatrzymany.

Aresztowano też Nielsena, kiedy wyszło na jaw, że rower i pistolet należą do niego. Podczas przesłuchań przyznaje on, że ponosi pełną odpowiedzialność moralną za to, co zrobił Hardrup. Zaprzecza jednak zdecydowanie, jakoby dzięki hipnozie skłonił go do dokonania napadu na bank i zabicia przy tym dwóch ludzi.

„Z tym nie mam nic wspólnego!” - zapewnia.

Policja nie daje mu jednak wiary, wychodząc z założenia, że jego przyznanie się do winy moralnej ma tylko zatuszować odpowiedzialność karną. Hardrup oświadcza podczas przesłuchania, że zupełnie sam zaplanował przestępstwo, aby zdobyć pieniądze dla nowej partii.

Policja prosi o pomoc psychiatrę dr. Paula Reitera. Początkowo nie udaje mu się zahipnotyzować Hardrupa. Nie może przełamać „pieczęci” Nielsena. Jednak po dalszych cierpliwych próbach, udoskonaleniu techniki i użyciu narkotyku jako środka wspomagającego udaje mu się usunąć barierę i ujawnić ze wszystkimi szczegółami hipnotyczną tresurę, jakiej poddano Hardrupa. Ten przyznaje, że pozostaje pod wpływem ducha opiekuńczego.

Dr Reiter napisał o tym książkę, a wyrażone w niej opinie mają zasadnicze znaczenie dla kwestii, czy można popełnić morderstwo pod wpływem hipnozy. Potwierdza on to, wyjaśniając, że Hardrup miał jednocześnie i równoległe dwa zupełnie rozłączne obszary woli, dwie pamięci i dwa poziomy świadomości. Nielsen, rozmyślnie rozszczepił jego osobowość, aby ten popełniał dla niego czyny przestępcze. Należy też w tym miejscu

zauważyć, że stan rzeczy nakreślony na poprzednich stronach odpowiada zasadniczo przedstawieniu dr. Reitera. Björn Nielsen podaje zupełnie inną wersję.

Orzeczenie dr. Reitera liczące 366 stron gotowe jest dopiero w czerwcu 1953 roku.

Wynika z niego, że Palle Hardrup w chwili popełnienia czynów przestępczych znajdował się w „anormalnym stanie psychozopodobnym” i „działał bez własnej woli”. Nie może on ponosić kary, wymaga natomiast dalszej opieki psychoterapeutycznej.

W myśl takiego orzeczenia Hardrup nie musiał spodziewać się kary ani też pobytu w zakładzie dla obłąkanych. Zgodnie z prawem duńskim w przypadkach, gdy w grę wchodzi choroba umysłowa, przed rozpoczęciem procesu musi być włączona „rada lekarzy sądowych”. Jej członkowie dochodzą do wniosku, że można uznać za dowiedzione, iż Hardrup w chwili popełnienia przestępstwa, a nawet wcześniej, podczas jego planowania, pozostawał pod wpływem Nielsena. Nie ma jednak pewności, czy przestępstwo popełnił on w stanie hipnozy. Hardrup, w momencie gdy zastrzelił pracownika banku, pozostawał w stanie pełnej świadomości i wszystko sobie potem szczegółowo przypominał. Nie sposób ustalić w sposób pewny, że podwójne zabójstwo zostało dokonane pod wpływem sugestii psychohipnotycznej. Nie można też wykluczyć, że wiele rzeczy zostało wpojonych Hardrupowi później w wyniku prób dr. Reitera. To, co Hardrup powiedział podczas tych posiedzeń i co zapisał dr Reiter, niekoniecznie musi się pokrywać z faktycznymi zdarzeniami. To korzystne orzeczenie dla Bjórna Nielsena, który już trzy lata siedzi w areszcie śledczym. Dr Poul Christiansen, jeden z najlepszych w Danii obrońców w sprawach karnych i doradca prawny rodziny królewskiej, podjął się obrony Nielsena w tym sensacyjnym procesie. Jest przekonany o jego niewinności i liczy na uniewinnienie, kiedy przed kopenhaskim sądem przysięgłych rozpoczyna się w końcu proces Hardrupa i Nielsena. Trwa on dwadzieścia jeden dni i nawet poza granicami kraju budzi najwyższe zainteresowanie mediów i opinii publicznej.

4Q

Palle Hardrup przyznaje się do wszystkich stawianych mu zarzutów, do napadu na bank, a także zabójstw. Zeznaje jednak, że nie tylko był zachęcany przez Nielsena do tych czynów, ale też popełnił je w swego rodzaju transie, pod wpływem współnika i bez własnej woli. Nielsen zdecydowanie temu zaprzecza. Nie hipnotyzował Hardrupa i nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jego czyny. Jego adwokat natomiast mówi, zwracając się do ławy przysięgłych, we wspaniałej mowie obrończej:

„Nie wolno wydawać wyroku na podstawie wypowiedzi człowieka, który ze strony lekarzy poddawany był wszelkim wyobraźalnym zabiegom, w tym sugestii, hipnozie, badaniu wariografem, serum prawdy i tak dalej. Lekarze powinni byli trzymać się swego rzeczywistego zadania, mianowicie leczyć”!

Apeluje on do przysięgłych, by uznali Nielsena za niewinnego. Także sędzia przewodniczący oświadcza w pouczeniu do przysięgłych: „Ponieważ nie dysponujemy żadnym bezpośrednim materiałem dowodowym, wątpliwe jest, czy wolno na tej podstawie uważać Nielsena za współodpowiedzialnego za te zabójstwa!”. Czytelna wskazówka. Przewodniczący wyraża ważne wątpliwości przeciw skazaniu Nielsena. A więc jednak in dubio pro reo!

Nie, przysięgli nie idą za tą sugestią. Po dwugodzinnej naradzie uznają Nielsena, być może zasugerowani rejestrem jego poprzednich wyroków, za winnego. Odpowiadają oni pozytywnie, wymaganą większością co najmniej siedmiu głosów, na postawione im pytanie, czy Nielsen zaplanował napady na banki i skłonił Hardrupa różnymi metodami, między innymi hipnozą, do popełnienia tych przestępstw. Podobnymi środkami Nielsen osiągnął też, że Hardrup miał zamiar zabijać. Samego Hardrupa ława przysięgłych uwalnia od kary, gdyż wskutek choroby psychicznej nie może ponosić odpowiedzialności karnej. Ostatecznie sędzia przewodniczący ogłasza wyrok: „Oskarżony Palle Hardrup zostanie umieszczony w zakładzie psychiatrycznym. Oskarżony Björn Nielsen zostaje skazany na dożywotnie ciężkie więzienie”.

Nazajutrz nagłówek wielkiego kopenhaskiego dziennika „Politiken” głosi: „Wyrok przysięgłych: Zwycięstwo lekarzy sądowych!”. Kilka dni po wy-

roku dr Christiansen odwiedza w celi swego przygnębionego klienta. Proponuje mu, by poprzez prośbę o ułaskawienie zmniejszyć karę z dożywocia na czternaście-szesnaście lat. „Jestem niewinny! - oburza się Nielsen i nie godzi się wnosić o amnestię. - Muszę zostać uniewinniony!”.

Dlatego też 30 lipca 1954 roku jego obrońca składa w sądzie najwyższym odwołanie od wyroku na swego klienta. Podobnie postępuje Palle Hardrup. Nie chce reszty życia spędzić w zamkniętym zakładzie dla psychicznie chorych. Po piętnastu miesiącach „rada lekarzy sądowych”, w której skład wchodzi też przychylny Hardrupowi lekarz policyjny dr Reiter, wydaje nowe orzeczenie dotyczące Hardrupa. Wypada ono zdecydowanie korzystniej. Wcześniejsza choroba umysłowa została zasadniczo wyleczona, umieszczenie w zakładzie zamkniętym nie jest już konieczne. W listopadzie 1955 roku duński sąd najwyższy potwierdza w pełnym zakresie wyrok pierwszej instancji. Nielsen pozostanie dożywotnio w więzieniu, a Hardrup na czas nieokreślony w zakładzie zamkniętym. Nielsen zostaje przeniesiony do więzienia Roskilde. W przeszmuglowanych z celi wspomnieniach, opublikowanych później w formie książki, która stała się bestsellerem, pisze on:

„Gdy usłyszałem, jak zatraskują się za mną drzwi, poczułem, jakby słońce zaszło na zawsze. Rozejrzałem się po szarej celi i moją duszę ogarnęło przytłaczające uczucie lodowatego strachu. A więc ta cela była sarkofagiem, w którym miałem pozostać”. Drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia dr Christiansen przekazuje swemu klientowi list od Palle Hardrupa, w którym przyznaje on: „Björn Nielsen nigdy nie stosował w tej sprawie hipnozy, w równie niewielkim stopniu przyczynił się do zaplanowania obu napadów rabunkowych ani w nich nie współuczestniczył. Wszystko to idzie na mój rachunek”. Jednocześnie jednak obwinia on Nielsena o przywłaszczenie sobie 21 500 koron z pierwszego napadu na bank.

Jest to nowy materiał dowodowy stanowiący podstawę dla wniosku o ponowne wszczęcie procesu! Cztery tygodnie później dr Christiansen składa taki wniosek w sądzie apelacyjnym. Jednak na jego rozstrzygnięcie

trzeba czekać półtora roku. Radcą najwyższego sądu krajowego jest prezydent, a jego ławnikami dwóch sędziów, jeden adwokat oraz jeden profesor uniwersytecki.

Hardrup i Nielsen zostają ponownie przesłuchani. Hardrup powtarza, że tylko on jest winowajcą, Nielsen nie nakłaniał go do tego poprzez hipnozę. Nie miał on nic wspólnego z podwójnym zabójstwem.

Prokuratura krajowa nie jest już najwyraźniej zadowolona z przebiegu sprawy. Szuka jakiejś możliwości „eleganckiego” jej zamknięcia. Gdyby Nielsen przyznał się do przywłaszczenia 21 500 koron, można by go skazać w nowym procesie na dokładnie tyle lat, ile już odsiedział, i cała ta dziwaczna historia zostałaby zakończona. Niemal błagalnie prokurator Beck zwraca się do Nielsena: „Czyż nie jest ostatecznie prawdą, że choć istotnie nie oddziaływał pan za pomocą hipnozy na swego przyjaciela Hardrupa, że także w żaden sposób go pan nie wspierał, ale jednak stał się pan winny sprzeniewierzenia? Czy taka jest prawda?”.

Nielsen jednak się nie przyznaje. Niczego nie sprzeniewierzył, zapewnia, ponieważ Palle Hardrup jest jego przyjacielem. Dlatego obrona przedstawia nową ekspertyzę pewnego szwedzkiego psychiatry o międzynarodowej sławie. Mówi ona, że Hardrup jest złym medium dla hipnotyzera, a Nielsen nie jest człowiekiem, który byłby gotów przez długi czas oddawać się takim bezowocnym próbom. Ćwiczenia hipnotyczne, którymi swego czasu zajmowali się obaj w więzieniu w Horsens, nie miały najmniejszego znaczenia dla zaplanowanego i przeprowadzonego przestępstwa. Inny biegły sądowy twierdzi, że Hardrup cierpiał na psychozę więzienną i symulował podczas prób z dr. Reiterem. W żadnym razie nie dowiedziono, jakoby Nielsen wywierał na niego kiedykolwiek wpływ hipnotyczny.

Obrona jest przekonana, że ta ostra amunicja wystarczy do wszczęcia nowego procesu przed sądem przysięgłych, z nowymi biegłymi. Według nich za czyny Hardrupa odpowiadają inne czynniki niż hipnoza. Jego złożone i ezoteryczne motywacje musiały już istnieć przed poznaniem Nielsena. Także wiara w ducha opiekuńczego najwyraźniej poprzedzała pojawienie się jego towarzysza.

Jednak Nielsen i dr Christiansen gorzko się rozczarowali. Sąd apelacyjny uznaje wyznanie Hardrupa za niewiarygodne i w lipcu 1957 roku potwierdza w pełnym zakresie wyrok sądu przysięgłych. Prośba o ponowne wszczęcie procesu zostaje odrzucona. Nielsen pozostaje dożywotnio w więzieniu.

Nic tu nie zmienia także późniejsza petycja Komisji Praw Człowieka w Strasburgu z 1959 roku. Nie dotyczy ona bowiem winy oskarżonego, a tylko tego, czy duński wymiar sprawiedliwości nie naruszył praw człowieka.

W dniu 24 grudnia 1966 roku Palle Hardrup zostaje wypuszczony z zakładu dla psychicznie chorych. Także Bjorn Nielsen, po odsiedzeniu szesnastu lat, wychodzi „warunkowo” na wolność - jedyny morderca w historii prawa, którego oczy miały zabijać.

Do dziś nie milkną dyskusje nad tym precedensowym we współczesnej jurysdykcji kazusem. Wiele osób nadal postrzega skazanie Nielsena jako błędne. Przemawia za tym nie tylko pierwotne stanowisko „rady biegłych sądowych”, ale też jednoznaczne ekspertyzy obrony, a przede wszystkim wątpliwości, które wyraził sam przewodniczący sądu orzekającego przy pouczeniu przysięgłych przeciw skazaniu. Poza orzeczeniem lekarza policyjnego dr. Reitera nie było najmniejszego dowodu na współudział Nielsena ani na to, że swoją rzekomą ofiarę traktował jak „bezwolne narzędzie”. Także ta historia pokazuje dobitnie, jak wymiar sprawiedliwości trzyma się raz wydanego orzeczenia.

Pokazuje też jednak, że fenomen bezwolnego ludzkiego narzędzia, wyobcowanego dzięki hipnozie i wykorzystywanego do wszelkich haniebnych działań, nie ogranicza się do sfery komiksu, filmu i powieści, ale może stać się bolesną rzeczywistością. „Zawsze jest lepsze wyjście niż zabójstwo!”. Sprawa Ursuli E.

(Niemcy, 22 marca 1982-9 lipca 1986)

Ta sentencja sędzi przewodniczącej w pewnym procesie karnym mogłaby równie dobrze dotyczyć postępków Ursuli E. z 1982 roku. Zabiła ona swego

męża, nie ma co do tego wątpliwości. Mimo to postępowanie karne w tej sprawie, obejmujące w sumie cztery rozprawy główne, było pełne błędów. Przynajmniej dwa nieuprawomocnione wyroki były niesłuszne. Ustalił to pod koniec czteroletniego maratonu procesowego sąd federalny. Czy także jego orzeczenie można postrzegać jako błędny wyrok?

Ursula wychodzi za mąż już w wieku osiemnastu lat. Rodziny obojga partnerów są przeciwne temu związkowi. Ich zdaniem młoda para nie pasuje do siebie. Pierwsze doświadczenia seksualne Ursuli ze starszym o cztery lata mężem stają się dla niej wielkim rozczarowaniem. Mąż dużo pije, zwłaszcza gdy są sami w domu, a potem zmusza ją brutalnie do perwersyjnych praktyk seksualnych. Gwałci żonę, dręczy i bije. Ursula wydaje na świat syna i córkę, poddaje się wielu aborcjom, a potem całkowitemu usunięciu narządów rodnych. Odtąd nie jest już dla męża pełnowartościową kobietą. Sama brzydzi się nim. Ponieważ rodzina ma długi, w 1978 roku Ursula podejmuje na pół etatu pracę telefonistki i recepcjonistki w studiu fotograficznym agencji reklamowej.

Tutaj poznaje kolegę, który budzi jej pożądanie i daje jej wszystko, czego nie znajdowała przy mężu. Ursula zakochuje się. Mąż dowiaduje się o romansie. Kiedy ona oświadcza, że chce się z nim rozwieść, upokarza ją i tyranizuje jeszcze bardziej. Nie zgadza się na rozwód. Ich małżeństwo jest już w stanie rozpadu, a współżycie z mężem staje się dla Ursuli coraz większym piekłem. Szuka więc sposobów, jak mieć od niego spokój, i wpada na pomysł, by podawać mu Lexotanil. Ten nasenny środek uspokajający przepisano kiedyś jej samej.

W nocy z 22 na 23 marca 1982 roku dochodzi do tragedii. Mąż nakłania ją do bolesnych perwersyjnych praktyk seksualnych, gwałci ją szczególnie brutalnie i zmusza do stosunku analnego. Po tych torturach kobieta dosypuje mu do jedzenia, bez jego wiedzy, dużą dawkę Lexotanilu, która powoduje zgon.

„Nie chciałam go zabijać” - zaklina się w trakcie pierwszych przesłuchań, a także podczas procesu o morderstwo, który rozpoczyna się przeciw niej przed wielką izbą karną nr 1 sądu rejonowego w Detmold. Prasa

lokalna jest oburzona na oskarżoną i jej postępek, a opinia publiczna usposobiona nieprzychylnie. Z bladą, znękaną twarzą i głębokimi cieniami pod oczyma kobieta siedzi w ławie oskarżonych, ubrana w czarną sukienkę z białym kołnierzykiem i mankietami. Dziewięć miesięcy aresztu śledczego bardzo dało jej się we znaki. Sąd przysięgłych podkreśla, że Ursula E. zabiła swego męża „w sposób perfidny i okrutny”, blokując mu nasyconym eterem kłębkami waty lub w inny sposób drogi oddechowemu. Za morderstwo prawo przewiduje dożywotnie pozbawienie wolności. Kara ta jest wprawdzie bezkrwawa, ale nie mniej dotkliwa od wyroku śmierci. Nie zmienia tego nawet możliwość rewizji orzeczenia po piętnastu latach, co może doprowadzić do ułaskawienia i zawieszenia reszty wymiaru kary. A w razie stwierdzenia szczególnego „ciężaru winy” zwolnienie jest wykluczone.

Takiej ciężkiej winy sędziowie z Detmold nie mogą orzec w sprawie Ursuli E. Przeciwnie, dostrzegając okoliczności łagodzące i 14 lutego 1983 roku skazują ją za zabójstwo tylko na dwanaście lat pozbawienia wolności.

„Oskarżona - czytamy w uzasadnieniu wyroku - przedstawiła w sposób niezbity, że przez lata poddawana była dotkliwym upokorzeniom, jak ciężkie zniewagi, maltretowanie i wymuszanie przemocą sadystycznych form współżycia płciowego oraz groźby, gdy domagała się rozwodu”.

Sąd dostrzega tu nieustannie zaogniany dręczący konflikt i szczególne niezwykle okoliczności, które winny wpłynąć na złagodzenie kary. Dlatego też „nałożenie kary dożywotniego pozbawienia wolności byłoby niewspółmierną konsekwencją tego czynu”.

Izba karna w Detmold opiera się przy tym na orzeczeniu wielkiego senatu sądu federalnego dla spraw karnych z 19 maja 1981 roku. Napisano tam, że nawet wtedy, gdy w przypadkach morderstwa nałożenie kary dożywocia wydaje się niewspółmierne, należy orzec taki wymiar kary, można jednak uwzględnić przewidziane prawem okoliczności łagodzące. W sprawie Ursuli E. oznacza to karę od trzech do piętnastu lat.

Prokuratura nie zgadza się z tym wyrokiem i wnosi rewizję. W dniu 22 września 1983 roku czwarty senat do spraw karnych sądu federalnego

uchyla wyrok i kieruje sprawę ponownie do innej izby karnej sądu rejonowego w Detmold. Wyrok wykazuje Wędy prawne, informują na ledwie dwu i pół stronach sędziowie federalni. Orzeczenie wielkiego senatu nie zmienia niczego w tym, że „z zasady za perfidnie dokonane zabójstwo należy orzekać karę dożywotniego pozbawienia wolności”. Nie uwzględniono przypadków granicznych. Oskarżona nie czyniła intensywnych wysiłków, by znaleźć inne rozwiązanie, choć miała dość czasu do namysłu. Mimo gróźb męża miała możliwość rozstać się z nim w inny sposób. Sąd rejonowy musi to uwzględnić, sprawdzając, czy istnieją szczególne okoliczności w sensie postanowienia wielkiego senatu. Gdyby tak się stało, mogłoby to doprowadzić do orzeczenia kary dożywotniego pozbawienia wolności.

Drugi proces Ursuli E. w Detmold kończy się w styczniu 1984 roku już po pierwszym posiedzeniu sądu. Kobieta składa zeznania osobiście i rzeczowo, ale potem rozprawa główna zostaje przerwana, ponieważ osoby zaangażowane w procesie nie mają wolnych terminów. Przy postępowaniu o morderstwo to po prostu skandal. Wiedzano przecież, że konieczne będzie kilka posiedzeń sądu!

Trzecia rozprawa główna rozpoczyna się 12 marca 1984 roku. Biegły psycholog Siegfried Binder potrzebuje tylko trzydziestu minut na przedstawienie swojej ekspertyzy, opisującej techniki podporządkowywania i dostosowania się, z którymi próbowała żyć Ursula E. Przedstawia dynamikę konfliktu partnerskiego między małżonkami, który prowadził do narastania brutalności męża i coraz silniejszego odrzucenia ze strony żony. Jeśli istnieje taka możliwość prawna, należy to wziąć pod uwagę, oświadcza biegły. Jest to trudna do przeoczenia aluzja wobec wyraźnych wskazówek senatu karnego sądu federalnego, który skłaniał się do orzeczenia dożywocia. Znana psycholog Elisabeth Muller-Luckmann przyłącza się do tych wywodów. Wystarcza jej kwadrans, by wykazać, że oskarżona nigdy się nie nauczyła dawać sobie rady z samą sobą. Nie miała dotąd z nikim relacji opartych na zaufaniu. Przy orzekaniu wyroku izba karna daje chyba dowód odwagi, bardziej się wczuwając w rozwój wypadków, który doprowadził do przestępstwa,

niż sędziowie apelacyjni z dalekiego Karlsruhe, którzy nigdy nie widzieli ani oskarżonej, ani świadków. Sąd rejonowy w Detmold mimo pouczeń z Karlsruhe orzeka jeszcze niższy wymiar kary niż oskarżona otrzymała wcześniej. Dwunastego marca 1984 roku Ursula E. dostaje dziewięć lat pozbawienia wolności.

Prokuratura ponownie wnosi rewizję. Dwudziestego piątego października 1984 roku czwarty senat do spraw karnych sądu federalnego uchyla i ten wyrok. Jego krytyka jest druzgocąca. Na sześciu i pół stronach sędziowie wytykają, że sąd w Detmold nie uwzględnił ocen prawnych senatu przy okazji pierwszego uchylecia wyroku.

Sędziowie znowu nie zbadali, „czy oskarżona miała inne poza dokonany czynem możliwości znalezienia drogi wyjścia z jej sytuacji”. Szkody psychiczne, o jakich wspominali biegli, nie spełniały przesłanek do przyjęcia okoliczności łagodzących. Orzekanie w konkretnych sprawach jest senatowi wzbronione, nie ma on prawa wydawać rozstrzygnięć. Ale uzasadnienie uchylecia wyroku nie pozostawia żadnych wątpliwości, że w tym wypadku senat uważa za odpowiednią jedynie karę dożywotniego pozbawienia wolności. Tym razem nie odsyła on sprawy do sądu w Detmold, do którego najwyraźniej stracił zaufanie, ale do izby karnej sądu rejonowego w Hagen.

Latem 1986 roku w Hagen Ursula E. po raz czwarty staje przed sądem za to samo przestępstwo. Już trzynastą razę zeznawała do protokołu wobec sędziów i biegłych, dlaczego i w jaki sposób doszło do śmierci jej męża. Pojawia się teraz z długimi blond włosami, w luźnej spódnicy, głęboko wyciętej bluzce i na wysokich obcasach. Innym razem ubrana jest w krótką obcisłą skórzaną spódniczkę i pończochy ze szwem i motylkami. Chce zrobić wrażenie na pięciu mężczyznach, którzy muszą wydać na nią wyrok. „Jestem teraz inną kobietą niż przed dziesięciu laty!” - mówi zuchwale do swego obrońcy Holgera Rostecka, który radzi jej ubierać się inaczej, aby sędziowie nie mieli o niej błędnego wrażenia. Sędzia przewodniczący Klaus-Peter Kremer daje też natychmiast oskarżonej do zrozumienia, że w wypadku takiej jak ona kobiety nie może sobie zgoła wyobrazić wszystkiego tego, co opowiada ona o przeżytych przez siebie „męczeństwie

małżeńskim". Ursula E. nie prosi już o zrozumienie dla popełnionego czynu, ale domaga się go.

Prokurator Manfred Rosner nie uważa za dowiedzione, by zachowanie zabitego doprowadziło do pełnego rozpadu małżeństwa. Co do pytania, dlaczego oskarżona nie zwierzyła się nikomu, oznajmia on, że wymagałoby to od niej przewyciężenia wstydu. Potwierdza „naiwność” sędziów z Detmold i wytyka im, że „przyjęli bezkrytycznie” niezyciowe i niewiarygodne wynurzenia oskarżonej. Dla niego jest tylko jedna sprawiedliwa kara - dożywocie.

Świadkowie, głównie krewni zabitego, przedstawiają go jako pracowitego, punktualnego i porządnego człowieka. Według nich żadną miarą nie mógł być sadystą. Obrona, podczas trzygodzinnej mowy obrończej, wytacza ciężką artylerię. Krytykuje fakt, że izba karna w Hagen w ocenie materiału dowodowego trzymała się „bezwarunkowo i pedantycznie” wytycznych czwartego senatu do spraw karnych i posłusznie im się podporządkowała. Sąd wydaje się być pod wrażeniem tych wywodów, w żadnym punkcie jednak nie stosuje się do nich.

Dziewiątego lipca 1986 roku sąd przysięgłych w Hagen skazuje trzydziestosiedmioletnią podówczas Ursulę E. na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Po początkowych dwunastu, a potem dziewięciu latach więzienia, teraz najwyższy wymiar kary bez żadnego złagodzenia. Oskarżona nie zabiegała o pomoc wobec opisywanej przez nią dokuczliwej opresji swego małżeństwa, głosi ustne uzasadnienie wyroku. Nawet gdyby mąż groził śmiercią jej i dzieciom w razie separacji czy rozwodu, było „pod dostatkiem możliwości pomocy”. Od duszpasterstwa telefonicznego po skorzystanie ze wsparcia i zasięgnięcie porady prawnej albo wizytę u terapeuty. Ponadto podczas kolejnych procesów wciąż zmieniała zeznania, dowodząc tym swojej „kłamliwości”.

Na takie rozstrzygnięcie chciałoby się zauważyć - trawestując starą rzymską zasadę prawną Roma locuta, res iudicata! - „Karlsruhe się wypowiedziało, sprawa rozstrzygnięta”. Sąd federalny jako wyższa instancja z pewnością musi stać na straży praworządności. Ale czyż oba sądy w Det-

mold rzeczywiście popełniły tak poważne błędy? Czy będąc bliżej miejsca przestępstwa i osób zainteresowanych, nie miały one przewagi nad wysokimi sędziami z Karlsruhe? Gdy w kilku przypadkach zabójstwa partnera zapadały zbyt surowe wyroki, sąd federalny uchylił je na korzyść oskarżonych i nakłaniał do złagodzenia kary. Istnieje wiele precedensów, w których zabójstwo intymnego partnera karano łagodnie. Na przykład znany bokser Gustav „Bubi” Scholz został za zabicie swojej żony - zastrzelił ją w stanie upojenia alkoholowego przez zamknięte drzwi łazienki - skazany tylko na trzy lata pozbawienia wolności. Żadne dwa zabójstwa nie są z pewnością porównywalne. Dlaczego jednak czwarty senat nie uwzględnił w sprawie Ursuli E. żadnych okoliczności łagodzących? Czy rzeczywiście ich nie było?

Potrójne morderstwo w stadninie Bosenhof
(Niemcy, 2001-2003)

W stadninie Bosenhof zamordowane zostają trzy młode kobiety. Dokonali tego dwaj profesjonalni zabójcy. Rupertus S. zlecił to zabójstwo, kierując się chciwością, ponieważ żona zamierzała wystąpić o rozwód, a on obawiał się o swoją egzystencję. Zapada prawomocny wyrok dożywotniego pozbawienia wolności.

Ale także przedsiębiorcy budowlanemu Arthurowi B. wytoczono w 2001 roku proces, początkowo tylko o niezawiadomienie o planowanym morderstwie na tle rabunkowym. Podczas postępowania jednak odpowiednia izba karna rozszerza zakres zarzutów o podżeganie do zabójstwa. Arthur B. zaprzecza wszelkiemu współudziałowi. Owszem, Rupertus B. namawiał go, aby w celu zrabowania milionowego majątku, który rzekomo posiadała jedna z trzech kobiet, zwerbował płatnych zbirów. On jednak nie dał się w to wciągnąć.

Choć nie dowiedziono mu, że było inaczej, Arthur B. został w listopadzie 2001 roku skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności; to oczywisty

5Q

przykład błędnego wyroku. A nie zostaje on utrzymany tylko dlatego, że sąd popełnia błąd procesowy. Nie dopuszcza mianowicie wniosku obrony o odroczenie procesu. Sąd federalny uchyla wyrok na podstawie wniesionej rewizji. Proces musi być przeprowadzony na nowo.

Teraz sąd rejonowy w Bad Kreuznach uwzględnia regułę dowodową, że oskarżonemu należy dowieść podżeganie do zabójstwa, a wątpliwości przemawiają na jego korzyść. Sędzia przewodniczący Volker Mey dochodzi do wniosku, że: „Nie jest to człowiek, który mógłby z zimną krwią współdziałać w zabójstwie trzech kobiet”. Siedemnastego listopada 2003 roku Arthur B. zostaje uwolniony od zarzutu podżegania do zabójstwa. Materiał dowodowy przeciw niemu jest tak słaby, że nawet prokurator w mowie końcowej wnioskuje o uniewinnienie. Arthur B. zostaje skazany tylko za niezawiadomienie o planowanym rozboju na półtora roku więzienia. Ponieważ ten trzydziestoosmioletni wówczas oskarżony spędził już dwadzieścia sześć miesięcy w areszcie śledczym, może opuścić salę sądową jako wolny człowiek.

ROZDZIAŁ DRUGI

Uniewinnienia

Kiedy człowiek zabija człowieka, nie możemy tego tolerować. Przekroczona zostaje bowiem pewna granica i musimy bronić porządku prawnego. Sprawcę tego czynu, tak sędzi wielu, musi spotkać w pełni surowa kara. Nie zawsze jednak tak się dzieje. Gdy istnieją na przykład okoliczności łagodzące, kara może się okazać wyraźnie niższa. Nierzadko też w sprawach zabójstw dochodzi wręcz do uniewinnienia, uzasadnionego, gdy wątpliwości zostają uwzględnione na korzyść oskarżonego, czasem jednak nieuprawnionego, kiedy podstawowa reguła *in dubio pro reo* zostaje zbyt naciągnięta i mimo licznych, przekonujących poszlak nie zapada wyrok skazujący. Naruszenie zasady *in dubio pro reo* może się zatem okazać katastrofalne na dwa sposoby. Nieuprawnione uniewinnienie ma zwykle przyczyny natury politycznej.

We francuskiej historii prawa szczególne miejsce zajmują tak zwane *crimes passionels*, „zbrodnie z namiętności”. Kiedy kobieta zabija męża, kochanka lub osobę trzecią z zazdrości, w gniewie, w poczuciu urażonej czci bądź w afekcie, tradycyjnie może we Francji liczyć na uniewinnienie. Słynny francuski obrońca w sprawach karnych mecenas Maurice Garçon twierdzi, że owe nieusprawiedliwione wyroki uniewinniające, w innych sytuacjach nie do pomyślenia, mają swe korzenie we francuskim teatrze i dziewiętnastowiecznej powieści. I tak na przykład Aleksander Dumas mówił o „prawie do zabijania”, kiedy spełnione są określone przesłanki. Nigdzie indziej w Europie zbrodnie w afekcie nie była tak szczególnie traktowana. Nie ocenia się jej w sposób szczególnie wyrozumiały. Historia dwudziestoosmioletniej Ruth Ellis z Anglii, matki dwojga dzieci, stanowi

tego jaskrawy przykład. Ruth Ellis pracuje w londyńskiej „dzielnicy czerwonych latarni”, okazjonalnie także jako prostytutka. Nadużywa też alkoholu. Podobnie było owego dnia, kiedy zastrzeliła Davida Blakely'ego mężczyznę, którego kochała i który ją jawnie zdradzał. W maju 1955 roku staje ona przed londyńskim sądem przysięgłych. Potrzebują oni ledwie pół godziny na wydanie wyroku. Potem sędzia wkłada zgodnie z tradycją czarny biret, co oznacza: kara śmierci. Żadnego uniewinnienia, nawet okoliczności łagodzących. A także żadnej zmiany kary w drodze łaski. Wymiar sprawiedliwości się spieszy. Trzynastego lipca 1955 roku, ledwie trzynastdzieci tygodni po zapadnięciu wyroku, Ruth Ellis zostaje powieszona. Jest ostatnią kobietą w Wielkiej Brytanii, którą to spotyka. Dziesięć lat później kara śmierci zostaje zniesiona. W 2003 roku dzięki staraniom siostry Ruth sprawa zostaje ponownie rozpatrzona przez Court of Appeal. Siostra chce doprowadzić do tego, by ze skazanej, „ofiary społeczeństwa”, zdjęto piętno morderczyni, a później - nawet jeśli potwierdzi się fakt zabójstwa - uwzględniono może nawet okoliczności łagodzące. Na późniejsze uniewinnienie, osiągalne może przed francuskim sądem na mocy tradycji „zbrodni w afekcie”, w Londynie na pewno nie ma co liczyć. Ale nowe postępowanie w pełni potwierdza, że wyrok londyńskiego sądu przysięgłych z 1955 roku był błędny. Zanim jednak przedstawimy bliżej typową historię crime passionel z Francji, należy opisać pewną sprawę z Niemiec, która kilka lat po wojnie niemiecko-francuskiej z lat 1870-1871 poruszyła umysły w „bismarckowskiej rzeszy” i wzbudziła ożywione dyskusje.

Morderstwo doskonałe? Sprawa dr. Johanna Sandnera
(Niemcy, kwiecień 1875-6 lipca 1876)

W Dolnej Bawarii, w miasteczku Osterhofen, położonym w dolinie Dunaju między Passau a Straubing, mieszka szanowna Katharina Moher, właścicielka browaru, majątku ziemskiego i kilku gospód. Jej mążonek wcześniej

zmarł, dlatego bezdzietna wdowa musi radzić sobie samotnie, co jej zresztą całkiem dobrze idzie, jej przedsiębiorstwa kwitną.

Zwraca to również uwagę młodego doktora Johanna Sandnera, który osiadł w Osterhofen i otworzył tam praktykę lekarską. Doktor, mężczyzna już w młodości korpulentny, średniego wzrostu, o blond włosach i wąsach, noszący okulary w złotej oprawie na krągłej, pełnej twarzy, zaczyna się interesować tą starszą o dwanaście lat panią. Zabiega o jej względy, prawi komplementy, wkrótce nawet prosi o rękę.

Wdowa czuje się pochlebiona i przystaje na nowe małżeństwo, wierzy bowiem, że młody człowiek ją kocha. Sandner jednak ma na oku tylko jej majątek. Ta bogata wdowa ma mu ułatwić awans społeczny.

Sandner ma dwadzieścia sześć lat, kiedy w 1854 roku poślubia Katharinę. Wkrótce zdobywa sobie w tym małym miasteczku opinię dobrego lekarza. Daje się też poznać jako sprawny browarnik i zarządca rolny. Jego sytuacja materialna poprawia się, a poważanie rośnie. Współobywatele wybierają go do rady gminnej i do zarządu rejonowego komitetu rolnego. Król Bawarii przyznaje mu kilka odznaczeń. Kiedy rodzą mu się dwie córki, wszyscy w Osterhofen są przekonani, że ta zdolna, pracowita para stanowi przykładne i szczęśliwe małżeństwo.

Pozory jednak mylą. Między małżeństwem nie ma miłości i harmonii. Także w sypialni nic już się nie dzieje. Różnica wieku jest po prostu za duża. Podczas gdy dr Sandner jest w kwiecie wieku, jego żona przekroczyła już pięćdziesiątkę. Dla zachowania reputacji stara się ona podtrzymać na zewnątrz obraz szczęśliwego stadła. Katharina wie od dawna, że mąż ją stale zdradza i sypia z ich pokojówkami i kelnerkami z gospody.

Sołą w oku jest dla niej zwłaszcza romans męża z dwudziestodzie-więcioletnią Anną Kurz. Anna, niewysoka i korpulentna, z wyglądu raczej niepozorna, pod względem seksualnym zdaje się jednak posiadać jakieś szczególne przymioty. Johannes Sandner często spędza z nią noce, czego wcale się przed żoną nie wypiera. Katharinie udaje się doprowadzić do tego, że Anna Kurz odchodzi z ich gospody i dostaje posadę w restauracji dworcowej, która nie należy do Sandnerów. Mimo to związek jej męża

z Anną trwa nadal. Sandner obiecuje nawet ukochanej, że ją poślubi, choć dopiero po śmierci żony.

Rozwodu Katharina nie bierze pod uwagę. W tak małym miasteczku odejście męża odbiłoby się katastrofalnie na interesach. Dusi więc w sobie ból i szuka pociechy w alkoholu. Coraz częściej sięga po butelkę i często już przed południem jest kompletnie pijana. Zaczyna też niedomagać, jest leczona przez lekarza domowego dr. Kufnera. Aby złagodzić jej ustawiczną obstrukcję, lekarz przepisuje jej środki przeczyszczające.

W kwietniu 1875 roku licząca pięćdziesiąt dziewięć lat Katharina Sandner zaczyna poważnie chorować. Początkowo jest to złe samopoczucie i zawroty głowy, potem traci nawet okresowo świadomość i musi spędzić kilka dni w łóżku. W czerwcu objawy pojawiają się na nowo. Katharina obficie się poci i nie może już poruszać obolałą lewą ręką. Dr Kufner sądzi, że to bóle reumatyczne, i ordynuje plaster gorczyczny i okłady. Stan chorej ulega jednak ciągłemu pogorszeniu. Kiedy 29 czerwca w jednej z jej gospód ma się odbyć wielka uroczystość, kobieta nie może uczestniczyć w przygotowaniach. Znowu bardzo się poci, czuje się słaba i zmęczona, ma błyski przed oczyma i skarży się na nieznośne bóle karku. O godzinie drugiej nad ranem jęczy głośno i ciężko oddycha. Mąż mierzy jej puls i zapewnia, że wszystko jest w porządku.

Rankiem 30 czerwca służąca Johanna Reitinger na polecenie dr. Sandnera przynosi z apteki lekarstwo, które dzień wcześniej zaordynował dr Kufner. Sandner daje żonie do wypicia tej nalewki, a następnie objeżdża powozem okoliczne wsie, odwiedzając pacjentów. Katharina leży w łóżku. Jej obie córki odnoszą wrażenie, że po przyjęciu leku stan chorej jeszcze się pogorszył. Jest trupio blada i złana potem. Daremnie usiłuje podnieść się i siąść na krześle. Nie może ustać, skarży się na kurczowe bóle w nogach i ma drgawki. Wezwanemu personelowi ledwie udaje się utrzymać dziko miotającą się kobietę.

Kiedy pojawia się dr Kufner, Katharina pyta go słabym głosem, co za truciznę jej przepisał, że musi umrzeć. Lekarz kręci zdumioną głową i próbuje wstrzyknąć jej morfinę jako środek przeciwbólowy. Ale Kathari-

na wytrąca mu w silnych kurczach i drgawkach strzykawkę z ręki. „Dość tego!” - krzyczy, wyciąga sztywno ręce przed siebie i odchyła głowę. Z po-siniałą twarzą rzuca się jeszcze raz i opada martwa na poduszkę.

Dwie godziny potem wraca dr Sandner. Staje wzburzony przed ciałem żony i zaczyna płakać i szlochać. Doktorowi Kufnerowi nie udaje się go uspokoić. Przez następne noce dr Sandner nie może spać. Cierpi na napady lękowe i prosi, by w nocy zawsze ktoś czuwał przy nim w sypialni. W nekrologu pisze, że przytłacza go niewymowny ból. Pogrzeb odbywa się 2 lipca 1875 roku przy tłumnym udziale miejscowej ludności.

Już nazajutrz dr Sandner pisze list do Anny Kurz. „Moja najukochańsza Anno, dopiero co, o siódmej rano, przekazał mi Stefan Twoje ukochane linijki. Czytam je z największą przyjemnością. Wiem przecież, że kochasz mnie z całej duszy. Wiem też aż za dobrze, że muszę odwzajemnić Ci się całą moją miłością. Wiem, że zaprzysiągłem Ci moje serce. Dotrzymam Ci słowa do ostatniego tchu. Odwiedzę cię, jak tylko będzie to możliwe. W każdej minucie bowiem myślę o Tobie. Zasyłam tysiące pocałunków i pozdrowień od kochającego Cię z głębi duszy Johanna”.

Ani słowa o śmierci żony, tylko gorące słówka dla ukochanej. W sierpniu zapewnia ją ponownie, że ją poślubi. Przemyślał całą sytuację i dotrzyma słowa. Jego matka powiedziała mu wczoraj: „Johann, dość już przecierpiałeś przez wszystkie te lata. Weź sobie za żonę jakąś dziewczynę, która ci się podoba, nawet zupełnie bez grosza”. List kończy słowami: „Tak, Anno, z największą rozkoszą przytulilibym Cię do serca jako moją żonę!”. Potem podaje w Osterhofen do publicznej wiadomości, że 28 października poślubi Annę Kurz. Ludzie są zszokowani. Krążą pogłoski, że Johann Sandner zdradzał swoją żonę nie tylko z Anną Kurz. Może żona wcale nie zmarła śmiercią naturalną, przebąkuje się, może została otruta.

Dwudziestego października sędzia śledczy Zimmermann z Deggendor-fu przybywa do Osterhofen i rozmawia z dr. Kufnerem na temat tych krążących pogłosek. Na pytanie, czy coś szczególnego w zachowaniu umierającej zwróciło jego uwagę, dr Kufner odpowiada: „Nie, nic. Poza

konwulsyjnymi drgawkami". Wieczorem jednak mówi dr. Sandnerowi, że jego żona mogła zostać otruta strychniną.

Dlatego nazajutrz dr Sandner udaje się do sędziego śledczego i zeznaje do protokołu: „Wczoraj usłyszałem ku memu przerażeniu o pogłoskach, które mogą zbrukać moje dobre imię i zniweczyć moją egzystencję. Chciałbym teraz we wszelki możliwy sposób dowieść bezpodstawności tych insynuacji. Moja żona była ode mnie wiele starsza. Do końca żyliśmy w pełnej zgodzie. Tylko czasem zdarzały się przejściowe sceny zazdrości, bez żadnych podstaw i konsekwencji”.

Zapytany o swoje stosunki z Anną Kurz, nadal kłamie. Czy zamierza ją teraz poślubić? „Nie, nie - oświadczam, w żadnym razie!”. I dodaje, puszczać oko, że ta dziewczyna jest dobra tylko do łóżka. Nalega, by bezzwłocznie przeprowadzono sekcję zwłok jego żony.

Sędzia śledczy nakazuje dokonać przeszukania w domach dr. Sandnera i jego kochanki i rekwiruje wymieniane między nimi listy. Dr Kufner, jako lekarz prowadzący zmarłej, składa pisemny raport. Píše w nim, że początkowo nie powziął żadnych podejrzeń. Teraz jednak, gruntownie przemyślawszy obraz choroby, nie może już wykluczyć, z medyczno--naukowego punktu widzenia, że przyczyną śmierci pani Sandner była strychnina.

Anna Kurz, która tymczasem przeniosła się do Monachium, otrzymuje od dr. Sandnera propozycję otrzymania sześciuset guldenów jako odszkodowanie za zgodę na zerwanie zaręczyn. Odmawia jednak i obstaje przy małżeństwie. Spodziewa się z nim dziecka, informuje, co jednak później okazuje się nieprawdą. Dr Sandner nadaremnie próbuje skłonić swój bank w Straubing, by sprzedano jego papiery wartościowe o wartości trzech i pół tysiąca guldenów, bo potrzebuje pilnie pieniędzy na podróż. Bank nie zgadza się, dowiedziawszy się o wszczętym przeciw Sandnerowi śledztwie.

Trzeciego listopada dr Sandner otrzymuje wezwanie sądowe. Już następnego dnia ucieka do Szwajcarii wraz z Anną Kurz i siedmioma tysiącami guldenów w złocie, które udało mu się jednak wydębić. Tam kupuje

bilety do Chicago i podróżuje dalej do Londynu pod fałszywym nazwiskiem Preis, podając Annę za swoją żonę. Chcą stamtąd rozpocząć przeprawę do Stanów Zjednoczonych. Rozesłano już jednak za nimi listy gończe. Zostają zatrzymani w Southampton 9 listopada. Sąd postanawia, że pozostaną w londyńskim więzieniu, póki nie zostanie przedstawione orzeczenie z ekshumacji ciała pani Sandner. Dwudziestego dziewiątego listopada prof. dr Buchner składa swoją ekspertyzę. Zbadał on wnętrzości zwłok, ale nie stwierdził metodami chemicznymi obecności żadnej trucizny. Dlatego władze brytyjskie zwalniają zatrzymanych. Kiedy dr Sandner przeczytał w przesłanym mu przez córkę artykule z „Augsburger Abendzeitung” ze stycznia 1876 roku, że sąd rejonowy w Deggendorfie umorzył śledztwo przeciw niemu, wraca z Anną do Osterhofen.

Jednak sędzia śledczy Zimmermann wcale nie zakończył dochodzenia. Ustalił on, że dr Sandner, w trakcie trwania związku z Anną Kurz, utrzymywał też stosunki ze służącą Kathariną Dorfmeister, wysoką i chudą ciemnowłosą kobietą. Zeznaje ona, że Sandner obiecywał jej małżeństwo. Pocieszał ją i powtarzał, by nie traciła cierpliwości. Jego żona jest już stara i wkrótce umrze. W jednym z sześćdziesięciu sześciu skonfiskowanych listów miłosnych do Kathariny Dorfmeister znajduje się zdanie: „Stara jest tak niedorzecznie głupia. Gdyby umarła, żadna strata”.

Sędzia śledczy ustala też, że dr Sandner w marcu i kwietniu 1875 roku nabył u aptekarza w Osterhofen 1,61 grama roztworu wodnego strychniny, ilość dostateczną do otrucia kilku osób. Prokuratura stawia mu zarzut zabójstwa żony. Jego proces rozpoczyna się przed sądem przysięgłych w Straubing 4 lipca 1876 roku, po tym jak z braku dowodów umorzono postępowanie karne przeciw Annie Kurz w sprawie udziału w tymże zabójstwie.

Dr Sandner zapewnia o swojej niewinności i przypomina, że przecież orzeczenie prof. dr. Buchnera wykazało, że jego żona nie została otruta. Buchner potwierdza przed sądem, że uważa otrucie za mało prawdopodobne, bo także testy fizjologiczne na żabach niczego nie wykazały.

Jednak kolejny biegły, prof. dr Wislicenus z Wiirzburga, jest innego zdania. To zupełnie oczywiste, zeznaje, że po pięciu miesiącach nie można znaleźć strychniny w zwłokach. Brak śladów trucizny jeszcze nie dowodzi, że nie doszło do otrucia.

Poznanie naukowe tej trudnej dziedziny nie zostało jeszcze zakończone. Lekarz okręgowy dr Seibert wyraża się w sposób jeszcze bardziej jednoznaczny. Otrucie strychniną uważa za tak prawdopodobne, oświadcza w swojej ekspertyzie, że nikt, kto uwzględni przy tym motywy psychologiczne, nie może w to wątpić.

Sąd prosi o dodatkową opinię komisję profesorów uniwersytetu w Wurzburgu. W opinii tej czytamy, że zabójstwo przy użyciu strychniny jest prawdopodobne, gdyż stwierdzone objawy są bardzo charakterystyczne i nie sposób ich pomylić z innymi schorzeniami. Lęk, niepokój i silne kurcze z późniejszą sztywnością mięśniową przypominającą tężec, a odrzucona do tyłu głowa, posiniała twarz ze zniecieruchomiałymi, wytrzeszczonymi oczami są typowe. Wszystkie te objawy potwierdził dr Kufner w swoim raporcie. „Przytomność zostaje zachowana jeszcze przez długi czas, oświadczenia biegli. Ataki trwają 1-3 minuty i powtarzają się w coraz krótszych odstępach czasowych. Dotknięcie skóry chorego może wyzwolić nowe drgawki. Doszło do tego bez wątpienia, kiedy dr Kufner dotknął ramienia pani Sandner podczas próby dokonania iniekcji, wywołując tym atak, w którego szczytowej fazie nastąpił zgon”.

Te jasne orzeczenia stają się wodą na młyn dla prokuratury. W mowie końcowej podczas trzeciego dnia rozprawy, 6 lipca 1876 roku, oskarżyciel oświadcza, że otrucia człowieka można dowieść na kilka sposobów. Analiza chemiczna to tylko jeden z nich. To, że nie znaleziono żadnej trucizny, niczego przecież nie dowodzi.

Większość biegłych uznała otrucie strychniną za pewne lub przynajmniej prawdopodobne. Dlatego można mówić, że dr Sandner jest winien zabójstwa. Śmierć żony leżała też zdecydowanie w jego interesie. Niedługo po jej zamordowaniu zapewniał on w liście swoją kochankę o miłości i wierności.

Obrońca, dr Schmitt z Bambergu, twierdzi natomiast, że oskarżony nie miał przecież żadnego motywu, by zabijać żonę, albowiem znaczna część

ich majątku przypada jego córkom. A nic nie przeszkadzało mu kontynuować miłostek, nawet gdy jego żona pozostawała przy życiu. Działo się tak przecież przez długie lata. Zresztą ekspertyza prof. dr. Buchnera była jednoznaczna. Nie znaleziono strychniny. „Oskarżenie o morderstwo jest bezprzedmiotowe” - kończy on mowę obrońcą.

Przysięgli naradzają się tylko przez pół godziny. Potem przewodniczący ławy przysięgłych oznajmia, że dr Sandner jest niewinny. Sąd przysięgłych w Straubing uniewinnia oskarżonego. Wyrok budzi silne zdziwienie. Z uwagi na ekspertyzę profesora Buchnera sąd z pewnością kierował się tu zasadą „wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego”. Ale czy nadrzędne orzeczenie medyczne nie usunęło tych wątpliwości? I czy wszystkie poszlaki nie przemawiały za otruciem strychniną? Dzisiaj wiadomo dokładnie, że trucizna ta odkłada się w organizmie. Znaczy to, że przy podawaniu licznych małych dawek przez dłuższy czas zatrucie może nastąpić tak nagle, jakby podano jednorazowo większą ilość.

Najprawdopodobniej dr Sandner podawał żonie wielokrotnie niewielkie dawki trucizny już niedługo po jej zakupie w marcu, by tak rzec tytułem próby/wraz z gorzkim środkiem przeczyszczającym, który maskował gorzki smak strychniny. Objawy otrucia, stwierdzone na krótko przed śmiercią Kathariny Sandner, były tak charakterystyczne, że właściwie już według ówczesnego stanu wiedzy należało przyjąć zabójstwo przy użyciu strychniny. Badania moczu, które zwykle daje jednoznaczne wyniki, profesor Buchner nie przeprowadził, ponieważ pięć miesięcy po zgonie mocz nie jest już dostępny. Ale samo jego orzeczenie nie stanowiło pewnej podstawy do uniewinnienia.

Także kwestia motywacji oraz fakt, że dr Sandner zaopatrzył się w truciznę, nie zostały w dostatecznym stopniu uwzględnione. Śmierć niekochanej żony zapewniła mu korzyści materialne oraz możliwość nawiązywania bez przeszkód intymnych stosunków ze znacznie młodszymi kobietami. Dlatego uniewinnienie to, przynajmniej z obecnego punktu widzenia, należy uznać za błędny wyrok.

ÓQ

Germaine Huot, „la maitresse elle-meme”

(Francja, 7 marca 1933-28 marca 1934)

Ona jest „maitresse elle-meme” - czytamy w paryskim dzienniku „Le Figaro” - metresą we własnej osobie. Chodzi o Germaine Huot, piękną kobietę o bardzo burzliwej przeszłości, cudownych blond włosach i fascynujących oczach. Urodzona w 1888 roku w Paryżu jako nieślubne dziecko, od dwunastego roku życia mieszkała w klasztorze, a jako piętnastolatka dostała się pod opiekę metresy swego ojca. Nazywa się odtąd Germaine d’Angle-mont. Nazwisko to zaczerpnęła z pewnej powieści miłosnej. Jako osiemna-stolatka zakochuje się w bogatym Argentyńczyku, który urządza dla niej w Paryżu dwupiętrową szykowną siedzibę. Rozpoczyna się jej życie w roli metresy.

Odtąd pojawia się jeden kochanek po drugim. Są wśród nich przemysłowcy, politycy, dyplomaci, bankierzy krajowi i zagraniczni, a nawet panujący książęta, na przykład książę Franciszek Józef z Bawarii. Germaine oczarowuje mężczyzn i jest przez nich zasypywana prezentami w postaci znacznych sum pieniędzy, biżuterii, futer, koni i powozów. Aga Khan przesyła jej kosztowny pierścień z osiemnastokaratowym brylantem. Kobieta dysponuje niebawem wszystkim, czego może zapragnąć. Kupuje dom w Paryżu i wydaje tam luksusowe bankiety i ekskluzywne przyjęcia. Mimo skromnego pochodzenia można ją nazwać kurtyzaną wysokiej rangi. W raporcie policyjnym napisano o niej: „Dzięki swojej urodzie, urokowi i inteligencji potrafiła zaprezentować się ponętnie w kręgach polityki i wielkiego świata”.

W 1917 roku Germaine zostaje kochanką paryskiego deputowanego Picarda. Dzięki niemu poznaje w 1918 roku prawnika Jeana Causereta, który ma przed sobą karierę urzędnika państwowego. I z nim nawiązuje niebawem poufale stosunki. Zachwycają go jej promienna zmysłowość i wyszukane techniki erotyczne. Jednak w następnych latach sytuacja Germaine ulega zmianie. Nie może już żyć tak beztrosko jak niegdyś. Sprzedaje biżuterię i futra, a nawet dom. Służba zostaje odprawiona.

W swoim nowym mieszkaniu przy rue Parc-Monceau musi się zadowolić posługaczką.

Kiedy opinia publiczna dowiaduje się, że Causeret ma za kochankę znaną w mieście metrese, mężczyzna czuje się zmuszony zakończyć związek. Przez kilka lat nie spotykają się. Dopiero w 1932 roku znajomość zostaje odnowiona, po tym jak Germaine przeczytała w gazecie, że Causeret został prefektem departamentu Bouches-du-Rhône. Pisze do niego pełen czułości list gratulacyjny. Odtąd często do siebie telefonują. A kiedy obowiązki służbowe wzywają Causereta z Marsylii do Paryża, nocuje u Germaine Huot. Przyznaje jej rentę w wysokości tysiąca franków miesięcznie.

Spędza u niej noc także 6 marca 1933 roku. Germaine jest zazdrosna. Podejrzewa, że podczas pobytu w Paryżu Causeret odwiedza też inne kobiety. Dlatego korzysta z usług agencji detektywistycznej, by się dowiedzieć, jak jej kochanek spędza czas w Paryżu. Od poranka 7 marca śledzi go kobieta detektyw. Obserwuje go podczas zakupów w domu towarowym. Potem traci go z oczu, o czym natychmiast powiadamia Germaine. Causeret spędza przedpołudnie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, skąd krótko po godzinie trzynastej trzydzieści wraca do mieszkania kochanki. Germaine pyta go, jak spędził dzień. Omawiał w ministerstwie kilka spraw swego departamentu, odpowiada mężczyzna. O wizycie w domu towarowym nie wspomina. „Kłamiesz!” - krzyczy gwałtownie Germaine. Nagle w jej ręku pojawia się rewolwer. Rozlega się strzał, a niedługo potem Jean Causeret umiera.

Dla prokuratury sprawa jest jasna: zazdrosna i pobudliwa Germaine Huot świadomie i rozmyślnie zabiła prefekta, obawiając się, że ten chce się z nią znowu rozstać.

Obrońca natomiast utrzymuje, że strzał padł nieumyślnie. Oskarżona wycelowwała wprawdzie broń w prefekta, ale tylko dla żartu albo by go przestraszyć. Causeret usiłował szybkim ruchem ręki skierować rewolwer w innym kierunku. Wtedy padł nieumyślny strzał. Oskarżyciel kontruje, że to tylko spekulacje obrony. Germaine Huot doskonale umie posługiwać się rewolwerem, często ćwiczyła się w strzelaniu u sprzedawcy broni. Trudno

sobie wyobrazić, że tylko dla żartu odbezpieczyła rewolwer i wycelowała w kochanka. Kula przeszła tułów na wskroś, nie trafiając w ręce. A zatem w chwili, gdy Causeret został trafiony, albo uniósł ręce, albo wyciągnął je do przodu. Przemawia to przeciw tezie o nieszczęśliwym wypadku.

Kiedy 26 marca 1934 roku rozpoczyna się proces przed sądem przysięgłych w Paryżu, zainteresowanie opinii publicznej jest znaczne. Sala rozpraw jest przepelniona. Podczas przesłuchiwania oskarżonej przewodniczący sądu pyta ją, gdzie dokładnie znajdował się w jej sypialni rewolwer. Podczas przesłuchań wstępnych Germaine wspominała raz o stoliku nocnym, raz o komodzie, co prokuratura wykorzystuje, by zarzucić jej całkowitą niewiarygodność. „I na komodzie, i na stoliku nocnym” - odpowiada kobieta. „Jak to? - pyta zirytowany sędzia. - Więc ma pani dwa rewolwery?”. Germaine przytakuje. Zawsze miała w zasięgu ręki naładowaną broń. Wtedy sędzia chce wiedzieć, co zrobiła, gdy Causeret leżał przed nią w wielkiej kałuży krwi. Wyszła poprosić o pomoc swoją sąsiadkę, mleczarkę, odpowiada Germaine. Nie było jej jednak w domu.

Mecenas Torres, adwokat oskarżyciela posiłkowego, ojca zabitego, jest wstrząśnięty tym, że Germaine Huot zostawiła swoją ofiarę w kałuży krwi i nie sprowadziła natychmiast profesora medycyny mieszkającego w tymże domu. Torres wytyka jej też, że nie zawiadomiła natychmiast kliniki, która znajduje się tuż obok. Lekarze, których w końcu wezwała, zjawili się później, jeden o czternastej, drugi o czternastej piętnaście. Causeret był już wtedy martwy. „A potem wezwała pani policję?” - pyta przewodniczący sądu. „Nie, deputowanego Picarda, by go poprosić o radę”. Poradził jej, by bezzwłocznie sprowadziła policję. Tego jednak nie zrobiła, ale zatelefonowała najpierw do swego adwokata.

Niedługo potem zjawił się policjant. Chciał jednak tylko skontrolować jej książeczkę najmu lokalu, na co poprosiła go, by przyszedł następnego dnia. O zwłokach w sypialni w ogóle nie wspomniała. Sędzia kręci głową. Policja pojawiła się dopiero około szesnastej trzydzieści, mówi oskarżona, jakieś trzy godziny po wypadku. Picard poinformował ministra spraw wewnętrznych, a ten policję. Wtedy kobieta została bezzwłocznie zatrzymana. Sędzia

znowu kręci głową. Nie może pojąć, czemu sama nie zawiadomiła policji. Wysokie stanowisko ofiary, oświadcza Germaine, nie pozwalało włączać w to szeregowych funkcjonariuszy z ulicy czy posterunku okręgowego.

Potem przesłuchano kilku świadków. Starszy przyjaciel zabitego zeznaje, że zawsze ostrzegał Causereta przed niebezpieczną, jego zdaniem, Germaine Huot. Trzy tygodnie przed śmiercią Causeret zwierzył mu się, że Madame Huot nie jest już jego kochanką, a tylko dobrą znajomą. Potem mecenas Torres cytuje fragmenty kilku listów napisanych ostatnio przez Germaine do Causereta. Zawierają one obelgi, a nawet groźby szantażu. Oskarżona to straszna kobieta, twierdzi mecenas Torres, zwracając się do przysięgłych. Z zimną krwią zastrzeliła Causereta, kiedy stał przed nią z uniesionymi rękoma. „To nie jest gest człowieka, który chce wyrwać broń, ale takiego, który prosi o łaskę”. Po dokonaniu przestępstwa bez litości wyszła z domu, zamiast pomóc umierającemu. Nie była u jego boku, kiedy wydawał ostatnie tchnienie. Także prokurator generalny oświadcza, że zachowanie oskarżonej po zdarzeniu zupełnie nie przystaje do założenia, że chodziło o nieszczęśliwy wypadek. Domaga się surowej kary.

Obrońca odczytuje fragmenty kilku listów Germaine, mające świadczyć o jej czystej i głębokiej miłości do Causereta. Nie miała ona żadnych powodów, by z premedytacją zabijać tego człowieka. Mógł to być tylko wypadek. W swoim ostatnim słowie Germaine Huot mówi wreszcie to, na co od dawna oczekiwano. Prosi o przebaczenie ojca i rodzinę zabitego.

Nikt się nie spodziewał wyroku, jaki sąd przysięgłych wydał 28 marca 1935 roku. Germaine Huot zostaje uznana za winną ledwie rozmyślnego uszkodzenia ciała i skazana na dwa lata więzienia. Wyraźny błędny wyrok, żadną miarą nie przystający do wyniku przesłuchań. Co zdumiewające, stał się on prawomocny. Dzięki temu sąd wykręcił się od jasnego ustalenia stanu rzeczy. Skoro sędziowie i przysięgli uznali, że nie jest dowiedzione, że Germaine Huot miała zamiar zabić Causereta, to jakże mogła mieć zamiar tylko go zranić strzałem z rewolweru? Zupełnie nic za tym nie przemawiało. Należało albo skazać oskarżoną na podstawie łańcucha poszlak za umyślne czy nieumyślne zabójstwo, albo ją uniewinnić z braku dowodów.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jednotorowe, prowadzone niewłaściwie i niezgodnie z prawem śledztwa

W wielu krajach policja kryminalna pracuje pod taką presją, że działania dochodzeniowe są często powierzchowne, a wyjaśnienie sprawy przyspiesza się wątpliwymi metodami. Staje się to coraz bardziej widoczne zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Znacznej liczbie przestępstw z użyciem przemocy przeciwstawia się zdecydowaną politykę szybkiego wyjaśniania i surowego karania. Prowadzi to często do tego, że organa śledcze typują przedwcześnie jednego podejrzanego i „konstruuja” sprawę pod kątem jego osoby.

Niepasujących do tego schematu odciążających dowodów nie bierze się pod uwagę. Nie podąża się innymi tropami, mogącymi doprowadzić do właściwego sprawcy, a materiał dowodowy tak długo się przeinacza, aż zacznie jakoś pasować. Umyślnie nie przesłuchuje się ważnych świadków. Inni zostają nakłonieni, a czasem wręcz zmuszeni, by zeznali to, co funkcjonariusze chcą usłyszeć. A potem na procesie przedstawia się to przysięgłym jako ni mniej, ni więcej, tylko prawdę.

Zawsze znajdują się też niestety pozbawieni skrupułów stróże prawa, którzy nie cofną się przed wymuszaniem zeznań od obwinionych przy użyciu przemocy fizycznej. Jeszcze dziś w niektórych krajach Ameryki Południowej, na Bałkanach, w Turcji i na Bliskim oraz Dalekim Wschodzie nierzadkie jest stosowanie tortur podczas przesłuchań. Akta i raporty Amnesty International pełne są tego przykładów. Także w Chińskiej Republice Ludowej stosuje się tortury. W lutym 1987 roku w prowincji jiangsu czterech funkcjonariuszy policji zostało skazanych na długoletnie wyroki więzienia, ponieważ podejrzanego o napad na bank poddali torturom, w których wyniku zmarł.

Tak zwana „trójka z Hsichih”, trzech osiemnastolatków: Lui Bing-lang, Su Chen-ho i Chuang Lin-hsun, zostaje zatrzymana w sierpniu 1991 roku na Tajwanie za morderstwo na tle rabunkowym i gwałt. Brak jakichkolwiek dowodów. Po intensywnych torturach podczas przesłuchań wszyscy trzej przyznają się do winy. Zostają oskarżeni i w lutym 1992 roku skazani na śmierć. Sąd Najwyższy odrzuca ich odwołania. Dzięki działaniom Amnesty International i kilku dzielnych adwokatów w listopadzie 2000 roku dochodzi do wznowienia procesu. Trzynastego stycznia 2003 roku „trójka z Hsichih” zostaje uniewinniona przez Sąd Najwyższy w Tajpej, stolicy Tajwanu. Sąd ustala, że przyznanie się do winy wymuszono przy użyciu brutalnej przemocy fizycznej, a pozostałe dowody w żadnym razie nie wystarczają do wydania wyroku skazującego.

W Republice Federalnej Niemiec predyspozycje i poziom wykształcenia funkcjonariuszy dochodzeniowych budzą w ostatnim czasie ożywione dyskusje. Od kilku lat wszyscy policjanci (poza Berlinem) przechodzą wspólne przeszkolenie w jednakowym zakresie, przy czym dominują zadania liczniejszej policji porządkowej, a szczególne działania policji kryminalnej zostały mocno ograniczone. Na opracowanie problematyki zabójstw i medycyny sądowej przewidziane jest w szkoleniu policjantów tylko kilka godzin.

Droga do policji kryminalnej prowadzi dziś już tylko przez wieloletnią zuniformizowaną działalność w służbie patrolowej. Odstępuje to uzdolnionych młodych ludzi, którzy chcieliby pracować w dochodzeniówce. Policjanci mający doświadczenie wyłącznie w służbie porządkowej muszą dziś w ramach pogotowia policyjnego prowadzić śledztwa w sprawie zbrodni głównych. Wobec znacznego niedoboru kryminalistyków i psychologów błędy i wpadki są niejako z góry zaprogramowane. A właśnie przy kosztownych dochodzeniach w przypadkach zabójstw powinni być wykorzystywani najlepsi, najbardziej doświadczeni i specjalnie przeszkoleni funkcjonariusze.

Jednak w naszym systemie liczy się wszechstronność, a nie specjalizacja. Kto chce zrobić karierę, musi służyć w wielu referatach i dążyć do zmiany.

Prowadzi to do tego, że w wielu urzędach kryminalnych ludzie doświadczeni w takiej służbie działają tylko przez kilka lat, co dla komisji ds. zabójstw jest stanem zupełnie nie do przyjęcia. Prawdziwych profesjonalistów już prawie nie ma. A kiedy działają, szukają szybkich sukcesów.

Te błędy systemowe może dałyby się naprawić poprzez jeszcze silniejsze włączenie prokuratur w podstawowe działania śledcze oraz lepszy i ściślejszy nadzór kierowniczy policjantów ze strony prokuratorów. Chwilowo jednak ci ostatni nie mogą tego robić z uwagi na napiętą sytuację osobistą i nasilającą się przestępczość masową. Prokuratorzy rzadko sami uczestniczą w śledztwie, nawet przy zabójstwach. Nie dysponują własnym aparatem dochodzeniowym.

Nie można też już właściwie mówić o kierowaniu postępowaniem dochodzeniowym. W gruncie rzeczy prokurator tylko tak koryguje prowadzone przez funkcjonariuszy sekcji kryminalnej działania śledcze, że sprawdza je pod względem formalnoprawnym, a potem podejmuje decyzję. W kwestiach kryminalistycznych jest całkowicie uzależniony od swego organu pomocniczego - policji. O tym, czego śledczy na miejscu nie widzą lub widzieć nie chcą, prokurator nie dowie się nigdy. Następujące, uporządkowane chronologicznie sprawy z Europy, Azji i Stanów Zjednoczonych nie tylko ukazują cały zakres możliwych uchybień. Wyjaśniają też, że jednotorowe, prowadzone niewłaściwie czy wręcz niezgodnie z prawem działania śledcze stanowią wszędzie na świecie jedną z najczęstszych przyczyn orzekania błędnych wyroków w procesach o morderstwo.

Tajemnica Beernem
(Belgia, 1926-1929)

W jednym z najbardziej znanych przypadków morderstwa z Belgii z okresu międzywojennego bardzo niechlubną rolę odegrało niedbałe dochodzenie prowadzone przez nieudolnych śledczych i sądowych.

W niewielkiej flamandzkiej wiosce Beernem, położonej nad kanałem między Brugią a Gandawą, po uroczystym kiermaszu 7 listopada 1926 roku znika bez śladu trzydziestoczteroletni Hector de Zutter. Wychodzi z domu około osiemnastej, by spotkać się na uroczystościach z przyjaciółmi. Potem dalej świętuje w domu Etienne'a Schepersa w towarzystwie Oskara de Vos oraz polowego i wiejskiego policjanta Viktora Holste'a. Sąsiedzi twierdzą, że nocą słyszeli hałasy i kłótnie oraz krzyk mężczyzny. Kiedy nazajutrz rano Hector nie wraca do domu, a poszukiwania nie dają rezultatu, w wiosce szerzą się pogłoski, że odebrał sobie życie z powodu nieszczęśliwej miłości. Przysłany z Brugii funkcjonariusz policji kryminalnej rozpytuje powierzchownie, nie prowadzi żadnych oficjalnych przesłuchań. Nie sprawdza też niczyjego alibi.

Trzydziestego listopada 1926 roku zwłoki Hectora zostają wyrzucone przez wody kanału. Bada je lekarz wiejski dr Delafontaine. Odkrywa długą na trzy centymetry ranę na skroni. Odchyła skórę przy użyciu pesety i stwierdza, że czaszka jest nienaruszona. Mężczyzna prawdopodobnie utonął, nic nie wskazuje na nienaturalną przyczynę śmierci. Lekarz nie ma żadnych doświadczeń w dziedzinie kryminalistyki czy medycyny sądowej. Przeprowadzona następnie autopsja nie wnosi nic nowego. Także lekarz sądowy i sędzia śledczy wychodzą z założenia, że stwierdzone uszkodzenia na ciele powstały dopiero po śmierci, prawdopodobnie na skutek kontaktu ze śrubami okrętowymi. Sprawa wydaje się jasna: najwyraźniej samobójstwo, sprawa Hectora de Zuttera zostaje zamknięta.

Dla mieszkańców Beernem sprawa nie jest żadną miarą załatwiona. Są głęboko przekonani, że Hector de Zutter został zamordowany. Jakiś czas później rozpoczynają dochodzenie dwaj reporterzy jednej z gazet. Udaje im się odkryć podejrzane fakty na temat „Tajemnicy z Beernem”. Ich seria artykułów budzi niepokój opinii publicznej. Teraz musi zareagować także wymiar sprawiedliwości. Prokurator generalny z Gandawy nakazuje wznowienie śledztwa. Etienne Schepers i Oskar de Vos zostają aresztowani jako podejrzani o morderstwo. Niedługo potem zostają jednak zwolnieni z braku materiału dowodowego.

Teraz w całej Belgii narasta ogólne oburzenie. Wszystkie wielkie gazety rozpisują się o rzekomym skandalu sądowym. Następuje ekshumacja zwłok i ponowna obdukcja w Brugii. Profesor van Durme, autorytet w dziedzinie medycyny sądowej, odkrywa śmiertelne w skutkach złamanie kości czaszki spowodowane uderzeniem tępym narzędziem. Teraz sprawa jest pewna: Hector de Zutter został zabity.

W domu von Schepersa zabezpieczony zostaje młotek, który może być narzędziem zbrodni. Na podstawie dalszego orzeczenia najslynniejszego kryminalistyka Belgii, profesora de Rechtera, można dowieść, że śmiertelne uderzenie zadano właśnie tym narzędziem. Dopomóżono sprawiedliwości odnieść zwycięstwo. W dniu 20 lipca 1929 roku Viktor Holste i Etienne Schepers zostają skazani na dwadzieścia lat więzienia każdy. Podczas postępowania wychodzi na jaw cała kryminalistyczna tragedia tej sprawy. Znaczące niedociągnięcia prowadzących śledztwo zostały z wielkim trudem skorygowane dopiero dzięki włączeniu największych autorytetów naukowych kraju.

Brak motywu. Sprawa Philippa Haismanna
(Austria, 10 września 1928-30 września 1930)

Już w starożytnym Rzymie wpajano sędziom, by przy morderstwach kierowali się zasadą: Cui bonol („Na czyją korzyść?") - powinni się dowiedzieć, komu dany czyn przynosił pożytek. W procesach karnych we wszystkich krajach pytanie o motyw odgrywa ważną rolę. Jeżeli podejrzany ma jakiś przekonujący motyw do popełnienia zabójstwa, jest to ważną poszlaką jego możliwej winy. Zawsze jednak zdarzało się, że wydawano wyroki skazujące także w sytuacjach, gdy oskarżony nie miał żadnego motywu. Budząca do dziś kontrowersje sprawa Philippa Haismanna to tylko jeden z tego przykładów. A także przykład jednotorowego śledztwa, w którym przedwcześnie skoncentrowano się na jednym podejrzanym.

Na początku sierpnia 1928 roku żydowski dentysta Max Halsmann podejmuje z rodziną długą wędrówkę wakacyjną przez Alpy. Kiedy jego córka i żona, zmęczone podróżą, wycofują się, pierwsza w Mediolanie, druga w Innsbrucku, kontynuuje on z synem Philippem marszrutę przez góry Tyrolu. Philipp ma dwadzieścia trzy lata, jest studentem politechniki w Dreźnie. Ze względu na wspaniałą osobowość, jest wszędzie lubiany. Jest trochę nieśmiały i trudno nawiązuje kontakty z ludźmi, cierpi też z powodu wzbierającej w Niemczech fali fanatycznego antysemityzmu. Jego stosunki z ojcem są doskonałe. Znakomicie się rozumieją i żyją ze sobą w zgodzie. Philipp nie jest jednak tak wytrawnym piechurem jak ojciec. Nie chce mu jednak odmawiać, towarzyszy mu więc z plecakiem i prowiantem podczas kilkudniowej wędrówki przez Alpy Zillertalskie.

Dziesiątego września 1928 roku tuż po godzinie czternastej obaj opuszczają schronisko Dominicus, by zejść w dolinę. Wczesnojesienne słońce mocno przygrzewa. Philipp idzie za ojcem rozebrany do pasa, by się opalić. To, co zaszło podczas kolejnych trzech kwadransów, do dziś pozostaje zagadką.

Około piętnastej Philipp dociera do szałas na hali i oświadcza mieszkającej tam pasterce, że pilnie potrzebuje pomocy. Jego ojcu przytrafił się nieszczęśliwy wypadek. Wraz z pastuchem bydła Riedererem wraca na miejsce zdarzenia, podczas gdy kobieta ma sprowadzić pomoc z położonej w dolinie gospody. Ojciec odczuł nagle potrzebę oddania moczu, wyjaśnia Philipp. Dlatego zszedł nieco na ubocze. Nagle Philip usłyszał za sobą krzyk. Odwrócił się i zobaczył, jak ojciec ześlizguje się ukosem po zboczu. Zatrzymał się na brzegu potoku, jakieś osiem metrów poniżej drogi. Syn zszedł do niego i podciągnął górną połowę ciała ojca na tyle, że głowa, w której widniało kilka krwawych otworów, nie leżała już w wodzie. Ranny żył jeszcze, był tylko nieprzytomny. Usłyszawszy te wyjaśnienia, Riederer pędzi naprzód. Kiedy pięć minut później Philipp dociera na miejsce wypadku, jego ojciec już nie żyje. Nie leży na brzegu strumienia, ale w wodzie. Na czole ziele szeroka rana, której Philipp wcześniej nie zauważył.

Podczas gdy syn pozostaje przy zmarłym, Riederer wspina się do schroniska Dominicus, by przyprowadzić ludzi z noszami. Podchodzi dwóch

turystów i pytają go, co zaszło. Opisuje im całe zdarzenie dokładnie tak, jak wcześniej Riedererowi. Niedługo potem pojawia się kilka osób ze schroniska, między innymi gospodarz, Eder. Od razu zaczyna przekonywać, że jego zdaniem wcale nie chodzi tu o wypadek. Na tym odcinku drogi jest to wykluczone. Młody Halsmann już w południe w schronisku „wydał mu się jakiś nieprzyjemny”. Jego zdaniem to on zabił swego ojca. Philipp jest skonsternowany tymi uwagami, nie broni się jednak przed oskarżeniami, popada za to w apatię. Przerazenie ogarnia go dopiero, gdy pojawia się żandarmeria i natychmiast go aresztuje. Zostaje odwieziony do aresztu śledczego w Innsbrucku.

Nazajutrz na miejscu zdarzenia odbywa się wizja lokalna. Ledwie kilka metrów od miejsca, gdzie leżały zwłoki, pies policyjny trafia na kanciasty kamień ze śladami krwi. Biegli sądowi dochodzą do wniosku, że jest to narzędzie zbrodni. Profesorowie Meixner z Innsbrucku i Weingartner z Wiednia stwierdzają, że okrągły otwór z prawej strony potylicy zmarłego powstał wskutek ośmiu-dziesięciu ciosów zadanych tym właśnie kamieniem. Mniejsze rany koło lewego ucha są wynikiem jakichś sześciu uderzeń, a szeroka na siedem centymetrów głęboka rana na czole, gdzie doszło do uszkodzenia mózgu, powstała wskutek jednego silnego uderzenia. Sprawca zaatakował od tyłu i musiał uderzać ofiarę w przystępie wściekłości.

Funkcjonariusze policji kryminalnej nie wspominają Philippowi Halsmannowi ani o znalezionym kamieniu, ani o tych ekspertyzach. Zachowują się, jakby chodziło o wypadek, i podczas wizji lokalnej miejsca przestępstwa prawie nie zadają Halsmannowi pytań. Dopiero trzynaście dni później oświadczają mu, że wszystkie okoliczności przemawiają za przestępstwem, a on jest podejrzanym. Philipp podtrzymuje swoje wcześniejsze zeznania. Po upadku ojca podciągnął go tylko trochę na suche miejsce, by się nie utopił. Biegli dochodzą jednak do wniosku, że położenie ciała zmieniono nie raz, lecz dwa razy. Kto więc to zrobił?

Jako miejsce upadku Philipp wskazał okolicę, gdzie zauważył wystający z ziemi kamień. Ojciec potknął się pewnie o niego, kiedy musiał oddać mocz. Ale wskazany przez Philippa punkt wcale nie odpowiada rzeczywi-

stemu miejscu upadku. Poza tym podczas wstępnego śledztwa Philipp zmienia swoje zeznania w kwestii oddalenia ojca. Początkowo stwierdził, że kiedy usłyszał jego stłumiony krzyk, ten był oddalony o ledwie osiem kroków. Teraz zeznaje, że mogło to być nawet sto osiemdziesiąt kroków. Minęło od trzech do pięciu minut, zanim dotarł do poszkodowanego.

Prokuratura stawia mu zarzut ojcobójstwa. Philipp Halsmann zaplanował to przestępstwo i zawczasu wyszukał spiczasty kamień o ostrych kantach. Ale dlaczego syn popełnił tę bestialską zbrodnię? O tym prokuratura nie wspomina ani słowem. Nie bierze też wcale pod uwagę możliwości, że podczas gdy syn pobiegł na halę, ojciec został zamordowany przez jakiegoś nieznanego przechodzącego wędrowca. obrońca Philippa, mecenas dr Pressburger, wyjaśnia całe zdarzenie w ten sposób, że chory na serce Max Halsmann, załatwiając potrzebę fizjologiczną, doznał lekkiego ataku, co spowodowało upadek. Doznane przy tym obrażenia głowy były względnie nieszkodliwe. Śmiertelne rany zadał mu dopiero później jakiś nieznanomy, który go zabił i obrabował.

Proces Philippa Halsmanna o morderstwo rozpoczyna się 16 grudnia 1928 roku przed sądem przysięgłych w Innsbrucku. Wzbudza sensację daleko poza granicami Austrii. Prasa pisze o „zdrowym poczuciu narodowym”, opinia publiczna jest podburzona. Wiele osób posądza „żydowskiego młodzieńca” o taki postępek. Czyż gospodarz schroniska Eder nie powiedział zaraz po wypadku, że już podczas obiadu syn wydał mu się niesympatyczny i nie ma wątpliwości, że to on zamordował swego ojca? A czy oskarżony nie płatał się w zeznaniach na temat oddalenia od zmarłego? Nie da się tego wytłumaczyć zwykłymi lukami w pamięci, jak to przyjmuje obrona. obrońca jednak w sposób nader przekonujący przedstawia tezę o mordzie rabunkowym dokonany przez jakiegoś nieznanomego. Kiedy zabierano zwłoki, pełny wcześniej portfel zabitego był pusty, argumentuje. Wrażliwy i delikatny Philipp nie byłby zdolny do tak bestialskiego czynu. Wszyscy świadkowie wypowiadali się o nim bardzo pozytywnie. Brak też jakichkolwiek motywów. Ponadto ubranie oskarżonego nie było zbryzgane

krwią. Zadane ofierze dwadzieścia obficie krwawiących ran musiałyby pozostawić takie ślady. Poszlaki nie są wystarczające do skazania oskarżonego. Wątpliwości co do jego winy są zbyt wielkie.

Jednak sąd przysięgłych w Innsbrucku nie kieruje się zasadą in dubio pro reo. Skazuje Philippa Halsmanna za zabójstwo na dziesięć lat ciężkiego więzienia. Austriaccy naziści cieszą się z tego wyroku. Natomiast ludzie, których nie dotknęło jeszcze szaleństwo rasizmu, uważają, że jest wątpliwy. Wielu postrzega go jako oczywiście błędny, w tym kilku znanych kryminologów i doświadczonych karnistów, jak profesor StoB. Na uniwersytetach oburzeni studenci protestują przeciwko wyrokowi. A profesor Erismann, kierujący katedrą psychologii doświadczalnej na uniwersytecie w Innsbrucku, oświadcza otwarcie z całą stanowczością, że morderstwo to popełnił ktoś obcy. Sprzecznościom w zeznaniach Philippa, wynikającym z samooszukiwania się, nie można przypisywać decydującego znaczenia, zwłaszcza że sąd nie wyjaśnił tych niezgodności poprzez dalsze wizje lokalne.

Obrońca podchwytuje te argumenty i wnosi skargę kasacyjną do Sądu Najwyższego w Wiedniu. Zostaje ona uwzględniona. - Sprawę jednak skierowano do tego samego sądu, gdzie zapadł pierwszy wyrok. Sąd przysięgłych w Innsbrucku zamawia na wydziale medycyny obszerną ekspertyzę na temat charakteru Philippa Halsmanna. Temu zamkniętemu w sobie młodzieńcowi nie można przypisać morderstwa, ale umyślne uszkodzenie ciała w afekcie ze skutkiem śmiertelnym - tak. Orzeczenie to zostawia sądowi przysięgłych otwartą boczną furtkę.

Nowe postępowanie rozpoczyna się 9 września 1929 roku. Prokuratura ponownie stawia zarzut morderstwa, nie uwzględnia więc nowej ekspertyzy biegłych. Zawarta w nim teoria jest wręcz absurdalna. Ktoś, kto zabija swoją ofiarę dwudziestoma okrutnymi ciosami, ma być winien tylko zabójstwa bez niskich pobudek? Przysięgli uwalniają Philippa Halsmanna od zarzutu morderstwa stosunkiem głosów siedem do pięciu, uznają go jednak za winnego (osiem przeciw czterem) nieumyślnego zabójstwa. Oskar-

żony zostaje skazany na cztery lata więzienia o zastrzonym rygorze. Tym razem Sąd Najwyższy odrzuca zażalenie wobec wyroku, który staje się prawomocny.

Także w tym rozstrzygnięciu można dopatrywać się błędu. Do takiego wniosku dochodzi też prezydent Austrii, albowiem już sześć miesięcy później, 30 września 1930 roku, Philipp Halsmann zostaje ułaskawiony i zwolniony. Rezygnuje on z wniosku o wznowienie procesu, z pewnością z uwagi na zastrzającą się sytuację polityczną. Na dwa tygodnie przed jego ułaskawieniem Adolf Hitler wraz ze stu trzydziestoma posłami został wybrany do niemieckiego Reichstagu. Po uwolnieniu Halsmann wyjeżdża najpierw do Paryża, a potem, w 1940 roku, do Stanów Zjednoczonych. Zostaje tam wziętym fotografem.

„Cameo Cinema Case”

(Anglia, 1949-2003)

Brutalne podwójne morderstwo w Liverpoolu wstrząsa w 1949 roku społeczeństwem brytyjskim. Dziewiętnastego marca dwóch mężczyzn napada na kino Cameo Cinema przy Webster Road. Podczas gdy jeden stoi na czatach na zewnątrz, drugi zamaskowany osobnik wdziera się do biura na pierwszym piętrze i zabija strzałem w klatkę piersiową z bliskiej odległości właściciela kina Leonarda Thomasa, który właśnie przelicza dzienny utarg. Kiedy do biura wchodzi asystent Bernard Catterall, również zostaje zabity strzałami w pierś i plecy. Kasjer na parterze słyszy w swoim boksie w sumie sześć wystrzałów następujących szybko po sobie.

Ten mord na tle rabunkowym trafia na nagłówki brytyjskich gazet. Rusza najobszerniejsze jak dotąd postępowanie przygotowawcze dotyczące morderstwa w historii kryminalistyki brytyjskiej. Opinia publiczna oczekuje szybkich wyników. Podczas śledztwa władze otrzymują anonimowy list informujący, że śmiertelne strzały miał oddać notowany przez

policję dwudziestosześcioletni oszust i naciągacz George Kelly, jego kompanem był ponoć Charles Conolly. Później okazało się, że donos napisali pewna prostytutka i jej sutener, za co prokuratura zapewniła im bezkarność.

Prokuratura ma jednak jeszcze jednego świadka koronnego. Nazywa się Robert Graham i twierdzi, że Kelly przyznał mu się w areszcie śledczym do tych morderstw. Conolly miał tylko stać przed kinem na czatach. Zeznanie to wynagrodzono Grahamowi rychłym zwolnieniem z więzienia.

Kelly i Conolly zostają oskarżeni o morderstwo. Przysięgli jednak nie osiągają jednomyślności w sprawie wyroku skazującego, dlatego konieczny jest następny proces. Tym razem toczą się odrębne postępowania. George Kelly, który zawsze utrzymywał, że jest niewinny, zostaje uznany za winnego podwójnego morderstwa i skazany na śmierć. W następnym procesie Charles Conolly za współudział w napadzie rabunkowym zostaje skazany na dziesięć lat więzienia.

Kelly zostaje powieszony w liverpoolskim więzieniu Walton przez kata Alberta Pierrepointa 28 marca 1950 roku. Doczesne szczątki skazańca zostały zakopane na terenie więzienia.

Dopiero w 1991 roku odkryto w aktach policyjnych materiały odciążające skazanych. Okazuje się, że w 1949 roku świadek koronny Robert Graham w swoim pierwszym zeznaniu na policji jako człowieka, który przyznał mu się do podwójnego morderstwa, wskazał początkowo Donalda Johnsona. Dopiero w drugim zeznaniu wymienił George'a Kelly'ego. To pierwsze zeznanie zostało zatajone. W ogóle nie pojawiło się podczas procesu. Ponad czterdzieści lat spoczywało w zaciżu archiwów. Prowadzący śledztwo wytypowali na sprawcę George'a Kelly'ego, ponieważ Donald Johnston jako podejrzany nie pasował do ich koncepcji.

Sprawa „Cameo Cinema Case” została na nowo rozpatrzona przed Court of Appeal z uwagi na nowe informacje. W czerwcu 2000 roku uchylono wyrok na Kelly'ego i Conolly'ego. Sędzia lord Rix określił go otwarcie jako w najwyższym stopniu godną pożałowania pomyłkę wymiaru sprawiedliwości.

Morderstwo w lombardzie (Walia, 1952-1998)

Także w pewnej skandalicznej sprawie z Walii jednotorowe, nieobiektywne i niewłaściwie prowadzone śledztwo doprowadziło do tragicznie błędnego wyroku. Marynarz floty handlowej Mahmoud Hussein Mattan pochodzi z Somalii i niedługo po 1945 roku przybywa do Cardiff. Poślubia młodą białą kobietę, której rodzina jednak ze względów rasistowskich przeciwna jest temu małżeństwu, dlatego para zmuszona jest mieszkać w oddzielnych domach. Mattan pracuje początkowo w stalowni. Kiedy w 1952 roku zostaje zwolniony, próbuje zdobywać pieniądze dzięki grze w karty i zakładom na wyścigach psów. Ma do wyżywienia trójkę dzieci. Szóstego marca 1952 roku czterdziestodwuletnia Lily Volpert zostaje znaleziona zamordowana w swoim lombardzie w pobliżu doków Cardiff. Podcięto jej gardło brzytwą. W kasie brak stu funtów. Rodzina Volpertów wyznacza dwieście funtów nagrody za ujęcie sprawcy (to suma, za którą w 1952 roku w Cardiff można nabyć dom).

Niedługo potem na policję zgłasza się niejaki Harold Cover, twierdząc, że widział, jak Mahmoud Mattan w noc morderstwa wychodził z posesji Lily Volpert. Na tej podstawie dwudziestośmioletni Mahmoud Mattan zostaje zatrzymany przez policję Cardiff. Stanowczo odżegnuje się jednak od jakiegokolwiek udziału w przestępstwie. Nikt mu jednak nie wierzy i zostaje oskarżony o morderstwo. Nawet jego obrońca nazywa go podczas procesu półcywilizowanym dzikusiem.

W lipcu 1952 roku Mattan zostaje uznany za winnego przez sąd przysięgłych i skazany na śmierć. Jego odwołanie zostaje odrzucone w sierpniu 1952 roku. Już 3 września tegoż roku ginie on na szubienicy w więzieniu w Cardiff. To ostatnia egzekucja przez powieszenie w Walii, a do tego największa pomyłka wymiaru sprawiedliwości w historii tego małego kraju, gdyż krótko przed swoją śmiercią w 1981 roku inspektor Ludon Roberts, wchodzący wówczas w skład ekipy prowadzącej dochodzenie

w sprawie Mattana, oświadcza, że rysopis człowieka, którego świadek koronny Harold Cover miał widzieć na posesji zamordowanej w noc jej śmierci, zupełnie nie pasował do Mahmouda Mattana.

Odpowiadał znacznie bardziej wyglądowni innego Somalijszczyka z Car-diff, niejakiego Tehara Gassa. Był on nawet przesłuchiwany przez miejscową policję i zeznał, że w dniu morderstwa odwiedził biuro Lily Vol-pert. Żadna z tych informacji nie dotarła do sądu. Prowadzący śledztwo nie poszli tym tropem, bo wytypowali na sprawcę Mahmouda Mattana.

Kiedy w 1953 roku Tehar Gass zostaje oskarżony o zamordowanie księgowego z zakładu pracy, nie może zostać skazany, ponieważ biegli sądowi uznają go za chorego psychicznie, a jako taki nie może odpowiadać przed sądem. Zostaje umieszczony w zakładzie psychiatrycznym w Broad-moor, a potem odesłany do Somalii.

Także świadek koronny Harold Cover zostaje w 1969 roku oskarżony o próbę zabicia brzytwą własnej córki. Skazano go za usiłowanie zabójstwa. Wówczas żona Mahmouda Mattana zwraca się do ministra spraw wewnętrznych Jamesa Callaghana z prośbą o skierowanie sprawy do ponownego rozpatrzenia przez Court of Appeal. Callaghan jednak odmawia.

Wyrok pozostaje w mocy do 24 lutego 1998 roku. Owego dnia uchyla go sąd apelacyjny. Sędzia lord Rose wyraża swój głęboki żal z powodu tego błędu wymiaru sprawiedliwości oraz pożałowania godnego faktu, że trzeba było czterdziestu sześciu lat na zrehabilitowanie niewinnej ofiary egzekucji.

Reinhard Meitz i zepsute nożyczki

(Niemcy, 1954-1961)

Niewielka tekturowa walizka spakowana. Po południu 4 sierpnia 1954 roku Reinhard Meitz jest gotów do podróży. Już niedługo ten czterdziesto-dziewięcioletni handlowiec opuści swoje heidelberskie mieszkanie przy KaiserstraGe 64, by pojechać do NRD. Doradziła mu to jego przyjaciółka

Helia Friebe, pełna życia i zawsze pogodna blondynka, młodsza od niego o dwanaście lat. Pracuje ona jako ekspedientka w cukierni przy heidelberg-skiej HauptstraBe.

Meitz na próżno dotąd zabiegał o posadę w RFN. W 1954 roku jest to jeszcze trudne. Cud gospodarczy i wysoka koniunktura należą na razie do przyszłości, a handlowców jest bez liku. Może do tego, że pozostaje bezrobotny przyczyniają się jego wiek oraz fakt, że nie jest zbyt rozgarnięty. Re-inhard Meitz jest nieśmiałym oryginałem, z trudem nawiązującym kontakty z ludźmi, cichym, ocieężałym dziwakiem, u którego w 1949 roku psychiatra prof. dr Rauch stwierdził psychopatyczne cechy osobowości. Orzeczenie to zostało przygotowane przy okazji procesu cywilnego między Meitzem a jego bratem. Zawiera ono twierdzenie, że zachodzi silne podejrzenie choroby psychicznej u Reinharda Meitza, „przypuszczalnie przewlekłej formy schizofrenii, bez możliwości jednoznacznego stwierdzenia objawów chorobowych”. W każdym razie istnieją wątpliwości co do jego poczytalności w kwestiach karnych.

Reinard Meitz nie traci jednak nadziei na otrzymanie posady. Spróbuje teraz szczęścia w NRD. Ma tam kilka całkiem niezłych kontaktów. Rozejrzy się „po tamtej stronie”. A jak się wszystko ułoży, to wróci i sprowadzi Hellę, by ją poślubić. Kocha ją. A i ona go lubi, choć czasem trochę ją nudzi. Dlatego kobieta zabawia się często z innymi poważnymi mężczyznami, kupującymi ciastka w cukierni. Reinhard wie o tych romansach. Wie, że nie jest mu wierna, ale wciąż jej wybaczają.

Przed kilkoma dniami doszło jednak do ostrej sceny z Hellą. Czynił jej zarzuty z powodu ciągłych miłostek, oddał nawet klucz do jej mieszkania. Rozstali się po gwałtownej kłótni, gdy kobieta oznajmiła, że chce sama pojechać na urlop. Wróci jutro lub pojutrze, kiedy jego już tam nie będzie. Może krótka rozłąka dobrze zrobi ich związkowi. W każdym razie po powrocie zaproponuje jej małżeństwo.

Ma jeszcze trochę czasu do odjazdu pociągu, dlatego z walizeczką idzie niespiesznie przez HauptstraBe, mijając mieszkanie Helli. Ze zdumieniem dostrzega, że jej okno na poddaszu jest jasno oświetlone. A więc zmieniła

zdanie i wróciła wcześniej. Wchodzi na górę, by wypytać, o co chodzi, i powiedzieć, że postanowił wyjechać do NRD. Kiedy Helia wpuszcza go do środka, jest przestraszona. Zachowuje się przy tym, jak zauważa mężczyzna, dość osobliwie. Czyżby miała nowego kochanka, znajomego z wakacji? Spodziewa się w najbliższym czasie jakiegoś wielbiciela?

Wydaje się, że jej ulżyło, gdy Meitz oświadcza, że wyjeżdża jeszcze tej nocy i chce się tylko pożegnać. Mężczyzna zauważa ze zdumieniem, że Helia nie ma ochoty na żadne czułości i wyraźnie chce się go jak najprędzej pozbyć. Jest bardzo zmęczona podróżą, wyjaśnia, i ma jeszcze wiele do zrobienia.

Kiedy gość zamierza zamknąć swoją walizeczkę, Helia dostrzega w bocznej kieszeni dwie połówki zepsutych nożyczek do papieru. Chce je tam dać do naprawy, wyjaśnia gość, będzie taniej. „Nonsens - odpowiada Helia - te nożyczki są już nie do użycia, są do niczego. Zostaw je tutaj!“. Mężczyzna kiwa głową i daje jej obie części nożyczek. „Skoro tak uważasz“.

Tak to bywa między nimi, ona zwykle stawia na swoim. Potem daje mu dwadzieścia pięć marek na podróż i popycha ku drzwiom. On obiecuje napisać zaraz po przyjeździe. Jest godzina 21.45. Całują się jeszcze na progu, po raz ostatni. Kiedy on schodzi po schodach, spotyka w połowie drogi jakiegoś mężczyznę, który spieszy do góry, odwracając się na widok Meitza, jakby nie chciał być rozpoznany. Przy drzwiach domu Meitz spotyka kilku lokatorów rozmawiających w ciepłą letnią noc. Pozdrawiają go.

Do odjazdu pociągu jest jeszcze trochę czasu, postanawia więc odwiedzić brata. Zastaje jednak tylko małżeństwo, u którego tamten podnajmuje lokum, i rozmawia z ożywieniem przez jakiś kwadrans. Potem jedzie tramwajem do swojej ulubionej restauracji, gdzie do wpół do dwunastej wypija kilka piw i idzie stamtąd na dworzec, by wsiąść do pociągu do Frankfurtu.

Tak przynajmniej wyglądał ten wieczór według późniejszej relacji Rein-harda Meitza. Nie dano mu jednak wiary. Obarczono go odpowiedzialnością za całkiem inny przebieg wydarzeń.

Nikogo nie dziwi, kiedy w następnych dniach Helia Friebe nigdzie się nie pokazuje. Wygląda to, jakby zapadła się pod ziemię. Nawet jej szef, cukiernik Schneider, wcale się nie przejmuje. Sądzi, że kobieta przebywa jeszcze na urlopie i jest po prostu wściekły, że przeciąga go, nie zjawiając się w pracy. Listonosz dzwoni na próżno do drzwi jej mieszkania, nikt nie otwiera. Listy, które Meitz pisuje prawie codziennie, podając przy tym swój aktualny adres, doręczyciel wsuwa po prostu przez szparę. Trzynastego sierpnia, po dziewięciu dniach, cała sprawa zaczyna się wydawać sąsiadom osobliwa. Wzywają policję. Funkcjonariusz wyważa drzwi i znajduje rozkładające się już ciało Helli Friebe. Dwie godziny później lekarz policyjny dr Peter bada zwłoki, zmieniając przy tym ich położenie. Rozcina ubranie zmarłej, widzi na plecach śmiertelną ranę i dochodzi do wniosku, że przypuszczalnie zadano ją cienką, przypominającą sztylet bronią średniej długości. Później ustalono, że pchnięcie zadano jedną z połówek nożyczek, które według relacji Meitza pozostawił on w mieszkaniu Helli.

To, co rozegrało się w następnych godzinach na miejscu przestępstwa, było wręcz groteskowe i sprzeczne z elementarnymi zasadami zabezpieczania śladów. Zwłoki przekładano kilkakrotnie, przesuwano meble, dotykano gołymi rękoma klamek, a w pokoju mansardy nie poszukano odcisków palców czy śladów stóp. Niewiarygodne niedbalstwo. Stwierdzono jedynie, że łóżko było nienaruszone, niczego nie otwierano, nie brakowało pieniędzy ani przedmiotów wartościowych, a w mieszkaniu nie znaleziono narzędzia zbrodni. Nie trafiono na żadne wskazówki co do czasu popełnienia przestępstwa czy jego sprawcy.

Ponieważ nie odizolowano lokalu, sąsiedzi i znajomi wchodzą do pokoju, by rzucić okiem na zabitą, wśród nich także cukiernik Schneider. Jakiś policjant pyta go, kto mógłby być sprawcą. Schneider waha się. Zna wielu męskich znajomych atrakcyjnej Helli Friebe i nie chce nikogo niesłusznie posądzać. Wzrusza ramionami i odpowiada po chwili pytaniem: „Może ten Meitz?”.

Trzy fatalne słowa. A więc jest podejrzany! Stróż prawa sporządza protokół, gdzie zapisuje, że Schneider uważa Meitza za mordercę, a nie że ten

tylko zastanawiał się, czy to aby nie on. Teraz policja ma jakiś ślad i rozpoczyna dochodzenie. Ustalono szybko, że Meitz jest dziwakiem o trudnym charakterze. Miał niedawno kłótnię z Hellą i oddał jej klucz, to przecież bardzo podejrzane!

Zamordował ją, kiedy nie miał już klucza, aby podejrzenie nie padło na niego.

Lekarz policyjny, który tak beztrosko obchodził się ze zwłokami, robi teraz coś niesamowitego. Oświadcza mianowicie z pełnym przekonaniem, że morderstwa dokonano przed dziewięcioma dniami, w nocy z 4 na 5 sierpnia, dokładnie między godziną 21.00 a 23.30. A czemu nie przed siedmioma, sześcioma czy pięcioma dniami? I dlaczego dokładnie między dziewiątą a wpół do dwunastej?

Każdy student medycyny wie już po kilku semestrach, że dokładne określenie czasu zgonu przy odnalezieniu zwłok po czterdziestu ośmiu godzinach możliwe jest tylko w szczególnie sprzyjających okolicznościach. Po prawie dwustu godzinach, do tego przy zwłokach w stanie rozpoczętego rozkładu, możliwa jest dokładność rzędu dwudziestu czterech godzin.

Ta kryminalistyczna pseudoekspertyza dr. Petera sprzeczna jest ze wszystkimi kanonami wiedzy naukowej i zasadami medycyny. Powstaje podejrzenie, że czas zgonu ustalono rozmyślnie na okres między godziną 21.00 a 23.30 wieczorem 4 sierpnia, ponieważ jedna z lokatorek kamienicy dokładnie w tym czasie dokonała pewnego spostrzeżenia. Mieszkająca na poddaszu starsza wdowa Matthes przypomina sobie mianowicie podczas przesłuchania, że dziewięć dni wcześniej widziała pewnego mężczyznę. Między godziną 21.00 a 23.30 przeszedł on przez oszklony wewnętrzny dziedziniec do drzwi Helli Friebe. Poznała chyba Meitza, choć nie może tego potwierdzić z całą pewnością.

Doskonale, pojawił się teraz nawet świadek. Umacnia to podejrzenie, że sprawcą jest Meitz. Kiedy policja chce go aresztować, okazuje się, że „uciekł” na Wschód. Dla policjantów jest oczywiste, że zbiegł po dokonaniu morderstwa. Tylko fakt, że prawie codziennie pisuje do Helli z NRD, podając swój dokładny adres, jakoś nie bardzo pasuje do tego obrazu. Informuje, że na pewno wkrótce znajdzie odpowiednią posadę, a potem po-
go

ślubi Helle. Pisuje też do swego brata i państwa Schneiderów. W jednym z listów funkcjonariusze znajdują kilka bardzo osobliwych uwag. „Mam wciąż przykre sny o Helli i bardzo się o nią martwię - pisze Meitz. - Boję się też o nią. Byłem u niej w środę, 4 sierpnia. Wyjęła mi z kieszeni dwie połówki nożyczek. Po mnie odwiedził ją jeszcze ktoś. Niedługo wracam". Istotnie zupełnie niezwykle zdanie, które policja kryminalna traktuje nie jak proroczy niepokój zakochanego człowieka, ale prymitywną i aż nazbyt znaczącą próbę odsunięcia od siebie podejrzeń przez mordercę. Zwleka jednak z prośbą o ekstradycję z NRD, może Meitz sam wróci. Rzeczywiście, mężczyzna przyjeżdża i zostaje od razu zatrzymany, gdy chce wejść do swego mieszkania. Nazajutrz wydany zostaje nakaz aresztowania. Dla śledczych jest oczywiste: poprzez swój powrót Meitz chciał dowieść, że ma czyste sumienie, a z całą sprawą nic go nie łączy. Może też bał się aresztowania przez władze wschodniemieckie. Poinformowany o śmierci przyjaciółki, wybuchu spazmatycznym płaczem i dostaje załamania nerwowego. Tego nie sposób odegrać. Policjanci nie dają się jednak zbić z tropu, przesłuchują go bez przerwy, a jego rozpacz traktują jak przedstawienie. Meitz utrzymuje, że jest niewinny. Jego relacji z wydarzeń nie daje się podważyć. Wymienia też świadków alibi: parę wynajmującą lokum jego bratu oraz panią Fachenuer, szefową gospody, gdzie przebywał do godziny dwudziestej trzeciej trzydzięci. Potwierdzają oni jego zeznania. Jest też jednak i zeznanie starej wdowy Matthes, która widziała, jak Meitz wchodzi do mieszkania Helli Friebe jakieś pół godziny przed północą. Zeznanie szefowej gospody także okazuje się pomocne. Dlatego policja robi wszystko, by skłonić Meitza do przyznania się do winy. Ale nie mają przeciwko niemu właściwie niczego konkretnego - poszlaki są nader wątpliwe. Meitz jest nieustannie przesłuchiwany. Przez prawie rok jest przetrzymywany w areszcie śledczym, by zmiękł. W 1954 roku dozwolony był jeszcze bezterminowy areszt śledczy. Ograniczyły go dopiero zmiany w niemieckim kodeksie postępowania karnego z 1965 roku. Meitz jednak trzyma się swoich zeznań i do niczego nie przyznaje.

QI

Teraz prowadzący śledztwo wpadają na pomysł wprost niewiarygodny. Meitz zostaje skuty i w stroju więziennym doprowadzony na cmentarz na grób Helli Friebe.

Detektywi liczą na wstrząs psychiczny i przyznanie do winy na widok grobu ofiary.

Meitz zalewa się łzami, ale jeszcze mocniej zapewnia o swojej niewinności. Żaden sędzia, żaden prokurator nie przejmuje się tym lekceważeniem przepisów kodeksu postępowania karnego. Ubranie w strój więzienny jest po prostu niedopuszczalne.

Potępiono tu człowieka, który nie został jeszcze skazany. Wykonano fotografie tego haniebnego i odrażającego pokazu. Dowiaduje się też o tym opinia publiczna. Nikt jednak nie wszczyna śledztwa przeciwko winnym. Minister sprawiedliwości Badenii-Wirtembergii Hausmann oświadcza, że nic nie można zarzucić temu działaniu, ponieważ aresztowany „wyraził na to zgodę”.

Dziesięć miesięcy po aresztowaniu Meitza prokurator dr Zimmermann stawia mu w końcu zarzut morderstwa. W akcie oskarżenia napisano w typowo prawniczym niemieckim:

„Oskarżam wymienionego, że w środę, 4 sierpnia 1954 roku, między godziną 21.00 a 23.30 odwiedził znaną mu bliżej od października 1952 roku, trzydziestosiedmioletnią niezamężną Hellę Friebe w jej mieszkaniu na poddaszu przy Hauptstrafie 202 w Heidelbergu, która nie spodziewając się niczego, wpuściła go do środka, po czym zabił ją pchnięciem w płuca połówką noszonych stale przy sobie rozebranych nożyczek do papieru, a następnie opuścił mieszkanie, które zamknął na klucz i blokadę”.

Jeszcze tej samej nocy zbiegł do NRD. Popęłił on przestępstwo „z wściekłości, nienawiści i zwątpienia, że Friebe, której od dłuższego czasu narzucał się z wizytami, listami i propozycjami małżeńskimi, nie odwzajemnia jego sympatii w oczekiwanym przezeń stopniu”. Kobieta próbowała wtedy „pozbyć się obwinionego, który stał jej się uciążliwy przez swoją natarczywość, odpychającą naturę i zawodową nieudolność”. Tak więc Meitz zabił podstępnie i z niskich pobudek i winien jest morderstwa.

Proces przed sądem przysięgłych w Heidelbergu pod przewodnictwem przewodniczącego sądu krajowego dr. Anschitz trwał tylko cztery dni. Sędzia uważa Meitza za „zatwardziałego” i „przebiegłego”. Wszyscy świad-

Q2

kowie potwierdzają, że był on dziwakiem o trudnym charakterze. Postępowanie dowodowe wykazuje, że feralnego 4 sierpnia Helia po powrocie z urlopu oczekiwała kogoś w swoim pokoju na poddaszu. Być może owego nieznanego, którego Meitz, jak twierdził w zeznaniach, spotkał na schodach. A może samego Meitza, choć ten, jak stale zapewniał, nic nie wiedział, że Helia już wróciła z urlopu.

Przysięgli są uprzedzeni. To, że Meitz płakał na grobie swojej przyjaciółki, przypisują bolesnym wyrzutom sumienia i upatrują w tym niemą skruchę. Sąd przyjmuje też bez namysłu czas zgonu podany przez lekarza sądowego. O naukowych podstawach tak trudnego orzeczenia przysięgli nie mają pojęcia, nie znają się na tym nawet zawodowi sędziowie, co dopiero ławnicy.

Obrońca wyjaśnia, że prywatny detektyw, któremu powierzył przeprowadzenie śledztwa, napotyka w swojej pracy poważne przeszkody ze strony heidelberskiej policji kryminalnej, po części stawiane przy użyciu niedopuszczalnych metod. Prowadzi to do interpelacji w Landtagu. Minister sprawiedliwości oświadcza jednak, że nie doszło do żadnych nieprawidłowości. obrońca referuje też, że policja nie zbadała innych tropów, przedwcześnie i jednostronnie upatrując sprawcę w Meitzu. Niedługo po zamordowaniu Hel-li Friebe jakiś mężczyzna popełnił samobójstwo w heidelberskim lasku miejskim. Rysopis odpowiadał jednemu z amantów ofiary. Czyżby człowiek ten miał coś wspólnego z morderstwem i dobrowolnie rozstał się z życiem? Nikt nie poszedł tym tropem, sprawca już przecież był.

Prof. dr Rauch, który w 1949 roku powątpiewał w poczytalność Meitza, sześć lat później oświadcza podczas procesu o morderstwo, że z punktu widzenia medycyny sądowej oskarżony jest w pełni zdrow i może odpowiadać za swoje czyny. Czy Meitz rzeczywiście wyleczył się z „przewlekłej formy schizofrenii”? Według wiedzy medycznej w chorobach psychicznych nie dochodzi do wyzdrowienia. A zatem biegły postawił błędną diagnozę albo w 1949, albo w 1955 roku.

Prokuratura domaga się dla Meitza dożywotniego więzienia, obrońca żąda uniewinnienia. Przysięgli nie mogą się zdobyć na jasną odpowiedź

Q3

tak lub nie, szukają więc wyjścia w swego rodzaju kompromisie. Uznają, że chodzi o zwykłe zabójstwo bez niskich pobudek i skazują Meitza na dziesięć lat ciężkiego więzienia. Dr Anshitz musi przyznać w swoim uzasadnieniu wyroku: „W grę mógł wchodzić również inny sprawca, jednak śledztwo w tym kierunku okazało się bezowocne”.

Meitza osadzono w więzieniu Bruchsal, gdzie spędza siedem lat. Potem zostaje zwolniony przedterminowo, z obowiązkiem ścisłego zachowania tajemnicy. I nie bez poważnych powodów. Albowiem wcale nie powinno dojść do jego skazania. Pytanie, czy heidelberski wyrok jest błędny, dotyczy nie tyle tego, czy Meitz był rzeczywiście winny, ile czy dowiedziono mu przestępstwa z prawdopodobieństwem bliskim pewności, co jest minimalnym nieodzownym warunkiem do wydania wyroku skazującego w państwie prawa. W sprawie Meitza nie może być o tym mowy. Liczne wątpliwości i niezgodności powinny zostać uwzględnione na korzyść oskarżonego i doprowadzić do jego uniewinnienia. W tym sensie jego przypadek pasuje też do rozdziału *In dubio pro reo*.

Zabójstwo policjantów na autostradzie

(Stany Zjednoczone, Floryda, 20 lutego 1976-9 października 1992)

Dwudziestego lutego 1976 roku dwudziestoosmioletnia Sonia J., rasy białej, jej znajomy Jesse T. oraz jego przyjaciel Walter R. jadą zielonym *camaro* Jessego autostradą nr 95 na Florydzie. Zatrzymują się na parkingu przed bufetem, by trochę odpocząć. Są z nimi sześciolatek syn Soni i dziesięciomiesięczna córka Jessego. Podczas gdy wszyscy śpią w wozie, zbliża się czarny samochód policji drogowej stanu Floryda z dwoma funkcjonariuszami. Przez radio sprawdzają oni dane zielonego *camaro*. Dowiedziawszy się, że Jesse T. ma pokaźny rejestr kar, postanawiają bliżej skontrolować auto i pasażerów. Dochodzi przy tym do strzelaniny. Obaj policjanci zostają śmiertelnie trafieni. Walter R. siada do ich radiowozu i nakazuje to samo pozostałym. Kilka kilometrów dalej

zatrzymuje się i porywa inny samochód wraz z kierowcą. Niedługo potem traci panowanie nad pojazdem, próbując wyminąć blokadę policyjną. Łąduje w przydrożnym rowie i zostaje zatrzymany wraz z przyjaciółmi.

Podczas przesłuchań Sonia i Jesse od początku potwierdzają, że śmiertelne strzały oddał Walter R. Potem nie mieli innego wyboru, jak uciekać z nim policyjnym radiowozem. Fakt, że ślady prochu znaleziono zarówno na rękach Waltera R., jak i Jessego T., Jesse wyjaśnia tym, że Walter po oddaniu strzałów wcisnął mu broń do ręki. Walter R. jednak twierdzi coś wręcz przeciwnego i obwinia o popełnienie podwójnego zabójstwa Jessego T. Cała trójka zostaje oskarżona o morderstwo przed sądem przysięgłych hrabstwa Broward. Prokuratura proponuje Walterowi R. układ: skończy się dla niego na dożywociu, jeśli będzie zeznawać podczas procesu przeciw Jessemu i Soni. Walter R. przystaje na to. W wyniku tego Jesse T. zostaje skazany na śmierć.

W sprawie Soni J. oskarżenie przedstawia zeznanie jej towarzyszkę z celi, która twierdzi, że Sonia przyznała się jej do udziału w morderstwie. Opinia publiczna jest oburzona i nastawiona przeciw oskarżonej. Ława przysięgłych uznaje Sonię za winną, zaleca jednak tylko wyrok dożywocia. Jednak sędzia Daniel R., były funkcjonariusz Florida Highway Police, w kręgach prawniczych zwany Maximum Dan, na którego stole sędziowskim stoi miniaturka krzesła elektrycznego, lekceważy to, skazując na śmierć także Sonię J.

W 1978 roku Florida Supreme Court uchyla chwilowo ten wyrok i nakazuje przeprowadzenie przesłuchania mającego wyjaśnić, czy prokuratura hrabstwa Broward zataiła materiały odciążające, jak twierdzi obrona. Chodzi szczególnie o pewien nieprzedstawiony podczas procesu pisemny raport strażnika więziennego. Oświadcza on w nim, że Walter R. przyznał mu się, że sam zastrzelił policjantów. Sądowi nie przedstawiono też wyników badania wariografem, któremu poddano Waltera R., ponieważ nie zgadzały się z jego zeznaniami podczas procesu. Sędzia Daniel F. znajduje jednak sposób, by odsunąć te obciążające zarzuty. Oznajmia, że oświadczenie strażnika więziennego jest niejasne

Q5

i dwuznaczne. Poza tym nie da się już ustalić, co właściwie powiedział Walter R. podczas badania wykrywaczem kłamstwa, ponieważ nie istnieje dokładny zapis pytań i odpowiedzi. Dlatego nowy proces nie jest konieczny. W 1981 roku Florida Supreme Court aprobuje to i zatwierdza wyrok skazujący Sonię], zmienia jednak wymiar kary na dożywotnie więzienie. Sędzia Daniel F. musi się zastosować do zalecenia ławy przysięgłych.

Rok później Walter R. odwołuje w więzieniu swoje zeznanie. To nie Jesse T. czy Sonia J. strzelali, tylko on sam jest mordercą, twierdzi teraz. Niedługo potem znowu zmienia swoją wersję, później czyni to jeszcze kilkakrotnie. Jednak mimo poważnych wątpliwości co do prawdziwości zeznań procesowych Waltera R., głównego świadka oskarżenia, Jesse T. pozostaje w celi śmierci. Od czternastu lat oczekuje tam na egzekucję. Jego odwołania są odrzucane.

Czwartego maja 1990 roku nadchodzi czas wykonania wyroku. Jesse zostaje przypięty do krzesła elektrycznego. Trzeba trzykrotnie przerywać egzekucję, bo z głowy skazańca buchają płomienie i dym, podczas gdy on sam jeszcze oddycha i porusza się. Ta makabryczna scena przyczynia się do tego, że od 2000 roku wyroki śmierci w stanie Floryda nie są wykonywane na krześle elektrycznym, tylko przez wstrzyknięcie trucizny.

Niedługo po tej egzekucji towarzyszka z celi więziennej Soni J. przyznaje, że podczas postępowania popełniła krzywoprzysięstwo. Sonia do niczego jej się nie przyznała, przeciwnie, twierdziła, że jest niewinna. Detektywi policyjni groźbą skłonili ją do tego zeznania - zrobienie sobie wroga z prokuratury miałoby dla niej przykre konsekwencje.

Teraz sprawę przejmuje Micki D., przyjaciel Soni z czasów młodości, który stał się sławnym producentem filmowym. Micki jest przekonany o jej niewinności. Nakręca film dokumentalny pod tytułem In the Blink of an Eye (W mgnieniu oka), pokazywany później w telewizji, piętnujący błędny wyrok na Sonię. Przy współudziale nowych adwokatów udaje się wszcząć procedurę Habeas Corpus, mającą na celu ustalenie, że Sonia J. nie miała uczciwego procesu, a jej prawa konstytucyjne zostały naruszone. Court of
gó

Appeal potwierdza to rzeczywiście otwarcie w lutym 1992 roku i nakazuje wszczęcie nowego postępowania.

W październiku 1992 roku prokuratura hrabstwa Broward proponuje So-ni J. ułaskawienie. Obejmuje to jednocześnie zwolnienie jej jako niewinnej. Daje się Soni do zrozumienia, że wszczęcie nowego procesu grozi ponownym skazaniem na karę śmierci. Kobieta przystaje na tę ugodę. Po prawie siedemnastu latach niesłusznie odsiedzianego więzienia wychodzi na wolność 9 października 1992 roku. Nie otrzymuje żadnego odszkodowania.

Kiedy osadzono ją w więzieniu w 1976 roku, jej córka Tina, owoc związku z Jesse'em T, miała dokładnie dziesięć miesięcy i była jeszcze karmiona piersią. Teraz Sonia wychodzi ze swojej celi jako postarzała pięć-dziesięcioletnia, a jej szesnastoletnia córka jest dla niej obcą osobą. Syn Soni już dawno założył własną rodzinę, a jego czteroletnia córeczka wita babcię pytaniem: Grandma, were you lost? (Babciu, zaginęłaś?). Sonia zaś odpowiada: „Tak, rzeczywiście”.

Sonię wciąż nawiedzają senne koszmary. Biega w nich po ciemnym korytarzu, szukając swojej celi, ale nie może jej odnaleźć. „Początkowo czułam się kompletnie wyobcowana” - mówi reporterom prasowym. W celi przynajmniej się o nią troszczono. „Na zewnątrz nie mam nic. Żadnych pieniędzy, żadnego miejsca, gdzie mogłabym pójść i gdzie bym przynależała. Świat, jaki opuściłam, już nie istnieje”. „Anioły celi śmierci”. Sprawa Anthony'ego P.

(Stany Zjednoczone, Illinois, 15 sierpnia 1982-5 lutego 1999)

Po południowej stronie Chicago leży Washington Park z wielkim, często odwiedzanym basenem. Tu właśnie 15 sierpnia 1982 roku około godziny pierwszej w nocy zostali zabici strzałami w głowę osiemnastoletni Jerry H. oraz jego dziewiętnastoletnia narzeczona Marilyn G.

W trakcie poszukiwań nieznanego mordercy sprawdzane są wszystkie karane wcześniej osoby w mieście, mogące mieć związek z tym przestępstwem.

Jest wśród nich także ciemnoskóry Anthony R, urodzony w 1954 roku w ubogiej dzielnicy Chicago jako jedno z dziewięciorga dzieci, skazany w 1980 roku na karę więzienia za napad rabunkowy. Należy do South Side Gang. Dowiedziawszy się, że jest poszukiwany przez policję jako podejrzany o morderstwo, sam zgłasza się na komisariat, by dowieść swej niewinności. Ma bowiem dwóch świadków alibi. Jego przyjaciel oraz żona jego brata mogą potwierdzić, że w noc morderstwa przebywał w domu swojej matki i nigdzie stamtąd nie wychodził.

Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Anthony zostaje natychmiast aresztowany i oskarżony o podwójne morderstwo. Policjanci nawet nie chcą słuchać jego historii. Przepytują go godzinami, biją książką telefoniczną i próbują wymusić przyznanie się do winy. Od początku traktują go tak, jakby był winny. Brak jednak przeciw niemu jakichkolwiek poszlak czy dowodów.

Policja odnajduje dwóch mężczyzn, którzy w chwili popełnienia przestępstwa kąpali się w basenie. Jeden z nich, Henry W, oświadcza, że jakiś kolorowy ukradł mu dwa dolary, kiedy wyszedł z basenu. Rozpoznaje go jako Anthony'ego R. Potem widział, jak człowiek ten przykłada broń do głowy jednej z ofiar. A kiedy przeskoczył ogrodzenie basenu, usłyszał dwa strzały. Drugi świadek, William T., mówi początkowo, że nie widział mordercy. Potem twierdzi, że usłyszał strzały, a później zauważył przy basenie Anthony'ego R. Natomiast po siedemnastogodzinnym (!) przesłuchaniu oświadcza, że istotnie widział, jak Anthony R zastrzelił tę parę. W ciemności i z odległości ponad pięćdziesięciu metrów miał rzekomo rozpoznać twarz ciemnoskórego Anthony'ego.

Śledczy tak się skoncentrowali na Anthonym R jako .winnym, że nie sprawdzają innych tropów. Matka zamordowanej Marilyn G. informuje policję, że przypuszcza, iż morderstwo popełnił niejaki Alstory S. Człowiek ten miał ostrą scysję z narzeczonym jej córki na temat pieniędzy za narkotyki. Poza tym widziała ona Alstory'ego S. i jego była żoną w towarzystwie ofiar i to na krótko, zanim zostali zabici. Nie sądzi, by Anthony R miał coś wspólnego z tą sprawą. Na tej podstawie funkcjonariusze Northwestern Police

Q8

odszukują Alstory'ego S. i jego była żonę. Tylko po to jednak, by pokazać im fotografię paszportową Anthony'ego R i zapytać, czy znają tego człowieka i coś im wiadomo o tym przestępstwie. Ci zaprzeczają, oświadczając, że w noc morderstwa nie było ich w Washington Park. Dla policjantów sprawa jest załatwiona. Nie stawiają dalszych pytań, a oboje podejrzani już o nich nie usłyszą.

Chociaż Anthony E utrzymuje, że jest niewinny, zostaje oskarżony o podwójne morderstwo. Ponieważ brak mu środków finansowych, powinien otrzymać obrońcę z urzędu. Jego rodzina uważa jednak, że znacznie lepiej wynająć prywatnego adwokata z Chicago. Mobilizują wszystkie fundusze i powierzają sprawę Akimowi G. Żąda on dziesięciu tysięcy dolarów i zabiera się do przygotowania obrony. Ale gdy otrzymuje ledwie trzy tysiące - na więcej rodzinę nie stać - przerywa wszelkie rozpoczęte dochodzenia i badania.

Proces Anthony'ego R rozpoczyna się na początku września 1983 roku przed sądem obwodowym hrabstwa Cook. Obrońca Akim G. zasypia podczas rozprawy. Sędzia musi go budzić. Akim G. powołuje na ławę świadków tylko oboje świadków alibi oraz fotografa, który wykonał zdjęcia z lotu ptaka Washington Parku, świadka całkiem bez znaczenia. Po mowach końcowych przysięgli naradzają się przez dziewięć godzin. Potem przychylają się do zeznań naocznych świadków i uznają Anthony'ego R za winnego wszystkich zarzucanych mu czynów.

Dopiero teraz obrońca krytykuje niezgodny z przepisami skład ławy przysięgłych. Odkrył on, że jeden z nich uczęszcza do tego samego kościoła co matka jednej z ofiar. Przysięgły ten przemilczał tę znajomość podczas przesłuchań przy ustalaniu składu ławy przysięgłych. Uświadomił to sobie, oświadcza potem, już po rozpoczęciu procesu. Może jednak zapewnić, że znajomość ta nie ma żadnego wpływu na podejmowane przez niego decyzje. Sędzia zadowolona się tym i odrzuca wniosek obrońcy w kwestii stronniczości. W dniu 9 września 1983 roku skazuje on Anthony'ego R na karę śmierci, nazywając go w uzasadnieniu wyroku „perwersyjnym żarłaczem”. Skazany zostaje umieszczony w celi śmierci.

Odwołanie Anthony'ego zostaje odrzucone przez Supreme Court w Illinois 21 lutego 1986 roku. Trzech sędziów uważa, że znajomość przysięgłego z matką ofiary czyni go stronniczym, co stanowi podstawę do uchylenia wyroku. Czterech sędziów jest przeciwnego zdania, ponieważ zwrócił on na to uwagę dopiero podczas rozprawy, zatem znajomość nie mogła być bliska, toteż nie wpłynęła na podejmowane przezeń decyzje. Tak więc niewielką przewagą głosów odmówiono skazanemu możliwości wznowienia procesu.

W październiku 1986 roku do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych wpływa petycja o wznowienie procesu. W kolejnej petycji podkreślono, że Anthony P. nie miał wystarczającej obrony, ponieważ jego adwokat Akim G. nie powołał czterech ważnych świadków. Także ten wniosek zostaje odrzucony przez sąd najwyższy stanu Illinois 26 stycznia 1995 roku. Podobnie dwa dalsze podania do Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych z kwietnia 1997 roku oraz do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych ze stycznia 1998 roku.

Droga prawna została już całkowicie wyczerpana. Anthony R szesnaście lat czeka w więzieniu na egzekucję. Jest to dodatkowe cierpienie szczególnej natury. Wreszcie nadchodzi czas. Termin wykonania kary wyznaczono na 23 września 1998 roku.

W tym czasie podniosła się fala protestów przeciw temu wyrokowi. „Chicago Tribune” przestrzega w swoim artykule, że sprawa ta położy się cieniem na dobrym imieniu Illinois. Również Kościół wstawia się u gubernatora za Anthonym R Grupa nowych adwokatów pracuje teraz bezpłatnie na jego rzecz. Każą zbadać jego iloraz inteligencji. Okazuje się, że wynosi on ledwie 51, co świadczy o znacznym niedorozwoju umysłowym. Dlatego nowi obrońcy domagają się od sądu najwyższego Illinois odroczenia egzekucji, motywując to niemożliwością zrozumienia przez Anthony'ego R istoty kary. Jednak w Illinois dopuszcza się również egzekucje psychicznie chorych. Mimo to 21 września 1998 roku - dwa dni przed wykonaniem wyroku przez wstrzyknięcie trucizny - sąd nakazuje zbadanie stanu umysłowego Antho-ny'ego. Przyczyną odroczenia nie są wątpliwości co do winy skazanego, ale brak pewności, czy rozumie on w ogóle, co się z nim stanie i dlaczego.

Odroczenie to ratuje mu życie. Teraz bowiem zajmują się nim „anioły celi śmierci”. Tak określa się grupę studentów z Wydziału Dziennikarstwa im. Medilla na Northwestern University, kierowaną przez profesora Davida Protessa, ponieważ ci młodzi ludzie, zaprzysięgli przeciwnicy kary śmierci, zajmują się od pewnego czasu ratowaniem z celi śmierci osób przypuszczalnie niewinnych. Dwa lata wcześniej owi studenci dziennikarstwa prywatnej uczelni, położonej na eleganckim przedmieściu Chicago nad brzegiem jeziora Michigan, zwrócili uwagę całej Ameryki, gdyż udało im się doprowadzić do uwolnienia po osiemnastu latach więzienia grupy Ford Heights Four. Na podstawie podań i prośb o pomoc skazanych na śmierć grupa ta zestawiała listę niecierpiących zwłoki przypadków. A nazwisko Anthony'ego R zajmuje na niej najwyższe miejsce.

Studenci przystępują od razu do pracy. Na podstawie raportów policyjnych rekonstruują przebieg przestępstwa i publikują ogłoszenia, prosząc o zgłoszenie się wszystkich osób mogących się przyczynić do wyświecenia sprawy. Są przekonani o niewinności Anthony'ego E. Nie mając jednak pewności, czy zakończą pracę jeszcze przed wykonaniem egzekucji, angażują prywatnego detektywa Paula Ciolino, by przyspieszyć dochodzenie.

Ponieważ naoczny świadek Henry W już zmarł, pozostaje jeszcze możliwość dokładniejszego wypytania drugiego naocznego świadka Williama T. Paul Ciolino jest pewien, że William T. z miejsca, gdzie się znajdował, nie mógł widzieć tego, co zeznał. Świadek oświadczył, że Anthony R oddał strzał lewą ręką. Ten jest jednak praworęczny. Podczas rozmowy przeprowadzonej w grudniu 1998 roku, nagranej na kasetę wideo, William T. przyznaje, że istotnie wcale nie widział Anthony'ego R. Początkowo mówił to i policjantom. Ci jednak zmusili go pod groźbą przemocy, by złożył inne zeznanie, obciążając Anthony'ego R. Nagranie to, pokazane w chicagowskiej telewizji, wzbudziło olbrzymią sensację.

Na tym jednak nie koniec. Studenci idą też tropem Alstory'ego S. i jego byłej żony, których swego czasu policjanci przeoczyli jako podejrzanych. Najpierw biorą na cel kobietę. Przyznaje ona 29 stycznia 1999 roku podczas podobnie zarejestrowanej rozmowy, że morderstwo popełnił

Alstory S. Ten film również przesłano do telewizji, co jeszcze pogłębiło publiczne wzburzenie. Trzeciego lutego 1999 roku detektyw Paul Ciolino podczas rozmowy z Alstorem S. przedstawia mu zeznania jego byłej żony. Ten załamuje się i przyznaje do morderstwa. Nagrania wideo tej rozmowy wyemitowali jednocześnie wszyscy nadawcy. Miał on z Jerrym H. i Marilyn G. ostrą kłótnię o pieniądze z handlu narkotykami, podczas której doszło do rękoczynów. Poczul się po tym przybity, więc oboje zastrzelił. To przyznanie się do winy było prawdziwą bombą. Reporterzy z całego świata szturmują biuro grupy studenckiej.

Już dwa dni później, 5 lutego 1999 roku, Anthony R. zostaje zwolniony, bo dowiedziono jego niewinności. Wydany na niego wyrok zostaje uchylony. Odkąd Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych przywrócił w 1977 roku karę śmierci, Anthony jest w Illinois dziesiątą osobą skazaną na śmierć, która musiała zostać zwolniona, a siedemdziesiątą szóstą w całym kraju. Stało się to po prawie siedemnastu latach niesłusznie odsiedzianych w więzieniu. Zawsze utrzymywał, że jest niewinny, ale nikt mu nie wierzył. „To jest jak manna z nieba” - mówi jeden ze studentów. A prywatny detektyw Paul Ciolino grzmi: „To niewybaczalne. Gdyby ci policjanci rozejrzeli się gdzie indziej, przy niewielkim nakładzie czasu i wysiłku, szybko by odkryli, kto popełnił to morderstwo”.

Jednak chicagowska prokuratura nie ma zamiaru przeproszać i uchyla się od wszelkiej odpowiedzialności. Pracowano bardzo gruntownie, a sprawę badali wielokrotnie sędziowie Sądu Najwyższego. Niedługo potem gubernator George Ryan przyznaje, że w Illinois są problemy z wymiarem sprawiedliwości. Pod koniec kadencji, w styczniu 2003 roku, ułaskawia wszystkich stu sześćdziesięciu siedmiu skazanych oczekujących na wykonanie wyroku śmierci ze swojego stanu. Ten system jest arbitralny, nieobliczalny i niemoralny, oświadcza on podczas pewnego przemówienia w Chicago. Dlatego nie może dłużej ponosić ryzyka, że niewinni ludzie będą poddawani egzekucji.

Siódmego września 1999 roku Alstory S. zostaje skazany za podwójne morderstwo na trzydzieści siedem i pół roku więzienia. Oskarżenie przeciw jego byłej żonie upadło 21 stycznia 2000 roku. Anthony P. domaga się

od chicagowskiej policji odszkodowania. Rezultat tego postępowania nie jest znany.
Strzelanina w Roxbury. Sprawa Shawna D.

(Stany Zjednoczone, Massachusetts, 1988-2003)

Jednym z najświeższych skandali dochodzeniowych w Stanach Zjednoczonych jest sprawa Shawna D., która bulwersuje w 2003 roku opinię publiczną i wywołuje dyskusję, co należy zrobić, by uzdrowić wyraźnie skorumpowany tamtejszy system sądowniczy.

W ciepły letni wieczór 19 sierpnia 1988 roku około godziny dwudziestej pierwszej dwunastoletni ciemnoskóry Tiffany M. siedzi przy Humboldt Ave-nue w Roxbury (Massachusetts) na skrzynce pocztowej i rozmawia z przyjaciółmi. Nagle rozlegają się strzały. Dwie bandy młodzieżowe urządzają sobie na ulicy strzelaninę. Takie gwałtowne starcia stały się ostatnio w sąsiedztwie dosyć częste. Dochodzi do eskalacji krwawej wojny gangów. Tiffany dostaje się w krzyżowy ogień i zostaje śmiertelnie trafiony trzema kulami.

Dziesięć dni później bostońska policja aresztuje dwudziestodwuletniego kolorowego Shawna D., dealera narko tyko wago, który już kilkakrotnie wchodził w konflikt z prawem. Czterech świadków, wszyscy nastoletni, w tym kilku małych, miało widzieć, jak Shawn D. uciekał po strzałach z miejsca zdarzenia.

Na podstawie ich zeznań Shawn D. zostaje oskarżony o morderstwo. Jego obrońca Rosemary S. tłumaczy podczas rozprawy, że wszyscy członkowie gangu nosili maski ze święta Halloween i już choćby dlatego nie było możliwe rozpoznanie w ciemności tego, kto oddał śmiertelne strzały. Shawn utrzymuje, że w tym momencie w ogóle nie znajdował się na miejscu zdarzenia, tylko kilka przecznic dalej na Sonoma Street. Przysięgli jednak nie dają temu wiary i uznają złożone pod przysięgą zeznania rzekomych świadków. W 1989 roku Shawn D. zostaje skazany na dożywocie.

Siedzi za kratkami prawie piętnaście lat. Dick Lehr, reporter „Boston Globe”, studiuje jego sprawę i nabiera poważnych wątpliwości co do winy Shawna. Sprawdza, kim byli ówczesni świadkowie, odszukuje ich i odbywa z nimi rozmowy. Erie J., mający w chwili zdarzenia piętnaście lat, przyznaje, że prowadzący śledztwo zmusili go, by zeznał, iż widział Shawna D. na miejscu przestępstwa. Wcale jednak tak nie było. Również trzy-dziesięciosiedmioletni dziś Vantrell McR wyznaje, że policjanci wpływali na niego, zastraszali i nakłaniali, by złożył takie zeznania. Także dwóch pozostałych świadków przyznaje się do złożenia na procesie fałszywych zeznań i popełnienia krzywoprzysięstwa. Zostali do tego zmuszeni przez policję. Grożono im, że inaczej sami pójdą za kratki.

Z tego powodu w maju 2003 roku dochodzi do przesłuchania przed Suffolk Superior Court, podczas którego wszyscy czterej świadkowie potwierdzają to, co wyznali reporterowi. Sąd uznaje, że Shawn D. nie miał uczciwego procesu i nakazuje natychmiast go zwolnić. Spędził on niewinnie w celi piętnaście lat za przestępstwo, z którym nie miał nic wspólnego. Prokuratura nie uważa za konieczne przeprosić go oficjalnie za popełnione uchybienia.

Jednak prasa i telewizja mówią o porażce aparatu sądowego i piętnują bezprawne praktyki prowadzących śledztwo. Cały system jest skorumpowany, twierdzą media. Pojawiają się żądania natychmiastowego zbadania sprawy i powołania komisji, która szybko wprowadzi konieczne reformy i zadba o to, by podobne pomyłki wymiaru sprawiedliwości nie powtórzyły się w stanie Massachusetts.

Kłamstwo jako dowód winy. Sprawa Scotta H.

(Stany Zjednoczone, Rhode Island, 12 sierpnia 1989-7 stycznia 2003)

Mężczyźni szaleją na widok jej ust o pełnych, zmysłowych wargach. Ale Vicky C, lat dwadzieścia dziewięć, ma nie tylko wygląd gwiazdy filmowej o podniecającej figurze. Jest przy tym mądra i wykształcona, zna biegle

cztery języki obce. W lecie 1989 roku ta pełna temperamentu i pewna siebie kobieta, wiedząca, czego chce, pracuje w sklepie sportowym w Warwick na Rhode Island. Mieszka ze swoim kotem tuż obok, w niewielkim mieszkaniu, marząc, że założy kiedyś własną rodzinę. Jak dotąd jednak nie znalazła jeszcze kandydata na męża. Znajomości z pewnym barmanem z sąsiedztwa oraz Toddem B., stolarzem z Warwick, to tylko przelotne związki o czysto seksualnym charakterze.

Pewnego niedzielnego poranka w lipcu 1989 roku kobieta wygląda przez okno swego mieszkania i dostrzega Scotta H. Ten przystojny, atletycznie zbudowany młody człowiek pracuje jako detektyw w policji w Warwick. Od kilku lat jest szczęśliwym małżonkiem i ma siedmiomiesięcznego synka. Vicky natychmiast przychodzi na myśl: „Chcę mieć tego faceta!”.

Znajduje sposób, by poznać Scotta, i nie pozostawia wątpliwości, czego od niego chce. Mężczyzna próbuje zejść jej z drogi, jednak po kolejnych próbach nawiązania bliższej znajomości ulega urokowi i wdziękowi Vicky i kilka razy spotyka się z nią potajemnie. Dwukrotnie dochodzi do fizycznego zbliżenia, bardzo satysfakcjonującego dla obojga. Potem jednak Scotta nachodzą silne wyrzuty sumienia i postanawia natychmiast zakończyć znajomość. Vicky jest smutno, gdy to od niego słyszy, i pisze do niego list. Nie oczekuje, że porzuci dla niej żonę, pisze. Ale ich związek jest jednak czymś szczególnym, więc prosi go, by z niego nie rezygnował. Kładzie kopertę z listem na nocnym stoliku obok kasetki z biżuterią i notesu z adresami, ale jej nie wysyła.

W nocy 12 sierpnia 1989 roku Scott spędza noc na imprezie u kolegi, więc nazajutrz śpi do południa. Służbę ma dopiero od szesnastej. Vicky nie było na tym spotkaniu. Pracownicy sklepu sportowego dziwią się, że o dziesiątej rano jeszcze jej nie ma w pracy, i pukają do drzwi jej mieszkania. Kiedy nikt nie odpowiada, jeden z kolegów wchodzi do środka przez otwarte okno kuchenne. Na podłodze pokoju znajduje w kałuży krwi martwe ciało Vicky. Na szyi widać ślady duszenia. Obok zwłok leży ciężka gaśnica, którą najwyraźniej strzaskano jej czaszkę.

Miejsce przestępstwa zostaje sfilmowane kamerą wideo przez wezwaną natychmiast ekipę policyjną. Zabezpieczono parę żółtych gumowych rękawiczek, leżących obok zwłok. Są wywiniete do wewnątrz, jakby je pospiesznie ściągnięto. Na środkowym palcu jednej z nich funkcjonariusze odkrywają czerwoną plamkę. Może to ślad krwi. Nikt jednak nie idzie tym tropem. Metoda analizy DNA nie jest jeszcze dostępna. Próby zdjęcia z rękawiczek odcisków palców spełzają na niczym. Nie poświęcono też uwagi roztrzaskanej, leżącej obok rękawiczek szkatułce na kosztowności ani notesowi, zawierającemu nazwiska i adresy wszystkich znajomych zamordowanej. Te niewiarygodne błędy dochodzeniowe powodują, że podejrzenie pada wyłącznie na Scotta H. Na stoliku nocnym znaleziono bowiem skierowany do niego list. Sprawa staje się przez to nieprzyjemna. Funkcjonariusz Warwicker Police Department jest domniemanym mordercą! Jego dowódca nakazuje traktować Scotta jak każdego innego podejrzanego. Należało go więc właściwie wyrwać bezzwłocznie ze snu i doprowadzić na przesłuchanie na posterunek. Jednak dwaj starsi koledzy Scotta, kapitan Ronald C. i porucznik Edward J. przyczyniają się do tego, że zaczekano na jego przybycie na popołudniową zmianę. Informują go o zamordowaniu Vicky C, zapraszają do pokoju przesłuchań i rozpoczynają przepytывanie. Nagrywają wszystko na magnetofon kasetowy, jednak później taśma znika. Pytają Scotta, czy zna Vicky C, ale nie mówią mu o znalezionym liście, o którym on nic nie wie. Pytają także, czy był z nią w intymnych stosunkach. Owszem, odpowiada Scott, zna ją, ale nie był z nią w intymnych stosunkach. Jest to kłamstwo, które później stanie się dla niego zgubne. Nie chce, by żona dowiedziała się o jego niewierności. Kapitan C. wierzy mu i oświadcza, że Scott nie jest już podejrzany, po tym jak badanie na wykrywaczu kłamstw, któremu ten poddał się dobrowolnie, niczego nie dowiodło. Przez ponad dwa lata sprawa ta pozostaje otwarta i nierozwiązana. Potem wkracza prokurator generalny Rhode Island, Sheldon W. i przekazuje ją policji stanowej, która wznawia dochodzenie przeciw Scottowi H. Przeznaczony dla Scotta list staje się teraz istotnym dowodem. Vicky C. musia-

IOÓ

ła znać swego mordercę. Nie padła ona ofiarą obcego rabusia, dedukują policjanci, bo z mieszkania nic nie zginęło. Nie została też zgwałcona. Zabójca zachowywał się w sposób bardzo opanowany. Najpierw podduśił ofiarę, aż straciła przytomność, potem poszedł do kuchni. Tam przetrząsnął szuflady, aż znalazł gumowe rękawiczki. Na koniec roztrzaskał Vicky czaszkę gaśnicą. Jaki sprawca działa z tak zimną krwią? Funkcjonariusz policji, albo funkcjonariusze, do tego mający motyw. Może ofiara szantażowała już Scotta H., chcąc doprowadzić do kontynuacji ich romansu. Z obawy przed odkryciem i rozbiciem rodziny Scott zabił kobietę. Nie ma na to wprawdzie żadnych świadków, żadnych odcisków palców na narzędziu zbrodni czy śladów krwi na ubraniu Scotta. Są jednak poszlaki. A przede wszystkim pewne kłamstwo. Scott H. zaprzeczył, jakoby miał intymne stosunki z Vic-ky C. Chciał przez to zatrzyć prowadzący do niego ślad.

Scott gotów jest współpracować z policją. Ma zaufanie do systemu. Jednak każde jego słowo podczas dalszych przesłuchań przyjmowane jest z wielkim sceptycyzmem. Prowadzący dochodzenie niedowierzają jego odpowiedziom i traktują sprawę zgodnie z prostą, ale fałszywą logiką: kto kłamie, tego można też podejrzewać o morderstwo. Scott pojmuje to z piorunującą jasnością, kiedy w 1994 roku, pięć lat po tym, jak zamordowano Vicky, trzyma w ręku akt oskarżenia o morderstwo.

Podczas procesu, który potem nastąpił, obstaje konsekwentnie przy swojej niewinności. Przyznaje tylko, że skłamał. Żonie już w 1992 roku przyznał się do wiarołomstwa. „Czy dopuściłem się winy?” - pyta ławę przysięgłych i sam od razu udziela odpowiedzi: „Owszem, złamałem świętą przysięgę małżeńską. I tego nigdy sobie nie wybaczę!”. Liczy na asa, którego trzyma jeszcze w rękawie, na swoje alibi. W noc, kiedy zamordowano Vicky, był na przyjęciu z wieloma ludźmi. Prokuratura jednak podważa jego alibi twierdzeniem, że mógł przecież opuścić imprezę, zamordować Vicky i wrócić niepostrzeżenie. O tym, że wtedy na jego ubraniu powinny być przynajmniej ślady krwi, nikt z ławy przysięgłych nie pomyślał. W czerwcu 1996 roku Scott H. zostaje uznany za winnego. Sąd skazuje go na dożywocie.

Sędzia Robert K. z Rhode Island Supreme Court odrzuca w 1999 roku jego apelację. Prokuratura przedstawiła sprawę w sposób tak przekonujący, oświadcza, i poparła tak wiarygodnym materiałem dowodowym, że nie może być wątpliwości, iż Scott H. skazany został zasadnie i zasłużenie. Zrozpaczony ekspolicjant traci teraz wszelką nadzieję, że kiedykolwiek wyjdzie na wolność. Byłoby lepiej, mówi żonie, gdyby się z nim rozstała. Niedługo potem rozwód zostaje orzeczony.

Od kilku lat w amerykańskich stanach Massachusetts, Vermont, New Hampshire, Rhode Island, Connecticut i Maine działa New England Innocence Project, stowarzyszenie adwokatów, naukowców i studentów, które postawiło sobie za cel sprawdzenie w miarę możliwości wszystkich wątpliwych ich zdaniem wyroków przy zastosowaniu badania DNA. Udało się w ten sposób wyciągnąć z więzienia ponad sto osób skazanych na śmierć, których niewinność potwierdzono. Rob Feldman, bostoński adwokat i członek tego stowarzyszenia, zajął się też sprawą Scotta i wniósł o przeprowadzenie z nakazu sądu i na koszt państwa badania DNA. Procedura ta jest jednak nie tylko bardzo kosztowna, ale i dość żmudna.

W Scotta H. wstępuje teraz nowa nadzieja. Ale musiałby po sześciu i pół roku więzienia spędzić jeszcze w swojej celi dalsze lata, gdyby 1 listopada 2002 roku nie przyszedł mu z pomocą szczęśliwy przypadek. Incydent, o którym prokurator generalny Sheldon powie później, że szanse, by coś podobnego zaszło, wynoszą jeden na milion.

Todd B., lat czterdzieści pięć, cieśla z Warwick, zjawia się na tamtejszym posterunku policji w towarzystwie adwokata. Wyznaje, że nocą 12 sierpnia 1989 roku zamordował Vicky C. Przez trzynaście lat utrzymywał w tajemnicy tę straszliwą prawdę, teraz chce w końcu ulżyć sumieniu. Nie tylko ta brutalna zbrodnia, ale i świadomość, że inny niewinny człowiek siedzi zamiast niego w więzieniu, sprawiały mu coraz większe cierpienie, którego nie mógł już wytrzymać. Funkcjonariusze sądzili początkowo, że to jakiś obłąkany chce tylko zwrócić na siebie uwagę. Gdy jednak przesłuchali go dokładniej, dowiedzieli się o szczegółach, które mógł znać tylko

Todd B. wyjaśnia, że wieczorem 12 sierpnia 1989 roku wypit dużo alkoholu. Potem nagle zapragnął gwałtownie Vicky C, którą znał od pewnego czasu i z którą odbył już też kilka cudownych zbliżeń. Dlatego tamtej nocy poprzez głębiej położony dach sąsiedniego budynku dostał się przez kuchenne okno do jej mieszkania. Leżata pótnaga w tózkę, spała już. Gdy ją obudził, nie była zaniepokojona ani przerażona. Spytała tylko: „Co tu robisz?”. Nie przystała na jego życzenie, odparła raczej, że jest teraz w trwałym związku ze Scottem H., który niebawem rozstanie się dla niej z rodziną. Todd B. wyśmiał ją, co ją bardzo zirytowało. Gdy kobieta spostrzegła, że jej kot wymknął się przez okno, które intruz pozostawił otwarte, rozgniewała się jeszcze bardziej i zażądała od Todda, by go poszukał na dachu. Tak go to rozwścieczyło, że chwycił ją za gardło i dusił tak długo, aż osunęła się nieprzytomna na podłogę. Potem uderzył ją w głowę najpierw kasetką na kosztowności, a potem gaśnicą.

Na tej podstawie już 4 listopada 2002 roku oskarżono Todda B. o morderstwo. Dwa dni później Scott H. został zwolniony po odsiedzeniu w więzieniu sześciu lat, czterech miesięcy i osiemnastu dni. Ponad stu pięćdziesięciu przyjaciół i znajomych z Warwick zebrało i ofiarowało jemu i jego rodzinie pięć tysięcy trzysta dolarów, by im ułatwić start w nowe życie. Robert K., ten sam sędzia, który odrzucił odwołanie Scotta, uniemożliwiając wszczęcie nowego procesu, oznajmił 7 stycznia 2003 roku, że wyrok zostaje uchylony.

Jeszcze tego samego dnia Todd B. zostaje skazany za morderstwo na trzydzieści lat więzienia, z czego połowę w zawieszeniu. Jest to kolejny nieprzekonujący wyrok, albowiem skazany będzie mógł wyjść na wolność już po dziesięciu latach. Sąd przysięgłych dał wiarę jego osobliwej historii o kocie, obwiniając go nie o zaplanowane morderstwo, a tylko o działanie w afekcie. Wyrok ten jest policzkiem dla członków rodziny Vicky C, bo jej rzeczywisty zabójca otrzymuje łagodniejszy wymiar kary niż skazany wcześniej niewinny Scott.

Dla Scotta H. jest to koniec trzynastoletniego koszmaru. „Ten system zawiódł” - oświadcza po wyjściu na wolność, dobrze wiedząc, że jego

iog

kłamstwo było błędem. - „To, co mnie spotkało, może spotkać każdego!”. Nawet detektywa z dochodzeniówki. Sprawa ta jest szczególnie niepokojąca, ponieważ do błędnego wyroku nie doprowadziły tu niezgodne z prawdą zeznania świadków ani fałszywe orzeczenia biegłych sądowych czy nieudolna obrona. Przyczyną było raczej jednotorowe, niewłaściwie poprowadzone śledztwo, podczas którego nie badano innych tropów i które doprowadziło do przedwczesnego uznania podejrzanego za sprawcę. Gdyby dokładnie przejrzano notes z adresami Vicky i sprawdzono wymienione tam osoby, prawdopodobnie szybko natrafiono by na prawdziwego mordercę. Znajdowało się tam bowiem również nazwisko Todda B.

Morderstwo taksówkarki z Salzburga
(Austria, 5 lipca 1993-16 maja 2003)

W parną i gorącą letnią noc 5 lipca 1993 roku, niedługo po godzinie 24.00, dwudziestoosmioletnią taksówkarkę Claudię D. znaleziono martwą obok jej samochodu w salzburskiej dzielnicy Wals-Kaferheim. Brakowało kluczyków od wozu, portfela i dokumentów. Nie znaleziono ani użytej broni, ani pocisku. Obdukcja zwłok wykazuje, że kobieta została zabita strzałem w szyję z bliskiej odległości. Z jakiej broni, lekarz sądowy nie potrafi dokładnie określić.

Dwa dni później zgłasza się na policję dzierżawca położonej w pobliżu miejsca przestępstwa pizzerii i oznajmia, że gdy zamykał swój lokal w dniu zdarzenia, pojawił się młody człowiek w mundurze wojskowym, prosząc o podwiezienie samochodem na dworzec. Pokazał książeczkę wojskową, gospodarz lokalu zapamiętał imię „Peter”. Młodzieniec wsiadł na tył samochodu, potem przesunął się do przodu, gdy jadący z nimi kucharz wysiadł przy Bauerngasse.

Na tej ulicy znaleziono później w studziencie ściekowej dokumenty Claudii D. Policja kryminalna ustala, że w pobliskich koszarach Schwarzenberg służy niejaki Peter H., dziewiętnastoletni żołnierz z Gmunden. Kiedy jego

zdjęcie pokazano kierownikowi i kucharzowi z pizzerii, obaj rozpoznają w nim mężczyznę, którego podwieźli w nocy 5 lipca. Dlatego 8 lipca 1993 roku Peter H. zostaje aresztowany i oskarżony o morderstwo.

Już 9 lipca częściowo przyznaje się on do winy wobec funkcjonariuszy żandarmerii. W tę feralną noc po kłótni z przyjaciółką w Gmunden miał wrócić pociągiem do Salzburga, gdzie wsiadł na dworcu do taksówki Claudii D. Podczas jazdy do koszar rozłościł się. Peter H. przyznaje się do dokonania napadu rabunkowego. Miał problemy z pieniędzmi. Zabicie tej kobiety nie zostało jednak wcześniej zaplanowane. Kiedy siedział obok niej, prawą ręką przyłożył jej do szyi przerobioną na broń wyrzutnię rac sygnalizacyjnych, z rodzaju tych, jakich używają turyści w górach. Lewą ręką zabrał taksówkarce portfel i kluczyki od stacyjki. Kobieta próbowała przekonać go, by tego nie robił. Wtedy przez nieuwagę padł strzał, na co mężczyzna natychmiast stamtąd zbiegł. Między przybyciem na miejsce zdarzenia a wystrzałem upłynęło około pięciu minut.

Podczas następnych czternastu dni powtarza swoje zeznanie pięciokrotnie, także w obecności biegłego psychiatry, sędziego śledczego oraz w trakcie wizji lokalnej na miejscu przestępstwa. Jednak 23 lipca 1993 roku wszystko odwołuje. Wszystkie zeznania miał ponoć złożyć pod silną presją, załamawszy się po dwudziestogodzinnym (!) przesłuchaniu. W rzeczywistości w chwili popełnienia przestępstwa przebywał w domu, w Gmunden.

Salzburška prokuratura uzasadnia na dwudziestu dwóch stronach, dlaczego uważa, że Peter H. winien jest morderstwa i poważnego napadu rabunkowego. Powołuje czternastu świadków i na podstawie pierwotnych zeznań oskarżonego wychodzi z założenia, że narzędziem zbrodni była przerobiona na broń wyrzutnia rac sygnalizacyjnych z amunicją kalibru 22 milimetry. W dniu 10 czerwca 1994 roku sąd przysięgłych w Salzburgu skazuje jednogłośnie Petera H. na siedemnaście lat pozbawienia wolności. W wyniku postępowania odwoławczego Sąd Najwyższy Austrii podwyższa wymiar kary do lat dwudziestu.

Dwudziestego czerwca 1994 roku siedemnastoletni Daniel N. zostaje przesłuchany przez policję jako podejrzany o kradzież. Podczas

///

przesłuchania opowiada nagle, że był obecny podczas zamordowania Claudii C. Dokonał tego jego przyjaciel Tomi S. Narzędzie zbrodni, stary pistolet, wyrzucił w krzaki. Daniel powtarza swoje zeznania trzy dni później podczas nowego przesłuchania, odwołuje je jednak jeszcze tego samego dnia. Niedługo potem wraca do pierwszej wersji, którą znów odwołuje w 1995 roku.

Podanie o wznowienie postępowania, wniesione przez adwokata Petera H., oparte zasadniczo na zeznaniu Daniela N., zostaje w 1995 roku odrzucone przez sąd rejonowy w Salzburgu. Odmowa zostaje zatwierdzona przez sąd drugiej instancji w Linzu. Jednak Sąd Najwyższy uchyla te decyzje i nakazuje sądowi rejonowemu w Salzburgu uzupełnić postępowanie, zanim ponownie zostanie rozważona kwestia wznowienia procesu. Dlatego sędzia śledczy przeprowadza uzupełniające przesłuchania świadków. obrońca Petera H. przedstawia prywatne orzeczenia biegłych sądowych, według których śmiertelny strzał pociskiem małego kalibru nie mógł zostać oddany z lufy przyśrubowanej do pistoletu sygnałowego. Ponadto strzał oddano z przodu, a nie z boku. W wyniku wznowionego postępowania trzech sędziów sądu rejonowego w Salzburgu uzasadnia na trzydziestu pięciu stronach nieujawnionego do publicznej wiadomości orzeczenia, że nie pojawił się żaden materiał dowodowy, który usprawiedliwiłby wznowienie przewodu sądowego. Prośba zostaje odrzucona.

W 1998 roku, kiedy Peter H. odsiedział już ponad pięć lat więzienia, jego salzburski adwokat Franz Gerald Hitzenbichler wnosi do sądu rejonowego trzecie podanie o wznowienie procesu. Popiera je przede wszystkim ekspertyzami dwóch specjalistów od broni palnej, którzy wykluczyli „z dużym stopniem prawdopodobieństwa”, by strzał oddano z przerobionej wyrzutni rac sygnalizacyjnych. Uznali oni za możliwe, że użyto pistoletu parabellum z pociskami 9 milimetrów.

Tym razem sąd rejonowy w Salzburgu przychyliła się do wniosku obrony. W kwietniu 2001 roku sąd drugiej instancji w Linzu nakazuje natychmiastowe zwolnienie Petera H. za kaucją w wysokości ośmiuset tysięcy szylingów (obecnie około 58 tysięcy euro).

Prowadzone od nowa dochodzenie wstępne trwa rok. Następnie prokurator Barbara F. przedstawia nowy akt oskarżenia. Liczy on teraz pięćdziesiąt pięć stron - jest dwakroć grubszy niż pierwszy. Ma być wezwanych czterdziestu czterech świadków i wysłuchanych czterech biegłych. Mecenass Hitzenbichler wnosi protest przeciw temu oskarżeniu. Jednak sąd drugiej instancji w Linzu odrzuca go, uzasadniając, że twierdzenia oskarżenia „nie są pozbawione logiki” i istnieje „równie jak dawniej poważne podejrzenie o popełnienie przestępstwa”. Ocena materiału dowodowego zastrzeżona jest dla nowego sądu przysięgłych. Sąd drugiej instancji w Linzu wypowiada się też w kwestii starego pistoletu Wehrmachtu, który według zeznań Daniela N. jego przyjaciel Tomi przerzucił po dokonaniu przestępstwa przez mur. Broń ta, odnaleziona w kwietniu 1999 roku w zaroślach, „nie nadaje się już do użytku” i dlatego nie jest możliwe uznanie jej za narzędzie tego przestępstwa. Zresztą Peter H. „nie przedstawił zrozumiałego wyjaśnienia, dlaczego początkowo przyznał się do przestępstwa”. W każdym razie obowiązuje wobec niego, póki nie zapadnie nowy wyrok, zasada domniemania niewinności.

W kwietniu 2003 roku przed sądem rejonowym w Salzburgu rozpoczyna się nowy proces Petera H. Nie jest on ofiarą wymiaru sprawiedliwości, oświadcza pani prokurator. „Jest nadal poważnie podejrzany”. Obrona natomiast utrzymuje, że: „Organa ścigania pomyliły się. Cała ta historia jest sfabrykowana”. Miejsce przestępstwa nie zostało odpowiednio zabezpieczone. W aktach brak jest notatek. Niektóre dowody zabezpieczono z opóźnieniem, w papierach panuje bałagan. Sędzia Peter Reifenberger oświadcza: „Mamy nadzieję, że nie doszło tu do żadnych manipulacji”. Przedstawiono tylko materiał dowodowy świadczący przeciw Peterowi H. Obrona składa doniesienie karne przeciw sześciu funkcjonariuszom żandarmerii, którzy w 1993 roku prowadzili śledztwo, z powodu podejrzeń o nadużycie władzy urzędowej, fałszywe zeznania w postępowaniu dowodowym, zatajanie oraz fałszowanie dokumentów.

Oskarżony ponownie oświadcza: „Jestem niewinny i nie mam z tym nic wspólnego”. W drugim tygodniu rozprawy jego matka zeznaje jako świadek,

że 5 lipca 1993 roku jej syn nie był w Salzburgu, tylko w mieszkaniu rodziców w Gmunden. O godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści przyszedł do domu podchmielony i od razu położył się do łóżka. Jego piętnastoletnia podówczas siostra składa podobne zeznanie. Natomiast świadek Daniel N. oświadcza ponownie, że był obecny, kiedy jego przyjaciel Tomi zastrzelił blond taksówkarę starym pistoletem Wehrmachtu. Wsiadli obaj do samochodu Claudii D. z zamiarem obrabowania jakiegoś taksówkarza. Podczas jazdy Tomi udał, że dostał kolki brzusznej. Kiedy kobieta zatrzymała wóz i podeszła do niego, strzelił jej w szyję.

Co do swojego pięciokrotnego przyznania się do winy, oskarżony wyjaśnia, że po licznych przesłuchaniach oraz zniewagach ze strony prowadzących śledztwo żandarmów załamał się nerwowo i zaczął się bać. „Poinformowano mnie, że w taksówce znaleziono moje włosy i zdjęto moje odciski palców”. Poza tym powiedziano mu, że przyznawszy się do winy, wywinie się z tego mniejszym kosztem. A jak będzie dalej zaprzeczał, to go umieszczą w zakładzie dla psychicznie chorych przestępców. Dlatego przyznał się, „by mieć z tym spokój”. Pomyślał sobie, że „tak czy inaczej dochodzenie będzie prowadzone dalej i prawda wyjdzie na jaw”. W dniu 16 maja 2003 roku sąd przysięgłych w Salzburgu dochodzi do wniosku, że Peter H. jest niewinny i wydaje wyrok uniewinniający. Prokuratura rezygnuje z dalszych środków prawnych, wyrok uprawomocnia się. Jednocześnie prowadzone jest śledztwo w sprawie podejrzeń o morderstwo wobec Tomiego S. i Daniela N. Teraz staje się oczywiste: Peterowi H. odebrano osiem lat życia. Stał się ofiarą wymiaru sprawiedliwości i niesłychanego skandalu policyjno-do-chodzeniowego. Prasa austriacka reaguje oburzeniem, pisząc o „katastrofie dla państwa prawa”. Sprawa ta znakomicie ukazuje, jak spóźniona jest reforma procesu karnego. Arbitralne w znacznej mierze działanie śledczych musi na wszelki wypadek zostać podporządkowane nadzorowi prokuratury.

Peter H. otrzymuje przewidziane przepisami odszkodowanie za niezgodne z prawem pozbawienie wolności. Jednak zdaniem jego adwokatów

niezależnie do tego Republika Austriacka musi odpowiedzieć za karygodne postępowanie swoich organów ścigania. Dlatego adwokaci składają w lipcu 2003 roku w sądzie rejonowym w Salzburgu pozew w łącznej wysokości 1,2 miliona euro w charakterze rekompensaty za doznane szkody moralne. Odszkodowanie to należy do najwyższych, o jakie występowano kiedykolwiek wobec państwa austriackiego. Ma wynagrodzić cierpienia psychiczne, prawie osiem lat niewinnie spędzonych w zakładzie karnym dla ciężkich przestępców. Obszerna skarga przeciw odpowiedzialnym urzędom zarzuca poważne naruszenia prawa nie tylko policji kryminalnej. Także sądownictwo obciążono „sprzecznymi z prawem i karygodnymi działaniami”.

W październiku 2004 roku Peterowi H. znaczną część jego roszczeń przyznano w postaci renty. Ponadto zrekompensowano mu utracone zarobki. W sumie otrzymuje dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy euro. Parlament austriacki uchwała nowe przepisy dotyczące odszkodowania dla niesłusznie skazanych w procesach karnych. Przewidują one odszkodowania za niesprawiedliwie doświadczone „zło w postaci więzienia”.

Trwające latami dochodzenie przeciw sześciu żandarmom, którym zarzucono ukrywanie przed sądem i prokuraturą istotnych dla sprawy informacji, zostaje umorzone pod koniec 2005 roku za zgodą Ministerstwa Sprawiedliwości z uzasadnieniem, że większość wniesionych zarzutów uległa już przedawnieniu.

Sprawa „czwórki z Chengde”

(Chińska Republika Ludowa, 1994-2003)

W ostatnich latach ujawniono też kilka nieprzyjemnych spraw z Chińskiej Republiki Ludowej. Światową opinią publiczną szczególnie wstrząsnęła sprawa „czwórki z Chengde”. Szczegóły wyszły na jaw dzięki wywiadowi, którego 27 grudnia 2000 roku główny oskarżony Chen G. udzielił chińskiej gazecie „China Youth Daily”.

//5

W lipcu 1994 roku w prowincjonalnym mieście Chengde, kilka kilometrów na północny wschód od Pekinu, zamordowano dwóch taksówkarzy. Przez dwa miesiące policja nie trafiła na żaden ślad. Później otrzymała informacje wskazujące na niejakiego Chena G., który wydaje się rzekomo „przybity i nieszczęśliwy” i pozostaje w „nietypowym” nastroju. Na tej podstawie poza nim aresztowani zostają jeszcze trzech młodzi ludzie: Yang S., He G. i Zhu Y. Utrzymują oni, że są niewinni i nie mają nic wspólnego z zamordowaniem taksówkarzy.

Wtedy jednak zostają przez prowadzących śledztwo poddani torturom. Chen G. zostaje kilkakrotnie pobity do nieprzytomności. Jego genitalia poddaje się wstrząsom elektrycznym, a do wielkiego palca u nogi mocuje się kabel telefoniczny, by po każdym „telefonie” musiał skakać do góry. Wszyscy czterej mężczyźni pod wpływem tortur przyznają się do winy. Funkcjonariusze policji zostają nagrodzeni odznaczeniami.

Podczas pierwszego procesu w 1996 roku w sądzie ludowym w Chengde czwórka oskarżonych odsłania przed sędzią swoje blizny i oparzenia powstałe w następstwie tortur. Twierdzą, że ich przyznanie się do winy zostało wymuszone. Sędzia jednak nie chce o tym słyszeć. Wytyka im, że to, co zeznali, zostało zarejestrowane na taśmie. Fakty są oczywiste i dość jest dowodów ich winy. Wszyscy czterej zostają skazani na karę śmierci.

Gdy jednak składają odwołanie, najwyższy sąd ludowy prowincji Hebei uchyla 6 października 1996 roku wyrok, ponieważ ponad dwadzieścia „dowodów” przedstawiciela oskarżenia wymaga jeszcze bliższego wyjaśnienia.

Nowy proces „czwórki z Chengde” rozpoczyna się 12 sierpnia 1997 roku. Mimo wątpliwości, jakie miał sąd apelacyjny, oskarżeni zostają ponownie skazani na karę śmierci, i to na podstawie materiału dowodowego z pierwszej rozprawy. Sąd znowu się wzbrania, by zbadać twierdzenia oskarżonych, że podczas przesłuchań poddawano ich torturom. Funkcjonariusze policji, którzy ich torturowali, są obecni podczas rozprawy i zaprzeczają stosowaniu podobnych procedur. Oskarżeni twierdzą, że są nie-

/ IÓ

winni i utrzymują, że mają alibi na czas, gdy popełniono przestępstwo. Sąd jednak nie pozwala im go przedstawić.

Ich kolejne odwołanie zostaje uwzględnione, a 16 lutego 1998 roku Sąd Najwyższy nakazuje przeprowadzenie trzeciego procesu, ponieważ fakty nadal wymagają wyjaśnienia. Sąd w Chengde uparcie trzyma się jednak swego zdania i 13 października 1998 roku po raz trzeci skazuje oskarżonych na karę śmierci na podstawie tego samego materiału dowodowego.

Najwyższy sąd ludowy prowincji Hebei uchyla również ten wyrok. Podczas czwartego procesu 20 października 2000 roku Chen G. i Yang S. zostają kolejny raz skazani na karę śmierci, pozostali dostają dożywocie. I te wyroki zostają uchylone przed instancją odwoławczą w jakimś ciągłym, niepojętym kontredansie. Po trzech latach rozpoczyna się ich piąty proces. Tym razem odbywa się w pierwszej instancji przed Sądem Najwyższym Hebei, ponieważ sąd ludowy w Chengde nie potrafił wydać wyroku, który dałby się utrzymać.

Proces rozpoczyna się 21 lipca 2003 roku. Podczas publicznego przesłuchania zezwolono oskarżonym na przedstawienie sądowi alibi. Mieli też pokazać swoje rany i wymienić nazwiska policjantów, którzy ich maltretowali. O wyniku tego procesu nic nie wiemy. Amnesty International, która zaangażowała się w sprawę, liczy na uniewinnienie i odszkodowanie dla „czwórki z Chengde”.

Niewłaściwy człowiek? Sprawa Harry'ego W.

(Niemcy, 29 kwietnia 1997-?)

Andrea i Harry poznali się już w młodości, są przyjaciółmi. Jednak dopiero latem 1993 roku nawiązują intymny związek. Kiedy dwudziestotrzy-letnia Andrea, pracująca w pogotowiu policyjnym, zachodzi w ciążę, starszy od niej o pięć lat Harry W poślubia ją we wrześniu 1994 roku. W marcu 1995 roku przychodzi na świat ich syn Kai. Harry, który ukończył kurs rysunku technicznego, do 1996 roku pozostaje bez pracy. Andrea

/ 17

od 1994 roku służy w dyrekcji policji Pforzheim w randze polizeimeisterin. Tutaj w styczniu 1996 roku zakochuje się w trzydziestosiedmioletnim żonatym koledze z pracy Thomasie H., swoim partnerze ze służby patrolowej w Pforzheim. Ich romans prowadzi do napięć w obu małżeństwach. Thomas H. pozostaje w stałym konflikcie uczuciowym. Z jednej strony kocha Andree, z drugiej nie chce zostawiać żony Daniela i rodziny.

Andrea opuszcza Harry'ego W W marcu 1996 roku, wyprowadza się z ich wspólnego mieszkania, a w listopadzie 1996 roku uzyskuje rozwód. Wraz z synem Kaiem mieszka w domku szeregowym w Birkenfeld, który kupił dla niej ojciec Wolfgang Z., także policjant. W lutym 1997 roku wprowadzają się tam jednak jej rodzice, a Andrea mieszka odtąd w mieszkaniu na parterze jednorodzinnego domku rodziców w tej samej miejscowości. Jej ojciec nocuje często w lokatorskim mieszkaniu w suterenie. Andrea i Harry uzgodnili, że Harry będzie zabierał ich syna w co drugą sobotę, by spędzić z nim dzień. Od lata 1996 roku Harry ma romans z niezamężną, dwudziestoczteroletnią Claudią E, którą zna od wielu lat. Mieszkają wprawdzie oddzielnie, ale wspólnie spędzają weekendy.

W poniedziałek, 28 kwietnia 1997 roku, Andrea ma wolne. Wieczorem kładzie syna do łóżka, potem, około godziny dwudziestej pierwszej trzydzieści, odwiedza ją jej ojciec, który ma tego dnia urodziny. Ponieważ Wolfgang Z. zaczyna nazajutrz służbę wcześniej rano, po godzinie wycofuje się do mieszkania lokatorskiego w piwnicy, by tam przenocować.

Również Andrea udaje się do sypialni, gdzie na prawej połowie podwójnego łóżka śpi już smacznie Kai. Co właściwie rozegrało się tam owej nocy, nie wyjaśniono ponad wszelką wątpliwość do dziś. Według późniejszych ustaleń sądu przysięgłych w Karlsruhe Andrea obudziła się ze snu między godziną 2.16 a 2.31 nad ranem, ponieważ usłyszała w domu jakieś hałasy.

Zapala lampkę nocną i dostrzega mężczyznę, który chce ją zabić. Mając na rękach rękawiczki jednorazowe, trzyma szarobrazowy, długi na jakieś 1,2 metra, wełniany szal, który owija jej ciasno wokół szyi. Potem krzyżuje oba końce i naciąga je oburącz tak mocno, że odcina Andrei dopływ po-

wietrzą. Kobieta daremnie próbuje się bronić. Ma na sobie tylko różowy podkoszulek, niżej jest całkiem naga. Jej zwieracze rozluźniają się odruchowo, bezwiednie oddaje mocz. Podczas późniejszego zabezpieczania śladów znaleziono mocz na podłodze obok bocznej strony łóżka oraz ślad ścierania sięgający aż do drzwi sypialni. Wywnioskowano stąd, że Andrea podniosła się już z łóżka, kiedy sprawca przez kilka minut próbował udusić ją szalem. Kobieta traci przytomność. Napastnik sądzi, że jest martwa. Wywleka ją z sypialni na korytarz i pozostawia bezpośrednio przed drzwiami prowadzącymi na schody do sutereny.

Według ustaleń sądu przysięgłych Wolfgang Z., ojciec Andrei, śpiący w mieszkaniu lokatorskim w piwnicy, zostaje obudzony przez jakieś „łoskoty” nad głową. Spogląda na zegar, jest godzina 2.34. Wchodzi po schodach, by zbadać, skąd te hałasy. Nie może jednak całkowicie otworzyć drzwi wychodzących na korytarz, napotyka opór. Przez szparę rozpoznaje gołe nogi leżącej na podłodze córki. „Andrea, co się dzieje?” - woła głośno i w tym momencie zostaje uderzony w głowę drzwiami. Sprawca pcha je z przeciwnej strony. „Zaraz przyniosę broń służbową i zastrzelę cię!” - krzyczy ojciec i schodzi schodami do mieszkania lokatorskiego.

Sprawca wykorzystuje tę chwilę, by zbiec. Opuszcza dom przez niezamknięte na klucz główne wejście. Wolfgangowi Z. udaje się teraz, przesunawszy nogi córki, otworzyć drzwi na korytarz. Przepycha się przez szparę i znajduje na podłodze leżącą na plecach Andreę. Zdejmuje mocno zaciśnięty na jej szyi wełniany szal i od razu podejmuje sztuczne oddychanie usta-usta. Ponieważ próby reanimacji okazują się daremne i nie wyczuwa u córki oddechu, o godzinie 2.40 dzwoni do centrali dyspozycyjnej policji w Pforzheim i prosi o przysłanie lekarza pogotowia.

Przedstawia sytuację i wypowiada podejrzenie, że chodzi o przestępstwo na tle stosunków osobistych, gdzie jako sprawca wchodzi w rachubę albo Thomas H., albo Harry W.

Niedługo potem zjawiają się na miejscu zdarzenia policja i lekarz pogotowia. Kiedy Andrea zaczyna rzezić, lekarz robi jej sztuczne oddychanie, a potem kobieta zostaje przewieziona do szpitala. Lekarze ratują jej życie,

/ IQ

zawsze jednak wymagać będzie opieki. Wskutek czasowego przerwania dopływu tlenu obumarło tyle komórek mózgowych, że pozostaną ciężkie uszkodzenia neurologiczne i problemy psychiczne. Kobieta ma poważne zaburzenia połykania, musi być sztucznie odżywiana i nie utrzymuje stolca ani moczu. Nie mówi, nie rozumie bardziej złożonych wypowiedzi. Jej funkcje myślowe, zdolności koncentracji oraz zmysły są trwale upośledzone w najcięższym stopniu. Nie potrafi powiedzieć niczego na temat przestępstwa. Ponieważ także ręce i nogi doznały uszkodzeń, Andrea na zawsze skazana jest na wózek inwalidzki.

Policja nie znajduje na miejscu przestępstwa żadnych śladów włamania. Dowództwo grupy dochodzeniowej nakazuje natychmiastowe podjęcie obserwacji mieszkań Thomasa H. i Harry'ego W. Na krótko przed trzecią nad ranem funkcjonariusze zjawiają się przed mieszkaniem Harry'ego i przeczesują teren, nie zauważają jednak jego zaparkowanego jakieś dwieście metrów dalej samochodu osobowego. Jest to poważne, niepojęte zaniedbanie. Nie przeprowadza się natychmiastowego badania temperatury silnika, pozwalającego określić, czy wóz był niedawno używany. Dopiero o godzinie 5.17 główny komisarz kryminalny dzwoni do Harry'ego i informuje go, że coś się stało z jego żoną i że ma natychmiast wyjść z domu. Dlaczego zwlekano przez dwie godziny? Kiedy Harry wychodzi z mieszkania o godzinie 5.25, zostaje natychmiast zatrzymany na ulicy. Zdecydowanie zaprzecza, by w chwili popełnienia przestępstwa był na miejscu zdarzenia. Krótko po godzinie 22.00 poszedł do łóżka i całą noc spędził w swoim mieszkaniu.

Policjanci z dochodzeniówki nie wierzą mu. Wychodzą z założenia, że 29 kwietnia 1997 roku o godzinie drugiej w nocy opuścił mieszkanie i pojechał samochodem do odległego o jakieś trzy i pół kilometra domu Andrei. Następnie otworzył posiadany jeszcze kluczem drzwi wejściowe do mieszkania lokatorskiego, zamknął je znowu, a potem, nie zapalając światła, przeszedł z sutereny schodami do sypialni Andrei.

W jej pokoju zabezpieczono oddarte palce rękawiczek lateksowych, które zbadano w laboratorium na ślady DNA. Harry'emu W amputowano po wy-

padku motocyklowym końcowe człony dwóch palców. Powstaje teraz przypuszczenie, że owe palce rękawiczek, właśnie z amputowanych paliczków, uległy oderwaniu podczas duszenia i mocowania się z Andreą. Biegły dr F. ze znalezionej na łóżku strzępka palca rękawiczki wyizolował niewielką ilość materiału komórkowego zawierającego jądra. Badanie wykazuje, że w większości materiał ten pochodzi od ofiary przestępstwa, natomiast pozostałe, znacznie słabsze, ilościowo pozostające na granicy wykrywalności „pasma” pochodzą od innej osoby. Nie odpowiadają one zbadanym dla porównania próbkom krwi Thomasa H., Daniela H. i Wolfganga Z., co wyklucza ich jako „współdawców” śladów. Są jednak w znacznym stopniu zgodne z materiałem genetycznym z próbki krwi Harry'ego W. Także znaleziona na schodach do piwnicy plastikowa torebka zostaje przypisana Harry'emu W. Są w niej dwa pudełka po papierosach z siedmioma porcjami amfetaminy. Jedno opakowanie oznaczone jest krzyżykiem. Jest to ta marka, którą pali Harry. Zapewnia on jednak, że jego żona pali takie same. Przyjmowała nielegalne środki odurzające, a pudełka z nimi oznacza krzyżykiem. Jednak przesłuchujący policjanci nie wierzą mu. Podczas przesłuchania 13 maja 1997 roku policjant K. daje mu do zrozumienia, by przyznał się do winy, inaczej nie będzie miał już żadnych widzeń. Harry W. odpowiada, że przyzna się do wszystkiego „bez zastrzeżeń”. Informuje też, że w noc morderstwa był obecny na posesji. Po tym przesłuchaniu przygotowuje wieczorem w swojej celi ogólnikowe pisemne przyznanie się do winy, zawierające też zdanie, że chce już tylko świętego spokoju. Papier ten znaleziono w segregatorze podczas przeszukania jego celi. Harry odwołuje później to przyznanie się do winy, twierdząc, że został do tego zmuszony przez policjantów po wielogodzinnych przesłuchaniach. Grozili mu, że go „strzelą”, jeśli nie podpisze przygotowanego protokołu z przesłuchania. A notatka z jego celi przeznaczona jest tylko dla jego obrońcy, by mu pokazać, na co się umówili ze śledczym K.

Na podstawie opinii biegłych Harry W. przed sądem rejonowym w Karlsruhe zostaje oskarżony o usiłowanie zabójstwa. Przysięgli ufają tym

ekspertyzom, dają też wiarę zeznającemu na procesie sąsiadowi Rudolfowi K., że w noc popełnienia przestępstwa słyszał on od strony mieszkania ofiary donośny męski głos. Jakiś człowiek wołał głośno podnieconym tonem: „Zabiję cię, zatłukę na śmierć! Ze mną ci się to nie uda!”. Parę sekund później usłyszał płaczliwy głos kobiety. Wołała: „Czego ode mnie chcesz? Przecież nic ci nie zrobiłam? Zostaw mnie w spokoju!”.

Jako przyczynę przestępstwa izba karna przyjmuje kłótnię na temat praw do opieki nad synem. Szesnastego stycznia 1998 roku skazuje Harry'ego W na jedenaście lat więzienia. Rewizja wniesiona przeciw wyrokowi 11 sierpnia 1998 roku zostaje odrzucona jako bezzasadna przez pierwszy senat do spraw karnych sądu federalnego. Na połowie (!) strony wyjaśniono lapidarnie, że powtórne zbadanie wyroku nie wykazało żadnych błędów prawnych na niekorzyść oskarżonego. Koszty ma ponieść oskarżony.

Harry W musiałby prawdopodobnie odsiedzieć w więzieniu całe jedenaście lat, gdyby rodzice Andrei nie wpadli na pomysł, by domagać się od niego na drodze sądowej trzystu tysięcy marek odszkodowania i rekompensaty wszelkich przyszłych szkód. Teraz bowiem dochodzi do niebywale rzadkiego w historii sądownictwa niemieckiego wyjątku, kiedy to izba cywilna ten sam stan faktyczny osądza inaczej niż sąd przysięgłych. Sąd rejonowy w Karlsruhe, po osiemnastomiesięcznym procesie, w dniu 6 stycznia 2001 roku oddała powództwo cywilne, uzasadniając to tym, że wina oskarżonego nie została dowiedziona w sposób nie budzący wątpliwości.

Jedną z przyczyn wydania tego sensacyjnego orzeczenia stał się fakt, że biegły rejonowego urzędu kryminalnego w Stuttgarcie znacząco zmienił swoje bardzo jeszcze jednoznaczne podczas procesu karnego przyporządkowanie biologicznych śladów kryminalistycznych. Dr F. twierdzi teraz, że analiza wykazała istnienie mieszaniny materiału genetycznego mogącego pochodzić od wielu osób. Nie można ani potwierdzić, że to Harry W jest jedną z osób, które pozostawiły ślady na palcach rękawiczek, ani też tego wykluczyć. Także inne osoby, których DNA porównywano z obecnym w materiale, nie mogły zostać zidentyfikowane jako „dawcy” śladów, ale

^^H

tylko wykluczone z wyższym stopniem prawdopodobieństwa niż Harry W Ponadto oświadcza się teraz, że oba oderwane palce pochodzą z różnych rękawiczek.

Sędzia przewodniczący Wolf-Rudiger Waetke kieruje pod adresem policji z Pforzheim ciężkie zarzuty. Prowadzący śledztwo popełnili poważne błędy, dopuścili się wielu zaniedbań. „Może ktoś by to usprawiedliwił - oznajmia sędzia - my w każdym razie nie". To, że nie skontrolowano niezwłocznie samochodu Harry'ego W. określa on jako: „zaniedbanie, które miało fatalne konsekwencje". Szczególnie godne uwagi jest to, jak się obchodzono z materiałem obciążającym. Fakt, że ani dwa dzienniki, ani klucz i księga gospodarstwa domowego z wyrwaną stroną z dnia przestępstwa nie zostały przekazane przez wydział zabójstw do zbadania technikami kryminalistycznymi, referent uzasadnia względami finansowymi. Można się temu tylko dziwić, podobnie jak faktom, że sprawy wyjaśnienia tego przestępstwa nie powierzono od razu innemu urzędowi policyjnemu. Przecież zarówno ofiara, jak i jej ojciec i kochanek byli policjantami z tego samego rewiru.

Czy policja w Pforzheim celowo prowadziła dochodzenie tak jednostronnie, by oskarżyć Harry'ego W, jedyne niepolicjanta spośród podejrzanych? Sędzia przewodniczący Waetke przyznaje, że trudno mu oprzeć się wrażeniu, że „w kilku punktach śledztwo nie było prowadzone obiektywnie". „Nie pozostaje nic, absolutnie nic, co jako poszlaka przemawiałoby jednoznacznie przeciwko W!". Nie znaczy to jednak, dodaje Waetke, że jest on rzeczywiście niewinny.

Opierając się na tych nowych wnioskach i materiale dowodowym, obrońca W, mecenas Hubert Górka, 3 maja 2001 roku wnosi nowy wniosek o wznowienie procesu, po tym jak wcześniejszy został już odrzucony przez sąd rejonowy w Mannheim. Sąd oddala 28 września 2001 roku także ten wniosek. Górka składa zażalenie. W dniu 30 listopada 2001 roku trzeci senat do spraw karnych sądu drugiej instancji w Karlsruhe uchyla decyzję sądu rejonowego w Mannheim i nakazuje wznowienie postępowania. Ponadto zarządza natychmiastowe zwolnienie skazanego.

Po odsiedzeniu

czterech lat i siedmiu miesięcy Harry W zostaje „warunkowo” zwolniony z zakładu karnego Heimsheim.

Harry musi czekać prawie cztery lata, aż mannheimscy sędziowie ponownie zbadają jego sprawę. Bardzo liczy na to, że nowe postępowanie zakończy się uniewinnieniem i pełną rehabilitacją. Dobrowolnie poddał się badaniu wariografem przez prof. Undeutscha, które przeszedł z najwyższą liczbą punktów. Ekspertyza kończy się słowami: „Harry W nie jest, z prawdopodobieństwem bliskim pewności, sprawcą tego okropnego czynu”.

Sąd rejonowy w Mannheim wciąż odwleka proces. „Ci to mnie będą trzymać w niepewności!” - mówi z goryczą Harry W, który ze strony swojej społeczności doznaje wielu wyrazów solidarności, a nawet znalazł pracę w magazynie samochodów. Pforzheimscy oskarżyciele liczą niewzruszenie na utrzymanie wyroku. Inni sprawcy zostali wyeliminowani, uważa starszy prokurator Hans-Wemer S. Ojciec nie ma motywu, a kochanek ma alibi.

Ostatecznie 30 maja 2005 roku rozpoczyna się wznowione postępowanie przed sądem rejonowym w Mannheim. Dwa sądy ustaliły, że łańcuch poszlak przeciw Harry'emu W jest bardzo słaby. Czy jednak sąd rejonowy w Mannheim również tak to będzie postrzegać i wyświetli tajemnice nocy 29 kwietnia? Czy wyrok sądu przysięgłych przy sądzie rejonowym w Karlsruhe z 16 stycznia 1998 roku okaże się rażąco błędny? Czy też da się teraz dowieść winy Harry'ego W ponad wszelką wątpliwość? Wyraźnie zdenerwowany, także na początku nowego procesu, deklaruje on swoją niewinność. W noc, kiedy dokonano przestępstwa, nie był u swojej byłej żony, ale sam w domu. Jego stosunki z nią po rozwodzie były dobre, chociaż często dochodziło do tarć na tle jego kontaktów z synem.

Ogłoszenie wyroku, przewidziane pierwotnie na 15 lipca 2005 roku, opóźnia się o kilka miesięcy, ponieważ prokuratura stawia liczne wnioski dowodowe. Podobnie postępuje адвокат oskarżyciela posiłkowego. Dlatego sędzia przewodniczący Karl A. wyznacza termin dalszych rozpraw do końca września 2005 roku.

Zainteresowanie mediów tą sprawą pozostaje duże, ponieważ może się za tym kryć jeden z największych skandali poli-cyjno-dochodzeniowych w historii prawa i kryminalistyki RFN.

W dniu 6 października sąd rejonowy w Mannheim uniewinnia Harry'ego W, ponieważ nie może mu dowieść winy „z konieczną pewnością”. Jednocześnie Harry W musi otrzymać odszkodowanie za cztery lata i siedem miesięcy niewinnie spędzone w więzieniu. Co prawda orzeczenie to nie potwierdza jeszcze definitywnie, że wyrok sądu przysięgłych z Karlsruhe z 16 stycznia 1998 roku jest błędny, gdyż prokuratura, która domagała się dziesięciu lat więzienia, złożyła odwołanie. Upłyną teraz kolejne lata, aż sprawiedliwość - miejmy taką nadzieję - ostatecznie zatriumfuje.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Prokuratorzy bez skrupułów

W niemieckim systemie prawnym prokurator jako urzędnik i organ wymiaru sprawiedliwości pozostaje na służbie państwa. Musi mieć uprawnienia sędziowskie i jest związany porządkiem prawnym. W toku postępowania powinien też uwzględniać materiał dowodowy świadczący o niewinności oskarżonego. Także w Niemczech zdarzały się sytuacje, gdy prokuratorzy państwowi uchybiali swoim obowiązkom służbowym, naginali prawo, w decydujący sposób przyczyniając się tym do wydawania błędnych wyroków. Wypadki takie są jednak względnie rzadkie.

Zupełnie inaczej sprawa wygląda w Stanach Zjednoczonych. Tutaj każdy uprawniony adwokat może podjąć się roli prokuratora. Canon of Legal Ethics poucza adwokatów występujących w roli oskarżyciela publicznego, że ich nadrzędnym obowiązkiem nie jest oskarżanie, ale przestrzeganie prawa i dochodzenie sprawiedliwości. Nie powinni zatajać faktów czy ukrywać materiału dowodowego, który mógłby dowodzić niewinności oskarżonego. Praktyka jednak wygląda inaczej. Spora jest pokusa, by bezwarunkowo wygrać przyjętą sprawę, zarabiając dzięki temu dużo pieniędzy, a może nawet stając się sławnym. I wciąż zdarzają się w Stanach Zjednoczonych sprawy, kiedy interes państwa reprezentują ambitni, pozbawieni skrupułów i nieodpowiedzialni adwokaci. Oszukują oni, fabrykują lub fałszują dowody, prezentują zmanipulowane kłamliwe zeznania świadków albo świadomie zatajają dowody odciążające czy wręcz świadczące jednoznacznie o niewinności oskarżonego.

W Luizjanie Curtis K. został skazany na karę śmierci i wypuszczony na wolność dopiero po czternastu latach, gdy wyszło na jaw, że przedstawi-

ło

ciel prokuratury zataił przed przysięgłymi dowody przemawiające za niewinnością oskarżonego. Ponadto przemilczał wobec przysięgłych, że przedstawione przez niego samego obciążające dowody pochodziły od człowieka, któremu za to zapłacił i który prawdopodobnie sam był nawet prawdziwym sprawcą.

W Alabamie Walter M. spędza niewinnie pięć lat w celi śmierci, ponieważ prokurator zataił odciążający materiał dowodowy, prezentując zamiast tego trzech świadków oskarżenia, z których wszyscy popełnili przy tym krzywoprzysięstwo.

W Teksasie Ricardo G. zostaje skazany za zamordowanie policjanta, chociaż wszystkie dowody przeciw niemu są całkowicie zmyślane. Niestety, wyszło to na jaw dopiero później, gdy sąd dokonujący rewizji procesu ustalił, że zachowanie przedstawiciela oskarżenia było „oburzające i rozmyślnie w złym zamiarze”. Ricardo G. został zwolniony po odsiedzeniu niewinnie piętnastu lat w celi śmierci.

Także podczas procesu o morderstwo Wilberta L. i Freddiego F wydano na Florydzie wyroki śmierci, ponieważ prokuratura zataiła dowody odciążające, przedstawiając zeznanie rzekomego naocznego świadka. Dwanaście lat później prawdziwy sprawca morderstwa przyznaje się do winy i obaj niesprawiedliwie skazani zostają zwolnieni.

Szczególny wymiar polityczny ma postępowanie przeciw ciemnoskóremu, skazanemu w 1982 roku na śmierć Mumii Abu J. Sprawa budzi ogromne zainteresowanie i prowadzi do międzynarodowych protestów. Ponieważ w znacznej mierze chodzi tu o proces polityczny, zostanie on omówiony szczegółowo w rozdziale 7: „Nacisk opinii publicznej”.

Ta garść przykładów, jak również trzy dalsze przedstawione obszerniej sprawy mogłyby wystarczyć, aby ukazać tę ciemną stronę amerykańskiego systemu prawnego. Są to wszystko sprawy, w których rzeczywiście ujawniono niewłaściwe postępowanie przedstawicieli oskarżenia. Od 1963 roku podczas procesów o morderstwo uchylono przynajmniej trzysta osiemdziesiąt wyroków, gdyż prokuratorzy zatajali dowody odciążające. Żaden z tych adwokatów nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Nikt nie

zna liczby spraw, w których podobne naruszenia obowiązków nie wyszły na jaw. Podobnie jak liczby spraw, w których wyniku dokonano egzekucji osób niewinnych. Mimo to według ostatnich sondaży dwie trzecie Amerykanów nadal opowiada się za karą śmierci.

Bomba z San Francisco. Sprawa Mooneya i Billingsa

(Stany Zjednoczone, Kalifornia, 22 lipca 1916-19 października 1939)

Spośród wielu uchybień i błędów sądowych, które przedstawiono w tej książce, sprawa Mooneya i Billingsa należy do najgorszych. Ukazuje ona skorumpowanie amerykańskiego aparatu sprawiedliwości w najgorszym świetle. Te przestępcze manipulacje przypominają francuską sprawę Dreyfusa. Tyle że w Stanach Zjednoczonych nie było Emila Zoli, który oskarżyłby takie pogwałcenie prawa. W wymiarze politycznym ta tragedia sądowa jest powiązana ze sprawą Sacca i Vanzettiego, która wydarzyła się cztery lata później i także wstrząsnęła opinią publiczną na całym świecie.

W dniu 22 lipca 1916 roku w San Francisco, na rogu Stewart Street i Market Street, zebrały się setki ludzi, by oglądać przemarsz parady organizowanej przez izbę handlową San Francisco. Ponad dwadzieścia dwa tysiące pracodawców oraz ich niezrzeszonych w związkach zawodowych pracowników dokonuje przemarszu przez miasto. Członkowie związków zawodowych nie są obecni. Wielki zegar uliczny na Market Street pokazuje godzinę 14.06, kiedy powietrzem wstrząsa ogłuszający huk. Ekspłodowała bomba. Ginie dziesięciu widzów, ponad pięćdziesięciu zostaje ciężko rannych. Kilku naocznych świadków widziało, jak z dachu narożnego budynku rzucona została cylindryczna bomba, długa na jakieś trzydzieści centymetrów i szeroka na dziesięć.

Jednak organa ścigania nie wzywają tych świadków. Skupiają uwagę na dwóch podejrzanych, należących do zniechęconego w szerokich kręgach społeczeństwa ruchu związkowego: radykalnych przywódcach robotniczych Thomasie J. Mooneyu i Warrenie K. Billingsie.

Mooney, lat trzydzieści trzy, oraz Billings, lat dwadzieścia dwa, to czołowi, wojujący działacze związku pracowników transportu, który toczy nieustanną walkę z przedsiębiorcami prywatnymi, zwłaszcza z United Railroads Company. Firma ta wynajęła w słynnym biurze detektywistycznym Pinkertona „pracownika ochrony” Martina Swansona, który podejmuje działania przeciw buntowniczym i walczącym o poprawę warunków socjalnych robotnikom. Swanson postawił sobie za cel unieszkodliwić Mooneya i Billingsa. Oskarża obydwu o przeprowadzenie zamachu bombowego i zatrudnia się jako śledczy u odpowiedzialnego za prowadzenie dochodzenia prokuratora Charlesa Fickerta.

Charles Fickert to człowiek ambitny i pozbawiony skrupułów. Chce zostać gubernatorem Kalifornii. Wykorzystuje wszelkie środki prowadzące do tego celu. Jeśliby w końcu unieszkodliwił radykalnych „anarchistów” Mooneya i Billingsa, jego popularność z pewnością by wzrosła. Jest o tym przekonany, podobnie jak jego zastępca Cunhae. Dlatego 26 i 27 lipca 1916 roku każą zatrzymać bez nakazu aresztowania Billingsa, Mooneya i jego żonę oraz dwóch innych rzekomych współsprawców - Weinberga i Nolana. Billings zostaje aresztowany w szpitalu, gdzie udał się na leczenie. Mooney z żoną są w trakcie krótkiej podróży wypoczynkowej. Dowiadują się z gazety, że są poszukiwani jako sprawcy zamachu bombowego. Mooney dzwoni do redakcji i oświadcza, że natychmiast po powrocie oddadzą się do dyspozycji władz. Fickert jednak nie czeka na ich przybycie, tylko każe wyciągnąć ich z pociągu i skutych przewieźć do San Francisco. Gazety prześcigają się w hymnach pochwalnych. Ci „bandyci i burzyciele porządku”, ta „banda morderców” została nareszcie ujęta.

Thomas Mooney i jego żona mają przekonujące alibi. W dniu 22 lipca, w chwili dokonania zamachu przebywali na dachu swego domu przy Market Street, i oglądali przemarsz. Dom znajduje się dwa kilometry od skrzyżowania, gdzie eksplodowała bomba. Pewien fotograf uwiecznił ich na kilku zdjęciach między godziną 13.58 a 14.04. W tle widnieje zegar uliczny z dokładną godziną, toteż fotografie świadczą jednoznacznie, że państwo Mooney nie byli w chwili zamachu na miejscu zdarzenia.

I2Q

Warren Billings także nie znajdował się w pobliżu miejsca przestępstwa, tylko przed domem przy Market Street, odległym od skrzyżowania o blisko milę. Nie ma jednak świadków, którzy mogliby to potwierdzić. Weinberg był w swoim mieszkaniu, a Nolan w odległej dzielnicy San Francisco. Dlatego cała piątka „spiskowców” idzie do więzienia bez sądowego nakazu aresztowania. Ich mieszkania zostają przeszukane, także bez nakazu.

Pierwszego sierpnia 1916 roku piątka zatrzymanych zostaje oskarżona o morderstwo. Nastawieni wrogo wobec związku zawodowego prywatni przedsiębiorcy wyznaczyli nagrodę siedemnastu tysięcy dolarów za ujęcie sprawców i dowiedzenie ich winy.

Prasa, poprzez jednostronne i tendencyjne przedstawianie sprawy, już dawno wydała na nich wyrok skazujący. W pełnych nienawiści artykułach domaga się skazania tych „mafiozów”. Pracodawcy z miasta zebrali czterysta tysięcy dolarów, aby raz na zawsze uniemożliwić szkodliwe działania „elementom anarchistycznym”.

Prokuratura próbuje podburzyć jednych oskarżonych przeciwko innym i skazać ich w odrębnych procesach. We wrześniu 1916 roku rozpoczyna się proces Billingsa.

Oskarżenie zarzuca mu, że wraz ze współnikami przyjechał samochodem na skrzyżowanie. Tam miał wyskoczyć z wozu i zostawić przy narożniku domu aktówkę z bombą zegarową. Ta teza jest dość ciekawa, zważywszy na to, że skrzyżowanie i przyległe ulice były całkowicie zamknięte dla ruchu samochodowego. Prokuratura jednak wcale się tym nie przejmuje. Dwóch karanych wcześniej świadków potwierdza pod przysięgą taki zaobserwowany rzekomo przez nich przebieg wydarzeń. Inni świadkowie oświadczają, że nie ma to żadnego znaczenia, gdyż Billings jako podżegacz i tak powinien wisieć.

Prokuratura próbuje przekupić Billingsa, by swoim zeznaniem posłał na szubienicę „głównego winowajcę” Mooneya. Wystarczy tylko, by potwierdził, że przyniósł na miejsce zdarzenia aktówkę z dynamitem, potem natychmiast zostanie zwolniony.

Mógłby sobie kupić tym wolność. Ale on nie chce zeznawać przeciwko swemu przyjacielowi. Podobnie Weinberg, i tu próba przekupstwa spełza na niczym.

Weinberg zostaje uniewinniony. Warren Billings otrzymuje jednak karę dożywotniego ciężkiego więzienia.

Kiedy 3 stycznia 1917 roku rozpoczyna się proces przeciw małżeństwu Mooneyów, obrona przedstawia dwudziestu sześciu świadków, którzy obalają wysuniętą przez prokuraturę teorię bomby zegarowej. Osoby całkowicie nieuprzedzone potwierdzają, że widziały, jak bomba została rzucona z dachu. Ponadto w aktach sądowych znajduje się dziewięć fotografii ukazujących Mooneyów na dachu domu odległego o prawie milę. Zretuszowa-no je jednak w taki sposób, że dokładna godzina na zegarze w tle nie jest już możliwa do odczytania.

Prokuratorzy Fickert i Cunhae znajdują świadka koronnego - handlarza bydłem i posiadacza ziemskiego z Oregonu, niejakiego Franka Oxmana. W dniu 22 lipca przyjechał on do miasta pociągiem, zeznaje pewnym głosem, i udał się na paradę. Widział, jak oskarżeni jechali samochodem w kierunku miejsca zdarzenia, zauważył też, jak Billings zostawił aktówkę pod ścianą narożnego domu. Prokurator Fickert daje mu do zrozumienia, że potrzebuje drugiego, „ponad wszelką wątpliwość godnego” świadka, który mógłby to przedstawić w podobny sposób. Oxman pisze do swego przyjaciela Rigalla z Illinois, prosząc, by przyjechał i za pięćset dolarów złożył odpowiednie zeznanie. Rigall rzeczywiście przybywa i zamieszkuje na koszt prokuratury w eleganckim hotelu. Jego zeznanie jest w równej mierze wyuczony, jak Oxmana.

Następuje coś potwornego. Przysięgli, wylosowani przed tygodniem, dają wiarę zeznaniom świadków koronnych i w dniu 9 lutego 1917 roku uznają Thomasa Mooneya za winnego. Sędzia przewodniczący Franklin Griffith orzeka piętnaście dni później karę - śmierć przez powieszenie. Weinberg i żona Mooneya zostają uniewinnieni w odrębnych procesach.

Rigalla jednak nachodzą wątpliwości. Pyta Fickerta, co powie na to opinia publiczna. Ucieszy się, że pozbyto się Mooneya, odpowiada ze śmiechem prokurator. Na to Rigall kontaktuje się telefonicznie ze swoimi adwokatami, opowiada im całą historię i przesyła kompromitujący Oxmana list. Adwokaci informują o wszystkim obrońcę Mooneya, Maxwella McNutta. Ten zaś znajduje odważną gazetę, „San Francisco Bulletin”, która w porannym dodatku nadzwyczajnym ujawnia monstrualną intrygę.

Teraz sprawa nabiera rozgłosu. Związki zawodowe w Stanach Zjednoczonych i Europie tworzą wspólny front przeciw temu wyrokowi, drukują tysiące ulotek i zwołują wiece protestacyjne. Coraz więcej ludzi jest przekonanych, że prokuratura sfabrykowała zarzuty i przedstawiła przekupionych świadków, aby usunąć z miasta niepożądane elementy.

Zeznanie świadka koronnego Oxmana zostaje zdemaskowane jako fałszerstwo. Okazuje się, że 22 lipca 1916 roku przybył on do San Francisco dopiero o siedemnastej trzydzieści, a więc prawie cztery godziny po eksplozji. Zostaje oskarżony o krzywoprzysięstwo. Przysięgli jednak uniewinniają go i zasypują prokuratora najwyższymi pochwałami. W upublicznio-nym oświadczeniu napisano: „Jednogłośnie wyrażamy nasze uznanie za jego znakomite i owocne działania, poprzez które wypełnił on swoje obowiązki wobec mieszkańców Kalifornii”. A w numerze wydawanej w San Francisco gazety „Survey” z 7 lipca 1917 roku czytamy: „Każdy z oskarżonych (Mooney i Billings) jest plugawym anarchistą i każdy z nich już dla zasady powinien siedzieć w więzieniu”.

Obrońca Mooneya odwołuje się do Supreme Court stanu Kalifornia. Jednak ten stanowy sąd najwyższy zatwierdza 1 marca 1918 roku wyrok pierwszej instancji. W świetle ujawnionych w tym czasie faktów jest to niewiarygodne.

Teraz prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson decyduje się powołać „komisję śledczą”. Informuje go ona, że Mooney i Billings nie mieli uczciwego procesu. Okazuje się, że w procesie Billingsa w ławie przysięgłych zasiadał człowiek, który już ponad pięćset razy występował jako przysięgły i najwyraźniej żył z należnych z tego tytułu honorariów i darmowych posiłków. Podczas procesu przeciw Billingowi przysięgli przeciągnęli obrady o dwie godziny, by móc zjeść na koszt państwa jeszcze jeden lunch.

W październiku 1918 roku autorzy kolejnego raportu śledczego oświadczają, że prokurator Fickert nie jest człowiekiem bezstronnym i honorowym. Od dawna jest związany ze spekulantami, którzy manipulują „ustawionymi” sprawami, i fałszywie oskarża ludzi. Wpływa na świadków,

a nawet im grozi. Fickert „sprostytuował” swój wysoki urząd. Pozostawiono go jednak w spokoju, później prowadził działalność adwokacką.

Amerykański prezydent Wilson nalega na gubernatora Kalifornii, by zgodził się na nowy proces obu skazanych. Nic się jednak w tej sprawie nie dzieje. Prezydent Wilson dwukrotnie telegrafuje do gubernatora, prosząc, by nie wykonywano wyroku wydanego na Mooneya. W drodze łaski kara dla Mooneya zostaje złagodzona do dożywocia.

W lutym 1921 roku świadek z procesu Billingsa przyznaje się, że popełnił krzywoprzysięstwo. Inni świadkowie postępują podobnie. Także sędzia Griffith dochodzi do wniosku, że skazał niewinnego, i aktywnie działa na rzecz wznowienia procesu. Zwraca się do prokuratora generalnego, który przekazuje jego prośbę do Supreme Court z pozytywną adnotacją. Sąd jednak uznaje się za niekompetentnego, tylko władza wykonawcza mogłaby interweniować korygująco. Dlatego Griffith pisze do nowo wybranego gubernatora. Niestety, nadaremnie.

Także Mooney składa w 1926 roku, i ponownie w 1931 roku, prośbę o ułaskawienie. Obie zostają odrzucone. Zostaje powołana komisja śledcza, która szczegółowo bada sprawę Mooneya i Billingsa. Kiedy raport jest gotowy, znika on w tajemniczy sposób i już nigdy się nie odnajduje.

Teraz Mooney chwytą się ostatniego, desperackiego środka: składa doniesienie o morderstwie na samego siebie. Jednak nowy prokurator nie przedstawia żadnego obciążającego materiału. Mooney zostaje w maju 1933 roku uniewinniony z braku dowodów. Nie zmienia to w niczym wyroku z lutego 1917 roku. Mooney dalej pozostaje za murami więzienia, gdzie coraz bardziej traci siły.

W 1936 roku jego adwokaci składają przed Supreme Court zażalenie Ha-beas-Corpus, żądając uwolnienia skazanego. Także te wysiłki pozostają bez rezultatu.

Wymiar sprawiedliwości z potwornym uporem broni raz popełnionego przestępstwa.

W Kongresie rezolucja o ułaskawieniu Mooneya zostaje przyjęta czterdziestoma pięcioma głosami przeciw dwudziestu ośmiu, jednak Senat odrzuca ją stosunkiem głosów trzydzieści cztery do pięciu. Po prawie dwudziestu trzech latach, 10 marca 1938 roku, Mooney ma okazję

przedstawić swoją sprawę władzy ustawodawczej. W Senacie można słyszeć głosy nazywające tę sprawę skandalem sądowniczym najwyższej klasy oraz „jednym z najgorszych spisków, jakie uknuto w tym kraju”. Nie zdaje się to na nic, Mooney pozostaje za kratkami.

Wybory gubernatorskie w 1938 roku wygrywa po czterdziestoletnim panowaniu republikanów demokrata Culbert Olson. Ułaskawia Thomasa Mooneya i Warrena Billingsa 19 października 1939 roku na podstawie rekomendacji większości sędziów Supreme Court. Podpisując akt łaski, oświadcza: „Uważam, że zostaliście skazani za czyn, którego nigdy nie popełniliście”.

Po odsiedzeniu niewinnie ponad dwudziestu trzech lat Mooney i Billings wychodzą ostatecznie na wolność. Mooney jest złamanym człowiekiem, umiera trzy lata później. Billings osiada w Oklahomie, zaczyna pracować jako zegarmistrz i dożywa podeszłego wieku. W dniu 21 grudnia 1961 roku przywrócono mu, po czterdziestu pięciu latach, prawa obywatelskie. Prawdziwych sprawców zamachu bombowego nie wykryto do dzisiaj.

Kirk Noble B. i zamordowana dziewięciolatka
(Stany Zjednoczone, Maryland, 1984-2003)

Kirk Noble B., lat dwadzieścia trzy, był żołnierz piechoty morskiej, zostaje obwiniony o to, że 25 lipca 1984 roku zgwałcił i zamordował dziewięcioletnią Dawn H. Siódmego sierpnia zostaje aresztowany, ponieważ pięciu naocznych świadków rozpoznało go rzekomo jako sprawcę. Ponadto pewien biegły sądowy jest przekonany, że znalezione na ciele ofiary odciski pochodzą od butów Kirka Noble'a. Sąd przysięgłych hrabstwa Baltimore skazuje oskarżonego w 1985 roku na karę śmierci.

W 1986 roku Court of Appeal stanu Maryland uchyla ten wyrok, ponieważ obrona udowadnia, że prokuratur zataił dowody odciażające. W nowym procesie Kirk Noble B. zostaje jednak ponownie skazany, tym razem na dwukrotne dożywocie. W 1988 roku sąd apelacyjny zatwierdza ten wyrok.

V3U

W tym samym więzieniu co Kirk, w celi pod jego cełą, odsiada wyrok Kimberley Shay R., prawdziwy sprawca, skazany za inny gwałt. Przeprowadzone w 1992 roku badanie DNA wykazuje, że Kirk Noble nie może być winowajcą. FBI zatwierdza nowe wyniki. Noble zostaje zwolniony 28 czerwca 1993 roku.

Jest to pierwszy niewinnie skazany, który został w pełni zrehabilitowany na podstawie badań DNA. Doszło do tego w grudniu 1994 roku. Prawdziwy sprawca zostaje oskarżony we wrześniu 2003 roku i później skazany. Stan Maryland za dziewięć lat niesłusznie spędzonych w więzieniu wypłaca Kirkowi Noble B. odszkodowanie w wysokości trzystu tysięcy dolarów.

Tajemnicza śmierć multimilionera

(Stany Zjednoczone, Nevada, 17 września 1998-2004)

Las Vegas, miasto domów gry i kasyn, nocnych klubów i lokali ze strip-tizem pośrodku suchej i gorącej pustyni, amerykański Disneyland dla dorosłych, przez całą dobę pełne blasku i splendoru, przyciąga też młode i atrakcyjne kobiety. Przybywają setkami z Kalifornii, by zrobić tu szybkie pieniądze jako tancerki. Jest wśród nich dwudziestotrzyletnia Sandra Re-nee M., piękna blondynka o brązowych oczach, długich zgrabnych nogach i wspaniałej figurze. Właściciel nocnego klubu „Cheetah” uznaje jej piersi za tak seksowne, że na początku 1995 roku natychmiast daje jej posadę tancerki topless.

Gdy Sandra, przyodziana tylko w skąpe majteczki, tańczy jako „irlandzka Wenus”, w klubie nie brakuje gości. Wśród widzów bywa też często Lonnie „Ted” B., pięćdziesięcioletni playboy i multimilioner z Las Vegas. Jest właścicielem kasyna „Horseshoe” i w krótkim czasie dorobił się fortuny. Luksus i bogactwo zrujnowały mu jednak zdrowie. Ted B. jest uzależniony od alkoholu i narkotyków. Jego zęby zbrązowiały od ciągłego palenia marihuany i zażywania heroiny i prawie nie ma dnia, by nie opróżnił butelki wódki. Jednak tancerki w nocnych klubach lubią go, bo

135

ma szeroki gest i szasta pieniędzmi. Za pięćset dolarów wiele z nich spędza z nim noc.

Kiedy zobaczył tańczącą Sandrę, od razu się nią zachwyił. Zaprasza ją do swego stolika i stawia drinki. Późno w nocy prosi, by natychmiast i na miejscu się z nim przespała. Jednak obrażona Sandy rzuca mu w twarz tysiąc siedemset dolarów, które wcisnął jej w rękę jak zapłatę dla dziwki. Ted B. jest pod wrażeniem. Dotychczas za pieniądze dziewczyny zawsze spełniały wszystkie jego zachcianki. Teraz spotkał podniecającą kobietę pełną erotycznego wdzięku, która najwyraźniej nie jest na sprzedaż.

Kilka wieczorów później mężczyzna przychodzi raz jeszcze i znowu prosi Sandrę do towarzystwa. Kobieta zdążyła się już dowiedzieć, kim jest jej wielbiciel, i przyjmuje zaproszenie na kolację na jego luksusowym ranchu. Odtąd często widuje się ich w Las Vegas razem. Niezwykle bogaty lekko- Duch z domu gry w Las Vegas i uboga tancerka erotyczna z Downey w Kalifornii stają się parą.

Dla żony Teda niedługo pozostaje tajemnicą, że ma on kochankę. Wraz z piętnastoletnią córką wynosi się z domu, by przeprowadzić rozwód z niewiernym i uzależnionym od narkotyków małżonkiem. Już kilka dni później sprowadza on Sandrę do siebie na rancho, by z nią zamieszkać. Dziewczyna rezygnuje z posady tancerki i zaczyna rozkoszować się bogactwem i luksusem u boku Teda. Znalazła wreszcie to, czego szukała. Przez kilka lat wygląda tak, jakby szczęście zagościło w wystawnym domu przy Palomino Lane. Pozory jednak mylą. Ted B. jest w coraz gorszym stanie i nie może już zaspokoić pragnień namiętnej Sandry. Ponadto z powodu uzależnienia od narkotyków władze chcą mu odebrać koncesję na prowadzenie kasyna.

Pewnego wieczoru poznaje on w męskiej toalecie jakiegoś baru Ricka T, lat trzydzieści trzy, który także przyjechał do Las Vegas szukać szczęścia. Jest kilkakrotnie karany, w tym za kradzież i handel kokainą. Zostawił żonę i dzieci i założył przedsiębiorstwo transportowe, dla którego poszukuje pilnie inwestorów. Gdy spotyka Teda B., o którym już wcześniej słyszał, odnosi wrażenie, że los się do niego uśmiechnął.

Obaj panowie zaprzyjaźniają się. Kiedy Rick zostaje zaproszony na ran-cho, poznaje tam Sandrę. Ted prosi go, by jej towarzyszył w mieście podczas zakupów i uważał na nią. W lipcu 1998 roku zleca Rickowi budowę podziemnego skarbcza, gdzie chce trzymać swoje siedem milionów dolarów w srebrze. Gdy sejf jest gotów, Ted nawet nie zmienia kombinacji numerów przy zamku. Tak bardzo ufa swemu nowemu przyjacielowi.

Wczesnym rankiem 17 września 1998 roku ogrodnik jak zwykle przychodzi na posesję przy Palomino Lane skosić trawę. Dziwi się, że wszystkie zasłony w salonie są zaciągnięte, co się nigdy nie zdarzyło w ciągu ostatnich czternastu lat. Uznaje też za osobliwe, że w domu jest jeszcze spokojnie i nikogo nie widać, kiedy opuszcza działkę między pierwszą a drugą po południu.

Niedługo potem Sandra M. i Rick T. wychodzą z domu i jadą do kasyna „Horseshoe”. Tam przekazują sekretarce Teda podpisany przez niego czek, z prośbą, by go zrealizować. Szef potrzebuje pilnie gotówki, by zorganizować sobie szybko nową heroinę, wyjaśnia Sandra. Ma stany depresyjne i znów jest „na odlocie”. Zajmowała się nim przez całą noc. Teraz śpi mocno, więc nie może sam przyjść.

O godzinie szesnastej do Las Vegas Metropolitan Police Department dzwoni jakaś kobieta i histerycznie krzyczy do telefonu: „Mój mąż nie żyje!”. Nie podaje nazwiska i odkłada słuchawkę. Ale można sprawdzić, skąd dzwoniła: było to połączenie z domem Teda B. Kiedy zajeżdża tam ambulans pogotowia z trzema sanitariuszami, rzuca im się naprzeciw zupełnie załamana Sandra M. ze słowami: „Już nie oddycha! Już nie oddycha!”.

Sanitariusze znajdują na podłodze w salonie przed telewizorem nieżywego najwyraźniej już od kilku godzin mężczyznę. To Ted B. Leży na wznak na materacu, obie ręce ma wyciągnięte przy biodrach, głowa spoczywa spokojnie na poduszce. Okryte pikowaną kołdrą nogi są również wyciągnięte. Obok ciała leżą pusta buteleczka po Xanaxie i napoczęta paczka papierosów. Sandra rzuca się na zwłoki i obejmuje je, płacząc i piszcząc, i z trudem daje się od nich oderwać. „Ja się zabiję! O Boże! O Boże!” - krzyczy. Sanitariusze zabierają ją do kliniki, gdzie dostaje valium.

Detektyw Jim M. czuwa

przed drzwiami jej szpitalnego pokoju, a kilka godzin później, gdy Sandra jest już spokojna, zadaje jej pierwsze pytania.

„Po tym, jak Ted stracił licencję, znów wrócił do twardych narkotyków, kilkakrotnie groził też samobójstwem” - zapewnia kobieta. Kiedy był na haju, wkładał sobie broń do ust. W noc przed śmiercią zażył Xanax. Od tego chyba umarł. Pigułki te dał mu jego sąsiad, niejaki dr L. „Ted bał się ataku, dlatego prosił mnie, bym czuwała przy nim w nocy - opowiada. - Kiedy wyszłam rano z domu, jeszcze mocno spał”.

Becky, siostra Teda, podczas przesłuchania stanowczo przeciwstawia się tezie o samobójstwie. W ostatnich dniach przed śmiercią brat wcale nie był przygnębiony i nigdy nie wspominał o zamiarach samobójczych. Nie przyjmował też zresztą nigdy środków psychotropowych przepisanych przez lekarza.

Po dokładniejszym przeszukaniu domu Teda stwierdzono, że urządzenia alarmowe zostały wyłączone. Pogłębia to podejrzenia prowadzących śledztwo, że milioner został zamordowany Detektyw James B., który przejął nadzór nad dalszym dochodzeniem, jest przekonany, że przedawkowanie narkotyków wywołano u zmarłego przemocą. Ludzie, którzy zażyli zbyt dużą dawkę środków odurzających, umierają w skurczach. Zwłoki Teda leżały jednak całkiem rozluźnione.

Za działaniem innych osób zdają się też przemawiać wyniki sekcji. Lekarze sądowi odkrywają po prawej stronie ciała Teda niebieskie plamy opadowe, typowe oznaki pośmiertnego gromadzenia się krwi. Dowodzi to, że zmarły musiał przez kilka godzin leżeć na prawym boku. A więc ktoś przemieścił zwłoki, kładąc je na plecach. Lekkie ślady wycierania na twarzy, przede wszystkim w okolicy ust, wskazują, że ciało zostało też umyte. Jako przyczynę śmierci podano jednak otrucie wskutek przedawkowania heroiny i Xanaksu. Ślady tych substancji znaleziono jednak tylko w żołądku, a nie w tkance płucnej, co jest również osobliwe, ponieważ przez wszystkie lata zażywania środków odurzających Ted B. zawsze palił narkotyki, nigdy ich nie łykał ani nie wdychał przez nos. Jako przypuszczalny moment śmierci lekarze podają 17 września między godziną piątą trzydzieści a dziesiątą rano.

W godzinach południowych 19 września Rick T. i dwóch innych mężczyzn zostają zaskoczeni podczas próby zrabowania z podziemnego skarbcza Teda siedmiu milionów dolarów w srebrnych sztabkach i monetach. W samochodzie Ricka znaleziono kartkę z numerami kombinacji do sejfu. Na innym świstku napisano odręcznie: „Kocham Cię! Sandy. PS Kocham mojego kochanka”.

Teraz detektyw James B. dysponuje pierwszym dowodem na poparcie swojego przypuszczenia: Ted B. był oszukiwany i zdradzany przez Sandrę M. Dzięki żmudnemu i drobiazgowemu dochodzeniu trafia na dalsze dowody. Na kilka dni przed śmiercią milionera Rick i Sandra zameldowali się jako „państwo T.” w pewnym hotelu na Beverly Hills, gdzie spędzili w pokoju z małżeńskim łóżem kilka dni i nocy. Kilkakrotnie zamawiali masażystkę. Za wszystko płaciła Sandra pieniędzmi Teda. Także w sierpniu 1998 roku ta para spędziła wspólnie kilka dni w ekskluzywnym i bardzo drogim przybytku w Beverly Hills.

Ale Ted B. wyraźnie zaczął coś podejrzewać. We wrześniu 1998 roku na terenie całego domu i działki kazał zainstalować kamery monitorujące. Ktoś jednak rozłączył przewody i kable ośmiu kamer, toteż w dniu śmierci Teda system nie funkcjonował. Magnetowid także uszkodzono. Dlatego detektyw James B. nie widział na kasetach, kto wchodził do domu Teda i kto z niego wychodził w noc poprzedzającą jego zgon. James B. ma teraz jednak pewność: sprawcami są Sandra M. i Rick T. Zabili Teda B. przez przedawkowanie środków odurzających i wszystko tak zaaranżowali, by wyglądało na samobójstwo. Niedługo po śmierci Teda Sandra zadzwoniła do jego towarzystwa ubezpieczeniowego, domagając się miliona dolarów z ubezpieczenia na życie, które Ted w jej przekonaniu przeznaczył dla niej. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu okazuje się jednak, że prawo do tych pieniędzy mają siostrzenice i siostrzeńcy zmarłego. Rick T natomiast musiał dwa dni po śmierci Teda zwrócić wysoki kredyt, zaciągnięty na założenie interesu. Nie miał na to środków. Zdaniem prokuratora Davida R. są to wszystko przekonujące motywy do popełnienia morderstwa. Dlatego 21 lipca 1999 roku wnosi oskarżenie

o umyślne zabójstwo przeciw Sandrze M. i Rickowi T. Cztery dni później oboje zostają zatrzymani w supermarkecie i przewiezieni do aresztu.

Ich proces rozpoczyna się 24 marca 2000 roku przed sądem hrabstwa Clark w Las Vegas. Rozprawie przewodniczy sędzia Joseph B. Sala sądowa jest pełna widzów. Każda minuta trwającego dwa miesiące procesu jest transmitowana na żywo przez telewizję. Obojga oskarżonych bronią najlepsi adwokaci, jakich można dostać w Las Vegas. Nie szczędzą wysiłków, by przekonać przysięgłych o niewinności swoich klientów. Po mowach końcowych przysięgli potrzebują ośmiu dni, by uzgodnić werdykt. Ostatecznie ogłaszają wyrok: Sandra M. i Rick T. są winni wszystkich zarzucanych im czynów. W piątek, 15 września 2000 roku, sędzia B. skazuje oboje na dożywotnie więzienie. Podczas odczytywania wyroku nie okazują oni żadnych emocji, natychmiast jednak oznajmiają, że złożą apelację. Ich odwołanie zostaje jednak oddalone przez Nevada Supreme Court. Wyroki pozostają w mocy.

Sandra M. konsekwentnie twierdzi, że jest niewinna. Ze śmiercią Teda B. nie ma nic wspólnego, zapewnia swego nowego, dodatkowego obrońcę Alana Dershowitza. To znany profesor Harvardu i specjalista od wznawiania procesów przed Sądem Najwyższym. Sandra może sobie pozwolić na takiego eksperta, bo w tym czasie znalazła dobroczyńcę, który pokrywa wszelkie koszty obrony. Jest nim bogaty, osiemdziesięciosześcioletni irlandzki przedsiębiorca Bill Fuller, zamieszkały w Las Vegas.

Dershowitz składa obszerne oświadczenie, w którym domaga się nowego procesu dla Sandry M. Nie ma żadnych dowodów jej winy, a zarówno sędzia, jak i prokuratura wpływali w niedopuszczalny sposób na ławę przysięgłych na niekorzyść Sandry M. Jednocześnie domaga się on natychmiastowego zwolnienia swojej klientki za kaucją. Sędzia B. oddała ten wniosek 12 października 2001 roku.

Jednak 14 lipca 2003 roku Nevada Supreme Court dochodzi do przekonania, że Sandra M. nie miała uczciwego procesu. Sędzia był uprzedzony, a prokurator wpływał na świadków i ławę przysięgłych. Supreme Court nakazuje przeprowadzenie nowego procesu, w którym oskarżenie reprezentować będzie dwóch nowych adwokatów.

Obrońca Dick DeGuerin wnosi natychmiast do Las Vegas District Court o bezzwłoczne zwolnienie Sandry M. za kaucją w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Tym razem sędzia B. uwzględniła prośbę w grudniu 2003 roku. Hojny sponsor Bill Fuller wpłaca kaucję i tak po czterech latach więzienia Sandra M. wychodzi na wolność i wraca do domu rodziców w Kalifornii.

W dniu 14 października 2004 roku rozpoczyna się nowy proces. Obronie udaje się dowieść, dzięki nowym ekspertyzom medycznym, że Ted B. dobrowolnie rozstał się z życiem. Sandra M. i Rick T. zostają w listopadzie 2004 roku uwolnieni od zarzutów morderstwa. Ukarano ich tylko za przywłaszczenie pieniędzy multimilionera.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Niedostateczna obrona

Lenfer, c'est les autres - „Piekło to inni”. Tak napisał Jean Paul Sartre w ostatnim akcie swojej sztuki Przy drzwiach zamkniętych. Kiedy obrońca w sprawie karnej broni oskarżonego - jak to ujął obrońca dr. Paul Ronge - oskarżony przebywa w piekle. Są też ci inni, którzy w złych zamiarach albo przez niedbalstwo oskarżają go, chcąc pociągnąć do odpowiedzialności. Także obrońca musi przejść przez to piekło. Chce wyciągnąć stamtąd nie siebie, ale swojego klienta. Jego sztuka obrony jest zwykle jedyną nadzieją oskarżonego, że nie będzie musiał pozostać w tym piekle na zawsze, ale znowu odzyska niebo wolności.

Dlatego niemiecki kodeks postępowania karnego (par. 140) nakazuje, że w pewnych sytuacjach współpraca obrońcy jest „konieczna”. Kiedy oskarżony nie upoważnił jeszcze żadnego adwokata na własny koszt, sędzia przewodniczący musi wyznaczyć obrońcę z urzędu, uwzględniając życzenia oskarżonego, „kiedy nie stoją temu na przeszkodzie ważkie względy”. Obrońca z urzędu opłacany jest z kasy państwowej według określonej taryfy opłat, które często nie pokrywają nawet wydatków biurowych. W razie wyroku skazującego oskarżony zostanie też obciążony kosztami obrońcy z urzędu. Kasa państwowa zrekompensuje sobie później wyłożone przez siebie koszty obrony. Ponieważ obrońca z urzędu nie może wycofać się w trakcie procesu karnego, długotrwałe, bardzo czasochłonne procesy mogą, z uwagi na niskie zarobki, zagrażać wręcz materialnej egzystencji broniącego adwokata.

Audiat et alterapars („trzeba wysłuchać i drugiej strony”). Ta przypisywana Senece refleksja to zasadnicza myśl każdej obrony. Było tak już w sta-

rożytnym Rzymie. Jednym z jego najsłynniejszych obrońców był Marek Tu-lliusz Cynceron. Kiedy w 80 roku p.n.e. wygłaszał on swoją pierwszą mowę końcową podczas *causa publica*, publicznego procesu karnego, wzbudził wielką sensację. Niedługo potem młody Sekstus Roscjusz z Amerii zostaje oskarżony o zamordowanie swego majątnego ojca. Proces ten nie jest niczym więcej, jak przebiegłym łajdactwem dyktatora Sulli. Nazywa on starego Roscjusza wrogiem państwa, konfiskuje jego majątek i obwinia syna o morderstwo. Ze strachu przed Sullą żaden ze stałych obrońców Rzymu nie kwapi się podjąć jego obrony. Młody Cynceron miał tę odwagę. W długiej i wzniosłej mowie końcowej obala zarzut i ujawnia prawdziwe motywy ludzi stojących za tym oskarżeniem. Sekstus Roscjusz zostaje uniewinniony.

W większości dyktatur i reżimów autorytarnych obrońcy w sprawach karnych uważani są za zbędnych. Roland Freisler, przewodniczący osławionego narodowosocjalistycznego sądu ludowego, nazwał obrońcę pomocnikiem przestępcy. Obrońca stał na drodze wszechmocy państwa, systemu, w którym w przekonaniu Freislera pomyłki są wykluczone.

W dobie dzisiejszej wizerunek obrońcy w sprawach karnych budzi w opinii publicznej pewne resentymenty: adwokat postrzegany jest jako krętacz, który robi „z czarnego białe” i dokłada wszelkich starań, by winnego i skazanego już w oczach opinii publicznej przestępcę uchronić przed sprawiedliwą karą. Podczas procesu terrorystów z grupy Baader-Meinhof niektórzy obrońcy w RFN rzeczywiście weszli sami w konflikt z prawem, włączyli się bowiem w działania kryminalne swoich klientów. Nie ma naturalnie wątpliwości, że w naszym porządku prawnym nie ma miejsca dla „zawodowego poplecznictwa”.

Zadaniem obrońcy jest dostrzeżenie wątpliwości i ciągle zwracanie uwagi na możliwość ludzkich pomyłek. Musi on w miarę możliwości zapobiegać orzekaniu przez sądy wyroków „w imieniu pomyłki”. Obrońca, jak to trafnie ujął Ronge, to nie „advocatus diaboli”, lecz „advocatus dubii” (nie adwokat diabła, lecz adwokat wątpliwości). Zdanie Christiana Morgensterna, że „nie może być niczego, co nie jest dozwolone”, musi obrońca w swoich wysiłkach zastąpić logicznym wymogiem, że „nie powinno

być dozwolone, co być nie może". Aż nazbyt często, niestety, się to nie udaje, ponieważ obrona jest niewystarczająca albo sam obrońca jest nieudolny i nie dorósł do sprawy.

Dobry czy zły adwokat

Z pewnością także w ramach niemieckiego systemu prawa karnego istotne jest, jakie kwalifikacje posiada obrońca oskarżonego w sprawie karnej. Zwłaszcza od postępowań rewizyjnych mamy w Niemczech wybitnych specjalistów. Jednak z powodu całkiem odmiennie skonstruowanego prawa procesowego kwestia „dobry czy zły adwokat” nie odgrywa u nas tak istotnej roli, jak na przykład w systemie prawa anglo-amerykańskiego. Tutaj sędzia nie prowadzi rozprawy poprzez aktywne zadawanie pytań i przesłuchiwanie, jak to ma miejsce u nas, ale tylko przysłuchuje się wystąpieniom obu równorzędnych stron - oskarżyciela i obrońcy. Podczas takiego pojedynku bardzo wyraźnie okazuje się, kiedy obrońca nie dorósł do sprawy albo, zwłaszcza w procesach o morderstwo, nie posiada wymaganych kwalifikacji. W Stanach Zjednoczonych jego zdolności decydują dość często o życiu i śmierci oskarżonego. W stanie New Jersey jest na przykład trzydzieści tysięcy adwokatów. Jednak tylko kilkuset z nich zajmuje się sprawami karnymi.

Niedostateczne kwalifikacje obrońców z urzędu

Problem ten staje się szczególnie wyraźny w Stanach Zjednoczonych, kiedy oskarżony jest bez środków finansowych i nie może sobie pozwolić na wynajęcie adwokata. Wtedy zostaje mu wyznaczony, także w sprawach zagrożonych karą śmierci, obrońca z urzędu. Obrońcy w takich procesach często nie mają koniecznego doświadczenia, a często nawet ogólnej wiedzy w dziedzinie prawa karnego.

Większość obrońców z urzędu „inwestuje” w przygotowanie do procesu o morderstwo nie więcej niż czterdzieści-pięćdziesiąt godzin. Doświadcze-

ni, wykwalifikowani adwokaci potrzebują na same dochodzenie i przestudiowanie przepisów oraz właściwych dla sprawy precedensów od pięciuset do tysiąca godzin. Większość obrońców z urzędu nie może z braku pieniędzy dokonać wystarczających badań, ponieważ środki publiczne na ten cel rzadko przyznawane są w odpowiednich ilościach. Aby włączyć do działań detektywa czy zamówić ekspertyzę biegłego sądowego, muszą sięgnąć głęboko do własnej kieszeni. Tylko nieliczni są na to gotowi, a i tak nie mogą sobie na to pozwolić. W większości stanów Ameryki otrzymują za całą swoją pracę w sprawie o morderstwo nie więcej niż tysiąc dolarów. Podczas obrony z urzędu adwokaci niewiele mogą zarobić. Dlatego brak im z reguły koniecznego zainteresowania sprawą.

Teksaska gazeta „Dallas Morning News” jesienią 2000 roku opublikowała wyniki swoich badań: sprawdzono czterysta sześćdziesiąt jeden spraw zakończonych wyrokiem śmierci, w których uczestniczyli obrońcy z urzędu. Rezultat okazał się przerażający. Pozbawionym środków oskarżonym przydzielano często obrońców, którzy mieli problemy z alkoholem czy narkotykami, licencje wydano im na czas ograniczony, pozostawali w konflikcie interesów albo wręcz zawiedli w innych sprawach wskutek niewłaściwych czy zgoła katastrofalnych poczynań.

„Chicago Tribune” zbadała w 1999 roku trzysta wyroków śmierci w Illinois.

Trzydziestu trzech oskarżonych było reprezentowanych przez obrońców z urzędu, którzy nie mieli już prawa występować przed sądem. W stanie Alabama zaś stwierdzono, że mimo ugruntowanych ustawowo praw do adwokata spośród stu osiemdziesięciu pięciu skazanych na śmierć około czterdziestu podczas postępowania odwoławczego nie było już reprezentowanych przez żadnego obrońcę.

Przykłady złej obrony

W procesie o morderstwo przeciw Gary'emu B. jego obrońca C. nie podejmuje praktycznie żadnych działań, by uchronić swego klienta przed karą śmierci. Później okazuje się, że adwokat jest chory psychicznie. Także

/45

w sprawie straconego Ronalda W z Karoliny Północnej obrońca nie przedstawia żadnych odciążających czy łagodzących karę dowodów. Jest alkoholikiem i wypija co dzień po południu butelkę wysokoprocentowego rumu.

Calvin B. i Douglas McC. zostają oskarżeni o zamordowanie w 1983 roku w Teksasie człowieka. Domniemany sprawca Douglas McC. godzi się na układ z prokuraturą, zeznaje jako świadek koronny przeciw Calvinowi B. i zostaje skazany tylko na karę więzienia. Zwolniono go już w 1992 roku. Calvin B. natomiast, który konsekwentnie obstaje przy swojej niewinności, zostaje skazany na karę śmierci. Podczas rozprawy jego obrońca z urzędu zasypia na dłuższy czas przynajmniej pięciokrotnie. Czy nie wychodzi to właściwie na to samo, jakby nie było żadnego adwokata? Otóż nie. W postępowaniu odwoławczym przeciw pozwanemu obrońcy sąd decyduje, że oskarżony ma wprawdzie prawo do obrońcy, ale nie do takiego, który nie śpi. Przykłady takie nie należą wcale do rzadkości podczas procesów o morderstwo. Także podczas rozprawy skazanego na śmierć Anthony'ego R (zob. rozdział 3: „Anioły celi śmierci”) jego obrońca Akim G. zasnął.

Obrońca z urzędu Jamesa W zapomina złożyć na czas prośbę o apelację w imieniu swego klienta, skazanego w Teksasie na karę śmierci. Robi to dopiero po upływie terminu. Odwołanie miało duże szanse na przyjęcie. James W zostaje stracony 11 lipca 2001 roku.

Podczas procesu o morderstwo przeciw Walterowi M. wyznaczony dla niego obrońca z urzędu był adwokatem ofiary aż do chwili jej zamordowania. Wiedzą o tym konflikcie interesów prokurator i sędzia, ale nie oskarżony. Zostaje on skazany i stracony w Wirginii w czerwcu 2002 roku.

||
||

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Fałszywe przyznanie się do winy

Sędziemu często niełatwo jest podążać słuszną drogą i wydać sprawiedliwy wyrok. Szczególnie trudna jest krytyczna ocena przyznania się do winy, które już w prawie rzymskim uchodzi za koronny dowód. W postępowaniu karnym wydaje się to idealnym rozwiązaniem. Sprawca przejmuje odpowiedzialność za przestępstwo i sprawa jest załatwiona.

Wielu sędziów jest skłonnych wierzyć oskarżonemu, który przyznaje się do winy, ponieważ aż nazbyt chętnie widzą w nim już skruszonego, a przez to także prawdomównego grzesznika. Zdumiewające jest jednak, jak wiele przykładów z Niemiec i z zagranicy, dawnych i współczesnych, pokazuje, że przyznanie się do czynu wcale nie dowodzi, iż przyznający się rzeczywiście go popełnił. Nie zawsze podyktowane jest to skruchą i szczerym pragnieniem pokuty. Aż nazbyt często są to wyznania fałszywe, zupełnie nieodpowiadające, lub odpowiadające tylko częściowo, faktycznemu stanowi rzeczy. Dlatego sędzia nie powinien przyjmować niezwyfikowanego przyznania się do winy za podstawę swego orzeczenia.

Już pruski kodeks karny z 11 grudnia 1805 roku określał w paragrafie 300:

„Przyznanie się do winy przez obwinionego nie zwalnia zasadniczo od przeprowadzenia postępowania dowodowego; sędzia jest raczej zobowiązany, w miarę możliwości... dociekać prawdy". Natomiast w paragrafie 370 napisano: „Przyznanie się do winy obwinionego ma tylko wówczas pełną siłę dowodową, kiedy... nie stoi w sprzeczności z innymi dowiedzionymi okolicznościami".

Są to rozsądne przepisy, które wydają się naprawdę postępowe w porównaniu z przestarzałym i prymitywnym obyczajem sądowym, który

W

przez długi czas obowiązywał w anglo-amerykańskim prawie karnym: tam złożenie oświadczenia o własnej winie podczas rozprawy głównej wykluczało wszelkie ingerencje w jego treść i dalsze przeprowadzanie dowodu winy i prowadziło bezpośrednio do skazania oskarżonego. Taki obyczaj prawny sprzyjał popełnianiu pomyłek sądowych, ba, wręcz je prowokował. Jest to z pewnością ważna przyczyna wielu wydanych w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii błędnych wyroków, opartych na fałszywym przyznaniu się do winy. System prawny, w którym konieczność krytycznego sprawdzenia każdego bez wyjątku przyznania się do winy nie jest rzeczą oczywistą, nie daje żadnych gwarancji pozwalających uniknąć błędnych wyroków.

Oczywiście, policja, prokuratura i sąd orzekający mają obowiązek skłonić obwinionego czy oskarżonego do przyznania się do winy wszelkimi środkami, których nie zakazuje niemiecki kodeks postępowania karnego (por. par. 136a). Niewymuszone, dostatecznie sprawdzone co do swojej prawdziwości przyznanie się do czynu pozostaje najlepszą metodą przeprowadzenia dowodu winy. Niestety, nierzadko zdarza się, że fałszywe przyznanie się do winy zostało wymuszone przez prowadzących śledztwo poprzez niedopuszczalne, sprzeczne z prawem metody przesłuchań.

W Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii stosowane są metody tortur, mające zmusić podejrzanego, by przyznał się do popełnienia przestępstwa. W amerykańskim stanie Illinois ponad sześćdziesięciu osobom wkładano na twarz plastikowe torby. Podejrzanych poddawano elektrowstrząsom w uszy i w rejonie genitaliów albo zmuszano do gry w „rosyjską ruletkę”. Przesłuchania trwają czasem po trzydzieści i więcej godzin. Aresztowanych pozbawia się snu, jedzenia i napojów albo zabrania korzystać z toalety. Dlatego liczni załamują się, wyczerpani pod stałą presją wciąż ponawianych pytań, i przyznają się do czynów, których nie popełnili. Chcą mieć po prostu święty spokój i „wrócić w końcu do domu”.

Także w Republice Federalnej Niemiec znane są przykłady morderstw, kiedy śledztwo prowadzono przy użyciu niedopuszczalnych metod.

W 1998 roku w Fiirstenfeldbruck koło Monachium pewien rolnik zostaje zabity we śnie kantówką. Podejrzanie pada szybko na Reinholda E., ponieważ miał on ciągłe zatargi z zamordowanym. Jednak konsekwentnie zaprzecza on, jakoby miał z tym coś wspólnego. Dowodów nie ma żadnych. Ponieważ Reinhold E. musi odbyć rehabilitację w klinice, w jego pokoju zainstalowano „pluskwy”. Wszystko, co mówi podejrzany, jest podsłuchiwane i notowane. Także rozmowa telefoniczna ze znajomą, której opowiada o pytaniach policyjnych na temat jego rzekomej agresywności. Po zakończeniu rozmowy Reinhold E. mówi do siebie: „Bardzo agresywny! Bardzo agresywny! Powinienem był mu strzelić w łeb!”. Prokuratura kwalifikuje ten monolog jako materiał dowodowy i wnosi oskarżenie o morderstwo, bo Reinhold E. rzeczywiście miał też broń palną. Sąd rejonowy w Monachium skazuje go w grudniu 2003 roku na dożywotnie więzienie. Jest to błędny wyrok, który jednak nie staje się prawomocny. Na podstawie wniesionej przez obronę rewizji sąd federalny uchyla to orzeczenie 10 sierpnia 2005 roku i kieruje sprawę na nową rozprawę przed inną izbą karną w Monachium. Nawet prokuratura federalna domaga się uchylenia wyroku. Sąd federalny jest zdania, że myślenie na głos w prywatnym pokoju - nawet na temat przestępstwa kryminalnego najcięższego kalibru - chronione jest przed ingerencją państwa. Potwierdza to w marcu 2004 roku federalny trybunał konstytucyjny w ściśle sformułowanych dyrektywach w sprawie stosowania podsłuchu. Monolog, uważa sąd federalny, nie jest formą komunikowania się, jak rozmowa z osobą trzecią czy uwagi sformułowane na piśmie, ale „kategorią przyporządkowaną światu myśli”. Nie wolno tego traktować jako przyznania się do winy.

Nierzadkie są też sytuacje, kiedy obwinieni utrzymują później niezgodnie z prawdą, że ich zeznania zostały uzyskane przez prowadzących śledztwo niedozwolonymi metodami, takie wyjaśnienia to czyste wykrety. Równie niebezpieczne jak wymuszone przyznania się do winy są takie, w których oskarżony wskazuje innych jako współwinnych przestępstwa. Obwinienia przez współsprawcę są zwykle fałszywe - podyktowane przeważnie złościwością, chęcią zemsty lub nadzieją na własną korzyść.

I4Q

Prowadzącym śledztwo wydaje się często, że potrafią właściwie ocenić, czy podejrzany kłamie, czy mówi prawdę. Dlatego uciekają się do niebezpiecznych metod przesłuchiwania, polegających zwykle na informowaniu o rzeczach nieprawdziwych. „Na twoim ubraniu znaleźliśmy ślady krwi ofiary” - wmawia się obwinionemu. Albo stwierdzenia: „Na broni jest twój odcisk palca” czy „Twój współnik już się przyznał, że to zrobiliście”.

Postępujący tak funkcjonariusze zakładają przeważnie, że podejrzany jest winny. Przeceniają przy tym własną zdolność oceny. Nierzadko podczas przesłuchań wywołuje się też wrażenie, że szybkie przyznanie się do winy zostanie nagrodzone łagodniejszym wymiarem kary. Policjant może też udawać zrozumienie, mówiąc: „Zostałeś przecież sprowokowany!” czy „Nie zrobiłeś przecież tego rozmyślnie!”. Prowadzący dochodzenie skłonni są bronić autorytetu i władzy państwa poprzez szybkie, ostre i bezwzględne działanie, godząc się na mogące stąd wyniknąć błędy. Tego rodzaju ukierunkowane na cel policyjne myślenie stanowi zagrożenie dla sprawiedliwości.

Szczególnie podatni na takie metody są aresztowani z niskim współczynnikiem inteligencji. Czasem w ogóle nie rozumieją, co im się zarzuca, albo nie potrafią ocenić konsekwencji fałszywego przyznania się do winy. Także osoby lękliwe lub podatne na wpływy często ulegają podobnym metodom. Narkomani przyznają się czasem do winy tylko po to, by jak najszybciej wrócić na ulicę.

Jest raczej kwestią akademicką, czy należy posuwać się tak daleko, jak się tego domagają niektórzy krytycy i prawnicy, i w ogóle już nie uznawać za materiał dowodowy przyznania się do winy uzyskanego przez policję, a wszystkie przesłuchania prowadzić tylko wobec sędziego i w obecności świadków. To wymagałoby wielokrotnego zwiększenia liczebności personelu sędziowskiego i jeszcze bardziej wydłużyłoby czas trwania procesów. W praktyce nie da się tego zrealizować. Można jednak zobowiązać prokuratury do kontroli i nadzoru ich organów pomocniczych. Nie ma bowiem wątpliwości, że przyczyny wielu błędnych wyroków sięgają korzeniami do pierwszej fazy postępowania, w sferę dochodzenia przygotowawczego.

Wypadki, kiedy obwiniony przyznaje się do popełnienia przestępstwa swemu obrońcy, a mimo to oczekuje od niego, że w mowie końcowej domagać się będzie uniewinnienia, należą do rzadkości. A przynajmniej rzadko wychodzą na jaw, ponieważ adwokat, który w takiej sytuacji pomaga sprawcy uniknąć kary, naraża się na zarzut poplecznictwa w przestępstwie. Nie wolno mu podjąć się takiej sprawy. Inaczej rzecz się ma, kiedy oskarżony nie przyznaje się wprawdzie do czynu karalnego, a jego obrońca przekonany jest jednak o jego winie. Wówczas adwokat nie powinien uchylać się od obrony. Nie wolno mu bowiem naruszać tajemnicy zawodowej, obciążając jeszcze bardziej oskarżonego kolejną ważną poszlaką. Przedstawimy teraz pochodzące z ostatnich trzech stuleci siedem przykładów amerykańskich, niemieckich i francuskich procesów o morderstwo, w których fałszywe przyznanie się do winy doprowadziło do wydania błędnego wyroku.

Morderstwo bez trupa

(Stany Zjednoczone, Vermont, 1812-1820)

Pierwszy błędny wyrok w historii sądownictwa Stanów Zjednoczonych dotyczy sprawy, która mogłaby budzić nasz śmiech, gdyby nie była tak smutna i straszna. Przyczyny tej pomyłki są charakterystyczne dla systemu prawa karnego tego kraju. Zetkniemy się z nimi jeszcze w wielu przedstawionych w tej książce sprawach. Są dziś równie aktualne, jak przed dwustu laty.

W małym amerykańskim stanie Vermont, nad brzegiem rzeki Hudson między Nowym Jorkiem a granicą kanadyjską, mieszka w 1812 roku w pobliżu Manchesteru niejaki Russell Coh/in. Pracuje tam na farmie ojca ze swoimi szwagrami Jessem i Stephenem Boornami. Bracia Boorn bynajmniej nie kryją, że niespecjalnie przepadają za mężem swojej siostry. Według nich Russell to nicpoń, stały bywalec miejscowej knajpy, często migający się od

roboty. Uważają, że dla rodziny jest tylko ciężarem, i nie kryją się z tym także wobec obcych.

Nagle Russell Colvin znika. Nikt nie wie, gdzie jest. Nikomu nie powiedział, ani dokąd się wybiera, ani że w ogóle chce opuścić ich miejscowość. Wkrótce zaczyna się w Manchesterze przebąkiwać, że nie żyje, mieli go zabić bracia Boorn. Nic konkretnego wprawdzie za tym nie przemawia, ale pogłoski nie milkną.

Siedem lat później Amos Boorn, wuj obu braci, zaczyna twierdzić, że Russell Colvin uporczywie nawiedza go we śnie. Siada na brzegu jego łóżka i opowiada, że został zamordowany. Sprawców nie potrafił rozpoznać. Jego zwłoki zakopano na polu kartofli rodziny Boomów.

Gazety, które istnieją już w owym czasie nie tylko w Stanach Zjednoczonych, podchwytyją łapczywie tę historię, przyczyniając się znacząco do tego, że sprawa przybiera teraz tak zły obrót. Najpierw ludzie rozgrzebują całe kartoflisko i natykają się na jakąś jamę, w której poza rozbitym fajansem leżą dwa noże, scyzoryk i nóż składany. „Tak - potwierdza Sally Colvin - należą do mego męża”. Ludzkich szczątków nie znaleziono. Kobieta nie jest bynajmniej pewna, czy chodzi o noże jej małżonka. Tak jednak twierdzi, gdyż ma interes w tym, by wierzono, że ten nie żyje. Urodziła bowiem nieślubne dziecko, na które według ówczesnych przepisów uzyska wsparcie finansowe tylko wtedy, gdy zaginiony mąż zostanie uznany za zmarłego. Niedługo po znalezieniu noży pali się owczarnia Boomów, a nieco później jakiś pies wygrzebuje pod pniakiem kilka kości. Trzech miejscowych lekarzy orzeka, że to szczątki ludzkie. Teraz opinia publiczna szybko znajduje osobliwe wyjaśnienie, jak zamordowano Russella Colvina: bracia Boorn najpierw zakopali jego ciało na polu kartofli, po kilku latach przenieśli do owczarni, a jeszcze później zakopali pod pieńkiem. Owczarnię podpalili, by usunąć dowody mordu. Jest to czysta spekulacja. Mimo to policja zatrzymuje Jessego Boorna. Za jego bratem Stephenem, który niedawno przeniósł się do Nowego Jorku, wydano list gończy.

W więzieniu Jesse dzieli celę z Silasem Merrillem, skazanym fałszerzem, który współpracuje z organami ścigania. Niebawem Merrill oświadcza, że

Jesse Boom przyznał mu się do zamordowania Russella Colvina po tym, jak go odwiedził w więzieniu ojciec zabitego Barney Colvin. „Stephen Boorn uderzył podczas kłótni znienawidzonego Colvina drągiem” - zapewnia Merrill prokuratora Cah/ina Sheldona. Jesse Boom miał mu się z tego zwierzyć w celi. Potem nadszedł ojciec obu braci i poderzwał gardło ciężko rannemu Colvinowi składanym nożem Stephena. Dzięki temu zeznaniu Merrill zostaje natychmiast zwolniony. Prokurator Sheldon obiecał mu to, jeśli złoży zeznania przeciw braciom Boorn.

Kiedy Jessemu przedstawiono zarzut, jest przerażony. Wobec perspektywy kary śmierci, a także dla ratowania ojca, przyznaje się do winy. Sądząc, że brat jest bezpieczny w Nowym Jorku, całą winę zwała na niego. Władze jednak odnajdują Stephena. Kiedy pojawia się dobrowolnie w Manchesterze, by się bronić przed zarzutami, Jesse odwołuje zeznanie. Oświadcza, że złożył je w rozpacz, by ratować życie swoje i ojca. W odpowiedzi prokurator Sheldon przedstawia kilku świadków, którzy siedem lat po rzekomej zbrodni twierdzą, że słyszeli, jak bracia Boorn grozili Russellowi Colvinowi, że go zabiją. Te wątpliwe, prawie bez wartości zeznania wprawiają jednak Stephena w taką panikę, że teraz on przyznaje się do winy. Działal jednakże w obronie koniecznej, twierdzi, gdyż Colvin go zaatakował.

Po tym, jak w Manchesterze trzeba było pewnemu mężczyźnie amputować nogę, lekarze porównują jego kości z największą spośród wykopanych niegdyś przez psa. Wbrew pierwotnej opinii oświadczają obecnie, że nie chodzi tu o szczątki ludzkie, lecz zwierzęce. Teraz prokurator Sheldon ma problem. Jest wprawdzie przyznanie się do winy, ale żadnych faktów, które by to potwierdzały. Brak jakichkolwiek poszlak. obrońcy Stephena, Richard Skinner i Leonard Sargeant, zwracają jednak uwagę na fakt, że jego zeznanie spisano precyzyjnym charakterem pisma i w starannej angielszczyźnie, zupełnie nie pasujących do jego słabego wykształcenia i niskiej inteligencji. Dobór słów każe przypuszczać, że ktoś w tym Stephenowi pomógł, a może wręcz podyktował, co ma mówić. Adwokaci nie podążają jednak dalej tym tropem, bo sami są przekonani o winie swego klienta.

I tak nieszczęśliwy splot okoliczności nabiera takich rozmiarów, że omal nie stanie się przyczyną zguby braci Boom. Kiedy rozpoczyna się proces przeciw nim, Sheldon domaga się kary śmierci. Jego świadkowie potwierdzają teraz nawet, że słyszeli, jak bracia grozili Russellowi CoM-nowi śmiercią dokładnie w dniu, kiedy zniknął. W listopadzie 1819 roku przysięgli uznają Stephena i Jessego Boomów za winnych morderstwa. Obaj zostają skazani na śmierć. Trzech sędziów opowiada się za łagodniejszym wymiarem kary. Dlatego wyrok Jessego, którego winę uznano za mniejszą, zostaje zamieniony na dożywotnie więzienie. Wyrok na Stephena pozostaje w mocy. Jego egzekucję wyznaczono na 28 stycznia 1820 roku.

Gazety szeroko rozpisują się o tej sprawie, także w Nowym Jorku. W „New York Evenig Post” z 26 listopada 1819 roku czytamy, że z boską pomocą obu zabójców spotka ostatecznie zasłużona kara. Potem jeszcze raz opisano obszernie sen wuja Amosa Boorna. Artykuł ten czyta w pewnym nowojorskim hotelu także Tabor Chadwick, komiwojażer z New Jersey. Przypomina sobie Russella CoMna, którego poznał tam jakiś czas temu. Pracował on na farmie w Dover i często opowiadał o ojczystym Ver-moncie. Wydaje się to Chadwickowi bardzo podejrzane. Natychmiast pisze list do poczmistrza z Manchesteru i jeszcze jeden do „New York Evenig Post”. Opisuje w nich poznanego ongiś człowieka jako mężczyznę niskiego wzrostu, bardzo szybko mówiącego, między trzydziestką a czterdziestką, z dwiema bliznami na okrągłej głowie. Rysopis dokładnie pasuje do Russella CoMna.

Z Manchesteru nie nadchodzi żadna odpowiedź. Ale nowojorska gazeta publikuje list Chadwicka w numerze z 6 grudnia 1819 roku. I tak dowiaduje się o nim James Whelpley, który pochodzi z Manchesteru, a mieszka teraz w Nowym Jorku. Udaje się natychmiast do New Jersey i bez większego trudu odnajduje w Dover cieszącego się życiem Rusella CoMna. Bracia Boom działali mu na nerwy, oznajmia odnaleziony. Całej rodziny miał już po dziurki w nosie, więc postanowił nagle wyjechać z Manchesteru, nie sprzedając nikogo, nawet własnej żony.

Chadwick wysłała wiadomość do Manchesteru, zapowiadając przybycie swoje i Colvina. Kiedy obaj pojawiają się 22 grudnia 1819 roku, oczekuje ich tłum ciekawskich. Dawniejsi sąsiedzi od razu rozpoznają CoMna. Niedługo potem zostają uchylone oba wyroki.

„Godne pożałowania niepowodzenie dobrze dotąd funkcjonującego aparatu sprawiedliwości” - głosi oficjalne oświadczenie. O tym, że Stephen Boom tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięcza to, że jeszcze żyje, nie wspomina prawie nikt. Nikt też nie zaprzęta sobie głowy dociekaniem, co właściwie doprowadziło do tych pomyłek, i nie wyciąga z tego wniosków.

Ojcobójstwo? Sprawa madame Gardin
(Francja, 1861)

Zastraszanie i szantaż jako metody wymuszania przyznania się do winy to nic nowego, stosowano je zawsze, także wobec kobiet. Szczególnie jaskrawy tego przykład pochodzi z historii prawa francuskiego.

W 1861 roku w małej miejscowości w Departement Nord pewien bogaty rolnik zostaje znaleziony martwy w swoim mieszkaniu. Ponieważ jego córka, madame Gardin, zawsze wypowiadała się o nim nienawistnie, a stary człowiek nawet się jej bał, mieszkańcy wioski są mocno przekonani, że to ona go zabiła. Nie ma świadków zbrodni, nawet wystarczających poszlak, tylko te opinie bliźnich.

Chociaż madame Gardin utrzymuje, że jest niewinna, zostaje zatrzymana i przez dwa miesiące jest przetrzymywana w pojedynczej celi, gdzie światło i powietrze docierają tylko przez wąską szparę. Kobieta błaga, by zabrano ją „z tego ciemnego lochu”. Jest brzemienna i dłużej tego nie wytrzyma.

Pozostawia się ją jednak w tym niezdrowym pomieszczeniu, obiecując inną, lepszą celę, jeśli się przyzna do winy. Aby uwolnić się od tych męczarni, kobieta przyznaje w końcu, że zabiła OJC3.

/55

Przed sądem przysięgłych odwołuje jednak to zeznanie i oświadcza ponownie, że jest zupełnie niewinna. Przyznała się tylko po to, by wyjść z ciemnego lochu. Ze względu na dobro dziecka powiedziała wszystko, co chciano od niej usłyszeć.

Przewodniczący sądu zbywa te deklaracje jako „infantylne niedorzeczności” i mimo odwołania nadal jej przyznanie się do winy traktuje poważnie. Madame Gardin zostaje skazana na dożywotnie roboty przymusowe.

Kobieta jest już tak zdruzgotana, że rezygnuje z wniesienia rewizji do francuskiego sądu kasacyjnego. Jej obrońca skomentuje to później: „Rozszalała opinia publiczna i nieprzychylnie wypowiedzi świadków, którzy nie tyle dawali świadectwo, ile zdawali się żądać krwawej ofiary, przekonały oskarżoną, że nie może już liczyć na ludzką sprawiedliwość”. Madame Gardin spędziła już rok w więzieniu, kiedy odkryto i aresztowano prawdziwych sprawców. Nie znają oni wcale madame Gardin i przyznają się do zbrodni, przedstawiając wszystkie szczegóły. Jeden z nich zostaje skazany na śmierć, drugi na dożywotnie roboty przymusowe. Madame Gardin uniewinniono w nowym procesie.

Okrutny mord w Allgau. Sprawa Johanna Lettenbauera
(Niemcy, 16 lipca 1947-11 sierpnia 1965)

Przez prawie dwadzieścia lat sądy Republiki Federalnej Niemiec zajmowały się sprawą morderstwa, które popełniono jeszcze przed jej założeniem. Na pierwszy rzut oka powstaje wrażenie, jakby pomyłka sądowa, która zaszła także w tej sprawie, była nieunikniona. Nie ma jednak nieuniknionych pomyłek sądowych. Nie chroni też przed nimi podeszły wiek. Albowiem jej ofiara ma już siwe włosy. Przy dokładniejszym zbadaniu okazuje się, że doprowadziły do tego poważne błędy organów ścigania i orzekającego sądu. Urodzony w 1890 roku Johann Evangelist Lettenbauer to pobożny, prosty i dobroduszny człowiek, ale niezbyt inteligentny. Jako dziewięciolatek przyjechał do bawarskiego Allgau i mieszka tu odtąd w spokojnej wiosce

/50

Oberreitnau, w drewnianej chacie, pracując jako robotnik torowy. Chata ma tylko kuchnię i dwa pokoje, brak nawet toalety. Na niewielkiej łące Let-tenbauer hoduje kozę i parę kur. Mieszka z żoną i dwiema córkami. Starsza, Maria, ma nieślubnego syna z francuskim żołnierzem sił okupacyjnych. Uchodzi ona za leniwe i nieprzyjazne babsko i wszyscy w wiosce wiedzą, że stosunki między ojcem a córką nie są najlepsze. Kłótnie są na porządku dziennym. Sześćdziesięcioletni, porywczy dziadek nie lubi małego Artura, który wciąż pęta mu się pod nogami. We wczesnych godzinach rannych 16 lipca 1947 roku Lettenbauer woła do sąsiadki, by sprowadziła policję, bo zdarzyło się nieszczęście. Kiedy godzinę później pojawia się młody wachmistrz Rietzler z policji rejonowej we Friedrichshafen, odnosi od razu wrażenie, że w małej chacie rozegrała się straszliwa tragedia rodzinna. Na sofie spoczywa martwa, zalana krwią, dwudziestoczteroletnia Maria, najwyraźniej brutalnie pokaleczona i zabita średniej wielkości toporkiem kuchennym, podobnie jak jej dwuletni syn Artur. Narzędzie zbrodni leży na podłodze obok odłamków szkła z rozbitej butelki po piwie. W kącie pokoju siedzi skulony, zbryzgany krwią i pogrążony w całkowitej apatii stary Lettenbauer. Policjant Rietzler ma kłopoty z wydobyciem od niego jakichkolwiek zeznań. Stary mówi, że wczesnym rankiem wrócił z sianokosów. Wtedy zastał córkę martwą na sofie. Małego Artura, który jeszcze żył, podniósł w przypiływie wzburzenia i położył obok matki. Aby pozbyć się krwi, którą się przy tym zabrudził, umył się przy studni. Potem wrócił do pokoju, by zjeść tam śniadanie.

Rietzler jest przerażony, robi jakieś notatki. Potem oddala się, by sprowadzić komisję ds. zabójstw. Nie zatrzymuje Lettenbauera ani nie każe sąsiadom go przypilnować. Kiedy wraca po jakimś czasie w towarzystwie komisarza kryminalnego Dorscha z Ravensburga, zauważa na miejscu zbrodni pewne zmiany. Lettenbauer próbował najwyraźniej w całkiem prymitywny sposób upozorować morderstwo na tle rabunkowym. W małżeńskiej sypialni pootwierane są teraz i wybebeszone szafy i szuflady, a różne przedmioty porozrzucano w całym pomieszczeniu. Na poduszkach leżą bezwartościowe stare banknoty i kilka listów.

Komisarz Dorsch jest rozgniewany i bierze w obroty starego człowieka. Nie wierzy w ani jedno słowo, gdy Lettenbauer powtarza swoją wersję, od początku jest przekonany o jego winie. Dla Dorscha nie ma niewyjaśnionych spraw. Dlatego Lettenbauer zostaje natychmiast aresztowany. Kto inny miałby dokonać tego mordu? Kto inny miałby motyw? Już nazajutrz Dorsch ma pisemne przyznanie się do winy. „Pokłóciliśmy się z Marią - relacjonuje Lettenbauer bieg wypadków. -Zrobiła się taka bezczelna. Dlatego przyniosłem siekierkę, kiedy Maria chwyciła butelkę i uderzyła mnie. Tak mnie to rozwścieczyło, że zabiłem córkę i Artura”.

No tak, całkiem jasna sprawa, do tego taka prosta. Wyświetlona szybko i bez namysłu. Wersja sprawcy zgadza się całkowicie z zastanymi śladami. A czyż furia zapalczywego mężczyzny, przy tym prawie niedorozwiniętego umysłowo, nie stanowi dobrego motywu? Kiedy dziewiętnastoletnia Cre-szenzia Klauber, sąsiadka Lettenbauerów, zeznaje, że w chwili popełnienia zbrodni widziała, jak z ich chaty wychodziło i odbiegało dwóch czeladników, nikt na to nie zwraca uwagi.

Prowadzący śledztwo nie badają tego śladu. Bo i po co? Sprawca został już zatrzymany. Pomija się też inne poszlaki.

Lekarz urzędowy bada Lettenbauera i zaleca ocenę jego stanu psychicznego w zakładzie psychiatrycznym. Kiedy Lettenbauer wraca stamtąd po kilku tygodniach, odwołuje swoje przyznanie się do winy. Nie odpowiada to zupełnie pierwszemu prokuratorowi Ludwigowi Finkowi, który już wniósł oskarżenie o zabójstwo w afekcie córki Marii i zamordowanie wnuka Artura. Lettenbauer zostaje jeszcze raz gruntownie przesłuchany, aby wycofał swoje odwołanie i po raz drugi złożył pisemne przyznanie się do winy. Ale i tym razem pod dokumentem nie ma jego podpisu. Dwudziestego szóstego listopada 1947 roku, rozpoczyna się jego proces przed wielką izbą karną sądu rejonowego w Lindau. Nie przywrócono jeszcze wówczas instytucji sądu przysięgłych. Rozprawie przewodniczy prezes sądu rejonowego dr Miiller-Eisert, dopiero niedawno mianowany przez władze okupacyjne, fako były docent nieetatowy nie ma on żadnej praktyki sądowej. Jednak niemieccy sędziowie o odpowiednich kwalifikacjach to

w owych czasach rzadkość. Wiele wyroków tego sędziego zostało potem uchylonych przez sądy wyższych instancji.

Chudy, siwowłosy mężczyzna na ławie oskarżonych nie budzi sympatii w wypełnionej sali rozpraw. Jego zeznania to właściwie bełkot, nie potrafi formułować jasnych, powiązanych ze sobą zdań. Nie okazuje ani zrozumienia, ani skruchy i nie podtrzymuje swojego wcześniejszego przyznania się do winy. „Nie zrobiłem tego! - krzyczy głośno. - Bóg mi świadkiem! To nie ja! Przysięgam!”.

Dr Miiller-Eisert na próżno usiłuje skłonić oskarżonego, by powtórzył swoje przyznanie się do winy. Lettenbauer nadal obstaje przy swojej niewinności. A kiedy jego obrońca z urzędu dr Kurt Stock powołuje na świadka młodą panią Klauber, zapowiada się nie lada sensacja. Kobieta słyszała wprawdzie dobiegającą z domu sąsiadów głośną kłótnię między ojcem a córką, zeznaje, ale widziała też dwóch młodych chłopaków, kręcących się po podwórku Lettenbauerów. No cóż, była to wszak pełnia lata, komentuje sędzia przewodniczący. Przecież mogła to być dwójka nieszkodliwych wędrowców. Świadek pozostaje niezaprzyjęta, sąd pomija jej zeznanie. Gdyby ktoś poszedł tym tropem, doprowadziłoby to do prawdziwych sprawców.

Nikt nie zadaje sobie pytania, czy nie jest czymś niezwykłym, że winowajca sam alarmuje policję, po czym spożywa śniadanie obok zwłok swoich ofiar. I nikt nie przyznaje, że odciski palców Lettenbauera znalezione na narzędziu zbrodni w gruncie rzeczy niczego nie dowodzą. Przecież zawsze rąbał on tą siekierką drewno. Nikt też nie rozważa poważnie kwestii, że zgrzybiały i chory mężczyzna jest fizycznie znacznie słabszy od swojej krzepkiej córki. A kiedy lekarz sądowy zeznaje, że wypadki nie mogły się odbyć tak, jak to przedstawia Lettenbauer w swoim zeznaniu, ponieważ kobieta nie umarła od razu, ale dopiero po jakiejś godzinie, informacje te nie wzbudzają u sądu żadnych wątpliwości w kwestii winy oskarżonego. Izba karna jest przekonana, że sprawcą jest Lettenbauer. Inaczej czemu miałby pozorować mord na tle rabunkowym?

Na to krótkie, dwudniowe postępowanie nie zaproszono psychiatry. Na wniosek obrońcy odczytano tylko wydane 28 sierpnia orzeczenie lekarza

'5Q

z zakładu psychiatrycznego, który badał Lettenbauera. Stwierdza on u oskarżonego w chwili popełnienia zbrodni przejściowe zaburzenie czynności psychicznych. Jego zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim postępowaniem były znacznie ograniczone. Na poprawę jego stanu psychicznego nie ma co liczyć, mogą się natomiast powtarzać brutalne przestępstwa. Dla tego starca oznacza to, że na zawsze musi pozostać w izolacji. Opinii innego specjalisty nie zasięgnięto.

W dniu 27 listopada 1947 roku sąd rejonowy w Lindau ogłasza wyrok. Skazuje Johanna Lettenbauera za umyślne zabójstwo wnuka i nieumyślne zabójstwo córki z okolicznościami łagodzącymi na łączną karę dziesięciu lat więzienia. Pozbawiono go praw obywatelskich. Nakazuje też, by po odbyciu kary został przeniesiony do zakładu leczniczo-opiekuńczego. Opinia publiczna jest oburzona zbyt łagodnym, w jej mniemaniu, wyrokiem. Czyż ten bestialski morderca nie zasłużył na karę śmierci? obrońca dr Stock składa natychmiast apelację. Jednak 4 grudnia prezes sądu rejonowego dr Müller-Eisert wzywa do siebie skazanego i namawia, by teraz, gdy już nie ma nic do stracenia, przyznał się w końcu do popełnionego czynu. Pod koniec rozmowy, przy której, co zdumiewające, nie był obecny obrońca, Lettenbauer oświadcza na piśmie:

„Chcę się przyznać do winy. Moją córkę Marię i jej syna Artura zabiłem siekierą, jak to już wcześniej opisywałem. Żałuję popełnionego czynu. Przykro mi z tego powodu”.

Obrońca wycofuje teraz prośbę o rewizję jako beznadziejną. Wyrok staje się prawomocny, a za Lettenbauerem zamykają się na dziesięć długich lat bramy więzienia Keisheim bei Donauwörth.

Chociaż i tu stale powtarza, że jest niewinny, amnestia nie wchodzi w grę. Starzec odsiadywa swoją karę aż do ostatniego dnia, po czym zostaje zamknięty w zakładzie psychiatrycznym, gdyż uchodzi za niebezpiecznego dla społeczeństwa. Jego tragiczna historia nigdy nie stałaby się głośna i nie weszłaby do historii prawa, gdyby nie zdarzył się teraz mały cud. W 1950 roku pewien człowiek informuje policję, że dwaj czeladnicy Manfred Jung i Paul Schwall byli w chacie Lettenbauera, a Jung popełnił tam

owe morderstwa. Policja przekazuje tę informację do dochodzeniówki w Ravensburgu, gdzie jednak zostaje odłożona do akt. Zdaniem odpowiedzialnego za to funkcjonariusza sprawa jest już wyjaśniona - jest wyrok i przyznanie się sprawcy do winy. Tym niewybaczalnym niedbalstwem zajmie się jeszcze landtag Badenii-Wirtembergii.

Jednak piętnaście lat później, 25 marca 1965 roku, ten sam mężczyzna ponownie składa doniesienie na Manfreda Junga, wówczas trzydziesto-ośmioletniego, żonatego kierowcę autobusu. Jung zostaje natychmiast zatrzymany i wobec funkcjonariuszy policji kryminalnej i prokuratury w Kempten przyznaje się do winy. Włóczył się ze swoim przyjacielem, wyznaje, i chciał tamtego 16 lipca 1947 roku zaopatrzyć się w domu Letten-bauera w prowiant. Znalazł chleb i słoninę, zaskoczyła go jednak Maria Lettenbauer. Krzyknęła głośno i rzuciła weń butelką po piwie, na co on zabił siekierką, którą znalazł w kuchni, najpierw ją, potem także dziecko.

W dniu 11 sierpnia 1965 roku podczas natychmiast wszczętego nowego postępowania Johann Lettenbauer zostaje uniewinniony przez sąd przysięgłych w Kempten z powodu dowiedzenia niewinności. „Mnie wystarczy!” - brzmiał komentarz Lettenbauera przed ogłoszeniem wyroku. Przyznano mu odszkodowanie za doznaną niesprawiedliwość. Ale i w tym celu trzeba było najpierw prowadzić długotrwałe procesy. Po osiemnastu latach zamknięcia w ciężkim więzieniu i zakładzie psychiatrycznym osiemdziesięcioletni człowiek opuszcza swoją celę, po osiemnastu latach, których nikt mu nie może zwrócić. Nie znajduje już sobie miejsca w życiu i ostatnie lata spędza w domu starców.

Pytany, czemu wówczas przyznał się do winy, odpowiada: „No, ba! Wielcy panowie! Inspektorowie i inni tacy! Raz są źli, raz przyjaźni, co ta człowiek z tego wyrozumie?”. Jego prosty umysł był podczas przesłuchań tak skołowany, że jak to ujął w jednym z zeznań, „wziął to na siebie”. Funkcjonariusze sądzili, że ma na myśli przestępstwo.

Do tej pomyłki sądowej doprowadziły nie tylko wątpliwe metody prowadzenia przesłuchań. Decydujące było tu też jednotorowe, źle prowadzone dochodzenie, wczesne wytypowanie jednego sprawcy oraz prowadzenie

ióí

rozprawy przez zupełnie niedoświadczonego sędziego. Po uniewinnieniu w Kempten wymiar sprawiedliwości bierze na siebie odpowiedzialność za nieszczęście Lettenbauera. Wskazuje też jednak na serię pechowych okoliczności, które pojawiły się w jego sprawie, co zdarzyć się może raz na sto lat.

Sprawa Lettenbauera nie kończy się jednak na uniewinnieniu po osiemnastu latach. Zapada teraz kolejny błędny wyrok. Ten sam prokurator, który wówczas reprezentował oskarżenie przeciw Lettenbauerowi, oskarża teraz o morderstwo czterdziestoletniego Manfreda Junga. I to przed izbą karną dla nieletnich sądu rejonowego w Kempten, ponieważ w chwili popełnienia przestępstwa oskarżony był jeszcze młodociany w myśl prawa. Manfred Jung trzykrotnie przyznał się do winy. Może kwestia fałszywego przyznania się do winy podczas procesu przeciw Lettenbauerowi oddziaływała jeszcze na sąd, pozbawiając go pewności siebie. Trzech sędziów i dwóch ławników obraduje w czerwcu 1966 roku przez cały dzień. Potem uniewinniają oskarżonego, ponieważ nie można dowieść podwójnego morderstwa i rabunku, a zabójstwo bez niegodnych pobudek albo uszkodzenie ciała ze skutkiem śmiertelnym uległy przedawnieniu. Po dziewiętnastu latach nie można już wydać wyroku z wymaganym stopniem pewności, uważają sędziowie. W sali rozpraw wyrazy uznania mieszają się z okrzykami oburzenia. Jung zostaje zwolniony. Prokuratura domaga się jednak rewizji, a sąd federalny uchyla wyrok i przekazuje sprawę sądowi rejonowemu w Augsburgu w celu ponownego wszczęcia procesu. W październiku 1967 roku Jung zostaje skazany na siedem lat pozbawienia wolności.

Eddie Joe L. i pismo Boże

(Stany Zjednoczone, Michigan, 24 stycznia 1984-sierpień 2002)

Wczesnym rankiem 24 stycznia 1984 roku na ulicach Detroit w amerykańskim stanie Michigan leży głęboki śnieg. Michelle J., szesnastoletnia uczennica, stoi samotnie na przystanku, czekając na autobus, by dojechać

IO2

do Murray-Wright High School na egzamin z historii Ameryki. Na dworze jest jeszcze ciemno. Michelle przytupuje na zmarzniętej ziemi. Zimno jej. Dżinsy, sztruksowa kurtka w kolorze czerwonego wina i czapka na głowie niezbyt chronią przed chłodem. Na ramieniu dziewczyny wisi torba pełna książek. Tego dnia Michelle nie wraca ze szkoły do domu. Matka czeka na nią nadaremnie. Kiedy dziewczyna nie pojawia się też wieczorem, rodzina z kilkoma sąsiadami organizuje poszukiwania. Sprawdzają drogę od przystanku autobusowego i odnajdują w pobliskim opuszczonym garażu zwłoki Michelle obnażone do pasa i oparte o ścianę. Dziewczyna na szyi ma związane swoje rajstopy, którymi ją uduszono. Sekcja zwłok wykazuje, że została ona kilkakrotnie zgwałcona, pochwowo i analnie. Opinia publiczna jest w najwyższym stopniu oburzona i zaniepokojona. W ostatnich miesiącach w tym pięciomilionowym mieście molestowano lub wykorzystano seksualnie około pięćdziesięciu młodych uczennic i studentek, a sprawcy czy sprawców nie zatrzymano. Dowództwo policji przyznaje, że te napady i gwałty stanowią najpoważniejszy problem, jakiemu w owych dniach muszą stawić czoło obywatele Detroit. Mimo intensywnej, trwającej miesiącami poszukiwań nie trafiono też na żaden ślad mordercy Michelle.

Wówczas zdarza się coś osobliwego. Na policję przychodzi kilka listów, czasem nawet po trzy dziennie. Wszystkie wysłał ten sam człowiek - Eddie Joe L, lat trzydzieści sześć, kolorowy. Jest pacjentem detroickiej kliniki psychiatrycznej. Przywieziono go tu jakiś czas temu, po tym jak w domu swego ojca porozbijał wszystkie szyby, a potem czynnie zaatakował pracowników opieki społecznej. Według diagnozy lekarzy Eddie Joe L. cierpi na zespół maniakalno-depresyjny. Lekarze stwierdzają u niego poważne urojenia i ordynują duże dawki Navane, leku psychotropowego, który ma go uspokoić. Medykament ten może wywoływać stany dezorientacji przypominające delirium oraz nerwowe ataki lękowe. Listy z kliniki dotyczą zamordowanej Michelle J. i zawierają szczegółowe informacje na temat dziewczyny i bliższych okoliczności zbrodni.

Podejrzanie pada teraz na Eddiego Joego L. Kiedy policja prowadzi przeciw niemu dochodzenie, żąda on kopii akt sprawy. Po uzyskaniu zgody na wgląd w akta opisuje szczegółowo, jak zobaczył czekającą na przystanku autobusowym Michelle.

Twierdzi, że dziewczyna najwyraźniej spóźniła się na autobus. Zapytał, czy nie mógłby jej podwieźć samochodem. Relacja Eddiego jest bardzo dokładna. Wspomina o kolczykach Michelle w kształcie półksiężyca oraz rajstopach i dzinsach Vanderbilta z żółtymi ozdobami. Mówi też o nożu z czerwoną rączką, którym groził dziewczynie, by ją sobie podporządkować.

Skąd Eddie Joe L. mógłby znać takie szczegóły, gdyby sam nie był sprawcą? Zostaje czterokrotnie przesłuchany w klinice przez policję. Policjant Thomas D. próbuje nakłonić go do przyznania się do winy. W kolejnym liście do policji Eddie twierdzi, że słyszał, iż sprawca wcisnął Michelle w odbyt brudną zieloną butelkę. To szczegół, który znać może tylko morderca. Nie podano tego bowiem jak dotąd do wiadomości publicznej.

W związku z tym Eddie Joe L. zostaje aresztowany. W więzieniu podpisuje pięciostronicowe zeznanie zawierające przyznanie się do winy, w którym powtarza szczegółowe informacje ze swoich listów. Gdy jednak zostaje oskarżony o morderstwo przez prokuratora Timothy'ego K. i rozpoczyna się jego proces przed sądem przysięgłych, odwołuje zeznania, twierdząc, że jest niewinny. Utrzymuje, że został oszukany. Policjant Thomas D. opisał mu wszystkie okoliczności morderstwa, po czym niejako włożył mu je w usta jako informacje własne Eddiego. Odbyło się to mniej więcej tak: „Jak pan sądzi, jakie dzinsy nosiła Michelle J.?”. Kiedy wymienił jakąś markę, Thomas D. odparł: „Nie, to były dzinsy Vanderbilta”. Funkcjonariusz wciąż go pytał: „Przecież chce pan nam pomóc, no nie?”. A on stale powtarzał, że oczywiście chce. Dostał leki psychotropowe, a Thomas D. tak długo „urabiał” go psychologicznie, aż podpisał wszystko, co mu powiedziano i przedstawiono. Został oszukany. Wmówiono mu, że jego przyznanie się do winy pomoże odnaleźć prawdziwego sprawcę. Tylko dlatego przyznał się do rzeczy, których nie popełnił. Nigdy w życiu nie widział Michelle J., nie jest jej mordercą.

Ponieważ Eddie Joe L. nie ma pieniędzy, nie może sobie pozwolić na adwokata. Na jego obrońcę z urzędu zostaje wyznaczony Charles L. Zapytuje on sąd, czy zostanie mu przyznany dodatkowy śledczy, by mógł dokładniej przyjrzeć się sprawie i przygotować się do procesu. Jednak środki finansowe są skąpe. Starcza tylko na byłą studentkę prawa, która odsiedziała trzy lata w więzieniu za zabójstwo, bo zastrzeliła śpiącego mężczyznę. Prowadzi ona dochodzenie tylko wyrywkowo i nie najdokładniej; podczas miesięcy, kiedy pracuje dla obrońcy Eddiego, spotyka się z nim tylko raz. Może przydałby się też biegły medycyny sądowej, który pomógłby obronie zbadać ślady przestępstwa, jak krew, włosy czy paznokcie. Adwokat jednak nie zleca tego nikomu, bo brak na to pieniędzy.

Kiedy 22 kwietnia 1985 roku pod przewodnictwem sędziego Leonarda T. rozpoczyna się proces Eddiego Joego L., jego obrońca nie jest obecny. Leży w szpitalu z poważnymi bólami klatki piersiowej. Nie składa jednak wniosku o odroczenie rozprawy; przewód sądowy rozpoczyna się bez niego. Sędziemu jest to bardzo na rękę. Znany jest z tego, że szybko załatwia sprawy, a obrońca nie chce mu się narażać, w nadziei na przyszłe zlecenia. Sędzia Leonard T. wyznacza oskarżonemu innego obrońcę, Stanforda R. Jest to starszy, doświadczony adwokat, który dorobił się w latach sześćdziesiątych na wyścigach konnych wystawianiem własnych rasowych koni. Stanford R. uchodzi za lokaja sądu. Jest usłużny wobec sędziów i znany z tego, że przydzielone mu sprawy załatwia bez większego oporu i bezproblemowo. Pozwala mu to zarabiać „szybkie pieniądze”. Mimo to jest to jednak człowiek o wzniosłych ideałach i surowej moralności.

Sędzia Leonard T. daje mu tylko tydzień na zapoznanie się ze sprawą i przygotowanie do procesu, co nie wystarczy w tak trudnej sprawie. Nie pozwala obrońcy odszukać świadków, przestudiować uważnie raportów policyjnych i z sekcji, obejrzeć miejsca zbrodni, wypytać biegłych sądowych, a przede wszystkim spędzić wiele godzin ze swoim klientem. Chociaż Stanford R. wie, że nie będzie mógł zdążyć z tym wszystkim, zgadza się na taki termin. Tylko jeden raz odwiedza oskarżonego w więzieniu.

/Ó5

Po tej wizycie odnosi jednak wrażenie, że Eddie Joe L. cierpi na schizofrenię paranoidalną. Dlatego składa wniosek, by przebadał go lekarz psychiatra. Ma wątpliwości co do poczytalności swego klienta. Zanim jednak sędzia Leonard T. podejmuje decyzję, Eddie udaremnia ten zamiar. Odmawia poddania się badaniu. obrońca respektuje jego życzenie. Nie ponawia dalszych prób przekonania go o konieczności takiej procedury. Także sędzia nie żąda takiego orzeczenia, toteż kwestia niepoczytalności w ogóle nie wpływa podczas tego procesu.

Kilka dni przed rozpoczęciem procesu na rzecz oskarżonego zaczyna działać nowy śledczy, John T. Dziś pracuje on pod innym nazwiskiem jako psycholog sądowy. Po odwiedzeniu Eddiego w więzieniu jest przekonany o jego chorobie psychicznej.

„Jego oczy były wytrzeszczone - oznajmia po procesie. - Był nafaszerowany lekami psychotropowymi i sądził, że został objęty programem ochrony świadków. Był przekonany, że policja posługuje się nim, by ująć rzeczywistego sprawcę”.

Proces trwa tylko trzy dni. Obrona rezygnuje z przesłuchania biegłego medycyny sądowej, który badał zwłoki Michelle. O jakichkolwiek śladach, włosach czy włóknach z ubrania mówi się równie mało, jak o sposobie, w jaki dziewczyna została zgwałcona, a ostatecznie uduszona. Nie docieka tego także prokurator, a obrońca nie zadaje ani jednego pytania. Nawet wtedy, gdy oskarżyciel wzywa na ławę świadków psychiatrę, który badał Eddiego w więzieniu. Dlatego nie zostaje też omówiona kwestia, czy podawane Ed-diemu leki nie wpłynęły na gotowość, z jaką dał się policji nakłonić do złożenia zeznań. Prokuratura przedstawia sądowi kilka precedensowych przypadków i mnóstwo odpowiednich wyroków. obrońca Stanford R. nie przytacza nawet jednej sprawy. Jego mowa końcowa trwa całe pięć minut.

Przysięgli potrzebują niespełna godziny, by uznać Eddiego Joego L. za winnego. Sąd skazuje go na dożywotnie więzienie, na co Eddie woła głośno na sali sądowej: „Bóg z tobą, Michelle J., Bóg z nami wszystkimi! Wyjdę znowu na wolność!”.

Eddie Joe L. przez osiemnaście lat siedzi niewinnie w więzieniu. Bo to nie on zamordował Michelle J. W Nowym Jorku jego sprawą zajmuje się In-
IÓ6

!1

Instytut Prawa im. Cardozo. Instytucja ta stawia sobie za cel sprawdzenie za pomocą badań próbek DNA, czy sprawcy skazani w procesach karnych ze wszystkich stanów USA nie są niewinni. W wielu sprawach badania takie doprowadziły do uniewinnienia. Eddie zwraca się listownie do tej instytucji, która bada też jego sprawę. Sprawdzenie takie jest o tyle utrudnione, że większość akt została już zniszczona. Dostępne są jednak zabezpieczone na miejscu przestępstwa przedmioty, można więc przeprowadzić analizę DNA. Okazuje się, że sperma Eddiego nie jest zgodna ze śladami nasienia znalezionymi na rajstopach i zielonej butelce.

„To pismo Boże! - wykrzykuje Eddie Joe L., kiedy zostaje zwolniony po osiemnastu latach odsiedzianych niewinnie w więzieniu. - Boże pismo nigdy nie jest fałszerstwem!“. Eddie wyraża zgodę na poddanie się długotrwałej terapii w oddanym mu do dyspozycji na koszt państwa mieszkaniu. Upoważnił też swego adwokata, by sprawdził, czy funkcjonariusz policji Thomas D., który przeszedł już na emeryturę, nie może zostać pociągnięty do odpowiedzialności karnej i cywilnej.

!

Barry L. i zamordowana staruszka
(Stany Zjednoczone, Wisconsin, 1987-2003)

Trzynastego sierpnia 1987 roku osiemdziesięcioletnia Edna L. zostaje znaleziona martwa w swoim domu. Górna połowa ciała kobiety leży na łóżku, stopy oparte są o podłogę. Aż do podciągniętego powyżej piersi stanika staruszka jest obnażona. Twarz ma przykrytą sukienką. W prawej ręce trzyma buteleczkę z tabletkami. Kilka pigułek wepchnięto jej do ust. Na podłodze leży puste opakowanie po marlboro i kilka niedopałków.

Sekcja wykazuje, że Edna L. została zgwałcona. Na jej ciele pozostały ślady spermy. Na rękach i nogach natomiast pełno jest siniaków, co pozwala wnioskować, że ofiara stawiała silny opór. Rana na potylicy świadczy o tym, że kobietę uderzono twardym, kanciastym przedmiotem. Jeden z sąsiadów od razu zwraca uwagę policjantów, że w dniu dokonania

IÓ7

przestępstwa widział za swoim domem wąsatego mężczyznę o brązowych włosach w niebieskim kombinezonie roboczym. Kiedy go zagadnął, nieznajomy wyciągnął papierosa z czerwono-białego pudełka. To mogły być marlboro, mówi sąsiad. Jednak poszukiwania tego człowieka okazują się bezowocne, nigdy go nie znaleziono. Podejrzenie pada natomiast na dwudziestoczteroletniego Barry'ego L. mieszkającego z rodzicami i dwoma braćmi dwa domy dalej. Jest dalekim krewnym Edny L. i zawsze nazywa ją „ciocią”. Iloraz inteligencji Barry'ego wynosi tylko 70, mężczyzna ma psychikę dziesięciolatka. Pracuje w fabryce chemicznej, posadę tę otrzymał z wielkim trudem. Do pracy jeździ na rowerze, bo nie potrafi zdać egzaminu na prawo jazdy.

Kiedy detektyw Jack H., gwiazda wśród miejscowych policjantów, przejmuje sprawę, bierze Barry'ego w obroty. Zauważył, że Barry nie może zginać małego palca. Ponieważ na rękę ofiary znaleziono tylko odciski trzech palców, detektyw wnioskuje, że pochodzą one od człowieka, który nie może zaciskać jednego z palców.

Człowiekiem tym jest dla niego Barry L.

Ma on jednak alibi na noc 13 sierpnia. Jego rodzina potwierdza, że przez cały czas spał na tapczanie, póki rano nie obudził go ojciec. Jednak dla detektywa Jacka H. to się nie liczy. Podczas intensywnego przesłuchania wmawia Barry'emu, niezgodnie z prawdą, że jego odciski palców zabezpieczono na znalezionym w mieszkaniu Edny pudełku marlboro. Dlatego będzie dla niego lepiej, jeżeli się przyzna, co się zdarzyło tamtej nocy.

Na to Barry przyznaje się do czynu. Nie chce tylko, by dowiedzieli się o tym rodzice. W nocy wszedł przez okno do sypialni Edny i zabił ją latarką. Potem ją zgwałcił. Tłumaczy to tym, że nigdy nie miał dziewczyny. Zabrane z domu ofiary czterysta dolarów przepuścił potem w knajpach i restauracjach.

Barry zostaje aresztowany 8 września 1987 roku, a w grudniu 1988 roku oskarżony o morderstwo. Brak jednak notatek z jego przyznania się do winy. Sąd zadawała się zeznaniem detektywa Jacka H. Biegły sądowy oświadcza, że zabezpieczona sperma pochodzi od mężczyzny z grupą krwi A. Barry ma jednak grupę krwi B. Ekspert tłumaczy to, wygłaszając

dość osobliwą teorię, że grupa krwi mogła ulec zmianie w ciele ofiary pod wpływem bakterii.

Sąd przysięgłych hrabstwa Adams skazuje Barry'ego L. na dożywotnie więzienie. Jego odwołanie nie zostaje rozpatrzone.

Barry L. odsiaduje w celi szesnaście lat. Wtedy reporter miejscowej gazety dowiaduje się, że próbki spermy zabezpieczone wówczas na ciele ofiary nie zostały zniszczone, jak pierwotnie przyjmowano, ale pozostają w posiadaniu pewnego profesora. Pracuje on teraz w Lipsku, w Niemczech, i zachował ten materiał. W lipcu 2003 roku próbki zbadano metodami, które w 1987 roku nie były jeszcze dostępne. Wynik jest jednoznaczny: sperma z ciała ofiary nie pochodzi od Barry'ego L. Dlatego w listopadzie 2003 roku zostaje on zwolniony z więzienia. Na pytanie, czemu w takim razie przyznał się do czynu, którego nie popełnił, odpowiada, że funkcjonariusze zadreżali go długimi przesłuchaniami, a i tak mu nie wierzyli. Chciał więc mieć po prostu święty spokój.

Morderstwo uczennicy w Górnej Frankonii. Sprawa UMego K.
(Niemcy, 2000-2004)

W sprawie morderstwa dziewięcioletniej Peggy K. z górnofrankońskiego Lichtenbergu sąd rejonowy w Hof 2 maja 2004 roku uznaje oskarżonego Ulwiego K. za winnego na podstawie jego przyznania się do winy i skazuje go na dożywotnie pozbawienie wolności oraz umieszczenie na czas nieokreślony w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Poszlaki są niepewne. Brak jakichkolwiek świadków przestępstwa, nie ma nawet zwłok.

Peggy zniknęła 7 maja 2000 roku. Jej ciała nie odnaleziono do dziś. Ulvi K., dwudziestosześcioletni, upośledzony umysłowo pomocnik kelnera, ważący dziewięćdziesiąt sześć kilogramów, wchodzi w krąg podejrzeń prowadzących śledztwo, ponieważ był wcześniej karany za nadużycia seksualne wobec dzieci, a w czasie popełnienia przestępstwa widziano go rzekomo na miejscu zdarzenia.

ióg

Peggy K. jest jedną z jego wcześniejszych ofiar. Kiedy spotyka ją ponownie 7 maja 2000 roku na leśnej drodze, chce zdaniem prokuratury przeprosić ją za wcześniejsze molestowanie seksualne. Jednak Peggy, pełna trwogi, ucieka przed nim, potyka się przy tym o wystający na drodze kamień i parę minut potem jest martwa. Kamień ten stał się główną poszlaką oskarżyciela podczas procesu. W toku rekonstrukcji zdarzenia Ulvi K. celowo i precyzyjnie doprowadził śledczych do tego kamienia. Bardzo dokładnie opisał też agonię dziecka.

„Takich szczegółów się nie wymyśla - oznajmia sędzia Georg H. po trwającym dwadzieścia siedem dni przewodzie sądowym, który po pięciu rozprawach musiał zostać wznowiony, bo sąd zamienił jedną z ławniczek na rezerwową.

Szkolna koleżanka Peggy widziała w dniu przestępstwa, jak dziewczynka wysiada z autobusu o godzinie 13.14 przy Henri-Marteau-Platz w pobliżu miejsca zdarzenia. Także Ulvi K. był tam widziany o godzinie 13.00 przez innego świadka. Kobieta zeznała to jednak na policji dopiero po tym, jak Ulvi K. obwinił jej syna o zamordowanie Peggy. Inne dzieci widziały rzekomo dziewczynkę w Lichtenbergu po południu, po zrekonstruowanym czasie dokonania przestępstwa.

Funkcjonariusze komisji specjalnej podczas przesłuchania 7 maja 2002 roku przedstawiają Ulviemu K. ustalenie, że na jego kombinezonie roboczym „znaleziono duże plamy krwi”. Dlatego Ulvi przyznaje się do winy, później jednak odwołuje wcześniejsze zeznanie, które nie zostało nagrane na magnetofon. Notatki na temat rzeczywistych wyników badania kombinezonu zniknęły. Szef zespołu dochodzeniowego G. wyjaśnia podczas procesu, że je „wyrzucił”. Przyznaje też: „Na kombinezonie UMego nie było żadnej krwi”. Czy obwiniony został oszukany w celu uzyskania przyznania się do winy? W takim razie byłoby ono bezwartościowe.

Izba karna w Hof oparła się jednak podczas ustalania wyroku na tym odwołanym przyznaniu się do winy. Sąd nie uznaje odwołania i późniejszego uzasadnienia, że Ulvi K. chciał mieć święty spokój od policji. W przekonaniu sądu nie zastosowano też żadnych niedopuszczalnych metod pro-

wadzenia przesłuchań. Izba karna nie daje się też przekonać, że istnieją podejrzenia obciążające tureckiego ojczyma Peggy, Erhana i). Podczas procesu płacze się on w zeznaniach. Przyznaje, że molestował Peggy i groził śmiercią jej matce, swojej ówczesnej partnerce życiowej. Ponadto chciał uprowadzić do Turcji swoją drugą córkę. Są nawet pewne wskazówki, że mogło to spotkać i Peggy. Świadkowie podczas procesu zeznają bowiem, że w listopadzie 2003 roku widzieli żywą Peggy w Turcji. „Pomylili się!” -oświadcza na to sędzia przewodniczący H. Przysięgli nie dają wiary tezie obrony, że także Erhan U. wchodzi w grę jako sprawca. W każdym razie na okres, kiedy zniknęła Peggy, między godziną 13.15 a 13.45., nie ma on żadnego alibi.

Dla ławy przysięgłych jest pewne, że morderstwo popełnił Ulvi K. To wyrok, nad którym obrońca Wolfgang Schwemmer kręci głową. „Nie ma żadnych dowodów, tylko poszlaki, wątpliwe, odwołane potem przyznanie się do winy i nawet żadnych zwłok!”. Ponadto jest w najwyższym stopniu wątpliwe, czy Ulvi K., nawet jeśli popełnił to przestępstwo, może w ogóle podlegać odpowiedzialności karnej. Jednak w lutym 2005 roku sąd federalny odrzuca apelację. Jego zdaniem izba karna w Hof w swojej ocenie materiału dowodowego nie popełniła żadnych błędów prawnych. Tego, że przy wydawaniu wyroku oparto się na niewiarygodnym, wątpliwym przyznaniu się do winy, sąd federalny nie może potwierdzić. Tym samym wyrok sądu rejonowego w Hof staje się prawomocny z dniem 2 maja 2004 roku. Pozostają jednak wątpliwości co do jego słuszności. Zmian można jednak dokonać tylko poprzez wznowienie postępowania. Do tego konieczny jest nowy materiał dowodowy. A czy zostanie on przedstawiony, wydaje się również wątpliwe. Tymczasem w Lichtenbergu, rodzinnej wsi Ulwiego K., z inicjatywy obywatelskiej, na początku 2006 roku zaangażowano dla niego adwokata, powierzając mu zadanie przygotowania wniosku o wznowienie procesu. Szacuje się, że prawie dwie trzecie mieszkańców wsi jest przekonanych o niewinności Ulwiego K.

Jego najgorsza rola. Sprawa Guenthera K.
(Niemcy, 2 lutego 2001-2005)

Hasenbergl to ciesząca się złą sławą, najuboższa dzielnica Monachium. Problemy i napięcia społeczne występują tutaj tak często jak nigdzie indziej w mieście. W tym środowisku 16 czerwca 1947 roku urodził się Guenther K. jako nieślubne dziecko Niemki i amerykańskiego żołnierza. Dlatego później nazywa się chętnie „Murzynem z Haselbergl”, któremu udało się stamtąd wyrwać. Ten ważący sto siedemnaście kilogramów mężczyzna kształci się, odbywa służbę w Bundeswehrze, zaczyna pracę w branży reklamy prasowej i łąduje ostatecznie w grupie teatralnej i lewicowej awangardzie filmowej Rainera Wenera Fassbindera. Ten słynny reżyser zwraca na niego uwagę i daje mu parę ról. Guenther K. gra w kilku filmach obok znanych aktorów, jak Hanna Schygulla, oraz w serialu kryminalnym Der Alte. Delektuje się tym, że znalazł się nagle w świetle ramp. W ciągłym poszukiwaniu miłości i uznania nie staje się wprawdzie wielką gwiazdą, ale jednak znanym aktorem. Prowadzi nieustabilizowany tryb życia, rozpadają się dwa jego małżeństwa.

Wtedy spotyka swoją wielką miłość Alexandrę. W 1986 roku poślubia tę atrakcyjną kobietę i przenosi się z nią do słonecznego Algarve, gdzie za sześćset dwadzieścia tysięcy marek kupuje dom i działkę. Teraz rozpoczyna się jego największa i najtragiczniejsza rola. Nie gra jej w filmie, lecz w prawdziwym życiu. W 1992 roku Alexandra dostaje raka kości. Kosztowne terapie w Stanach Zjednoczonych pochłaniają niebawem wszystkie oszczędności. Sytuacja staje się coraz gorsza. Propozycji ról dla Guenthera prawie nie ma.

Zrozpaczona kobieta wpada na pomysł, by wystarać się o pieniądze u dobrego przyjaciela, sześćdziesięcioletniego doradcy podatkowego Hart-muta H. Wymyśla osobliwą historię. Pewien berliński przedsiębiorca budowlany planuje rzekomo budowę hotelu na działce państwa K. w Portugalii, którą ma finansować pewien amerykański piosenkarz rockowy. Zobowiązał się już do wyłożenia siedemdziesięciu milionów dolarów, po-

tem jednak zaczął naruszać postanowienia umowy, dlatego Alexandra chce go teraz zaskarżyć. Potrzebuje jednak pieniędzy na pokrycie wysokich kosztów adwokata i procesu. Doradca podatkowy wierzy w jej opowieść i pożycza małżeństwu K. osiemset trzydzieści tysięcy marek na dobry procent, sądząc, że ma niezłe widoki na rychłe odzyskanie pożyczki.

Także Guenther K. wierzy w tę historię. Kiedy w 1999 roku Alexandra oświadcza mu, że musi wyjechać na pół roku do Nowego Jorku, by uczestniczyć w zbliżającym się procesie, i to nie budzi jego wątpliwości. Będzie do niego dzwonić raz w tygodniu, obiecuje kobieta. Poczty ani telefonów nie powinna odbierać. Stęskniony Guenther K. wyczekuje cotygodniowych telefonów żony. Sądzi, że dzwoni ona ze Stanów Zjednoczonych. Tak naprawdę dzwoni ona jednak z Berlina.

Alexandra mieszka tam ze swoim kochankiem Hansem-Joachimem U., karanym wcześniej kryminalistą z przestępczego półświatka Berlina. Wspólnie przepuszczają na bankiety i przyjęcia to, co jeszcze zostało z kredytu. Doradca podatkowy H. nabiera tymczasem podejrzeń i domaga się dowodów rzekomego milionowego pozwu. Alexandra pokazuje mu kopie listów do swego adwokata, „dr. Gallerta”, postaci przez nią wymyślonej. H. jest teraz przekonany, że padł ofiarą zakrojonego na wielką skalę szwindlu. Zaprasza Guenthera K. do swojej monachijskiej kancelarii i domaga się jako odszkodowania przepisania praw do działki w Algarve.

Drugiego lutego 2001 roku krótko po godzinie osiemnastej monachijska policja otrzymuje wezwanie o pomoc. Nadeszło z domu doradcy podatkowego H. w Miinchen-GroGhadern. Przy aparacie jest Guenther K. Mówi, że znalazł Hartmuta H. leżącego na brzuchu na podłodze salonu jego willi. Twarz jest przekręcona w bok i wciśnięta w kraciasty wełniany koc. Mężczyzna jest martwy. Niedługo potem śledczy zjawiają się na miejscu zdarzenia. Natychmiast poznają, że popełniono przestępstwo. Do lewego nadgarstka nieżyjącego przywiązano kabel. Obok leży kawał taśmy klejącej, którą najwyraźniej go związano. Jego spodnie są ściągnięte, prawdopodobnie dla upozorowania morderstwa na tle seksualnym. Całe mieszkanie jest przetrząsnięte, brak kosztownych obrazów i innych cennych przedmiotów.

Specjaliści od medycyny sądowej twierdzą, że H. został prawdopodobnie w bolesny sposób uduszony po ciężkiej walce „przez obciążenie klatki piersiowej”.

Jednocześnie twarz została wciśnięta „w miękkie nakrycie”.

Dla monachijskiej sekcji zabójstw szybko staje się jasne, że sprawca rozmyślnie zostawił fałszywe tropy. Podejrzenie pada od razu na Guenthera K. Funkcjonariusze informują go o tym, bo na miejscu przestępstwa znaleziono jego ślady. Może to jednak wynikać z faktu, że na osiem tygodni przed śmiercią doradcy prawnego Guenther K. mieszkał jakiś czas w jego domu. Teraz wynajmuje umeblowane mieszkanie w Monachium.

Günther K. nie ma alibi. Może wcale nie chciał zabić, mówi do niego przesłuchujący funkcjonariusz rankiem 8 lutego 2001 roku. Przyznanie się do winy mogłoby złagodzić wymiar kary. K. cały się poci. Podczas wielogodzinnych przesłuchań dowiaduje się, że żona zdradziła go haniebnie, a cała historia z nowojorskim procesem jest zmyślona. Teraz się załamuje i wyznaje, że zabił doradcę podatkowego. Podczas wizyty doszło między nimi do kłótni. W czasie wymiany zdań rzucił się na K. i tak długo przygniatał go swoim ważącym sto siedemnaście kilogramów ciałem, aż tamten przestał się poruszać.

Alexandra śle mu listy miłosne do aresztu śledczego. Nie zawierają niczego, co świadczyłoby o jego niewinności. Prokuratura wnosi oskarżenie o morderstwo. Dwa tygodnie przed rozpoczęciem procesu Alexandra K. umiera na raka. Oskarżony nie dostaje zgody na wyjazd do Berlina na pogrzeb. Zamawia w gazetach nekrologi, w których napisano: „Kiedy zapadają ostatnie cienie, podaj mi rękę, bym mógł z ufnością ruszyć w ostatnią drogę”.

Kiedy w listopadzie 2002 roku rozpoczyna się przed ławą przysięgłych sądu rejonowego Monachium I proces przeciw Guentherowi K, zeznaje on wystudionym głosem, wśród łez i gestykulacji. Czwartego dnia procesu przyznaje się nagle sędziemu przewodniczącemu, że go okłamał. Wymienia dwóch rzekomych współsprawców, jednym z nich ma być Hans-Joachim U., kochanek jego zmarłej żony, który w procesie zeznawał jako świadek. Obaj „współsprawcy” zostają umieszczeni w areszcie śledczym.

Nie można im jednak niczego udowodnić. Po kilku dniach trzeba ich zwolnić. Wtedy Guenther K. wraca do swojej pierwotnej wersji - on sam zabił doradcę podatkowego. W słowie końcowym mówi: „Jest dla mnie jasne, że w całym moim życiu była to moja najgorsza rola”.

W dniu 27 listopada 2002 roku Guenther K. zostaje skazany za próbę rozbójniczego wymuszenia ze skutkiem śmiertelnym na piętnaście lat więzienia. Dziękuje za „uczciwy wyrok sędziego”. Jednak prawie każdy w sali sądu przysięgłych myśli i czuje: tak nie może być. Wiele kwestii pozostaje otwartych. Sprawa na tym się nie kończy, oświadcza sędzia. Dochodzenie będzie trwać dalej, współsprawcy zostaną znalezieni. K. zostaje przewieziony do więzienia Berlin-Tegel, gdzie jako „profesjonalista” podejmuje działalność w grupie teatralnej. Po dziewięciu miesiącach zdarza się coś, co sprawia, że jego przyznanie się do winy staje się bezwartościowe.

W dniu 14 sierpnia 2003 roku na policję w Berlinie zgłasza się kelnerka Sarah H. i oświadcza, że ma do przekazania informacje na temat sprawy Guenthera K. Siedzi on w więzieniu zupełnie niewinnie, bo przestępstwo popełnił jej partner życiowy Heinz K. z dwoma współnikami.

Teraz śledztwo rozkręca się na dobre, stare tropy mieszają się z nowymi. Sekcja zabójstw rekonstruuje następująco przebieg wydarzeń: Alexandra K. poprosiła swego kochanka Hansa-Joachima U., by włamał się do doradcy podatkowego H., dzięki czemu znikną wszystkie dokumenty dotyczące sprawy oszukańczego kredytu. Jednak z uwagi na trudne do obejścia urządzenie alarmowe w domu H., jej kochanek uważa, że lepiej doradcę podatkowego „dopaść po cichu” i upozorować napad rabunkowy. On sam jest na to za szczupły. Werbuje więc sobie krzepkich współników ze środowiska berlińskich rockersów, Heinza i Wolfganga.

Cała trójka załatwia sobie białe ubrania jednorazowe, by nie zostawić na miejscu zbrodni żadnych śladów w postaci włókien, ponadto lateksowe rękawiczki, maski i mocną taśmę klejącą do skrepowania ofiary. Pierwszego lutego jadą do Monachium, obserwują dom H. i wreszcie dzwonią do drzwi. Kiedy gospodarz otwiera i widzi zamaskowanych mężczyzn, wzywa natychmiast pomocy. Obezwładniają go i rzucają brzuchem na

podłogę. Heinz K., krzepki, zwalisty zabijaka, przywala ofiarę ciężarem swego ciała. Zalepiają mu usta taśmą klejącą, a ręce wiążą kablem na plecach. Kiedy dwaj pozostali mężczyźni wracają z łupem z przyległych pomieszczeń do salonu, Hartmut H. już nie żyje. Sprawcy siedzą w aucie, gdy Hans-Joachim U. wysiada ponownie i wraca do willi. Przecina więzy H., zdejmuje mu z ust taśmę klejącą i ściąga zmarłemu spodnie, by upozorować mord homoseksualny.

Chociaż napastnicy nosili stroje ochronne, na miejscu zbrodni zabezpieczono ślady DNA, które można jednoznacznie przypisać Heinzowi K. Trzej przestępcy zostają aresztowani. Podczas przesłuchania przyznają się do winy i zostają oskarżeni o morderstwo. Oświadczają też, że Guenthera K. nie było na miejscu zdarzenia. W listopadzie 2004 roku sąd rejonowy w Monachium skazuje karanych wcześniej morderców za napad rabunkowy ze skutkiem śmiertelnym na kary więzienia od dziesięciu i pół roku do czternastu lat. Sędzia przewodniczący Manfred G. nazywa Guenthera K. w swoim wyroku „zakulisowym inspiratorem”.

Już 2 września 2001 roku K. odwołuje swoje przyznanie się do winy. Przyznał się tylko z miłości do żony, oświadcza, i żeby ją chronić. Z morderstwem nie ma nic wspólnego.

W związku z tym sąd rejonowy w Augsburgu nakazuje przerwanie wykonania kary i wznowienie postępowania sądowego. W dniu 25 listopada 2003 roku Guenther K. zostaje zwolniony z więzienia po trzydziestu trzech miesiącach spędzonych za kratkami.

Nowy proces rozpoczyna się w styczniu 2005 roku. Szlochając i przesadnie gestykulując, K. usprawiedliwia się wobec dwóch nie związanych ze sprawą przyjaciół, których w swoim fałszywym zeznaniu wymienił jako współników. Sąd uniewinnia go 26 stycznia 2005 roku. Guenther K. dziękuje z pocałunkiem w rękę pani prokurator, która także wzywała do uniewinnienia. Ze łzami w oczach mówi: „Nie uczyniłem nigdy nic złego. Moje fałszywe przyznanie się do winy było fatalnym błędem. Chciałem ratować śmiertelnie chorą żonę. Umierała każdego dnia po kawałku. i ja chciałem wtedy umrzeć”.

Augsburska izba karna nie uważa jednak tego motywu za przekonujący. „Nadal nie uważamy tej sprawy za wyjaśnioną - oświadcza sędzia przewodniczący Wolfgang Rothermel. - To postępowanie sądowe jest z pewnością szkolnym przykładem dla prawników, skłaniającym do zastanowienia nad prawdziwością zeznań zawierających przyznanie się do winy". Nadal budzi podejrzenia okoliczność, że krótko po napadzie K. był obecny na miejscu przestępstwa. Nie wystarcza to jednak do wydania wyroku skazującego.

Guenther K, chce nakręcić film na kanwie tej sprawy i zagrać samego siebie. Najpierw jednak czeka go kolejny proces karny o pozbawienie wolności, bo obwinieni przezeń przyjaciele spędzili kilka tygodni w areszcie śledczym.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nacisk opinii publicznej

W historii prawa karnego większości krajów można znaleźć dość przykładów na to, że wynik procesu o morderstwo zależy w znacznej mierze od tego, jaki duch czasu kształtuje w danym okresie opinię publiczną i jak bardzo może ona oddziaływać na sędziów, prokuratorów, przysięgłych, a także świadków i biegłych sądowych, wpływając na wydanie wyroku skazującego na podejrzanego, zanim jeszcze w ogóle rozpocznie się jego proces. Niebezpieczeństwo orzeczenia błędnego wyroku jest wówczas szczególnie duże.

Emocje opinii publicznej będą brane pod uwagę przede wszystkim wtedy, gdy czyn karalny wydaje się szczególnie niegodny. Tak jest na przykład w sytuacji, gdy matka zostaje oskarżona o zamordowanie własnego dziecka. Sympatie rzadko są po jej stronie. Było tak już w tragicznej sprawie dwudziestopięcioletniej służącej Susanny Margarethy Brandt z 1771 roku. Ta panna o nieposzlakowanej opinii zostaje we Frankfurcie uwiedziona przez lokaja pewnego holenderskiego kupca. Dręczona straszliwym konfliktem między miłością macierzyńską a lękiem i wstydem, Margaretha ukrywa ciążę i zabija dziecko po porodzie. Opinia publiczna postrzega ją nie jako ofiarę, ale pozbawioną skrupułów zbrodniarkę, która zasłużyła na śmierć. Po budzącym sensację procesie, na którym we Frankfurcie jest obecny dwudziestodwuletni wówczas studiujący prawo Johann Wolfgang von Goethe, Margaretha Brandt zostaje skazana na śmierć i stracona przez ścięcie toporem. Goethe jest tak głęboko poruszony losem młodej kobiety, że unieśmiertelnia ją w swoim Fauście jako Gretchen.

Jak bardzo wzburzona jest opinia publiczna, gdy matka oskarżona jest o zabicie swoich dzieci, widać też jasno w sprawie Moniki Weimar. Kiedy

8 stycznia 1988 roku sąd rejonowy w Fuldzie skazuje oskarżoną za dwukrotne morderstwo na dożywotnie pozbawienie wolności, budzi to głośny aplauz obecnych na sali rozpraw. Monika Weimar zostaje opluta i zwymyślana od „czarownic” i „amerykańskich dziwek”.

Trzydziestego pierwszego lipca 2005 roku w brandenburskiej wiosce Brieskow-Finkenheerd koło Frankfurtu nad Odrą w starym garażu za domem rodzinnym trzydziestodziewięcioletniej Sabinę H. odkryto zwłoki dziewięciorga dzieci. Znajdowały się w wiadrach, donicach na kwiaty, pod dywanami i w akwarium. Ta bezrobotna pomoc dentystyczna w latach 1988-2004 zabijała tuż po urodzeniu i zakopywała wszystkie te niemowlęta. Całymi latami przechowywała części ciała swoich dzieci - wszystkie miała z mężem, z którym się w tym czasie rozeszła - w doniczkach na balkonie swego mieszkania, podlewała zasadzone w nich kwiaty i czasem przy nich siadała. „Chciałam mieć wszystkie przy sobie” - mówi kobieta podczas pierwszego przesłuchania na początku sierpnia 2005 roku w sposób spokojny i opanowany, bez śladu emocjonalnego czy intelektualnego pomieszania. Urodziła w sumie trzynaścioro dzieci. Czwarte z nich jest pierwszym, które zabija w 1988 roku tuż po porodzie. Nie chce już bowiem w rozpadającym się małżeństwie żadnego więcej potomstwa. Wciąż jednak zachodzi w ciążę, dziewięć razy w ciągu jedenastu lat. Sabinę H. nie odwiedza przy tym lekarza ani placówek medycznych czy opieki społecznej. Rodzi samotnie w domu, zamroczona alkoholem, który stał się jej nieodłącznym towarzyszem. A potem zabija. Siedmioro noworodków, uduszonych prawdopodobnie poduszką, jest już zakopanych, gdy przychodzi do siebie po porodzie i odurzeniu trunkiem. Te przerażające zbrodnie wywołują na łamach niemieckiej prasy okrzyki zgrozy. Media, bezradne wobec tego najgorszego przykładu zabójstwa niemowląt w historii europejskiej kryminalistyki, stawiają wciąż to samo pytanie: jak to możliwe, że Sabinę H. mogła donosić ciążę, a następnie zabić dziewięcioro noworodków, a nikt niczego nie zauważył? Zamiast współczucia czy nawet zrozumienia dla najwyraźniej osamotnionej i wykluczonej ze społeczności kobiety

>79

pojawiają się odraza i nienawiść dla złego „odmieńca”. W nadchodzącym procesie trzeba będzie wyjaśnić, czy mamy do czynienia z „mniej poważnymi przypadkami zabójstwa” zgodnie z par. 213 niemieckiego kodeksu karnego, czy też Sabinę H. zabiła swoje ślubne dzieci „z niskich pobudek”. Wtedy izba karna uzna to za morderstwo, a tej ładnej, ciemnowłosej kobiecie grozi dożywocie.

Także w Stanach Zjednoczonych nienawiść do obwinionego „odmieńca”, którego sposób życia nie odpowiada oczekiwaniom opinii publicznej, odgrywa w wielu procesach niechlubną rolę. Trzy dobitne przykłady ukażą to w sposób niedwuznaczny. Także we Francji odbywały się procesy, na których przebieg w zdecydowany sposób wpłynęła postawa opinii publicznej. Sprawę taką przedstawiono niżej.

Paweł Gorgułow i śmierć prezydenta

(Francja, 6 maja-14 września 1932)

Szóstego maja 1932 roku siedemdziesięcioletni Paul Doumer, ledwie rok wcześniej wybrany na prezydenta Republiki Francuskiej, otwiera w Paryżu wystawę pisarzy kombatantów pierwszej wojny światowej. Około godziny piętnastej, podczas obchodu ekspozycji, Doumer zatrzymuje się na moment, aby zamienić parę słów z przewodniczącym Związku Pisarzy--Kombatantów. Wtedy podchodzi do niego nagle ogromny, barczysty mężczyzna z mocno kręconymi włosami i oddaje pięć szybko po sobie następujących strzałów z rewolweru. Dwa z nich trafiają prezydenta. Doumer osuwa się na ziemię i umiera nazajutrz rano w klinice.

Zamachowiec nie próbuje uciekać, nie stawia też oporu, kiedy zostaje zatrzymany. „To dopiero początek!” - krzyczy i wymachuje dziko rękoma. Wypada mu przy tym z kieszeni jakiś rękopis. Zatytułowany jest Pamiętniki Pawła Gorgułowa, przewodniczącego rosyjskiej partii faszystowskiej, który zabił prezydenta Republiki Francuskiej. Dzięki temu policja może szybko ustalić tożsamość zamachowca i dowiedzieć się czegoś o jego życiu.

180

Paweł Gorgułow urodził się w 1895 roku w Rosji jako syn bogatego rolnika. Kiedy w 1913 roku zostaje powołany do służby wojskowej, musi przerwać studia medyczne. Podczas wojny służy w regimencie kozaków i odnosi ranę głowy. Zostaje odznaczony Krzyżem św. Jerzego, najwyższym rosyjskim odznaczeniem bojowym. W 1921 roku poślubia w Rostowie córkę jednego ze swoich profesorów, emigruje do Warszawy, potem wyjeżdża do Pragi, by dokończyć studia medyczne. Tutaj poślubia, nie biorąc wcześniej rozwodu, dziewiętnastoletnią córkę fryzjera. Maltretuje ją i bije, więc żona występuje o rozwód. Potem Gorgułow bierze sobie za kochankę starszą, zamożną kobietę, która finansuje wydanie jego powieści. Zakłada on rosyjską partię chłopską, którą nazywa „Zieloną Partią”. Jego poglądy polityczne, plasujące się gdzieś między caryzmem a leninizmem, są jednak tak pomieszane, że inni członkowie się wycofują.

Pod koniec lat dwudziestych Gorgułow podejmuje praktykę medyczną, musi się jednak niebawem usprawiedliwiać przed czeskimi władzami i izbą lekarską. Zarzuca mu się, że domaga się od pacjentów o wiele za wysokich honorariów, i to często za leczenie chorób, na które wcale nie cierpią. Kiedy kilka zatrudnianych przez niego do pomocy w domu kobiet oskarża go o próbę gwałtu, staje przed sądem. To jest polityczny spisek przeciw niemu, twierdzi, komunistyczna prowokacja. Zostaje uniewinniony. Także nowe postępowanie przeciw niemu o spędzenie płodu nie doprowadza do skazania. Zostaje jednak pozbawiony prawa do wykonywania zawodu lekarza, więc musi sobie poszukać nowego zajęcia.

Gorgułow jedzie do Francji i poślubia w Paryżu zamożną Szwajcarkę. Pełnymi garściami wydaje jej pieniądze i także tutaj próbuje na próżno przekonać rodaków do swoich idei politycznych. Komuniści w Związku Radzieckim budzą jego nienawiść. A kiedy Francja uznaje oficjalnie Związek Radziecki, Gorgułow postanawia zamordować odpowiedzialnego za to francuskiego polityka.

Kiedy dowiaduje się z gazet, że prezydent Francji otworzy 6 maja 1932 roku jakąś wystawę, uznaje to za doskonałą okazję, by zrealizować swój zamysł. Rankiem 5 maja modli się w katedrze Notre Dame o powodzenie

swego planu, potem w nocy spisuje w hotelu pamiętnik. Nazajutrz przed południem kupuje sobie kartę wstępu oraz dwa rewolwery i dwadzieścia siedem naboii. Wreszcie wypija w kawiarni kilka kieliszków wina i buteleczkę koniaku, a około godziny czternastej udaje się na teren wystawowy.

Proces przeciw niemu rozpoczyna się już 25 lipca 1932 roku przy żywym zainteresowaniu społeczeństwa. Przed budynkiem sądu tworzą się długie kolejki ludzi pragnących wejść do środka. Oskarżony, zamiast odpowiadać na pytania sądu, wygłasza elokwentnie, mocno przy tym gestykulując, swoje poglądy polityczne. Reprezentuje on sto osiemdziesiąt milionów rosyjskich chłopów, twierdzi, skazanych na pracę przymusową, bo nie chcą słyszeć o komunizmie. Jest ich wodzem, apostołem idei, której Sowietci nienawidzą, a socjalistyczna Francja kocha. Idea ta jest mu droższa nad życie. „Mój zamach jest protestem w imieniu zniewolonego ludu rosyjskiego! - krzyczy. - Wysłuchaj mnie, Francjo!“. Kiedy po odczytaniu aktu oskarżenia zostaje zapytany, czy uznaje swoją winę, odpowiada: „Sprawiedliwość odda mi Ten na górze!“. Prokuratura każe go zbadać trzem lekarzom. Wszyscy trzej biegli sądowi uznają go za poczytalnego. Obrona natomiast uważa, że wcale tak nie jest.

Przewodniczący sądu Eugene Dreyfus chce wiedzieć, dlaczego na ofiarę wybrał on sobie właśnie prezydenta Francji. Sędzia ma na sobie szeroką, czerwoną togę z gronostajowym kołnierzem. Doumer kierował polityką francuską i przewodniczył też radzie ministrów, odpowiada Gorgułow. Prezydent współpracował z Ligą Narodów, aby wymazać Rosję z mapy świata. Osobiście nie miał nic przeciw Doumerowi. Ale nieznanemu sędziemu w jego duszy przekazał mu, że należy zabić tego człowieka.

Powiedział mu: „Złóż siebie w ofierze, Pawle, ale uratuj naród rosyjski!“. Oddał strzały bez celowania. Monsieur Doumer stał się ofiarą walki politycznej, podobnie jak on sam. „Domagam się sprawiedliwości! - krzyczy. - Skażcie mnie na śmierć, ale ratujcie moją ideę, która zapobiegnie światowej katastrofie!“.

Obrońca chce się od niego dowiedzieć, czy jego celem jest założenie rosyjskiej partii narodowo-demokratycznej i powiązanie jej z Francją. To Bóg podsunął mu tę ideę, odpowiada Gorgułow. „Lekarze nazywają to megalomania-

Im

||i

manią i manią prześladowczą!" - komentuje tę wypowiedź obrońca i przedstawia sądowi list, napisany w 1929 roku przez Gorgułowa do pewnego uczonego z Pragi, w którym wypytuje on o możliwości podróży międzyplanetarnych. Pragnąłby on mianowicie, ponieważ Ziemia budzi w nim obrzydzenie, stać się pierwszym człowiekiem, który wyląduje na Księżycu. „Czyż nie przemawia to za tym - zapytuje obrońca - że człowiek ten jest niespełna rozumu?”.

Wielu obecnych na sali wyczuwa, że proces wchodzi w decydującą fazę, w której zostaną wysłuchani biegli psychiatrzy. Pierwszy wypowiada się dr Genil-Perrin. Oświadcza, że nie może u Gorgułowa zdiagnozować żadnych zaburzeń czy nieprawidłowości psychicznych. Jego umysłowość jest wprawdzie osobliwa, nie wynika to jednak z przyczynpatologicznych, tylko etnicznych. Gorgułow jest przecież Rosjaninem. Kilka kobiet nazwało go co prawda „obłąkanym”, po tym jak je chłostał i maltretował; jednak słowa tego używały w pospolitym znaczeniu, i o niczym to nie świadczy. Jego rosyjski kolega dr Lwów uznał wprawdzie Gorgułowa za niepoczytalnego, ale biegły odbył z tym lekarzem szczegółowe rozmowy i zauważył przy tym, że postawą i gestykulacją prawie się nie różni od Gorgułowa. A dr Lwów z całą pewnością nie jest przecież obłąkany, to bardzo dobry lekarz. Jest jednak także Rosjaninem o słowiańskiej mentalności. „Gorgułow nie cierpi na manię prześladowczą - kończy swoje wywody dr Genil-Perrin. - Nie jest też paranoikiem”. Gorgułow potrząsa mocno głową, zrywa się z miejsca i krzyczy podekscytowany: „Ten francuski lekarz nie ma sumienia! Ten człowiek nigdy mnie nie badał. Nie zainteresował się moim stanem psychicznym”. On sam jest przecież lekarzem i może potwierdzić, że biegły nie zajmował się nim należycie.

Gorgułow znowu wybucha oburzeniem, kiedy drugi biegły sądowy, dr Truelle, przyłącza się do wywodów swego kolegi i oświadcza, że oskarżony nie zdradza oznak żadnych dolegliwości. „Badał mnie pan, jak sanitariusz w lazarecie bada żołnierza! - krzyczy oskarżony. - To przestępstwo, badać kogoś przez pięć minut, a potem oświadczyć, że nie cierpi na

I 83

żadną chorobę psychiczną!". Obrona pyta lekarza, co sądzi o nieznanym sędzim, o którym opowiadał Gorgułow, o owej istocie, która rzekomo dubluje jego osobowość. „Formuła literacka, jak ów demon, o którym wspominał Sokrates - odpowiada dr Truelle. - W żadnym razie nie jest to objaw patologiczny!".

Kiedy i trzeci biegły prokuratury wyraża podobną opinię, dochodzą do głosu eksperci obrony. „Przypadek Gorgułowa jest trudny- przyznaje dr Lo-gre. - Jest to tak zwany przypadek graniczny. Oskarżony należy do kategorii »półobłąkanych«, to znaczy takich, których nie wiadomo, jak traktować". Biegli prokuratury zdecydowali się na zbyt radykalną interpretację stanu psychicznego podsądnego. Ma on w tej kwestii spore wątpliwości. Gdyby przedstawiono mu Gorgułowa w przeddzień przestępstwa, uznałby go za psychicznie chorego. Po tych słowach Gorgułow podnosi się z miejsca i mówi głosem stłumionym przez łyżę: „jeden człowiek mnie zrozumiał. To ten lekarz. Mogę teraz umrzeć jak apostoł, jak żołnierz na polu chwały".

Ku zaskoczeniu obrony dr Toulouse, jej drugi biegły, odmawia wypowiedzi na temat stanu psychicznego oskarżonego. Mógłby to zrobić tylko wtedy, gdyby wcześniej obserwował go przez kilka dni. Tak jednak nie było. A na podstawie jedynie relacji pisemnych nie może on, jak to zrobił dr Lo-gre, przedstawić żadnego orzeczenia. Nie jest też właściwe dzielenie biegłych przed sądem na dwa obozy i przeciwstawianie ich sobie. Powinni oni raczej współpracować i wybrać nadrzędnego biegłego, skoro nie mogą uzgodnić poglądów. Jego opinia byłaby wtedy dla sądu wiążąca.

Także dr Legrain, trzeci ekspert obrony i były naczelny lekarz zakładu psychiatrycznego departamentu Seine, może oprzeć swoje orzeczenie tylko na podstawie pisemnych notatek oskarżonego. Dla niego sprawa jest bardzo prosta: „Gorgułow to paranoik, który zapamiętał się w nierealnym świecie - oświadcza z wielką pewnością siebie. - Ten majaczy jest obłąkany. W swoich pismach uważa się za mesjasza. Porównuje się z Jezusem, który wylewał łzy nad Jerozolimą, jak on płacze nad światem zniszczonym przez bolszewizm. Chce ten świat uratować. Ucieleśnia wszystkie typy obłąkanego".

Teraz obrońca popełnia znaczący błąd. Nie polemizuje z opinią drugiego biegłego sądowego i rezygnuje z tego, by wobec sprzecznych orzeczeń lekarskich wnioskować o powołanie nadrzędnego eksperta. Doprowadziłoby to bowiem do odroczenia sprawy, co byłoby jego zdaniem bezużyteczne i niestosowne. Zamiast tego wnosi o postawienie przysięgłym dwóch pytań dodatkowych: „Po pierwsze: Czy jest pewne, że Gorgułow był w chwili popełnienia przestępstwa obłąkany? Po drugie: Czy jest pewne, że został do tego przestępstwa popchnięty przez wewnętrzną siłę, której nie potrafił się przeciwstawić?”. Sąd przysięgłych musi orzec zgodnie z własnym sumieniem, czy oskarżony jest odpowiedzialny, czy nie, uzasadnia swój wniosek obrońca. „Kiedy bronię go w ten sposób przed szafotem, nie znaczy to, że domagam się uwolnienia. Można by go dożywotnio izolować”. On sam przychylił się do każdego wyroku, jaki wydał sąd przysięgłych.

Tym samym kwestia rozstrzygnięcia trudnego zagadnienia poczytalności oskarżonego zostaje oddana w ręce przysięgłych. Mają zdecydować o tym, co ostatecznie mogą wiążąco potwierdzić tylko kompetentni psychiatrzy po długim badaniu. Prokurator generalny żąda odrzucenia tego wniosku. „W imię sprawiedliwości, prawa i zdrowego rozsądku”. Kwestia, czy Gorgułow jest obłąkany, zostanie już rozstrzygnięta poprzez odpowiedź na pytanie, czy jest winien. Kiedy przewodniczący sądu pyta oskarżonego, co sądzi o tych wnioskach, ten odpowiada: „Domagam się od wymiaru sprawiedliwości, by mnie skazano na śmierć, ponieważ rząd francuski zabił moją ideę, moją politykę i moją partię. Bez mojej idei nie mogę żyć”.

Kiedy jego brzemenna żona staje ze łzami w oczach na miejscu dla świadków, Gorgułow wstaje i szlocha: „Och, przepraszam, przepraszam!”. Kobieta oświadcza, że jest szczęśliwa. Mąż był dla niej zawsze bardzo dobry. Jednak na mniej więcej dwa tygodnie przed popełnieniem przestępstwa zauważyła u niego całkowitą przemianę. Nocami męczyły go napady duszności, tak że musiał wstawać pięć-sześć razy. Prosi sąd o współczucie dla swego męża i dziecka, które dla niego urodzi. Kobieta spogląda na Gorgułowa, który wstał przy jej słowach, i wydaje okrzyk przerażenia: „O mój Boże, on jest obłąkany!”.

Kiedy nazajutrz po południu strony wygłaszają wnioski końcowe, sala jest znowu przepełniona. Zjawili się prawie wszyscy paryscy sędziowie, by wysłuchać mowy końcowej prokuratora generalnego, błyskotliwego mówcy. Nie zostawia on na oskarżonym suchej nitki. To konował, gracz, biga-mista i sadysta, który dręczył kobiety. To nie tylko Rasputin emigrantów, to także wielki aktor. Z wielkim krzykiem życzy sobie śmierci i szafotu, stawia jednak wszystkie wnioski, by odwlec godzinę sprawiedliwości. Uważa Gorgułowa za symulanta. Wyszło to na jaw, gdy lekarz oświadczył, że nie powinno się go gilotynować. Wtedy podsądny zapłakał z radości. Orzeczenia oskarżenia są niezbite. Biegli obrony natomiast nigdy nie widzieli oskarżonego. Stąd też ich wywody są teoretyczne i arbitralne. Dlatego wchodzi w grę tylko kara śmierci. „Moja czerwona toga to nie liberia lokaja - oświadcza prokurator. - Nie jestem posłuszny ludziom, ani rządowi, które przychodzi i odchodzi, ani nawet przepisom prawa, a tylko własnemu sumieniu. Nie podtrzymałbym oskarżenia, które wydaje mi się niesprawiedliwe czy bezzasadne”.

Potem zwraca się bezpośrednio do przysięgłych: „Naród spokojnie oczekuje waszego orzeczenia, moi panowie przysięgli, bo darzy was zaufaniem. Ręka cudzoziemskiego mordercy sprawiła, że nasze flagi opuszczono do połowy masztu. Stawiam moje wnioski w imieniu kraju, a złoto mojej togi pokrywa żałobna krepa! Twierdzę, że człowieka tego trzeba oddać katu. Każde inne rozwiązanie jawi się mojej duszy jako niedorzeczny występki, jako wyzwanie dla zdrowego rozsądku, prawie jak zniewaga wobec rodziny w żałobie. Opinia publiczna nie mogłaby pojąć, czemu okazuje się współczucie cudzoziemcowi, który chciał w ten sposób skorygować francuską politykę. Przysięgli departamentu Seine, pomyślcie, jaki wyrok wyda historia!”. Następnie mowę wygłasza młodszy z dwóch obrońców, mecenas Marcel Roger. Wbrew woli swojego klienta broni on człowieka, który w delirium swego chorego mózgu nie przestał domagać się dla siebie kary śmierci. „Okażcie łaskę, moi panowie przysięgli, dla tego człowieka, albowiem działał w obłądzeniu. Bo dał się porwać swemu wewnętrznemu demonowi,

bo stał się ofiarą swojej idee fixe, która tak łatwo staje się towarzyszką osoby nie zrównoważonej".

Nawiązując do tego, także mecenas Gerard, jeden z bardziej znanych paryskich obrońców w sprawach karnych, apeluje do przysięgłych, aby nie wydawali wyroku, którego nie da się potem naprawić. Za postępkami Gor-gułow stoi bezrozumne obłąkanie patriotycznego cierpienia. Trzeba w każdym razie uwzględnić okoliczności łagodzące na korzyść oskarżonego, także z uwagi na Madame Gorgułow i dziecko, które być może urodzi się tego samego dnia, kiedy jego ojciec wstąpi na szafot. Człowieka, który jest całkowicie pomieszany psychicznie, nie powinno się skazywać na śmierć. Jego miejsce jest w zakładzie leczniczo-opiekuńczym. „Jest to człowiek nienormalny, obłąkany! - kończy swoją mowę końcową obrońca. -Dlatego nie możecie go skazać!".

Gorgułow podrywa się z miejsca, ściąga kołnierzyk i szarpie koszulę. „Czemu dręczycie mnie tą mową? - krzyczy. - Zabijacie moją ideę!". Tylko z trudem udaje się przerwać jego tyradę i skłonić, by znowu usiadł. O godzinie 18.45 przysięgli udają się na naradę. Potrzebują tylko dwudziestu minut, by uznać oskarżonego za winnego. Kiedy Gorgułow dowiaduje się o wyroku śmierci, znowu unosi się w dzikim wybuchu gniewu. Nie chce mieć nic wspólnego z gilotyną, krzyczy przesadnie głośno. „Niech mnie rozstrzelają jak żołnierza. Nie chcę umierać na szafocie jak jakiś bandyta czy bolszewik!".

Wyrok jest prawomocny. A wymiar sprawiedliwości nie zwleka też z jego wykonaniem. Kilka tygodni później, 14 września 1932 roku, Paweł Gorgułow zostaje stracony. Opinia publiczna, która niewątpliwie wywierała silny nacisk na sąd, tego właśnie chciała. Przyczyniła się też do tego, że kwestia poczytalności sprawcy została niedostatecznie wyjaśniona. Nadużywając prawa gościnności, jakiś cudzoziemiec poważił się targnąć na głowę państwa. Na to może być tylko jedna odpowiedź - całkowita zagłada winowajcy.

Jednak z akt i dowodów pisanych wynika, że nie powinien on zostać skazany. Albowiem jego choroba psychiczna, bez względu na jej charakter,

jest oczywista. Gorgułow w chwili popełnienia przestępstwa nie był w pełni poczytalny. Powinien zostać skierowany do zakładu leczniczo-opiekuńczego, jak się tego domagała obrona. Zdumiewające, że obrońcy zrezygnowali z apelacji, przyczyniając się do tego, że ten błędny wyrok utrzymał się do dnia dzisiejszego. Kiedy niemiecki dyplomata dr Ernst Eduard vom Rath został w listopadzie 1938 roku zamordowany w Paryżu przez polskiego Żyda Herszela Grynszpana, rozwieszono trzy tysiące wielkich plakatów i rozdano w mieście pięćdziesiąt tysięcy ulotek przypominających też o zamachu Gorgułow-a. Na zakończenie tekstu napisano: „Nie chcemy więcej, by cudzoziemcy u nas mordowali. Wystarczy, Francjo, przebudź się!”.

„Gdzie są dzieci?”. Sprawa Alice C.

(Stany Zjednoczone, Nowy Jork, 1965-1977)

Sprawa Alice C. wydarzyła się w 1965 roku w Nowym Jorku i przez dwanaście lat nie schodziła z nagłówek gazet. Na jej kanwie napisano dwie powieści kryminalne, a książka Mary Higgins Clark *Gdzie są dzieci?* stała się nawet bestsellerem. W 1994 roku nakręcono film telewizyjny *The Smali Bodies* (Małe ciała).

Małżeństwo Alice i Edmunda C. jest początkowo bardzo szczęśliwe. Mieszkają w nowojorskiej dzielnicy Queens w mieszkaniu na parterze i mają dwoje dobrze wychowanych, uroczych dzieci. Z czasem jednak Edmund, pracujący jako mechanik lotniczy, coraz rzadziej bywa w domu. Popija z kolegami w knajpach i zaniedbuje żonę. Ładna, niebieskooka Alice o rzucających się w oczy rudych włosach i olśniewającej figurze jest sfrustrowana i czuje się samotna. Podejmuje pracę kelnerki w koktajlbarze i zaczyna romansować z mężczyznami.

Czternastego lipca 1965 roku znika nagle dwójka dzieci państwa C, czteroletnia blondynka Missy i pięcioletni Eddie. Kiedy Alice wchodzi wczesnym rankiem do dziecięcej sypialni, okno jest otwarte na oścież,

a łóżka puste. Tak przynajmniej zeznaje kobieta podczas policyjnych przesłuchań do protokołu. Kilka godzin później zwłoki Missy zostają znalezione na niezamieszkaną, nieodległą parceli. Dziewczynka ma na sobie tylko biały T-shirt i żółte majteczki. Górną część pizamy zadzierzgnięto jej na szyi jak stryczek. Missy została uduszona. Kiedy Alice ma zidentyfikować zwłoki, jej spokój budzi zdumienie policjantów. Matka nie roni nawet jednej łzy.

Kilka dni później na innej działce zostają znalezione zwłoki Eddiego w stanie posuniętego rozkładu. Alice i teraz nie robi wrażenia wstrząśniętej. Wydaje się obojętna i nieczuła, na przesłuchania stawia się z krzykliwym makijażem, w krótkiej spódnicy i białych bucikach na wysokim obcasie. Wieczory spędza w barach i nocnych klubach i coraz częściej przetańcza całą noc z obcymi mężczyznami. Pragnie seksu i często sprowadza sobie kochanka do domu, by zabawić się z nim w małżeńskim łóżu. Mąż od dawna sypia oddzielnie. Instaluje w sypialni urządzenia podsłuchowe, może się więc przysłuchiwać, jak Alice podczas zbliżeń z innymi mężczyznami jęczy z rozkoszy. Raz Edmund wpada do sypialni i wyrzuca nagiego kochanka żony na ulicę.

Czy po kobiecie, która mimo iż straciła właśnie dwoje dzieci, prowadzi teraz tak niemoralny, rozwiązły tryb życia, nie można się spodziewać także morderstwa? W 1965 roku emancypacja kobiet nie jest jeszcze tak daleko posunięta, by nowojorska opinia publiczna tolerowała rozwiązłe życie seksualne z wieloma zmieniającymi się partnerami. Przeciwnie, potępia podobne postępowanie. A kiedy w gazetach ukazują się pierwsze doniesienia o Alice C, staje się coraz bardziej jasne, że jest ona postrzegana jako okrutna, bezlitosna dzieciobójczyni.

Nie ma jednak żadnych dowodów jej winy. Alice oświadcza, że około godziny dziewiętnastej trzydzieści dała dzieciom do jedzenia cielecinę. Sekcja ciała Missy wykazuje, że żołądek jest pełen makaronu. Według ustaleń lekarzy sądowych śmierć nastąpiła od sześciu do dwunastu godzin przed znalezieniem zwłok i jakieś dwie godziny po spożyciu makaronu. Jeśli Alice nie kłamała, można z tego wnioskować, że jej córka mogła zostać

i8g

uprowadzona przez otwarte okno przez jakiegoś pedofila, który przed zamordowaniem dziewczynki dał jej jeszcze jeden posiłek. Gdyby natomiast dzieci zabiła Alice, to musiałyby mieć współnika, który usunąłby przynajmniej jedne zwłoki. Nic jednak na to nie wskazuje.

Śledztwo ciągnie się ponad półtora roku. Trzydziestego listopada 1966 roku przychodzi do prokuratury anonimowy list. Jego autor twierdzi, że w nocy 14 lipca 1965 roku, kiedy zniknęły dzieci, zauważył coś z okna. Widział, jak o drugiej nad ranem ulicą podeszli kobieta i mężczyzna. Kobieta niosła w lewej ręce białe zawiniątko w kocu, przy jej prawej ręce szło małe dziecko. „Pospiesz się!” - zawołał mężczyzna. Kobieta odpowiedziała, żeby był cicho, bo ich jeszcze ktoś nakryje. Mężczyzna wziął zawiniątko i cisnął na tylne siedzenie samochodu. Wtedy kobieta powiedziała: „Mój Boże, nie rzucaj jej tak!”. Potem oboje odjechali.

Policji udaje się ustalić, że list napisała Sophie E., osoba po czterdziestce. Zostaje przesłuchana i rozpoznaje w Alice kobietę, która niosła biały pakunek. W tym samym mniej więcej czasie Joseph R., jeden z dawnych kochanków Alice, składa obciążające ją zeznanie. Miała mu ona raz powiedzieć, że wolałaby, żeby jej dzieci zmarły, niżby miały mieszkać z jej mężem Edmundem. Teraz prowadzący śledztwo mają też motyw: Alice zabiła dzieci, nie chcąc dopuścić, by po rozwodzie zostały z jej eksmężem.

Jedenastego września 1967 roku Alice C. zostaje oskarżona o zamordowanie swojej córki. Nie wniesiono oskarżenia o zabicie syna, bo nie da się dowieść, że Eddie rzeczywiście został zamordowany. Prasa opisuje oskarżoną jako „amoralną Kirke”, która miała niewiarygodnie wiele wyuzdanych przygód seksualnych.

Proces rozpoczyna się w maju 1968 roku pod przewodnictwem sędziego Petera F. Postępowanie dowodowe przebiega niekorzystnie dla Alice. Joseph R. zeznaje, że Alice prosiła go: „Wybacz mi, proszę, zabiłam ją!”. Także Sophie E. przedstawia swoje nocne obserwacje ze wszystkimi dramatycznymi szczegółami. Alice stanowczo zaprzecza, jakoby zabiła swoje dzieci. Twierdzi, że jest niewinna. Prokurator bierze ją w krzyżowy ogień pytań, nie cofając się nawet przed szczegółowym roztrząsaniem jej

I CO

||
||

przygód seksualnych i rozwiązłych praktyk erotycznych. W ławie przysięgłych zasiadają wyłącznie konserwatywni mężczyźni, przekonani już o winie Alice. Jeden z nich podczas rozprawy tak się wypowiada o oskarżonej: „Taka szmata jest do wszystkiego zdolna!”. Kiedy Alice słyszy wyrok: „Winna!”, traci przytomność. Zostaje skazana na dwadzieścia lat więzienia.

Znany nowojorski adwokat Herbert Lyon jest przekonany o niewinności Alice, więc przejmuje sprawę, nie żądając honorarium. Doprowadza do tego, że po dwudziestu czterech dniach kobieta zostaje zwolniona z więzienia, gdyż wyrażono zgodę na nowy proces przed sądem apelacyjnym. Rozpoczyna się on w marcu 1971 roku. Alice teraz także zostaje oskarżona o zamordowanie swego syna Eddiego.

Postawa opinii publicznej ulega tymczasem pewnej zmianie. Kobięcy promiskuityzm już tak nie szokuje, jak jeszcze pięć lat temu. Feminizm ma coraz więcej zwolenników. Coraz więcej kobiet oświadcza też publicznie, że Alice została skazana tylko z powodu swego rozpustnego trybu życia. Obrona próbuje podważyć zwłaszcza zeznanie Sophie E., podając w wątpliwość jej stan zdrowia psychicznego. Świadek jest neurotyczna i skłonna do nieświadomej przesady. Co więcej, ze swego odległego o ponad sto metrów okna nie mogła słyszeć szczegółów rozmowy między mężczyzną a kobietą. Prokuratura przedstawia jednak nowego świadka, kobietę która widziała rzekomo tę podejrzaną parkę w tym samym mniej więcej czasie. Obrona kontruje świadkiem, który twierdzi, że przechodził tamtędy z żoną i dwójką dzieci. Swoją małą córeczkę niósł pod pachą.

I znowu wyrok brzmi: Winna! Alice szlocha: „Boże drogi, nie! Proszę, Boże!” i zalewa się łzami. Płacze też wiele obecnych na widowni kobiet. A Edmund C, który już dawno rozwiódł się z żoną, woła na sali ze łzami na twarzy: „To żadna sprawiedliwość!”. Jakaś kobieta krzyczy: „Powinni zabić tych przysięgłych!”. Alice C. znika na resztę życia za murami więzienia, tak się przynajmniej wydaje. Jednak po dwóch latach zostaje zwolniona za kaucją dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Supreme Court Brooklynu uchylił wydany na nią

IQI

wyrok, uzasadniając to tym, że jeżeli chodzi o śmierć syna Eddiego nic nie świadczy o morderstwie. Jednak w lutym 1975 roku sąd apelacyjny zatwierdza wyrok na Alice dotyczący zabójstwa córki. Kobieta musi wrócić do więzienia, gdzie poślubia swego przyjaciela z lat młodości Antho-ny'ego G. Potem zostaje nagle zwolniona w listopadzie 1977 roku. Jej wyrok pozostaje jednak w mocy. Jej żądanie wznowienia procesu zostaje ostatecznie odrzucone. Aż do dziś plami ją zarzut zabójstwa córki. Wobec niepozbanionego luk łańcucha poszlak rozstrzygnięcie w najwyższym stopniu wątpliwe.

Proces polityczny. Sprawa Mumii Abu J.

(Stany Zjednoczone, Pensylwania, 1981-?)

Dwudziestego piątego sierpnia 1967 roku ówczesny dyrektor FBI Edgar Hoover wprowadza w Stanach Zjednoczonych tzw. Counter Intelligence Program (program ochrony konstytucji) mający usunąć radykalną, krytyczną wobec systemu opozycję. Szczególnie dotknięte są radykalne grupy lewicowe i organizacja Black Panther (Czarne Pantery), radykalny ruch obrony praw obywatelskich kolorowej ludności Ameryki. Program dopuszcza specjalne środki, jak oskarżenie o morderstwo ze sfałszowanym materiałem dowodowym, a nawet zabójstwa na zlecenie państwa. Podczas pierwszych trzech lat po wprowadzeniu tego programu trzydziestu jeden liderów Czarnych Panter zostaje zabitych przez policję, a ponad tysiąc aresztowanych.

Kiedy w 1968 roku czternastoletni Wesley C, nazywający sam siebie Mumia Abu J., bierze udział w demonstracji protestacyjnej przeciw George'owi Wallace'owi, rasistowskiemu gubernatorowi Alabamy i republikańskiemu kandydatowi na prezydenta, zostaje poturbowany przez policję i aresztowany. Pod wpływem tego incydentu chłopak przyłącza się do Czarnych Panter. Zakłada w Filadelfii stowarzyszenie lokalne i zostaje jego rzecznikiem prasowym. Mumia Abu pracuje jako dziennikarz radiowy

IQ2

i znany jest jako bezlitosny krytyk policji miejskiej Filadelfii, której brutalne naruszenia prawa wobec Afroamerykanów i innych mniejszości etnicznych zawsze piętnuje publicznie. Za tę aktywność polityczną FBI umieszcza go w 1970 roku na „liście bezpieczeństwa” i zaczyna go inwigilować i nadzorować wszystkie jego działania. Agenci próbują go zrobić w pewne morderstwo. Gdy jednak przedstawia niepodważalne alibi, sprawa spełza na niczym. Mumia Abu traci posadę i zarabia odtąd na życie jako taksówkarz w Filadelfii.

W nocy 9 grudnia 1981 roku policjant Daniel F. zatrzymuje w śródmieściu Filadelfii volkswagena garbusa, ponieważ jedzie pod prąd na ulicy jednokierunkowej.

Kierowcą jest Billy C, brat Mumii Abu. Funkcjonariusz każe mu wysiąść i podczas kontroli uderza latarką w głowę. O godzinie 3.51 wzywa przez radio samochód do transportu więźniów. Dlaczego to robi, do dziś pozostaje niejasne. Nie wiadomo też, ile osób siedziało w volkswagenie i czemu zostali zatrzymani.

Zdarzenie to zauważa Mumia Abu J., który przypadkowo stoi w pobliżu w swojej taksówce i ma właśnie dokonać wpisu do księgi kursów. Słyszy krzyki, poznaje swego brata i wyskakuje z wozu, by do niego pospieszyć. Kiedy przechodzi przez ulicę, widzi, jak mundurowy policjant odwraca się do niego z bronią w ręku. Potem dostrzega błysk i osuwa się na kolana, trafiony w pierś. Co dokładnie zaszło, nie zostało nigdy wyjaśnione. Wiadomo jedynie, że policjant Daniel F. został trafiony kulą w plecy, a zginął od postrzału w głowę.

Mumia Abu zostaje zatrzymany i oskarżony o morderstwo. Prowadzący śledztwo utrzymują, że narzędziem zbrodni jest jego pistolet. Jednak bezpośrednio po zdarzeniu nie zbadano ani broni, ani ręki Mumii Abu w poszukiwaniu śladów prochu. Jego pistolet jest kalibru 0,38 cala. Jednak według raportu z sekcji obie kule znalezione w ciele policjanta mają kaliber 0,44. Balistycy nie mogą jednoznacznie przypisać zdeformowanych kul do pistoletu Mumii Abu.

Prokuratura powołuje się też na zeznania dwóch kobiet, rzekomych naocznych świadków. prostytutka Cynthia W. utrzymuje, że widziała, jak

IQ3

Mumia Abu strzelił policjantowi w plecy. Ten, padając, odpowiedział strzałem. Wtedy Mumia Abu stanął nad nim i posłał mu kulę prosto w twarz. Kobieta składa na policji cztery różniące się treścią zeznania, nie zostają one jednak wciągnięte do akt. Zaprotołowano tylko wersję, w której Mumię Abu zidentyfikowano jako sprawcę. prostytutką jest też drugi rzekomy świadek, Veronica J. Policjanci grożą jej odebraniem dzieci, jeśli nie będzie zeznawać przeciw Mumii Abu J. jeśli jednak złoży takie zeznanie, będzie mogła w przyszłości bez przeszkód poświęcić się swojej profesji. Veronica J. przyznaje później, że skłamała podczas procesu Mumii Abu J. Także Cynthia W oświadcza potem, że policja groziła jej wręcz śmiercią, jeśli nie złoży zeznań przeciw obwinionemu.

Pięciu innych świadków zapewnia podczas przesłuchań, że widzieli, jak jakiś Afroamerykanin uciekał z miejsca zdarzenia. Świadek S. oświadcza, że człowiek ten zastrzelił policjanta. Zgadza się to z ekspertyzą medyczno--sądową, której autorzy potwierdzają, że tor pocisku w ciele F. biegnie z góry do dołu, toteż Mumia Abu nie mógł być trafiony przez padającego policjanta. Jednak prowadzący dochodzenie dra na kawałki pisemne zeznanie świadka S. Grożą mu i domagają się, by stwierdził, że nie widział strzelaniny. Świadek jest tak zastraszonej i wywiera się na niego taki nacisk, że składa ostatecznie żądane oświadczenie. Ucieka potem z Filadelfii, by uniknąć ciągłego nadzoru i szykan ze strony funkcjonariuszy. Podczas postępowania sądowego przeciw Mumii Abu J. w ogóle nie zostaje wysłuchany.

Jednak wątpliwe i sprzeczne z prawem metody i machinacje przedstawicieli prokuratury na tym się nie kończą. Jako ukoronowanie „materiału dowodowego” przedstawiają oni rzekome przyznanie się do winy obwinionego. Trzy miesiące po przestępstwie oświadczają, że w szpitalu na krótko przed operacją przyznał się on do przestępstwa. Zdarzyło się to po tym, jak wniósł formalną skargę przeciw filadelfijskiej policji, w której zawiadamia o bardzo złym traktowaniu przez funkcjonariuszy po jego zatrzymaniu. Prokuratura przedstawia dwóch świadków, którzy mieli słyszeć, jak Mumia Abu J. wołał głośno w szpitalu: „Zastrzeliłem tego przekłętą matkojeba! Mam nadzieję, że zdechł!”. Nie ma na ten temat pisemnego

ra-

\QH

portu. A Mumia Abu J. konsekwentnie twierdzi, że nigdy się do niczego nie przyznawał. Jeden ze świadków, który podczas procesu wspomina o rzekomym przyznaniu się do winy, jest najlepszym przyjacielem zabitego policjanta. Funkcjonariusz W, który bez przerwy pilnował Mumii Abu J. od chwili zatrzymania go aż do operacji, oświadczył natomiast, że wcale się on nie przyznał do zabójstwa. Podczas późniejszego procesu zatajono przed przysięgłymi ten pisemny raport. Policjanta tego nigdy też nie wezwano na rozprawę. Uzasadniono to tym, że jest nieosiągalny, bo pojechał na urlop. Tak jednak nie jest. W siedzi w domu, czekając daremnie na wezwanie.

Podczas postępowania wstępnego prokuratura odrzuca kandydatury jedenastu Afroamerykanów na przysięgłych. Do ławy przysięgłych wybrano tylko jedną kolorową, która została jednak odrzucona przez sędziego przewodniczącego Alberta S. z uzasadnieniem, że krótko przed rozpoczęciem procesu zawiozła swego kota do weterynarza. Dlatego nie jest wykluczone, że w tym czasie wpływno na nią na korzyść oskarżonego.

Mumia Abu J. chce się bronić sam. Sąd jednak się na to nie zgadza, choć według amerykańskiej konstytucji prawo takie przysługuje każdemu oskarżonemu. Przydzielono mu obrońcę z urzędu, który wcale nie chce bronić oskarżonego i nie przygotował się do procesu. Na obronę sąd przyznaje tylko trzysta dolarów. Suma ta nie wystarcza na opłacenie biegłych z dziedziny balistyki i medycyny sądowej. Wystarcza tylko na wynajęcie prywatnego detektywa. Odnajduje on i przepytuje dwóch świadków, których adresy zaczerniono w aktach śledztwa. Prokuratura natomiast przeprowadziła przed rozpoczęciem procesu ponad sto przesłuchań świadków.

Kiedy Mumia Abu J. podczas rozprawy obstaje przy swoim prawie, by bronić się samemu, zostaje po prostu na długi czas i podczas decydujących momentów postępowania wykluczony z udziału w przewodzie sądowym. A kiedy chce zapytać rzekomych naocznych świadków Cynthię W i Veroni-cę J., czy policja je zastraszyła albo im groziła, sąd oddala pytanie. Prokuratura zataja odciążający materiał dowodowy i nie przedstawia go przysięgłym. Także w mowie końcowej prokuratura kilkakrotnie narusza wymogi

IQ5

zgodnego z prawem postępowania sądowego. Wzywa lawę przysięgłych, by pomściła na Mumii Abu J. śmierć policjanta, bo domagają się tego mieszkańcy Filadelfii. Należy go uznać za winnego już choćby dlatego, że skorzystał z prawa do odmowy składania zeznań. Może być dla niego tylko jedna kara i jest to kara śmierci. Jego przynależność do ruchu Czarnych Panter świadczy jednoznacznie o pogardzie dla państwa.

Mumia Abu J. nie miał podczas tego procesu najmniejszych szans. Wyrok zapadł w gruncie rzeczy już przed rozpoczęciem rozprawy. Trzynastego marca 1982 roku oskarżony zostaje skazany na karę śmierci. Supreme Court stanu Pensylwania odrzuca 6 marca 1989 roku rewizję. Według planu zajęć do takiego rozstrzygnięcia przewidzianych jest siedmiu sędziów, ale pracuje tylko czterech. Jest wśród nich także sędzia C, członek związku zawodowego policjantów, który podczas pierwszego procesu przeciw Mumii Abu J. zajmował się tą sprawą jako prokurator okręgowy Filadelfii.

W 1990 roku prokuratura składa odwołanie do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, domagając się uchylecia decyzji sądu rewizyjnego. Wniosek zostaje odrzucony.

Tymczasem zarówno w kraju, jak za granicą znajduje się coraz więcej ludzi, którzy także finansowo wspierają Mumie Abu J. w jego walce przeciw wyrokowi skazującemu. W 1992 roku zebrano dość pieniędzy, by opłacić zdolnego obrońcę na planowany nowy proces. Kiedy dociera to do wiadomości publicznej, gubernator Pensylwanii Thomas Ridge podpisuje w 1995 roku nakaz wykonania egzekucji. Obrońca Weinglass domaga się jej odroczenia na tak długo, póki nie zostanie rozpatrzony wniosek o ponowne wszczęcie postępowania. Ma o tym zdecydować ten sam sędzia, który skazał Mumie Abu J. w pierwszym procesie - sędzia S. Był wcześniej szeryfem i członkiem związku zawodowego policji, jest od dawna na emeryturze. Zgadza się jednak powrócić do służby na czas wznowionego procesu. Sędzia S. odrzuca prośbę o odroczenie egzekucji, przedstawiając niewiarygodne uzasadnienie, że Mumia Abu J. zwlekał latami z wniesieniem wniosku o wznowienie procesu. Teraz jest za późno, nakaz stracenia już podpisano.

igó

Na dziesięć dni przed wyznaczonym terminem udaje się jednak jeszcze odroczyć wykonanie wyroku. Ale w samej sprawie, oświadcza sędzia S., nie popełnił on żadnych uchybień procesowych. A nowy przedstawiony przez obronę materiał dowodowy, w tym zeznania świadków na temat manipulacji funkcjonariuszy prowadzących śledztwo, nie stanowi dostatecznego uzasadnienia do wznowienia postępowania.

Mumia Abu J. składa w 1998 roku zażalenie przeciw tej decyzji Supreme Court stanu Pensylwania. Bez ustnego postępowania sąd ten decyduje na podstawie akt sprawy, że wznowienia procesu odmówiono zgodnie z prawem. Obrona ponownie zwraca się do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych o uchylenie tego orzeczenia. Ale w październiku 1999 roku wniosek nie zostaje nawet rozpatrzony, bo droga prawna nie została wyczerpana. Gubernator Ridge podpisuje 13 października 1999 roku nowy nakaz wykonania egzekucji i ustala jej datę na 2 grudnia 1999 roku.

Obrona wnosi 15 października 1999 roku zażalenie w sądzie federalnym. Jest dobrej myśli, bo dochodzi, jak się wydaje, do pewnego zwrotu w sprawie. Ósmego czerwca 1999 roku pewien mężczyzna, niejaki Arnold B., złożył w sądzie okręgowym Pensylwanii zaprzysiężone oświadczenie, w którym zapewnia, że to nie Mumia Abu J., ale on sam zastrzelił policjanta F. Zobowiązał się on wraz z innym mężczyzną za pieniądze usunąć tego człowieka, ponieważ stanowił on problem dla świata przestępczego i skorumpowanych policjantów. F. blokował „przepływ łapówek, za które kupowano zaniechanie ścigania takich nielegalnych procederów, jak prostytutka, salony gry i handel narkotykami w rejonie centrum miasta”. F. został postrzelony w plecy, a następnie w twarz, zanim Mumia Abu J. zjawił się na miejscu zdarzenia. Z samym przestępstwem nie ma on zupełnie nic wspólnego.

Właściwy sędzia federalny William Y. uchyla nakaz wykonania wyroku.

Siedemnastego lutego 2000 roku Amnesty International publikuje miażdżącą krytykę traktowania tej sprawy przez amerykańskie sądy. Nie zachowały one minimalnych standardów państwa prawa i miały uprzedzenia rasowe i polityczne wobec oskarżonego. Sprawa Mumii Abu J. to

szczególnie obrzydliwy przykład tego, jak amerykański system prawny, wykazujący poważne braki, postępuje z oskarżonymi, którzy należą do mniejszości etnicznych i zostali obwinieni o zbrodnię główną. Chodzi tu nie tylko o życie człowieka, ale o zasady sprawiedliwości.

Jednak ten apel i protesty międzynarodowe przebrzmiały bez echa. Osiemnastego grudnia 2001 roku sędzia federalny Y. oddała dwa wnioski Habeas Corpus, dotyczące sprawdzenia konstytucyjnej zgodności z prawem aresztowania Mumii Abu, we wszystkich trzydziestu dziewięciu punktach z wyjątkiem jednego: instrukcje sędziego S. dla przysięgłych oraz doręczony w 1981 roku formularz wyroku nie odpowiadają wymogom prawnym. Dlatego nowa ława przysięgłych powinna rozstrzygnąć o tym, czy Mumie Abu J. należy ponownie skazać na śmierć, czy tylko na dożywotnie więzienie. Sam wyrok skazujący zostaje zdecydowanie utrzymany w mocy. Drugi wniosek, zawierający alternatywny opis przebiegu wydarzeń i przedstawiający niezbitą dowody niewinności Mumii Abu w postaci przyznania się do winy zawodowego zabójcy Arnolda B., został bezceremonialnie odrzucony na dwudziestu siedmiu stronach bez wnikania w szczegóły za pomocą argumentów czysto formalnoprawnych. Mumii Abu J. nie udało się dowieść, „że byłoby bardziej niż prawdopodobne, iż wystąpienie świadka B. podczas pierwszego procesu sprawiłoby, że żaden rozsądny przysięgły by go nie skazał”. To uzasadnienie jest tylko pretekstem, a jedyne, co z tego wynika, to to, że świadek nie może zostać wysłuchany, bo sędzia nie chce go wysłuchać. Wyrok zostaje zatwierdzony w całej rozciągłości.

Ale Mumia Abu J. nie daje za wygraną, jego nowy obrońca Robert Ryan składa kolejny wniosek o wznowienie procesu z uwagi na nowy materiał dowodowy. Arnold B., który potwierdził, że to on sam zastrzelił policjanta, powinien zostać wysłuchany. Sąd jednak wzbrania się tak postąpić. Nie chce też słyszeć o świadku Terri M., która podczas pierwszego procesu była stenografką sądową. Zeznała ona przedstawicielom obrony, że słyszała, jak sędzia S. powiedział podczas rozprawy do prokuratora: „Pomogę usmażyć tego czarnucha!”. Sąd uzasadnia odmowę tym, że kwestia stron-

198

niczości S. była już rozpatrywana przed laty i nie dało się potwierdzić u tego sędziego żadnych uprzedzeń. Sędzia C, który zawsze opowiadał się za egzekucją Mumii Abu, zostaje wyłączony przez obronę z powodu stronniczości. Sam jednak decyduje, że nie jest stronniczy. Nie ma to nic wspólnego z zasadami państwa prawa. Sąd Najwyższy Pensylwanii odrzuca 8 października 2003 roku wniosek o ponowne rozpoczęcie procesu. Dla obrońcy Bryana sprawa jest jasna: sąd wszelkimi środkami nie chce dopuścić do tego, by poprzez zeznania obu tych świadków stanął pod pręgierzem cały amerykański system sądowniczy.

Mumia Abu J., uznany w 2003 roku za honorowego obywatela Paryża, za pośrednictwem swego obrońcy Bryana ponownie odwołał się do federalnego sądu najwyższego. W jego prośbie główny nacisk położono na to, że podczas pierwszego procesu przez połowę czasu był on wyłączony z postępowania i nie mógł się sam bronić. Mumia Abu J. nie zaprzestał walki. Tymczasem ruch solidarności z nim przybrał charakter międzynarodowy i zakrojony na szeroką skalę. Może doprowadzi to do uratowania życia skazanego. Może sprawi, że będzie on miał jeszcze uczciwy proces i po dwudziestu latach więzienia, spędzonych przeważnie w celi śmierci, ostatecznie oddana mu zostanie sprawiedliwość.

„Memphis Three”

(Stany Zjednoczone, Arkansas, 1993-?)

Szóstego maja 1993 roku w mieście West Memphis na zachodnim brzegu Missisipi zostają znalezione w potoku nagie ciała trzech zabitych ośmioletnich chłopców. Ręce i stopy mają związane sznurowadłami. Ofiary okaleczono nożem, jednej obcięto genitalia. Policja postępuje mało profesjonalnie. Zwłoki zostają zabrane z miejsca znalezienia jeszcze przed zjawieniem się lekarzy sądowych. Za schwytanie sprawców wyznaczono trzydzieści tysięcy dolarów nagrody.

Podczas wstępnych ustaleń pewien kurator młodzieżowy wymienia nazwisko Damiena E. jako możliwego podejrzanego. Ten osiemnastolatek ma włosy ufarbowane na czarno, zawsze nosi ciemne ubranie, słucha muzyki heavymetalowej o przypuszczalnie satanistycznym charakterze, praktykuje religię wicca i hołduje kultowi szatana i czarownictwu. Czyta powieści grozy, pije krew, nadto jest biseksualny. Wskazówki te nasuwają policji pomysł, że zbrodnia mogła być rytuałem satanistycznym. Damien E. i jego dwaj przyjaciele, również podejrzeni - szesnastoletni Jason B. i siedemnastoletni Jessie M. - zostają aresztowani. Mieszkańcy West Memphis czują ulgę, że „potwora” ujęto tak szybko, a sprawiedliwości stanie się zadość. Miejscowe gazety zaspokajają „żądze krwi” swoich czytelników, donosząc na bieżąco o odrażających praktykach „sekt satanistycznych”. Wstrząśnięta ludność, przeważnie konserwatywna w swych poglądach religijnych, jest zbulwersowana. Media nieustannie wznecają nienawiść do „trójki z Memphis”. Brak jakichkolwiek dowodów ich winy. Ale opinia publiczna nie ma żadnych wątpliwości, że tylko oni mogą być mordercami. Uznano ich za winnych na długo przed rozpoczęciem procesu.

Podczas postępowania sądowego powszechne są dyskusje na temat tej sprawy z prowadzącymi śledztwo i świadkami. Informacje znane tylko śledczym i prokuratorom dostają się do wiadomości publicznej. Przysięgli czytają w gazetach i dowiadują się z telewizji, że brutalny mord na trzech chłopcach stanowi element satanistycznych rytuałów, a także o tym, jaki materiał dowodowy policja uzyskała przeciw sprawcom. Prowadzący śledztwo wiedzą, że poszlaki przeciw obwinionym są niewystarczające. Dlatego pragnąc szybko zaspokoić potrzebę sprawiedliwości u obywateli i zdobyć materiał dowodowy, konieczny wykazania winy sprawców, chwytają się wątpliwych metod. Liczni świadkowie zostają skuszeni do złożenia określonych zeznań pieniędzmi lub obietnicą umorzenia dochodzenia w sprawie czynów karalnych. Innych zastrasza się i skłania do zeznań pasujących do teorii policjantów z dochodzeniówki. Na to, co się z nią nie zgadza, prawie nie zwraca się uwagi. Kiedy u ojca jednej z ofiar, nie ma-

jącego alibi na czas, gdy popełniono przestępstwo, zostaje znaleziony nóż ze śladami krwi, policja nie idzie dalej tym tropem.

Także Jessie M. jest odpowiednio „urabiany” podczas trwających bez końca przesłuchań, z których spisano tylko kilka minut i podczas których nie jest obecny adwokat. Jessie obwinia i obciąża swoich przyjaciół Damie-na i Jasona i wyznaje w końcu, że współuczestniczył w okrutnych mordach. Kiedy jednak 19 stycznia 1994 roku rozpoczyna się proces o morderstwo przeciw niemu, obstaje przy swojej niewinności i twierdzi, że wymuszono na nim przyznanie się do winy.

Ława przysięgłych jest uprzedzona i nie daje mu wiary. Jessie zostaje uznany za winnego i skazany na dożywotnie więzienie. Także Damien i Jason zaciekle obstają przy swojej niewinności podczas ich procesu, który rozpoczął się 4 lutego 1994 roku. Osiemnastego kwietnia i oni zostają uznani za winnych. Również Jason dostaje dożywocie. Damien nie zaprzecza, że oddaje się kultowi szatana i czarownictwu, jest biseksualny, czyta powieści grozy Stephena Kinga, Deana Koontza i Annę Rice, a nawet kiedyś pił krew. Choć przedstawia alibi na czas, gdy popełniono zbrodnię, zostaje skazany na śmierć przez wstrzyknięcie trucizny. Supreme Court stanu Arkansas odrzuca odwołania skazanych.

Dziesięć lat później wielu Amerykanów jest przekonanych, że były to błędne wyroki. Coraz więcej ludzi sądzi, że starając się szybko uciszyć nawoływania opinii publicznej do zemsty, podczas postępowania przeciw „Memphis Three” naruszono obowiązującą w państwie prawa zasadę domniemania niewinności. Powstają grupy i inicjatywy, których celem jest ponowne przeprowadzenie procesu. Pisarze piszą książki o tej sprawie, na przykład Mary Leveritt w 2002 roku *The Devil's Knot* (Diabelski węzeł). Książka ta aspiruje do miana relacji z „prawdziwej historii”, a autorka próbuje dowodzić, że postępowanie przeciwko „Memphis Three” zalicza się do najpotworniejszych pomyłek sądowych w historii sądownictwa Stanów Zjednoczonych.

Tymczasem sprawa nabiera charakteru politycznego. Liczni znani muzycy, aktorzy filmowi i politycy, między innymi Bill Clinton, wypowiadali

się na ten temat, niektórzy obiecali aktywne wsparcie. „Trójka z Memphis” od dwunastu lat siedzi w więzieniu, przypuszczalnie niewinnie. Jason B. pracuje w biurze szkoły więziennej i kończy akademicki kurs socjologii i polityki amerykańskiej. Jessie M. pracuje w więzieniu Grady w Arizonie, w pralni chemicznej. Jego nowy adwokat, Dan Stidham, przygotowuje kolejne podania do sądów. Damien E., uchodzący zawsze za mózg i przywódcę, właśnie przekroczył trzydziestkę. Nadal siedzi w bloku śmierci w Tuc-ker w Arkansas i oczekuje na egzekucję. Kończy akademicki kurs psychologii i niemieckiego, ma też nowy zespół obrońców. Po odrzuceniu przez sąd najwyższy Arkansas jego odwołania, a także odwołań obu jego przyjaciół, wypłynął nowy materiał dowodowy. Na ciele jednej z ofiar znaleziono ślady ukąszeń, które zdaniem obrony nie mogą pochodzić od żadnego z trzech oskarżonych. Los Damiena znalazł się w decydującym punkcie: sąd najwyższy ponownie zbada sprawę, być może po raz ostatni.

,

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wpływ sugestii mediów

Surowa praktyka sądownicza Amerykanów ma zwolenników także w Niemczech. I tu żąda się coraz częściej zdecydowanych sędziów, drakońskich kar i krótkich procesów. Opinia publiczna nie ma już wyrozumiałości dla sprawców. Prawie dwie trzecie obywateli Niemiec domaga się surowszych kar, a 71 procent uważa, że sądownictwo karne działa zbyt opieszale. Nierzadko też media już przed procesem albo tuż po jego rozpoczęciu pozwalają sobie uprzedzać sąd w ferowaniu wyroku. „Nie dajcie mu wyjść na wolność!” - podaje gazeta „Bild” z 13 marca 2001 roku, z góry skazując na dożywocie domniemanego, niedawno zatrzymanego mordercę małej Ulrike B. z Eberswalde. Potem następuje list otwarty do przebywającego w areszcie śledczym: „Ty zakazana gębo mordercy”. Jest to przykład złego dziennikarstwa, praktykowanego często także w sytuacjach, gdy materiał dowodowy budzi zdecydowane wątpliwości.

Sugestia mediów zaczyna się już od tego, że w prasie, radiu i telewizji szczegóły morderstwa przedstawia się często w sposób tendencyjny i zakrojony na wzbudzenie sensacji na długo przed orzeczeniem wyroku przez sąd. Nieodpowiedzialni dziennikarze, aż nazbyt chętnie strojący się w togę sędziego, wypowiadają niekiedy już na krótko po popełnieniu przestępstwa swoje osobiste zdanie w kwestii winy oskarżonego, zgodnie z hasłem: „Bez dwóch zdań - to był on!”. Jest to „prawda”, która nie służy sprawiedliwości, ale prowadzi do wzrostu nakładu gazety.

Tego rodzaju sprawozdanie emocjonalne oddziałuje w sposób niezwykle sugestywny nie tylko na społeczeństwo w ogólności, ale też na świadków, przysięgłych i sędziów. Albowiem każdy człowiek ulega wpływom.

Zakrawa to na farsę, gdy sędzia przewodniczący przestrzega przysięgłych, by przed odbyciem narady nie czytali i nie słuchali żadnych doniesień o sprawie ani nie rozmawiali o niej między sobą czy z innymi ludźmi. Sugestywny wpływ mediów doprowadził już w kilku sprawach do tego, że przestał obowiązywać mechanizm „czystego” poszukiwania prawdy i pojawiło się niebezpieczeństwo wydania błędnego wyroku. Działo się tak już przed stu laty, o czym świadczy skandaliczna sprawa Mooneya-Billingsa z Kalifornii (por. rozdz. 4, sprawa 1). Także obie poniżej przedstawione sprawy z Włoch i Niemiec zdarzyły się już kilka dekad temu.

Skandal w sprawie Wilmy Montesi

(Włochy, 1953-1957)

Rażącym przykładem fatalnego wpływu sugestii mediów jest sprawa tajemniczej śmierci młodej i pięknej Wilmy Montesi, córki stolarza z Rzymu. W latach 1953-1957 włoski wymiar sprawiedliwości prowadzi postępowanie na ogromną skalę, które pod względem napięcia i nieoczekiwanych zwrotów akcji przewyższa każdą powieść kryminalną Edgara Wallace'a czy Agathy Christie. Ten „proces stulecia” stał się „Colpo di scena”, wspaniałym efektem teatralnym, farsą. Winę za to ponoszą opinia publiczna i prasa włoska. Z losu zabitej dziewczyny uczyniono skandal, który omal nie doprowadził włoskiego społeczeństwa do rozruchów.

Rankiem 11 kwietnia 1953 roku jakiś młodzieniec znajduje na plaży w Ostii, około dwudziestu pięciu kilometrów na południe od Rzymu, leżące do połowy w wodzie, bardzo skąpo odziane zwłoki dwudziestoletniej Wilmy Montesi. Nie ma na sobie butów, pończoch, spódnicy i pasa do podwiązek. Wypadek, samobójstwo czy zbrodnia? Rutynowe śledztwo policyjne wykazuje, że młoda kobieta chciała prawdopodobnie obmyć stopy w morzu, by wykurować otarcie pięty. Musiała przy tym zemdleć i utopić się. Prokuratura zamyka sprawę jako nieszczęśliwy wypadek ze skutkiem śmiertelnym. Z pewnością nigdy by o tym nie usłyszano, gdyby

w maju 1953 roku w pewnym półfaszystowskim włoskim tygodniku nie ukazała się osobliwa karykatura. Ukazuje ona gołębia pocztowego, który trzyma w dziobie pas do podwiązek, jest to czytelna aluzja do włoskiego ministra spraw zagranicznych Piccioniego, albowiem włoskie słowo piccio-ne znaczy właśnie gołąb pocztowy. Tym samym wkracza na scenę główna postać przyszłego dramatu procesowego - pogłoska.

W październiku 1953 roku Silvano Muto w swoim magazynie informacyjnym upublicznia wszystkie znane szczegóły tej historii. Niczym prokurator pozwala sobie twierdzić, że Wilma Montesi została zamordowana i to przez szanowanych członków wyższej klasy społeczeństwa rzymskiego. Mowa jest o orgiach, przemyście i handlu dziewczętami i środkami odurzającymi. Wypowiadają się dwie kobiety jako rzekomi świadkowie. Jedną z nich jest dwudziestotrzyletnia Anna Maria Caglio. Ma ona wielu znajomych wśród bogatych rzymian. W ciągu kilku miesięcy młoda kobieta zyskuje rozgłos dzięki swoim fantastycznym wyznaniom i zarzutom. Jej zeznania wstrząsają republiką. Potem okaże się, że Maria Caglio jest notorycznym kłamcą w wielkim stylu i kazała sobie gazetom słono płacić za swoje wyssane z palca rewelacje. Jeszcze zanim wymiar sprawiedliwości zajął się ponownie tą sprawą, prasa już otworzyła proces. Oskarżonym wydaje się początkowo potężne, zdemoralizowane rzymskie high society, pogrążające się w grzesznym dolce vi ta pełnym występków i korupcji. Potem jednak wypływają konkretne nazwiska: Piętro Piccioni (syn włoskiego ministra spraw zagranicznych), markiz Montagna, szef rzymskiej policji Polito oraz Maurycy Heski, wnuk włoskiego króla Wiktora Emanuela III. Wszyscy mieli rzekomo coś wspólnego z zabójstwem Wilmy Montesi. A młodej rzymiance przypisuje się rozpustne podwójne życie. Postępowanie, wszczęte początkowo przeciw dziennikarzowi Muto za rozpowszechnianie fałszywych informacji, zostaje zawieszona na czas nieokreślony.

Z dnia na dzień na murach Rzymu pojawiają się dziesiątki tysięcy plakatów, na których Sycylijczyka Montagnę nazwano przestępcą, sutenerem, szpiegiem i narzędziem mafii. Prasa wpada w amok. Gazety prześcigają się

w żądaniach, pogłoskach i przypuszczeniach. Opinia publiczna bez wahania uznaje wszystkich za winnych: ministra, sędziego śledczego, szefa policji i prokuratorów. Już prawie nikt nie wątpi, że władze od początku próbowały zdusić w zarodku śledztwo w sprawie śmierci Wilmy Montesi. Szef policji włoskiej podaje się do dymisji, także minister spraw zagranicznych ustępuje we wrześniu 1954 roku. Naród wpada w histerię. Prawie codziennie padają nowe nazwiska.

W marcu 1954 roku pod przewodnictwem sędziego Raphaela Sepe otwarte zostaje sądowe dochodzenie wstępne w sprawie śmierci Wilmy Montesi. Sędzia ten staje się na pewien czas najbardziej znanym człowiekiem Włoch. Już we wrześniu wydaje on nakazy aresztowania Piccioniego za nieumyślne zabójstwo oraz Montagny i Polita za pomocnictwo. Dodatki nadzwyczajne donoszą o tej nowinie. W Rzymie nie mówi się o niczym innym. Ludność raduje się: bagno zostanie nareszcie oczyszczone, nareszcie sprawiedliwość! Dochodzenie wstępne trwa prawie trzy lata. Przesłuchano ponad trzystu świadków. Pojawiają się coraz to nowi, uważający, że mogą coś wniesić do sprawy. Postępowanie to staje się swego rodzaju gałęzią przemysłu. Wielu dziennikarzy włoskich całymi latami żyje z tego procesu. Prawie każdy świadek publikuje, jeszcze nim złoży zeznania przed sądem, swoje komentarze w gazetach i magazynach ilustrowanych, także członkowie rodziny Montesich. Pewien dziennikarz pisze o tej sprawie prawie sześćset artykułów. Za pieniądze można w Rzymie dostać każdą informację. W tej atmosferze włoski wymiar sprawiedliwości musi dociec prawdy o śmierci Wilmy Montesi.

Rozprawa główna rozpoczyna się 20 stycznia 1957 roku w Palazzo Nuovo w Wenecji. Oskarżeni zaprzeczają, jakoby znali Wilnę Montesi. Piętro Piccioni ma na czas zdarzenia niepodważalne alibi. Nie ma ani jednego świadka na to, że kiedykolwiek spotykał się on z tą kobietą. A przesłuchanie głównego świadka oskarżenia Marii Caglio staje się katastrofą dla prokuratury. Kobieta wie rzekomo wszystko, ale zawsze tylko z drugiej ręki. Jej zeznania to wyłącznie plotki. Dramat życia i śmierci coraz bardziej przypomina farsę.

Na Giuseppe Montesiego, wuja Wilmy, pada podejrzenie o winę za śmierć siostrzenicy. Jednak materiał dowodowy przeciw niemu nie wystarcza do wniesienia oskarżenia. Również oskarżenia przeciw Piccioniemu, Montagni i Politowi szybko upadły. Na podstawie nowych wyników sekcji można jedynie potwierdzić, że śmierć Wilmy Montesi nie była wynikiem ani nieszczęśliwego wypadku, ani samobójstwa. Dwudziestego pierwszego maja 1957 roku prokuratura wnosi o uniewinnienie wszystkich trzech oskarżonych, bo nie udało się znaleźć najmniejszych dowodów ich winy.

Przysięgli obradują przez siedem i pół godziny. Wreszcie orzekają uniewinnienie wszystkich oskarżonych z uwagi na dowiedziony brak winy. Potem przez rok trwa jeszcze zaciepła wojna podjazdowa na skargi i kontr-skargi o zniewagę, zniesławienie, pomówienie, fałszywe zeznania i krzywoprzysięstwo. Pod koniec procesu w sprawie Montesi Włosi zadają sobie bezradnie pytanie: Jak w ogóle do niego doszło? Jak to możliwe, że prokuratura mogła wnieść skargę na podstawie tak niewystarczających dowodów?

Odpowiedź jest prosta: ponieważ tak chciała pozbawiona skrupułów prasa i opinia publiczna. Lud wierzył w każde słowo Anny Marii Caglio. Śmierć Wilmy Montesi stanowiła długo oczekiwany pretekst, by rozliczyć się ze znenawidzoną warstwą wyższą. W oskarżonych ludzie widzieli oblicze swego gnębiiciela. Prawda o śmierci Wilmy Montesi do dziś pozostaje niewyjaśniona. Winnych - jeśli w ogóle tacy byli - nigdy nie znaleziono.

„Bogaty lekarz i zabójcza blondynka" Dwa wyroki na Verę Briihne
(Niemcy, 14 kwietnia 1960-31 grudnia 1979)

Monachium, lipiec 1957 roku. Zamożny lekarz dr Otto R siedzi w lokalu w Schwabing w towarzystwie swojej wieloletniej towarzyszkii życia El-friede K. Uchodzi on za światowca, którego liczne romanse z atrakcyjnymi kobietami nie są tajemnicą. Jest też zamieszany w transakcje bronią

w służbie wywiadu federalnego i z obawy o swoje życie zawsze nosi przy sobie pistolet. Tego wieczoru w Schwabing dr Otto R zwraca uwagę na siedzącą przy sąsiednim stoliku piękną, wysoką blondynkę. To Vera Briihne, ma czterdzieści cztery lata i jest byłą żoną znanego kompozytora filmowego Lothara Briihne, z którym właśnie się rozwiódła po czteroletnim małżeństwie. Od tego czasu kobieta mieszka samotnie w mieszkaniu własnościowym w Schwabing. Z jej pierwszego, zakończonego w 1953 roku rozwodem małżeństwa z aktorem Hansem Cossym pochodzi jej córka Sy-lvia, urodzona w 1941 roku.

Dr Otto nawiązuje z kobietą flirt i zaprasza ją do swego stolika. Kiedy zauważa, że przychylnie reaguje ona na jego próby zawarcia bliższej znajomości, odsyła Elfriede K. do domu. W tym momencie Vera Briihne nie wie jeszcze, że spotkanie z tym człowiekiem tragicznie zaciąży na jej dalszym losie, na prawie dwa dziesięciolecia zamykając ją za murami więzienia. W późniejszym procesie kobieta będzie zdecydowanie zaprzeczać, jakoby chodziło tu o romans. Ona była tylko „pracownikiem”. Sąd nie daje temu wiary ani wielu innym jej twierdzeniom. Brak przekonujących dowodów, że był to związek z miłości.

Pewne jest tylko, że dr Otto P. spotykał się potem regularnie w Monachium z Verą Briihne, w każdy poniedziałek i czwartek wieczorem po pracy. Oddaje jej do dyspozycji używanego volkswagena i każe się nim wozić po mieście. Za te usługi wypłaca jej miesięcznie dwieście marek. Ponadto dwa razy w roku kobieta ma mu towarzyszyć podczas urlopu w Hiszpanii, gdzie ma on luksusową willę na Costa Brava. Zarządza nią jedna z jego kochanek, która może tam za darmo mieszkać, a po śmierci doktora ma odziedziczyć jego bajkowy dom w Lloret de Mar. Lekarz tak rozporządził w swoim testamencie. Gdy jednak pojawia się tam w październiku 1957 roku z Verą Briihne, dochodzi do kłótni. W lecie 1958 roku pozbawia on kochankę prawa do mieszkania i zmienia treść testamentu. Od tego czasu willą zajmuje się Vera Briihne. W nowym testamencie spisany u hiszpańskiego notariusza 23 maja 1959 roku dr Otto R zarządza, że po jego śmierci to ona ma odziedziczyć kosztow-

na hiszpańską posiadłość. Stanie się to przyczyną przyszłych nieszczęść kobiety. Pocking, Wielkanoc 1960 roku. Ogrodnik, pracujący podczas świąt w willi doktora Otto R nad jeziorem Starnberger See, dziwi się, że w domu panuje taki spokój i nikogo nie widać. Nawet spaniel Pitti nie wałęsa się jak zwykle po ogrodzie. Mężczyzna nie nabiera jednak podejrzeń. Dziewiętnastego kwietnia, w pierwszy dzień roboczy po świątach, doktor R nie zjawia się w swoim gabinecie lekarskim. Jego asystentka Renatę M., ważny świadek w późniejszym procesie, na próżno próbuje dodzwonić się do niego do domu. Niepokoi ją to i wraz ze swoim przyjacielem Hansem Joachimem V późnym wieczorem odwiedzają willę doktora w Pocking. Drzwi na tarasie nie są zamknięte, każdy mógł się dostać do środka. Hans Joachim V znajduje w domu zwłoki doktora R i natychmiast alarmuje policję. Funkcjonariusze odkrywają w piwnicy także zwłoki Elfriede K. oraz zamkniętego w piwnicznym pomieszczeniu, półżywego z głodu psa. Ponieważ obok ciała doktora R leży broń, kriminalobermeister Karl R. zakłada, że chodzi o samobójstwo. Wygląda to tak, jakby dr Otto R najpierw zabił strzałem w tył głowy swoją gospodynię i towarzyszkę życia Elfriede K., a następnie sam się zastrzelił. Tak też sądzi wezwany na miejsce jego syn Gunther R, również lekarz. Podobnego zdania jest towarzyszący mu adwokat Konrad K. Nikt nie zadaje pytania, czemu używający życia doktor R miałby to zrobić. Poszukiwania listu pożegnalnego nie dają rezultatu. Jeden z funkcjonariuszy odkrywa w biurku stary list napisany na maszynie na niebieskim papierze. Policjantowi wydaje się, że nie ma on nic wspólnego ze sprawą, więc pozostawia go na stole w jadalni. Na tymże stole stoją cztery kieliszki i butelka koniaku. Nikt nie zabezpiecza śladów, nie szuka pocisków ani nie sprawdza stopnia stężenia pośmiertnego zwłok. No bo po co? Sprawa jest przecież jasna. Zegarek na ręku doktora R zatrzymał się. Śledczy zdejmują go, nie przejmując się odciskami palców, i wręczają synowi denata. „Nie moglibyście, panowie, zabić tego psa?” - pyta Gunther R Kriminalobermeister R. bierze pistolet, który znalazł wcześniej na nocnym stoliku,

schodzi do piwnicy i strzela do zwierzęcia. Giinther P. rewanzuje mu się kieliszkiem koniaku. Wszyscy piją razem z kieliszków, które stoją na stole, nie zwracając uwagi na to, czy nie były już wcześniej używane i nie pozostawiono na nich odcisków palców.

Niewiarygodne, ale prawdziwe. Nawet w szmatławych kryminałach prowadzący dochodzenie nie popełniają tak karygodnych błędów. Czy rzeczywiście chodzi tu o zwykłe niedbalstwo? Czy też może świadomie zatarto wszystkie ślady i usunięto poszlaki, żeby zaciemnić okoliczności zdarzenia? Bez dalszego śledztwa ciała przekazano rodzinom i pochowano kilka dni później.

Już nazajutrz, 20 kwietnia 1960 roku, Giinther R powiadamia telefonicznie Verę Briihne o śmierci swojego ojca. Kobieta jest akurat w Bonn, gdzie leży w szpitalu jej matka. W następnych dniach R junior na próżno szuka testamentu. Znajduje tylko ten niebieski list, który przekaże później prokuraturze. Stanie się on głównym ogniwem jej postępowania dowodowego. List jest skierowany do Elfriede K. i brzmi następująco:

„Costa Brava, 28 września 1959 roku.

Droga Friedl!

List ten przekazuje Ci pan dr Schmitz z Nadrenii, o którym Ci wcześniej opowiadałem. To bardzo ważny człowiek dla mnie tu w Hiszpanii, bądź więc dla niego szczególnie miła. Mówiłem o Tobie jako o mojej żonie i opowiadałem mu o naszym pięknym domu w Pócking. Pokaż mu wszystko, ma wspaniałe pomysły na dolne pomieszczenia. Ugotuj mu coś, lubi dobrze zjeść! Pan dr Schmitz ma zresztą bardzo miłą żonę, która towarzyszy mu we wszystkich podróżach. Na pewno Ci się spodoba. Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. Wszystkiego dobrego i całusy, także dla Pit-tiego, Twój Otto".

Kiedy kilka miesięcy później u hiszpańskiego notariusza odczytany zostaje testament dr. Otto R, a zaskoczony syn dowiadyuje się, że to Vera Briihne ma odziedziczyć hiszpańską posiadłość, jest przerażony. Po raz

2/0

pierwszy zaczyna wątpić w tezę o samobójstwie. Ojciec chciał sprzedać tę willę i rozstać się z Verą, oświadcza policji. Dlatego zachodzi podejrzenie, że ta kobieta ma coś wspólnego z jego śmiercią. Giinther R za pośrednictwem swego adwokata składa doniesienie o przestępstwie przeciwko nieznanemu sprawcy i uzyskuje zgodę na sekcję zwłok obu zmarłych osób.

Wyniki są szokujące. W czaszce dr. Otto E tkwi druga kula. Funkcjonariusze na miejscu zdarzenia nie zauważyli tego. Biegli medycyny sądowej piszą jednak w ekspertyzie, że nadal nie można wykluczyć samobójstwa, bo znane są przypadki oddania do siebie więcej niż jednego strzału. Ale teraz Giinther E otwarcie obwinia Verę Bruhne, że zamordowała jego ojca, by wejść w posiadanie hiszpańskiej willi. Właściwy wydział zabójstw wszczyna dochodzenie. Ciągnie się ono prawie przez dwa lata. W tym czasie Vera Briihne ściąga na siebie coraz większe podejrzenia. Naprowadza na fałszywy trop, prosi znajomych i przyjaciół o pomoc w zaaranżowaniu alibi. W późniejszym akcie oskarżenia jest to interpretowane jako dowód jej winy.

Jakiś rok po przestępstwie prowadzący śledztwo wpadają na trop Johan-na E, długoletniego przyjaciela Very Briihne. Fodczas wojny wyratował ją i jej córkę Sylvię z piwnicy w Kolonii, gdzie zostały zasypane po bombardowaniu. Policja dochodzi do wniosku, że Verę Bruhne łączy z tym prostym rzemieślnikiem coś więcej niż tylko wdzięczność. Definiują ich związek jako „relację zależności seksualnej”.

Fodczas procesu oboje odrzucają to jako nikczemne pomówienie. Bezskutecznie. Ława przysięgłych zupełnie nie daje im wiary, wychodząc z założenia, że Johann F. był podporządkowany seksualnie tej „światowej blondynce”. Tylko tak bowiem tłumaczy się motyw zbrodni, który wymyśliła prokuratura: Vera Bruhne podarowała F. starego volkswagena otrzymanego od dr. Otto E, żądając w zamian, by zabił lekarza. Fonadto obiecała, że po morderstwie zamieszka z F. w hiszpańskiej willi. W lecie 1961 roku Vera Bruhne jeszcze raz spędza urlop z córką Sylvią w owej hiszpańskiej posiadłości, która - tak w każdym razie sądzi - należy

teraz do niej. Po powrocie do Niemiec zostaje aresztowana 3 października 1961 roku i razem z Johannem F. oskarżona o morderstwo.

Wyrok na nich zapadł jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Bogaty lekarz i zabójcza blondynka! Pozbawiona skrupułów uwodzicielka, która żyła na kocią łapę z doktorem Otto i zabiła go z chciwości! Niemiecka prasa bulwarowa rozpętuje bezprzykładną nagonkę, czyniąc z tej historii sprawę narodową. Dziennikarze wynajdują liczne pikantne historie z miłosnego i seksualnego życia Very Briihne, aby zwiększyć nakłady gazet. Wszyscy bez skrupułów zapominają o godności ludzkiej. I o wszelkiej moralności. To, co ludzie z Niemczech dostają teraz wciąż do czytania, nie ma już nic wspólnego z poważnym sprawozdaniem prasowym. Prasa i opinia publiczna z góry uznały Verę Briihne za winną. Ilustrowany „Ouick” drukuje 15 listopada 1961 roku na utrzymanej w tonie sensacji podwójnej stronie nagłówek: „Tylko spójrzcie na tę kobietę! jest podejrzana o podżeganie do podwójnego morderstwa z czystej chciwości na pieniądze”. Niżej zamieszczono pięć karnawałowych fotografii Very Briihne w dość swobodnym stroju.

Reporterowi „Ouicka” Nilsowi von der H. udaje się szczególne posunięcie. Zbliży się on do Sylvii, bezradnej i pozostawionej teraz samej sobie córki Briihne, i wydobywa z niej zeznanie, jakoby matka przyznała jej się do popełnienia tego przestępstwa. Nalega, by powtórzyła to przed policją i sędzią śledczym, co dziewczyna rzeczywiście robi. Do dziś pozostaje niejasne, czemu do tego doszło. Przyczyny już na zawsze okrywać będzie tajemnica, bo Sylvia nie może tego wyjaśnić. Zmarła 5 października 1990 roku, jeszcze przed swoją matką.

Narzuca się tu straszliwe podejrzenie. Czy na zlecenie federalnej służby wywiadowczej BND nie spreparowano tu fałszywego tropu? Albowiem Nils von der H. jest „najemnym pismakiem BND”, twierdzi Erich Schmidt--Eenboom w swojej książce Undercover - wie die BND die deutschen Medien steuert (W cywilu - jak BND steruje niemieckimi mediami). Reporter ten zrobił potem karierę w „Ouicku” pod skrzydłami redaktora naczelnego, który również pracował dla BND.

2/2

Sylvia ze swoim sensacyjnym zeznaniem staje się głównym świadkiem oskarżenia prokuratora Karla R. Córka obciąża własną matkę! Jest to smakowity kąsek dla żadnej skandali prasy. „Stern” publikuje intymne fotografie obu kobiet i pisze: „świadek oskarżenia” zmienia „podejrzenia wobec Very Briihne i jej współnika Johanna F. w dojrzałą do procesu pewność”. Sylvia, jak wielu przyjaciół Very Bruhne, jest tylko przez nią przez całe życie wykorzystywana. Dwunastego listopada można przeczytać w tym czasopiśmie pod nagłówkiem: „Rzemiosło pani Very”, że ta „złakniona życia, piękna kobieta” „swoimi wdziękami zapewniła sobie zabezpieczoną finansowo egzystencję”, która „zakończyła się teraz za murami więzienia”.

Reporter „Sterna” Fred I. zdaje się wiedzieć już więcej niż prokuratura. Rozwodzi się nad „niebieskim listem” i pisze: „Ponadto zostało teraz dowiedzione, że list ten ułożyła Vera Bruhne. Napisała go na maszynie do pisania należącej do jej sublokatora”. Zostało „dowiedzione” bez żadnego sprawdzenia przez biegłych, którzy będą się o to spierać dopiero podczas procesu! Niemiecka Rada Prasy udziela napomnienia i zabrania dalszych denuncjacji.

Jak w podobnej atmosferze może się odbyć uczciwy proces? Kiedy 25 kwietnia 1962 roku rozpoczyna się rozprawa przed sądem przysięgłych w Monachium, napływ ciekawskiej i żadnej sensacji publiczności przewyższa wszelkie oczekiwania. Nie było jeszcze takiego spektaklu w historii sądownictwa federalnych Niemiec. Wszyscy chcą zobaczyć bezecną, żadną rozkoszy, chciwą na pieniądze uwodzicielkę, tego „diabła w przebraniu anioła”. Tysiące ludzi czekają codziennie przed monachijskim gmachem sądu, przede wszystkim kobiety. Poczciwe gospodynie domowe i ubogie rencistki żyjące w całkiem innym świecie, którym zawisł na ustach okrzyk: „Niech zapłaci głową!”.

Wyrok z 4 czerwca odpowiada ich oczekiwaniom. Vera Bruhne i Jo-hann F. zostają skazani za podwójne morderstwo na dożywotnie więzienie. Bruhne miała zabić „kierowana niepohamowaną chęcią zysku, chciwością i... najgłębszym brakiem zasad moralnych”. „Ależ ja jestem niewinna!” - woła przerażona kobieta podczas odczytywania wyroku. Sąd przysięgłych zignorował wszelkie wątpliwości co do winy oskarżonych.

Było ich dosyć, ale nie zostały przedstawione na ich korzyść. Już choćby z tego powodu to orzeczenie jest błędne. Sprawa Very Briihne to największy skandal sądowy w historii Republiki Federalnej Niemiec.

Ten pięcioletni proces od początku zakrawa na farsę. Całymi miesiącami setki funkcjonariuszy próbowało zgromadzić materiał dowodowy. Ale pełen sprzeczności łańcuch dowodowy, który ostatecznie z tego otrzymano, jest co najmniej wątpliwy. Nie ma świadków zdarzenia, są za to ledwie wątpliwe poszlaki, niepewne przypisanie winy przez osoby trzecie oraz domysły. Prawie wszyscy świadkowie odmalowują mało sympatyczny obraz charakteru oskarżonej. Z widowni bije otwarta niechęć do niej.

Posiedzenie sądu, kiedy Sylvia staje w ławie świadków, staje się sensacją. Odwołuje ona swoje wcześniejsze zeznania! Matka do niczego jej się nie przyznała. Wszystko, co wcześniej powiedziała, to kłamstwo. Nils von der H. wywierał na nią potężną presję. Jednak sędzia przewodniczący Klaus S. nie przypisuje temu odwołaniu decydującego znaczenia. Wychodzi raczej z założenia, że zeznanie Sylvii przed sądem nie odpowiada prawdzie, ale prawdziwe jest to, co mówiła wcześniej.

Dlaczego?

Sąd wierzy też bez zastrzeżeń we wszystko, co mówi świadek oskarżenia Renatę M., była asystentka medyczna doktora R, choć jej zeznania zawierają sprzeczności. Kilka lat po procesie pojawiły się informacje, że również Renatę M. mogła pracować dla BND. Nie można już teraz tego wyjaśnić, bo niedługo potem nagle zmarła. Renatę M. opowiada w ławie świadków o złowróżbnym doktorze Schmitzu, który chciał kupić hiszpańską willę. Dr Otto R chciał się pozbyć tej posiadłości, podobnie jak Ve-ry Briihne, na którą coraz bardziej się skarżył. Bruhne zdecydowanie temu zaprzecza. Jej relacje z doktorem R były w jak najlepszym porządku, a o rzekomej sprzedaży nigdy nie wspominał. Brak konkretnych dowodów na potwierdzenie zeznań świadka. Sąd przysięgłych wykorzystuje jej niejasne wynurzenia, by wywieść motyw przestępstwa dla oskarżonej.

Kim był ów dr Schmitz? Według teorii prokuratury podał się za niego Jo-hann E, by zyskać dostęp do domu R w Pócking. W celu podbudowania tej tezy zeznaniami świadków umieszcza się w celi Johanna F. jako policyjne-

go szpicla Siegfrieda S., wielokrotnie już karanego za oszustwo, denuncjację i fałszywe zeznania i osadzonego właśnie ponownie w areszcie śledczym. Siegfried S. oświadcza na procesie, że w tym czasie Johann F. przyznał mu się do morderstwa. Sąd uznaje za wiarygodne wszystko, co S. zeznaje pod przysięgą. Cóż za niewiarygodna sytuacja! Niedługo potem S. zostaje skazany w toczącym się przeciw niemu postępowaniu karnym na osiemnaście miesięcy więzienia. W wyroku można przeczytać, że S. to: „hochsztapler, niebezpieczny dla wymiaru sprawiedliwości inteligentny przestępca, cechujący się groźnym dla porządku prawnego zamiłowaniem do kłamstwa”. Wyrok podpisał radca sądu rejonowego J. Tenże człowiek jest ławnikiem w procesie o morderstwo przeciw Verze Brtihne i Johannowi E! Już po sześciu miesiącach S. jest znowu na wolności, być może w nagrodę za usługi szpicla. Później kilku jego towarzyszy z celi doniesie, że S. przechwalał im się, że jego zeznania przeciw Johannowi F. nie odpowiadały prawdzie. Ta sędziowska konstrukcja łańcucha dowodowego ma jeszcze jedną lukę. Dlaczego Elfriede K., gospodyni doktora R, bez namysłu wpuściła do domu owego dr. Schmitza alias Johanna E, kiedy późnym wieczorem zadzwonił do drzwi, przedstawiając napisany pół roku wcześniej list jej partnera życiowego? Sąd zakłada, że Elfriede K. niebieski list „przeczytała widocznie na krótko przed śmiercią”. Należałoby z tego wnosić, że - jak twierdziła prokuratura - znaleziono go „na miejscu przestępstwa na sekre-tarzyku obok okularów do czytania pani Kloo”. Jest to oczywisty fałsz. Z protokołu policyjnego przedstawionego sądowi jasno wynika, że list znaleziono w zamkniętym biurku lekarza i dopiero później położono na stole jako najwyraźniej pozbawiony znaczenia.

Kto napisał ten niebieski list? Naturalnie Vera Briihne, uważa prokuratura. I to na starej, oddanej już na złom maszynie do pisania swego sublokatora H. Analiza porównawcza z innymi pismami przekonuje sąd, że także ów niebieski list napisano na tej maszynie. Kolejne twierdzenie, że podpis sfalszowała Vera Brtihne, nie zostaje potwierdzone przez biegłych sądowych. Jeszcze jedna okoliczność czyni ten list nieprzydatnym jako

materiał dowodowy. Według tezy oskarżenia Vera Briihne zaplanowała morderstwo w kwietniu 1960 roku. Dlatego musiała wystukać list w owym czasie albo później. Pozostaje jednak niezbitym faktem, że jej sublokator H. wyprowadził się wraz z maszyną już na początku marca 1960 roku.

Także z motywem przestępstwa nie mieli sędziowie żadnego problemu. Zapisana w testamencie hiszpańska willa stanowi dla nich dostateczną podstawę, by skonstruować taki motyw i uzasadnić to w wyroku zdaniem, w którym prawie wszystko jest fałszem: „Jeśli wziąć pod uwagę, że mamy tu do czynienia ze starzejącą się kobietą bez znacznieszego majątku, która nie mogła już liczyć na to, że jeszcze raz znajdzie mężczyznę o finansowych możliwościach doktora R, to uzyskuje się jednoznaczną odpowiedź na pytanie o motyw jej postępowania". Vera Briihne miała wystarczający majątek - była właścicielką trzech mieszkań.

Także testament doktora P. fałszywie przedstawiono w uzasadnieniu wyroku. Zawiera on klauzulę, zobowiązującą Verę Briihne do przekazania willi w spadku synowi doktora. Zatem wcale nie przyznano jej prawa do swobodnego dysponowania posiadłością. Znany kryminolog i pisarz Frank Arnau zwrócił na to uwagę już w 1965 roku. W książce *Der Fall Bruhne/Ferbach* (Sprawa Briihne/Ferbacha) napiętnował on „poważne uchybienia" tego procesu. Vera Briihne miała prawo do mieszkania w willi, ale nie do jej sprzedaży. Ponieważ okoliczność ta nie pasuje do koncepcji sędziowskiej, po prostu ją pominięto.

Podobnie postępuje sąd, ustalając dokładny czas popełnienia przestępstwa na 14 kwietnia 1960 roku, godzina 19.45. Na ten okres Vera Briihne nie ma pewnego alibi. Zdjęty z ręki zabitego zegarek pokazywał jednak „według wiarygodnego zeznania dr. R juniora" godzinę 20.45. Według jego wyjaśnień podczas upadku zabitego szkiełko zegarka wyskoczyło, a wskazówka godzi-nowa wygięła się, unieruchamiając wskazówkę minutową. Także to nie stanowi dla sądu żadnej przeszkody. Dochodzi do wniosku, że zegarek po upadku musiał chodzić jeszcze przez godzinę, zanim obie wskazówki znieruchomiły. Jakie to proste! Pomijając to, że zegarek nie mógł już zostać dopuszczony jako materiał dowodowy - po tym jak Giinther R, jak sam twier-

dził, trzymał go przez rok w kasetce - pokazywał on godzinę 9.48, kiedy przekazał go prokuraturze. Chociaż wskazówki zahaczyły się o siebie, uważa sąd, mechanizm działał po prostu dalej. Powieść kryminalną, w której zaserwowano by czytelnikowi podobne sztuczki,, odłożyłby on zirytowany.

Zawarte w aktach śledztwa dane na temat stężenia pośmiertnego zabitych sprzeczne są z konkluzją sądu, że śmierć nastąpiła 14 kwietnia 1960 roku o godzinie 19.45.

Dwie przedstawione na zlecenie adwokata pani Bruhne Wihelma Haddenhorsta ekspertyzy zawierają informacje, że zgon nastąpił w nocy z 16 na 17 kwietnia około godziny 24.00 albo 16 kwietnia o godzinie 20.00. Profesor Forster z kliniki uniwersyteckiej we Fryburgu oświadcza niedwuznacznie: „Ustalony przez sąd przysięgłych czas zgonu jest wykluczony. Zgon musiał raczej nastąpić znacznie później". Znaczy to, że morderstwa dokonano w czasie, gdy Vera Bruhne siedziała w Bonn przy łóżku chorej matki.

Wydaje się, że nowy materiał dowodowy wystarczy do przyjęcia wniosku o ponowny proces. Sąd jednak oddała wniosek Haddenhorsta. Do 1972 roku odrzucono w sumie siedem takich wniosków. Monachijski wymiar sprawiedliwości konsekwentnie wzbrania się ponownie brać na wokandę sprawę Very Bruhne, chociaż wątpliwości i dowody na niesprawiedliwość wyroku mnożą się, czemu dają też wyraz wybitni koledzy sędziowie. Znany sędzia sądu federalnego Heinrich Jagusch wskazuje w artykule w czasopiśmie prawniczym „Neue Juristische Wochenschrift" z 1971 roku pewne niedostatki postępowania dowodowego, a także uchybienia procesowe. Postępowano według słynnego powiedzenia: „Nie wiadomo, czy Wilhelm Tell rzeczywiście żył. Pewne jest jednak, że zabił starostę GeBlera".

Rok wcześniej filozof profesor Ulrich Sonnemann napisał w książce Der bundesdeutsche Dreyfus-SkandaU że Vera Bruhne i Johann F. stali się mimowolnie zabawką wielkiej polityki. Na sędziów wywierano naciski polityczne. W rzeczywistości zamieszany w przemyt broni dr Otto P. miał zostać zamordowany przez porucznika S. z BND. W sprawę miał też być wmieszany ówczesny federalny minister obrony Franz Josef StrauB. StrauB składa doniesienie o popełnieniu przestępstwa, a sprzedaż książki Sonnemanna jest

zakazana. Podobnie było z rozszerzonym i uaktualnionym jej wydaniem z 1985 roku. Obie pozycje nie ukazały się do dziś.

Prasa wykonuje zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i także zaczyna krytykować wyrok. Na stronie tytułowej „Bilda” z 6 września 1969 roku widnieje nagłówek: „Mord Briihne to robota tajnych służb!”. Wyszło też na jaw, że Heinza R, adwokata Johanna R, przekupiono sumą trzydziestu pięciu tysięcy marek, by nie szukał innych sprawców. Istotnie, dla prokuratury od samego początku jako sprawcy wchodzi w grę tylko Vera Briihne i Johann F. Innych tropów już się nie podejmuje.

Już w 1967 roku Roger H., były agent BND, zeznał do protokołu w boń-skiej prokuraturze, że 14 kwietnia 1960 roku koło północy w towarzystwie porucznika S. i porucznika R., osobistego referenta ministra obrony StrauBa, zjawili się u dr. Otto R w jego willi w Pócking, by zażądać wyjaśnień. Dr R otrzymał za swoje usługi około trzystu tysięcy marek w kilku wypłatach. Domagał się jednak coraz więcej. Kiedy dr. R podczas dyskusji wyciągnął pistolet, został zastrzelony przez porucznika S.

W czerwcu 1970 roku Johann F. umiera na serce w swojej celi w Strau-bing. W 1975 roku premier rządu Bawarii Alfons Goppel odrzuca prośbę o ułaskawienie Very Briihne. Osiemnaście lat spędza ona, najprawdopodobniej niewinnie, za kratami więzienia dla kobiet w Aichach. Pod koniec 1979 roku zostaje ułaskawiona przez nowego premiera Franza Josefa StrauBa. Nie zostaje jednak zrehabilitowana. Na kanwie jej życia nakręcono film. Dwadzieścia lat po wypuszczeniu na wolność odbywa ona w telewizji WDR dwuipółgodzinną rozmowę z pisarzem Michaeliem Gramber-giem. Wyemitowano z tego czterdzieści pięć minut pod tytułem Przecież ja jestem niewinna! Prasa już przed procesem wymyśliła historię, mówi Vera Briihne, od której nie mogli się uwolnić także sędziowie. „Już wchodząc na salę sądową, byłam z góry skazana”.

Siedemnastego kwietnia 2001 roku Vera Briihne umiera w Monachium w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Ta najbardziej spektakularna sprawa w historii kryminalistyki federalnych Niemiec do dziś pozostaje niewyjaśniona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Nieszczęście” na ławie świadków

Jeśli pominąć naruszenie ogólnej zasady dowodowej „wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego”, najczęstszą przyczyną wydawania błędnych wyroków w procesach karnych są niezgodne z prawdą zeznania świadków. Dzieje się tak we wszystkich krajach. W Stanach Zjednoczonych w ramach Innocent Project zbadano sześćdziesiąt dwie sprawy, w których skazani na śmierć okazali się niewinni i musieli zostać wypuszczeni na wolność z celi śmierci. Aż 84 procent tych błędnych wyroków, a więc znaczną większość, można przypisać fałszywym zeznaniom świadków. Wielu z nich podchodzi do swoich zeznań w sposób wręcz lekkomyślny. Szczególnie wielkim niebezpieczeństwem jest fałszywe rozpoznanie przez świadka. Sędzia nigdy nie powinien traktować rozpoznania jako ostatecznego dowodu winy. Czasem ktoś przypomina sprawcę i od razu wymiar sprawiedliwości bierze go w obroty za jakieś poważne przestępstwo. Może to spotkać każdego z nas. Szkolnym tego przykładem jest następująca sprawa, pochodząca już sprzed ponad stu lat. Jest na tyle groteskowa, że w książce tej nie może zabraknąć jej krótkiego przedstawienia, choć nie dotyczy zabójstwa.

W 1895 roku Adolfa Becka zaczepia na ulicach Londynu kilka kobiet, zarzucając mu oszustwo i kradzież. Kiedy zostaje zatrzymany, dziesięć spośród piętnastu dam potwierdza, że to on jest mężczyzną, który poślubił je dla pieniędzy. Wszystkie mylą go z hochsztaplerem i oszustem matrymonialnym Johnem Smithem. Sędzia sir Forrest Fulton, ten sam, który piętnaście lat wcześniej był przedstawicielem oskarżenia przeciw Smithowi, skazuje Rudolfa Becka w marcu 1896 roku na siedem lat ciężkiego więzienia,

sądzi bowiem, że Beck to Smith, a metody oszukiwania dokładnie się zgadzają. Po odsiedzeniu niewinnie pięciu lat więzienia Beck zostaje zwolniony warunkowo. Kiedy w 1904 roku dochodzi do kolejnych oszustw, Beck zostaje ponownie aresztowany na podstawie zarzutów pięciu kobiet i skazany. Teraz jednak dzieje się coś dziwnego - oszustwa nie ustają. Prawdziwy sprawca zostaje odnaleziony, aresztowany i skazany. Wszystkie kobiety przyznają się do pomyłki. W 1904 roku Beck zostaje ułaskawiony. Ta przykra sprawa, w której zupełnie niewinny człowiek został dwukrotnie niesprawiedliwie skazany, zainicjowała zmiany w brytyjskim sądownictwie karnym. Prawodawca poczuł się zobowiązany wprowadzić instancję odwoławczą (Court of Appeal), która będzie mogła kontrolować wyroki sądów przysięgłych także pod względem ustaleń faktycznych.

W 1902 roku znany podówczas kryminolog, profesor von Liszt z Uniwersytetu Berlińskiego, prowadzi dla grupy studentów wykład, korzystając ze starej książki. Na zakończenie następuje dyskusja. To wszystko dla mnie zbyt świeckie, oświadcza ze złością pewien starszy student. Chciałbym to wszystko traktować bardziej z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej, krzyczy do profesora. Pozostali studenci są przestraszeni tym nagłym wybuchem gniewu. Jakiś młodszy słuchacz wstaje z miejsca i wyszydza kolegę z powodu jego wypowiedzi, której nie można zaakceptować. „Obraziłeś mnie!” - ryczy pierwszy student. „A powiedz no jeszcze słowo!” - grozi ten młodszy. Na co starszy wyciąga rewolwer. Młodszy rzuca się na niego, próbując wyrwać broń. W mgnieniu oka dochodzi do szamotaniny. Nagle pada strzał. Słuchacze są śmiertelnie przerażeni, dowiadują się jednak natychmiast od profesora, że cała scena była tylko inscenizacją. Wykładowca każe studentom sporządzić szczegółowe zeznania na temat tego, co właśnie przeżyli i zaobserwowali. Eksperyment ten wszedł do historii kryminalistyki. Student z najlepszą pamięcią mylił się co do 26 procent wszystkich zasadniczych szczegółów. Pozostali, próbując przypomnieć sobie zajście, podali do 80 procent fałszywych danych.

Jakaś kobieta idzie korytarzem klatki schodowej. Mężczyzna w kapeluszu, skórzanej kurtce i sportowych butach, stojący przy drzwiach wejścio-

wych, wyrywa jej torebkę. Napastnik przebiega obok zainstalowanej kamery, tak że można dokładnie rozpoznać jego twarz. Cały incydent trwa dwanaście sekund i zostaje zarejestrowany na filmie. Stacja NBC pokazuje go 19 grudnia 1974 roku. Na koniec przedstawiono sześć fotografii podejrzanych osób z prośbą, by odnaleźć sprawcę na zdjęciach albo zawiadomić, że go tam nie ma. Przychodzi 2145 odpowiedzi telefonicznych. Sprawca znajduje się na drugiej fotografii, jednak rozpoznaje go tylko 14,1 procent (302 dzwoniących). Kiedy eksperyment ten powtórzono z sędziami i adwokatami, wynik nie okazał się wiele lepszy.

Oba eksperymenty ilustrują dobitnie, jak wielkie jest niebezpieczeństwo, że powiąże się z przestępstwami ludzi, którzy ich nie popełnili. Przyczyną tego jest zjawisko „nieświadomego przeniesienia”. Umysł ludzki tworzy obraz w pewien sposób swojskiej twarzy, który wypływa potem z pamięci, wysuwając się na plan pierwszy. Czołowi badacze w tej dziedzinie, zwłaszcza Elisabeth Loftus i profesor Robert Buckhout z Brooklyn College, wykazali, że ludzka zdolność zapamiętywania jest najgorsza w warunkach stresu. A przecież każdy świadek przestępstwa podlega skrajnemu napięciu. Doświadczenia i badania wykazały też, że osoby, które podczas okazania czuły się najpewniej, miały najgorszy współczynnik trafienia. Podobnie wygląda sprawa z ludźmi białymi, którzy mają zidentyfikować kolorowych, czy odwrotnie. Są wtedy szczególnie niewiarygodni.

Dlatego sędzia musi nie tylko sprawdzić, czy świadek chce powiedzieć prawdę, ale też, czy może ją powiedzieć - czy rzeczywiście może wiedzieć to, o czym wydaje się przekonany. Nie tylko niewiarygodne zeznania świadków złożone w dobrej wierze dość często przysparzają sędziemu bólów głowy. Równie fatalne konsekwencje dla wyniku postępowania karnego mogą mieć świadomie fałszywe zeznania świadków. Liczba wypadków krzywoprzysięstwa jest w rzeczywistości bardzo duża. Nie powstrzymuje przed tym nawet obawa przed późniejszą karą. Kiedy już oskarżony zostanie skazany, prokuratura niezbyt chętnie ściga za krzywoprzysięstwo własnych świadków oskarżenia.

Takie świadomie fałszywe zeznania składa się z rozmaitych powodów. Kiedy czynią to na przykład współoskarżeni, wynika to często ze złośliwości, chęci zemsty czy nadziei na własną korzyść. Obwinianie przez współ-oskarżonego jest przeważnie niezgodne z prawdą. Ale zdarzają się sytuacje, kiedy niezaangażowani w sprawę świadkowie bez najmniejszych skrupułów obciążają niewinnego. Za klasyczny tego przykład w historii kryminalistyki uchodzi do dziś sprawa Lesurquesa z Francji. Historia ta wydarzyła się przed ponad dwustu laty, ale w podobnej formie może się powtórzyć jutro czy pojutrze gdzieś w świecie.

Joseph Lesurques i siedmiu świadków

(Francja, 1796)

Plan tych pięciu mężczyzn rodzi się w gospodzie. Umawiają się na napad rabunkowy. Jest 27 kwietnia 1796 roku, mają dziś napaść na dylizans pocztowy kursujący między Paryżem a Lyonem. Mężczyźni uzgadniają, że jeden z nich pojedzie dylizansem jako pasażer. Piją i rozmawiają bez skrępowania, po czym przenoszą się do innej gospody, by oblać wielki skok. Także tutaj zauważają ich liczni inni goście.

Wszystko przebiega zgodnie z planem. Czterech bandytów podjeżdża z nabitą bronią do dylizansu pocztowego. Zabijają konduktora i poczytli-ona, podczas gdy piąty wspólnik w dylizansie zaczyna już rabować pozostałych podróżnych. Banda zdobywa wielką sumę pieniędzy oraz papiery wartościowe i inne kosztowności.

Wstępne dochodzenie władz szybko rusza z miejsca. Paryski sędzia pokoju wzywa licznych świadków, którzy mogliby rzucić jakieś światło na ten brutalny mord rabunkowy. Także wszystkich, którzy w obu karczmach widzieli pięciu podejrzanych mężczyzn.

Podczas gdy w sądzie przesłuchuje się świadków, Joseph Lesurques, lat trzydzieści pięć, żonaty, ojciec trojga dzieci, sierżant armii francuskiej o nieposzlakowanej opinii, odbywa spacer po mieście. Spotyka przy tym

przypadkowo starego przyjaciela. Tamten idzie właśnie do sądu po jakieś papiery, więc namawia Lesurquesa, by mu towarzyszył. Staje się to przyczyną zguby sierżanta.

Kiedy obaj wchodzi do przedpokoju sędziego, czekają tam na przesłuchanie dwie służące pracujące w jednym z lokali, gdzie rabusie popijali przed napadem. Kobiety wpadają w przerażenie. Uznały bowiem od razu, że ci dwaj należą do tamtej piątki z gospody. Lesurques i jego przyjaciel zapewniają, że nigdy tam nie byli. Kiedy jednak konfrontuje się ich z kolejnymi pięcioma świadkami, ci także oświadczają zgodnie, że rozpoznają w nich poszukiwanych członków bandy.

Joseph Lesurques nie przyznaje się do winy i wymienia kilka osób, które potwierdzają jego alibi, wśród nich jubilera i złotnika. Nie dano mu jednak wiary i wniesiono przeciw niemu oskarżenie. Procesowi sądowemu, który się teraz rozpoczyna, przewodniczy prezes sądu Gohier. Wejdzie on do historii sądownictwa jako jeden z najgorszych sędziów.

Podczas rozprawy głównej jubiler i złotnik zeznają, że w dniu morderstwa od godziny dziesiątej rano do drugiej Lesurques przebywał w ich towarzystwie. Złotnik sprzedawał w tym czasie jubilerowi srebrną łyżkę, co również odnotowano w jego księdze handlowej. Sąd chce obejrzeć księgę. Okazuje się, że transakcję wpisano wprawdzie w dzień po napadzie, ale opatrzone wcześniejszą datą. Złotnik zostaje aresztowany jeszcze na sali rozpraw za fałszowanie dokumentów.

Obaj świadkowie nie podtrzymują już teraz swoich pierwotnych zeznań. Dla sądu stracili wszelką wiarygodność. Przysięgli nie wierzą też innym świadkom alibi, dają jednak wiarę siedmiu osobom, które rozpoznały Lesurquesa. Kiedy Gohier zamyka postępowanie dowodowe, ława przysięgłych jest już przekonana: Joseph Lesurques jest winny. Podobnie jak współoskarżony Couriol, który rzeczywiście należy do bandy.

Teraz u prezesa sądu zjawia się kochanka Couriola i zapewnia, że Lesurques nie należy do bandy. Wie to na pewno. Także sam Couriol oświadcza, że Joseph Lesurques jest niewinny i nie ma ze sprawą nic wspólnego.

Teraz następuje coś potwornego. Gohier odmawia przyjęcia tych zeznań, twierdząc, że nie może ich uwzględnić, bo przewód sądowy został już zamknięty! Incydent ten na zawsze pozostanie plamą na honorze wymiaru sprawiedliwości.

Lesurques zostaje skazany na śmierć i stracony. A wraz z nim jeszcze sześć osób, choć napad rabunkowy popełniło tylko pięć. Niedługo potem znaleziono człowieka, którego siedmioro świadków pomyliło z Lesurque-sem, i także skazano. Siedmioro pewnych siebie świadków myliło się całkowicie, tym samym biorąc na siebie współwinę za ten błędny wyrok. Trudno o bardziej przekonujący dowód na niedostateczność ludzkiej zdolności postrzegania.

Fałszywa trójka z Delmenhorst

(Niemcy, 28 listopada 1913-6 grudnia 1929)

Dwudziestego ósmego listopada 1913 roku na krótko przed godziną osiemną dwóch inkasentów pewnej przedzalni juty w Delmenhorst opuszcza teren firmy z aktówką zawierającą 8750 marek na wynagrodzenia. Pieniądze mają być wypłacone nazajutrz rano, a przez noc przechowane w sejfie bankowym. W wąskiej, ciasnej uliczce nie ma żywej duszy, oświetla ją słabo kilka latarń gazowych. Po jednej stronie ciągną się ogrody, po drugiej wznosi się nasyp kolejowy. Sto metrów od bramy zakładu jacyś trzech mężczyźni wyskakują nagle z ciemności na posłańców i wyrywają im torbę z pieniędzmi. Stojący przy bramie wartownik Henke przychodzi napadniętym z pomocą. Padają trzy strzały. Śmiertelnie trafiony Henke pada na ziemię, umiera jeszcze na miejscu zdarzenia. Sprawcy uciekają z łupem.

Nie pozostały po nich prawie żadne ślady, a poszukiwania morderców są początkowo bezowocne. Policja przeczesuje kilka gospód w Delmenhorst i Bremie, natyka się przy tym na trzech młodych ludzi: Adolfa Lehin-ga i braci Engelberta i Louisa Schmidtów, którzy wspólnie działają jako komiwojażerowie. Od lat wędrują po kraju od domu do domu. Latem na

rowerach, zimą pieszo lub pociągiem, sprzedając tkaniny, które wzięli w komis. Wrócili właśnie do Bremy z długiej podróży handlowej. Dwóch z nich kwateruje, co dziwne pod fałszywym nazwiskiem, w bremeńskiej gospodzie przy Abtentorstraße 16 u wdowy Tiemann. Nigdy nie wyjaśniono, dlaczego tak postąpili. Louis Schmidt znajduje miejsce w innym bre-meńskim pensjonacie, podając prawdziwe personalia. Policja kryminalna wnioskuje z tego, że przynajmniej dwaj pozostali zaplanowali ten napad. Podczas przesłuchania zaprzeczają oni, jakoby mieli z tym coś wspólnego. Nie daje im się jednak wiary. Kiedy prokuratura wnosi przeciw nim oskarżenie i rozpoczyna się rozprawa główna przed sądem przysięgłych w Bremie, nie mają oni pieniędzy na obrońcę.

Świadkowie zeznają, że widzieli, jak na miejscu zdarzenia stały trzy osoby, jakby na coś czekając. Zeznają pod przysięgą „z większą lub mniejszą pewnością siebie”, że młodzieńcami tymi byli trzej oskarżeni. Nikomu nie przychodzi do głowy, by sprawdzić, czy z miejsca, gdzie się znajdowali świadkowie, w ogóle mogliby rozpoznać w ciemności sprawców. Nie przeprowadzono wizji lokalnej przy podobnym oświetleniu.

Gospodarz, u którego mieszkał Louis Schmidt, podczas przesłuchania mówi o swoich podejrzeniach, że oskarżony zatrzymał się w jego pensjonacie tylko po to, by zapewnić sobie alibi. Zeznanie takie nie jest dopuszczalne, bo świadek powinien informować tylko o faktach. Opinia ta wywiera jednak wielki wpływ na przysięgłych. Podobnie jak zeznanie z przyznaniem się do winy, które Louis Schmidt po miesiącach dołującej psychicznie samotności złożył przed policjantem Rehrigiem. Chociaż postępowanie weszło już w fazę, kiedy tylko prokurator lub sędzia śledczy mają prawo prowadzić przesłuchania, Rehrig odwiedził młodzieńca w jego celi. Nakłonił go do tego, by obciążył swego brata Engelberta oraz Adolfa Lehinga. Może Louis rzeczywiście sądził, że ci dwaj dokonali napadu, nie wtajemniczając go, może jednak chciał tylko ratować tym zeznaniem swoją skórę.

Jeszcze bardziej zgubne okazuje się dla oskarżonych zeznanie głównego świadka oskarżenia. Wdowa Tiemann oświadcza, że 29 listopada,

a więc w dniu popełnienia przestępstwa, między godziną 7.00 a 7.30, dwaj oskarżeni siedzieli w jej gospodzie, mając zabrudzone nogawki u spodni. Rozmawiali z innymi gośćmi o rabunku i mordzie w Delmen-horst i powiedzieli jej a propos deszczu i błota na dworze: „Tak, pani Tiemann, tak ciężko musimy zarabiać na chleb”.

Engelbert ubolewał jeszcze potem, że podczas napadu zabito człowieka. Dodał też: „Gdyby chodziło tylko o pieniądze, sprawa nie wyglądałaby jeszcze tak źle”.

Zeznanie to jest sądowi na rękę. Dotyczy wypowiedzi samych oskarżonych na temat napadu i pasuje aż za dobrze do łańcucha poszlak. Ta kobieta się myli, zapewniają oskarżeni. Rozmowa ta odbyła się nie 28 listopada, czyli w chwili, gdy jeszcze nikt w gospodzie nie wiedział o rabunku i morderstwie, ale dzień później, 29 listopada.

Tłumaczenie to nie robi na sędzie wrażenia. Rzucono straszliwe pomówienie: skoro oskarżeni już 28 listopada między godziną siódmą a ósmą wiedzieli o napadzie rabunkowym, to tylko oni mogli go popełnić! Albowiem w owym czasie wiedziała o tym tylko policja i sami sprawcy.

Obrona nie oponuje, choć twierdzi, że owego wieczoru już w całej gospodzie rozprawiano o przestępstwie. Nie mógł to więc być 28 listopada. Argumentacja taka podważa wiarygodność świadka Tiemann. A obrońca nie zwraca też uwagi, że oskarżeni - zakładając, że są sprawcami - nie byliby przecież tak głupi, by rozmawiać o rabunku, o którym pozostali jeszcze nic nie wiedzą. Nikt też nie zaprzęta sobie głowy pytaniem, co zrobili ze zrabowanymi pieniędzmi w ciągu kilku dni przed ich aresztowaniem i gdzie one są. Nigdy nie odnaleziono zrabowanej aktówki.

Mimo to rezolutny prokurator w swojej mowie końcowej wychodzi z założenia, że to ci trzej oskarżeni dokonali napadu i morderstwa. Tylko z uwagi na ich młody wiek i dotychczasowe nienaganne prowadzenie się nie żąda kary śmierci, a tylko piętnastu lat ciężkiego więzienia.

Dwudziestego siódmego czerwca 1914 roku przysięgli uznają wszystkich trzech za winnych. Sąd skazuje każdego na czternaście lat więzienia i dziesięć lat pozbawienia praw obywatelskich. Oskarżeni reagują na wyrok krzykiem i zaklinają się z płaczem, że są niewinni. Na domiar złego

wyrok już się uprawomocnił. Kolejne poważne niedopatrzenie obrony, która sama jest przekonana o winie swoich klientów. Nie sposób inaczej wytłumaczyć rezygnacji z prawa do apelacji.

Trzej młodzieńcy znikają na wiele lat w ponurych pojedynczych celach ciężkiego więzienia Vechta na skraju rozległych bagien. Zapadają na psychozę więzienną i uderzają głowami o ciężkie żelazne drzwi. Najmłodszy krzyczy, leżąc w celi na kamiennych płytach podłogi, i wzywa swoją matkę. Ale nikt im nie pomaga. W ciężkim zakładzie karnym ogarnia ich tępa rezygnacja. Mija pierwsza wojna światowa. Zauważają to tylko dlatego, że skape racje żywnościowe stają się jeszcze mniejsze. Wychudzeni, rezygnują nawet z odliczania dni, tygodni i miesięcy, jakie pozostały do wyjścia na wolność. Raz w miesiącu mają prawo otrzymać list i jeden napisać. To ich jedyna więź ze światem zewnętrznym. A cenzorzy sprawdzają każde słowo. Jeżeli osadzeni napiszą coś, czego im nie wolno, siedzą za karę w ciemnym karczerze o chlebie i wodzie.

Już osiem lat przebywa w więzieniu ta trójka, bez środków finansowych i bez nadziei. Konsekwentnie utrzymują, że są niewinni. Nikogo to jednak nie interesuje, nawet pastora. Doradza im, by okazali skruchę. Skruchę za co? Nie popełnili tego morderstwa.

Nagle pewnego dnia w 1922 roku zostają wezwani do dyrektora. Jest tam pierwszy prokurator Riesebieter, ten sam, który z nieubłaganą surowością oskarżył ich przed ośmioma laty i nie wierzył w ani jedno ich słowo. Bezlitośnie podważał ich alibi i zapewnienia o niewinności. Teraz znów stają przed nim w więziennych pasiakach, z ogolonymi głowami, z brązową kepi w ręku, i słyszą z bezbrzeżnym zdumieniem, że zostają zwolnieni z więzienia w trybie natychmiastowym. Pan minister sprawiedliwości Rzeszy wydał dzień wcześniej ten akt łaski. Sprawdzono wszystkie wydane w monarchii wyroki, to zarządzenie nowej republiki weimarskiej. Ustalono przy tym, że wyrok z 1914 roku wydany na bardzo jeszcze młodych sprawców jest nazbyt surowy. Osiem lat ciężkiego więzienia to dostateczna pokuta. Dlatego są teraz wolni. Nie wspomina się jednak o pomyłce wymiaru sprawiedliwości. Nikt nie pomyślał, że mógł to być błędny wyrok.

I tak pewnego wieczoru stoją przed bramą więzienia, trzymając pod pachą tekturowe pudła z całym swoim dobytkiem i paroma banknotami, które dano im na odchodne. Cóż mają począć z nagle odzyskaną wolnością jako ułaskawieni mordercy? Wydaje im się, jakby od ich aresztowania minęło kilkadziesiąt lat. Świat się zmienił. Panuje bezrobocie, inflacja i rosnący terror partii radykalnych. Engelbert i Louis Schmidowie oraz Adolf Lehning bardzo powoli odzyskują chęć do życia i odwagę. Utrzymują się z drobnych prac dorywczych. Nazajutrz jednak ich zapłata warta jest już tylko jedną tysięczną pierwotnej wartości. Niebawem bochenek chleba kosztuje dziesięć milionów marek. Jak więc mają znaleźć adwokata, który zajmie się ich sprawą i zawalczy o wznowienie postępowania?

Przez kolejne sześć lat muszą żyć z piętnem morderców. Wreszcie pojawia się adwokat gotów podjąć się ich sprawy. Znajduje on trzech świadków, którzy dowodzą przynajmniej niewinności Engelberta Schmidta. Dlaczego przed piętnastu laty nie odszukał ich prokurator, do którego zadań to należało? Pewna kobieta gotowa jest przysiąc, że w chwili popełnienia przestępstwa widziała Engelberta w sklepie rzeźnickim w Bremie. Inna oświadcza, że w dniu morderstwa o godzinie siedemnastej widziała go na Abbentorstraße w Bremie. Nie mógł zatem w tym samym czasie uczestniczyć w napadzie i morderstwie w Delmenhorst. A pewien furman z Die-pholz może poświadczyć, że w chwili tamtego zdarzenia siedział z Engelbertem Schmidtem w gospodzie pani Tiemann.

Jest to mocny nowy materiał dowodowy, który musi wystarczać do wznowienia procesu. Dlatego 24 maja 1928 roku adwokat, pełen dobrej myśli, składa w sądzie rejonowym w Bremie wniosek o ponowne wszczęcie postępowania. Zostaje on jednak oddalony. Adwokat składa natychmiast zażalenie wobec tej decyzji. Na to sąd drugiej instancji nakazuje natychmiastowe przesłuchanie owych trzech świadków. To, co teraz następuje, mogłoby budzić nasz śmiech, gdyby nie było tak smutne. Organem kompetentnym do przesłuchania świadków jest sąd rejonowy, który już raz odrzucił podanie o wznowienie procesu. Odrzuca on

taki wniosek ponownie. Pierwsza świadek jest niewiarygodna, oświadcza lapidarnie izba. Co się tyczy drugiej świadek, sąd twierdzi, że jest całkiem możliwe, by ktoś przebywa! o godzinie siedemnastej w Bremie, a o osiemnastej w Delmenhorst. O godzinie 17.05 z dworca głównego w Bremie odjeżdża pociąg, który przyjeżdża do Delmenhorst o 17.39. Skoro świadek widziała Engelberta Schmidta o godzinie 17.00 na Abbentorstraße w Bremie, to po prostu pomyliła się o kilka minut. Taka insynuacja jest zupełnie groteskowa. Sąd sugeruje dalej, że Engelbert dostał się z dworca na miejsce zbrodni w ciągu kilku minut, co jednak w tak krótkim czasie jest niemożliwe. Na temat zeznania furmana z Diepholz izba w ogóle się nie wypowiada. Adwokat znów składa zażalenie. Tym razem jednak także sąd drugiej instancji w Bremie oddala wniosek o wznowienie postępowania. Wszystkie możliwości procesowe zostały teraz wyczerpane. Obrońca jednak nie daje za wygraną. W kilku artykułach prasowych zwraca się do opinii publicznej. Prosi o zgłoszenie się wszystkich, którzy mogą coś wiedzieć o napadzie i morderstwie sprzed szesnastu lat. Zostaje wyznaczona nagroda.

Przez dziesięć dni nikt się nie zgłasza. Ale potem w kancelarii adwokackiej pojawia się jakiś mężczyzna i oświadcza, że zna prawdziwych sprawców przestępstwa. Jednak adwokat odsyła go do domu, sądząc, że to jakiś fantasta albo oszust pragnący zainkasować wyznaczoną nagrodę. Potem jednak nawiązuje z nim kontakt, a 6 grudnia 1929 roku w biurze adwokata zaprotokołowano nazwiska i adresy trzech mężczyzn, którzy 28 listopada 1913 roku mieli popełnić przestępstwo. Adwokat zawiadamia o tym policję kryminalną. Bezpośrednio potem wskazani mężczyźni zostają zatrzymani. Chodzi o poważanych i zamożnych kupców, piastujących rozmaite funkcje honorowe, dwóch z Bremy, jednego z Dortmundu. Wszyscy trzej natychmiast przyznają się do winy. Kilka tygodni później sąd przysięgłych w Bremie skazuje każdego z nich prawomocnym wyrokiem na dziesięć lat ciężkiego więzienia. Teraz zostaje wreszcie przyjęty wniosek o wznowienie postępowania przeciw Adolfowi Lehingowi i braciom Schmidt. Wszystko, co okazuje się

22Q

teraz prawdą, można już było potwierdzić w latach 1913-1914. Zaprzysiężone zeznania świadków oskarżenia zostają całkowicie obalone. W ciągu paru minut trzech mężczyzn zostają uniewinnieni z powodu dowiedzenia niewinności. Nie otrzymują jednak odszkodowania za osiem lat niesłusznie spędzonych w ciężkim więzieniu.

Hans Burkert i morderstwo w komorze celnej
(Niemcy, 11 września 1946-13listopada 1952)

W niewielkiej przygranicznej bawarskiej wiosce Mammersreuth, oddalonej tylko o trzysta metrów od granicy czeskiej, w 1946 roku kwitnie przemysł i nielegalny handel. Celnicy mają pełne ręce roboty. Jednym z nich jest trzy-dziesięcioletni Hans Burkert, przybyły tu po wojnie z Wrocławia. Został niedawno szefem miejscowego posterunku. Uchodzi za człowieka prawego, koleżeńskiego i całkowicie nieprzekupnego. I „po prusacku” surowego, także wobec podwładnych. Koledzy obawiają się jego często ostrego sposobu postępowania.

Szczególnie napięte stosunki panują między nim a celnikiem Gustavem Bolzem, nieżonatym, korzystającym z życia człowiekiem, bardzo oddanym radościom łoża i kielicha. Od niedawna łączą go intymne stosunki z Anną, pracownicą gospody, żoną leśniczego Plechingera. W wiosce nie cieszy się ona dobrą opinią. Pomawia się ją o kontakty z przemytnikami i paska-rzami. Gustav zjawiał się czasem na służbie nie o ósmej, ale dopiero o jedenastej, do tego załatwiał od niego alkoholem. Hans Burkert zrugął go za to kilka razy, napominając, by podobne zaniedbania więcej się nie powtórzyły.

Także wieczorem 11 września 1946 roku dochodzi między nimi do spięcia. Kończy się na wzajemnych pogroźkach. Rozgniewany Burkert opuszcza posterunek celny i udaje się do domu, do żony. Nie przeczuwa, że będzie to na wiele lat ostatnia noc, jaką spędzi u jej boku. Według rozpisanego przez niego planu dyżurów Bolz ma tej nocy służbę od godziny

dwudziestej trzeciej. Wpisuje jeszcze swoje rozpoczęcie służby do księgi dyżurów. Ale czy rzeczywiście rozpoczął swój dyżur na zewnątrz? Tego nie wie nikt. Według przepisów służbowych funkcjonariusz mający służbę zewnętrzną na jednoosobowym posterunku powinien przebywać nie w pomieszczeniu służbowym, ale na dworze. O godzinie szóstej rano Bolz zostaje znaleziony martwy na podłodze pomieszczenia służbowego obok biurka, ze strzaskanym sklepieniem czaszki, przestrzelonymi płucem i skronią oraz uszkodzonym kręgosłupem. Co się wydarzyło owej nocy? Kóstlerowie sądzą, że to wiedzą. To starsze małżeństwo mieszka na pierwszym piętrze posterunku celnego, na drugim sypia w pokoiku ich dorosły syn. Obraca się on w kręgach nielegalnych handlarzy i nie jest we wsi lubiany. Małżeństwo zeznaje na policji, że w nocy zbudziła ich ostra sprzeczka w pomieszczeniu służbowym. Słyszeli podniesione głosy, jeden z nich należał do Bolza. Nagle rozległy się dwa wystrzały, niedługo potem dobiegły ich głośnie jęki i postękiwania, które przeszły w coraz cichsze rżenie. Potem słyszeli kroki, ktoś chodził tam i z powrotem w pokoju na dole. „Spojrzałem na zegar - mówi stary Kóstler. - Była dokładnie trzecia czterdzieści pięć”.

Ale zamiast zejść na dół, obudzić syna albo sprowadzić pomoc, załęcznieni gaszą w mieszkaniu wszystkie światła i stają w oknach. Mogą stamtąd obserwować oba wyjścia z domu. Przez kwadrans tkwią w nocnych koszulach, dygocząc bez słowa, jak zaczarowani, i nie ruszają się z miejsca. Na dole w pokoju służbowym panuje całkowita cisza. Potem otwierają się oba skrzydła dolnego okna i na dwór wyskakuje mężczyzna w pelerynie i czapce z daszkiem. Ląduje na czworakach na ziemi, szybko się podnosi i rzuca w górę zbocza ku drodze w kierunku granicy. Przez mgnienie oka Kóstler ojciec widzi twarz mężczyzny ukosem z góry i z boku. Jest pewien, że to celnik Hans Burkert. jasne światło księżyca oświetliło jego twarz, opowiada na policji i zeznaje potem pod przysięgą na procesie. Jeszcze stojąc na górze przy oknie, pyta żonę, czy poznała Burkerta. „Tak - odpowiada kobieta. - To był on”.

Także teraz nie myślą o tym, by coś zrobić, zajrzeć na dół, sprowadzić pomoc, powiadomić lekarza i policję. Udają się z powrotem do łóżek i leżą do godziny piątej trzydzieści. Dopiero wtedy stary człowiek wstaje, ubiera się i idzie do domu, gdzie mieszkają celnicy Bolz i Hiither. Nie zastawszy tam żadnego z nich, wraca do siebie, nikogo nie zawiadamiając.

Tymczasem Hans Burkert pożegnał się z żoną i wyszedł z domu na służbę. Otwiera kluczem drzwi do budynku komory celnej i dziwi się, że klucz do pokoju służbowego nie wisi jak zawsze na gwoździu pod schodami. Ten Gustav znowu gdzieś go wsadził, myśli, i wchodzi do pokoju celników. Kosz na śmieci jest przewrócony, wszędzie na podłodze walają się porwane papiery. Nagle cofa się z przerażeniem. Koto biurka w wielkiej kałuży krwi leży Gustav Bolz z ziejącą dziurą w skroni, serce już nie bije. Burkert pospiesznie zamyka pomieszczenie i idzie na górę do mieszkania Kóstlerów. „Nie słyszała pani niczego w nocy?” - pyta starą Kóstlerową. „Wszystko słyszałam - odpowiada kobieta. - Złożymy zeznania, jak przyjdzie policja”.

Burkert pędzi do gospody. Ponieważ na policji kryminalnej tak wcześnie jeszcze nikogo nie ma, dzwoni na policję lokalną w miejscowości Waldsas-sen i opowiada szefowi posterunku, co widział. Prosi go, by zawiadomił zwierzchników i dochodzeniówkę. W drodze powrotnej do komory celnej spotyka starego Kóstlera, który mija go bez pozdrowienia i nie odpowiada na jego pytania. Dopiero, gdy Burkert go dogania, mówiąc, że już powiadomił policję, stary mówi, że też właśnie zamierzał to zrobić. Najwyraźniej zadbał o to, by we wsi dowiedziano się o sprawie. Przed posterunkiem celnym pojawiają się ciekawscy. Kóstler odgania ich. Nikt nie powinien zbliżać się do okna, krzyczy, poza Burkertem, który ma służbę.

Burkert rzeczywiście podchodzi teraz kilka razy do okna i zagląda do pokoju służbowego. Stanie się to przyczyną jego nieszczęść, bo zarzuci mu się potem, że chciał w ten sposób zatrzeć własne ślady. Burkert widzi leżące na podłodze kule pistoletowe, a pod łóżkiem nabój z karabinu. Spod płaszcza zabitego wystaje obłamana nakładka lufy karabinu służbowego. Mniej więcej po kwadransie przyjeżdża na motocyklu szef posterunku policji, do którego wcześniej Burkert telefonował, z jeszcze jednym policjantem. Celnik

wychodzi im naprzeciw. Funkcjonariusze rzucają tylko okiem na miejsce przestępstwa i zamykają drzwi na klucz. Resztą niech się zajmie dochodzeniówka, jeden z policjantów chce wiedzieć, kto otworzył okno. „Otworzyłem drzwi i może także okno - odpowiada Burkert. - Nie pamiętam dokładnie”. Na to stary Kóstler, który wygląda na górze z okna i wszystko słyszy, krzyczy, że to Burkert otworzył okno. Ale nie o szóstej, kiedy przyszedł, tylko o czwartej nad ranem, jak przez nie wyskakiwał. Policjant chwyta za broń Burkerta i odbiera mu ją. „Jest pan zatrzymany!” - mówi.

W więzieniu Waldsassen Burkert zostaje oficjalnie przesłuchany. Choć twierdzi, że nie ma z morderstwem nic wspólnego, wydany zostaje nakaz aresztowania. Komisja ds. zabójstw rekonstruuje przebieg wydarzeń: Bolz stoi w dyżurce tyłem do drzwi, kiedy trafia go z niewielkiej odległości pierwszy strzał z jego własnego amerykańskiego karabinu służbowego. Sprawca siedzi prawdopodobnie na krześle albo trzyma broń dosyć nisko. Kula przeszywa klatkę piersiową Bolza, trafiając w płuco. Po pierwszym wystrzale Bolz pada na drzwi. Żyje jeszcze, dlatego sprawca uderza go kilkakrotnie kolbą w głowę. Sklepienie czaszki zostaje strzaskane, nakładka lufy się odłamuje. Potem sprawca przeciąga Bolza na środek pomieszczenia i z pistoletu kaliber 7,65 oddaje śmiertelny strzał w lewą skroń. Nie znaleziono żadnej z obu sztuk broni.

Ciężarna żona Burkerta wciąż zapewnia, że mąż przez całą noc leżał przy niej w sypialni, ale nikt jej nie wierzy. Zostaje nawet przejściowo aresztowana za poplecznictwo, rychło ją jednak zwolniono. Śpiąc głęboko, nawet nie usłyszała, jak mąż wstał w środku nocy i wyszedł, uważa prokurator Herzog. Podobnie nie zauważyła, jak mężczyzna wrócił o godzinie 4.15, umył się, oczyścił zakrwawione ubranie i położył znowu do łóżka.

Śledztwo trwa ponad rok. Wreszcie, 2 października 1947 roku, w sądzie rejonowym w Weiden rozpoczyna się proces przeciw Hansowi Burkertowi pod przewodnictwem dyrektora sądu rejonowego Traberta.

Obrony podjął się mecenas Martin Hirsch z Markt-Redwitz. Jest głęboko przekonany o niewinności swego klienta. Zdaje sobie sprawę, że wszystko zależy zasadniczo od zeznań świadków koronnych, państwa Kóstlerów.

Dlatego dr Hirsch próbuje podać w wątpliwość ich wiarygodność. Domaga się zbadania krótkowzrocznego, noszącego okulary Kóstlera przez okulistę, a także przeprowadzenia nocnej wizji lokalnej przy podobnym oświetleniu jak w chwili zdarzenia. Chce przez to wykazać, że państwo Kóstler nie mogli rozpoznać sprawcy. Sąd jednak oddala oba wnioski. Kóstlerowie potwierdzają swoje zeznania, rozpoznali Burkerta. Stary zeznaje to nawet pod przysięgą. Także Anna Plechinger zaprzysięga swoje zeznanie, że Bolz skarżył jej się na ciągle szykany ze strony Burkerta, a na sześć dni przed morderstwem wspominał o ponurym przeczuciu śmierci.

W mowie końcowej prokurator Herzog domaga się dla Burkerta kary śmierci. Półtora roku po upadku dyktatury nazistowskiej orzeka się ją jeszcze w Niemczech. Zostaje zniesiona dopiero w 1949 roku w konstytucji federalnych Niemiec. Dr Hirsch domaga się uniewinnienia z powodu dowiedzionej niewinności. Według ówczesnego kodeksu karnego (par. 211) morderca to osoba, która zabija człowieka kierowana żądzą mordy, w celu zaspokojenia popędu płciowego, z chciwości lub z innych niskich pobudek, podstępnie lub w sposób okrutny, albo niebezpiecznymi dla ogółu środkami, w celu umożliwienia bądź ukrycia innego czynu karalnego. Dr Hirsch jest przekonany, że jego klientowi nie można dowieść żadnego z tych znamion przestępstwa.

Trzeciego października 1947 roku trzech zawodowi sędziowie - nie przywrócono jeszcze sądów przysięgłych - naradzają się nad wyrokiem ponad dwie godziny. Potem oświadczają: dwanaście lat ciężkiego więzienia za zabójstwo i pozbawienie praw obywatelskich na lat dziesięć.

Sąd nie doszukał się motywu przestępstwa. A gdyby Burkert rzeczywiście chciał zabić swego podwładnego, to czemu zastrzelił go akurat pod sypialnią Kostlerów, a nie podczas samotnego obchodu granicy w lesie, gdzie za sprawcę mogłyby uchodzić pierwszy lepszy przemytnik? Dlaczego wyskoczył przez okno, a nie wyszedł z domu, w którym się doskonale orientował, przez niezamknięte drzwi?

Dziesiątego listopada 1947 roku dr Hirsch w sądzie drugiej instancji w Norymberdze składa wniosek o rewizję wyroku - w owym czasie nie by-

ło jeszcze sądu federalnego. Uzasadnienie wniosku liczy trzydzieści stron. Skrytykowano w nim przede wszystkim naruszenie starej zasady prawnej in dubio pro reo (wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego). Sąd drugiej instancji potrzebuje pół roku na wydanie orzeczenia. W całej rozciągłości zatwierdza wyrok sądu rejonowego w Weiden. Izba karna dała jasno do zrozumienia, że jest przekonana o winie oskarżonego i nie jest tak, że wydała wyrok „pomimo istniejących jeszcze wątpliwości”.

Teraz wyrok staje się prawomocny. Hans Burkert jest zrozpaczony. Za nieprzeniknionymi murami ciężkiego więzienia Straubing, w izolacji od świata i rodziny, płyną mu bolesne lata. Jego obrońca nie daje jednak za wygraną. Mobilizuje prasę, parlamentarzystów i ministra. Bawarskie Ministerstwo Sprawiedliwości żywi wątpliwości co do słuszności tego wyroku, który amerykański oficer sądowy na północną Bawarię nazwał „prymitywnym i spornym”.

Komisja ds. zabójstw policji monachijskiej zostaje w 1950 roku zobowiązana do powtórnego wyjaśnienia sprawy. Dochodzi ona do wniosku, że podczas kłótni i szamotaniny z Bolzem padł nieumyślny strzał. Potem Burkert ze strachu oddał drugi, śmiertelny. Nie ma mowy o jego niewinności. Monachijscy funkcjonariusze nie przesłuchali go jeszcze ani razu, bo dyrekcja zakładu karnego obawia się, że mógłby on popełnić „w proteście samobójstwo”.

Dr. Hirschowi udaje się jednak przedłożyć nowy materiał dowodowy. Składa on doniesienie o popełnieniu krzywoprzysięstwa przez Annę Ple-chinger podczas postępowania przeciw Burkertowi. Dowiedziono jej winę i skazano na rok więzienia. Ponieważ jej zeznanie z pewnością wpłynęło na orzeczenie wyroku, pod koniec lutego 1951 roku dr Hirsch domaga się wznowienia procesu przeciw jego klientowi. Izba karna w Weiden potrzebuje całego roku na podjęcie decyzji o oddaleniu tego wniosku. To ta sama izba, która skazała Burkerta. Taki tryb był jeszcze wtedy przewidziany w niemieckim kodeksie postępowania karnego. Dopiero rok później wygrano walkę o zmianę tego kontrowersyjnego przepisu. Hirsch składa skargę na tę decyzję w sądzie drugiej instancji

w Norymberdze. Szesnastego kwietnia 1952 roku sąd uchyla tę decyzję i nakazuje wznowienie postępowania przed sądem przysięgłych.

Teraz trzech zawodowych sędziów i sześciu przysięgłych muszą ponownie rozstrzygnąć o winie Hansa Burkerta. Nowy proces rozpoczyna się 13 listopada 1952 roku. Znany monachijski obrońca w sprawach karnych dr Staubitzer podejmuje się wspomóc dr. Hirscha podczas postępowania sądowego.

Główny świadek oskarżenia Kóstler składa to samo zeznanie co sześć lat wcześniej i zaprzysięga je ponownie. Jednak biegły z obserwatorium astronomicznego uniwersytetu w Monachium oświadcza, że przy natężeniu światła księżyca, jakie występowało w noc zabójstwa, rozpoznać sprawcę w sposób pewny mogła tylko osoba o prawidłowej ostrości wzroku. I to tylko wtedy, gdy tarczy księżyca nie przesłaniała w tym momencie „żadna zasłona chmur”, a odległość nie wynosiła więcej niż cztery metry. Natomiast w ekspertyzie meteorologicznej można przeczytać, że widoczność owej nocy była wybitnie zła, ponieważ niebo „było przynajmniej w połowie zachmurzone”, a księżyc dawno już zaszedł. Obala to zeznanie Kóstlera, że księżyc wtedy jasno świecił.

Okazuje się też - na podstawie orzeczenia okulistycznego wydanego przez uniwersytet w Monachium - że Kóstler cierpi na zaburzenia wzroku już od pierwszej wojny światowej. Jego ostrość widzenia jest tak ograniczona, że potrzebuje okularów. Nie wspomniał o tym podczas procesu. Kiedy jego zeznanie zostaje podważone, woła: „Przyprowadźcie mi innego mordercę!”. Psycholog prof. dr Muller-HeB w swojej ekspertyzie nazywa samowolnego i pyszałkowego Kóstlera „niebezpiecznym świadkiem, przed którym należy usilnie przestrzec każdego sędziego”. Może wykazuje on nawet cechy paranoidalne. W każdym razie ulega „sugestii oczekiwania”. Czy państwo Kóstler kłamali rozmyślnie, czy rzeczywiście się pomylili, pozostaje bez odpowiedzi.

Sąd decyduje, że należy uchylić wyrok z 1947 roku. Nikt nie mógłby orzec o winie na podstawie tak fałszywego i gruntownie zrewidowanego zeznania. Starszy prokurator domaga się uniewinnienia z braku dowo-

dów, aby uchronić przynajmniej kasę państwową przed żądaniem wysokiego odszkodowania ze strony Burkerta. Obaj obrońcy jednak z naciskiem żądają uniewinnienia wskutek dowiedzionej niewinności. Sąd rejonowy w Weiden na dwudziestu stronach uzasadnia swój wyrok. Na końcu czytamy:

„Dokonawszy oceny wszystkich tych okoliczności, sąd doszedł do wniosku, że nie ma już uzasadnionych podejrzeń wobec oskarżonego. Sąd nie zyskał jednak przekonania o całkowitej niewinności oskarżonego. Istnieją nadal powody do podejrzeń, choć słabe i niebezpośrednie. Dlatego oskarżony został uniewinniony z braku dowodów winy”.

Nie ma już żadnych uzasadnionych podejrzeń, ale są nadal słabe powody do podejrzeń? Takie uzasadnienie nie przekonuje. Triumf obrony jest niepełny. Jednak Hans Burkert jest wreszcie wolny po sześciu latach niesłusznie spędzonych w więzieniu.

„The Hurricane”. Sprawa Rubina Cartera

(Stany Zjednoczone, New Jersey, 17 czerwca 1966-19 lutego 1988)

Lato 1966 roku. Hippiści wtykają sobie kwiaty we włosy i napływają tłumnie do San Francisco. Ale to także czas gwałtownych sporów między czarnymi a białymi. W niektórych miastach dochodzi do rozruchów na tle rasowym. Biali stawiają na „Boba” Kennedy’ego jako następnego prezydenta, czarni liczą na Martina Lutera Kinga. Dwa lata później obaj już nie żyją, powaleni kulami podstępnych zamachowców. Tego gorącego lata 1966 roku dwudziestodziewięcioletni Afroamerykanin Rubin Carter pretenduje do tytułu bokserskiego mistrza świata wagi średniej. Niedawno wrócił po odbyciu służby wojskowej do Paterson w rodzinnym New Jersey, zaczął boksować i pnie się do góry. To twardy, budzący lęk zawodnik, który uczynił ze swego ciała prawdziwą broń. Większość walk wygrywa przez nokaut w pierwszych rundach. Nadano mu przydomek „Hurricane”, zmiata przeciwników z ringu tuzinami.

Rubina Cartera znajdują nie tylko w Paterson. Dzięki boksowaniu zarobił dość pieniędzy, na niejedno może sobie pozwolić, nieźle mu się powodzi. W tym małym miasteczku przemysłowym nie każdy może to o sobie powiedzieć. Odkąd przemysł włókienniczy zaczął się wycofywać z Paterson, sporo tu bezrobotnych. Mimo to w knajpach i barach zwykle jest pełno gości. Także w grill-barze „Lafayette” przy 18. East Street, odwiedzanym przeważnie przez białych. Mówi się, że uchodzący za rasistę barman James O. nie podaje drinków Murzynom.

Siedemnastego czerwca 1966 roku około godziny drugiej trzydzieści w nocy wchodzi do „Lafayette” dwóch uzbrojonych kolorowych mężczyzn. Jeden ma w ręku karabin, drugi pistolet. Bez słowa otwierają ogień. Barman James O. i Frad N., stały bywalec siedzący akurat przy barze, śmiertelnie trafieni padają na podłogę. Jego towarzysz William M. zostaje ciężko ranny w głowę, tylko on przeżyje. Hazel T., biała kobieta, też stała klientka, krzyczy głośno, gdy mężczyzna z pistoletem podchodzi do niej i oddaje cztery strzały. Potem trafia ją w pierś pocisk z karabinu. Ciężko ranna kobieta umiera miesiąc później w szpitalu.

Nad barem mieszka Patricia V Obudzona odgłosami strzałów, podchodzi do okna i widzi, jak dwóch Murzynów wybiega z lokalu i odjeżdża białym samochodem. Jego tylne światła miały kształt motyla, mówi kobieta do wezwanych policjantów, którzy zjawiają się po kilku minutach. Przekazują przez radio, by wszystkie radiowozy zwróciły uwagę na biały samochód, w którym jadą dwaj kolorowi.

Jest jeszcze jeden świadek, dwudziestotrzyletni kryminalista Alfred B. Wraz z przyjacielem chciał się włamać do pobliskiej fabryki. Stoi na czatach i właśnie chce pójść po papierosy do baru „Lafayette”, kiedy widzi dwóch wychodzących Murzynów z bronią, mniejszego z karabinem i większego z pistoletem. Obaj śmieją się i głośno rozmawiają. Dokładne położenie Alfreda B. - w barze czy przed barem - oraz to, co on sam później o tym powie, stanie się jednym z najważniejszych punktów sprawy na następne dwadzieścia lat. W każdym razie po morderstwie B. znalazł się w barze. Nie tylko zobaczył leżących we krwi zabitych i ciężko ran-

nych, ale ukradł też z kasy kilka banknotów. Przyznał się do tego na policji. O godzinie 2.40 sierżant C. zatrzymuje na rogu 14. Avenue i 28. East Street, czternaście przecznic od baru „Lafayette”, biały samochód. Na tylnym siedzeniu leży Rubin Carter, tak że nie można go zobaczyć z ulicy. Kierowcą auta jest John A., lat dziewiętnaście, kolorowy, obok niego siedzi jeszcze jeden Murzyn. Carter mówi, że jadą właśnie z klubu do domu. Sierżant C. kontroluje wszystkich trzech, ale nie znajduje broni, więc pozwala im jechać dalej. Poszukiwany jest przecież samochód osobowy z tylko dwoma kolorowymi.

Kilka minut później ten sam wóz zostaje jeszcze raz zatrzymany. Teraz są w nim tylko Rubin Carter i John A. Policjanci jadą z nimi na miejsce przestępstwa. Zjawiają się tam o godzinie trzeciej rano. Żaden ze świadków nie rozpoznaje w nich sprawców. Także gdy po przyjeździe do szpitala zostają na krótko okazani ciężko rannym Hazel T. i Williamowi M., nie zostają rozpoznani. Dlatego Rubin Carter i John A. zostają ponownie zwolnieni.

Teraz sprawę przejmuje detektyw Vincent D., cieszący się znakomitą opinią w New Jersey. Musiał na to ciężko zapracować. Ma w sobie coś z wielkiego pluszowego misia, jest religijny, ale często także niepewny siebie i onieśmielony, może z powodu oszpecającej blizny na twarzy z czasu drugiej wojny światowej. Wielokrotnie odbywa długie rozmowy ze swoim świadkiem koronnym Alfredem B., dając mu do zrozumienia, że jeśli pójdzie na współpracę z policją, to jego przewinienia kryminalne przestaną być przedmiotem dalszego dochodzenia. Ponadto otrzymałby dziesięć tysięcy dolarów nagrody wyznaczonej za znalezienie winnego morderstw z „Lafayette”. Gdzieś między lipcem a październikiem 1966 roku Alfred B. zmienia zeznania. Dokładnie widział Rubina Cartera i Johna A., kiedy stał przed barem. Wyszli z lokalu z bronią w rękę i odjechali białym autem.

Obaj zostają aresztowani 14 października 1966 roku i oskarżeni o potrójne morderstwo. Prokuratura żąda kary śmierci. Uważa też, że zna motyw zbrodni - była to zemsta. Otóż na osiem godzin przez zabójstwem

23Q

w barze „Lafayette” właściciel „Waltz Inn”, Murzyn, został zastrzelony przez jakiegoś białego z karabinu z bliskiej odległości. Oba przestępstwa są bardzo podobne, dlatego prokuratura jest pewna, że zostały popełnione przez tych samych ludzi. Ma jeszcze jeden atut w ręku. Policja znalazła kulę pistoletową pod przednim siedzeniem obok kierowcy w samochodzie Cartera. Jest wprawdzie powleczone miedzią, podczas gdy kule w ciałach ofiar miały płaszcz z ołowiu, pochodzi jednak z pistoletu Smith & Wesson kaliber 32, takiej samej broni, jaką dokonano mordu w „Lafayette”.

Obrona przedstawia alibi Cartera. Jego ówczesny sparringpartner poświadcza, że w chwili popełnienia przestępstwa był z Carterem. A przyjaciółka Catherine M. zeznaje, że w noc morderstwa odwiózł ją do domu.

Jednak naoczny świadek Alfred B. potwierdza wobec ławy przysięgłych, że widział, jak Rubin Carter i John A. wychodzą z baru, kiedy sam chciał tam wstąpić po papierosy. Przysięgli wierzą mu i w 1967 roku uznają obu oskarżonych za winnych. Każdy z nich zostaje skazany na potrójne dożywocie. Niedługo potem New Jersey Supreme Court zatwierdza te wyroki. Opinia publiczna New Jersey jest podzielona. Dwa miesiące po procesie wybuchają rozruchy na tle rasowym. Trzeba wprowadzić do akcji gwardię narodową, żeby przywrócić porządek.

W więzieniu Rubin Carter pisze książkę zatytułowaną Szesnasta runda. Staje się ona dość znana. Zwraca się on do swoich czytelników z prośbą o pomoc. To jedyna szansa, jaka mu pozostała, pisze, by zwrócić uwagę na doznaną niesprawiedliwość. „Pierwszy raz w całym moim życiu mówię, że potrzebuję pomocy”.

Jedną z osób przekonanych o niewinności Cartera jest Bob Dylan. Odwiedza go w celi i pisze potem piosenkę zatytułowaną Hurricane. Wychodzi ona w 1974 roku jako singiel. To wstyd mieszkać w kraju, gdzie sprawiedliwość to gra, śpiewa Dylan. A słucha się go wszędzie w świecie: Now a/l the criminals in their coats and des arejree to drink martinis and watch the sunrise while Rubin sits like Buddha in a tenjbot celi, an Innocent man in a living heli. Thafs the story of the Hurricane, but it won't be over till they elear his name andgive him back the time he's done.

HHI^H^I^H

W 1974 roku w wywiadzie dla „New York Timesa”, za który otrzymuje sporą sumę pieniędzy, Alfred B. zmienia swoje zeznanie. Carter został wrobiony, oświadcza. „Kłamałem, by ratować własną skórę”. Policjanci zmusili go, by pozwolił oddać sprawiedliwość rodzinom białych ofiar. Także dziesięć tysięcy dolarów nagrody skusiło go, by poświadczył nieprawdę.

Rok później Alfred B. ponownie zmienia zeznanie. Mówi teraz, że kiedy padły strzały, był w środku w barze. Mimo to nie mógł rozpoznać Rubina Cartera i Johna A. Żeby reporterzy dostali coś ekstra, dodaje, iż zasłonił się nawet panią Hazel T. jak tarczą, nie chcąc zostać samemu zastrzelonym. Która wersja jest prawdziwa?

Alfred B. poddaje się dobrowolnie badaniu na detektorze kłamstwa. Profesor, który ocenia wyniki, dochodzi do wniosku, że zeznanie B., jakoby był w barze, kiedy rozległy się strzały, jest prawdziwe. Jest to jednak sprzeczne z zeznaniem B. podczas procesu w 1967 roku. Skompromitowałyby to całkowicie koronnego świadka prokuratury i umożliwiło obronie wszczęcie nowego postępowania. Główny oskarżyciel wywiera jednak taki nacisk na profesora, że ten oświadcza w swoim pisemnym raporcie, iż według wyników testu zeznanie B. z procesu, jakoby znajdował się poza barem, jest prawdziwe, natomiast jego późniejsze twierdzenia, że był w barze, są nieprawdą. Ten raport końcowy otrzymuje też obrona, nie dostaje jednak dalszego protokołu z odmiennymi wyjaśnieniami.

Kiedy obrona odkrywa oszustwa prokuratury związane z oceną badania wariografem, stawia w 1976 roku wniosek o wszczęcie nowego postępowania przeciw Rubinowi Carterowi i Johnowi A. Jednak sędzia L. oddala wniosek, zatwierdzając wyroki z 1967 roku, po tym jak świadkowie alibi Cartera, pod presją ponownych przesłuchań policyjnych oświadczyli, że ich ówczesne zeznania były fałszywe. Catherine M., zaręczona obecnie z policjantem z Paterson, zeznaje teraz, że Carter odwiózł ją do domu innej nocy.

Na podstawie wniesionej apelacji New Jersey Supreme Court nakazuje przeprowadzenie postępowania na temat ocen wyników badania wariografem. Trwa ono piętnaście dni i ponownie kończy się odrzuceniem wniosku

24/

o wznowienie postępowania. Obrona składa odwołanie. Supreme Court orzeka w 1981 roku czterema głosami przeciw trzem, że Rubin Carter nie będzie miał nowego procesu. Podczas gdy John A. zostaje zwolniony warunkowo, Carter traci teraz, po wyczerpaniu drogi prawnej, wszelką nadzieję na to, że kiedykolwiek wyjdzie z więzienia. Jest tak zrozpaczony, że prosi swoją żonę, by go już nie odwiedzała. W momencie, gdy Carter uznaje, że w jego sprawie nic się już nie da zrobić, otrzymuje list z Kanady od młodego człowieka Lesry Martina. Mieszka on w Toronto z grupą hippisów i przeczytał książkę Cartera Szesnasta runda. Martin wierzy w jego niewinność i tak się przejął losem tego niegdyś sławnego boksera, że postanawia uczynić wszystko, by mu pomóc. Wraz z kanadyjskimi kolegami ze studiów odwiedza adwokatów Cartera Myrona Beldocka i Lewisa Steela i uzyskuje wgląd w akta. Pracując miesiącami, sprawdzają oni wszystkie szczegóły sprawy i odwiedzają Cartera w więzieniu, dając mu nową nadzieję.

Pod koniec 1983 roku opuszczają rodzinne Toronto i przenoszą się do New Jersey, by jeszcze skuteczniej wspierać adwokatów Cartera w zamiarze złożenia w Federal District Court wniosku o wszczęcie tzw. postępowania Habeas-Corpus. Podczas takiego postępowania sprawdza się, czy więzień nie odsiadyuje kary niesprawiedliwie, a jego osadzenie nie narusza praw człowieka albo konstytucji amerykańskiej. Petycja taka stanowi ostatnią możliwość skorygowania błędnego wyroku i wymaga ogromnego nakładu pracy. Naruszenie praw konstytucyjnych musi być rzeczywiście poważne.

Lesra Martin i jego kanadyjscy przyjaciele przez prawie dwa lata poszukują nowych dowodów i świadków. Ostatecznie, w 1985 roku, petycja jest gotowa. To naprawdę ostatnia szansa, by wyjaśnić, czy kłamstwa Alfreda B. i wymuszone wyniki badań wykrywaczem kłamstw mogą jednak doprowadzić do nowego procesu Rubina Cartera. Ma o tym postanowić sędzia federalny H. Lee Sarokin, człowiek bardzo liberalny i poważany. I robi to, co uważa za słuszne, po wnikliwym zbadaniu sprawy. Siódmego listopada 1985 roku nakazuje natychmiastowe zwolnienie Rubina Cartera.

Lee

242

Sarokin oświadcza, że świadek naoczny Alfred B. nigdy nie zidentyfikował obu skazanych jako sprawców, a jego późniejsze zeznanie to kłamstwo. Sędzia wypowiada się też krytycznie o rasistowskich uprzedzeniach przysięgłych. Po dziewiętnastu latach więzienia Rubin Carter jest wreszcie wolny. Nienawiść wtrąciła go do więzienia, mówi, a miłość stamtąd uwolniła.

Jednak stan New Jersey odwołuje się do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, najwyższej instancji w tym kraju. Decyzja ta nie przeszkodzi już w uwolnieniu Cartera. Dziewiętnastego lutego 1988 roku prokuratura stawia wniosek o uchylenie wcześniejszych wyroków. W ten sposób, po dwudziestu dwóch latach, sprawiedliwość może wreszcie zatriumfować.

Rubin Carter mieszka dziś w Toronto, gdzie kieruje Stowarzyszeniem Obrony Niesłusznie Skazanych. Na podstawie historii jego życia w 1999 roku nakręcono film Hurricane. Zawiera on jednak pewne nieścisłości i odejścia od rzeczywistego przebiegu wydarzeń. Prokuratorzy zaangażowani w sprawę Cartera porobili w New Jersey wspaniałe kariery. John A., przedterminowo zwolniony warunkowo, został w 1985 roku ponownie uwięziony za handel kokainą. Mieszka obecnie w Wirginii, działając jako pracownik opieki społecznej. Alfred B., który z powodu swoich kłamstw ponosi wielką winę za te błędne wyroki, mieszka dziś pod zmienionym nazwiskiem w Nowym Meksyku. A Lesra Martin pracuje w Kolumbii Brytyjskiej jako adwokat.

Kanadyjska tragedia. Sprawa Davida M.

(Kanada, 31 stycznia 1969-21 lutego 2004)

Wysokie zaspasy śnieżne prawie przykryły ulice Saskatoon, ładnego i miłego miasta uniwersyteckiego liczącego sto tysięcy mieszkańców. Leży ono na zachód od Wielkich Jezior, nad Saskatchewan, potężną rzeką, od której bierze nazwę ta prowincja w sercu Kanady. Jest wczesny ranek 31 stycznia 1969 roku, w Saskatoon panuje przenikliwy chłód. Lodowaty wiatr omiata ulice. Gail M., lat dwadzieścia, czeka nieopodal pensjonatu, gdzie

chwilowo mieszka, na autobus, by pojechać do szpitala miejskiego. Pracuje tam na izbie porodowej jako pomoc pielęgniarska. Zegar pokazuje godzinę szóstą trzydzieści, autobus przyjedzie lada chwila. Młoda, ładna kobieta stoi samotnie na skraju chodnika. Nagle z ciemności wyskakuje jakiś mężczyzna, od tyłu przyciska jej dłoń do ust, przykłada nóż do gardła i wciąga w pustą boczną uliczkę.

Gail M. zostaje tam znaleziona kilka godzin później. Leży martwa twarzą w dół w zaspie śnieżnej, z ponad tuzinem ran od noża w ciele. Sekcja zwłok wykazuje, że została zgwałcona. Kto popełnia tak okrutne przestępstwo w głębokim śniegu przy minus 42 stopniach? Czy ma to jakiś związek z trzema gwałtami na młodych kobietach popełnionymi ostatnio w Saskatoon? Tam sprawca pozostawił jednak ofiary przy życiu.

Policja przesłuchuje krewnych i przyjaciół Gail M. i za informacje mogące doprowadzić do schwytania sprawcy wyznacza nagrodę w wysokości dwóch tysięcy dolarów, co odpowiada mniej więcej dzisiejszym dziesięciu tysiącom. Napływają setki informacji. Podczas tygodnia po morderstwie policja obserwuje mężczyznę, który każdego ranka o szóstej trzydzieści czeka na przystanku autobusowym, gdzie napadnięto Gail M. Mieszka on w bezpośrednim sąsiedztwie. Nazywa się Larry F. Owszem, przyznaje, także 31 grudnia stał tam, czekając na autobus. Nie zauważył jednak niczego niezwykłego.

Jest kilku podejrzanych, wśród nich długowłose, francuskojęzyczny Kanadyjczyk, karany wcześniej za przestępstwa seksualne, jak również taksówkarz, który powiedział do swojej przyjaciółki: „A gdybym to ja to zrobił?”. Nie można im jednak niczego dowieść. Policjanci z wydziału zabójstw dowiadują się jednak, że tamtego ranka, kiedy popełniono morderstwo, także pewien szesnastoletni hippis, niejaki David M. z Winnipeg, znajdował się w pobliżu miejsca zdarzenia. Wraz z dwójką przyjaciół, Ronem W i Nichol J., przyjechał właśnie tego ranka samochodem do Saskatoon, by odwiedzić znajomego Alberta C. Nieopodal przystanku autobusowego ich auto utknęło w śniegu w bocznej uliczce, więc musieli pożyczyć w jednym z domów linę, by je wyciągnąć. Po wizycie u Alberta C. pojechali dalej do prowincji Alberta.

Usłyszawszy o wyznaczonej nagrodzie, Albert C. zjawia się na policji i donosi, że David M. wraz z Ronem W i Nichol J. byli w chwili popełnienia przestępstwa w Saskatoon. Podczas ich wizyty zauważył, jak David M. wyrzucił małą damską kosmetyczkę. Policji udaje się ustalić miejsce pobytu Rona W. i Nichol J. Ich zeznania niczego początkowo nie wnoszą. Gdy jednak Ron W dowiaduje się, że jest podejrzany, oświadcza, że David M. miał nóż. Tego feralnego ranka rozdzielili się, by pójść po pomoc i wyciągnąć samochód. Kiedy David wrócił, miał spodnie wysmarowane krwią. David powiedział, że spotkał młodą kobietę, która nie była skora do pomocy, kiedy zapytał o drogę. Nichol J. natomiast oświadcza w swoim dziesięciostronicowym zeznaniu na piśmie, że widziała, jak David zadźgał młodą kobietę.

David M. zostaje zatrzymany. Zarabiał na życie, sprzedając gazety, i jest już znany policji. Jako czternastolatek włamał się do ciężarówki, żeby odbyć przejażdżkę. Karano go też za kradzież. Nie był jednak dotąd notowany jako sprawca przestępstw seksualnych. Zdecydowanie zaprzecza, jakoby miał cokolwiek wspólnego z zamordowaniem Gail M., i zgadza się dobrowolnie na pobranie próbek krwi i spermy.

Dla prokuratury sprawa jest jasna z uwagi na obciążające zeznania świadków. Wnosi ona oskarżenie o morderstwo. Postępowanie prowadzi sędzia B. Kiedy niedługo po rozpoczęciu procesu zwraca on uwagę na pewne niezgodności i sprzeczności w zeznaniu jednego z wyznaczonych przez prokuraturę świadków, David M. i jego rodzina liczą na uniewinnienie. Podczas przesłuchań konsekwentnie nie przyznawał się on do winy i twierdził, że jego przyjaciele nie są wiarygodni. Oni kłamią, ich obciążające zeznania są wyssane z palca. Zrobili to tylko po to, by zainkasować wyznaczone nagrody. Z tym morderstwem nie ma on kompletnie nic wspólnego. David M. chce to teraz powtórzyć przed ławą przysięgłych. Jego obrońca radzi mu jednak, by milczał i nie składał zeznań, bo obawia się, że David jeszcze się tym pograży. To poważny błąd, jak się okaże.

Ława przysięgłych daje wiarę świadkom oskarżenia i w styczniu 1970 roku, po dwunastogodzinnych obradach, uznaje Davida M. za winnego.

Sędzia B. skazuje go na dożywotnie więzienie. Ten siedemnastolatek znika za grubymi murami więzienia Prince-Albert w Saskatchewan jako osadzony nr 289 699. David M. jest zrozpaczony, w pierwszych latach odbywania kary podejmuje kilka prób samobójczych. Podcina sobie żyły na nadgarstkach i wyskakuje z okna na drugim piętrze. Po długim strajku głodowym na próżno liczy, że zostanie przeniesiony do więzienia w Win-nipeg. Byłby tam bliżej rodziny, zwłaszcza matki Joyce i siostry Susan. Zamiast tego dostaje się do więzienia w Dorchester, gdzie jeszcze rzadziej miewa widzenia. W 1973 roku wraz z dwoma współwięźniami przechytrza strażników, forsuje zewnętrzny mur i ucieka. Zostaje jednak ujęty już następnego dnia.

W 1980 roku, po dziesięciu latach odsiadki, David M. znowu wydostaje się z więzienia i ucieka do Toronto. Pozostaje na wolności przez siedemdziesiąt siedem dni, potem znów zostaje zatrzymany przez policję. Kiedy próbuje uciec, strzelają mu w plecy. Otrzymuje propozycję ułaskawienia, w sumie ponad dwadzieścia razy. Jednak warunkiem przedterminowego warunkowego zwolnienia jest przyznanie się do winy. Tego jednak nie robi. Konsekwentnie utrzymuje, że jest niewinny. Pozostaje dalej za kratkami, teraz w zakładzie karnym Stony-Mountain w pobliżu Win-nipeg. Jego nowy adwokat David Asper, młodszy partner znanego w Winnipeg obrońcy w sprawach karnych, gromadzi materiał do wniosku o wznowienie postępowania. Chce nowego procesu i występuje o ekspertyzę dwóch biegłych medycyny sądowej. Mają oni ponownie zbadać zachowaną żółtawą ciecz, którą prowadzący śledztwo zabezpieczyli w postaci zamrożonej grudki cztery dni po morderstwie w bezpośrednim pobliżu miejsca znalezienia zwłok, a którą uznano za płyn nasienny. Biegły James Ferris twierdzi, że próbki tej nie można przypisać Davidowi M. Natomiast specjalista w dziedzinie medycyny sądowej dr Peter Merke-steyn dochodzi wręcz do wniosku, że jest to raczej psi mocz, a nie sperma. Jednak w 1991 roku Ministerstwo Sprawiedliwości odrzuca wniosek. Minister sprawiedliwości Kim Campbell potwierdza wyrok z 1970 roku,

mówiąc: „Jestem przekonana, że byt to uczciwy proces. Nic nie wskazuje na to, by zaszła pomyłka sądowa”.

Za wygraną nie daje zwłaszcza Joyce M., matka Davida. Próbuje wszystkiego, by wydostać syna z więzienia, bo wierzy w jego niewinność. Podczas kilku kampanii zwraca się do opinii publicznej. Przeprowadzane są zbiórki pieniędzy. Joyce wyznacza dziesięć tysięcy dolarów nagrody za informacje mogące doprowadzić do uwolnienia syna. Także media podchwytyją sprawę. Krytykują minister sprawiedliwości, ponieważ ta szorstko odprawiła Joyce, mówiąc, że nie powinna się do niej zwracać osobiście, jeśli chce, by jej syn miał uczciwe przesłuchanie. Sprawa staje się w Kanadzie tematem ciągłych dyskusji publicznych. Joyce pisze tekst piosenki, w której prosi minister sprawiedliwości Kim Campbell, by zwolniła jej syna. „On nie jest winny, ma pani na to dowody - brzmią jej słowa. - Jak pani może tak stać z boku, chłodna i samotna?”. Muzycy wykonują tę piosenkę przy dużym odzewie widowni podczas koncertu w Winnipeg.

Organizowane są nocne czuwania przed murami więzienia Stony--Mountain, aby David M. został przynajmniej przeniesiony z bloku szczególnego nadzoru do mniej surowo strzeżonego więzienia. A kiedy premier Kanady Brian Mulroney przybywa do Winnipeg, nocne czwanie odbywa się przed hotelem, gdzie się zatrzymał. Po zaskakująco krótkim spotkaniu z Joyce M. premier mówi podczas wywiadu dla „Winnipeg Free Press”: „Nawet najbardziej pokorna matka z największą miłością w sercu nie prowadziłaby przez dwadzieścia lat takiej krucjaty, gdyby miała jakiegokolwiek wątpliwości co do niewinności swego syna”. Wraca on do Ottawy ze znacznie lepszym zrozumieniem tej szczególnej sprawy, której ponowne zbadanie wydaje się niezbędne.

Joyce M. wynajmuje prywatnego detektywa. Przepytuje on jeszcze raz wszystkie osoby, z którymi spotkał się David M. w dniu morderstwa. Rozmawia też z sześcioma młodymi kobietami, które na krótko przed zamordowaniem Gail M. albo po nim zostały zgwałcone także w Saskatoon i Winnipeg. Wszystkich tych przestępstw dokonano według podobnego schematu, a do niektórych przyznał się karany uprzednio Larry F.

Odsiada on za to wyrok. Zawsze obejmował kobiety od tyłu, groził nożem i wciągał w pustą boczną uliczkę. Także w wypadku Gail M. sprawca postąpił przypuszczalnie podobnie. Ponadto Larry F. mieszkał w domu odległym od miejsca przestępstwa ledwie o kilka przecznic. Kategorycznie jednak nie przyznaje się do popełnienia tego czynu.

Sześć miesięcy po oddaleniu pierwszej prośby o wznowienie procesu adwokat David Asper stawia nowy taki wniosek. Tym razem uzasadnia go tym, że Gail M. nie zamordował nikt inny, jak Larry F. Dotychczas Supreme Court Kanady tylko dwukrotnie rozpatrzył prośbę o nowy proces. Pierwsza dotyczyła sprawy Wilberta Coffina, górnika z Ouebecu, w 1953 roku skazanego na śmierć za zamordowanie trzech amerykańskich myśliwych. Druga wiązała się z morderstwem z 1959 roku, za które znalazł się za kratkami czternastoletni Stephen Truscott. Obie prośby zostały odrzucone. Coffina powieszono, a Truscotta ułaskawiono po dziesięciu latach. Teraz minister sprawiedliwości Kim Campbell, pod naciskiem mediów i wobec przedstawienia nowego materiału dowodowego, poleca, by Supreme Court po raz trzeci zbadał jakąś sprawę - Davida M. Przesłuchanie ma prowadzić pięciu z dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego Kanady. Kiedy dowiaduje się o tym David, mówi tylko: „Miłosierdzie zaczyna się tam, gdzie kończy się prawo”.

Przesłuchanie przed Supreme Court rozpoczyna się 21 stycznia 1992 roku i trwa dwa dni. Najpierw przesłuchany zostanie David M. Po raz pierwszy otrzymuje szansę zeznawania przed sądem. Drugiego dnia Ron W przyznaje, że skłamał przed dwudziestu dwu laty. Podczas pierwszego procesu powiedział, że rankiem w dniu dokonania przestępstwa David M. oddalił się na jakieś dwadzieścia minut, a nie trwało to nawet dziesięć minut. Przewodniczący rozprawie Antonio Lamer przerywa mu twierdzeniem, że nadal nie mówi całej prawdy. Chce wiedzieć, dlaczego wtedy kłamał? Policjanci wywierali na niego presję, odpowiada Ron W. Siedział wówczas w więzieniu w związku z inną sprawą i obawiał się, że śledczy wpakują go w to morderstwo, jeśli nie obciąży Davida M. Także Nichol J. nie powtarza w ławie świadków swojej opowieści, że widziała to morder-

2^8

stwo. Po wielodniowej naradzie Supreme Court ogłasza swoją decyzję: skazanie Davida M. budzi wątpliwości, przeprowadzony zostanie nowy proces przed sądem okręgowym.

Na tej podstawie David M. zostaje bezzwłocznie zwolniony. Po 8355 dniach niesłusznie spędzonych w więzieniu wychodzi na wolność i świętuje to w kręgu rodziny w chińskiej restauracji w Winnipeg. Prokurator generalny oświadcza, że nie będzie nowego procesu przeciw M. Od chwili popełnienia przestępstwa upłynęło bowiem zbyt wiele czasu. M. otrzyma jednak odszkodowanie za lata spędzone niesłusznie w więzieniu.

David M. objeżdża Kanadę z dobrze opłacanymi odczytami na temat swoich więziennych doświadczeń. Nocami nadal miewa senne koszmary. Sięga po alkohol i wchodzi w konflikt z prawem. Kiedy jednak znowu zaczyna regularnie przyjmować leki uspokajające, które otrzymywał w więzieniu, jego stan się poprawia. Staje się członkiem-założycielem Stowarzyszenia Obrony Niewinnie Skazanych.

W tym czasie przeprowadzono też badania DNA materiału biologicznego znalezionego w 1969 roku na ubraniu zamordowanej Gail M. Porównano go z próbkami pobranymi od Davida M., Rona W i Larry'ego F. i stwierdzono zgodność z genami Larry'ego F. Tydzień później zostaje on zatrzymany w Calgary i aresztowany. Dwaj prokuratorzy z Saskatchewan zwołują z tej okazji konferencję prasową. Przepraszają publicznie Davida M. i jego rodzinę za doznaną niesprawiedliwość. Nie przyznają się jednak do żadnych błędów.

W 1999 roku Lany F. zostaje skazany za zamordowanie Gail M. na karę dożywotniego więzienia. W kwietniu 2003 roku składa w Saskatchewan Court of Appeal wniosek o nowe postępowanie, który zostaje jednak oddalony 30 września 2003 roku. Dlatego jego adwokaci wnoszą sprawę do sądu najwyższego - Supreme Court of Canada. Także on jednak oddał 26 sierpnia 2004 roku apelację Larry'ego F. Pod względem prawnym oznacza to ostatecznie, że David M. został całkowicie zrehabilitowany. Napisano o nim kilka książek, o jego losie nakręcono nawet film. Za dwadzieścia trzy lata, jakie niesłusznie spędził za

24Q

murami więzienia, otrzymuje najwyższe odszkodowanie, jakie wypłacono dotąd w Kanadzie ofierze pomyłki sądowej - dziesięć milionów dolarów.

Jest to piąty na przestrzeni kilku lat wypadek, kiedy sprawców skazanych w Kanadzie za morderstwo, którzy całe lata spędzili niewinnie w więzieniu, zrehabilitowano na podstawie analiz DNA. Ta gorzka konkluzja skłoniła Sąd Najwyższy Kanady do podjęcia w lutym 2001 roku decyzji, że obwinieni o poważne przestępstwa nie będą wydawani do krajów, gdzie grozi im kara śmierci. Fakty ujawnione w związku z licznymi błędnymi wyrokami w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych stanowią „tragiczną oznakę omyłności systemu prawnego”.

Zemsta wuja. Sprawa Wolfganga J.

(Niemcy, 1985-1988)

W lipcu 1985 roku znaleziono zamordowaną szesnastoletnią Ankę S., uczennicę z Herdorfu. Było to przestępstwo na tle seksualnym, dziewczyna została zgwałcona. Organy ścigania szukają początkowo po omacku. Potem zgłasza się nagle jakiś człowiek i oświadcza, że sprawcą jest czterdziestoletni pomocnik rzeźnicki Wolfgang J. Informator jest wujem partnerki życiowej Wolfganga], który obwinił go jakiś czas wcześniej o wieloletnie molestowanie seksualne jego partnerki. Złożył też w związku z tym doniesienie na policji. Dla prowadzących śledztwo jest to wystarczający powód, by pójść tym tropem.

Kiedy Wolfgang J. jedzie właśnie ze swoją partnerką do urzędu stanu cywilnego, by zawrzeć z nią ślub, zostaje zatrzymany przez policjantów z wymierzoną w niego bronią. Zostają mu przedstawione zarzuty zgwałcenia i zamordowania uczennicy Ankę S. Policja ma zeznania kilku naocznych świadków, którzy rozpoznali w nim sprawcę. Wszyscy należą do rodziny jego partnerki. Wolfgang J. jest przerażony, rozpaczliwie zaprzecza, jakoby miał cokolwiek wspólnego z przestępstwem. Nikt mu jednak nie wierzy.

250

Przed sądem przysięgłych w Koblencji świadkowie zeznają przeciwko niemu, dlatego Wolfgang J. zostaje skazany na dożywotnie więzienie. Jest to absurdalnie błędny wyrok. obrońca nie daje za wygraną i zleca analizę DNA z próbek zabezpieczonych na ciele ofiary. To pierwsze takie zlecenie w Niemczech, mające wyjaśnić sprawę morderstwa.

Porównanie z materiałem genetycznym skazanego nie wykazuje żadnej zgodności. Oznacza to, że Wolfgang J. nie może być sprawcą. W połowie 1988 roku podczas wznowionego procesu zostaje uniewinniony wskutek dowiedzenia niewinności. Podczas tej nowej rozprawy okazuje się, że chodzi o ukartowany przez wuja akt zemsty. Chciał on odplącić Wolfgango-wi J. za to, że doniósł na niego w sprawie molestowania seksualnego.

Prawdziwy sprawca pozostaje przez osiemnaście lat niewykryty. Dopiero w 2003 roku policja trafia na jego ślad dzięki nowemu badaniu DNA karanego wcześniej Georga Dirka S. Podczas prowadzonego przeciw niemu śledztwa przyznaje się on psycholog więziennej do zamordowania Ankę S.

Bez współnika. Sprawa Josepha B.

(Stany Zjednoczone, Illinois, 1988-1994)

Gayle R, kokainistka i dealerka narkotykowa, 6 listopada 1988 roku próbuje przekonać osiemdziesięcioośmioletniego farmera, by jej pożyczył trzy tysiące dolarów na narkotyki. Gdy ten się wzbrania, strzela trzykrotnie z karabinu w sufit. Starzec chwyta wiszący na ścianie karabin i uderza ją w głowę. Gayle P. strzela mu najpierw w ramię, potem oddaje śmiertelny strzał w głowę.

Sześć godzin później kobieta próbuje zrealizować czek farmera na cztery tysiące pięćdziesiąt dolarów i niedługo potem zostaje zatrzymana. Przyznaje, że uczestniczyła w przestępstwie wraz z Josephem B. i Ralphem F., ponieważ jednak żywi urazę do Josepha B., twierdzi, że to on oddał strzały.

Chociaż broń należy do niej, policja wierzy w jej relację, gdyż Ralph F. potwierdza jej słowa. Jego współczynnik inteligencji wynosi tylko 76, a prowadzący śledztwo wywierają nań nacisk, by złożył takie zeznanie.

25/

Gayle R zostaje skazana na trzydzieści lat więzienia, Ralph F. na dwadzieścia trzy lata. Podczas pierwszego procesu przeciw Josephowi B. przysięgli nie osiągają jednomyślności. Podczas drugiego trzydziestopięcioletni Joseph B. 1 sierpnia zostaje skazany na karę śmierci. Podczas postępowania odwoławczego Illinois Supreme Court zatwierdza wydany wyrok.

Niedługo potem Ralph F. wyjawia reporterowi prasowemu, że mówił nieprawdę. Także Gayle R przyznaje, że fałszywie obwiniła Josepha B. Teraz okazuje się też, że znalezione na miejscu zdarzenia ślady krwi pochodzą od Gayle R W wyniku nowego procesu Joseph B. 8 września 1994 roku zostaje zwolniony.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pomyłki i kłamstwa biegłych sądowych

Błędne wyroki zapadają też czasem dlatego, że biegli sądowi przedstawiają fałszywe ekspertyzy. Jest to szczególnie irytujący i nieprzyjemny rozdział w historii pomyłek wymiaru sprawiedliwości. Sędziowie nie dysponują z reguły konieczną wiedzą fachową, by móc ferować wyroki w tak różnorodnych dziedzinach, jak medycyna, nauki przyrodnicze, techniczne czy jeszcze inne, mogących mieć znaczenie dla wyniku procesów karnych. „Biegli - jak to kiedyś zdefiniował w pewnym wyroku sąd federalny - to osoby, których zadaniem jest wspomaganie dzięki ich wiedzy fachowej sędziego w ocenie kwestii dotyczących materiału dowodowego”. Sędziowie muszą więc zdać się na to, co powiedzą eksperci.

A ci mylą się niestety dość często, a nawet kłamią. Wielu biegłych trzyma się uparcie z góry powziętego przekonania. Błędem byłoby sądzić, że naukowcy kierują się zawsze chłodnym obiektywizmem. Wręcz przeciwnie. Wielu z nich jest „zaślepionych namiętnością jak dzieci”, jak to trafnie ujął francuski kryminalistyk Locard. Niektórzy uczeni wydają się „bardziej nierozumni niż jakiś ciemny rolnik”. Tym bardziej zdumiewa, że większość sędziów niezachwianie wierzy w wiedzę fachową i nieomylność biegłych sądowych.

W niemieckiej historii prawa znamy dwa szczególnie przerażające przykłady niewiarygodnych błędów rzeczoznawców w procesach o morderstwo. Pierwszy przypadek to prowadzony przeciw Hansowi Hetzelowi tzw. proces cielęcego postronka, który w latach 1953-1960 wzburzył umysły mieszkańców Republiki Federalnej Niemiec. Hetzel został obwiniony o zamordowanie autostopowiczki podczas namiętnego aktu seksualnego. Opinie

z dziedziny medycyny sądowej, na podstawie których został skazany na dożywotnie więzienie, okazały się zupełnie błędne. Podczas nowego procesu Hetzela uniewinniono na podstawie nowych ekspertyz po szesnastu latach spędzonych niewinnie w więzieniu.

Drugi przykład to proces karny przeciw Marii Rohrbach z Munster (1957-1964). Także tutaj straszliwe błędy biegłych doprowadziły do orzeczenia wyroku dożywotniego więzienia. I w tej sprawie uniewinnienie nastąpiło dopiero w wyniku wznowienia procesu.

Jest wystarczająco źle, kiedy tak zwani eksperci nie dokładają koniecznych starań podczas przygotowywania orzeczeń. Znacznie gorzej jednak, gdy działają rozmyślnie w złej wierze. Znamy i takie wypadki. Objasnią to dwa przykłady ze Stanów Zjednoczonych.

Policja stanowa Wirginii Zachodniej korzysta zawsze z usług tego samego biegłego medycyny sądowej, bo jego zeznania przed sądem prowadzą najczęściej do skazania oskarżonych. Nazywa się on Fred Z. i wydaje się tak dobrym specjalistą, że wierzą mu zawsze nie tylko prokuratorzy i obrońcy, ale przede wszystkim również przysięgli. Wyniki badań Freda Z. przesądzają o winie, także gdy pozostałe dowody przemawiają przeciw temu albo wręcz nie ma ich wcale. Kiedy prokuratorzy chcą doprowadzić do skazania w jakiejś trudnej sprawie, zwracają się do niego o ekspertyzę. Jest on gwiazdą wśród biegłych medycyny sądowej. „Gdy oskarżony jest winny, istnieje prawdopodobieństwo, że na taki czy inny dowód trafi się metodami laboratoryjnymi” - oto jego teza. Zakłada ona winę oskarżonego, wyniki laboratoryjne można odpowiednio dopasować. Ponieważ Z. zajmuje w Teksasie czołową pozycję wśród ekspertów medycyny sądowej, dopuszcza się nawet krzywoprzysięstwa w procesach o morderstwo, fabrykuje materiał dowodowy i manipuluje nim. Kłamie dla swoich pracodawców. W końcu staje za to przed sądem. Zostaje jednak uniewinniony, bo nie można mu z konieczną pewnością dowieść rozmyślnego działania.

Latem 2001 roku w stanie Oklahoma zostaje wszczęte dochodzenie przeciw specjalistce w dziedzinie medycyny sądowej Joyce G., ponieważ

w kilku przypadkach fałszywie zidentyfikowała ona włosy i włókna, obciążając tym oskarżonych. Jej pomyłki przybierają ostatecznie takie rozmiary, że sprawdzono wszystkie 1700 spraw, w których współpracowała jako biegła. Są też wśród nich 23 orzeczenia kary śmierci, w których 11 skazanych już stracono. Dochodzenie doprowadziło do zwolnienia pani G.

Pomyłki biegłych sądowych mogą odgrywać fatalną rolę nie tylko podczas procesu karnego, ale także w trakcie odbywania kary - podobne skandale wzbudzają rosnący gniew i niezadowolenie opinii publicznej. Mnożą się fałszywe orzeczenia psychiatryczne.

W październiku 1998 roku dwóch lekarzy wydaje orzeczenie o korzystnym rokowaniu dla Raymonda Sch., czterdziestoletniego sprawcy przestępstw seksualnych, który jeszcze w czasach NRD napadał na starsze kobiety i gwałcił je. Pozwala mu to wyjść na przepustkę. Ale mężczyzna nie wraca, tylko znika i w okresie od grudnia 1998 do czerwca 1999 znowu napada na starsze kobiety. Zabija dwie, dziewięćdziesięcio- i dziewięćdzieści-jednoletnią. Wiosną 2000 roku za podwójne morderstwo zostaje skazany na dożywotnie więzienie. Sąd podkreśla szczególny ciężar winy i nakazuje przymusową izolację. Człowiek ten nigdy już nie wyjdzie na wolność, na czym sprawa się kończy.

Nie kończy się jednak dla obu psychiatrów. Przed sądem rejonowym w Poczdamie zostają oskarżeni o współwinę w śmierci obu kobiet. Prokuratura domaga się po roku więzienia i zasądzenia grzywny. W 2002 roku sąd rejonowy jednak uniewinnia lekarzy od zarzutu nieumyślnego zabójstwa. Ale na podstawie wniesionej rewizji piąty senat do spraw karnych sądu federalnego w Lipsku uchyla ten wyrok w listopadzie 2003 roku. Sąd rejonowy w Poczdamie musi teraz ponownie rozstrzygnąć sprawę, przy czym uwzględniając zasadnicze rozważania sądu rewizyjnego, należy wnosić, że psychiatrzy zostaną jednak skazani. Tego rodzaju potwierdzenie związku przyczynowego między mylną ekspertyzą a popełnieniem przestępstwa oraz stwierdzenie niezgodnego z obowiązkami postępowania prowadziłyby też do roszczeń cywilnych o odszkodowanie. Sytuacja prawna popełniającego pomyłkę biegłego sądowego stanie się więc trudniejsza.

Można się spodziewać, że to nowe orzeczenie nie tylko doprowadzi do poprawy sytuacji, a biegli będą w przyszłości pracować z większą starannością i skrupulatnością. Zasadniczej zmianie musi ulec zwłaszcza obecny stan rzeczy, kiedy to każdy tak zwany biegły, mający czasem za sobą tylko kilka semestrów medycyny sądowej, może występować przed sądem w procesach karnych. Rzecznicy zeznający przed sądem, do tego w procesach o morderstwo, muszą mieć szczególne kwalifikacje. A gdy się okaże, że ich ekspertyzy były błędne, nie powinno się więcej korzystać z ich usług.

Przedstawione dalej siedem przykładów spraw, które zdarzyły się na przestrzeni ostatnich stuleci we Francji, Włoszech, Niemczech, Australii i Stanach Zjednoczonych, pokazują, że zawsze i wszędzie występuje podobny problem: błędy popełnione przez biegłych sądowych podczas procesów o morderstwo są często przyczyną wydania błędnego wyroku.

Sprawa madame Druaux
(Francja, 1877)

Straszna i zawstydzająca jest pewna historia z Francji, która wydarzyła się już w dziewiętnastym wieku. W 1877 roku w niewielkiej wiosce koło Rouen mieszka małżeństwo Druaux wraz z bratem żony. Para nie jest szczęśliwa, bo kobieta jest pijaczką i zadaje się z innymi mężczyznami. Mąż przyłapuje ją na wiarołomstwie i wyrzuca z domu. Madame Druaux jest bardzo rozsierdzona. Jej mąż nie doczeka starości, oznajmia we wsi. Nikt nie jest niezastąpiony. Ponieważ jednak nie może znaleźć sobie lokum; powraca skruszona do męża, który ją znowu przyjmuje.

Trzy dni później sąsiedzi znajdują męża martwego w łóżku, a szwagra, też martwego, w kuchni. Madame Druaux błąka się po domu kompletnie pijana, więc podejrzenie o morderstwo pada natychmiast na nią. Zostaje aresztowana. Na zwłokach brak jest zewnętrznych obrażeń, a podczas autopsji nie wykryto żadnej trucizny. Jednak trzech

biegłych, w tym profesor

chemii, dochodzi zgodnie do wniosku, że przyczyną śmierci mężczyzn jest kantarydyna, substancja występująca w musze hiszpańskiej, już minimalna ilość tej trucizny wystarcza, by zabić człowieka, oświadczają. Nawet nie wykonują badania krwi. Dla nich bowiem sprawa jest jasna: zdrowy jak rydz monsieur Druaux cierpiał ostatnio coraz bardziej na bóle i zawroty głowy, a czternaście dni przed śmiercią z niezrozumiałych przyczyn doznał omdlenia. Objawy te są tak jednoznaczne, konkludują, że nie ma wątpliwości co do zatrucia kantarydyną.

Madame Druaux nie przyznaje się do winy. Pogodziła się z mężem, wypili przy tym sporo alkoholu, zeznaje. Potem zasnęła. Rankiem obaj mężczyźni byli martwi, jak zauważyła z przerażeniem. Nie potrafi powiedzieć, jak do tego doszło i z jakiej przyczyny. Eksperci jednak jej nie wierzą. Mężczyźni musieli cierpieć potworne bóle, oświadczają. Jest „absolutnie niemożliwe”, by madame Druaux tego nie zauważyła. Zostaje oskarżona o podwójne morderstwo i skazana na dożywotnie przymusowe roboty, ponieważ przysięgli dają wiarę wywodom biegłych.

Do domu rodziny Druaux wprowadza się jakaś kobieta. Nagle także umiera. Podobny los spotyka małżeństwo, które zamieszkało tam niedługo potem. Teraz w domu przeprowadzono dokładne badania. Okazuje się, że piec jest nieszczelny. Wszystkie przypadki śmierci należy przypisać zaccadzeniu trującym tlenkiem węgla. Z trucizną otrzymywaną z muchy hiszpańskiej nie mają absolutnie nic wspólnego.

Po ośmiu latach więzienia i przymusowych robót madame Druaux zostaje uniewinniona we wznowionym procesie. W toku pierwszego postępowania biegli oświadczyli niefrasobliwie, że zabójczo działa już kilka dziesiątych miligrama kantarydyny. W każdym podręczniku mogliby sprawdzić, że tak nie jest. Dopiero 1-2 gramy, a więc tysiąc razy więcej niż przyjęta przez nich ilość, doprowadza do śmierci. Proste badanie krwi zwłok pozwoliłoby natychmiast rozpoznać prawdziwą przyczynę zgonu. Sędziowie ślepo wierzyli zgodnym, a nad wyraz niedbałym zeznaniom biegłych sądowych, nie mieli żadnych wątpliwości i skrupułów. Nie sposób wyjaśnić tego tylko tym, że najwyraźniej byli kompletnymi laikami w kwestiach medycznych

i toksykologicznych. Do wydania tak niewybaczalnie błędnego wyroku skłoniła ich także presja opinii publicznej, która żądała głowy niecieszącej się dobrą opinią madame Druaux.

Bezsensowne alibi Harry'ego L. Hoffmana

(Stany Zjednoczone, Nowy Jork, 25 marca 1924-1929)

Przy krawężnikach Staten Island w Nowym Jorku topnieją resztki śniegu. W powietrzu czuć już wiosnę. Dla trzydziestopięcioletniej Maude Bauer ze Staten Island dzień rozpoczyna się wesoło i pogodnie. Wiatr rozwiewa jej piękne, brązowe włosy, kiedy otwiera ona drzwi samochodu. Auto należy do jej matki, Catharine Pero. Wraz z nią i trzyletnią córeczką Helen kobieta jedzie do mieszkającej w odległości kilku mil siostry. Maude Bauer jest w wyśmienitym nastroju i pogwizduje za kierownicą, zadowolona z siebie. W porę zauważa nadjeżdżającą z przeciwnej strony Merrill Avenue jasną ciężarówkę. Skręca ostro w prawo na pobocze, by ją wyminąć. Kiedy prawe przednie koło dotyka złodzonego pasa trawy, samochód wpada w poślizg. Maude udaje się jeszcze zapanować nad kierownicą i zatrzymać wóz na przyległym do ulicy polu. Auto jednak utknęło w śnieżnej brei. Kobieta daremnie próbuje wyjechać, koła buksują. Pobiegnie do najbliższego domu i zadzwoni po pogotowie holownicze, mówi do matki, która zostaje z Helen w samochodzie. Na nieodległym skrzyżowaniu z South Avenue zatrzymuje się ford, model T. Kierowca proponuje Maude, że podwiezie ją do najbliższego warsztatu. Ta kiwa jeszcze głową matce. Catherine Pero czeka prawie godzinę, ale córka nie wraca. Policjant na motorze zatrzymuje się, pytając, czy może w czymś pomóc. Kiedy pani Pero opowiada, dlaczego tu jest, funkcjonariusz marszczy czoło. Jakaś milę stąd, wyjaśnia, na odludnej bocznej drodze znaleziono właśnie zabita młodą kobietę. Ma nadzieję, że to nie jej córka. Ale to jednak ona. Maude Bauer została podczas próby zgwałcenia jej zastrzelona dwoma strzałami

w szyję i pierś. Kule pochodzą z rewolweru kaliber 25. Ubranie Maude jest porwane, a ciało podrapane. Musiała się energicznie bronić.

Nazajutrz jej zdjęcie publikują wszystkie nowojorskie gazety. To brutalne przestępstwo trafia na nagłówki prasy, ludzie są przerażeni i oburzeni. Zebrano w sumie osiem i pół tysiąca dolarów jako nagrodę dla wzmożenia poszukiwań. Są jednak pewne punkty zaczepienia. Pani Pero jest pewna, że był to ford model T. Kierowca miał na sobie brązowy płaszcz i kapelusz. Także trzynastoletnia Barbara Fahs, która szła właśnie na zakupy, widziała tego człowieka, kiedy zatrzymał się na skrzyżowaniu. Potwierdza, że ubrany był w brązowy płaszcz i kapelusz. Miał ciemną karnację, gęste brązowe włosy i rogowe okulary. Policja podaje do publicznej wiadomości rysopis domniemanego mordercy. Rozpoczyna się polowanie na podejrzanego.

W Nowym Jorku jest wielu śniadych mężczyzn, będących właścicielami forda T. Wielu nosi też brązowe płaszcze. Ale nie mają forda. A ci w rogowych okularach nie zawsze noszą brązowy płaszcz i kapelusz. Albo nie mają rewolweru kaliber 25. Jednak wszystkie te cechy posiada trzydziestodwu-letni korpulentny Harry L. Hoffman. Jest Żydem, żonatym, ojcem dwojga dzieci, żyje w pełnym harmonii, szczęśliwym stadle. W kinie obsługuje projektor, a w kościelnej orkiestrze gra na puzonie. Gdy przeczytał w gazecie rysopis mordercy, ogarnia go przerażenie. Pasuje do niego jak ulał. Do tego ma broń opisanego typu. Kupił ją kilka miesięcy temu w sklepie sportowym wraz z pasem na naboje. Hoffman uznaje, że najlepiej będzie czym prędzej pozbyć się rewolweru. Wysła go swemu bratu Albertowi, mieszkającemu na Bronksie. Na załączonej karteczce pisze: „Weź go i przechowaj. Jak usłyszysz, że mam kłopoty, przekaz go memu adwokatowi”.

Harry Hoffman rzeczywiście obawia się, że wpadnie w tarapaty. Zauważą mnie ludzie na ulicy, myśli, i rozpoznają we mnie mordercę. Zlinczują mnie! Przypomina sobie Leo Franka, Żyda śniadego jak on. Jakiś czas temu zlinczowano go w Georgii. Dziesięć lat później inny człowiek przyznał się do przestępstwa. Harry Hoffman wciąż rozmyśla o tej sprawie, ogarnia go paniczny lęk. Rysopis mordercy Maude Bauer pasuje do mnie, zadręcza

25Q

się myślami. Mam brązowy płaszcz, kapelusz i rogowe okulary. I jeżdżę fordem model T, i mam rewolwer kalibru 25. Nad wyraz nieszczęśliwe zbiegi okoliczności. Ale jest jeszcze coś gorszego: nie mam alibi na czas popełnienia zbrodni! Muszę je sobie jak najszybciej sfabrykować!

Kilka dni po upublicznieniu rysopisu domniemanego mordercy Harry Hoffman odwiedza swego przyjaciela Raceya Parkera w kinie Liberty. On także obsługuje tam projektor. Hoffman opowiada mu, co robił w dniu, kiedy doszło do zamordowania Maude Bauer. Rano pojechał na Manhattan odwiedzić swego agenta filmowego. Zaraz potem zjadł coś w chińskiej restauracji przy Sixth Avenue. Podczas powrotu promem z południowego krańca Staten Island na Manhattan nie spotkał nikogo znajomego. Potrzebuje jednak pilnie alibi, bo policja przesłuchuje tu w okolicy każdego, kto jeździ fordem. Czy Parker nie mógłby w związku z tym potwierdzić, że feralnego dnia od piętnastej trzydzieści do siedemnastej był u niego na pogawędce? Są przecież starymi przyjaciółmi. Czy nie wyświadczyłby mu tej małej przysługi? Parker to obiecuje. Bo nie może sobie wyobrazić, by jego kumpel, flegmatyk Harry Hoffman, miał coś wspólnego z tym morderstwem.

Po niedługim czasie Harry Hoffman rzeczywiście znalazł się w kręgu podejrzeń policji. Miesiąc po tej zbrodni obwiniają go o zamordowanie Maude Bauer. Śledztwo przejmuje detektyw Van Wagner. Przez trzy dni prawie bezustannie przesłuchuje Hoffmana w nadziei, że przyzna się do winy. Ale ten nie ma do czego się przyznawać i utrzymuje, że jest niewinny. Nigdy w życiu nie był na polnej drodze przy South Avenue, zupełnie nie zna miejsca przestępstwa. Jego kolega z kina oświadcza jednak, że na kilka dni przed morderstwem Hoffman zapytał go, czy nie zna jakiegoś odludnego zakątka, gdzie mógłby się zabawić z dziewczyną. Wtedy wymienił „kącik miłości” na łące przy South Avenue.

Kiedy detektyw Van Wagner sprawdza alibi Hoffmana, okazuje się, że agent filmowy nie przypomina sobie jego porannej wizyty z 25 marca 1924 roku. Także w chińskiej restauracji nikt nie może potwierdzić, że Hoffman był tam w czasie popełnienia przestępstwa. Jego przyjaciel Parker

200

potwierdza wprawdzie początkowo, że Hoffman odwiedził go po południu w chwili, kiedy dokonano morderstwa, ale detektyw Van Wagner draży dalej. Przypomina, że jak wykazało dochodzenie, Hoffman nie tylko ma fordą model T, ale też ma rewolwer kalibru 25, który po przestępstwie przesłał bratu. Teraz Parkera nachodzą wątpliwości. Traci pewność siebie i w końcu przyznaje, że Hoffman prosił go, by pomógł mu tym zeznaniem. Hoffmana nie było u niego w tym czasie. Dla detektywa Van Wagnera staje się teraz jasne, że Hoffman usiłował spreparować sobie alibi. Gdyby ograniczył się do powiedzenia, że nie ma żadnego, jego sytuacja byłaby problematyczna, ale żadną miarą nie zgubna. Teraz jednak staje się dla Van Wagnera pewne, że to Harry Hoffman jest sprawcą.

Dwudziestego piątego kwietnia 1925 roku zostaje on oskarżony, a niedługo potem przed richmondskim sądem przysięgłych w St. George rozpoczyna się proces przeciw niemu. Rozprawie przewodniczy sędzia Harry Tiernan. Znany biegły w dziedzinie broni palnej Butts dochodzi w swojej ekspertyzie do wniosku, że śmiertelne strzały do Maude Bauer zostały oddane z rewolweru Hoffmana. Znalezione jednak tylko jedną z dwóch kul. Butts oświadcza, że wystrzelił z rewolweru Hoffmana pięćdziesiąt razy. Cechy charakterystyczne tych kul są całkowicie zgodne z tymi, jakie zauważono na kuli wydobytej z piersi młodej kobiety.

Teraz praktycznie wszystko przemawia przeciw Harry'emu Hoffmanowi. Krzesło elektryczne wydaje się pewne. Brak jeszcze tylko ostatniego ogniwa w łańcuchu dowodowym. Dostarcza go jednak policjant McCormack. Zeznaje on, że owego popołudnia o godzinie 16.25 odbywał patrol jakąś milę od miejsca morderstwa. Zbliżył się do niego wtedy ford jadący z prędkością ledwie 30 km/h, tak że dobrze widział kierowcę. Był to oskarżony, jest tego całkiem pewien.

Teraz Hoffman jest już przegrany. Rzadko zdarzały się procesy o morderstwo, w których tak wiele przemawiałoby przeciw oskarżonemu, który nie był jednak sprawcą. W tym momencie nikt nie wierzy w jego niewinność. Może jednak sąd przysięgłych na Staten Island miał lekkie wątpliwości. Skazuje bowiem Hoffmana tylko za zabójstwo na dwadzieścia lat

ciężkiego więzienia, ratując tym samym przed krzesłem elektrycznym. Harry Hoffman zostaje umieszczony jako skazany nr 75 990 w osławionym nowojorskim ciężkim więzieniu Sing Sing. Jego obrońca składa odwołanie od wyroku, podobnie prokuratura. Koledzy Hoffmana ze związku zawodowego operatorów projektorów kinowych zbierają tyle pieniędzy, że można wynająć nowego, bardzo doświadczonego obrońcę w sprawach karnych Leonharda Snitkina. Natychmiast odkrywa on błąd formalny, który prowadzi do wznowienia procesu. Oskarżenie bowiem zakładało, że Hoffman zabił swoją ofiarę podczas próby gwałtu „nieumyślnie”. Wyrok mówi jednak o zamiarze zabójstwa, dlatego jest sprzeczny z aktem oskarżenia.

Upływa dwa i pół roku, zanim Supreme Court Nowego Jorku rozpatrzy odwołanie. Uchyła on wyrok sądu przysięgłych i nakazuje wznowienie postępowania. Teraz oskarżenie reprezentuje prokurator Albert C. Flach, znany ze szczególnej surowości. Tym razem dotyczy ono morderstwa. Jeśli Hoffman zostanie ponownie skazany, wyrok śmierci jest pewny.

Nowy proces rozpoczyna się w marcu 1928 roku. Ale już na początku musi zostać przerwany, ponieważ mecenas Snitkin doznaje ataku serca podczas przesłuchiwania świadka oskarżenia. Po powrocie do zdrowia domaga się on przekazania sprawy innemu sądowi, ponieważ oskarżony nie może oczekiwać uczciwego procesu przed sądem na Staten Island.

Niedługo potem odbywa się trzecia rozprawa główna przed sądem przysięgłych na Brooklynie. Trwa trzy tygodnie i kończy się patem po dwuna-stogodzinnych obradach dwunastu przysięgłych. Nie mogą oni osiągnąć jednomyślności. Obrońca Snitkin składa natychmiast wnioski o przeprowadzenie czwartego procesu. Niedługo potem jednak umiera. Hoffman jest zrozpaczony. Żona się z nim rozwiodła, dzieci mieszkają w sierocińcu. Pieniądze na obronę, dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, już się wyczerpały. Hoffman nie ma już ani centa na nowego adwokata. Bliski jest utraty zmysłów. Podczas coraz częstszych ataków hysterii wykrzykuje, że jest niewinny, i miota się dziko. Jakiś współwięzień radzi mu: „Weź sobie Leibowit-za!”. To najlepszy w Ameryce obrońca w sprawach karnych.

Hoffman zbiera się na odwagę i pisze do niego kartę pocztową: „Bardzo szanowny Panie Leibowitz, te słowa to ostatni krzyk rozpacz. Nie znam Pana osobiście, i naturalnie Pan mnie też nie zna. Oskarżono mnie o morderstwo i choć jestem niewinny, skazano na dwadzieścia lat więzienia w Sing Sing. Przez pięć lat walczyłem o swoją wolność. Przyjaciele uzbierali na moją obronę pewną sumę, która już się wyczerpała. Czy pomoże mi Pan? Harry L. Hoffman”.

Samuel Leibowitz nie potrafi później powiedzieć, co go skłoniło do tego, by odwiedzić w więzieniu kompletnie wyczerpanego Harry'ego Hoffmana. Wie, że skłonność do kłamstw to niemalże choroba zawodowa przestępców. Początkowo wcale nie wierzy w jego niewinność. Przecież tylko osoba winna może posunąć się do tego, by odsunąć od siebie podejrzenia dzięki fałszywemu alibi. Po wysłuchaniu w spokoju relacji więźnia Leibowitz nadal nie wierzy jeszcze w jego niewinność. Dopiero kiedy przestudiuje trzy tysiące sześćset stron akt, decyduje się podjąć tę sprawę. W zeznaniach świadków oskarżenia zdołał odkryć tylko kilka wątpliwych punktów. Nachodzą go jednak coraz większe wątpliwości co do winy Hoffmana. Jest w tym człowieku coś, co go różni od nędznych złoczyńców, z jakimi miał dotąd do czynienia. Odbywa z nim jeszcze jedną rozmowę. Wykorzystuje przy tym każdy fortel, jakiego nauczył się w swojej długiej praktyce zawodowej podczas przesłuchiwania świadków w sądzie. Daje Hoffmanowi do zrozumienia, że nowy proces może go zaprowadzić na krzesło elektryczne. Szanse na uniewinnienie są niewielkie. Czy nie wolałby odsiedzieć jeszcze piętnastu lat, a potem wyjść z więzienia jako wolny człowiek? „Mój Boże, panie Leibowitz! - odpowiada ponuro Hoffman. - Jak mam tu spędzić za kratkami jeszcze piętnaście lat, to już wolę zaryzykować krzesło elektryczne. Powtarzam panu, jestem niewinny. Chciałbym tym razem opuścić salę sądową jako człowiek wolny albo... tak, albo martwy”. Leibowitz przygląda mu się długo w milczeniu. Imponują mu jego odwaga i zdecydowanie. „Zgoda, zobaczę, czy uda mi się pana wyciągnąć - mówi po chwili. - Sądzę, że jest pan rzeczywiście niewinny”.

Czwarta rozprawa główna rozpoczyna się w Brooklynie 6 maja 1929 roku pod przewodnictwem siwowłosego, doświadczonego sędziego Burta Jaya Humphreya. Leibowitz jak zawsze opracował strategię obronną w najdrobniejszych szczegółach. Już w mowie otwierającej jest bardzo agresywny. Prokurator Flach podczas poprzednich rozpraw rozmyślnie zataił fakty przemawiające za niewinnością Hoffmana, oświadcza śmiało. Wspomina niejakiego Horatio J. Sharreta - widziano go w pobliżu miejsca przestępstwa niedługo po jego dokonaniu, a jego wygląd również odpowiada rysopisowi mężczyzny, który miał podwieźć samochodem Maude Bauer. Zmotoryzowany policjant zatrzymał go i skontrolował jakieś pięćset metrów od „kącika miłości”, nie pytając jednak, czy ma pistolet. Sharret jest bratem dobrze znanego na Staten Island polityka. Samuel Leibowitz zwraca się do przysięgłych z pytaniem, dlaczego Sharret przebywał wówczas niedaleko miejsca przestępstwa. Wzbudza tym samym wątpliwości, czy rzeczywiście tylko Hoffman mógł być sprawcą. A paniczny lęk był przyczyną tego, że Hoffman sfabrykował sobie tak nierozumne alibi. Jednocześnie rozpoczyna się długi i zaciekły pojedynek z prokuratorem Flachem.

Główny świadek oskarżenia Barbara Fahs ma już teraz osiemnaście lat. Nie jest już taka pewna swego jak pięć lat temu, gdy składała pierwsze zeznanie. Leibowitz przesłuchuje ją przyjaznym, prawie ojcowskim tonem. Przypomina, że podczas pierwszej konfrontacji z Hoffmanem mówiła początkowo, że to nie on był kierowcą tamtego samochodu. Zeznanie to powtórzyła nawet jeszcze raz. Owszem, zgadza się, przyznaje Barbara. Czemu więc później „rozpoznała” Hoffmana, chce wiedzieć Leibowitz. Przymusili ją do tego Van Wagner, który został w tym czasie inspektorem, i inni detektywi. Przez widownię przebiega szmer. Leibowitz nie ma dalszych pytań. Policjanta McCormacka przesłuchuje ostrym tonem. Nie potrafi zrozumieć, czemu ten czekał aż do 25 kwietnia z zeznaniem, że widział Hoffmana w pobliżu miejsca zbrodni, wytyka mu. Cały miesiąc po przestępstwie i dopiero po wyznaczeniu ośmiu tysięcy dolarów nagrody za ujęcie

mordercy. Czy prokurator rozkazał mu na posterunku, by rozpoznał Hoffmana. „Nie - odpowiada McCormack - poszedłem tam z własnej woli”. Ale podczas drugiego procesu zeznał, że kazał mu przyjść prokurator Flach. Napisano to w aktach na stronie 750. Czy nie przypomina sobie tego? Nie, pojawił się z własnej inicjatywy, zaprzecza dalej McCormack. Teraz wtrąca się prokurator Flach, oświadczając, że świadek powiedział prawdę podczas wcześniejszego procesu, a teraz kłamie. Kiedy policjant schodzi z ławy świadków, jego wiarygodność jest już całkowicie podważona.

Gdy tylko wymienione zostaje nazwisko Horatio Sharret, przysięgli nastawiają uszu. Obrona zrećnie przeniosła ich uwagę z Hoffmana na tego człowieka. Oskarżyciel nie ma już wyboru, musi powołać na świadka także Sharreta. Leibowitz przesłuchuje go w sposób uprzedzająco grzeczny. Jak długo jest zaprzyjaźniony z prokuratorem Flachem, pyta. „Od dwudziestu lat!”. Czy jeździ fordem model T? „Owszem!”. Zadając kolejne pytanie, Leibowitz niemal się kłania. „Czy w chwili popełnienia przestępstwa znajdował się pan w pobliżu miejsca zdarzenia?”. Sharret odpowiada dopiero po chwili. „Tak, zgadza się”. Leibowitz wraca z uśmiechem na miejsce i mówi do Flacha: „Świadek jest do pańskiej dyspozycji!”. obrońca wyraźnie wygrał. Biegły w dziedzinie broni palnej Butt sprawia więcej problemu. Uchodzi on za koryfeusza i występował już jako świadek w setkach procesów karnych. Teraz jednak Leibowitz błyska całym swoim talentem aktorskim i dramatycznym. Śmiertelnych strzałów nie oddano z rewolweru Hoffmana, oświadcza, odsyłając do trzech potwierdzających to orzeczeń z dziedziny balistyki. Ich treść jest bardzo techniczna. Ale przy doborze przysięgłych Leibowitz zadbał o to, by było wśród nich czterech inżynierów. Procentuje to teraz, gdy sala sądowa zmienia się w laboratorium. Leibowitz ustawia przed stołem sędziowskim wielki mikroskop ukazujący dwa powiększenia. Na jednym widać obie łuski znalezione obok ciała Maude Bauer. Na drugim łuska jednego z pięćdziesięciu pocisków wystrzelonych przez biegłego z rewolweru Hoffmana. Leibowitz namawia przysięgłych,

by kolejno podeszli do mikroskopu. To, co widzą, jest jednoznaczne: obie luski mają zupełnie różne rysy. Prokurator Flach bierze trzech ekspertów w krzyżowy ogień pytań, nie udaje mu się jednak skłonić ich do żadnego zawężenia treści zeznań. Na koniec Leibowitz wzywa na ławę świadków swojego klienta. Harry Hoffman relacjonuje spokojnie i rzeczowo, jak wielki strach ogarnął go po znalezieniu zwłok Maude Bauer. Opowiada o panicznym poszukiwaniu świadków, którzy w dniu morderstwa mogli go widzieć na Manhattanie czy na promie. Nie znalazłszy żadnego, zrozpaczony spreparował sobie alibi. To był błąd, przyznaje, ale za to siedzi już niewinnie ponad pięć lat w Sing Sing. Leibowitz pozwala mu mówić, nie przerywając dalszymi pytaniami. Dopiero pod koniec jego zeznania pokazuje mu jego rewolwer i pyta, czy już kiedyś z niego strzelał. „Jeszcze nigdy!” - odpowiada Hoffman. W ogóle nie potrafi strzelać. A już tym bardziej z tej broni. Ma ona dźwignię bezpiecznika dla praworęcznych, a on jest przecież mańkutem. Dlatego schował go do szuflady, nawet nie używając. Teraz Leibowitz rozpościera wykresy, na których uwidoczniono tor śmiertelnej kuli w ciele Maude Bauer. Weszła ona w pierś ofiary 6,5 centymetra na lewo od linii środkowej ciała i wyszła jakieś 5 centymetrów na prawo od kręgosłupa, czyli w sumie ponad 10 centymetrów na prawo od otworu wlotowego. Osoba leworęczna nie mogła oddać tego strzału. To bolesny cios dla prokuratora Flacha. Musi teraz przyjąć do wiadomości, że Hoffman jest leworęczny. Po pełnej pasji, ognistej mowie końcowej obrony oskarżenie legło w gruzach. „Trudno mi sobie wyobrazić - kończy Leibowitz swoje wywody donośnym, pełnym dramatyzmu głosem - by jakakolwiek ława przysięgłych skazała choćby psa na podstawie dowodów, które tu przedstawiono!”. Przekonał przysięgłych, którzy uniewinniają Harry'ego Hoffmana. Prasa cieszy się z wyroku. Sława Sama Leibowitza jeszcze wzrasta. Związek zawodowy operatorów projektorów kinowych załatwia Hoffmanowi posadę i wraca on do normalnego życia. Morderstwo nie zostaje pomszczone. Nigdy nie wszczęto postępowania przeciw Horatio Sharretowi.

Tragedia rolnika Bernarda
(Niemcy, 1929)

Nietrafna ekspertyza biegłego sądowego stała się też przyczyną wydania jednego z najbardziej sensacyjnych błędnych wyroków w dziejach republiki weimarskiej. Tragedia ta wydarzyła się w Prusach Wschodnich w gospodarstwie rolnym niedaleko Lyck, a do historii prawa weszła jako „morderstwo chłopca na dożywocie”. Ów „chłop na dożywocie” to rolnik w podeszłym wieku, który przekazuje gospodarstwo synowi lub zięciowi w zamian za darmowe mieszkanie, utrzymanie i nieco gotówki. Jesienią 1929 roku służąca z niewielkiego gospodarstwa zjawia się podenerwowana u wiejskiego policjanta Gustava Grigoleita i oświadcza, że w izbie znalazła starego gospodarza z poderżniętym gardłem. Wszędzie pełno krwi. Funkcjonariusz spieszy na miejsce i zastaje starego jeszcze przy życiu. Rzezi, ale nie może już jednak odpowiedzieć, czy sam to sobie zrobił, czy jego zięć Bernard. Umiera na miejscu zdarzenia. Wszyscy w okolicy wiedzą, że stosunki starego z zięciem nie były najlepsze. Powiadają, że Bernard „zbyt drogo przejął” ziemię. Do trudności gospodarskich dochodziły spory osobiste. Obaj byli skłócen i procesowali się zaciekle. Stary uchodził za posepnego i nieopanowanego. Podejrzeń spada natychmiast na Bernarda. W chwili zdarzenia był sam na gospodarstwie. Jego żona pojechała do miasta, a wszyscy parobcy pracowali daleko na polach, ponad godzinę drogi od miejsca zdarzenia. Jako potencjalni sprawcy są równie mało prawdopodobni jak służąca. Tak więc organy śledcze mają tylko dwie możliwości: samobójstwo albo zamordowanie przez zięcia. Szybko identyfikują narzędzie zbrodni. Policjant Grigo-leit znajduje w niedomkniętej szufladzie bielizniarki przybory do golenia zmarłego. Na brzytwie jest jeszcze wilgotna krew, wytarto ją tylko z grubszą. Sprawca musiał włożyć ją z powrotem do szuflady. Bernard zostaje zatrzymany, obwiniony o morderstwo i przewieziony do więzienia w Lyck. Nie przyznaje się do winy. W chwili zdarzenia rznął słomę na sieczkę, pompował gnojówkę i karmił bydło.

Lekarz sądowy dokonuje oględzin zwłok i spisuje orzeczenie. Rana cięta znajduje się, z punktu widzenia zabitego, po prawej stronie szyi i jest jednoznacznie dziełem innej osoby, która musiała zająć rolnika od tyłu. Samobójstwo jest całkowicie wykluczone, oświadcza lekarz. Krwawiąca ofiara nie mogła już wytrzeć i złożyć brzytwy, wrzucić jej do szuflady i jeszcze ją zamknąć. Dla prokuratury sprawa jest jasna. Także motyw nie budzi wątpliwości. Bernard miał problemy gospodarskie, a gdyby odpadły mu wydatki na utrzymanie teścia, byłby jeden kłopot mniej.

W maju 1930 roku rozpoczyna się proces przed sądem przysięgłych, któremu przewodniczy dyrektor sądu rejonowego Sperling. Funkcję obrońcy z urzędu pełni młody adwokat Muller. On sam uważa, że Bernard popełnił to morderstwo. A kiedy prokurator Szielinsky twierdzi w mowie końcowej, że rzadkie są morderstwa tak oczywiste i przejrzyste jak to, obrońca wie, że nie zdoła już uratować głowy swego klienta. Bernard zostaje skazany za morderstwo na karę śmierci.

Mecenas Muller składa rewizję. Wraz z nim sprawę przejmuje najwybitniejszy w Prusach Wschodnich obrońca w sprawach karnych David Asch-kanasy. Zauważa on, że sąd popełnił błąd formalny. Zapomniano zaprzy-sięć głównego świadka oskarżenia policjanta Grigoleita. To bezwzględny powód do rewizji. Czwarty senat do spraw karnych Sądu Najwyższego Rzeszy w Lipsku uchyla na tej podstawie wyrok i dochodzi do wznowienia procesu.

Aschkanasy składa wniosek o powołanie trzech nowych biegłych, w tym uniwersyteckiego profesora medycyny sądowej Miillera-HeBa, naukową znakomitość. Następuje ekshumacja zwłok starego rolnika. Kiedy w toku nowej rozprawy głównej odczytane zostaje orzeczenie ekspertów, jest to prawdziwa bomba. Rzecznawca z pierwszego procesu najzwyczajniej się pomylił, twierdzą biegli. Stary rolnik był mańkutem, golił się także lewą ręką. Gdyby miał sam sobie zadać cięcie, musiałby ciąć z prawej strony szyi, z tyłu do przodu. I tak właśnie przebiega rana. Bernard natomiast jest praworęczny. Z prawdopodobieństwem bliskim pewności pociągnąłby cięcie od przodu do tyłu. Nie jest też wcale wykluczone, że

starzec zdołałby jeszcze wyrzeć brzytwę i włożyć z powrotem do szuflady, by upozorować morderstwo.

Orzeczenie to jest tak jasne i przekonujące, że sam prokurator domaga się uniewinnienia. Aschkanasy oświadczą w mowie końcowej: „Jakże łatwo uczynić krok od morderstwa do morderstwa sądowego, nawet gdy nazywa się to delikatnie pomyłką wymiaru sprawiedliwości!”.

Narada przysięgłych trwa ledwie kwadrans, potem sąd ogłasza wyrok: „Uniewinnienie!”. Bernard zostaje zwolniony z celi śmierci i otrzymuje odszkodowanie za czas spędzony niewinnie w areszcie śledczym w wysokości pięciu tysięcy marek niemieckich.

Czwarty strzał. Sprawa dr. Ettore Grandę
(Włochy, 23 listopada 1938-1950)

Ojciec jest tylko poczciwym nauczycielem geografii. Ale Ettore Grandę, jego ponadprzeciętnie inteligentny i ambitny syn, rozwija wyższe talenty i robi karierę. W szkole i później na uniwersytecie otrzymuje najwyższe oceny. Jego dysertacja wzbudza sensację. Spełnia się też jego marzenie: Ettore Grandę jako dwudziestopięcioletek zostaje przyjęty do służby dyplomatycznej. W latach 1927-1938 zajmuje różne stanowiska za granicą. Potem faszystowski rząd Włoch wysyła go na Daleki Wschód jako sekretarza poselstwa - to kolejny, rutynowy etap kariery konsularnej. Jest tylko pewien szkopuł - Ettore Grandę nie jest żonaty. A według ówczesnych włoskich przepisów powinien być. Na eksponowane stanowiska w poselstwach zagranicznych wyznacza się tylko żonatyh mężczyzn. Dyplomaci winni prowadzić życie przejrzyste i ustabilizowane.

Nie ma on najmniejszej ochoty na ożenek. Nie jest też zakochany. Przyjaciele ułatwiają mu spotkanie z córką bardzo bogatego jubilera Viranda z Turynu. W maju 1938 roku, w wieku trzydziestu pięciu lat, Ettore poznaje w jednej z turyńskich kawiarni piękną, wesołą i pełną temperamentu Ninę Yirando i już kilka tygodni później, 31 lipca 1938 roku, poślubia ją.

2ÓQ

Otrzymuje milion lirów posagu. Kontrakt ślubny zawiera jednak klauzulę, że w razie śmierci żony suma ta w pełnym wymiarze ma powrócić do rodziny Virando. Ponadto obejmuje ubezpieczenie na życie na korzyść małżonki na podobną sumę. W związku z przygotowaniami do podróży oboje nie mają prawie czasu, by się bliżej poznać. Już cztery dni po zawarciu małżeństwa para wyjeżdża do Bangkoku, gdzie młody, ambitny dyplomata obejmie nowe stanowisko. Dopiero podczas dwutygodniowej podróży morskiej mają okazję nawiązać trochę intymniejsze relacje. Z lęku przed zajściem w ciążę Nina nie ma wcale przyjemności z seksu. W żadnym razie nie chce mieć dziecka.

Wystawne życie „high society” w Bangkoku początkowo nawet przypada jej do gustu. W luksusowym wynajętym domu tuż nad brzegiem Me-nam wydaje wielkie przyjęcia w ogrodzie i stylowe party i rychło zdobywa sobie sympatię. Otoczona przez chmurę tajskich służących delectuje się pozycją podziwianej przez wszystkich gospodyni. Ale nie jest naprawdę szczęśliwa. Całymi dniami jest sama i nudzi się. Nie mówi po angielsku, nie uprawia żadnego sportu, a jako biała kobieta w Bangkoku nie może nawet samotnie wyjść na ulicę. Nadal nie chce mieć dziecka.

„Już wolę umrzeć, niż urodzić dziecko!” - zwierza się żonie włoskiego konsula.

Jej mąż jednak postrzega to całkiem inaczej. Nina zachodzi w ciążę, zaczyna pić i palić. Na słowa przestrogi ze strony Ettore kobieta odpowiada tylko: „Dzięki temu mniej się nudzę”. Nie zgadza się na jego propozycję, by sprowadzić do Bangkoku jej matkę. A potem nadchodzi pora deszczowa, co jest dla Niny jeszcze większym wstrząsem. Wszędzie panuje duszna wilgoć, na skórze wciąż perli się pot. Kobieta ogarnia depresja. W młodości próbowała już kiedyś popełnić samobójstwo z nieszczęśliwej miłości.

Rankiem 23 listopada 1938 roku poza państwem Grandę nikogo nie ma w domu. Służba mieszka w oddzielnym budynku. O godzinie siódmej rano dr Ettore Grandę już nie śpi. Zbudziło go ciągłe bębnienie deszczu o dach tarasu. Spogląda przez moskitierę na leżącą w łóżku obok, najwyraźniej śpiącą jeszcze żonę. Idzie do łazienki i bierze prysznic. Kiedy strumienie wody uderzają o jego ciało, mężczyzna słyszy jakiś hałas. Pewnie

przyszli służący, myśli. Może coś zrzucili. Po powrocie do sypialni spogląda na żonę. Naciągnęła prześcieradło aż po nagie ramiona i zdaje się jeszcze pogrążona we śnie. Nagle Ettore słyszy gulgoczący odgłos i przeciągły jęk. Odchyła moskitierę i widzi, że usta i broda Niny zalane są krwią. Pospiesznie biegnie z powrotem do łazienki po ręczniki. Wtedy znowu dobiega go huk. Wróciwszy do łóżka żony, próbuje zatamować krew ręcznikami i wytrzeć twarz kobiety. Potem otwiera drzwi na taras i wzywa głośno pomocy. Wysyła służącego po doktora Gottschlicha.

Niemiecki lekarz zjawia się po godzinie i zauważa trzy postrzały, dwa w twarz i jeden w szyję. Dla niego przyczyna śmierci jest jasna - samobójstwo. Znajduje cztery otwory, jego zdaniem powstałe od dwóch kul. Jedna z nich trafiła według jego ustaleń w brodę i wyszła z prawej strony szyi. Druga ugodziła w środek szyi i pozostawiła drugi otwór przy lewym uchu. Doktor Gottschlich pisze w raporcie, że Nina dokonała tego w „przystępie depresji”, na wiadomość, że jest w ciąży. Nie była w pełni świadoma znaczenia czynu.

Syjamska policja przyłącza się do tej opinii. Chce tylko wiedzieć, skąd pani Grandę miała broń, która leży na podłodze między łózkami. Ettore Grandę zeznaje do protokołu, że kupił jej w Brukseli małego browninga kaliber 6,35, dla samoobrony. Kasetka, w której przechowywano go w domu, jest otwarta. Dla policji na tym sprawa się kończy. Jedna kula wbiła się w poduszkę, druga utkwiała między czwartym a piątym kręgiem grzbietowym, a trzecia w ramieniu. „Siam Chronicle” donosi nazajutrz o samobójstwie żony włoskiego dyplomaty. Ettore Grandę każe zabalsamować zwłoki, a przed zamknięciem trumny wciska kobiecie w ręce statuetkę Madonny.

Rodzice i brat Niny przyjeżdżają do Singapuru. Ettore płynie tam statkiem, z trumną na pokładzie. Podczas pięciodniowej podróży stoi ona w wąskim korytarzu obok kabiny Ettore. Fale, zwłaszcza w nocy, są bardzo wysokie. Trumna suwa się po korytarzu tam i z powrotem, często uderzając o ściany. Dyplomacie wydaje się to makabryczne, nie może jednak nic na to poradzić.

Kiedy Ettore wraz z rodziną Virando przyjeżdża do Włoch, matka Niny domaga się sekcji zwłok. Nie chce uwierzyć, że córka była w ciąży. Ani że sama się zabiła. Coraz częściej pisała wprawdzie do domu, że już po czterech miesiącach ma dosyć Orientu, a klimat bardzo daje jej się we znaki. Ale nie były to przecież powody do samobójstwa. Ponadto Nina, jak cała rodzina, została wychowana w wierze katolickiej. Choćby dlatego dobrowolna śmierć była dla niej czymś niedopuszczalnym.

Lekarz sądowy prof. Busatto potwierdza, że Nina była w ciąży. Ponadto podczas autopsji 1 lutego 1939 roku wycina on skórę szyi, naciąga na płytkę i fotografuje. Znajduje niewielki otwór w szyi, który identyfikuje jako czwarty wlot kuli. Ten postrzał w kark byłby śmiertelny, podkreśla w swoim orzeczeniu, nie badając jednak dalej drogi kuli w ciele zmarłej. Nina Grandę nie mogła oddać do siebie tego strzału, leżąc na plecach, twierdzi prof. Busatto. Nikt nie zauważył wcześniej tego otworu, ani niemiecki lekarz, który pierwszy badał zwłoki Niny, ani syjamska policja.

W związku z tym w Wielki Piątek 17 kwietnia 1939 roku dr Ettore Grandę zostaje aresztowany w Turynie i niedługo potem oskarżony o zamordowanie swojej żony w łóżku we śnie czterema strzałami z pistoletu. Proces przeciw niemu rozpoczyna się dopiero w 1941 roku, już w czasie wojny.

Hałas, jaki usłyszał stojąc pod prysznicem, pochodził prawdopodobnie od dwóch pierwszych wystrzałów, zeznaje Ettore Grandę. Potem, jakieś dziesięć minut później, kiedy znów pobiegł do łazienki po ręczniki, usłyszał jeszcze jeden strzał. „Tylko jeden strzał, nie dwa?” - upewnia się sędzia. „Tak, tylko jeden!”. Prokurator kręci głową. W sumie oddano cztery strzały, replikuje. Nic nie świadczy o samobójstwie. Poprzedniego wieczoru podczas przyjęcia w poselstwie Nina Grandę była bardzo wesola, tańczyła, śmiała się, wykonała nawet włoską piosenkę. Krótco po północy państwo Ettore, objęci, wrócili piechotą do domu. Jest mało wiarygodne, by ledwie kilka godzin później kobieta dobrowolnie rozstała się z życiem. Poza tym nie mogła oddać do siebie śmiertelnego strzału. Wtedy bowiem musiałyby przekręcić się w łóżku mimo poważnych ran wywołanych dwoma pierwszymi kulami i strzelić sobie od tyłu w plecy.

Trzej inni biegli uważają, podobnie jak prof. Busatto, że niewielki otwór na karku zabitej może być tylko wynikiem postrzału z rewolweru, tego śmiertelnego. Dr Ettore Grandę twierdzi, że jest niewinny, nikt mu jednak nie wierzy. Przysięgli uważają za niemożliwe, by Nina Grandę sama zastrzeliła się od tyłu, i skazują oskarżonego na dwadzieścia cztery lata ciężkiego więzienia. Przed dożywociem chroni go tylko umieszczona na jego życzenie w kontrakcie małżeńskim klauzula, według której majątek Niny po jej śmierci przypadnie jej rodzinie. Przysięgli nie mogą się więc dopatrzyć motywu przestępstwa. Brak jest jakichkolwiek dowodów na poparcie tezy oskarżenia, że Nina Grandę chciała rozstać się z mężem z powodu poważnych różnic zdań.

Dr Grandę składa odwołanie od tego wyroku. Sąd rewizyjny dochodzi do wniosku, że wina oskarżonego nie została dowiedziona. Teraz proces musi odbyć się od nowa. Postępowanie przeciwko Grandę trwa w sumie około dziesięciu lat. Sąd przysięgłych w Novarze zamawia nową ekspertyzę. Prof. Pellegrini przypisuje otworkowi na karku zupełnie inne pochodzenie. Po raz pierwszy biegły sądowy nie wyklucza możliwości, że nie jest to otwór wlotowy, ale wylotowy. Zdecydowanie obala to teorię prokuratury o czwartym śmiertelnym postrzale.

Dlatego 15 listopada 1946 roku sąd przysięgłych uniewinnia oskarżonego z braku dowodów. Widownia w sali sądowej, przeważnie kobiety, wybucha okrzykami radości. W kierunku dr. Ettore Grandę sypią się kwiaty, jak już wcześniej podczas procesu, kiedy pod silną eskortą karabinierów wchodził po schodach do Pałacu Sprawiedliwości. W pochodzie triumfalnym opuszcza on po uniewinnieniu więzienie wyraźnie naznaczony długim pobytem za kratami. „Będę walczył dalej tak długo, aż moja niewinność zostanie całkowicie i bezspornie dowiedziona” - mówi reporterom. Pragnie uniewinnienia wskutek dowiedzenia niewinności. Dlatego, podobnie jak prokuratura, składa odwołanie od wyroku.

Sąd rewizyjny uchyla także ten wyrok, ponieważ w żadnym razie nie dowiedziono niewinności oskarżonego. Na krótko przed Bożym Narodzeniem 1947 roku dr. Ettore Grandę zostaje ponownie aresztowany. Teściowa

pozostaje nadal jego najbardziej zaciekle wrogiem. Podczas trzeciej rozprawy głównej przed sądem przysięgłych w Bolonii, która rozpoczyna się w lipcu 1948 roku, występuje ona jako oskarżyciel posiłkowy w towarzystwie czterech adwokatów. Oskarżony znów zostaje doprowadzony na rozprawę w kajdankach. Całkiem dobrze jeszcze zachowane zwłoki Niny zostają ekshumowane po raz kolejny i ponownie poddane obdukcji. Najślynniejsi włoscy eksperci medycyny sądowej badają przede wszystkim niewielki otwór na karku i dochodzą zgodnie do wniosku, że jest to otwór wlotowy kuli rewolwerowej.

Dopiero czwarty biegły, prof. Ferrero, zauważa, że nie jest to otwór wlotowy, ale rana spowodowana od wewnątrz małym odpryskiem kości. To zupełnie nowa wersja w tym wieloletnim sporze ekspertów medycyny sądowej. Ponadto odkryto kolejną ranę z prawej strony szczęki górnej. Kość jest złamana i przebita kulą. A na podstawie przebiegu kanału wlotowego między piątym a szóstym kręgiem stwierdzono, że strzał, który zgruchotał czwarty krąg, oddano od góry z lewej strony. Teraz strzał ten uznany zostaje za śmiertelny.

Obrona stawia dalsze pytania i domaga się uniewinnienia. Dlaczego domniemany morderca poleca zabalsamować ciało swojej ofiary? Gdyby oskarżony był rzeczywiście sprawcą, to raczej kazałby je bezzwłocznie spalić, by zatrzeć wszelkie ślady. I czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby pozostał w Bangkoku? Nie było żadnych powodów, by rujnować sobie znakomitą karierę tak krwawym czynem. Podobnie jak w poprzednich procesach nie powołano na świadków syjamskich bojów. Na policji służący zeznali, że słyszeli, jak signora Grandę wzywała w sypialni pomocy. Obrona argumentuje, że wskutek oddalenia i dobiegającego z ulicy hałasu mogli równie dobrze pomylić głosy.

Rozstrzygający zwrot następuje po przedstawieniu przez obronę ekspertyzy prof. Pellegriniego. Twierdzi on mianowicie, że w ogóle nie było żadnego czwartego strzału. Rana na karku powstała znacznie później, w trakcie transportu zwłok: Podczas burzliwej podróży morskiej trumna ze zwłokami uderzała przypuszczalnie o ściany. Najmniejszy otwór mógł też

zostać zrobiony przez taczającą się w trumnie figurkę Madonny, albo też powstać podczas balsamowania czy nawet w trakcie pierwszych oględzin w kostnicy turyńskiego cmentarza, kiedy podłożono zmarłej pod głowę stare deski od trumny. Wtedy jakiś odłamek mógł się wbić w kark.

Do podobnego wniosku dochodzi też prof. Gaetani z Instytutu Anatomii Patologicznej w Modenie. „Od dwunastu lat - oświadcza - dyskutuje się o tej dziurze w karku, która jest niczym więcej jak «fantomem» powstałym wskutek kilku zasadniczych pomyłek". Przedstawione przez prokuraturę ekspertyzy są błędne i „spożytkowane w sposób pedantyczny i stronniczy". Żaden pocisk kalibru 6,35 nie mógłby przebić tak małego otworu średnicy ledwie dwóch milimetrów. Dlatego sąd przysięgłych w Bolonii uniewinnia dr. Ettore Grandę wskutek dowiedzenia niewinności.

Państwo włoskie przyjmuje go ponownie do służby dyplomatycznej, wypłaca mu też zaległe pobory w wysokości prawie trzech milionów lirów. W 1954 roku zostaje on sekretarzem poselstwa w Sofii, gdzie poznaje bardzo wykształconą i bardzo piękną, dwadzieścia cztery lata od niego młodszą kobietę, w której się zakochuje. W 1955 roku zostaje mianowany konsulem generalnym w Bengazi. Nie dostaje jednak zgody na małżeństwo z młodą Bułgarką. W 1957 roku Ettore Grandę poślubia ją jednak i odchodzi ze służby dyplomatycznej.

Pomyłki w sprawie Rolanda S.

(Niemcy, 1971-1988)

Roland S. zyskał sobie stałe miejsce w historii wymiaru sprawiedliwości Republiki Federalnej Niemiec. Popełniał straszliwe mordy. Szczegóły są odrażające i nie do zniesienia. A pomyłki w jego sprawie są tak rażące, że człowiek staje przed nimi bezradnie, nie mogąc zrozumieć, jak w ogóle mogło do tego dojść. Błędy te pojawiają się - i powodują skandal sądowy - w sytuacji, gdy sędziowie, psychiatrzy i psychologowie muszą ze sobą współpracować, są zdani wzajemnie na siebie.

W marcu 1971 roku zaginął w Stuttgarcie dwudziestoczteroletni Heinz G. Jakby zapadł się pod ziemię. Jego ojciec pyta trzydziestodwuletniego podówczas Rolanda S., czy nie może mu pomóc, gdyż ich obu widywano ostatnio razem. Owszem, był wcześniej wieczorem z Heinzem, odpowiada Roland. Nie wie jednak, co tamten potem robił i gdzie jest teraz. Skwapliwie włącza się w poszukiwania, idzie nawet z ojcem zaginionego na policję, by wszcząć oficjalne działania. Matkę uspokaja, że nie powinna się niepokoić i wpadać w rozpacz. „Pani syn niedługo się odnajdzie!”. Policja może przeszukać mieszkanie Rolanda S. tylko powierzchownie, bo nie ma tam akurat prądu. Jednak podczas drugiej rewizji trafia na zwłoki Heinza G. Roland S. zostaje aresztowany i oskarżony o morderstwo. Wielka izba karna sądu rejonowego w Stuttgarcie skazuje go na czternaście lat pozbawienia wolności. Sąd twierdzi, że podczas zbliżenia homoseksualnego albo po nim tak długo bił on Heinza G. pięściami i skarpetą pełną piasku, aż ofiara znieruchomiała, leżąc na podłodze. „Aby bez przeszkód wyżyć się na G. - napisano w uzasadnieniu wyroku - związał on ręce słabo się jeszcze broniącej ofiary kablem na plecach. Potem skrepował jej nogi, naciągnął linę za plecami, owinał dwukrotnie wokół szyi i zawiązał na supeł. Ściągnął G. spodnie i próbował go masturbować, co mu się nie udało, bo w tym czasie G. udławił się (wymiocinami). Następnie postanowił obciąć ofierze penis. Najpierw spróbował nożem stołowym, potem wziął nożyce”. Zabił „dla zaspokojenia popędu seksualnego”, orzeka izba karna. Wyczerpuje to znamiona morderstwa, za co grozi dożywotnie pozbawienie wolności. Sędziowie łagodzą jednak karę do czternastu lat, bo nie mogą wykluczyć poważnego, uwarunkowanego spożyciem alkoholu ograniczenia zdolności pokierowania swoim postępowaniem w chwili dokonania czynu. Roland S. musi podczas odbywania kary bezwarunkowo zostać poddany terapii, podkreśla w swoim orzeczeniu biegły medycyny sądowej. Nie postanowiono jednak o umieszczeniu go w klinice psychiatrycznej przed albo po odbyciu kary.

Podczas odbywania kary we Fryburgu Roland S., wykwalifikowany ślusarz budowlany, jest wzorowym więźniem. Pracuje w ślusarni i rychło zyskuje sobie tam opinię godnego zaufania i profesjonalnego. Wykorzystuje każdą możliwość dalszego kształcenia, kończy gimnazjum i szkołę realną, zapisuje się na kursy księgowości, angielskiego i francuskiego. W wolnym czasie buduje perfekcyjne modele starych samochodów. Ale nie dochodzi do rozliczenia się z popełnionym czynem. Mam wiele do naprawienia, mówi tylko, jakby poczuwał się do winy. Wiosną 1977 roku prosi więziennego proboszcza, by załatwił mu terapeutę. Teraz raz w tygodniu odbywa rozmowy z dyplomowanym psychologiem, którego sam musi opłacać. Pieniądze zdobywa, sprzedając swoje modele miłośnikom starych aut. Rozważania na temat zbrodni nie pojawiają się w tych rozmowach, ograniczają się one do rozwiązywania codziennych konfliktów rodzących się podczas odbywania kary. Homoseksualizm Rolanda, jego popędy i popełniony przezeń czyn nie stają się tematem rozmowy. To poważne zaniedbanie będzie miało okropne następstwa.

Roland nie korzysta z żadnych przywilejów, nie dostaje też przepustek. Jednak 10 grudnia 1980 roku zostaje warunkowo zwolniony. Zalecał to dyplomowany psycholog. Tylko jeden raz, kilka dni wcześniej, Roland opuszcza zakład pod eskortą. Biegły ze stuttgarckiego procesu ma wydać nowe orzeczenie. Ponieważ jednak kwestia kosztów nie zostaje wyjaśniona do chwili zwolnienia, ekspertyza nie zostaje przygotowana. Jednak w oczach osób odpowiedzialnych nie jest to takie złe. Co mogłoby się przydarzyć? W okresie odbywania kary Roland żył i pracował w sposób uporządkowany, więc i na zewnątrz będzie potrafił normalnie funkcjonować. A nauczył się przecież kontrolować popęd seksualny. To fatalna pomyłka. Roland od razu dostaje pracę we Fryburgu. Jego kurator jest z niego bardzo zadowolony. W czerwcu 1982 roku zaginął we Fryburgu siedemnastoletni Cyrius S. Widziano go wcześniej w towarzystwie Rolanda S. Policja sprawdza, czy Roland był karany, jednak w wyniku błędu komputera otrzymuje odpowiedź: „Brak danych”. W sierpniu jakiś grzybiarz znajduje ludzkie zwłoki

w stanie mocno już posuniętego rozkładu. Lekarz sądowy przyjmuje początkowo pomyłkowo, że chodzi o ciało kobiety. Kiedy udaje się ostatecznie zidentyfikować ofiarę, Roland S. zostaje aresztowany.

Zaprzecza energicznie, by miał z tą sprawą coś wspólnego. Trzyma się tego, kiedy 7 marca 1984 roku przed sądem przysięgłych we Fryburgu rozpoczyna się przeciw niemu proces o morderstwo. Prokuratura domaga się kary dożywotniego pozbawienia wolności, ale nie ma prawie nic przeciw oskarżonemu. Ślady na miejscu znalezienia zwłok są zatarte, częściowo zniszczone. Brak jakichkolwiek dowodów. Zostają wysłuchani nowi biegli. Stwierdzają u oskarżonego ponadprzeciętną, nawet bardzo wysoką inteligencję. Wyrażają też przypuszczenie, że jeszcze nie zaakceptował on swojego homoseksualizmu. Walczy z nim i cierpi z powodu swojej odmienności. Dlaczego więc nie miał opieki psychoterapeutycznej w więzieniu oraz po zwolnieniu warunkowym? Nikt nie znajduje na to odpowiedzi.

Nie można przedstawić dowodu, że Roland S. znowu zabił „dla zaspokojenia popędu seksualnego”. A zatem morderstwo odpada, a fryburscy sędziowie nie chcą też wykluczyć, że czynu dokonano pod wpływem silnego afektu. Skazują oskarżonego za zabójstwo na dziesięć lat pozbawienia wolności.

Ale czy w ogóle dowiedziono, że je popełnił? Czy nie powinien zostać uniewinniony w myśl zasady *in dubio pro reo* (wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego)? Wyrok ten stanowi wyraz całkowitej bezradności fryburskich sędziów. Na podstawie wniesionej rewizji pierwszy senat do spraw karnych sądu federalnego uchyla go jednogłośnie i przekazuje sprawę do ponownego rozpatrzenia innej fryburskiej izbie karnej. Uniewinnia ona Rolanda S. od zarzutu zabójstwa i skazuje tylko za odbyte praktyki homoseksualne, do których się przyznał, na rok i trzy miesiące pozbawienia wolności. Zostaje zwolniony jeszcze tego samego dnia. Wcale jednak nie jest naprawdę wolny, kiedy przenosi się do Wiirzburga i znajduje tam pracę. Pozostaje więźniem ciężkich zaburzeń psychicznych.

W styczniu 1986 roku znów znika młody człowiek, dwudziestoosmioletni Marek F. z Furth. W pobliżu parkingu znaleziono jego głowę, a w kwietniu w lesie trafiono na odpiłowane nogi. Norymberska policja kryminalna dostaje wskazówkę z Fryburga, 13 kwietnia 1986 roku Roland S. zostaje zatrzymany. Przyznaje się, że 31 grudnia 1985 roku zabił Marka E, a wcześniej Cy-riusa S. we Fryburgu. Sprawa ta zostaje wznowiona, dlatego postępowanie przed sądem rejonowym w Norymberdze, któremu przewodniczy sędzia Jo-hann Manger, dotyczy dwóch morderstw. Jako biegli mają wystąpić psychiatra Eberhard Schorsch i psycholog Herbert Maisch, obaj bardzo szanowani specjaliści. W świetle spostrzeżeń, jakie przedstawiają teraz sądowi, czyny oskarżonego stają się trochę bardziej zrozumiałe.

Roland S. dorastał w wiejskim środowisku z piętym nieślubnego dziecka, w dzieciństwie żył w przekonaniu, że jest niechciany i nic niewart. Seksualność jest czymś zakazanym i brudnym, poucza go matka, która rozładowuje na nim całą swoją wściekłość. Dlatego nigdy nie potrafi on zbliżyć się do dziewcząt i kobiet. Kiedy ma dziewięć lat, jego wuj wykorzystuje go analnie. Gdy ma piętnaście lat, współosadzeni z zakładu zamkniętego dla młodocianych wiążą go i obmacują mu genitalia. Przeżycia te nie prowadzą jednak do wyboru orientacji homoseksualnej. Nie odnajduje on raczej żadnej tożsamości w sferze płciowej.

Niestale, krótkotrwałe kontakty homoseksualne mają formę niezobowiązujących doświadczeń wzajemnej masturbacji, uważa psycholog Maisch. Roland S. robi właściwie coś, co sam odrzuca i potępia. Dzięki tym przypadkowym kontaktom homoseksualnym zarazem przełamuje jednak wewnętrzną izolację i kompensuje samotność. Jego czyny są „agresywnymi, destrukcyjnymi erupcjami popędu”, odwróceniem skłonności do ukarania samego siebie na zewnątrz, przeciw każdemu partnerowi seksualnemu. Odraza każe mu zabijać, odraza do samego siebie. A dlaczego Roland S. obciął wszystkim ofiarom członek? Maisch wyjaśnia to tak: „Obcięcie genitaliów ofiary, żywej czy już martwej, jest dokładną kopią rzutowanego na partnera homoseksualnego pragnienia ukarania samego siebie ze znakiem przeciwnym”.

Wyrok jest jednoznaczny: dożywocie z jednoczesnym umieszczeniem w klinice psychiatrycznej. Biegli stwierdzili niezwykle nasilone zaburzenia osobowości, „ciężkie zwyrodnienie psychiczne” w sensie prawnym. Uważają, że jego schorzenie nie poddaje się terapii. Musi być chroniony przed samym sobą, a inni ludzie przed nim. Jego zdolność rozumienia w chwili dokonywania czynów nie zostaje jednak upośledzona, głównie dzięki niezwyklej inteligencji. W uzasadnieniu wyroku jest to wyraźnie podkreślone. Ale wskazuje też, jak niebezpiecznie wielka jest różnica między definicjami prawa karnego a wiedzą i faktami składającymi się na psychologię i psychiatrię. Czy w wypadku Rolanda S. prawnicy, którzy osądzali go podczas kilku procesów, nie zajmowali się ostatecznie całkiem innym człowiekiem? Innym oskarżonym niż ten, o którym mówili albo powinni mówić biegli medycyny sądowej zgodnie ze stanem swojej wiedzy fachowej?

Tajemniczy dingo

(Australia, 17 sierpnia 1980-15 września 1988)

Dingo występują tylko w Australii. Są to dzikie psy o rudawej sierści, osiągające rozmiary owczarka i polujące jedynie nocą. W najbardziej spektakularnym procesie w australijskiej historii prawa odgrywają one tajemniczą rolę. Sprawa zaczyna się 17 sierpnia 1980 roku w zimną, ciemną noc na kempingu w pobliżu Ayers Rock, potężnego monolitu skalnego w środkowej Australii. Michael i Lindy C. przyjechali tu z trójką dzieci - sześciolatkiem Aidanem, czteroletnim Reaganem i dziesięcioletnią Azarią - by urządzić sobie grilla na pustyni.

Po zapadnięciu zmroku, kiedy Lindy C. po krótkim spacerze wraca z Aidanem do namiotu, gdzie śpią Reagan i Azaria, ogarnia ją straszliwe przerażenie. Z żółtozielonego namiotu wychodzi bowiem ogromny dingo. Rzuca głową na boki, jakby usiłował coś za sobą pociągnąć. Lindy nie widzi, co to jest. Przecież to nie jedzenie, myśli sobie, bo w tym namiocie żadnego nie ma. Ale może buty? Stoją tuż za wejściem. Kiedy Lindy przyspie-

280

sza kroku, dingo ucieka, warcząc, za namiot. Mój Boże, dzieci! Ogarnięta paniką matka wbiega do namiotu. Widzi, że Reagan leży w swoim łóżku, śpi spokojnie i głęboko. Ale gdzie jest Azaria? Jej małe łóżeczko jest puste. Lindy unosi pościel, szuka pod kocami i poduszkami. Azarii tu nie ma. Przeżrana kobieta wypada z namiotu i krzyczy głośno: „Dingo porwał mi dziecko!”.

Widzi, jak pies przekrada się obok jej samochodu i znika w buszu. Zrozpaczona pędzi za nim, w ślad za nią jej mąż Michael, który usłyszał jej krzyk. Jest pewien, że trochę wcześniej dobiegł go z namiotu także krzyk Azarii. Dosłyszała to też Sally W, biwakująca obok z mężem. Inni obozo-wicze śpieszą z pochodniami, by pomóc w poszukiwaniach, podczas gdy Sally W. z Aidanem wraca do namiotu zająć się Reaganem. Odkrywa przy tym plamkę krwi na podłodze i następne na śpiworze. Turyści zawiadamiają policję. Już po półgodzinie zjawia się na kempingu funkcjonariusz Frank M. Pyta Lindy, czy widziała, jak dingo uciekł z jej córką Azarią w pysku. Nie, odpowiada kobieta, nie widziała dokładnie, czy zwierzę coś niosło, było zbyt ciemno. Azaria miała na sobie białe śpioszki, na to kurteczkę. Frank M. ani nie przepytuje dalszych świadków, ani nie zabezpiecza miejsca zdarzenia. Nie robi nawet fotografii.

Rodzina C. zostaje umieszczona w pobliskim motelu, a poszukiwania Azarii trwają nadal. Ale nie ma wielkich nadziei na jej odnalezienie. Wokół placu biegnie mnóstwo tropów dingo. Jeden z nich prowadzi do grzbietu wydm. Jest szczególnie interesujący, bo ślady są tu głębsze, jakby zwierzę coś niosło. Kilka owalnych zagłębień wskazuje, że dingo kilkakrotnie na krótko odkładał to, co niosł. Wezwani aborygeńscy tropiciele uważają, że może to być odcisk ciała niemowlęcia. Za grzbietem piasek jest tak twardy, że ślad się urywa. Po kilku godzinach bezowocnych poszukiwań akcja zostaje przerwana.

Nazajutrz rano funkcjonariusz Frank M. pojawia się w motelu i informuje Michaela i Lindy C, że odbędzie się formalne przesłuchanie sądowe. Konieczny będzie przy tym cały dostępny materiał dowodowy. Prosi ich więc, by przedłożyli mu wszystkie rzeczy, które zabrali dzień wcześniej

z namiotu. Michael pokazuje mu plamki krwi na kocykach oraz kurtkach Aidana i Reagana.

Kolo południa zjawiają się na kempingu inspektor G. i sierżant L. z Alice Springs i prowadzą dalsze dochodzenie. Policjant Frank M. pokazuje im ślady dingo obok namiotu oraz plamkę krwi na plandecie. Obaj detektywi odwiedzają w hotelu Lindy i Michaela C, prosząc, by jeszcze raz szczegółowo zrelacjonowali wydarzenia. „Ile waży państwa córka?” - chce wiedzieć inspektor G. „Kiedy wyjeżdżaliśmy z domu w Mount Isa na piknik grillowy, ważyła około dziesięciu funtów [ok. 5 kg - przyp tłum.]” - odpowiada Lindy. Do tego dochodzi ciężar śpioszków, pieluszki, bucików i kurtki. Inspektor G. marszczy czoło. Nie wierzy, by dingo zdołał unieść taki ciężar, i to na znaczną odległość, mówi po wyjściu na zewnątrz do sierżanta L. „Cała ta historia z tym dingo to jakaś lipa!”. Nazajutrz dokładnie coś takiego można przeczytać w kilku australijskich gazetach.

Tydzień po zniknięciu Azarii cztery kilometry od obozowiska za niewielką skałą jakiś turysta znajduje ubranie dziewczynki, porządnie złożone i ułożone w stosik. Wezwany zostaje Frank M. Nie znajduje żadnych ludzkich śladów poza zostawionymi przez turystę, dostrzega za to w pobliżu jamę dingo. Zauważa też natychmiast ślady krwi na kołnierzyku śpioszków.

„Sprawa Azarii” trafia na nagłówki gazet. Relacjonują ją na bieżąco radio i telewizja. Ktoś wyszperał, że imię Azaria znaczy „ofiara pustyni”. A gdy wychodzi na jaw, że rodzice należą do chrześcijańskiego Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, który oczekuje rychłego powrotu Chrystusa, zrobiono z tego szybko historię okultystyczną. Podczas niesamowitej ceremonii religijnej rodzice mieli zarżnąć własne dziecko, można przeczytać w pewnej relacji. Lindy zostaje przedstawiona jako kobieta skryta, twarda i pozbawiona macierzyńskich uczuć. „Czemu ona nie płakała?”.

Dwudziestego pierwszego sierpnia 1980 roku Michael i Lindy wracają do swego małego domku w Mount Isa, dwudziestosiętmiotysięcznym miasteczku położonym w rejonie, gdzie od lat wydobywa się srebro, ołów, cynk i miedź. Nad tym górniczym osiedlem wisi wciąż wysoka na trzysta

^H

metrów chmura szarego dymu, swego rodzaju znak charakterystyczny. Ponieważ pełniony przez Michaela urząd duchownego adwentystów Dnia Siódmego wiąże się z częstymi wyjazdami na wieś, jak dotąd rodzina nie przebywała nigdy dłużej w swoim domu położonym tuż obok kościoła adwentystów. Kiedy Lindy przegląda jeszcze raz dokładnie pościel i ubrania z namiotu, także na swoim śpiworze dostrzega ślady krwi. A na kołdrze, którą okryty był Reagan, zauważa dwa słabe odciski jakby psich łap. Dzwoni natychmiast na policję w Alice Springs, informując o swoim odkryciu. Kilka dni później zjawia się młody policjant. Lindy pokazuje mu odciski i ślady krwi, wręcza kołdrę i kurtkę Reagana. Wskazuje też plamki krwi na swoim śpiworze i pyta, czy może go oddać do pralni chemicznej, bo często go używa. „Nie jest nam to koniecznie potrzebne - mówi funkcjonariusz. - Niech go pani odda do pralni”. Tak się staje już następnego dnia. Ale czyszczenie nie usunęło wszystkich plam, więc Michael prosi o powtórzenie procedury. Teraz właściciel zakładu nabiera podejrzeń i zawiadamia policję. Ta każe natychmiast dostarczyć sobie śpiwór. Nazajutrz gazety donoszą, że Lindy i Michael C. usiłovali zniszczyć materiał dowodowy. Odpowiedzialni za śledztwo policjanci nabierają szybko pewności, że osobliwa historia z tajemniczym dingo to czysty wymysł. Dlaczego na śpioszkach jest tak mało krwi i nie są one porwane na strzępy? Gdzie jest wierzchnia kurtka? A przede wszystkim, czy dingo mógłby w ogóle przenieść w pysku dziesięciofuntowe niemowlę, nie wlokąc go za sobą? Dingo to niewielkie ssaki, które pożrą prawie wszystko ze skórą czy piórami, to fakt. Ale czy jedzą też niemowlęta? Nie słyszano dotąd, by atakowały ludzi.

Detektyw kryminalny Graeme C. zjawia się 29 września u Lindy i Michaela C, by prosić ich na posterunek na przesłuchanie. Jest teraz odpowiedzialny za tę sprawę i potrzebuje zeznań na piśmie. W drodze do biura Michaela, mijając garaż, detektyw zatrzymuje się nagle przed drewnianą dziecięcą trumną. „Co to jest?” - woła zdumiony. „Och - odpowiada Lindy. - Mąż używa tego w swoim programie walki z paleniem.

Chce w ten sposób przestraszyć ludzi i skłonić do rzucenia nałogu!". Nazajutrz nagłówki gazet donoszą: „Dziecięca trumienka odkryta w domu C.!”.

Podczas przesłuchania na posterunku detektyw Graeme C. potajemnie nagrywa całą rozmowę na magnetofon kasetowy. Nie poucza przy tym Lindy, że nie ma obowiązku składać wyjaśnień pod nieobecność adwokata. Części ubrania zbadano w laboratorium, oświadcza policjant. Na żadnym nie odkryto śladów śliny. A nacięcia na śpioszkach Azarii nie powstały od psich zębów. Teraz dopiero kobieta zaczyna rozumieć, że podejrzewa się ją o zamordowanie własnego dziecka.

Wstępne postępowanie sądowe rozpoczyna się w Alice Springs pod kierunkiem sędziego Denisa Barrita w poniedziałek, 15 grudnia 1980 roku. Lindy C. jest reprezentowana przez adwokata Petera D., później dołączy też do niego Phil R. Koszty pokrywa Kościół Adwentystów. Sądowi zostają przedstawione dwa orzeczenia. Wynika z nich, że uszkodzenia na ubranku Azarii nie są dziełem dingo, a niewielkie nacięcia na kołdrze także nie mogą pochodzić od psich zębów. Ale Judy W. potwierdza jako świadek, że na krótko przed zniknięciem Azarii wyraźnie słyszała jej krzyk, a także warczenie dingo. Jako świadków przesłuchano też Lindy i Michaela C.

Sala sądowa jest przepełniona, kiedy 20 lutego 1982 roku sędzia Denis Barrit informuje o wynikach dochodzenia. Najpierw wygłasza ostrą krytykę podjętych przez lokalną policję działań i sposobu zabezpieczenia śladów, po czym oświadcza, że sąd ma poważne wątpliwości co do tego, czy Lindy C. zabiła swoje dziecko. Za jego śmierć odpowiada prawdopodobnie dingo. Lindy i Michael sądzą teraz, że dla nich sprawa na tym się definitywnie zakończy. Tak jednak nie jest.

We wrześniu 1981 roku prokurator generalny Paul E. nakazuje kontynuację śledztwa w tej sprawie. Detektywowi Graeme'owi C. zlecono gromadzenie dalszych dowodów. W sobotę, 19 września 1981 roku, pojawia się on bez zapowiedzi z pięcioma policjantami w domu Lindy i Michaela C, przedstawiając sądowy nakaz przeszukania. Pewien profesor napisał w swojej ekspertyzie, że krwawy odcisk na śpioszkach Azarii wykonany

został kobiecą dłonią. Dlatego odbędzie się drugie sądowe postępowanie wstępne. W związku z tym ich samochód zostaje zatrzymany w celu przeprowadzenia badań.

Lindy i Michael przystają na to bez zasięgnięcia porady prawnej.

Drugie sądowe postępowanie wstępne rozpoczyna się już 14 grudnia 1981 roku. Przybiera ono obrót w najwyższym stopniu niezadowolający dla Lindy C. Wewnątrz samochodu, przede wszystkim na tablicy rozdzielczej, na przednim siedzeniu i dywaniku odkryto jakieś ciemne plamy.

Biolog sądowy Joy K. oświadcza przed sądem, że zgodnie z wynikami jej badań jest to krew ludzka co najmniej sprzed dwunastu miesięcy, i to krew około półrocznego niemowlęcia. Kształt plam pozwala wnioskować, że pochodzą od krwi tryskającej, przypuszczalnie z małej tętnicy. Krew taką okryto też na znalezionych w samochodzie nożyczkach.

Na koniec dr James C, uchodzący za najlepszego w Australii specjalistę od medycyny sądowej, twierdzi, że plamy na śpioszka to krew Azarii, a nacięcia na materiale wykonano jakimś narzędziem tnącym, przypuszczalnie nożyczkami. Badania w nadfiolecie wykazały, że krwawa plama znaleziona na dolnej części rękawa przypomina odcisk ludzkiej dłoni. Dr C. pokazuje na lalce, w jaki sposób dziecko było prawdopodobnie trzymane przez dorosłego zabrudzonymi krwią rękami. Nie znalazł on jednak na ubranku żadnych odcisków palców.

Drugiego lutego 1985 roku główny sędzia Gerry G. oznajmia, że istnieją dostateczne poszlaki dowodzące, że Lindy C. zabiła swoje dziecko. I to we własnym samochodzie, jakieś piętnaście minut po tym, jak odeszła z grillowiska z Azarią na rękę. Po powrocie do namiotu wymyśliła historyjkę z dingo. Podczas gdy wszyscy zajęci byli poszukiwaniami, umieściła ciało Azarii w torbie na kamerę i wyniosła z obozowiska. W torbie tej znaleziono włosy. Potem zakopała zwłoki i zostawiła ubranko dziecka tam, gdzie je później znalazł turysta. Wszystko to wygląda logicznie i wystarczy do postawienia zarzutu.

Proces o morderstwo przeciw Lindzie C. rozpoczyna się 13 września 1982 roku pod przewodnictwem sędziego Jamesa M. Ława przysięgłych

składa się z trzech kobiet i dziewięciu mężczyzn. Już na początku prokurator Ian B. oświadcza im, że nie będzie próbował dowieść, dlaczego oskarżona zabiła swoje dziecko. Jakikolwiek by był tego powód, poszlaki dowiodą bez wątpienia, że zrobiła to ona. Historia z dingo to fantastyczne kłamstwo, mające zatuzować prawdę. Znalezione w samochodzie ślady krwi jednoznacznie obalają tę wersję.

W roli obrońców występuje czterech adwokatów. Zwracają oni uwagę, że wiadomo, iż w ostatnim czasie dingo w rejonie Ayers Rock zrobiły się agresywne wobec ludzi i znane są wypadki porwania przez nie niemowląt. Jakiś dingo chwycił zapewne Azarię za kark i wyniósł w pysku, i to tak, że nie uszkodził kołnierzyka śpioszków. Technicznie jest to całkiem możliwe. A dlaczego w torbie na kamerę nie znaleziono też śladów krwi?

Ława przysięgłych daje jednak wiarę orzeczeniom naukowców i 28 października 1982 roku uznaje Lindy C, będącą wówczas w ósmym miesiącu ciąży, za winną. Cała krew odpływa z twarzy kobiety, gdy-ogłoszony zostaje wymiar kary - dożywocie! Także Michael C. zostaje w odrębnym procesie skazany za pomoc w morderstwie na osiemnaście miesięcy więzienia z zawieszeniem.

Miesiąc później rodzi się w więzieniu Kahlia C. Matce tylko przez godzinę wolno ją trzymać na ręku, zobaczy ją ponownie dopiero po roku. Pewna gazeta pisze, że i tak zaszła w ciążę tylko po to, by zrobić wrażenie na ławie przysięgłych. Jednak wyrażane są też publicznie wątpliwości co do słuszności tego wyroku.

Dwudziestego dziewiątego kwietnia 1983 roku odwołanie wobec wyroku zostaje jednak oddalone, także Sąd Najwyższy Australii 22 lutego 1984 roku zatwierdza orzeczenie skazujące stosunkiem głosów trzy do dwóch. Rodzi się ruch „Wolność dla Lindy C”. Skierowana do parlamentu petycja zawiera sto trzydzieści tysięcy podpisów z całego kraju.

Publiczne głosy protestu przeciw temu wyrokowi przybierają na sile. Kilku naukowców bada na własny koszt czterdzieści samochodów z rejonu Mount Isa, gdzie mieszka rodzina C. W pięciu z nich odkrywają podobne ciemne ślady, jakie znaleziono w aucie państwa C. i które bio-

log rzeczoznawca oskarżenia Joy K. zidentyfikowała jako hemoglobinę. Biegli ci wskazują, że wydobywane w Mount Isa metale ciężkie, zwłaszcza miedź, mogą podlegać procesom utleniania, których produkty przypominają hemoglobinę. Samochód przez dłuższy czas wystawiony był na działanie pyłu miedziowego, co tłumaczy występowanie ciemnych plam.

Na podstawie tych ustaleń w kwietniu 1986 roku Royal Commission przystępuje do ponownego zbadania sprawy. Obrona przedstawiła w sumie sporo dowodów odciążających. A dzieci Lindy i Michaela C. piszą listy do premiera oraz księcia Karola i księżnej Diany, opublikowane we wszystkich australijskich gazetach. „Potrzebujemy naszej mamy w domu - piszą. - Czy nie moglibyście Państwo sprawić, żeby do nas wróciła?”. Nigdy nie otrzymały odpowiedzi. Prokurator generalny daje jednak do zrozumienia, że za zgodą rządu Lindy C. zostanie bezzwłocznie ułaskawiona, jeśli przyzna się do winy. obrońca odrzuca to jako warunek nie do przyjęcia.

Siódmego lutego 1986 roku po ponad trzech latach więzienia Lindy C. na mocy decyzji rządu zostaje niezwłocznie zwolniona z uzasadnieniem, że „dosyć wycierpiała”. Zapowiedziane zostaje nowe przesłuchanie sądowe. Rozpoczyna się 8 maja przed sędzią śledczym Trevorem Morlingiem i kończy się, na podstawie nowych dowodów przedstawionych w ekspertyzach biegłych, orzeczeniem, że skazanie Lindy C. było niesłuszne. Już samo zeznanie Sally W, że słyszała krzyk dziecka i warczenie dingo, byłoby podczas pierwszego procesu dostatecznym powodem do wydania wyroku na korzyść oskarżonych, oświadcza sędzia Morling. Przedstawia on swój raport prokuraturze generalnej i rządowi.

W związku z tym 15 września 1988 roku przed Court of Criminal Appeal w Darwin rozpoczyna się nowy proces Lindy i Michaela C. Trzej sędziowie potrzebują niespełna dwóch minut, aby uchylić wyroki. Nie zostaje jednak przyznane odszkodowanie za doznaną niesprawiedliwość. Dopiero w 1992 roku państwu C, którzy się już rozeszli, przyznano po kilkuletnim sporze prawnym 1,3 miliona dolarów odszkodowania.

Morderca z krzywym zębem

(Stany Zjednoczone, Arizona, 29 grudnia 1991-8 kwietnia 2002)

„CBS Lounge” to popularny bar nocny w Phoenix w Arizonie. Bywa tu chętnie i często także trzydziestopięcioletni Ray K., by oddawać się ulubionej grze w strzałki. Mieszka w pobliżu. Odsłużył siedem lat jako sierżant w Siłach Powietrznych USA, aż do zwolnienia z honorami. Ponieważ ostatnio stacjonował w Arizonie, postanowił tu pozostać. Pracuje od tego czasu w Phoenix jako listonosz. Także wieczorem 29 grudnia 1991 roku odwiedza bar i rozmawia trochę z piękną barmanką, trzydziestosześcioletnią Kim A., którą poznał jakiś czas temu. Na Boże Narodzenie zabrał ją swoim staroświeckim modelem samochodu na świąteczną imprezę. Nazajutrz rano Kim A. zostaje znaleziona martwa w ogromnej kałuży krwi w męskiej toalecie baru. Jej nagie ciało pokryte jest ranami od pchnięć nożem. Morderca zadał dwanaście ciosów. Ponadto na szyi i lewej piersi ofiary widnieją ślady ugryzień. Na krótkiej bluzeczce, którą miała przedtem na sobie, widać plamy krwi i śliny, co pozwala wnioskować, że sprawca pogryzł kobietę, gdy jeszcze była ubrana. Nie znaleziono odcisków palców ani śladów spermy, ale wiele wskazuje na to, że Kim została wykorzystana seksualnie. Krew zbadano, ma grupę 0. Na piersi widać podbiegły krwią, półokrągły odcisk ugryzienia. Kontury zębów są wyraźnie widoczne. Szczególnie charakterystyczny jest odcisk przedniego zęba. Ząb jest odchylony nieco ku przodowi, tak że tworzą się niewielkie szpary między sąsiednimi zębami. Nasuwa to wniosek, że przedni ząb sprawcy wyrósł ukośnie i nieco wystaje, jest wyższy niż sąsiednie.

W toku śledztwa policja dociera też do Raya K. Zostaje on przesłuchany i aresztowany już 31 grudnia, kiedy spostrzeżono, że jeden z jego przednich zębów trochę wystaje. Dalsze dochodzenie wykazuje, że Ray K. ma tę samą grupę krwi co ofiara, a w wieczór przed zamordowaniem barmanki przebywał w barze. Jego pomoc domowa twierdzi jednak, że wrócił do domu już o godzinie dwudziestej drugiej, i poszedł od razu do łóżka. Ray utrzymuje, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Kim A. Nikt mu jednak nie wierzy. Wy-

konane w gipsie odciski jego użębienia zostają porównane z fotografią rany od ugryzienia na lewej piersi ofiary. Oba odciski wydają się zgodne. Dlatego prokuratura oskarża Raya K. o morderstwo i gwałt.

Proces przeciw niemu rozpoczyna się 29 lipca 1992 roku. Ponieważ Ray nie może sobie pozwolić na prywatnego adwokata, przydziela mu się obrońcę z urzędu. Powołuje on na świadków tylko pięć osób, łącznie z samym Rayem, prokuratura natomiast dziewiętnaście. Brak jakichkolwiek dowodów przeciw oskarżonemu z wyjątkiem rany po ugryzieniu. Ta jednak, według ekspertyzy sądowego odontologa dr. Raymoda R., zgadza się w stu procentach z odciskiem użębienia Raya. Biegły stomatolog wykonał w styroporze odciski górnej szczęki, zeskanował ten wzorzec, a następnie porównał ją z fotografiami rany od ugryzienia. Odcisk wystającego przedniego zęba jest zdaniem dr. R. identyczny z odciskiem zęba w ranie. Zgodność ta została sfilmowana i zarejestrowana na taśmie wideo, którą przedstawiono przysięgłym. Wywarło to na nich takie wrażenie, że 7 sierpnia 1992 roku po dwugodzinnych obradach uznali Raya K. za winnego morderstwa. Co do gwałtu, doszli do wniosku, że nie został dowiedziony. Dlatego 20 listopada 1992 roku sędzia ogłasza karę śmierci dla Raya K., gdyż oskarżony popełnił morderstwo w sposób „odrażający i zdegenerowany”.

Ray K. zostaje osadzony w więzieniu Florence w Arizonie, gdzie przez dwa lata i osiem miesięcy oczekuje w celi śmierci na egzekucję. Wtedy budzi się w nim nowa nadzieja. Jego rodzice, głęboko przekonani o jego niewinności, zaangażowali w czerwcu 1994 roku Christophera Plourda, znanego obrońcę w sprawach karnych z San Diego w Kalifornii. Jest on członkiem poważanej Akademii Medycyny Sądowej i specjalizuje się w sprawach obejmujących skomplikowane kwestie sporne właśnie z tej dziedziny. Plourd odkrył, że oskarżenie przedstawiło też ekspertyzę stomatologiczną biegłego medycyny sądowej dr. Homera C, która nie potwierdzała zgodności górnej szczęki Raya z raną po ugryzieniu. Prokuratura zataiła jednak ten odciążający materiał, nie przedkładając go sądowi. Nadto Plourd skarży się, że ówczesnego obrońcę dopiero na dzień przed rozpoczęciem procesu poinformowano, że podczas rozprawy jako materiał

dowodowy oskarżenia zostanie przedstawione nagranie wideo. Obrona nie miała dość czasu, by przygotować się na to i zamówić kontreksperytę.

Dwunastego grudnia 1994 roku odbywa się pierwsze przesłuchanie przed Arizona Supreme Court. Sąd potrzebuje pół roku na podjęcie decyzji. Dwudziestego drugiego czerwca uznaje on wyrok skazujący Raya K. za nieważny i zezwala na wznowienie procesu. Trzeciego sierpnia 1995 roku więzień opuszcza celę śmierci i zostaje przewieziony do więzienia hrabstwa Maricopa w Phoenix. Nie wyrażono zgody na zwolnienie za kaucją. Ray K. usilnie wierzy, że wymiar sprawiedliwości, który w jego sprawie tak straszliwie zawiódł, naprawi wyrządzoną niesprawiedliwość, wydając wyrok uniewinniający.

Dwunastego lutego 1996 roku rozpoczyna się jego nowy proces przed Maricopa County Superior Court. Prokuratura znowu powołuje się na ekspertyzę stomatologiczną dr. Raymunda R. i potwierdzoną przezeń „pełną zgodność” rany po ugryzieniu i użębieniu Raya. Sprawcą tej rany nie jest Ray K. - kontruje obrona, wskazując, że znalezione na ubraniu ofiary próbki śliny i krwi pozwalają na analizę DNA, mogącą dowieść niewinności oskarżonego. Nie wykorzystuje się jednak tej możliwości.

Także nowa ława przysięgłych jest tak bardzo przekonana o słuszności ekspertyzy dr. R., że 12 kwietnia 1996 roku ponownie uznaje Raya K. za winnego. Sędzia James M. oświadcza, że ma pewne wątpliwości, czy Ray K. rzeczywiście jest sprawcą. Dlatego skazuje go na karę dożywotniego więzienia. Píše potem: „Jest to jedna z tych spraw, które będą mnie dręczyć i prześladować przez resztę życia, wzbudzając wątpliwość, czy postąpiłem słusznie”.

Ray K. jest zrozpaczony. Szuka możliwości odebrania sobie życia, bez rezultatu. Każdej nocy czyta Biblię i błaga w modlitwie, by prawda wyszła wreszcie na jaw, a Bóg odmienił serca jego oskarżycieli. Jego kuzyn Jim R. odwiedza go w więzieniu. Jest bogatym przedsiębiorcą, a Ray nie widział go od chwili skazania. Jim R. wyklada prawie trzysta tysięcy dolarów, aby można było wynająć kolejnego adwokata, Alana M. Simpсона z Phoenix. Od tego momentu współpracuje on z Christopherem Plourdem.

Obaj prawnicy zamawiają badanie DNA z resztek śliny z bluzki Kim, w którą wgryzł się sprawca. Procedura ta stała się tak udoskonalona i wia-

2QO

rygodna w ostatnich latach, że w wielu wypadkach doprowadziła już do uniewinnienia osób skazanych. Okazuje się też ratunkiem dla Raya K. Badania przeprowadzone wiosną 2002 roku wykazują, że ślina nie pochodzi od niego. Wzorzec DNA nie zgadza się. Ponieważ w Stanach Zjednoczonych stworzono obszerny bank danych DNA, badanie próbki śliny daje jeszcze uboczny rezultat. Zgadza się ona z DNA mężczyzny, który od pewnego czasu odsiaduje w więzieniu Florence w Arizonie karę za próbę wykorzystania dziecka. Jest to trzydziestosześcioletni Kenneth P. Ma on też grupę krwi 0. Jak również wystający krzywy ząb. Biegły stomatolog oświadcza, że nie może wykluczyć, iż rana po ugryzieniu pochodzi od Kennetha R

Dlatego 5 kwietnia 2002 roku obrońca Alan Simpson wnosi do sądu petycję, w której domaga się bezzwłocznego zwolnienia Raya K. Zostaje ona odrzucona. Sąd wyznacza jednak przesłuchanie na 29 kwietnia, na którym zostanie postanowione, czy w świetle nowego materiału dowodowego Ray K. powinien mieć nowy proces. Teraz jednak włącza się prokuratura hrabstwa Maricopa, prosząc sąd o natychmiastowe zwolnienie Raya K. Ósmego kwietnia 2002 roku wychodzi on na wolność po dziesięciu i pół roku spędzonych niewinnie w więzieniu. Prokurator Rick R. oświadcza publicznie, że Roy K. nie jest sprawcą i przeprasza go. „Wymiar sprawiedliwości popełnił pomyłkę - przyznaje. - Spróbujemy to naprawić. Bardzo nam przykro”.

Tymczasem prawdziwy sprawca Kenneth R przyznaje się do morderstwa. Mieszkał on ledwie sto metrów od baru, gdzie pracowała Kim A. Kiedy chciał skorzystać z męskiej toalety, natknął się tam na nią. Sprzątała właśnie, więc kazała mu wyjść. Wtedy się zdenerwował i zabił ją, zeznaje do protokołu. Teraz oczekuje na proces. Wyrok śmierci wydaje się pewny.

Według ustaleń Amerykańskiego Centrum Informacyjnego ds. Kary Śmierci Ray K. jest setną niewinną osobą ze Stanów Zjednoczonych, która w ciągu ostatnich trzydziestu lat została zwolniona z celi śmierci. Kiedy pewien reporter zapytał go po jego zwolnieniu, czy ma nadal zaufanie do amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, odpowiedział: „Chcieli mnie posłać na egzekucję! Czy mogę nadal ufać wymiarowi sprawiedliwości? Na pewno nie! I nie ja jeden!”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Brak zdolności rozpoznania znaczenia czynu

Aby można było skazać sprawcę przestępstwa, musi on mieć zdolność rozpoznania znaczenia czynu. Nie jest tak, jeśli w chwili popełnienia czynu wskutek choroby psychicznej, upośledzenia umysłowego czy innego zakłócenia czynności psychicznych nie mógł rozpoznać jego znaczenia i pokierować swoim postępowaniem. „Niepoczytalność” jest więc pojęciem prawnym, nie medycznym. Takie przykłady niepoczytalności sprawcy zasługują na szczególne rozważenie. Już wielki prawnik Anselm Feuerbach na początku dziewiętnastego stulecia zauważył, że jeśli wierzyć orzeczeniom lekarzy i psychiatrów, „sfera ludzi obłąkanych i zupełnie niepoczytalnych albo nie w pełni poczytalnych jest niezmiernie rozległa”. Wydaje się, że w obecnych czasach jest coraz więcej psychiatrów, skłonnych wystawić oskarżonemu „wariackie papiery”. Nie należy przy tym zapominać, że niektórzy sędziowie chętnie dają im wiarę, aby odpowiedzialność za kontrowersyjne uniewinnienie móc zrzucić na lekarzy.

Z drugiej strony, w historii prawa Niemiec i innych krajów zdarzają się wciąż sprawy, kiedy oskarżony wskutek jawnej czy przynajmniej prawdopodobnej niepoczytalności nie może zostać skazany, ale trzeba go umieścić w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Przedstawiona już historia Pawła Gorgułowa z Francji (por. rozdz. 7, sprawa 1) to tylko jeden tego przykład. Kolejne, omówione w tym rozdziale sprawy wyjaśniają, że problematyka niepoczytalności i możliwości jej błędnej oceny odgrywają często główną rolę w procesach o morderstwo. I to w coraz większym stopniu. Albowiem stale rośnie liczba ludzi psychicznie chorych.

2Q2

W ostatnich czasach opinię publiczną mocno poruszyły sprawy, w których skazani sprawcy przestępstw seksualnych, zwolnieni przedwcześnie z więzienia na podstawie fałszywych orzeczeń psychiatrycznych, natychmiast popełniali nowe przestępstwa tego samego rodzaju. Historia parobka Dópcke sprzed około stu lat wskazuje, że nie jest to problematyka nowa. Dópcke został skazany na trzy lata ciężkiego więzienia za gwałtowne nie-obydajne kontakty z ponad trzydziestoma chłopcami w wieku przeważnie dziewięciu-dziesięciu lat. W wyroku podkreślono, że „tylko korzystny zbieg okoliczności sprawił, że Dópcke nie zabił jednej ze swoich ofiar”. Z niezrozumiałych względów zostaje on dzięki dobremu zachowaniu przedterminowo zwolniony po odbyciu trzech czwartych kary. Dyrektor zakładu karnego uważa, że „pobyt na wolności [wywrze] na Dópckego wpływ korzystny pod każdym względem”. Staje się jednak przeciwnie. Znowu zwabia on chłopców, więc zostaje powtórnie aresztowany, a potem zwolniony, bo nie doszło do przestępstwa. Zamiast natychmiast umieścić Dópckego w więzieniu w celu odbycia zawieszony części kary, wypuszcza się go na wolność, gdzie popełnia on pierwsze morderstwo. Jedenastoletni chłopak zostaje w bestialski sposób zarżnięty. W procesie o morderstwo przeciw Dópckemu dwaj lekarze urzędowi nazywają w swoich orzeczeniach tego syna psychicznie chorego pijaka cierpiącym na „wrodzony niedorozwój umysłowy” i stwierdzają u niego „zбочony popęd płciowy”. W chwili popełnienia czynu nie był on poczytalny z powodu choroby psychicznej i zachowywał się jak „goniący się pies”. Zamiast skierować Dópckego do zakładu leczniczo-opiekuńczego, hamburski sąd przysięgłych nie zważa na jednoznaczne ekspertyzy medyczne i skazuje go na śmierć. Senat Hamburga nakazuje wykonanie egzekucji i Dópcke zostaje stracony.

Jak aktualna jest to problematyka, pokazuje zabójstwo Anny Lindh, byłej minister spraw zagranicznych Szwecji. Po południu 10 września udała się ona bez osobistej ochrony do działu damskiego sztokholmskiego domu towarowego Nobla, gdzie została zasztyletowana przez dwudziestopięcioletniego Mijaila M. Sprawca, który na krótko przedtem przyjął błędnie przepisane leki przeciwdepresyjne, przyznaje się do winy, kiedy dowiedziono jej

2Q3

dzięki badaniu DNA. Zaprzecza jednak, jakoby miał zamiar zabić. Nie chciał zabijać tej kobiety. Głosy wewnętrzne, między innymi jego rodziców, emigrantów z Serbii, oraz głos Jezusa, skłoniły go do zaatakowania tej polityk nożem. „Chciałem wyjść na zewnątrz - oświadczył on podczas rozprawy - ale poszedłem w złym kierunku. Zobaczyłem Annę Lindh, a potem rozległy się głosy i powiedziały, że mam ją zaatakować. Nie mogłem im się przeciwstawić”. W połowie stycznia 2004 roku pewne orzeczenie psychiatryczne potwierdza poczytalność Mijaila M., to ustalenie skrajnie kontrowersyjne. Obronie nie udaje się przekonać sztokholmskiego sądu okręgowego o konieczności wydania drugiej ekspertyzy. Dwudziestego trzeciego marca 2004 roku Mijailo M. zostaje skazany na dożywotnie więzienie. Nie uwzględniono okoliczności łagodzących. W Szwecji oznacza to przynajmniej osiemnaście, a rzadko więcej niż dwadzieścia pięć lat więzienia. Obrońcy składają odwołanie od wyroku. Sztokholmski sąd drugiej instancji uchyla wyrok 8 lipca 2004 roku. U sprawcy zdiagnozowano „poważne problemy psychiczne”, tak że nie można obciążyć go odpowiedzialnością za popełniony czyn, i zostaje on skierowany do zamkniętego zakładu psychiatrycznego. I to postanowienie nie staje się prawomocne. Na początku grudnia 2004 roku Sąd Najwyższy w Sztokholmie wypowiada się przeciw umieszczeniu sprawcy w klinice i na podstawie nowych ekspertyz przypisuje mu pełną poczytalność. Zdaniem biegłych Mijailo M. był niezadowolony ze swojej sytuacji życiowej i żywił wobec kobiet uczucia bliskie nienawiści. Anna Lindh musiała umrzeć, bo sprawca chciał się w ten sposób zemścić na społeczeństwie. Na podstawie tych ekspertyz Sąd Najwyższy Szwecji skazuje go na dożywotnie więzienie, przywracając tym orzeczenie sądowe pierwszej instancji. Mijailo M. musi teraz spędzić kilka dziesięcioleci za „szwedzką kurtyną”. Wznowienie procesu wydaje się nieprawdopodobne. Te trzy wyroki pokazują, jak trudno w podobnych sprawach dociec prawdy i wydać orzeczenie sprawiedliwe i słuszne. Przynajmniej jedno z tych trzech rozstrzygnięć sądowych musiało być błędne. Niemiecką opinię publiczną poruszyły niedawno bardzo spektakularne zabójstwa dzieci na podłożu seksualnym. Zaniepokoiło ją także to, że

sprawcami okazali się ludzie karani wcześniej za podobne czyny, a zwolnieni przedterminowo z więzienia lub zakładu psychiatrycznego. Dzieci zabite w latach 2003-2004, jak na przykład sześciolatka Ayla z Saksonii, sześciolatka Jessica z Turynii, a także Levke i Felix, ośmiolatek zamordowani po brutalnym wykorzystaniu seksualnym przez podwójnego mordercę Marca H., który już przyznał się do winy, żyłyby jeszcze, gdyby wcześniej sędziowie albo biegli sądowi rozpoznali i właściwie ocenili zagrożenie ze strony osadzonego sprawcy. Statystycznie rzecz biorąc, w Niemczech co piąty zwolniony sprawca przestępstw seksualnych wraca za kratki.

Czy ma to więc doprowadzić w przyszłości do „zamknięcia” wszystkich sprawców takich przestępstw? Zważywszy na to, że każdego roku skazuje się w Niemczech za takie czyny około sześciu tysięcy nowych sprawców, już tylko ze względów finansowych nie byłoby to wykonalne. Na same pomieszczenia konieczne by było w pierwszym roku osiemset milionów euro. Wyliczył to kierownik kliniki w Hamburgu Guntram Knecht. A na cały rok pobytu dożywotnio „zamkniętych” trzeba by wyłożyć ponad osiem miliardów euro. Na to nie może sobie pozwolić żadne państwo świata. Z reguły osadzeni w zakładach psychiatrycznych sprawcy przestępstw seksualnych są zwalniani po trzech-pięciu latach jako wyleczeni. Musi to potwierdzić niezależny biegły. Jeszcze do niedawna obowiązywała w psychiatrii zasada, że można i trzeba pomóc każdemu. Ale podobnie jak w każdej dziedzinie medycyny i tu istnieją pacjenci - nie nazywamy ich więźniami - nieuleczalni. W Niemczech według najnowszych szacunków stanowią oni dziesięć procent. Co się z nimi dzieje? Czy przynajmniej oni są na zawsze „zamknięci”?

W Holandii rozpoczęto w 2000 roku pierwszy tzw. Longstay-Projekt. Pacjenci nie mający perspektyw na przedterminowe zwolnienie zostali umieszczani w specjalnych stacjach „Longstay”. Niedługo potem tego rodzaju specjalistyczne kliniki urządzono też w Nadrenii-Westfalii. Od 2004 roku także w zakładzie psychiatrycznym w Hamburg-Ochsenzoll jest w „Domu nr 9” podobny oddział Longstay. Przebywa tam obecnie piętnastu chorych. Jednak nadal pewne podstawowe sprawy nie są wyjaśnione.

Dotyczy to szczególnie odpowiedzi na pytanie, które zaburzenia dają się leczyć, a które nie.

Odrębne stanowisko prawa anglo-amerykańskiego

W anglo-amerykańskim systemie prawnym problem braku zdolności rozpoznania znaczenia czynu jest szczególnie kontrowersyjny. W Wielkiej Brytanii uniewinnienie oskarżonego wskutek niepoczytalności należy do tradycji prawnej od 1505 roku. W opartym na kazuistyce prawie karnym najważniejsze ustalenia na temat tego pojęcia wprowadzono w 1843 roku dzięki morderstwu Daniela M'Naghtena. Edward Drummond, sekretarz brytyjskiego premiera Roberta Peela, został zastrzelony przez zamachowca M'Naghtena. Celem ataku był właściwie sam premier. Sprawca cierpiał jednak na manię prześladowczą i zastrzelił niewłaściwego człowieka. Przysięgli uznali go za niewinnego w powodu niepoczytalności. Wyrok ten wywołał przerażenie opinii publicznej, dlatego brytyjski prawodawca poczuł się zobowiązany doprecyzować sprawę. Jego definicja zwana jest odąd „regułą M'Naghtena”: „Z niepoczytalnością mamy do czynienia, kiedy zostaje dowiedzione, że oskarżony w chwili popełnienia czynu nie był w pełni władz umysłowych wskutek choroby psychicznej, tak że nie rozpoznawał istoty i charakteru popełnionego czynu, albo jeśli rozpoznawał, nie rozumiał, że czyni coś niewłaściwego”. Chory psychicznie sprawca nie jest więc niepoczytalny w sensie prawnym według prawa angielskiego, jeśli wie, że jego czyn jest niewłaściwy. Jeśli tak właśnie jest, może zostać skazany.

Ta sama zasada obowiązuje w Stanach Zjednoczonych. Tutaj jeszcze do niedawna chorzy psychicznie sprawcy mogli być nie tylko skazywani, ale też straceni. Według niedawnych szacunków około dziesięciu procent skazanych w tym kraju na karę śmierci to psychicznie chorzy. Zwłaszcza w tzw. death belt (pasie śmierci), czyli południowych stanach Teksas, Georgia, Floryda i Luizjana, dokonuje się egzekucji chorych psychicznie spraw-

ców. Na początku lat dziewięćdziesiątych przeprowadzono tu dwie trzecie wszystkich egzekucji w Stanach Zjednoczonych. W pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku większość Amerykanów nadal uważa, że kara śmierci ogólnie odstrasza i zapobiega dalszym zbrodniom, czemu jednak przeczą dane statystyczne i badania długoterminowe. Wielu Amerykanów, również prawników i polityków, jest do dziś przekonanych, że każdy, kto zabił, utracił prawo do życia. Także gdy jest psychicznie chory. Pewną rolę odgrywają tu z pewnością również uprzedzenia rasowe. Spośród 1,7 miliona osób osadzonych dziś w więzieniach w Stanach Zjednoczonych ponad 60 procent należy do etnicznych lub rasowych mniejszości, w tym sporo ponad 50 procent stanowią Murzyni.

Wszystkie te wypadki, przy niemieckim pojmowaniu prawa wręcz niewiarygodne, zdarzyły się, chociaż amerykańska konstytucja gwarantuje ochronę przed okrutną i niezwykłą karą. Dlatego już w 1989 roku sprawa Johnny'ego R trafiła do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Jednak pięciu spośród dziewięciu sędziów uważało, że wykonanie egzekucji człowieka upośledzonego psychicznie nie narusza konstytucji. Upośledzenie psychiczne może być jednak uznane przez przysięgłych za okoliczność łagodzącą.

Wyrok ten został zrewidowany na podstawie nowego postanowienia Sądu Najwyższego z lipca 2002 roku. Sąd musiał wydać orzeczenie w sprawie Daryla A., skazanego w 1996 roku w stanie Wirginia na śmierć za morderstwo, ponieważ jako osiemnastolatek zastrzelił człowieka. W badaniu przeprowadzonym w 1998 roku wykazano, że jego iloraz inteligencji wynosił ledwie 59. Sąd Najwyższy jest obecnie zdania, że egzekucja upośledzonego umysłowo jest sprzeczna z konstytucją. Poszczególne stany mogą jednak osobno ustalać, co uważają za „chorobę psychiczną”.

Sprawą Daryla A. w 2005 roku zajmuje się ponownie sąd w Yorktown w Wirginii. W 2004 roku wykonano kolejne testy inteligencji skazanego. Jego iloraz inteligencji wzrósł w więzieniu do 76. Psychologowie próbowali wyjaśnić to tym, że jego walka prawna i częste kontakty z prawnikami pobudziły go intelektualnie. Dotychczas wychodzono z założenia,

że niedorozwój umysłowy jest stanem trwałym. Teraz Daryl A., obecnie dwudziestosiedmioletni, nie jest już chroniony najnowszym postanowieniem Sądu Najwyższego. W Wirginii granicę „upośledzenia umysłowego” wyznacza iloraz inteligencji 70. W sierpniu 2005 roku biała ława przysięgłych w Yorktown postanawia po trzynastogodzinnej naradzie, że Daryl A. „nie jest upośledzony umysłowo”. Sędzia wyznacza więc termin egzekucji przez wstrzyknięcie trucizny na 2 grudnia 2005 roku.

Problematyka kanibalizmu

Szczególne znaczenie dla kwestii zdolności rozpoznania znaczenia czynu mają sytuacje, kiedy człowiek zabija drugiego człowieka, by go zjeść. Spotyka się je nawet jeszcze w najnowszej historii kryminalistyki.

Wielokrotnie donoszono o ponad siedemnastu bestialskich mordach popełnionych przez Jeffreya L. Dahmera, „kanibala z Milwaukee”, w którego mieszkaniu znaleziono ugotowane i zamrożone części ludzkiego ciała. A także o ponad pięćdziesięciu dwóch przerażających morderstwach Rosjanina Andrieja Czikałi, „potwora z Rostowa”, który zjadał organy płciowe swoich ofiar. Dahmer dostał dożywocie, Czikała stracono. Obaj byli niepoczytalni, więc nie powinni zostać skazani, tylko umieszczeni w zamkniętych zakładach psychiatrycznych.

W Finlandii w marcu 1999 roku stanęło przed sądem trzech mężczyzn i jedna kobieta, ponieważ jako wyznawcy kultu szatana torturowali pewnego członka grupy, zabili go, a następnie zjedli części jego ciała.

W Kazachstanie w październiku 2001 roku skazano na śmierć dwóch mężczyzn, którzy zamordowali bestialsko siedem młodych prostytutek, poćwiartowali ich ciała i przyrządzili z nich szaszłyki. Jedli go sami, zaserwowali też swoim krewnym.

Kwestia poczytalności nie odgrywała w tej sprawie żadnej roli.

Klasycznym przykładem kanibalizmu w Niemczech jest historia Karla Denke. W niewielkim śląskim miasteczku Miinsterberg człowiek ten ucho-

dził za dobroczyńcę. Miał zawsze wolne miejsce do spania dla wędrownych czeladników i włóczęgów. Z powodu swojej pobożności nazywany był przez mieszkańców „tata Denke”. Nikt nie miał pojęcia, że człowiek ten, mający już sześćdziesiąt lat, od lat żywi się wyłącznie mięsem zabitych przez siebie ludzi. Po jego zatrzymaniu w grudniu 1924 roku policjanci odkryli w drewnianej kadzi zakonserwowane mięso z piersi, brzucha i pośladków różnych osób. Inne garnki zawierały świeżo ugotowane ludzkie mięso. Wszędzie wałały się wygotowane kości i trzysta pięćdziesiąt ludzkich zębów. W swoim notatniku Denke wypisał nazwiska pięćdziesięciu jeden zabitych mężczyzn i kobiet i pedantycznie odnotował ciężar poszczególnych części ich ciała. Z ich skóry wyrabiał szelki i sznurowadła. Karl Denke był nedorozwiniętym umysłowo, zбочonym psychopata cierpiącym na natręctwa myślowe. W seksuologii uchodzi on za pierwowzór psychopaty ćwiartującego ciała swoich ofiar. Prawdopodobnie nie był w pełni odpowiedzialny za swoje czyny. Kwestii tej nie wyjaśniono nigdy jednoznacznie, ponieważ ten seryjny morderca powiesił się w celi, nie doszło więc do skazania i przypuszczalnego stracenia. Uchroniło to może wymiar sprawiedliwości przed wydaniem błędnego wyroku.

W upalny lipiec 1976 roku zgroza ogarnia Zagłębie Ruhry. Zaginęła czteroletnia Marion K. z Duisburga. Kiedy w sąsiednim domu zapchała się ubikacja na piętrze, sprowadzony hydraulik znalazł w rurze odpływowej ludzkie wnętrzności. Wezwani policjanci przeszukują lokal mieszkającego na poddaszu czterdziestotrzyletniego klozetowego Joachima K. W zamrażarce znajdują zapakowane w plastikowe torebki zamrożone kawałki ludzkiego mięsa. W stojącym na piecu garnku z zupą z marchewki i ziemniaków leży mała ludzka ręka. Joachim K. zostaje natychmiast aresztowany. Skwapliwie relacjonuje funkcjonariuszom, jak 2 lipca 1976 roku zwabił do swojej mansardy małą Marion i bezskutecznie próbował zgwałcić. Broniła się rozpaczliwie, więc ją udusił. Potem chciał się „dowiedzieć, jak człowiek wygląda od środka i jak smakuje”. Ten analfabeta przyznaje się jeszcze do czternastu morderstw, które sobie przypomina. Kiedyś przestał już liczyć. Zwykle wyżywał się seksualnie na zwłokach, następnie kroił je

i spożywał przede wszystkim „piękne uda i pośladki” zabitych kobiet. Swoich pierwszych doznań seksualnych doświadczył, kiedy musiał szlachtować u rzeźnika krowy i świnię. Niekiedy zaspokajał się też na zwierzętach. Biegli sądowi, zwłaszcza hamburski seksuolog Eberhard Schorsch, stwierdzają u niego bardzo niski, bliski granicy niedorozwoju umysłowego iloraz inteligencji.

Piątego października 1979 roku przed sądem przysięgłych w Duisburgu rozpoczyna się proces o osiem popełnionych morderstw i próbę zabójstwa. Postępowanie sądowe ciągnie się przez sto czterdzieści dwa dni na przestrzeni dwóch i pół roku. Joachim K. zostaje uznany za w pełni poczytalnego i skazany na dziewięciokrotne dożywocie, chociaż biegli stwierdzili u niego ograniczoną zdolność rozpoznania znaczenia czynu. Umiera na zawał serca 1 lipca 1991 roku w zakładzie karnym Rheinbach. Także ten sprawca, cechujący się jednocześnie tępotą i zwierzęcą przebiegłością, nie potrafił kontrolować popędów i instynktów drapieżcy. Siła jego chorobliwych impulsów była czasem tak nieodparta, że wręcz czuł się zmuszony popełniać te czyny. Z całą pewnością na wydanie takich wyroków wpłynęła straszliwa zgroza, jaka ogarnia człowieka, gdy się dowiaduje o tak przeraźliwych zbrodniach. A także podświadome przekonanie, że takich zwyrodniałców i niebezpiecznych dla ogółu sprawców trzeba raz na zawsze usunąć ze społeczności ludzkiej poprzez całkowite unicestwienie, a nie umieszczenie w zakładzie leczniczo-opiekuńczym, skąd mogliby zapewne łatwiej uciec niż z więziennego bloku szczególnego nadzoru. Są to jednak rozważania prawnopolityczne, które przy orzekaniu wyroku przez związanych przepisami prawa sędziów nie mogą być brane pod uwagę.

Kanibalizm nie jest w Niemczech czynem karalnym. Być może zmieni się to po głośniejszej i sensacyjnej precedensowej sprawie czterdziestodwuletniego informatyka Armina M. z Rotenburga nad Fuldą, który w latach 2003-2004 stał przed sądem przysięgłych w Kassel pod zarzutem morderstwa. W nocy z 9 na 10 marca 2001 roku w swoim dworku zabił on inżyniera Berndta Jürgena B., a następnie spożył jego mięso, wykwintnie przyrządzone. Zrobił tak, oświadcza Armin M. na procesie, ponieważ

B. go o to poprosił. Dlatego też jego obrońca Harald Ermel domaga się zakwalifikowania jego czynu jako „zabójstwo na żądanie”. Prokurator Marcus Kohler żąda natomiast dożywotniego pozbawienia wolności za morderstwo na tle seksualnym. Wyłożona kafelkami ubojnia ludzi z podestem rzeźnickim, nożami i siekierą, wiszący na haku mężczyzna z obciętym penisem - tego jeszcze w Niemczech nie było. Armin M. wybrał swoją przyszłą ofiarę na czacie internetowym spośród setek chętnych. Kwestia poczytalności odgrywa rolę i w tym procesie. Seksuolog Klaus Beier wyjaśnia w swojej ekspertyzie, że zarówno sprawca, jak i ofiara cierpieli na poważne zwyrodnienie psychiczne. Także sam rytuał sprawiania w „rzeźni” sprawiał Arminowi M. wyraźną przyjemność. Jednak jego zdolność krytycznej oceny i kierowania swoim postępowaniem nie były ograniczone podczas dokonywania czynu. Mógł on kontrolować swoje pragnienia i działał z rozmysłem. Dlatego uznano, że jego zdolność rozpoznania znaczenia czynu nie była ograniczona. Tym sprawa ta różni się od innych. Albowiem sam akt kanibalizmu nie oznacza, że ludzie, którzy go popełniają, są po prostu psychicznie chorzy czy do tego stopnia zwyrodniali, że zabijając, a ostatecznie zjadając części zwłok, nie wiedzą, co czynią. Po dwumiesięcznym procesie siódma wielka izba karna sądu rejonowego w Kassel skazuje tego „Kanibala” na osiem i pół roku więzienia. Nie chodziło tu o czyn najbardziej niski pod względem etycznym i moralnym, uzasadnia łagodny wyrok sędziego przewodniczący Volker Mutze. Armin M. nie kierował się „niepohamowanym instynktownym egoizmem”. Sprawca i ofiara wykorzystali się wzajemnie jako narzędzia pozwalające doznać „ostatecznego szczytowania”. U ofiary, która rozstała się z życiem, występował nasilony masochizm seksualny. Dlatego mężczyzna ten pragnął, by Armin M. obciął mu penis. U żadnego z nich nie można jednak stwierdzić poważnego ograniczenia wolnej woli. Armin M., przejawiający fetyszy-styczną skłonność do męskiego mięsa, pracował jak rzemieślnik, jak rzeźnik. Przyjemne doznania nie stały w chwili dokonywania czynu na pierwszym planie. Dlatego można to było potraktować tylko jako zabójstwo.

Wyrok ten budzi zdecydowaną krytykę. Laikom nieobeznanym z prawem trudno pojąć, że czyn ten nie wyczerpuje znamion morderstwa - nie ma tu żadnej perfidii, okrutnego sposobu dokonania, zaspokojenia popędu płciowego czy „innych niskich pobudek”. Armin M. nie postępował ze swoją ofiarą w sposób lekceważący, mówi uzasadnienie wyroku, ponieważ „chciał przyjąć w siebie człowieka godnego miłości”. Nie mamy tu więc do czynienia z działaniem o najbardziej nikczemnym charakterze. Zabił on raczej z ciekawości, jakie doznania rodzi szlachtowanie, a także by uzyskać mięso mężczyzny. To z pewnością cokolwiek podejrzanе uzasadnienie czynu, który bezsprzecznie pozostaje na granicy prawa i zdolności sędziów, by współmiernie karać nieprawość.

Na podstawie złożonej przez prokuraturę rewizji sprawą tą musi się zająć drugi senat karny sądu federalnego. Adwokat sądu federalnego Lo-thar Senge domaga się bezzwłocznej zmiany przepisów prawa. Jest to jednak zbyt późne na mocy generalnego orzeczenia sędziów federalnych z 22 kwietnia 2005 roku. Sąd federalny wkracza tu na „dziewicze tereny” prawa i postrzega to przestępstwo jako morderstwo, ponieważ wyczerpuje ono dwa znamiona pasujące jak ulał do przypadków kanibalizmu: „morderstwo w celu zaspokojenia popędu płciowego”, do czego nie jest wymagana ani bezpośrednia zależność czasowa, ani przestrzenna, jak również „morderstwo dla umożliwienia innego czynu karalnego”, mianowicie „zakłócenia spokoju zmarłego”. Sędziowie z Kassel nie potwierdzili takiego zakłócenia, ponieważ ofiara zgodziła się na „ubój”, więc nie naruszyło to jej godności. Zdaniem sądu federalnego nie mówi się tu wszakże o godności indywidualnej, ale o „godności człowieka jako gatunku”. Miarą jest tu „uczucie pietyzmu ogółu społeczeństwa”. Sędziowie sądu federalnego postrzegają wyrok z Kassel jako błędny. Kierują sprawę do sądu rejonowego we Frankfurcie nad Menem w celu przeprowadzenia nowej rozprawy głównej. Wobec ich generalnego orzeczenia należy się liczyć z tym, że teraz już „kanibal z Rotenburga” jako morderca zostanie przez frankfurtską izbę karną skazany na dożywotnie pozbawienie wolności.

W tym samym czasie niemiecką opinię publiczną bulwersuje kolejna dziwaczna sprawa „Kanibala”, w której również wydano nieuprawomocniony jeszcze błędny wyrok. Thomasowi S., dwudziestosześcioletniemu elektrykowi z Ahrweiler, postawiono zarzut, że 10 stycznia 2002 roku zamordował z zazdrości swoją dwudziestodwuletnią kuzynkę, ciało poćwiartował, a jego fragmenty najprawdopodobniej zjadł. Miał on udusić we śnie tę młodą kobietę, z którą mieszkał wspólnie w mieszkaniu swojej babki, ponieważ wyznała mu, że spodziewa się dziecka z innym mężczyzną. Oskarżenie pragnie dowieść, że podgrzał on w piecu, a następnie spożył z gotowanym ryżem jej obcięte piersi, których nigdy nie odnaleziono, podobnie jak zewnętrznych narządów płciowych. Prokuratura wywnioskowała to z faktu, że przy innych częściach ciała znaleziono ziarnka ryżu. Podczas procesu przed sądem rejonowym w Koblencji Thomas S. nie przyznaje się do zarzucanego mu czynu. W domniemanym czasie popełnienia przestępstwa spał on. Gdy się zbudził, znalazł głowę i miednicę swojej kuzynki w wannie. W obawie, że natychmiast stanie się podejrzany, zawiózł części zwłok do kamieniołomu i tam ukrył. Izba karna nie daje mu wiary. Z uwagi jednak na ekspertyzę biegłych psychiatrów, w której twierdzą, że zdiagnozowali u oskarżonego „schizoidalne zaburzenia osobowości” i uznają go za niezdolnego do rozpoznania znaczenia czynu, sąd nie może go skazać. Decyzją z 1 grudnia 2003 roku kieruje go do zamkniętego zakładu psychiatrycznego.

Rewizję składa nie prokuratura, ale sam oskarżony. Z powodzeniem. Wyrok zostaje uchylony, ponieważ sąd federalny dopatrył się w orzeczeniu „poważnych uchybień formalnych i merytorycznych”. Sąd uznaje biegłego za mało profesjonalnego. Odsyła więc sprawę do sądu rejonowego w Koblencji, gdzie 9 czerwca 2005 roku rozpoczyna się drugi proces przeciw Thomasowi S. Przyszłość wykaże, czy tym razem zostanie on skazany za morderstwo, czy znowu uznany za niezdolnego do rozpoznania znaczenia czynu. Zgodnie z prawem jednak (par. 331 niemieckiego kodeksu postępowania karnego) kwestionowany wyrok nie może zostać zmieniony na niekorzyść oskarżonego, kiedy on sam złożył rewizję. Ten zakaz *reformatio*

303

in peius istniał już w prawie rzymskim. W tym procesie oznaczałoby to, że oskarżony musiałby zostać zwolniony, gdyby uznano go za zdolnego do rozpoznania znaczenia czynu. Jeśli ponownie uzna się go za niepoczytalnego, pozostanie w zakładzie zamkniętym.

Kwestia braku zdolności do rozpoznania znaczenia czynu odegrała rolę w wielu słynnych sprawach. Niektóre z nich miały miejsce dawno temu. W ośmiu sprawach z Niemiec, Anglii i Stanów Zjednoczonych, które przedstawimy teraz w kolejności chronologicznej, kwestię poczytalności rozstrzygnięto pozytywnie albo wcale jej nie badano mimo poważnych przesłanek. Dlatego wydane wyroki skazujące należy uważać za kontrowersyjne.

Gesche Gottfried, bremeńska oblubienica diabła
(Niemcy, 1 października 1813-21 kwietnia 1831)

Na dziedzińcu katedry w Bremie jeszcze dziś osadzony w bruku kamień budowlany z wrytym krzyżem przypomina o miejscu, gdzie stał niegdyś szafot. Tam właśnie 21 kwietnia 1831 roku ścięto Gesinę („Gesche”) Gottfried. Niektórzy bremeńczycy nadal spluwają, mijając ten kamień. Tak żywe jest wspomnienie o Gesche Gottfried. Jako „oblubienica diabła” i pierwsza seryjna morderczyni w niemieckiej historii prawa dotąd uchodzi ona za najbardziej znaną obywatelkę tego miasta hanzeatyckiego. Mniej zakorzeniona w świadomości ludzkiej jest wiedza o tym, że jej skazanie i egzekucja były błędnym wyrokiem nie tylko według dzisiejszych, ale już i ówczesnych standardów prawnych.

Gesche Margarethe Timm urodziła się, wraz ze swoim bratem bliźniakiem Johannem, w 1785 roku w Bremie jako córka szwaczki wełny i krawca. W 1806 roku, w wieku dwudziestu jeden lat, poślubia zamożnego, starszego o pięć lat mistrza siodlarskiego Johanna Miltenberga z dystygowanej Pelzerstrafie, co umożliwia jej awans z bardzo ubożego środowiska do kręgów solidnego mieszczaństwa. Jej mąż jest jednak hultajem, który włóczy się po knajpach i burdelach, przepijając rodzicielski majątek.

Małżeństwo z Gesche nie jest szczęśliwe, mąż bije ją i zdradza. I rujnuje sobie zdrowie hulaszczym trybem życia. Kiedy ciężko chory umiera po siedmiu latach małżeństwa 1 października 1813 roku, nikt jeszcze nie przeczuwa, że Gesche otruła go arsenikiem. Motywem jej pierwszego morderstwa była bezsprzecznie także troska, że pewnego dnia, kiedy mąż przepuści resztki majątku, zostanie ona znowu bez środków do życia.

Już jako mężatka Gesche ma kochanka. Jest nim cieszący się życiem handlarz win Michael Christoph Gottfried, przyjaciel jej męża. Kobieta znajduje z nim seksualne spełnienie. Przez dwa lata nie dzieje się nic, aż naraz, w 1815 roku, Gesche morduje pięciu członków swojej rodziny: 2 maja matkę, 10 i 18 maja dwie córki, trzy- i sześciolletnią, 28 czerwca -ojca, a 22 września pięcioletniego syna. Biedna kobieta, myślą sobie litościwi bremeńczycy, straciła w tak krótkim czasie wszystkich bliskich. Nikomu nie przychodzi nawet do głowy, że padli oni ofiarą nieobliczalnej morderczyni.

Rok później, po zakończeniu wojny z Napoleonem, powraca z pola walki, biedny i chory Johann, bliźniaczy brat Gesche, dawno uznany za zaginionego. Kiedy domaga się przypadającej mu części rodzicielskiej schedy, siostra serwuje mu 1 czerwca 1816 roku na obiad zaprawionego arsenikiem łupacza. Także śmierć Johanna nikogo nie dziwi.

Romans z Michaeliem Gottfriedem ma swoje następstwa, Gesche zachodzi w ciążę. Prosi go, by ją poślubił, on jednak nie może się zdecydować. Ta kobieta budzi w nim jakieś obawy. Gesche znowu chwyta glinianą buteleczkę z „mysim masłem”, mieszaniną arseniku z tłuszczem. Otrzymała ją kiedyś od matki, by wytepić robactwo. Wielokrotnie aplikuje Gottfriedowi niewielkie dawki, a gdy ten zaczyna obłożnie chorować, opiekuje się nim ofiarnie. Gottfried, bliski już śmierci, ostatecznie poślubia ją jednak, ulegając tak wielkiej miłości. Umiera 5 lipca 1817 roku.

Popołniono siedem morderstw, jednak Gesche Gottfried mieszka dalej w Bremie, przez nikogo nie niepokojona. Wciąż trapią ją kłopoty finansowe, rozgląda się więc za nowym mężem. Poznaje kupca damskiej konfekcji Paula Zimmermanna i zaręcza się z nim w 1823 roku. Mężczyzna

kocha ją i obdarza hojnie w testamencie. W aptece na rynku kobieta zaopatruje się w nowe, szeroko podówczas stosowane „mysie masło” i dodaje go do własnoręcznie przygotowanego kompotu ze śliwek, którym częstuje narzeczonego. Paul Zimmermann umiera w cierpieniach 1 czerwca 1923 roku.

Podczas następnych dwóch lat Gesche Gottfried truje kolejną osobę ze swego bliskiego otoczenia i aplikuje niewielkie, niegroźne dla życia dawki trucizny niektórym znajomym. Dwudziestego pierwszego marca 1825 roku kończy się to tragicznie także dla jej wieloletniej przyjaciółki i nauczycielki muzyki Anny Meyerholz. Zjada ona zatruty przez Gesche sucharek i umiera po przeraźliwej agonii. Jedenastą ofiarą Gesche staje się jej wieloletni przyjaciel i sąsiad Johann Mosess. Marnieje on przez prawie rok, po czym umiera w następstwie otrucia 5 grudnia 1825 roku.

„Nie czułam się wcale źle w roli trucicielki - zeznaje później Gesche do protokołu. - Mogłam podawać truciznę bez najmniejszych wyrzutów sumienia i z pełnym spokojem ducha. Jakby jakiś głos mówił mi, że muszę tak postąpić; żywiłam do tego poniekąd upodobanie. Sypiałam spokojnie, a wszystkie te nieczne postęпки wcale mi nie ciążyły. Człowiek wzdraga się przecież przed złem. Tylko ze mną tak nie było. Mogłam czynić zło z przyjemnością”.

Gesche Gottfried sprzedaje swój dom przy PelzerstraBe 37 państwu Wilhelminę i Johannowi Rumpffom, zastrzegając sobie jednak prawo do mieszkania tam. Jako „ciocia Gesche” żyje w przyjaźni z tą szczęśliwą rodziną. Ale już 22 grudnia 1826 roku Wilhelminę umiera po dwukrotnym zaaplikowaniu jej arszeniku. Podobny los spotyka 13 maja 1827 roku przyjaciółkę Betę Schmidt, a dwa dni później jej trzyletnią córeczkę.

W mieście krąży coraz więcej pogłosek o niesamowitych zgonach w bliskim otoczeniu Gesche. Jednak nic się jeszcze nie dzieje. Friedrich Kleine, bliski partner w interesach z Hanoweru, pożyczył Gesche pieniądze i domaga się teraz ich zwrotu. Kobieta jedzie do Hanoweru i truje go tam „mysim masłem”, którego dodaje do siekanej szynki. Kleine umiera wśród niewypowiedzianych cierpień 24 lipca 1827 roku. Nikomu nie przychodzi na

myśl, że Gesche coś mu podała. Dzieciom Kleinego kobieta oświadcza, że zwróciła pożyczone pieniądze.

Kiedy pewnego dnia Johann Rumpff odkrywa w sałatce oraz na kawałku słoniny białawą ziarnistą substancję, nabiera podejrzeń. Pokazuje to Gesche Gottfried, ta jednak wzrusza tylko ramionami i odgrywa niewiniątko. Sąsiad ostrzega go, by nie jadł niczego, co ona przygotowała. Coraz więcej ludzi z otoczenia Gesche cierpi na „osobliwą chorobę z wymiotami”. Gesche rozdziela już chyba dawki trucizny na chybił trafił, kiedy zostaje zdekonspirowana.

Johann Rumpff znowu zauważa w jedzeniu białawą substancję, tym razem na szynce. Daje ją do zbadania swemu lekarzowi domowemu dr. Luce i uzyskuje niebawem pewność, że w grę wchodzi znaczne ilości arszeniku. Powiadamia policję, która 6 marca 1828 roku aresztuje czterdziestotrzyletnią podówczas Gesche. Kobieta wydaje się zastraszona i zmieszana, kiedy przewieziono ją do celi aresztu w Ostertor. Jak i wcześniej udaje jej się wzbudzić sympatię osób, z którymi ma do czynienia. Sędzia śledczy traktuje ją przyjaźnie i łagodnie.

W ciągu kolejnych trzech lat Gesche Gottfried będzie przesłuchiwana prawie codziennie. Urzędnicy bremeńskiego senatu Droste i Noltenius wypytują ją szczegółowo. Kobieta relacjonuje swoje czyny czasem wolno i rozwlekle, czasem słowa płyną z jej ust jak wodospad. Jej obrońca Leopold Voget usiłuje, pełen zrozumienia, odnaleźć przyczyny jej perfidnych czynów. Pozostają one jednak niejasne. Czy chodziło o ciągłe kłopoty finansowe, czy zabijanie dawało jej zadowolenie? Czy schlebiało to jej egoistycznej, seksualnej próżności, czy też cieszyła się współczuciem, jakie okazywano jej, kiedy umierało coraz więcej ofiar z kręgu jej rodziny i przyjaciół?

Podczas przesłuchań kobieta wciąż opowiada pełna żalu i skruchy o popędzie do zabijania, którego sama sobie nie potrafi wytłumaczyć. Senator Droste, sędzia śledczy, już cztery miesiące po aresztowaniu Gesche odnotowuje: „Przedstawienie charakterystyki obwinionej wydaje mi się jak dotąd niemal niepodobieństwem!”. Jej charakter pełen jest sprzeczności.

Nikommu jednak, poza jej obrońcą, nie przychodzi do głowy, że kobieta jest najzwyczajniej chora psychicznie i niepoczytalna. Dr Voget oświadcza w swoim piśmie obrończym, że „poleca naukowe postępy naszych czasów” swojej klientce, którą zgodnie z najnowszymi ustaleniami medycyny sądowej uważa za niepoczytalną i dlatego niezdolną do rozpoznania znaczenia czynu. Domaga się obszernego orzeczenia psychiatrycznego.

Rzecz to niesłychana i absolutnie nowa w sądownictwie karnym Bremy. Bremeńscy sędziowie nie są gotowi uznać tej „przybyłej z Francji teorii”, zgodnie z którą „niejeden przestępca może uniknąć sprawiedliwej kary”. Nie przychylają się do wniosku obrony i 17 września 1830 roku skazują Gesche Gottfried na śmierć przez ścięcie mieczem. Jej odwołanie zostaje odrzucone 6 kwietnia 1831 roku przez wyższy sąd apelacyjny w Lubece.

Przy orzekaniu tego błędnego wyroku, podobnie jak w wielu innych przypadkach niesprawiedliwości w niemieckiej historii prawa, z pewnością rolę odegrało pragnienie wyznaczenia pokuty współmiernej do okrutnych i perfidnych mordów. Postrzeganie Gesche Gottfried jako oskarżonej, której nie można uczynić odpowiedzialną za jej czyny, ponieważ brak jej świadomości winy i zdolności rozpoznania karalności jej postępów, nie dawało się pogodzić z pragnieniem zemsty. Choć już w owym czasie istniały możliwości rozpoznania choroby winowajczyni i jej dość jednoznacznych objawów oraz umieszczenia kobiety w zakładzie leczniczo-opiekuń-czym, i chociaż również w myśl ówczesnego prawa skazanie i stracenie osoby psychicznie chorej nie było dopuszczalne, sędziowie uznali Gesche Gottfried za winną, skazali ją na śmierć i nie zastosowali prawa łaski.

Inna sprawa, jak to w ogóle możliwe, że morderstwa tej kobiety nie wyszły wcześniej na jaw. Z pewnością przyczyniły się do tego panujące w typowym środowisku okresu niemieckiego biedermeieru pozory mieszczańskiej obyczajności i ślepe zaufanie do „przyzwoitości”. „Zacnej mieszcze” Gesche Gottfried po prostu nie sposób było przypisać tak haniebnych czynów.

Dwudziestego pierwszego kwietnia 1831 roku o godzinie ósmej rano przedwcześnie postarzała i wychudła jak szkielet Gesche Gottfried wsiada przed swoim więzieniem na wózek, który przewozi ją na miejsce straceń

przed ratuszem, obok tysięcy ludzi, którzy stoją w milczeniu, gęsto ściśnięci, na ulicach i na Domplatz, by współuczestniczyć w tym okrutnym spektaklu. Jest to ostatnia publiczna egzekucja w Bremie. Wysoki na sześć stóp szafot wzniesiono przed środkowymi drzwiami ratusza. Na obitej czarną tkaniną trybunie stoją stół i cztery krzesła dla sędziów, obok drewniany trójnożny kozioł. Skazana powinna na nim usiąść, jeśli nie może wysłuchać na stojąco odczytania wyroku. Senator Droste bierze ze stołu drewniany kij, przełamuje go i wypowiada formułę: „Kij przełamany, wyrok wydany, człowieku, musisz umrzeć!”. Gesche Gotfried otrzymuje ostatni kielich wina. Upija nieco, po czym, rzecz zgoła niezwykła, w milczeniu podaje rękę każdemu z sędziów.

Gdy posadzono ją na krzesło i zbyt mocno przypięto ramię, kobieta krzyczy głośno z bólu. Modląc się cicho, choć słyszalnie, czeka na cięcie miecza, który zaraz odrąbie jej głowę. Katu Dietzowi wystarczy do tego jedno silne uderzenie. Chwyta on za włosy odciętej głowę i pokazuje na wszystkie strony milczącej ciżbie. Potem przewraca krzesło z martwym już ciałem i kładzie zwłoki do ustawionej obok trumny. Odrąbana głowa zostanie zalana spirytusem i wystawiona w muzeum w Domhof, gdzie zachowano też w szafie szkielet. Głowa zaginęła w 1913 roku, a szkielet spłonął podczas bombardowań w czasie drugiej wojny światowej.

Morderstwa na tle seksualnym Ludwiga Tessnowa

(Niemcy, 1 lipca 1901-1904)

Dwaj synowie woźnicy Grawerta z nadbałtyckiego uzdrowiska Góhren na Rugii, pięcio- i siedmiolatek, udają się po południu 1 lipca 1901 roku, jak to już często bywało, do pobliskiego lasu. Kiedy wieczorem nie zjawiają się w domu, rozpoczyna się zakrojona na szeroką skalę, trwająca do godzin porannych akcja poszukiwawcza. O godzinie trzeciej nad ranem odnalezione zostają ich zwłoki. Okaleczone, obnażone - tylko w czapce i pończochach - ciało młodszego brata leży tuż przy drodze z Góhren do Baabe.

30Q

Czaszka jest zgruchotana, gardło poderżnięte aż do kręgosłupa. Z rozplatanego brzucha wylewają się jelita, brak serca. Całkiem niedaleko, w zaroślach paproci, znaleziono obciętą, także strzaskaną głowę starszego brata oraz górną część jego tułowia. Dolną część ciała z obiema nogami odkryto dopiero później. W promieniu jakichś czterystu metrów leżą porozrzucane, wydobyte z ciała, częściowo pocięte na plasterki narządy wewnętrzne. Jest między nimi zakrwawiony kamień wielkości pięści, którym przypuszczalnie zabito chłopców.

Jakaś handlarka owocami powiadamia policję, że widziała, jak późnym popołudniem zaczepił obu chłopców Ludwig Tessnow, czeladnik stolarski z Baabe. Dlatego wieczorem 2 lipca zostaje on aresztowany. Na jego marynarce, koszuli i krawacie, a także rondzie kapelusza widnieją świeże plamy krwi. To bejca stolarska, oświadcza Tessnow i nie przyznaje się do zabicia dzieci.

Podczas dochodzenia wstępnego okazuje się, że przed trzema laty Tessnow był już aresztowany jako podejrzany o bestialski mord na dwóch siedmioletnich dziewczynkach. Z braku dowodów trzeba go było jednak wypuścić. Charakterystyki obu przestępstw zgadzają się prawie w stu procentach. Sędzia śledczy przesyła ubranie Tessnowa na uniwersytet w Greifswaldzie, gdzie pracuje jako biolog lekarz wojskowy Paul Uhlen-huth. Opracował on nową metodę oznaczania rodzajów krwi. Jego orzeczenie świadczy jednoznacznie o winie Tessnowa.

Jednak trzech biegłych medycznych oświadcza, że Tessnow działał w „stanie epileptycznego zamroczenia po nadużyciu alkoholu” i w chwili popełniania czynu nie był w pełni poczytalny. Czwarty lekarz, nie będący psychiatrą, stwierdza u niego ograniczoną poczytalność. W myśl ówczesnych przepisów prawnych jest to równoznaczne z pełną poczytalnością.

Sąd przysięgłych w Greifswaldzie idzie za tym orzeczeniem i wiosną 1902 roku skazuje Tessnowa na śmierć. Podczas ogłaszania terminu egzekucji Tessnow dostaje ataku epileptycznego. Wyrok jest prawomocny. Ale potem pojawiają się rosnące wątpliwości, czy skazany nie jest jednak psychicznie chory. Wykonanie wyroku zostaje odroczone, dochodzi do wznowienia procesu.

Podczas nowej rozprawy głównej sześciu lekarzy referuje opinie medyczne. Wydały je między innymi Kolegium Medyczne prowincji Pommern oraz Królewska Komisja Naukowa ds. Medycyny w Berlinie, najwyższa instancja ekspertyz medyczno-sądowych w Prusach. Wszyscy lekarze oświadczają zgodnie, że Tessnow jest bez wątpienia psychicznie chory, a w chwili popełnienia czynu pozostawał w stanie wykluczającym kierowanie się wolną wolą.

Mimo to Tessnow zostaje ponownie skazany na karę śmierci. obrońca składa rewizję, którą odrzuca jednak Sąd Najwyższy Rzeszy w Lipsku. Tessnow nie został jednak stracony, jak błędnie informują niektóre książki. Niedługo potem w drodze łaski złagodzone mu wymiar kary do dożywotniego ciężkiego więzienia.

Wobec jednoznacznych i zgodnych orzeczeń lekarskich wszystkie trzy wyroki w sprawie Tessnowa należy zaliczyć do błędnych. Człowiek ten wskutek niepoczytalności w ogóle nie potrafił rozpoznać znaczenia swoich czynów. Nie powinien zostać skazany, tylko umieszczony w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Jak to już napisał w 1911 roku Erich Sello w książce *Die Irrtumer der Strafiustiz und ihre Ursachen* (Pomyłki sądownictwa karnego i ich przyczyny) sędziowie w tym wypadku, „ulegając zgrozie obiektywnych czynów, nie rozpatrywali zbyt dokładnie subiektywnej strony kwestii winy”.

Siła pieniądza. Sprawa Harry'ego Thawa

(Stany Zjednoczone, Nowy Jork, 25 czerwca 1906-22 czerwca 1915)

Na początku dwudziestego stulecia majątek Harry'ego Thawa, syna amerykańskiego króla kolei żelaznych z Pittsburgha, szacuje się na ponad czterdzieści milionów dolarów. Ten trzydziestopięciolatek jest znanym playboyem i lekkoduchem prowadzącym hulaszcze, pełne luksusu życie. Jego szalone pomysły są znane, ale i budzą lęk. W Nowym Jorku wjeżdża konno po schodach budynku siedziby klubu, galopuje na starej szkapie

31 I

dorożkarskiej po Broadwayu i stacza dzikie bijatyki, nierzadko także z funkcjonariuszami policji.

Zakochuje się on w Nelly Nesbit, młodej i pięknej jak z obrazka aktorce. Jest jednak pewien szkopuł. To ukochana Stanforda White'a, jednego z najwybitniejszych i najbogatszych architektów Ameryki. White, rudo-blond brodaty olbrzym po pięćdziesiątce, jest niezmiernie popularny i bardzo szanowany zwłaszcza w kręgach artystycznych jako człowiek chętny do pomocy i hojny mecenas. Harry Thaw odbija mu ukochaną i niedługo później ją poślubia.

Dwudziestego piątego czerwca 1906 roku Thaw wraz z żoną i dwojgiem przyjaciół pojawia się na premierze w pewnym nowojorskim teatrze. Publiczność siedzi przy małych stolikach, przy których można pić i jeść. Jest tam też Stanford White. Witają się ozięble. Harry Thaw nudzi się. Uznaje sztukę za głupią i proponuje wcześniejsze opuszczenie spektaklu. Podczas gdy jego żona i jej towarzysze kierują się ku wyjściu, Harry Thaw podchodzi do stolika White'a, wyciąga z kieszeni surduta rewolwer i posyła mu kulę w głowę. Drugi strzał trafia go w usta, trzeci w ramię. Goście przy sąsiednich stolikach drętwieją z przerażenia. Nikt nie zatrzymuje napastnika, kiedy ten z wysoko uniesioną bronią spieszy ku wyjściu. Tam żona wita go słowami: „Mój Boże, Harry, coś ty zrobił?”. Ten popycha ją do windy i odpowiada spokojnie i z rozważą: „Prawdopodobnie uratowałem ci życie!”.

Nie ujechali daleko. Już na parterze Thaw zostaje zatrzymany przez policjanta i odstawiony na posterunek. Nie zaprzecza, że zabił Stanforda White'a. Postąpił tak ze względu na sposób, w jaki White traktował jego żonę, oświadcza. Przestępstwo to budzi wielką sensację w całej Ameryce.

Thaw zostaje oskarżony o morderstwo. Prasa pisze o akcie zazdrości. Bogata rodzina Thawów angażuje najlepszych adwokatów kraju. Jednym z nich jest William Olcott z Nowego Jorku. Jediną szansę na uratowanie swego klienta przed krzesłem elektrycznym widzi on w tym, by dowieść, że już od dłuższego czasu jest on niepoczytalny. Udaje mu się skłonić psychiatrę dr. Hamiltona do wydania za bardzo wysokie honorarium odpowiedniego orzeczenia.

Kiedy dowiaduje się o tym prokurator William Jerome, postanawia poddać oskarżonego badaniu przez komisję lekarską. Podaje do wiadomości, że jeśli komisja ta dojdzie do podobnego wniosku, to skieruje Harry'ego Thaw'a do zakładu psychiatrycznego. Jerome z niespożytą energią zabiera się do tej sprawy. Nie chodzi tu tylko o spór między sprawiedliwością a jej brakiem, oznajmia wojowniczo, ale też o to, że państwo i społeczeństwo nie powinny ulegać milionom rodziny Thawów. Harry Thaw uważa, że jego obrońca został przekupiony przez Stanforda White'a, by na zawsze umieścić go w zakładzie, więc pozbawia go pełnomocnictwa. Za honorarium w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów angażuje najślynniejszego na Zachodnim Wybrzeżu obrońcę w sprawach karnych mecenasa Delmasa. Ten postanawia domagać się kwalifikacji czynu jako zabójstwa w afekcie. White zadał gwałt Evelyn Thaw, a jej mąż zastrzelił złoczyńcę jako „mściciel honoru”. Delmas liczy na to, że dzięki takiej konstrukcji uzyska uniewinnienie, na wzór francuskich crimes passionels.

Ale Ameryka to nie Francja. A od czasu, gdy Evelyn Thaw była ukochaną Stanforda White'a, upłynęło kilka lat. Ponadto Thaw ani przed dokonaniem czynu, ani potem nie był bynajmniej szczególnie podekscytowany, dlatego przysięgli zapewne nie uznają, że działał on w afekcie. Tak w każdym razie sądzą inni adwokaci Thaw'a. Naradzają się nad podobną strategią i decydują się na wersję, że oskarżony nie był niepoczytalny ani przed przestępstwem, ani po nim, a tylko w chwili jego dokonania. Rozprawa główna rozpoczyna się 21 stycznia 1907 roku w zapelnionej po brzegi sali sądu nowojorskiego. Ponad pięćdziesiąt gazet przysłało swoich sprawozdawców. Spośród dwustu powołanych przez sąd osób oskarżenie i obrona wybierają przysięgłych, co z uwagi na konieczność zebrania dodatkowych informacji trwa ponad tydzień.

Po pierwszych przesłuchaniach świadków do głosu dochodzi obrona. Pragnie ona dowieść, referuje obrońca John Cleason, że oskarżony został pchnięty do popełnienia czynu przez natrętne wyobrażenia, że Stanford White grozi mu i go prześladowuje. Od trzech lat oskarżony cierpi na uwarunkowaną dziedzicznie chorobę mózgu. Nie miał świadomości, że czyni

coś niewłaściwego. Pod wpływem swojej choroby sądził raczej, że jest upoważniony do zastrzelenia White'a. Na koniec lekarz, znający oskarżonego od ponad trzydziestu lat, informuje, że Harry Thaw przez całe życie cierpiał na poważne zaburzenia nerwowe. W młodości miewał często ataki płasawicy. Potwierdza to jeszcze jeden lekarz.

Siódmego lutego w ławie świadków staje dwudziestodwuletnia Evelyn Thaw. Jej delikatna, nieomal dziecięca uroda i pełne uroku zachowanie zyskują z miejsca sympatię wszystkich obecnych. Stanford White wykorzystał ją jako szesnastolatkę, oświadcza kobieta, wlawszy w nią tyle szampana, że była kompletnie pijana. Musiała potem o tym milczeć, nie opowiadać nikomu. Ale gdy zwierzyła się później mężowi, był tym wstrząśnięty i niezmiernie wzburzony. Także po ich ślubie White ustawicznie próbował zniechęcić ją do męża. Oczerniał go przed wszystkimi i zniesławiał w najohydniejszy sposób, twierdząc między innymi, jakoby Harry'emu sprawiało satysfakcję chłostanie młodych dziewcząt. Miał on być sadystą.

Prokurator Jerome bierze świadka w krzyżowy ogień pytań i wykazuje, że jeszcze na długo po ślubie z Harrym otrzymywała ona pieniądze od White'a. Potem zaś przedstawia przysięgłym zeznanie, które Evelyn Thaw złożyła do protokołu 27 października 1903 roku w obecności pewnego nowojorskiego adwokata. Wynika z niego, że jako osiemnastolatka podróżowała przez pół Europy z Harrym, udając, że są małżeństwem, co jednak było nieprawdą. W Tyrolu Thaw wynajął stary zamek. W jego sklepionej piwnicy musiała się przed nim rozebrać do naga. Potem przez jakieś siedem minut bił ją po całym ciele skórzanym pejcem, aż skóra pękała. „Błagałam go, by mnie zostawił, ale on nie chciał. Byłam tak wzburzona, że krzyczałam i wzywałam pomocy. Ale personel zamkowy nie mógł usłyszeć tych krzyków, bo mój głos nie przenikał przez grube mury”. Nazajutrz rano Thaw przyszedł ponownie, rozebrał ją i podwiesił na belce. I znów zaczął chłostać, tym razem tak strasznie i długo, aż w końcu zemdląca. Upłynęło kilka tygodni, nim znów mogła się poruszać i wstawać z łóżka. Zajścia takie powtarzały się regularnie i były coraz intensywniejsze, w Szwajcarii, a także w Paryżu. Thaw uczynił z tego formalne ceremonie, wobec czego była bezsilna.

Odczytanie tego protokołu wywiera niesamowite wrażenie na przysięgłych, stając się prawdziwą sensacją. Powstaje teraz całkiem odmienny obraz oskarżonego. A także jego późniejszej żony. Mimo wszystko została ona z nim, a ciągle biczowania sprawiały jej może nawet przyjemność, twierdzi prokurator. Zszokowana jest też Evelyn Thaw. Próbuje wykręcać się, twierdząc, że przedstawiony protokół to fałszerstwo. Figuruje jednak pod nim jej autentyczny podpis, więc nikt nie daje jej wiary. Pytanie teraz, czy owe tortury dowodzą niepoczytalności oskarżonego? Na polecenie obrony zeznaje dwóch lekarzy. Za swoje orzeczenie otrzymali od rodziny Thaw ogromne honorarium. Mówi ono, że Harry Thaw nie był poczytalny, kiedy zastrzelił White'a. Od trzech lat cierpiał on na chorobę umysłową. Jego czyn można zrozumieć tylko w ramach świata wyobrażeń psychicznie chorego. Prokurator Jerome kontruje, przedstawiając sądowi sześciu biegłych psychiatrów. Wszyscy zeznają, że Thaw był w chwili popełnienia czynu w pełni poczytalny. Na to obrona powołuje dalszych pięciu psychiatrów, którzy poświadczają coś wręcz przeciwnego. Harry Thaw, mówią, cierpi na nieuleczalną paranoję. Wtedy prokurator Jerome zmienia strategię. Przychyla się do zdania tych ekspertów i twierdzi, że Harry Thaw nie jest już zdolny rze-czowo instruować swojego obrońcę. Jest całkowicie niepoczytalny.

Sąd decyduje się powołać komisję trzech nadrzędnych biegłych, dwóch prawników i lekarza. Po wielu przepytaniach i badaniach 4 kwietnia 1906 roku dochodzą oni do zgodnego wniosku, że Thaw jest całkowicie poczytalny. Mimo to przez całe dwa dni obrona domaga się uznania niepoczytalności oskarżonego i jego uniewinnienia. Prokurator Jerome oświadcza natomiast w swojej mowie końcowej, że chodzi tu o dokonane z zimną krwią, brutalne i w pełni przemyślane morderstwo. Kto zabija pod wpływem namiętności, ten przed i po dokonaniu czynu nie zachowuje się w sposób tak spokojny i opanowany, jak to czynił oskarżony. Nie może tu być w ogóle mowy o żadnej „burzy emocjonalnej”.

Siódmego kwietnia 1907 roku o godzinie siedemnastej po trwającym jedenaście tygodni procesie przysięgli udają się na naradę. O jedenastej

wieczorem jeszcze nie doszli do jednomyślności. Zostają więc zamknięci na noc. Nazajutrz rano domagają się od sędziego dalszego wyświetlenia pewnych kwestii. Po trwającej czterdzieści siedem godzin naradzie zwierzchnik ławy przysięgłych oświadcza ostatecznie, że nie udało się osiągnąć jednomyślności. Siedmioro przysięgłych głosowało za morderstwem, a pięcioro za niewinnieniem z powodu braku poczytalności. Według prawa anglo-amerykańskiego oznacza to, że trzeba przeprowadzić nowy proces. Pierwszy kosztował już ponad sto tysięcy dolarów. A rodzina Thawów wyłożyła czterokrotnie więcej na koszty obrony.

Do nowego procesu upłynęło dziewięć miesięcy. Rozpoczyna się 6 stycznia 1908 roku przed innym nowojorskim sądem przysięgłych. Prokuratorem jest znowu William Jerome. Rodzina Thawów zaangażowała nowych adwokatów, ze starymi się pokłócono. Słynny obrońca w sprawach karnych Littleton uważa teraz za wskazane obstawać przy trwałej niepoczytalności swego klienta. Wskazuje na zwyrodnienia w rodzinie, w której występowały choroby psychiczne.

I tym razem przysięgli potrzebują na naradę i podjęcie decyzji ponad dwadzieścia cztery godziny. Pierwszego lutego 1908 roku ogłaszają wyrok: oskarżony jest niewinny z powodu niepoczytalności. Harry Thaw śmieje się, słysząc ten werdykt. Sądzi bowiem, że zostanie niezwłocznie zwolniony. Ochota do śmiechu mija mu, kiedy sędzia nakazuje umieścić go dożywotnio, jako osobę niebezpieczną dla otoczenia, w zakładzie psychiatrycznym, by uchronić przed nim społeczeństwo. Rodzina Thawa nie zaprzestaje walki. Już kilka miesięcy później rozpoczyna się kolejny proces, podczas którego obrońcy oświadczają, że Thaw nie jest już niepoczytalny. Próba ta spełza jednak na niczym, podobnie kolejna latem 1909 roku. Harry Thaw pozostaje w zakładzie psychiatrycznym, gdzie przygotowano dla niego cały korytarz z trzynastoma celami. Posiłki otrzymuje z hotelu, traktuje się go jak gościa.

Klan Thaw inwestuje miliony, żeby uwolnić Harry'ego. Ale prokurator Jerome oświadcza otwarcie: „Stan Nowy Jork nie dopuści, żeby wymiar sprawiedliwości poniósł porażkę wskutek korupcyjnych machinacji”.

310

Przedstawia on sądowi nowego świadka. Jest to kierowniczką pewnego nowojorskiego domu publicznego, w którym Harry Thaw, podając się za profesora Reida, wynajmował okresowo trzy pomieszczenia. Chłostał tam regularnie piękne młode dziewczęta w wieku piętnastu-szesnastu lat, oświadcza świadek. Nieraz była przy tym obecna, a przedtem pomagała rozebrać ofiary i powiesić na linie albo przywiązać między dwoma słupkami. Było setki takich dziewcząt i młodych kobiet, także ciemnoskórych. Dla niej człowiek ten jest anormalnym współczesnym markizem de Sade, któremu sprawia satysfakcję dręczenie młodych kobiet. Thaw prowadził drobiazgowo zapiski na temat ich zdolności znoszenia cierpienia i rozmaitych reakcji podczas chłosty. Z dziewczynami, które wytrzymały najwięcej, kochał się, po czym raz jeszcze „traktował” specjalnie szpicrutą, aż zaczynały głośno krzyżeć i błagały, zalewając się łzami, by wreszcie przestał. Jeden z obrońców Thawa rzeczywiście potwierdza, że jego klient zapłacił 233 prostytutkom ponad 40 tysięcy dolarów za milczenie.

W lipcu 1912 roku spełza na niczym kolejna próba uwolnienia Thawa. Na ławie świadków nie robi on jednak wcale wrażenia osoby niepoczytalnej. Uważnie śledzi przebieg rozprawy i udziela inteligentnych odpowiedzi. Trzynastego sierpnia 1913 roku udaje mu się uciec z zakładu, przekupiwszy pielęgniarzy znacznymi sumami pieniędzy. Nie ustają pogłoski, że uprowadzenie zorganizował i przeprowadził za wysoką opłatą jeden z najsztywniejszych gangów nowojorskich. Gazety znów donoszą na pierwszych stronach o tym skandalicznym przypadku. Thaw ucieka do Kanady, gdzie zostaje jednak rychło zatrzymany przez tamtejszą policję.

Stan Nowy Jork wnosi o wydanie zbiega. Rząd kanadyjski odrzuca wniosek podczas jawnej rozprawy. Opinia publiczna cieszy się z takiej decyzji, jednak urząd imigracyjny nakazuje wydalić Thawa do New Hampshire. Tam sąd zarządza wszczęcie nowego dochodzenia. Powołuje komisję, która 12 stycznia 1914 roku stwierdza, że wprawdzie Harry Thaw był w chwili popełnienia przestępstwa niepoczytalny, ale teraz już nie jest. Nie można u niego stwierdzić choroby psychicznej. Nie zagraża też społeczeństwu.

Władze Nowego Jorku nie zgadzają się z tą decyzją i wnoszą sprawę przed sąd najwyższy w Waszyngtonie. Dwudziestego pierwszego grudnia 1914 roku podejmuje on decyzję o wydaniu Thawa do Nowego Jorku. Dwudziestego drugiego czerwca 1915 roku przed nowojorskim sądem przysięgłych dochodzi do siódmej rozprawy głównej w sprawie Harry'ego Thaw. Tysiące ludzi oblega budynek sądu, witając go prawie jak bohatera narodowego. Jego rodzina wydała wiele pieniędzy, żeby prasa pisała o nim pozytywnie.

Oskarżycielem nie jest już William Jerome. Ponad pięćdziesięciu świadków oznajmia, że Thaw jest najzupełniej normalny. Zabójstwo Stanforda White'a zostaje teraz zakwalifikowane przez lekarzy jako chwilowy przystęp wściekłości, swego rodzaju działanie w afekcie. Biegli sądowi, którzy oświadczyli wcześniej, że Thaw cierpi na nieuleczalną paranoję, twierdzą teraz coś wręcz przeciwnego i drogo każą sobie za to płacić.

Czternastego lipca 1915 roku ława przysięgłych uznaje, że Harry Thaw jest absolutnie normalny, może zostać zwolniony. Po ogłoszeniu wyroku ponad dwa tysiące ludzi gotuje mu owacje. Przysięgli mówią mu po imieniu i ściskają serdecznie rękę. Najwyraźniej zupełnie zapomniano o morderstwie.

Po dziewięcioletniej walce z wymiarem sprawiedliwości Harry Thaw odnosi zwycięstwo. Umożliwiła to siła pieniądza. Miliony rodziny Thawa uratowały go najpierw przed krzesłem elektrycznym, a potem przed dożywotnim odosobnieniem. „New York Times” nazywa ten rezultat skandalem i perwersją wymiaru sprawiedliwości. Ale atmosfera wkrótce się uspokaja. Harry Thaw przenosi się do Pittsburgha, rozwodzi się z żoną i prowadzi tam aż do śmierci życie spokojne i dyskretne.

Peter Kiirten, „wampir z Dusseldorfu”

(Niemcy, 1929-1931)

Problematyczne są też sprawy, kiedy rzeczoznawcy orzekają, że sprawca jest całkowicie poczytalny, dlatego sędziowie uznają go za zdolnego do

rozpoznania znaczenia czynu i wydają wyrok skazujący, choć istnieją poważne wątpliwości co do trafności ekspertyzy lekarskiej.

Kiedy między zimą 1929 roku a wiosną 1930 roku w Dusseldorfie dochodzi do kilku potwornych mordów seksualnych na kobietach i dziewczętach, miasto ogarnia histeria. Kobiety boją się wychodzić same na ulice, mężczyźni przebierają się za kobiety, by przywabić napastnika. Policja kryminalna wciąż nie może wykryć sprawcy. Ponieważ ofiary po zgwałceniu zostają albo zakłute nożyczkami, albo uderzone młotkiem, policjanci wiedzą jedno: chodzi najprawdopodobniej o tego samego człowieka, wyraźnie zwyrodniałego seryjnego mordercę. Kilku kobietom podcięto gardło, więc śledczy podejrzewają, że sprawca pił krew ofiar. Pod koniec 1929 roku wokół Dusseldorfu znajdowane są nagie, okaleczone zwłoki kobiet i dzieci.

Pewnej młodej kobiecie udaje się wyrwać napastnikowi bez szkody. Píše o tym przyjaciółce w liście, który jednak dostarczono niewłaściwemu adresatowi. Osoba ta przekazuje list policji kryminalnej, która trafia w ten sposób na właściwy trop. Prowadzi on na Mettmanner StraBe, gdzie mieszka Peter Ktirten, żonaty, lat czterdzieści siedem, karany wcześniej m.in. za podpalenie i kilkakrotne usiłowanie zabójstwa. Zostaje on aresztowany 24 maja 1930 roku dzięki pomocy jego żony Guste.

Śledztwo i badania psychiatryczne wykazują, że podejrzany pochodzi z rozbitej rodziny. Jego ojciec był pijakiem karanym za przestępstwa seksualne, podobnie dziadek i jego brat. Także sam Peter Ktirten był wcześniej karany i spędził już w więzieniu dwadzieścia dwa lata, ponad połowę życia. Podczas przesłuchań wyznaje, że jako dziewięciolatek rozmyślnie wpychał do Renu inne dzieci, które potem tonęły. Już w dzieciństwie dały się u niego zauważyć skłonności sadystyczne.

Ktirten przyznaje się, że popełnione morderstwa dawały mu satysfakcję seksualną, a podniecenie ogarniało go również, gdy pił krew ofiary. Dopiero wtedy „uspokajała się jego żądza”. Nie wie jednak, dlaczego popełnił te przestępstwa. Zaczynał krążyć „jak głodny lew”. Wtedy „nachodziło go coś takiego”, działał pod wpływem nieodpartego impulsu. Szkoda, że dopiero

3IQ

teraz go zatrzymano, oświadcza zaskoczonym funkcjonariuszom. Założył sobie bowiem, że będzie zabijać dwie osoby dziennie.

Kiirtenowi sprawia satysfakcję zainteresowanie, jakie wzbudza teraz podczas procesu przed sądem przysięgłych jako „wampir z Dusseldorfu”. Wszyscy biegli, w tym trzech profesorów uniwersyteckich, określają Kiirtena jako „obciążonego dziedzicznie, dotkniętego w okresie dzieciństwa przez szkodliwy wpływ środowiska psychopatę, pozbawionego hamulców w wyborze środków do zaspokojenia sadystycznego popędu seksualnego”. Jednak te psychiczne odchylenia „żadną miarą” nie wpływają na jego poczytalność. Jego poczytalność nie była też ograniczona, ponieważ „mógł on przy odrobinie dobrej woli opanować swoje sadystyczne skłonności”.

To w najwyższym stopniu zdumiewające twierdzenie prowadzi do tego, że sąd przysięgłych w Dusseldorfie uznaje oskarżonego za całkowicie odpowiedzialnego za swoje czyny i uznaje za winnego dziewięciu morderstw i siedmiu usiłowań zabójstwa. Zostaje skazany na śmierć. Wyrok jest prawomocny. Prośba o ulaskawienie zostaje odrzucona.

Opinia publiczna domaga się zemsty, co z pewnością wpłynęło na końcowe orzeczenia biegłych i decyzje sądu. Drugiego lipca 1931 roku Peter Ktirten zostaje ścięty gilotyną w więzieniu Klingelputz w Kolonii, przez tego samego kata Grópelera z Magdeburga, który sześć lat wcześniej zgilotynował też wielokrotnego mordercę Fritza Haarmanna.

Morderca dziewczynek Thomas Straffen

(Anglia, lipiec 1951-wrzesień 1952)

Dziesiątego lipca 1951 roku tłumy ludzi ściągają do niewielkiego miasteczka Windsor na południu Anglii. Powodem jest walka bokserska z udziałem ciemnoskórego Amerykanina Sugar Raya Robinsona, późniejszego mistrza świata w wadze średniej. Po zakończeniu wielkiego wydarzenia sportowego zostają znalezione zwłoki ośmioletniej Christine Butcher z Windsoru.

Została zamordowana. Ten haniebny czyn wzbudza niesłychaną sensację. To jednak dopiero początek.

Niedługo potem w południowej Anglii dochodzi do kolejnych morderstw dziewczynek. Piętnastego lipca w lesie w pobliżu kąpieliska Bath znaleziono uduszoną pięcioletnią Brendę Goddard. Ta adoptowana córka młodego małżeństwa bawiła się w przydomowym ogrodzie i wyszła na łąkę nazrywać kwiatów. Świadkowie zauważyli, jak zagadnął ją tam jakiś mężczyzna i zaprowadził do lasu. Opinia publiczna jest oburzona. Policja prowadzi gorączkowe śledztwo i zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, jednak bez rezultatu. Nie znaleziono sprawcy. Po południu 9 sierpnia 1951 roku dziewięcioletnia Cicely Batstone z Bath idzie samotnie do kina. Świadkowie zwrócili uwagę, jak zaczepił ją tam jakiś młody mężczyzna. Po zakończeniu seansu wsiada wraz z dziewczynką do autobusu jadącego na przedmieścia. Żona pewnego policjanta zauważa, jak oboje wałęsają się tam wzdłuż strumienia i siadają na łące. Także leżąca w trawie para kochanków spostrzega młodego mężczyznę z dziewczynką. Niedługo potem znaleziono tam zwłoki Cicely Batstone. I ona została uduszona. I w tym wypadku nie stwierdzono zgwałcenia. Okoliczności śmierci trzech dziewczynek prowadzą do wniosku, że wszystkie morderstwa popełnił ten sam sprawca. To wyraźnie dzieło jakiegoś seryjnego mordercy, który zabija z powodów wyraźnie nieseksualnych. Teraz jednak jest świeży trop. Żona policjanta podaje dokładny rysopis mężczyzny, a kierowca autobusu sądzi nawet, że go zna. Chodzi o Thomasa Straffena, dwudziestojednoletniego ogrodnika z Bath.

Policja ma go już w swojej kartotece. Pochodzi z wielodzietnej rodziny, która mieszka chwilowo w Indiach, gdzie ojciec służy jako żołnierz zawodowy. Już jako dziewięcioletek Thomas Straffen został skazany przez sąd dla nieletnich na dwa lata zakładu poprawczego, ponieważ w czerwcu 1939 roku ukradł dziewczynce sakiewkę. Podczas procesu badał go psychiatra, który uznał go za niedorozwiniętego umysłowo ze znacznymi wadami psychicznymi. Dlatego rok później zostaje skierowany do ośrodka dla dzieci upośledzonych umysłowo. Zwolniony w wieku szesnastu lat,

ma psychikę dziewięcioletnia. Mówi nie płynnie, do tego niewyraźnie i pozostaje nieśmiały, trudno nawiązującym kontakty odludkiem, niezdolnym do zdobycia wykształcenia w jakimś zawodzie.

Podczas okresowej pracy w zakładzie odzieżowym znowu popełnia kilka kradzieży. W lipcu 1947 roku dusi parę kur i kładzie nagle nieznaną trzynastoletniej rękę na ustach, pytając, co by zrobiła, gdyby ją teraz udusił. Trafia do aresztu śledczego, gdzie bada go psychiatra, rozpoznając ponownie wysoki stopień niedorozwoju umysłowego. Znowu zostaje skierowany do zakładu zamkniętego dla dzieci chorych psychicznie.

W lutym 1951 roku zostaje jednak ponownie zwolniony, ponieważ władze uważają, że nie stanowi zagrożenia dla ogółu. Pomyłka ta jest brzemenna w skutki. Straffen pozostaje jednak pod nadzorem policyjnym, ale może się swobodnie przemieszczać i znajduje pracę u ogrodnika. Żywi głęboką nienawiść do policji i postanawia się zemścić. W swoim mniemaniu robi to najłatwiej i najprościej, dusząc małe dziewczynki.

Kiedy w sierpniu 1951 roku Thomas Straffen zostaje aresztowany i oskarżony o trzykrotne morderstwo, od razu przyznaje się do zamordowania Brendy Goddard i Cicely Batstone, ale nie do zbrodni w Windsorze. Okazuje się, że tego dnia znajdował się w zakładzie psychiatrycznym, gdzie poddano go dalszym badaniom, nie mógł więc popełnić tego przestępstwa. Morderstwo Christine Butcher pozostaje niewyjaśnione do dziś. Kiedy Thomas Straffen zostaje oskarżony o dwukrotne morderstwo, śmieje się tylko, mówiąc śledczym, że nie mogą mu dowieść, że popełnił te zbrodnie, bo nikt go przy tym nie widział.

Siedemnastego października 1951 roku rozpoczyna się rozprawa główna przed sądem przysięgłych w Taunton. Trwa bardzo krótko. Wezwano tylko jednego świadka, lekarza zakładu psychiatrycznego. Określa on Straffena jako unfit to plead - niezdolnego, by odpowiadać przed sądem. Dlatego sąd go uniewinnia i kieruje do Broadmoore, najsłynniejszego angielskiego zakładu psychiatrycznego dla przestępców chorych umysłowo. Tutaj Straffen stosuje się chętnie do wszystkich nakazów. Kierownictwo zakładu powierza mu prace porządkowe, nie przysparza on problemów.

Dwudziestego dziewiątego kwietnia 1952 roku polecono mu pomóc innemu osadzonemu w sprzątaniu jednego z budynków. Budynek ma wyjście prowadzące na przyległy do muru zakład tylny dziedziniec, gdzie stoi kilka blaszanek ze środkiem dezynfekcyjnym. O godzinie 14.45 Straffen otrzymuje od towarzyszącego mu strażnika zgodę na to, by wytrzepać tam ścierkę do kurzu. Szybko i niespostrzeżenie ustawia jedną na drugiej kilka blaszanek, podciąga się na występ muru i skacze. Udaje mu się. Pod kombinezonem roboczym ma cywilne ubranie, co świadczy o tym, że zaplanował tę ucieczkę.

Zagłębia się w okoliczne lasy, a o szesnastej trzydzieści dociera do wsi Farley Hill. W pobliżu szkoły zaczepia pięcioletnią Lindę Bowyer, która podjechała do niego na rowerze, i namawia, by z nim poszła. Za wioską siada z nią pod dębem i dusi. Potem prosi w oddalonym o dwa kilometry domu o szklanek wody, pyta o przystanek autobusowy, dokąd podwozi go samochodem osobowym jakaś kobieta. Na przystanku dostrzega kilku policjantów. „Co oni tu robią?” - dopytuje się podniecony, wyskakuje z auta i kieruje się pospiesznie do położonej po przeciwnej stronie gospody. Wydaje się to podejrzaną kobiecie, która zawiadamia policjantów. Kiedy wstępują do lokalu, Straffen już tam nie ma. Umknął tylnym wyjściem. Zauważają go stojącego na ulicy jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej w otoczeniu kilkorga małych dzieci. Próbuje uciec, funkcjonariusze doganiają go jednak, chwytają i odprowadzają do zakładu Broadmoore. Pytany tam, co robił na wolności, odpowiada: „Nie zabiłem małej dziewczynki na rowerze!”. Niedługo potem przyznaje się jednak do winy. Rozpoczynają się poszukiwania ciała Lyndy Bowyer. Zostaje znalezione nazajutrz rano, dlatego Thomas Straffen zostaje natychmiast aresztowany i umieszczony w więzieniu.

Proces przeciw niemu o zamordowanie Lyndy Bowyer rozpoczyna się już 21 lipca 1952 roku przed sądem przysięgłych w Winchester pod przewodnictwem Justice'a Casselsa. W 1944 roku prowadził on też kontrowersyjne postępowanie karne przeciw Haroldowi Loughansowi. Oskarżenie reprezentuje Drugi Prokurator Koronny Manningham-Buller, który oświadcza, że

nie ma wątpliwości, że Straffen jest sprawcą. Udusił dziewczynkę własnymi rękami, na co potrzebował tylko kilkunastu sekund. Postępował przy tym niezwykle precyzyjnie. Jak przyznał lekarz sądowy, szyję dziecka uciskano dokładnie w odpowiednich punktach, jakby sprawca był w tym szczególnie doświadczony. Każdego dnia po zakończeniu rozprawy sędzia Cassels zwalniał przysięgłych do domu z surowym zakazem rozmawiania z kimkolwiek o tej sprawie bądź wypowiedzenia jakichkolwiek opinii, także wobec prasy. Nie stosuje się jednak do tego jeden z przysięgłych. Oświadcza w swoim klubie, że Straffen jest niewinny. Z powodu tej niedyskrecji należy zwolnić wszystkich przysięgłych. Cały proces zostaje powtórzony z nowym składem ławy przysięgłych.

Obrona rezygnuje z powołania Thomasa Straffena na ławę świadków. Może był to błąd, bo wskutek tego przysięgli nie mają okazji przekonać się osobiście o wysokim stopniu upośledzenia umysłowego oskarżonego. Jedyne słowa, jakie usłyszeli od Straffena, brzmiały: „Not guilty!” („Niewinny!”).

Pierwszym rzeczoznawcą obrony, który zostaje wysłuchany, jest psychiatra dr Leitch. Od 1947 roku kilkakrotnie badał Straffena i uznał go za osobę o psychice dziewięciolatka. Na podstawie serii testów stwierdził on wówczas, że części mózgu Straffena odpowiedzialne za wyższe funkcje psychiczne są całkowicie dezorganizowane. Dlatego nie jest on zdolny, dowodzi przed sądem dr Leitch, ogarnąć prawdziwego charakteru i konsekwencji swoich działań i ocenić ich w rozsądny sposób. Straffen to człowiek upośledzony umysłowo, niezdolny rozróżnić rzeczy właściwe od niewłaściwych. Nie jest on też całkowicie niepoczytalny. W ramach swojej upośledzonej inteligencji wiedział jednak, co znaczy zabić człowieka. Także drugi biegły, dr Parkes, który przed procesem o morderstwo w Bath uznał Straffena za unfit to plead, niezdolnego, by odpowiadać za swoje czyny, po powtórny zbadaniu dochodzi do zaskakującego wniosku. Oskarżony nie wie, co znaczy słowo „winny”. Straffen postrzega roz-

wój wypadków co najwyżej jak dziewięćolatek. Uczył się jednak na podstawie doświadczeń, więc należy go uznać za całkowicie^ to plead. Jest to kontrowersyjna konkluzja, ale zgadza się z nią dr Williams, lekarz zakładu Broadmoore, występujący jako trzeci ekspert.

Także trzej lekarze prokuratury uznają Straffena za upośledzonego umysłowo, ale nie za niepoczytalnego. Doskonale wiedział, co robi, zdawał też sobie sprawę, co jest zakazane i karalne, a co nie. Na tej podstawie oskarżyciel domaga się w swojej mowie końcowej kary śmierci dla Straffena. obrońca argumentuje, że skoro ktoś nie wie, co znaczy słowo „winny”, to nie może też być winny i pociągany do odpowiedzialności za swoje czyny.

Przysięgli potrzebują tylko pół godziny na wydanie wyroku. Uznają Straffena za winnego. Sędzia Cassels wkłada, zgodnie z tradycją, pas czarnej tkaniny na swoją perukę i skazuje Straffena na śmierć. Stojący obok niego kapelan wypowiada głośno: „Amen!”. Straffen nie okazuje żadnych emocji. Jego obrońca składa odwołanie od tego wyroku. Zostaje ono jednak odrzucone 20 sierpnia 1952 roku. Egzekucję, przy poparciu opinii publicznej, wyznaczono na 6 września 1952 roku. Po kolejnym dokładnym zbadaniu przez ekspertów medycznych Straffen zostaje jednak ułaskawiony na tydzień przed wykonaniem wyroku i umieszczony w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Skorygowano w ten sposób wyrok, co spotkało się z przychylnym przyjęciem większości środowisk lekarskich kraju. Thomas Straffen zostaje nadto uznany za niezdolnego do zrozumienia znaczenia czynu. Nie powinien zostać skazany na śmierć.

Heinrich R, „potwór ze Szwarcwaldy”
(Niemcy, 1959-1960)

Także wielokrotny zabójca Heinrich R pochodzi z rodziny, gdzie często występowały choroby psychiczne i samobójstwa. I on był wcześniej poważnie

325

karany. Swoje pierwsze morderstwo - na czterdziestodwujęcioletniej księgowej - popełnia w wieku dwudziestu jeden lat w lutym 1959 roku. W następnych miesiącach zabija kolejne młode kobiety.

Szczególnie okrutne jest morderstwo pewnej dwudziestojednoletniej kobiety, którą spotykał, gdy wychodziła z toalety w nocnym ekspresie do Heidelbergu. Mężczyzna otwiera drzwi pociągu i niespodziewanie wypycha ją na zewnątrz. Potem pociąga za hamulec bezpieczeństwa, wysiada i szuka w ciemnościach ofiary. Kiedy ją znajduje, ta jeszcze żyje. Podcina jej gardło, ściąga z nasypu kolejowego i obcuje ze zwłokami. Już tydzień później, 8 czerwca 1959 roku, Heinrich R zabija ponownie. Na leśnej drodze napada szesnastoletnią dziewczynę i grożąc sztyletem, żąda, by „dała mu się zerznąć”. Kiedy ta się broni, przewraca ją na ziemię i gwałci. Gdy ofiara odzyskuje przytomność, R dźga ją w gardło, następnie dusi.

Heinrich R zostaje zatrzymany 19 czerwca 1959 roku. Przyznaje się do wszystkich morderstw i oświadcza, że zachęciły go do tego skąpo ubrane kobiety z filmu Cecila DeMillea Dziesięcioro przykazań. Nie rozumie jednak, jak mogło dojść do tych przestępstw. Kiedy brał nad nim górę „zły Heinrich”, nie potrafił pohamować popędów. Wszystko przebiegało w sposób nieuchronny, jakby siłą przeznaczenia. Badającemu go psychiatrze opowiada, że ślubował zgwałcić i zabić 71 317 kobiet. Nigdy nie miał do nich szczęścia, zawsze źle wychodził na kontaktach z nimi. Podczas procesu przed sądem przysięgłych we Fryburgu biegły sądowy określa oskarżonego jako „osobę nie zrównoważoną, o wyraźnie niedojrzałych popędach. W jego mózgu czy duszy rozgrywają się procesy, które najwidoczniej popychają do straszliwych czynów”. Inny biegły nazywa Heinricha R „osobowością wybitnie anormalną”, a neurolog potwierdza „nieprawidłowości w mózgu”. Mimo to lekarze potwierdzają pełną poczytalność oskarżonego. Do tego bardzo kontrowersyjnego orzeczenia przychyliła się też ława przysięgłych. Sąd przysięgłych we Fryburgu 22 października 1960 roku skazuje oskarżonego na sześciokrotne dożywocie. Do dziś nie milknie dyskusja, czy był to wyrok błędny.

Jurgen Bartsch, „bestia z Langenbergu”
(Niemcy, 1962-1971)

Chyba żaden seryjny morderca nie wypowiadał się tak często na temat swoich czynów, żaden sprawca przestępstw seksualnych nie był badany przez tylu biegłych, co Jurgen Bartsch. Mimo to pozostaje on zagadką. Kwestia jego poczytalności odgrywała główną rolę w „procesie stulecia”, który przeszedł przez wszystkie instancje sądowe.

Szóstego listopada 1946 roku w Essen będący nieślubnym dzieckiem Karl-Heinz Sadrozinsky zostaje w wieku jedenastu miesięcy adoptowany po śmierci swojej matki przez małżeństwo rzeźników Bartschów z Langenbergu. Otrzymuje wtedy nazwisko Jurgen Bartsch. W okresie dzieciństwa wiele cierpi, bo jego przybrana matka wykazuje chorobliwe zamięłowanie do czystości. Nie wolno mu się brudzić ani bawić z dziećmi, żyje właściwie w izolacji. W toku późniejszego procesu powie o swojej matce: „Wolałaby mieć lalkę”. Był też często bity.

W wieku ośmiu lat podczas uroczystości rodzinnych zostaje zgwałcony przez piętnastoletniego kuzyna. Jako dziesięcioletek dostaje się do ośrodka opiekuńczego, potem do katolickiego internatu. Tutaj zauważa po raz pierwszy, że czuje pociąg do młodszych chłopców. Rodzice zabierają go stamtąd, na życzenie ojca musi uczyć się na rzeźnika. Chętnie pracuje jako sprzedawca w sklepie, ale na myśl o szlachtowaniu bydła robi mu się niedobrze. „Trzeba się urodzić rzeźnikiem” - powtarza jego ojciec. Okropne słowa dla Bartscha. Musiał się nauczyć zarzynać cielaki, potem będzie to robić z dziećmi.

W lesie znajduje stary bunkier przeciwlotniczy, dokąd zwabia teraz małych chłopców. Wiąże ich i maltretuje. Swoje skłonności homoseksualne i sadystyczne sam uważa za zboczone. W czerwcu 1961 roku donosi na niego ojciec jednego z dręczonych chłopców. Policja także prowadzi dochodzenie. Postawione zostaje oskarżenie przed sądem okręgowym w Wuppertalu. Wymiar sprawiedliwości nie zdaje sobie jednak jeszcze sprawy ze skali tych czynów. Sprawa dotyczy tylko niebezpiecznego uszkodzenia

ciała. Prokuratura umarza postępowanie, sądząc, że to bagatela. To poważny błąd, jak się niebawem okaże.

Teraz bowiem fantazje seksualne Jurgena Bartscha stają się coraz bardziej przerażające. Od 1962 roku włóczy się on po Zagłębiu Ruhry wyposażony w brzytwę, młotek i nóż rzeźnicki. Do 1966 roku znika bez śladu czterech chłopców w wieku od ośmiu do piętnastu lat. Bartsch zaczepia ich na kiermaszach i zwabia do bunkra. Tam rozbiera, wiąże i wykorzystuje seksualnie. Potem zabija i ćwiartuje fachowo zwłoki. Ich szczątki znaleziono później na miejscu.

Osiemnastego czerwca 1966 roku znajduje swoją piątą ofiarę. Chłopakowi udaje się jednak uciec z bunkra, kiedy Bartsch zostawił go tam na kilka godzin. Po zakrojonej na szeroką skalę policyjnej akcji poszukiwawczej, dzięki wskazówkom ludności, dziewiętnastoletni sprawca zostaje zatrzymany.

Bartsch przyznaje się od razu do wszystkich czynów. Badają go biegli psychiatrzy, uznając za całkowicie poczytalnego. Można go uważać za dorosłego, oświadczają, zawsze kontroluje on swoje postępowanie. Stanowi jednak skrajny przypadek rozwoju psychicznego. Biegli przyznają, że ma uczucia, sumienie i sporą inteligencję. Komu udało się przez długie lata zabijać bez zwracania uwagi, ten musi być w pełni odpowiedzialny. Może mówią to dlatego, by nie brać na siebie odpowiedzialności? Piętnastego grudnia 1967 roku sąd przysięgłych w Wuppertalu skazuje go jako niebezpiecznego notorycznego przestępcę na czterokrotne dożywotnie ciężkie więzienie.

Wśród głosów opinii publicznej, obok zdumienia i zaskoczenia, że tak uprzejmy i sympatyczny młody człowiek może być zdolny do takich okropności, pojawia się też gwałtowna krytyka wyroku. Jurgen Bartsch zupełnie nie odpowiada stereotypowi złego przestępcy. Czy zamiast wzywać kata, nie powinno się raczej wezwać lekarza? Ponadto, obok dotychczasowego obrońcy Heinza Moliera, sprawę przejmuje teraz wybitny monachijski adwokat Rolf Bossi. Składa rewizję w sądzie federalnym, wytyka przede wszystkim poważne naruszenia przepisów kodeksu postępowania

go. Ponieważ Bartsch część przestępstw popełnił jako nieletni, proces nie powinien być jawny. Przede wszystkim wolno go skazać tylko na podstawie par. 51 niemieckiego kodeksu karnego, co znaczy, że jest niepoczytalny. Osiemnastego listopada 1960 roku trzeci senat do spraw karnych sądu federalnego uchyła wyrok i kieruje sprawę do ponownego rozpatrzenia przed izbą dla nieletnich sądu rejonowego w Dusseldorfie.

Wiedeński pisarz Karl Kraus powiedział kiedyś o psychiatrii sądowej, że jest to „najbardziej zajmująca spośród wszystkich gier towarzyskich”. Teraz sprawą Bartscha zajmuje się cała ówczesna elita psychiatrów i psychologów. Ośmiu słynnych naukowców, z prof. dr. Wilfriedem Raschem, profesorem zwyczajnym psychiatrii sądowej na Freie Universität w Berlinie na czele. Większość biegłych przypisuje Bartschowi ograniczoną poczytalność.

Podczas nowego postępowania wychodzi też na jaw, jak bardzo „społeczeństwo” może zawinić wobec dziecka i jak trudno wymiarowi sprawiedliwości uznać taką winę. Szóstego kwietnia 1971 roku sąd rejonowy w Dusseldorfie skazuje Jurgena Bartscha na dziesięć lat pozbawienia wolności i skierowanie do zakładu leczniczo-opiekuńczego. W uzasadnieniu wyroku napisano:

„Oskarżony atakował swoje ofiary z zimną krwią, z niesłychaną bezwzględnością. Podczas rozprawy głównej można było odnieść wrażenie, że w głębi duszy pozostaje on obojętny wobec popełnionych czynów. Chciałby je nawet kontynuować, bo nadal władają nim popędy, a jego marzenia pozostają niezmienione. Oskarżony jest też może z tego powodu człowiekiem godnym pożałowania, ale jego działania wymagają kategorycznie długotrwałej kary, podczas której mogłyby znaleźć odpowiedni wyraz zarówno zamiar poprawy, jak i pragnienie pokuty”.

Wyrok ten pozostawia bez odpowiedzi podstawowe pytanie, czy ten sprawca przestępstw seksualnych o zaburzonych popędach jest człowiekiem chorym, czy tylko przestępcą. Jeśli u Bartscha mamy do czynienia z zaburzeniami rozwoju o charakterze chorobowym, to jego poczytalność jest nie tylko ograniczona, ale wykluczona. A jeśli wymaga on opieki lekarskiej, co potwierdzają zgodnie wszyscy biegli, i zostaje skierowany do

zakładu leczniczo-opiekuńczego, to wydaje się absurdalne skazywanie go przedtem na dziesięć lat więzienia i podjęcie leczenia dopiero po odbyciu kary.

W zakładzie psychiatrycznym Eickelborn Bartsch poślubia w 1974 roku pomoc pielęgniarską Giselę D. z Hanoweru, która już niedługo po wydaniu prawomocnego wyroku nawiązała z nim znajomość. Ale nadal dręczą go mordercze fantazje, także poczucie winy. By uwolnić go od tych cierpień, lekarze proponują rozmaite psychoterapie. Rozważają nawet operację mózgu.

W 1976 roku Bartsch zgadza się na kastrację. Podczas operacji w szpitalu rejonowym w Eickelborn zapaść układu krążenia doprowadza do jego śmierci. Sekcja zwłok wykazuje, że anestezjolodzy pomylili się w dozowaniu środka anestetycznego halotanu. Podano go w niewłaściwej dawce, lekarze muszą się przyznać do błędu w sztuce. Pojawiają się też głosy, że to nie było tylko wynikiem niedbalstwa. Nie ma na to jednak żadnych dowodów.

Śmiertelne chwytły zapaśnicze. Sprawa Lionela T.

(Stany Zjednoczone, Floryda, 28 lipca 1999-29 stycznia 2004)

Jak na swoje dwanaście lat ciemnoskóry Lionel T. jest bardzo wysokim, silnym chłopakiem. Wraz ze swoją matką Kathleen mieszka w małej miejscowości koło Fort Lauderdale na Florydzie. Kilka przecznic dalej, przy Pem-broke Park, mieszka Deweese E. z sześciolletnią córeczką Tiffany. Obie kobiety są rozwiedzione i znają się, podobnie jak ich dzieci, ze wspólnego pobytu na Jamajce. Często pomagają sobie w opiece nad potomstwem. Także wieczorem 28 lipca 1999 roku Tiffany przebywa wraz z Lionelem w mieszkaniu jego matki Kathleen.

Przygotowawszy dzieciom kolację, kobieta sadza je przed telewizorem, a sama idzie na górę zdrzemnąć się. Około godziny dziesiątej wieczorem zabawa dzieci staje się tak głośna, że Kathleen woła do nich, by byli ciszej. Nie schodzi jednak, by sprawdzić, skąd te głośne jęki i stękanie. Tego za-

niedbania nie będzie sobie później mogła darować. Mniej więcej po czterdziestu minutach Lionel idzie do niej i oznajmia podniecony, że Tiffany nie oddycha. Kathleen pędzi na dół i widzi małą leżącą bez ruchu na podłodze. Może ma astmę i dostała ataku, myśli, i natychmiast telefonuje do matki dziewczynki. Ambulans zabiera małą do szpitala, ale lekarze mogą już tylko stwierdzić zgon.

„Pokazywałem jej chwytty zapaśnicze, kilka wypróbowałem na niej -wyjaśnia Lionel, zagorzały wielbiciel zapasów, często oglądający transmisje telewizyjne z walk na ringu. Obiema rękoma założył Tiffany trzymanie na szyję. Dziewczynka uderzyła przy tym głową o czarny lakowy stolik. Jego relacja stanowi wiarygodne wyjaśnienie śmierci dziecka.

Jednak przedstawiony już dwa dni później raport z sekcji wskazuje, że dziewczynka nie tylko doznała złamania czaszki, ale ma też złamane kilka żeber. Lekarze sądowi odkrywają ponad trzydzieści obrażeń wewnętrznych oraz całkowite rozdarcie wgniecionej przez klatkę żebrową wątroby. Przemawia to przeciw wypadkowi w wyniku niebezpiecznej zabawy. Akta zostają przekazane prokuraturze, a prokurator Kenneth R oświadcza, że wszystko przemawia za tym, że Lionel T zamordował dziewczynkę. Obrażenia są tak poważne, że wymagałoby to potraktowania sprawcy jak dorosłego, by nie wyszedł na wolność po kilku miesiącach i odpowiednio odpokutował winę. „Mam nadzieję, że dostanie dożywocie za brutalne zamordowanie mojej córki” - oznajmia ojciec Tiffany w wywiadzie dla prasy.

Kiedy w styczniu 2001 roku rozpoczyna się proces przeciw czternastoletniemu teraz Lionelowi T, siedzi on spokojnie i w milczeniu na ławie oskarżonych, robiąc wrażenie, jakby nie pojmował, co się wokół niego dzieje. Jego obrońca Jim L. rezygnuje z przesłuchania go w charakterze świadka. Wyznaczony przez obronę biegły sądowy dowodzi, że Lionel nie dostrzega różnicy między przemocą udawaną a rzeczywistą. Biegły ze strony prokuratury oświadcza z kolei, że Lionel jest na tyle dorosły, by to rozumieć. Wiedział, co robi, kiedy wykonywał chwytty. Obrona próbuje nadaremnie powołać na świadków znanych zapaśników, by jasno wykazać, że podobny

wypadek jest całkiem prawdopodobny podczas stosowania specjalnych chwytów. Żaden z zawodowców nie kwapi się do złożenia podobnego zeznania.

Dlatego obrona musi się ograniczyć do puszczenia ławie przysięgłych nagrania wideo. Lionel demonstruje na nim pewne techniki i chwyt, pokazując, w jaki sposób powalił Tiffany. Twierdzi teraz, że dziewczynka poleciała głową na słupek schodów, a potem uderzyła o ścianę. Prokurator dowodzi jednak, że stało tam tyle skrzynek i pudeł, że rzekomy upadek nie mógł wyglądać tak, jak to przedstawia Lionel.

Ponieważ oskarżony może oczekiwać wieloletniego więzienia, prokurator proponuje ugodę, procedurę uznaną i często stosowaną w sądach amerykańskich. Dla Lionela tylko trzy lata pobytu w zakładzie karnym dla nieletnich, potem rok aresztu domowego, w zawieszeniu na dziesięć lat, pod nadzorem kuratora i pod opieką psychologa. Pod warunkiem jednak, że chłopak przyzna się do winy. Ani matka Lionela, ani obrońcy nie przyjmują tej propozycji, są bowiem przekonani, że chłopak zostanie uniewinniony.

Dwudziestego piątego stycznia 2001 roku przysięgli uznają, że Lionel jest winien morderstwa. Sędzia Joel J. skazuje go na dożywotnie więzienie bez możliwości warunkowego zwolnienia. Kiedy Lionel zostaje wyprowadzony w kajdankach z sali rozpraw, załamuje się i zaczyna krzyczeć. Po raz pierwszy w historii wymiaru sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych nieletni, który w chwili popełnienia przestępstwa miał dwanaście lat, otrzymuje dożywocie.

Ten surowy wyrok dostaje się na nagłówki prasy krajowej i międzynarodowej. Sprawa wzbudza protesty w całym świecie. Także Amnesty International piętnuje orzeczenie jako oczywisty błędny wyrok. Większość ludzi, dowiedziawszy się o takiej decyzji sądu, jest oburzona, nie mogąc zrozumieć, jak sędzia może posłać dziecko na całe życie za kratki. Nawet matka Tiffany jest wstrząśnięta, uważa, że Lionel nie mógł postępować jak dorosły. Także prokurator R oświadcza otwarcie, że dożywocie bez możliwości zwolnienia to zbyt surowa kara. Proponuje, by wnieść do gubernatora prośbę o ulaskawienie. Ten jednak postanawia nie interweniować

w tej sprawie, ponieważ w grę wchodzi też podstawowe pytanie, czy nieletni powinni być traktowani w procesach karnych jak dorośli.

Sprawę przejmuje znany obrońca w sprawach karnych Richard Rosenbaum, nie domagając się honorarium. Wnosi sprawę przed Court of Appeal stanu Floryda.

Obrona utrzymuje, że Lionel T. z powodu swojego wieku, niedorozwoju umysłowego i problemów psychicznych nie potrafi śledzić przebiegu procesu ani zrozumieć przyczyn skazania go i proponowanej mu ugody.

Pod koniec grudnia 2003 roku sąd apelacyjny uchyla z tego powodu wyrok i wydaje decyzję o rozpoczęciu nowego procesu. Prokurator hrabstwa Broward, Michael S., proponuje w odpowiedzi taką samą ugodę jak podczas pierwszego procesu.

Tym razem szesnastoletni obecnie Lionel T. przyjmuje propozycję. Ponieważ przesiedział już trzydzieści trzy miesiące w zakładzie karnym dla nieletnich w Okeechobee, umowa, którą 1 stycznia 2004 roku podpisują on, jego matka i jego adwokaci, oznacza, że już 29 stycznia 2004 roku może on opuścić więzienie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Inercja wymiaru sprawiedliwości

Mieć słuszość to jedno, a dowieść tego to zupełnie co innego. Sprawdza się szczególnie, gdy chodzi o zrewidowanie orzeczonych błędnych wyroków. W niemieckim sądownictwie karnym nie brak przykładów, które jasno pokazują, jak sędziowie i prokuratorzy dopuszczalnymi, a czasem też i niedopuszczalnymi środkami robią wszystko, by przeszkodzić w skorygowaniu pomyłki sądowej. Wymiar sprawiedliwości czyni wiele, by utrzymać raz wydane rozstrzygnięcia. Było tak zawsze, także w innych krajach. Republika Federalna Niemiec nie stanowi tu wyjątku. Wygląda to tak, jakby prawomocność wyroku karnego miała być rzeczą świętą.

Także prawodawca przyczynił się do tego, by szczególnie ją chronić i osłaniać przed atakami, nawet za cenę zniszczenia życia niewinnego człowieka. Znajduje to wyraz w przepisach prawnych na temat wznowienia procesu (par. 359-373a niemieckiego kodeksu postępowania karnego). Wychodzi się w nich z założenia, że konieczność uznania prawomocnego wyroku za błędny jest jawnie szkodliwa dla autorytetu państwa i wymiaru sprawiedliwości. Ale czy nie jest dokładnie odwrotnie?

Oczywiście, zawsze ciężko jest przyznać się do pomyłki. Wymaga to hartu ducha. Ale czyż nie tym właśnie winno się cechować sądownictwo karne? Powinno tak być już choćby dlatego, że prawo przyznaje sędziemu ogromne uprawnienia, które dają mu prawie nieograniczoną władzę nad oskarżonym.

W razie wznowienia postępowania sądowego na korzyść skazanego dochodzi niemal do zamiany ról między oskarżycielem a obrońcą. Obrońca dochodzi uznawanej przez siebie prawdy, prokuratorzy i sędziowie stają się obrońcami prawomocności wyroku. W interesie pokoju prawnego nie po-

winno naturalnie dochodzić do wznowiania procesu na życzenie. Każdy obrońca w sprawach karnych doskonale wie na podstawie licznych listów, które otrzymuje prawie codziennie od więźniów odsiadujących karę, jak subiektywny bywa ich punkt widzenia. Zbyt liberalne przepisy dotyczące wznowienia procesu i także ich interpretacja zachęcałyby do nadużyć.

Należy też przyznać, że te niemieckie uregulowania prawne są zawsze lepsze niż żadne. I tak na przykład w Irlandii dopiero w grudniu 1993 roku wprowadzono przepisy o wznowieniu postępowania sądowego (Criminal Procedure Act).

Przedtem, po wyczerpaniu normalnej drogi odwoławczej, przewyciężenie prawomocnego wyroku skazującego możliwe było tylko w drodze ułaskawienia przez głowę państwa albo, kiedy sprawa dotyczyła kwestii prawnej o szczególnym znaczeniu ogólnym, dzięki rozstrzygnięciu Supreme Court.

Istnieje też możliwość wznowienia postępowania przez prokuraturę na niekorzyść osoby zainteresowanej. Kiedy na przykład ktoś zostanie uniewinniony prawomocnym wyrokiem, potem jednak przyzna się do winy, może go czekać nowe postępowanie sądowe. W anglo-amerykańskim systemie prawnym nie jest to możliwe. Nie ma tam regulacji prawnych o wznowieniu postępowania, co może mieć groteskowe konsekwencje.

W Anglii pewnego mężczyznę oskarżono o to, że wyrzucił żonę z samolotu nad morzem. Został uniewinniony. Potem napisał cykl artykułów, które opublikowano w gazetach pod tytułem Jak zabiłem moją żonę. Była to rzeczywiście prawdziwa historia. Zarobił na tym mnóstwo pieniędzy, ale nie można go było pociągnąć do odpowiedzialności. W Niemczech prokuratura mogłaby na podstawie tych „nowych faktów i środków dowodowych” doprowadzić do wznowienia procesu.

Trudności ze wznowieniem postępowania

Jak trudno w Niemczech skutecznie przeprowadzić wniosek o wznowienie postępowania na korzyść skazanego, pokazują liczne przykłady

przedstawione pod koniec tego rozdziału. Nic tu nie zmieniły także wprowadzone „małe” reformy prawa karnego. Wcześniej wniosek taki rozpatrywał nawet ten sam sąd, który wydał wyrok. Ten sam prokurator, ten sam sędzia musiał rozstrzygać, czy popełnił wcześniej pomyłkę. To niedociągnięcie skorygowano dopiero w 1965 roku. Teraz wniosek taki rozpatruje inny sąd (tego samego rzędu).

Poprzeczka dla wniesienia takiego wniosku jest umieszczona niezwykle wysoko i bardzo trudno walczyć z prawomocnym wyrokiem. Tylko kilku skazanym udało się doprowadzić do wznowienia postępowania sądowego. W 99 procentach wszystkich wniosków o wznowienie procesu chodzi zgodnie z par. 359 nr 5 niemieckiego kodeksu postępowania karnego o uzupełniające nowe fakty lub materiały dowodowe, które same w sobie lub w połączeniu z wcześniej przedstawionymi dowodami mogą uzasadniać uniewinnienie oskarżonego (albo, przy zmianie kwalifikacji czynu, łagodniejszy wymiar kary lub zasadniczo odmienne rozstrzygnięcie o środkach poprawczych i zabezpieczających).

Z nowym faktem mielibyśmy do czynienia, gdyby na przykład odnalazła się osoba rzekomo zamordowana albo ktoś inny przyznałby się do przestępstwa, za które skazano oskarżonego. Przesłankę mogą też stanowić takie fakty czy materiały dowodowe, które mogłyby podważać wiarygodność świadków oskarżenia. Także orzeczenie biegłego sądowego może stanowić przydatny materiał dowodowy, jeśli zawiera nowe fakty albo wykorzystuje nowe metody naukowe prowadzące do odmiennych wniosków.

W tym sensie nowe są wszelkie fakty, których sąd nie uwzględnił podczas rozprawy głównej. Nie ma przy tym znaczenia, czy istniała taka możliwość. Dlatego nowy materiał dowodowy mogą na przykład stanowić świadkowie, jeśli nie przesłuchano ich na temat wszystkich ważnych faktów dowodowych albo też sąd źle zrozumiał ich wyjaśnienia, czy wręcz je przeoczył. Za nowe nie można natomiast uznać żadnych faktów czy środków dowodowych, których sąd nie uwzględnił podczas rozprawy głównej, ponieważ uznał je za nieistotne. Rozstrzygnięć sądu rozpoznającego na

temat tego, czy fakty i dowody są istotne dla sprawy, czy nie, nie można skorygować przez wznowienie postępowania.

Testy DNA jako „nowy środek dowodowy”

Do nowych środków dowodowych należy też „genetyczny odcisk palca”, który od chwili jego odkrycia w 1985 roku przez brytyjskiego naukowca Aleca Jeffreysa odgrywa coraz istotniejszą rolę nie tylko w kryminalistycznym wyjaśnianiu zgwałceń, ale i też we wznowianiu postępowań. James Watson i Francis Crick już w 1953 roku określili strukturę zawartego w jądrze komórkowym DNA (za co otrzymali Nagrodę Nobla). Trzydzieści dwa lata po tym Alec Jeffreys odkrył, że sekwencja informacji genetycznej w jądrze komórkowym jest różna u każdego człowieka. Cząsteczki kwasu de-oksurybonukleinowego, zawierające atomy fosforu i tlenu, przypominają kształtem drabinę złożoną z blisko trzech miliardów segmentów i zawierają niepowtarzalne i niezmiennie u każdego osobnika dane genetyczne. Do zbadania tego „odcisku palca” wybiera się w tym swego rodzaju kodzie kreskowym określone szeregi szczebelków tej drabiny. Materiałem wyjściowym do takich badań może być krew, ślina, sperma, złuszczone fragmenty naskórka czy włosy. Dzięki badaniu DNA można w sposób niewątpliwy określić tożsamość podejrzanego, jeśli dysponuje się odpowiednim materiałem porównawczym. Prawdopodobieństwo, że dwie osoby mają jednakowy kod genetyczny, wynosi jeden do trzydziestu miliardów. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych liczne w ostatnich latach uniewinnienia skazanych oczekujących na egzekucję w celi śmierci przypisać należy takim właśnie badaniom porównawczym DNA.

Jednak także w Niemczech testy DNA w coraz większym stopniu stają się standardem w postępowaniu śledczym. W 2003 roku weszły w życie przepisy o profilu DNA, dopuszczające analizy DNA jako metodę wyświetlenia zbrodni. Badania takie podejmowano już od 1998 roku. Od tego czasu wyjaśniono w ten sposób 18 tysięcy czynów karalnych, w tym

371 zabójstw i 870 przestępstw na tle seksualnym. Na początku 2005 roku w bazie danych federalnego urzędu kryminalnego Niemiec znajdowało się 381 tysięcy zapisów. Popelnione w styczniu 2005 roku i wyjaśnione w ciągu dwóch dni zabójstwo monachijskiego projektanta mody Rudolpha Moshammera wyraźnie dowiodło skuteczności badań DNA. Wedle obowiązującego prawa badanie DNA może być nakazane tylko w sprawach dotyczących poważnych zbrodni i przestępstw na tle seksualnym. Należałoby obecnie usunąć te ograniczenia.

Ten genetyczny odcisk palca powinien zostać w przyszłości zrównany pod względem prawnym ze zwykłym odciskiem palca i stać się „normalnym narzędziem dochodzenia karnego”, jak to się dzieje już od jakiegoś czasu na przykład w Wielkiej Brytanii. Tam można przechowywać DNA także takich sprawców, którzy brali udział tylko w drobnych przestępstwach. We Francji natomiast obowiązuje przepis, że musi to być osoba skazana co najmniej na siedem lat pozbawienia wolności. We Włoszech pobieranie materiału biologicznego do badań DNA uzależnione jest nawet od zgody osoby zainteresowanej.

Choć nie można oczekiwać cudów po owym genetycznym odcisku palca, nie ma wątpliwości, że jest to bardzo skuteczna metoda wyświatlenia przestępstw. Służy też prewencji i zmniejsza zagrożenie zapadania błędnych wyroków. Może się też przyczynić do usunięcia podczas wznowionego postępowania popełnionej już niesprawiedliwości. Może przez to stanowić „nowy środek dowodowy”.

Dwa odrębne postępowania

Wznowione postępowanie dzieli się na dwie części - dopuszczającą i orzekającą. Podczas pierwszej sprawdza się tylko, czy dany wniosek jest dopuszczalny, podczas drugiej, czy jest też uzasadniony. Podczas postępowania na temat dopuszczalności wniosku o wznowienie procesu rozstrzyga się najpierw, czy odpowiednio zbadano i uzasadniono podstawę prawną

wznowienia postępowania (par. 367, 368 niemieckiego kodeksu postępowania karnego).

Dopiero po dopuszczeniu wznowienia dochodzi do nowej rozprawy głównej (z przedstawieniem materiału dowodowego), na której wydaje się nowy wyrok. Z nowej rozprawy głównej można wyjątkowo zrezygnować, kiedy skazany zmarł albo sytuacja dowodowa jest jednoznaczna. Wobec nowego wyroku można znów zastosować wszystkie środki odwoławcze. Jeśli wznowione postępowanie zakończy się sukcesem, wszystkie zaistniałe koszty, także te na obrońcę, obciążają kasę państwa. Ponadto na podstawie odpowiednich przepisów musi zostać wypłacone odszkodowanie.

Większość wniosków o wznowienie postępowania upada już na etapie postępowania dopuszczającego, jeśli już rzeczywiście dojdzie do wznowienia procesu, skazany z reguły „wypada z gry” w drugiej rundzie. W historii wymiaru sprawiedliwości RFN odnotowano do 2000 roku tylko osiem spraw, kiedy wznowione postępowanie zakończyło się korzystnie dla oskarżonego i doprowadziło do jego zwolnienia. Prawie zawsze podczas nowej rozprawy głównej podtrzymany zostaje pierwotny wyrok. Właśnie tu objawia się w szczególnym stopniu inercja wymiaru sprawiedliwości.

Jaskrawym przykładem takiej powtarzalności w historii sądownictwa Republiki Federalnej Niemiec jest proces o zabójstwo przeciw Monice Weimar. Postępowanie ciągnie się ponad czternaście lat, zapada w sumie osiem wyroków. Dwukrotnie rozstrzygały izby sądu przysięgłych sądu rejonowego, raz sąd drugiej instancji, trzykrotnie sąd federalny, a raz nawet federalny trybunał konstytucyjny. Kiedy obrońca dr Gerhard Stratę wnosi w 1992 roku wniosek o wznowienie postępowania, sąd rejonowy w Gießen potrzebuje prawie trzech lat, by go odrzucić. Na podstawie złożonego zażalenia sąd drugiej instancji we Frankfurcie nad Menem nakazuje wznowienie postępowania z powodu możliwej nowej sytuacji dowodowej i Monika Weimar zostaje zwolniona. W czerwcu 1996 roku rozpoczyna się nowe postępowanie przed tą samą izbą karną, która odrzuciła wniosek o wznowienie postępowania.

33Q

I wtedy dochodzi do sensacji: sąd rejonowy w Gießen uniewinnia oskarżoną. Jednak na mocy rewizji złożonej przez prokuraturę w listopadzie 1998 roku drugi senat do spraw karnych sądu federalnego ponownie uchyla ten wyrok z powodu poważnych uchybień prawnych i kieruje sprawę do sądu rejonowego we Frankfurcie nad Menem. Dwudziestego drugiego grudnia 1999 roku sąd ten ponownie skazuje oskarżoną za morderstwo na dożywotnie pozbawienie wolności, potwierdzając tym pierwszy wyrok sądu rejonowego w Fuldzie z 1998 roku. W sierpniu 2000 roku sąd federalny odrzuca wniosek o rewizję. Wyrok staje się prawomocny i Monika Weimar wraca do więzienia. Jest bardzo wątpliwe, czy złoży ona ponownie wniosek o wznowienie procesu. No bo skąd by się teraz wziął nowy materiał dowodowy? Inercja wymiaru sprawiedliwości zwyciężyła po długiej walce, a sprawa wydaje się „ostatecznie załatwiona”.

Dokładna liczba błędnych wyroków jest równie mało znana, jak liczba tych orzeczeń, które poprzez odrzucenie wniosków o wznowienie postępowania zapobiegły udowodnieniu pomyłki wymiaru sprawiedliwości. Ich liczba jest na pewno wyższa niż liczba samych błędnych wyroków. A liczba zakończonych korzystnie dla oskarżonego wznowień postępowania sądowego wydaje się nikła wobec liczby spraw, które nigdy nie zostaną rozwiązane. Pewien sprytny matematyk dowodzi metodami rachunku prawdopodobieństwa, że jeden wyrok na dwieście sześćdziesiąt siedem jest błędny. Jeśli ta liczba jest poprawna, oznacza to, że w samej Republice Federalnej Niemiec, biorąc pod uwagę łączną liczbę orzekanych wyroków, liczba błędnych rozstrzygnięć idzie w tysiące. Dreszcz człowieka przechodzi.

Tym smutniejszy wydaje się wniosek, że dalej musimy żyć z tym, iż wymiar sprawiedliwości nie chce się przyznawać do winy. Broni się on, obstaje przy swoim i nie pozwala po długiej, zakończonej rozprawie zachwiać swoją pewnością siebie.

Kto tego próbuje, potrzebuje dobrej kondycji i mocnych nerwów.

Wiemy też jednak, że zawsze znajdują się prawnicy, dziennikarze, pisarze i inni, którzy ujawniają błędy wymiaru sprawiedliwości, przeważnie doty-

3^0

czące przedstawiciele klas najuboższych. Czynią to, kierując się względami humanitarnymi, gwoli sprawiedliwości, przewyciężając opór systemu sądowego, a często także opinii publicznej. Najślynniejszym tego przykładem jest i pozostanie postawa francuskiego pisarza Emila Zoli wobec niezwykłego procesu Dreyfusa. Tym niezmordowanym bojownikom o prawdę i sprawiedliwość winni jesteśmy naszą wdzięczność.

W historii niemieckiego wymiaru sprawiedliwości wypadków odrzucenia wniosku o wznowienie postępowania jest nieporównanie więcej niż tych kilku wyjątków, w których dzięki wznowionemu procesowi można było rzeczywiście skorygować pierwsze orzeczenie. Naświetli to kilka przykładów, bez pretensji do rozstrzygnięcia kwestii, czy we wszystkich tych sprawach doszło do pomyłki sądowej.

Sprawa Alberta Ziethena

(1883-1903)

Ten najbardziej spektakularny proces o morderstwo w czasach cesarstwa przez dziesięciolecie zajmował opinię publiczną w całych Niemczech. Wielu słynnych prawników, polityków i dziennikarzy, w tym także Karl Liebknecht i zwolennik Bismarcka Maximilian Harden, występowali o rehabilitację Alberta Ziethena. Ludzie zbierali środki na „fundusz Ziethena”. Wszystkie wysiłki okazały się daremne.

Sprawa ta uchodzi dziś za klasyczny przykład błędnego wyroku oraz dowód na to, jak uparte są wysiłki systemu sądowego, by podtrzymać raz wydane orzeczenie pierwszej instancji i udaremnić wszystkie próby wznowienia postępowania.

Fakty są względnie proste. Praktycznie rzecz biorąc, tylko dwie osoby wchodzi w rachubę jako sprawcy, sędziowie muszą się zdecydować na jedną z nich. Ale może właśnie takie sprawy należą do najtrudniejszych.

Albert Ziethen prowadzi w Elberfeld zakład fryzjerski. Często kłóci się ze swoją żoną Marią, coraz częściej ją przy tym maltretuje. Dwudziestego piątego października 1883 roku Ziethen odwiedza w Kolonii kochankę.

34/

Kiedy po godzinie dwudziestej trzeciej wraca do swego mieszkania, budzi służącą wiadomością, że właśnie znalazł na parterze swoją żonę z rozbitą głową. Niech natychmiast idzie po ucznia Augusta Wilhelma, śpiącego w izbie na poddaszu. Na pukanie Wilhelm odpowiada, jakby się właśnie zbudził z głębokiego snu. Kiedy schodzi, ubrany tylko w spodnie, Ziethen biega i jęczy, wskazując wciąż na swoją żonę. Leży ona z głową w kałuży krwi, obok jej przypinane warkocze i połamany grzebień. Nogi są obnażone, spódnica zadarta do kolan. Serce jeszcze bije, kobieta nie jest martwa. Ponieważ Wilhelm jest półnagi, Ziethen wychodzi z domu, by szybko wezwać lekarza.

Maria Ziethen zostaje zabrana do szpitala, dokąd przybywa też komisarz policji Kirchhoff. Chociaż kobieta nie jest właściwie zdolna do składania zeznań, policjant zadaje jej kilka pytań. Owszem, mówi poszkodowana, sprawcą jest jej mąż. Jednak jej relacja, gdzie dokładnie i jakim narzędziem ją uderzał, jest pełna sprzeczności. Raz mówi o bykowcu, to znów o kluczu. O narzędziu przestępstwa, drewnianym młotku znalezionym w szufladzie w przedsionku, w ogóle nie wspomina. Po przesłuchaniu zaczyna śpiewać. Sędzia śledczy zaprzysięga leżącą w agonii kobietę, nie wspominając jednak o prawie do odmowy składania zeznań. Zgon następuje 30 października.

Zeznania Marii Ziethen nie mają żadnej wartości dowodowej. Ponieważ sprawcą mógł być zarówno Ziethen, jak i Wilhelm, niedługo po morderstwie obaj zostają aresztowani i oskarżeni. Obaj utrzymują, że są niewinni. Ziethen mówi, że sprawcą jest Wilhelm. Wilhelm, dowiedziawszy się o tym, twierdzi, że zamordował Ziethen. Dokładnie widział i słyszał, jak szef po powrocie ostro pokłócił się z żoną. Kiedy wypominała mu jego skoki w bok, stracił nerwy i zabił ją pięcioma ciosami młotkiem w głowę.

Świadkowie opisują Wilhelma jako człowieka skłonnego do kłamstw i upadłego moralnie. Brak jednak jakichkolwiek dowodów, że to on jest sprawcą. Drugiego lutego 1884 roku, po sześciu dniach rozprawy, sąd przysięgłych w Elberfeld uniewinnia go i skazuje Ziethena za morderstwo na karę śmierci. W przepełnionej sali rozpraw wybucha burzliwa owacja.

Obrońca składa rewizję, nie zwraca jednak uwagi na fakt, że Maria Zie-then nie została pouczona o prawie do odmowy składania zeznań. Rewizja zostaje odrzucona. Ziethenowi złagodzono jednak karę do dożywotniego ciężkiego więzienia.

Sprawa budzi w społeczeństwie gorące dyskusje. Wiele osób uważa, że sprawcą jest Wilhelm, wątpliwości co do słuszności wyroku narastają. W rezultacie doświadczonym i szczególnie biegłym berlińskim śledczym zleca się powtórne przesłuchanie Augusta Wilhelma. W nocy z 9 na 10 czerwca 1887 roku wybucha sensacja: Wilhelm składa obszerne zeznanie, przyznając się do winy. Nazajutrz powtarza to przed sądem okręgowym, a 16 lipca także przed sędzią śledczym, choć ten usilnie go przestrzega, że czeka go co najmniej piętnaście lat w ciężkim więzieniu, jeśli jego zeznanie okaże się prawdziwe.

Wilhelm twierdzi, że w dniu zdarzenia trochę sobie podpił. Maria Zie-then pobudziła go seksualnie. Kiedy jej wyznał, że chce się z nią przespać, energicznie mu odmówiła. Dlatego tak długo walił ją młotkiem w głowę, aż straciła przytomność. Potem wszedł w nią i gwałcił aż do wytrysku nasienia. Tutaj wychodzi na jaw niewiarygodny błąd w śledztwie: na udach i bieliźnie ofiary nie poszukano śladów spermy, choć spódnica była podciągnięta aż do kolan, co nasuwało podejrzenie przestępstwa na tle seksualnym.

Dziewiętnastego lipca August Wilhelm odwołuje swoje zeznanie, jednak 15 sierpnia ponownie przyznaje się do morderstwa. Podkreśla, że bardzo nienawidzi Ziethena i chce wyjść na wolność. Toteż z największym trudem przychodzi mu trwać przy prawdzie, nie odwołując ponownie przyznania się do winy. W postanowieniu tym wytrzymuje tylko do 30 sierpnia. Tego dnia ponownie odwołuje zeznania.

Obaj berlińscy śledczy nabrali silnego przekonania, że jedynym sprawcą jest August Wilhelm. Dlatego obrońca Ziethena domaga się wznowienia postępowania. Sąd rejonowy w Eberfeld przychylił się do wniosku 14 sierpnia 1887 roku. Jednak po natychmiastowym zażaleniu prokuratury sąd drugiej instancji w Kolonii uchyla tę decyzję i oddala wniosek z uzasadnieniem, że

3^3

ciągłe zmiany zeznań Wilhelma nie czynią z niego osoby mocno podejrzanej. Wilhelm zostaje zwolniony, po czym znika bez śladu.

Albert Ziethen nadal pozostaje w więzieniu. W latach 1893, 1897 i 1900 odrzucono trzy kolejne wnioski o wznowienie postępowania. Wymiar sprawiedliwości broni jak świętości pierwszego wyroku sądu przysięgłych. Ziethen spędza dwadzieścia lat w ciężkim więzieniu, a w 1903 roku zapada na poważną chorobę, utraciwszy wszelką nadzieję na odzyskanie wolności. Niedługo potem umiera.

„Piękna winowajczyni”, Margarethe Wolsiffer
(1948-1965)

Dwudziestego ósmego listopada 1950 roku sąd przysięgłych we Franken-thal skazuje „piękną winowajczynię” Margarethe Wolsiffer za zamordowanie męża na dożywotnie ciężkie więzienie. Sąd federalny zatwierdza ten wyrok 2 października 1951 roku.

Podstawą do tego procesu, w porównaniu z którym, jak to powiedział Frank Arnau, „procesy czarownic minionych stuleci wydają się niewinną zabawą karnawałową”, stały się następujące fakty:

Zamożny Ernst Wolsiffer prowadzi w Neustadt przy Weinstraße aptekę. Mężczyzna jąka się, jest przygłuchy i cierpi na ustawiczne bóle żołądka. Młoda, piękna jak z obrazka i pełna życia Margarethe została mu formalnie wyswatana, to małżeństwo z rozsądku. Na świat przychodzi wprawdzie czwórka dzieci, ale związek nie jest szczęśliwy. Margarethe nie stroni od miłosnych przygód. Kiedy w 1946 roku Wolsiffer ma kłopoty z policją i prokuraturą z powodu nielegalnych interesów na czarnym rynku, prosi żonę, aby wstawiła się za nim u nadprokuratora Ramstettera. Margarethe nie tylko się wstawia - idzie z nim do łóżka.

Jej następnym kochankiem zostaje żonaty pracownik apteki Sebastian Weinzierl. Kobieta nawiązuje też czasem stosunki z oficerami sił okupacyjnych. Ponieważ dolegliwości męża nasilają się, Margarethe przejmuje prowadzenie apteki. Mąż nabawił się bolesnego wrzodu żołądka, lekarze

przepisują mu morfinę. Znajomym zwierza się kilkakrotnie z myśli samobójczych. W sąsiedztwie krążą pogłoski, że jego choroba bierze się stąd, że żona, ta „rozwiązła dziwka”, powoli go podtruwa.

W nocy z 29 na 30 kwietnia 1948 roku Ernst Wolsiffer czuje się szczególnie źle. Prosi żonę o butelkę beaujolais. Nazajutrz rano służące znajdują w kuchni pustą flaszkę po czerwonym winie i dwa kieliszki. Przed południem chorego odwiedza lekarz. Aptekarz śpi, zdradzając wyraźne oznaki upojenia. Margarethe udaje się na spotkanie ze swoim kochankiem Weinzierlem. Pierwszego maja stan Wolsiffera ulega pogorszeniu. Lekarz domowy diagnozuje objawy zatrucia opiatami i nakazuje umieścić chorego w szpitalu, gdzie umiera on jeszcze tego samego dnia.

Włącza się policja kryminalna. Dom Wolsiffera zostaje przeszukany, nic jednak nie wskazuje, by popełniono przestępstwo. Nie zwrócono uwagi na pustą butelkę po czerwonym winie i dwa kieliszki w kuchni. Nie zostają zabezpieczone. Dopiero rok później zbadano dokładniej butelkę - zakładając, oczywiście, że była to ta sama butelka, z której pił Wolsiffer. Nie jest to wcale pewne. Margarethe Wolsiffer i jej kochanek Weinzierl zostają aresztowani 7 maja 1948 roku i obwinieni o otrucie aptekarza opium.

Brak jakichkolwiek dowodów przestępstwa, nie ma też żadnego motywu. Mąż bowiem wiedział o miłostkach żony i pogodził się z tym. Jediną poszlaką jest butelka czerwonego wina, w której lekarz sądowy z Moguncji znalazł resztki opiatów. Wstrzyknął on płynny osad z dna butelki myszy, która potem zdechła. Ta przestarzała „diagnoza objawowa” to metoda bardzo wątpliwa, mogąca stanowić źródło wielu błędów. Sąd jednak daje jej wiarę, podobnie jak opinia publiczna, która z góry przesądza o winie oskarżonych. Pomija się też fakt, że opium mogła dodać do butelki osoba trzecia, chcąc skierować podejrzenia na żonę aptekarza.

Jeśli trucizny do wina dodała rzeczywiście żona, to czemu nie opłukała w nocy pustej butelki? Albo jej nie wyrzuciła? Sąd uznaje inteligentną młodą kobietę, która konsekwentnie obstaje przy swojej niewinności, za tak głupią, że przeoczyła jedyną poszlakę wskazującą na jej winę. Uważa się też za wykluczone, by sam Ernst Wolsiffer przyniósł sobie w nocy morfinę

z kuchni i rozpuści! w butelce wina. Weinzierl zostaje uniewinniony z braku dowodów. Margarethe Wolsiffer pozostanie na zawsze za kratkami.

Wyrok ten został wprawdzie uchylony przez sąd federalny, a w 1950 roku odbyła się nowa rozprawa główna. Jednak sąd przysięgłych we Fran-kenthal 28 listopada 1950 roku skazuje oskarżoną po raz drugi na dożywotnie ciężkie więzienie. Tym razem sąd federalny zatwierdza wyrok. W ciągu następnych piętnastu lat obrońca wnosi cztery wnioski o wznowienie postępowania. Wszystkie zostają odrzucone. W mało którym procesie o zabójstwo próbowano tyle razy doprowadzić do wznowienia postępowania. W 1965 roku złożono piąty taki wniosek. W chwili, gdy i ten odrzucono, Margarethe Wolsiffer przebywała w więzieniu już od dziewiętnastu lat, nie została nawet ułaskawiona.

Sprawa Waltera S.

(1993-2002)

W maju 1993 roku sąd rejonowy w Monachium skazuje w sensacyjnym procesie poszlakowym braci Wolfganga W i Manfreda L. na dożywotnie pozbawienie wolności za zamordowanie i obrabowanie sześćdziesięcioletniego homoseksualnego aktora ludowego Waltera S. Według uzasadnienia wyroku 15 czerwca 1990 roku Wolfgang W związał swojego dawnego zamożnego przyjaciela, traktującego go jak syna, w jego mieszkaniu w Miinchen-Schwabing i ranił nożem, by wymusić informacje o posiadanych pieniądzach. Następnie uderzył go ciężkim młotkiem. Młotek należał do Manfreda L.

Sąd federalny zatwierdza ten wyrok w 1994 roku. Obaj oskarżeni od początku nie przyznają się do winy. Przedstawiają nowe fakty i dowody, które jednak zdaniem sądu rejonowego w Augsburgu nie wystarczają do wznowienia procesu. Odrzuca on dwa wnioski o wznowienie postępowania, ostatni w maju 2001 roku. Sąd drugiej instancji w Monachium zatwierdza to orzeczenie w maju 2002 roku.

346

Ale trzynaście lat po tajemniczej śmierci aktora pojawia się nowy podejrzany. Nadzieje Manfreda L. i jego przyrodniego brata Wolfganga W budzi pewien nowy ślad, ślad kryminalistyczny „D4”. Na miejscu przestępstwa znaleziono wówczas 240 odcisków palców. Z tego 237 udało się zidentyfikować, a trzech nie. Wśród tych ostatnich jest odcisk palca na wewnętrznej stronie drzwi kabiny prysznicowej. W lipcu 1998 roku przy użyciu nowo wprowadzonego oprogramowania AFIS udaje się przyporządkować i ten ślad. Należy on do czterdziestoczteroletniego drobnego kryminalisty Ralfa Z. z Ingolstadt. Rzuci się w oczy fakt, że dzień po zamordowaniu Waltera S. przeniósł się on do Hiszpanii, gdzie mieszka do dzisiaj. W złożonym dawniej zeznaniu zaprzeczył on, jakoby był kiedykolwiek w mieszkaniu S. Zeznanie to zostaje teraz obalone.

Adwokat Manfreda L., frankfurcki obrońca w sprawach karnych Edgar Weiler, po raz trzeci wnosi przed sądem rejonowym w Augsburgu o wznowienie postępowania. Właściwym sędzią jest Wolfgang Rothermel, ten sam, który uniewinnił podczas wznowionego postępowania w styczniu 2005 roku aktora Giinthera K. Uważa jednak, że brak nowych faktów, które mogłyby „zasadniczo zmienić” wydane przed dwunastu laty orzeczenie. Piętnastego kwietnia 2005 roku sąd rejonowy w Augsburgu ponownie odrzuca wniosek o wznowienie postępowania.

Zabójstwo właściciela pizzerii z Pullenbach
(1996-2003)

W październiku 1996 roku pewien Włoch, właściciel pizzerii z Pullenbach, został zwabiony fałszywym zamówieniem na pizzę i zabity dwoma strzałami w głowę. Prokuratura oskarża jego trzydziestodwuletnią żonę Karin C. o to, że uknuła to przestępstwo wspólnie ze swoim kochankiem, doradcą podatkowym rodziny. W sierpniu 1997 roku sąd rejonowy w Hechingen skazuje oboje na dożywotnie pozbawienie wolności. Kochanka za oddanie zabójczych strzałów,

żonę za podżeganie go do tego. Dla Karin C. prokuratura domagała się ośmiu lat więzienia, sąd jednak uznaje, że dla niej odpowiednią karą będzie dożywotnie pozbawienie wolności. Wyrok staje się prawomocny w 1998 roku, kiedy sąd federalny oddał wniesioną rewizję jako jawnie niezasadnioną.

We wniosku o wznowienie procesu Karin C. zaznacza, że mąż nieustannie poważnie ją maltretował. Jej małżeństwo było „wieloletnim męczeństwem”. Odpowiedni świadkowie nie zostają przesłuchani. Ponadto nakłaniała ona późniejszego mordercę, by nie popełniał tej zbrodni, co ten potwierdził wobec adwokata. A więc odstąpiła od podżegania. Jednak sąd rejonowy w Heilbronn nie daje temu wiary i odrzuca w marcu 2003 roku wniosek o wznowienie postępowania.

Sprawa staje się znowu głośna po wyemitowaniu 7 kwietnia 2003 roku filmu Okno na wolność- nadzieja dla skazanej na dożywocie. Wzbudził on w całych Niemczech falę solidarności z Karin C, która złożyła zażalenie na to niekorzystne rozstrzygnięcie w sądzie drugiej instancji w Stuttgarcie. Ten jednak odrzuca je w lipcu 2003 roku, ponieważ nie przedstawia żadnych nowych faktów i dowodów, z których wynikałoby, że nie wiedziała o sposobie popełnienia przestępstwa, wskutek czego nie można by jej było przypisywać działań jej kochanka. Karin C, nie „czyniła poważnych wysiłków, by zapobiec przestępstwu”.

Wyrok sądu rejonowego w Hechingen z sierpnia 1997 roku pozostaje prawomocny, a Karin C. musi dalej odsiadywać karę dożywotniego więzienia, mając jednak perspektywy na to, że zostanie zwolniona po piętnastu latach, bo nie orzeczono szczególnego ciężaru winy. Ale już po ośmiu latach więzienia, w lutym 2004 roku, premier Badenii-Wirtembergii Erwin Teufel zamienia resztę jej kary na karę w zawieszeniu.

Minister sprawiedliwości Werwigg-Hertneck wypowiedziała się wyraźnie przeciw temu ułaskawieniu. Teufel oświadcza prasie, że „decyzję tę, w której nie miał udziału wymiar sprawiedliwości”, podjął „zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą i sumieniem”. Poprzedzał ją „ośmiotygodniowy okres namysłu”. Wprawdzie nie rozmawiał on osobiście z Karin C, ale przestudiował wszystkie akta sprawy i zbadał jej okoliczności.

Mord rodzinny z chciwości? Sprawa Petera E. (1999-2002)

Czterdziestoczteroletni Peter E., pochodzący z rodziny milionerów, zostaje w 1999 roku oskarżony przez prokuraturę w Moguncji o zamordowanie z chciwości matki, brata oraz jego przyjaciółki. W spektakularnym procesie poszlakowym zostaje przesłuchanych 435 świadków i 70 biegłych. Sąd rejonowy w Moguncji 14 maja 1999 roku skazuje Petera E. na dożywotnie pozbawienie wolności. Do dzisiaj skazany nie przyznaje się do winy. W ręku jednej z ofiar znaleziono włosy, które według Petera E. nie należą ani do niego, ani do ofiary, ale do jakiegoś obcego sprawcy.

W swoim wniosku o wznowienie procesu Peter E. domaga się przeprowadzenia udoskonalonych zgodnie ze stanem najnowszej wiedzy badań DNA z tych włosów. Pierwsza izba karna sądu rejonowego w Bad Kreuznach odrzuca ten wniosek 2 lipca 2002 roku jako niedopuszczalny, nie spełnia on bowiem wymogów prawnych. Samo oznajmienie, że niewydana jeszcze ekspertyza przyniesie określone wyniki śledcze, nie jest środkiem dowodowym w sensie par. 359 nr 5 niemieckiego kodeksu postępowania karnego. Konieczne jest zawsze przedłożenie takiej ekspertyzy. Ponieważ Peter E. zażądał za pośrednictwem swego obrońcy wydania tych włosów z federalnego urzędu kryminalnego w celu sporządzenia orzeczenia biegłego, zostały tam one przebadane. Jednak bez rezultatu. W grudniu 2002 roku prokurator Moguncji oświadcza, że nawet przy zastosowaniu najnowocześniejszych metod nie sposób obecnie ustalić, do kogo należą owe włosy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„Sprawa wszystkich porządnych ludzi!”

La Bruyere, wielki francuski filozof siedemnastego wieku, powiedział: „Niewinnie skazany to sprawa wszystkich porządnych ludzi”. Zdanie to pozostaje dziś równie trafne, jak wówczas. Sędziowie sądów karnych orzekają swoje wyroki „w imieniu narodu”. Dlatego dotyczy to nas wszystkich, a każdy błędny wyrok wydawany jest także w naszym imieniu. Znamy przecież niedostateczność ludzkiej zdolności orzekania. Dochodzenie prawdy to bardzo trudna sprawa, a czasem poszukując prawdy, sędziowie stają wobec wielkich problemów, także natury psychicznej. Nie powinno to jednak obciążać sumienia nas wszystkich. Musimy pozostać czujni i mocno wierzyć, że prawo zwycięży, a sprawiedliwość zapanuje powszechnie na naszej planecie.

Walka o prawo

Ale czym właściwie jest prawo? Gustav Radbruch, wielki niemiecki prawnik, pierwszy niemiecki profesor usunięty przez nazistów ze stanowiska w 1933 roku, zdefiniował to tak: „Prawo to rzeczywistość, która ma służyć sprawiedliwości”.

Czym jednak jest sprawiedliwość? W Brockhausie napisano, że jest to cnota uwzględniająca prawa każdego i przyznawania każdemu, co mu się należy. Friedrich Nietzsche nie zgadzał się jednak z tym sformułowaniem. Dawać każdemu, co mu się należy, uważał on, to tyle, co pragnąć sprawiedliwości, a otrzymać chaos.

Najwyraźniej istota sprawiedliwości nie da się dokładnie opisać. Możemy stwierdzić tylko

350

w przybliżeniu, co przez to rozumiemy. Do takiego wniosku doszedł już Emmanuel Kant. Jednego jednak był całkiem pewien, mianowicie, że życie na Ziemi stałoby się bez wartości, gdyby sprawiedliwość przestała istnieć. Kwestia sprawiedliwości wiąże się ściśle z prawami podstawowymi i prawami człowieka oraz prawem narodów do samostanowienia.

Sprawiedliwość nie urzeczywistnia się sama z siebie. Nie zostaje dostarczona „do domu” z poranną gazetą. Każdy obywatel może i musi zrobić coś na rzecz sprawiedliwości. Musi z całych sił walczyć z niesprawiedliwością, która zagraża jemu lub jego bliźnim. Już w piątym wieku p.n.e. grecki filozof Heraklit z Efezu ukuł piękne powiedzenie, że za prawo winien lud walczyć jak za miejskie mury. Obowiązuje to do dzisiaj. O pomoc możemy prosić, sprawiedliwości wolno nam się domagać. Spośród wszystkich cnót sprawiedliwość jest z pewnością najlepszą, ale też najtrudniejszą i najrzadszą. I jest to cnota silniejszych. To cnota tego, kto dysponuje władzą.

Sumienie sędziów

Władzę ma bez wątpienia także sędzia, zwłaszcza w sprawach karnych, w których nad innymi „sprawuje sądy”. Odpowiada on tylko przed własnym sumieniem, spokojnym albo i nie. Czy to dobrze, kiedy sędzia karny ma zawsze wyrzuty sumienia? Może tylko wówczas jest dobrym sędzią? A dobrych sędziów potrzebujemy, by wymierzać sprawiedliwość. Dlatego tylko najlepsi powinni być sędziami karnymi. Niestety, daleko nam do tego, rzeczywistość wygląda zgoła inaczej. Przyznają to nawet sędziowie, którzy zachowując krytyczny dystans wobec własnej grupy zawodowej, zwracają uwagę na niedomagania niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. „W niemieckim wymiarze sprawiedliwości zbyt wielu jest sędziów opętanych władzą, przemądrzałych, a niestety także nieudolnych, z którymi nic nie da się zrobić”. Ta gorzka, wręcz druzgocąca krytyka nie pochodzi od jakiegoś niesłusznie skazanego, lecz od dr. Egona Schneidera, byłego

35/

sędziego sądu apelacyjnego („Zeitschrift für anwaltliche Praxis”, 6/1999 z 24 marca 1999, s. 266). Przez te słowa przemawia rezygnacja. Brzmiały one tak, jakby ich autor nie widział już żadnej szansy na poprawę niedociągnięć własnej grupy zawodowej. Już w 1982 roku prof. Willi Geiger, emerytowany sędzia federalnego trybunału konstytucyjnego z Karlsruhe, oświadczył: „W Niemczech zamiast prowadzić proces, można by równie dobrze rzucać kośćmi” („Deutsche Richterzeitung”, 9/1982, s. 325). Czyżby jednak prawdą było dawne porzekadło: „Przed sądem i na pełnym morzu wszyscy jesteśmy w rękach Boga?”. Czy jesteśmy bezsilnie wydani na pastwę błędów i pomyłek zwłaszcza sądownictwa karnego?

Niedomagania sądownictwa karnego znajdują wyraz głównie w jego orzeczeniach. Ale także na innych etapach postępowania dochodzi wciąż do niewiarygodnych pomyłek. Także takich błędów i zaniedbań nie można pominąć milczeniem.

Ekspertyzy psychologiczne jako źródło błędów

Skazani już sprawcy przestępstw na tle seksualnym wychodzą znowu na wolność na podstawie fałszywych lub wydanych bez żadnych badań orzeczeń psychologicznych, po czym natychmiast wracają na drogę przestępstwa, gwałcąc czy zabijając młode kobiety. Podobne sprawy zbulwersowały w ostatnich latach opinię publiczną.

Wystarczy chyba dwa przykłady, by wyjaśnić niedomagania wymiaru sprawiedliwości w tej dziedzinie.

Wilfried S., po popełnieniu kilku przestępstw seksualnych skazany w 1970 roku przez sąd rejonowy w Lubece, zostaje w kwietniu 2002 roku zwolniony po trzydziestu latach z zamkniętego zakładu psychiatrycznego na podstawie fałszywego orzeczenia medyczno-sądowego. Pewien renomowany profesor zaświadcza na siedmiu stronach, że od dawna nie ma już powodów, aby kontynuować nakazaną przez sąd izolację skazanego. Nie należy już oczekiwać po S. poważniejszych czynów przestępczych. Jednak kilka tygodni później, 25 lipca 2002 roku, Wilfried S. w biały dzień wy-

żywa się seksualnie na wracającej z zakupów przez pustkowie dwudziestoletniej młodej kobiecie. Za jakąś stodołą przywiązuje nagą ofiarę do rynny i każe się najpierw zaspokoić oralnie. Potem knebluje kobietę taśmą klejącą i najbrutalniej gwałci. Wreszcie zmusza ją przy bankomacie, by opróżniła swoje konto. Sąd rejonowy w Itzehoe skazuje go 15 maja 2003 roku na dziesięć lat więzienia, a następnie umieszczenie w klinice psychiatrycznej. Inny biegły sądowy odkrywa u Wilfrieda S. poważne zaburzenia osobowości oraz trwałą skłonność do aktów przemocy. Jeszcze przez długi czas będzie wykorzystywał kobiety. Ponieważ jednak Wilfried S. ma ograniczoną zdolność rozpoznania znaczenia czynu, nie można nakazać dodatkowej izolacji zabezpieczającej.

Także morderstwo popełnione 15 lipca 2005 roku na szesnastoletniej Carolin w rostockiej Heide bei Gelbensande nigdy by się nie wydarzyło, gdyby domniemany sprawca, wcześniej karany dwudziestodzieciolatni Maik S. został przed zwolnieniem przebadany psychiatrycznie. Odsiedział on siedem lat w więzieniu za zgwałcenie, wzięcie zakładnika i poważny napad rabunkowy, a po odbyciu kary został zwolniony bez ponownego przebadania. Tydzień później Carolin z bałtyckiego kąpieliska Graal-Mtiritz staje się jego ofiarą, jadąc rowerem do przyjaciół w sąsiedniej wiosce. Na zwłokach Carolin znaleziono ślady spermy. Prokuratura wychodzi z założenia, że morderca zmusił dziewczynę po zgwałceniu, by się znowu ubrała, po czym ją zabił. Na miejscu zbrodni znaleziono niedopałek papierosa ze śladami DNA Maika S. oraz sznurek z jego spodni od dresu, którym prawdopodobnie związał ofiarę. Rysowało się tu podobieństwo z wcześniejszym gwałtem, podczas którego ofiarę przywiązano do drzewa w tym samym lesie. Poszlaki są tak mocne, że prawie bez wątpliwości można dowieść morderstwa temu sprawcy. Można by było zapobiec tej zbrodni, gdyby przed zwolnieniem Maika S. wydano orzeczenie psychiatryczne, stwierdzając, że nadal stanowi on zagrożenie. Jest to niestety kolejny przykład panującego od lat wśród psychologów i sędziów złudzenia, że każdego sprawcę można zresocjalizować, a każdego psychicznie chorego wyleczyć.

Postpenalne odosobnienie zapobiegawcze

Z wielu podobnych skandali sądowych, które wydarzyły się w ostatnich latach w RFN, wywołując poważne zaniepokojenie społeczeństwa, niektóre kraje związkowe wyciągnęły pewne konsekwencje. Wprowadziły one ustawy umożliwiające zarządzenie odosobnienia zapobiegawczego szczególnie niebezpiecznych sprawców gwałtów i przestępstw seksualnych także już po orzeczeniu wyroku. Musieliby oni wtedy pozostać w więzieniu także po odbyciu kary.

Federalny trybunał konstytucyjny orzekł jednak, że te przepisy poszczególnych landów o dodatkowym odosobnieniu zapobiegawczym nie są zgodne z konstytucją. Dlatego konieczne było, by przepisy takie uchwalił rząd federalny. Odpowiedni projekt ustawy zatwierdzono 10 marca 2004 roku. Przewiduje ona, że dodatkowe odosobnienie zapobiegawcze musi być zarządzane przez trzech sędziów zawodowych w ramach rozprawy głównej. Przesłanką do tego jest wysokie prawdopodobieństwo tego, że sprawca będzie po zwolnieniu popełniał czyny karalne, w których wyniku jego ofiary mogą doznać poważnej szkody. Ci trzej sędziowie muszą powziąć taką decyzję na podstawie dwóch (!) ekspertyz sądowych. Postanowienie takie ma być poddawane rewizji co dwa lata.

Ta regulacja, na pewno bardzo sensowna, choć kontrowersyjna pod względem politycznoprawnym, nakłada na sędziów dodatkowe obowiązki. Nie jest też wykluczone, że biegli sądowi i sędziowie, wydając takie orzeczenia, także będą popełniać pomyłki.

Wysoka liczba błędnych wyroków

Aż do dzisiaj nie ma, niestety, żadnego urzędowego zestawienia, żadnego całościowego przeglądu, pozwalającego ustalić przyczyny wydawania obecnie błędnych wyroków. Wymiar sprawiedliwości nie daje sobie po prostu zaglądać w karty. Nikt nie zna dokładnie liczby błędnych wyroków

orzekanych codziennie w świecie. Ta liczba jest na pewno bardzo wysoka. A przyczyny tych pomyłek sądowych są w gruncie rzeczy zawsze te same. Jest to równie zdumiewające, jak deprymujące, i nasuwa wniosek, że sędziowie niczego się na ich podstawie nie nauczyli.

Pomyłki sądowe przynoszą nieszczęście i straszliwe cierpienia dotkniętym nimi osobom. Błędy te bynajmniej nie zawsze wynikają z lekkomyślności. Często są wynikiem szczerzej i długotrwałej walki o poznanie prawdy, nacechowanej przekonaniem o znalezieniu trafnego i sprawiedliwego rozwiązania. O większości pomyłek sądowych nie dowiemy się nigdy, pozostaną na zawsze nierozpoznane, a ich ofiary nigdy nie zostaną zrehabilitowane. Gdyby jednak pomyłki takie wyszły na jaw, w żadnym razie nie powinniśmy postrzegać ich jako nieszczęśliwego przypadku, na podobieństwo ciężkiej choroby, który jak swego rodzaju fatum spada na nas na dobre i na złe. Prowadziłoby to, jak się kiedyś wyraził profesor prawa karnego Rittler z Innsbrucku, do postrzegania sądownictwa karnego jako swego rodzaju okrutnego molocha, któremu składa się ofiary z ludzi. Wymiar sprawiedliwości musi się raczej przyznawać do swoich pomyłek i czynić wszystko, co w ludzkiej mocy, by szybko i skutecznie wyleczyć rany spowodowane swoimi błędami.

Wstrzymywanie wydawania sprawiedliwych wyroków

Pomyłka sądowa w szerokim znaczeniu tego słowa występuje nie tylko wtedy, kiedy zapada błędny wyrok, lecz też gdy unika się wydania wyroku sprawiedliwego. Może do tego dojść wskutek zaniechania rozpatrzenia oskarżeń lub ciągłego odwołania postępowania sądowego, aż „umrze ono śmiercią naturalną”. Nierzadko dzieje się tak dlatego, że ktoś pragnie uniknąć konieczności przypisania winy członkom uprzywilejowanej wyższej warstwy społeczeństwa. W Niemczech już w okresie cesarstwa zdarzały się przykłady tego rodzaju działań „wymiaru niesprawiedliwości”, by użyć określenia Franka Arnau, jednego z najbardziej kompetentnych

niemieckich kryminologów. Mamy z tym do czynienia w procesach politycznych z czasów republiki weimarskiej, a także w republice federalnej.

Uprzedzenia i skandale dochodzeniowe

Uprzedzenia i przedwczesne ferowanie wyroków mają fatalne konsekwencje dla ścigania przestępstw karnych. Błędy zaczynają się często już na wstępnym etapie śledztwa. Policja posiłkuje się wskazówkami uzyskanymi od społeczeństwa.

Nierzadko podejrzenia kieruje się przy tym na kogoś z rodziny czy sąsiedztwa ofiary, kto ma złą opinię lub jest autsajderem danej społeczności. Przestępstwo przypisuje się owym „odmieńcom” i tak ludzkie uprzedzenia naprowadzają na fałszywy trop.

Na Sycylii pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku aresztowano Salvatore Galio, ponieważ śledczy byli przekonani, że zamordował on swego brata Paola.

Paolo zniknął jakiś czas wcześniej. Policja tak sobie zasugerowała, że dokonano morderstwa, a sprawcą jest Salvatore Galio, że nie zwróciła uwagi na zeznania

dwóch świadków. Obaj oznajmili mianowicie, że widzieli Paola żywego już po rzekomym przestępstwie. Salvatore Galio został skazany przez sąd przysięgłych w

Kataniu na dożywotnie więzienie, ponieważ także przysięgli, sugerując się wynikami jednotorowego dochodzenia policyjnego, nie dają wiary obu zeznaniom naocznych świadków. Jest to doskonały przykład rażąco błędnego wyroku. Albowiem w 1961

roku, kiedy Salvatore Galio przesiedział już kilka lat w więzieniu na wyspie Ventotene, jego brat Paolo rzeczywiście pojawił się żywy. Salvatore musiał zostać zwolniony i zrehabilitowany.

Raz po raz spotykamy się z tym, że w sprawach o morderstwo zaciera się i niejako odkłada ad acta inne tropy wskutek przesądów i jednotorowo prowadzonego

dochodzenia. Często zdarza się, że prowadzący śledztwo skupiają się na określonym podejrzanym, dlatego lekkomyślnie zamykają inne wątki, które mogłyby doprowadzić do prawdziwego sprawcy. Szczególnie tragiczne konsekwencje miało to w sprawie zabójstwa w Bremie w 1971 roku siedemnastoletniej Carmen Kampy.

Skazano niewinnego

350

człowieka, ponieważ akta śladu dowodowego nr 59, który prowadził być może do rzeczywistego mordercy, zamknięto przedwcześnie i nie przedstawiono rozpoznającemu sądowi.

W Hamburgu w 1971 roku skazano na dożywotnie więzienie pewnego ceglarza za mord seksualny na sześciolatniej dziewczynce. Po siedemnastu latach odkryto protokół policyjny, którego nie przedłożono rozpoznającemu sądowi. Jednoznacznie wykluczał on skazanego jako sprawcę. Mężczyzna został zwolniony po odsiedzeniu niewinnie w więzieniu siedemnastu lat.

Przedłożenie wszystkich aktów śladów dowodowych

Niebezpieczeństwo orzekania błędnych wyroków stałoby się z pewnością mniejsze, gdyby trzeba było przedstawiać rozpoznającemu sądowi wszystkie istniejące akta śladów dowodowych. Domagał się tego energicznie znany obrońca w sprawach karnych dr Heinrich Hannover po skandalu ze sprawą Carmen Kampy. Do dziś jednak nie ma żadnego obowiązku prawnego, by tak postępować. Federalny trybunał konstytucyjny w swoim orzeczeniu z 1983 roku zdecydował, że nie ma po temu żadnych powodów, można bowiem wychodzić z założenia, że policja i prokuratura sumiennie wykonują swoje zadania.

Może istnieje też obawa, że wskutek obowiązku prawnego przedłożenia wszystkich akt śladów dowodowych danej sprawy rozpoznającemu sądowi wzrośnie jeszcze obciążenie pracą sędziów, a postępowania staną się jeszcze dłuższe. Dałoby się jednak tego uniknąć, gdyby sędziowie karni obciążeni byli mniejszą liczbą spraw. Poszukiwanie prawdy jest nie tylko trudne, bywa także długotrwałe.

Druga instancja dla zbrodni głównej?

W Niemczech wciąż odzywają się głosy, że trzeba wprowadzić poprawki do kodeksu karnego i kodeksu postępowania karnego, jak również kodeksu karnego wykonawczego. Do najważniejszych propozycji należy wprowadzenie

także dla zbrodni głównych instancji odwoławczej dla ustaleń faktycznych. Złodziej czy paser, każdy drobny przestępca, może złożyć odwołanie od wyroku. W drugiej instancji przeprowadza się ponownie postępowanie dowodowe. Cały stan rzeczy, wszystkie fakty mogą zostać ponownie sprawdzone. W procesie o morderstwo nie ma takiej możliwości. Można tu tylko złożyć rewizję do sądu federalnego, który jednak związany jest ustaleniami faktycznymi przeprowadzonymi przez sąd niższej instancji. Przy poważnych przestępstwach postępowanie dowodowe przeprowadza się tylko jeden raz. Może to sprzyjać wydawaniu błędnych wyroków. Ustawodawca powinien w końcu uczynić zadość dawno wysuwanemu żądaniu wprowadzenia drugiej instancji w kwestii ustaleń faktycznych także w sprawach zbrodni głównej. Zapewne postępowania karne jeszcze się wskutek tego wydłużą, a sędziowie będą jeszcze bardziej obciążeni pracą, jeśli nie zatrudni się nowych. Na to jednak państwo nie ma pieniędzy.

Opieszałość wymiaru sprawiedliwości

Zakrawa też na skandal, kiedy domniemany morderca po ośmiu latach aresztu śledczego musi zostać zwolniony, ponieważ sądy nie mogą w tym czasie wydać na niego prawomocnego wyroku. Pewien sprawca w 1997 roku wysadził w powietrze własne mieszkanie czynszowe w Dusseldorfie, aby zainkasować kwotę ubezpieczenia. Straciło przy tym życie sześciu lokatorów. W 2001 roku człowiek ten został skazany za sześciokrotne morderstwo na dożywotnie więzienie. Wskutek błędu procesowego sąd federalny uchylił ten wyrok. Nowy proces odbył się przed sądem rejonowym w Dusseldorfie. Podczas całego postępowania oskarżony pozostawał w areszcie śledczym z uwagi na możliwość ucieczki. W postanowieniu z 30 września 2005 roku federalny trybunał konstytucyjny napiętnował (akt nr: 2 BvR 1315/05) tę opieszałość wymiaru sprawiedliwości. W państwie prawa jest nie do przyjęcia, orzeka też sąd najwyższy Niemiec, by po ośmiu latach aresztu śledczego wymiar sprawiedliwości nie dysponował

żadnym materiałem obciążającym poza mocnym podejrzeniem o popełnienie przestępstwa.

Tego rodzaju długotrwałe postępowania karne nie stanowią niestety wyjątku. Należy temu jak najszybciej zaradzić, przyjmując nowych sędziów albo reformując istniejące prawo procesowe.

Wykształcenie i obciążenie pracą sędziów

Jeśli rzeczywiście chcemy zrobić wszystko, by zminimalizować zagrożenie zapadania błędnych wyroków - wykluczyć ich całkiem nie uda się nigdy - to trzeba zmniejszyć obciążenie pracą sędziów karnych. Nie są oni „automatami od paragrafów”, do których wrzuca się od góry akta łącznie z kosztami i należnościami, a u dołu wychodzi wyrok z uzasadnieniem niczym pudełko pralinek. Trzeba dać im czas, by mogli się doksztalać i spokojnie przemyśleć daną sprawę.

Wciąż zauważamy z przerażeniem, że są sędziowie, prokuratorzy, a także obrońcy w sprawach karnych, którzy nie mają elementarnej wiedzy z dziedziny psychologii, kryminologii, technik kryminalistycznych i medycyny sądowej. Tego rodzaju ignorancja i brak doświadczenia nierzadko mają tragiczne konsekwencje dla oskarżonego.

Aby umożliwić sędziom doksztalcenie się kosztem mniejszego obciążenia pracą, należy przede wszystkim zatrudnić więcej sędziów. I muszą być dobrze opłacani. Wynagrodzenie ich, niezależnie od wielkości sądu, musi być na tyle wysokie, by także wysoko wykwalifikowani prawnicy ubiegali się o stanowisko sędziego karnego. To praca dla specjalistów.

Każdy sędzia karny powinien być na tyle wykształcony, by dysponował podstawową wiedzą z dziedziny psychologii i problematyki odbywania kary. Chyba dobrze by też było, gdyby nie mogła zostać sędzią osoba, która była wcześniej oskarżycielem. Kto bowiem przez dłuższy czas reprezentował prokuraturę i ukierunkowany był w swojej pracy na udowodnienie oskarżonemu winy, nigdy nie wyzbędzie się całkowicie tego sposobu myślenia.

Trzeba też skończyć z tym, że sędziowie z innych działów sądownictwa
- wyspecjalizowani w prawie handlowym, prawie pracy i sprawach socjalnych,
prawie cywilnym, czy nawet finansowym lub administracyjnym
- mogą z dnia na dzień zostać przeniesieni do sądu karnego, nie zdając ponownie
egzaminu, w którym musieliby się wykazać wiedzą i zdolnościami w dziedzinie
prawa karnego. Kiedy ortopeda chce zostać ginekologiem albo okulista chirurgiem,
musi przedtem ukończyć dłuższe szkolenie specjalistyczne zakończone ponownym
egzaminem lekarskim. Przy zmianie specjalizacji w dziedzinie prawa nic takiego nie
jest na razie przewidziane.

Niekorzystne skutki działania sędziów niezawodowych

Nie brak też głosów, by całkowicie zrezygnować z instytucji sędziów
niezawodowych. I to nie dlatego, że laicy nie mają wiedzy prawniczej. Wielu z nich
nie nadaje się na sędziów przede wszystkim dlatego, że brak im doświadczenia
sądowego. Zwykle trudno im przychodzi pozbyć się z góry powziętych przekonań
albo uprzedzeń politycznych czy światopoglądowych. Laicy nie są przygotowani
zawodowo do tego, by spokojnie rozważyć okoliczności przemawiające za i przeciw
podczas oceniania charakteru przestępstwa czy przedstawiania materiału
dowodowego. Często kierują się uczuciami i łatwiej ulegają głupim nierzadko
sugestiom opinii publicznej. W sądach kolegialnych miejsce ławników winni zająć
lekarze i psychologowie, posiadający wiedzę fachową, jaką nie mogą się zwykle
wykazać ławnicy.

Ale nie sposób już sobie wyobrazić wymiaru sprawiedliwości bez współudziału
laików, to zasada niemal zagwarantowana konstytucyjnie we wszystkich
współczesnych demokracjach. W anglo-amerykańskim systemie prawnym sami
przysięgli rozstrzygają nawet o winie bądź niewinności oskarżonego oraz o
występowaniu okoliczności łagodzących lub przemawiających za zaostrzeniem kary.
Tutaj nieadekwatność laików

|
|
w roli sędziów rysuje się jeszcze wyraźniej i trwalej niż w Niemczech, gdzie ławnicy rozstrzygają razem z sędziami zawodowymi. Być może rzeczywiście udałoby się jeszcze bardziej ograniczyć liczbę błędnych wyroków, gdyby wyrugowano z sal sądowych tak zwany zdrowy rozsądek przedstawicieli ludu.

Model anglo-amerykański?

Należy jednak stanowczo zrezygnować z prób wzorowania procesu karnego na modelu anglo-amerykańskim, jak się tego domagają od dziesięcioleci zwłaszcza znani obrońcy w sprawach karnych w Niemczech. Nie można też nie dostrzegać niedostatków tego całkiem odmiennie skonstruowanego systemu prawa procesowego.

Dotyczy to już roli prokuratora. W Niemczech jako organ wymiaru sprawiedliwości i urzędnik państwowy, musi on uwzględnić w postępowaniu przygotowawczym także fakty przemawiające na korzyść podejrzanego. W anglo-amerykańskim systemie prawnym roli oskarżyciela może się podjąć każdy adwokat, często z bardzo egoistycznych pobudek. Zwiększa to jeszcze niebezpieczeństwo prowadzenia jednotorowego śledztwa.

Nie powinno się też zmieniać formuły dociekania procesowego, kiedy to sędzia prowadzi rozprawę, próbując poznać prawdę poprzez zadawanie pytań stronom procesu i przesłuchiwanie świadków. Dobry sędzia przewodniczący nie poprowadzi rozprawy w sposób autorytarny i despotyczny. Musi też dalej być tak, że podczas rozprawy głównej zna on akta śledztwa prowadzonego przeciw oskarżonemu przez policję i prokuraturę. Wysiada się niekiedy żądanie, by sędzia przystępował do pracy bez znajomości akt sprawy, co ma go ustrzec przed formułowaniem uprzedzeń. Nie przybliży go to jednak do prawdy. Czyż nie musi on znać wcześniej szczegółów śledztwa, które nie wypłyną przecież wszystkie w toku przewodu sądowego, aby wyrobić sobie opinię (a nie uprzedzenie!)? Jak miałby prowadzić proces bez znajomości tych akt?

Kontrola „trzeciej władzy”?

Każdy sędzia jest niezawisły i odpowiada jedynie przed własnym sumieniem. I tak powinno pozostać. Jednak i na niemiecki system prawny oddziałują konflikty interesów rozmaitych ugrupowań społecznych, walki o przewagę i wpływy oraz zmagania o realizację określonych celów politycznych. Sędziowie nie są neutralni ani światopoglądowo, ani politycznie. I nie sposób tego od nich wymagać. Politycy są kontrolowani przez wymiar sprawiedliwości i opinię publiczną, zwłaszcza przez media, a media przez wymiar sprawiedliwości i polityków. Ale kto kontroluje wymiar sprawiedliwości?

Nadzoru służbowego, któremu podlegają sędziowie, prawie się nie zauważa. Jeśli sędzia nagina prawo, to inni sędziowie decydują o tym, czy uczynił to rozmyślnie, czy jest winny, czy nie. Kontrola zewnętrzna nie istnieje. Pewna odpowiedzialność przypada w udziale mediom. Ale one interesują się przeważnie tylko spektakularnymi pomyłkami sądowymi. Ponadto nierzadko same przygotowują dla nich grunt poprzez niepoważne, nastawione na wzbudzenie sensacji relacje i przedwczesne ferowanie wyroków.

Kwestię, czy „trzecia władza” w państwie nie musi jednak podlegać większej kontroli, na przykład ze strony rządu czy specjalnych komisji, należy poddać intensywnej dyskusji. Stan sędziowski mógłby mimo to nadal zachować swobodę w wydawaniu orzeczeń.

Sprawą równie delikatną, jak kwestia kontroli sędziów, jest tajemnica obrad sądowych. Czy nie byłoby lepiej, gdyby każdy sąd był zobowiązany do informowania podczas ogłaszania wyroku, kto z ławników głosował za wyrokiem, a kto przeciw niemu?

Obywatel podporządkowany prawu i wymiar sprawiedliwości bliski obywatelowi
Tak jak lekarz może postawić fałszywą diagnozę, tak może popełnić pomyłkę sędzia karny. Jest on zobowiązany dociec prawdy i wydać sprawiedliwy wyrok. Nie zawsze się to jednak udaje. My, naród, powierzyliśmy mu

wykonywanie dla nas tego trudnego zadania. Obywatele przekazali nie tylko „władzę” ustawodawczą i wykonawczą, ale też sędziowską. Przenieśliśmy tę odpowiedzialność na sędziów i prokuratorów. Muszą orzekać w naszym imieniu i żyć ze swoimi decyzjami, także z błędnymi wyrokami. A jednak obywatel postrzega się w coraz większym stopniu jako podporządkowany prawu, a w coraz mniejszym jako ten, w którego imieniu sprawiedliwość jest wymierzana.

Jak może obywatel być dopuszczony do tego, co dzieje się w salach sądowych w jego imieniu i na jego polecenie? Jedną z możliwości byłoby stałe informowanie go na bieżąco za pośrednictwem radia i telewizji także podczas trwania rozpraw. W Stanach Zjednoczonych bieżące relacje z procesów i na ich temat są już na porządku dziennym. W 1981 roku Supreme Court uznał za zasadniczo dopuszczalne fotografowanie i rejestrowanie przez telewizję przebiegu procesu, także karnego. Pozostawiono poszczególnym stanom decyzję, czy i w jaki sposób ma to być realizowane. W większości intensywnie się z tego korzysta. Materiał filmowy przekazywany jest najpierw do wspólnego „rezewuaru”, skąd każda redakcja może zdobyć to, co ją interesuje.

Media odniosły wielkie zwycięstwo. Obrazy z bieżącego procesu umożliwiają prawie całkowitą jawność. Każdy obywatel może teraz wszystko bezpośrednio obejrzeć i wyrobić sobie własne zdanie. Może wypowiedzieć swoją opinię i robi to. Najbardziej by mu odpowiadało, gdyby sąd uwzględnił i jego poglądy.

Czyż nie jest to najbardziej pożądanym rodzajem wymiaru sprawiedliwości, który rzeczywiście wydaje wyroki w imieniu narodu? Nie, zdecydowanie nie.

Niebezpieczeństwo, że tego rodzaju prezentacja medialna wpłynie negatywnie na dociekanie prawdy i przeprowadzanie dowodów, a nawet spowoduje wydawanie błędnych wyroków, jest o wiele za duże.

Jak groteskowe następstwa mogą mieć takie transmisje na żywo, stało się wyraźnie widocznie na przykład w pewnej sprawie z Alaski z 1990 roku. W Anchorage toczyło się postępowanie przeciw kapitanowi supertan-kowca Exxon Valdez. Obrońca chciał zadać pewne pytanie, wobec którego

oskarżyciel wniósł sprzeciw, a sędzia musiał rozstrzygnąć, czy jest ono dopuszczalne. Przysięgłym nie wolno było uczestniczyć w rozstrząsaniu tej kwestii spornej, dlatego poproszono ich do innego pomieszczenia. Jest to farsa, albowiem wieczorem w domu mogli oni w fotelu przed telewizorem obejrzeć ze wszystkimi szczegółami dyskusję na temat dopuszczalności tego pytania. Kamery wszystko zarejestrowały.

W Niemczech daleko jeszcze do tego rodzaju zająć. Najprawdopodobniej sytuacja nigdy nie będzie tak wyglądać. Nie ma to nic wspólnego z wymiarem sprawiedliwości „bliskim obywatela” i w żaden sposób nie zapobiega zapadaniu błędnych wyroków, a wręcz przeciwnie.

Czy społeczeństwo potrzebuje przestępcy?

Mamy świadomość tego, że nasze prawo jest tylko dziełem człowieka. A ludzie nie są nieomylni, popełniają błędy. Nie ma żadnego niezmiennego prawa, niejako objawionego z góry. Może to prowadzić do arogancji człowieka. Może on ustanawiać i stosować prawo, które po jakimś czasie postrzegane jest jako wielka niesprawiedliwość.

Zawsze jednak przestępca jest kozłem ofiarnym społeczeństwa. Może go ono nawet potrzebuje, jak twierdzą pewni mądrzy ludzie. Kryminalista narusza porządek społeczny, stawia się niejako poza nawiasem społeczeństwa. Zmusza to do zwarcia szeregów. Lęk przed przestępstwem rozbudza zanikające poczucie wspólnoty.

Wszyscy jesteśmy zadowoleni, kiedy zbiegły sprawca poważnych przestępstw na tle seksualnym zostaje ponownie schwytyany. Albo gdy - jak to miało miejsce w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku w hamburskiej dzielnicy Rahlstedt - sadystyczny morderca Lutz R., który w swojej piwnicy zakatował na śmierć kilka kobiet, a ich ciała umieścił w naczyniach z kwasem, otrzymał karę dożywotniego więzienia bez możliwości wyjścia na wolność.

Opinia publiczna również doznała ulgi, kiedy trzydziestojednoletniemu Marcowi H., sprawcy przestępstw seksualnych na ośmioletnich dzieciach Fe-

liksie i Levke, nie udało się przekonać sędziów sądu rejonowego w Stade, jakoby był niepoczytalny. Izba karna skazuje go 29 czerwca 2005 roku na dożywotnie pozbawienie wolności bez możliwości wyjścia na wolność i orzeka szczególny ciężar winy, co dodatkowo wyklucza przedterminowe zwolnienie z więzienia po piętnastu latach. Na sali sądowej widać radość, kiedy sędzia przewodniczący Berend Appenkamp pod koniec uzasadnienia wyroku powiedział do Marca H., że będzie teraz musiał długo, bardzo długo żyć w niewoli. Jednak wyrok ten jeszcze się nie uprawomocnił. Marc H. złożył rewizję do sądu federalnego, bo uważa się za chorego i liczy na umieszczenie w zakładzie psychiatrycznym, co dawałoby możliwość wcześniejszego zwolnienia. Wobec tak straszliwych zbrodni coraz głośniej i częściej rozlegają się głosy wzywające do przywrócenia kary śmierci. Według policyjnych statystyk kryminalnych w roku 2003 zamordowano w Niemczech sześćdziesiąt-troje dzieci. Zostały one uduszone, pobite na śmierć lub zadżgane przez perwersyjnych, psychicznie chorych czy bestialsko złych dorosłych. Śmierć temu, kto zabija! „Krew za krew!”. To jedyna możliwa odpowiedź, w przekonaniu wielu osób.

„Lud żąda głowy!”

W 1982 roku czterdziestodwuletni ekonomista dyplomowany Giinther A. zostaje skazany przez sąd rejonowy w Karlsruhe na dożywotnie więzienie. Przyznał się on do zabicia jedenastoletniej Corneli B. po próbie wymuszenia od jej rodziców dwóch milionów marek okupu. Potem odwołał to zeznanie. Podczas jednej z rozpraw wśród publiczności siedzi kobieta, która wciąż domaga się, by zrobiono z oskarżonego „siekaninę”. A mężczyźni na widowni okazują swoją nienawiść do sprawcy, pokazując mu, jakie to części ciała trzeba by mu obciąć tępym nożem. To także są „wybryki” niemieckiego sądownictwa karnego, nawroty do średniowiecza. Jeszcze nie tak dawno oskarżony został zastrzelony na sali sądowej przez matkę zabitego przez niego dziecka.

W 1996 roku seryjny morderca Thomas R., skazany przez sąd przysięgłych w Berlinie na dożywotnie więzienie bez możliwości wcześniejszego zwolnienia, oświadcza w swoim słowie końcowym: „Nie może być dla mnie sprawiedliwego wyroku. Lud żąda głowy!”.

Kiedy skazany Günther A. po trzech latach więzienia złożył u kierownika zakładu karnego wniosek o zgodę na sprowadzenie sobie trucizny, „by w sposób godny człowieka móc zakończyć takie bezsensowne życie”, odmówiono mu, traktując to jako przejaw „niestosownego podejścia roszczeniowego”, brak skruchy i odmowę poddania się pokucie. Zabił on bez litości, więc nie zasługuje na litość. Nigdy nie wyjdzie na wolność. Gdyby jednak do tego doszło, byłaby to w oczach społeczeństwa „pomyłka sądowa”.

Wymiar sprawiedliwości nie powinien stawać się mordercą

Ludzie nigdy nie zajdą tak daleko, by móc się uważać za nieomylnych. Dlatego wymiar sprawiedliwości nie powinien stawać się mordercą. Kara śmierci nie stanowi pomsty za ofiarę, lecz tworzy nową ofiarę. Już zbyt wielu niewinnych zostało straconych przez wymiar sprawiedliwości.

Według najnowszych statystyk w 2002 roku w 67 krajach skazano na śmierć 3248 osób. A w 32 krajach w tymże roku dokonano egzekucji co najmniej 1526 skazanych. Większość (81 procent) odbyła się tylko w 3 krajach: Chinach, Iranie i Stanach Zjednoczonych. W samych Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich stu lat skazano na śmierć co najmniej 450 osób, których niewinność została potem dowiedziona.

Przynajmniej 23 niewinnych ludzi rzeczywiście stracono. W latach 1977-2003 według danych Amnesty International w Stanach Zjednoczonych dokonano egzekucji 870 osób, z tego 50 w 2002 roku. Każdego miesiąca odbywają się kolejne egzekucje, zwłaszcza w konserwatywnych stanach Południa. Ale także w uchodzącej za bardzo liberalną i postępową Kalifornii kandydaci na gubernatora, którzy opowiadają się za zniesieniem kary śmierci, praktycznie nie mają szans w wyborach. Większość Amerykanów uważa, że kara śmierci stano-

wi adekwatny środek ograniczający liczbę przestępstw z użyciem przemocy. Jednak statystyki i badania długoterminowe jednoznacznie przeczą temu założeniu. Kara śmierci w żadnym razie nie odstraszy potencjalnych morderców i sprawców brutalnych przestępstw.

W chwili obecnej w Stanach Zjednoczonych około trzech i pół tysiąca skazanych oczekuje w celi śmierci na egzekucję. Ale od 2003 roku pojawiła się dla nich nowa nadzieja. W styczniu 2003 roku ówczesny gubernator stanu Illinois George Ryan ułaskawia w ostatnim dniu swojej kadencji ponad stu pięćdziesięciu skazanych na śmierć. Czyni tak, ponieważ powołana przez niego komisja śledcza dochodzi do wniosku, że znaczna część wyroków śmierci została orzeczona w następstwie źle prowadzonego postępowania i stracono osoby, których niewinności dowiedziono potem w sposób niezbity. Po dwuletnim dochodzeniu komisja oświadcza jednogłośnie, że „wobec omyłności natury ludzkiej nie da się stworzyć systemu, który funkcjonowałby doskonale i mógł zagwarantować bezwarunkowo, że już nigdy osoba niewinna nie zostanie skazana na śmierć”.

Profesor prawa James Liebman z Uniwersytetu Columbia wypowiada w pewnym studium przekonanie, że 68 procent wszystkich spraw, w których w Stanach Zjednoczonych w latach 1973-1995 orzeczono karę śmierci, to pomyłki sądowe. Przeprowadzony w maju 2003 roku sondaż Instytutu Gallupa wykazuje, że 73 procent Amerykanów uważa, że w USA w ciągu ostatnich pięciu lat stracono przynajmniej jednego niewinnego człowieka. Niemniej 60 procent badanych sądzi, że stosowanie kary śmierci jest właściwe.

We wrześniu 2003 roku sąd federalny w San Francisco, uchodzący za jeden z najbardziej liberalnych w Stanach Zjednoczonych, uchyla ponad sto wyroków śmierci. Uznaje on za nieważne wszystkie wyroki śmierci w stanach Arizona, Montana i Idaho, jeśli zostały orzeczone przez sędziego, a nie przez ławę przysięgłych. Sąd federalny powołuje się na decyzję Supreme Court w Waszyngtonie, który rok wcześniej uznał wyroki śmierci wydane przez jednego sędziego za niezgodne z konstytucją. Dociekanie prawdy przez ławę przysięgłych gwarantuje większą niezawodność.

Skazani mają teraz prawo do całkiem nowego procesu. Być może zostaną przeprowadzone uproszczone postępowania skrócone, podczas których nie będzie się badać całej sprawy, a tylko określi na nowo wymiar kary.

Taki rozwój sytuacji jest też może wynikiem ogólnoswiatowych protestów przeciw barbarzyńskiej i arbitralnej praktyce sądowej w Stanach Zjednoczonych. W czerwcu 2001 roku już nawet trybunał międzynarodowy w Hadze, instytucja ONZ, ostro skrytykował amerykańskie procedury. Ten wyrok piętnastu sędziów dotyczy sprawy dwóch obywateli niemieckich. Bracia Karl i Walter L. zamordowali w 1984 roku w Arizonie kierownika filii pewnego banku. Po schwytaniu nie pozwolono im nawiązać kontaktu z władzami Niemiec. Nie pouczono ich o przysługujących im prawach, a niemieckie placówki nie zostały poinformowane o ich zatrzymaniu i nie mogły zapewnić im odpowiedniej obrony. Braci skazano na śmierć. Niemiecki konsul w Los Angeles dowiaduje się o tym dopiero w 1992 roku. W wiedeńskiej konwencji o stosunkach konsularnych z 1963 roku, ratyfikowanej w 1969 roku także przez Stany Zjednoczone, zagwarantowano takie prawo konsultacji. Stany Zjednoczone jednak nie przestrzegają jej, regularnie łamiąc jej postanowienia.

Mimo energicznych interwencji strony niemieckiej Karl L. został 24 lutego 1999 roku stracony w Arizonie przez wstrzyknięcie trucizny. Wskutek tego Niemcy domagają się przed trybunałem w Hadze wstrzymania egzekucji Waltera L. W marcu 1999 roku trybunał przychylił się do tego wniosku i nakazał, by „nie wykonywać egzekucji Waltera L. do czasu rozstrzygnięcia kwestii głównej”. Jednak kilka godzin po tym Walter L. umiera po osiemnastominutowej agonii w komorze gazowej.

Gubernator stanu Arizona Jane H. zlekceważyła to orzeczenie. Republika Federalna Niemiec składa potem zażalenie przeciw Stanom Zjednoczonym, także rozstrzygnięte pozytywnie. W orzeczeniu nakazano Stanom Zjednoczonym bezzwłocznie informować w przyszłości odpowiednie konsulaty o zatrzymaniu przebywających tam cudzoziemców w związku z czynami karalnymi.

Ale także ten niezwykle surowy wyrok trybunału haskiego nie zmienił brutalnych i niezgodnych z prawem międzynarodowym praktyk Stanów

Zjednoczonych. W Teksasie 14 sierpnia 2002 roku stracono Meksykanina Javiera Suareza M., a 12 marca 2002 roku obywatelkę brytyjską Tracy H. Obojga nie poinformowano o przysługujących im prawach. Egzekucji tej nie zapobiegły nawet protesty brytyjskiego premiera Tony'ego Blaira oraz dyplomatów z pięciu krajów Unii Europejskiej. Od 1976 roku stracono w Stanach Zjednoczonych szesnastu cudzoziemców. A w chwili obecnej około setki cudzoziemców przebywa w blokach śmierci tamtejszych więzień, w tym prawie połowa to Meksykanie. Jest wśród nich trzech Niemców. W Arizonie czekają na egzekucję bracia Rudi i Michael A., chociaż Rudi A., mający 55 lat, jest upośledzony umysłowo, a w Niemczech zostałby uznany za niezdolnego do oceny znaczenia czynu. Władze amerykańskie nie pouczyły obu braci o przysługujących im prawach i uniemożliwiły im kontakt z niemieckimi placówkami dyplomatycznymi. To samo dzieje się w sprawie Dietera R. z Hamburga. Sąd przysięgłych w Miami 4 listopada 1988 roku skazał go na karę śmierci, ponieważ 25 października 1987 roku, podczas urlopu na Florydzie, zabił w swoim samochodzie strzałem w głowę trzydziestojednoletnią przyjaciółkę Kerstin K., była prostytutką z Hamburg-Bahrenfeld. Zdaniem sądu motywem miała być chęć zainkasowania ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy euro z ubezpieczenia na życie. Ale poszlaki są niepewne. Wiele lat później pewien kolorowy Amerykanin oświadczył prywatnemu detektywowi oraz reporterowi, że to on strzelał. Od siedemnastu lat sześćdziesięcioletni obecnie Dieter R. przebywa w więzieniu państwowym w Raiford na Florydzie „on Death Row”, czekając na dzień egzekucji. Od ponad siedemnastu lat obstaje on przy swojej niewinności. W 1992 roku Stany Zjednoczone odrzuciły prośbę o ekstradycję niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które uważnie śledzi całą sprawę. To, czy Dieter R. został skazany niesłusznie, zbada niebawem Supreme Court stanu Floryda i rozstrzygnie, czy ma on prawo do nowego procesu. Prawie wszystkie kraje świata zgodne są co do tego, że kara śmierci nie powinna być orzekana w wypadku młodocianych. W 1976 roku zostało to

3ÓQ

uzgodnione w międzynarodowej limowie o prawach cywilnych i politycznych. Podpisało ją sto dwadzieścia pięć krajów. W 1992 roku ratyfikowały ją też Stany Zjednoczone. Mimo to nie stosują się do niej, to skandal prawny szczególnego rodzaju.

Egzekucje młodocianych mają w tym kraju długą tradycję. Już w 1885 roku powieszono w Arkansas za udział w morderstwie na tle rabunkowym Jamesa Arcene'a, Indianina z plemienia Czirokezów, który w chwili popełnienia przestępstwa miał dziesięć lat. To najmłodszy człowiek, jakiego kiedykolwiek stracono w Stanach Zjednoczonych.

Do 2005 roku Stany Zjednoczone były jedynym krajem, oprócz Iranu, Jemenu, Nigerii, Pakistanu i Arabii Saudyjskiej, gdzie orzekano wyroki śmierci dla osób poniżej osiemnastego roku życia, wbrew zakazującym tego zobowiązaniom międzynarodowym. W osiemnastu stanach było to możliwe, jeśli młodociany ukończył szesnaście lat, w pięciu minimalny wiek wynosił siedemnaście lat. Od przywrócenia w 1976 roku kary śmierci stracono w Stanach Zjednoczonych dwudziestu jeden nieletnich. A ponad stu czekało na to w celi śmierci. Ale 1 marca 2005 roku Sąd Najwyższy USA postanowił ostatecznie, że młodociani, którzy w chwili popełnienia przestępstwa nie ukończyli osiemnastu lat, nie mogą już zostać straceni, ponieważ ich egzekucja naruszałaby konstytucję amerykańską.

„Śmierć na raty”

Niebezpieczeństwo wydania błędnego wyroku występuje też przy orzekaniu kary najwyższej. Po orzeczeniu i wykonaniu kary śmierci podobny błąd jest nie do naprawienia. Przy wyroku dożywotniego więzienia, a zdarzają się i takie tragiczne i złe błędne wyroki, można przynajmniej zwolnić niewinnie skazanego i przyznać mu odszkodowanie. Taka śmierć na raty, jak się czasem nazywa dożywotnie więzienie, to także surowa kara. Zwłaszcza w latach 1970-1980 nie brakło w RFN głosów, by i ją zniesiono. Celem wykonania kary nie powinno być ostateczne zniszczenie

człowieka. U skazanych na dożywocie z reguły po jakichś piętnastu latach dochodzi do postępującego rozpadu osobowości i daje się zauważyć zanik poczucia winy. Wskutek tego dalsze odbywanie kary traci swój sens.

W konsekwencji w 1976 roku wielka izba karna sądu rejonowego w Verden an der Aller skierowała zapytanie do federalnego trybunału konstytucyjnego, czy kara dożywotniego pozbawienia wolności zgodna jest z pierwszymi trzema artykułami niemieckiej ustawy zasadniczej. Pewien policjant zastrzelił dealera narkotykowego, który groził mu przez telefon. Ponieważ czyn został dokonany „perfidnie”, zgodnie z prawem sprawca powinien zostać skazany na dożywocie. Wydało się to jednak sądowi wyrokiem zbyt surowym, zbyt druzgocącym. W marcu 1977 roku federalny trybunał konstytucyjny orzekł, po zasięgnięciu opinii jedenastu biegłych, że dożywotnie pozbawienie wolności za morderstwo jest całkowicie zgodne z konstytucją. Nie można potwierdzić, jak zauważył ten najwyższy sąd niemiecki, by kara dożywotniego pozbawienia wolności prowadziła do nieodwracalnych szkód psychicznych czy fizycznych. Skazanemu należy jednak zasadniczo pozostawić szansę wcześniejszego zwolnienia. Sama możliwość amnestii nie wystarcza. Po tym orzeczeniu sąd rejonowy w Verden uniewinnił oskarżonego policjanta od zarzutu morderstwa. Zmianie uległ też niemiecki kodeks karny. Odtąd możliwe jest, według par. 57a, zawieszenie także wykonania reszty kary dożywotniego pozbawienia wolności. Warunkiem jest odbycie piętnastu lat kary oraz niestwierdzenie „szczególnego ciężaru winy” skazanego.

Zadośćuczynienie pogłębia zaufanie do wymiaru sprawiedliwości

„Kto popełnia błąd i go nie naprawia, popełnia drugi” - pisał Konfucjusz. Z całą pewnością dotyczy to także błędnych wyroków wymiaru sprawiedliwości, które nie zostają uchylone, ale pozostają w mocy. Trudność polega tylko na tym, by określić, które wyroki należy uważać za błędne.

Łańcuch pomyłek sądowych jest długi i nie będzie mieć końca. Nie ustrzeżemy się przed tym i w przyszłości. Przestępstwa, zwłaszcza zabójstwa, są złe i obrzydliwe. To samo dotyczy jednak pomyłek wymiaru sprawiedliwości, który ma o nich orzekać. Wielki francuski filozof Michel de Montaigne już przed czterystu laty doszedł w swoich Próbach do wniosku, że pomyłki wymiaru sprawiedliwości to „wyroki bardziej zbrodnicze niż same zbrodnie”.

Tym ważniejsze i bardziej konieczne jest „zadośćuczynienie” za błędny wyrok. Może ono tylko pogłębić zaufanie do wymiaru sprawiedliwości. Niestety, przeważnie sądownictwo karne czyni wszystko, by nie dopuścić do wznowienia procesu.

Niewinni ludzie przez całe lata i dziesięciolecia pozostają dalej za murami więzienia, ponieważ skorygowanie błędnego orzeczenia naruszałoby nimb nieomyślności wymiaru sprawiedliwości. Jest to szczególnie tragiczne przy wyrokach dożywotniego więzienia czy wręcz kary śmierci. Jeśli niewinnie skazany zostanie stracony, wtedy pomyłka, jeśli zostanie odkryta, nie da się już naprawić. Także przy wyrokach pozbawienia wolności trauma psychiczna powstała w psychice niewinnie skazanego w wyniku odbycia niesłusznego wyroku jest nie do naprawienia.

Sądownictwo karne musi się przyznawać do błędów

Wyroki w sprawach karnych, orzekane w imieniu nas wszystkich, świadczą o tym, czy żyjemy w państwie prawa, czy bezprawia. Prawo karne stanowi też dobry wyznacznik stanu państwa i społeczeństwa. To bardzo wrażliwa sfera, ujawniająca, czy wspólnota jest zdolna odpowiednio i rozważnie przeciwdziałać zagrożeniom i zaburzeniom jej życia społecznego - czyli przestępczości. A to wymaga też właściwego postępowania przy błędnych wyrokach, których nigdy nie da się całkowicie wykluczyć, i uporania się z nimi.

Sądownictwo karne musi się też nauczyć przyznawania się do pomyłek. Powinniśmy tego od niego wymagać. Musimy nieustannie dociekać, jakie

przyczyny prowadzą w poszczególnych sprawach, a także sumarycznie, do wydawania wciąż nowych błędnych wyroków w starej postaci. Musimy określić, co z naszego punktu widzenia musi niezwłocznie ulec poprawie. Nieprzystępny wymiar sprawiedliwości, który nie lubi, jak mu się patrzy na ręce, nie robi dobrego wrażenia. Nie jest przyjemnie, kiedy katastrofy sądowe, po ich ostatecznym i prawomocnym stwierdzeniu, musimy traktować tylko retrospektywnie, niczym jakiś gabinet osobliwości. Wymiar sprawiedliwości musi pokazać tym, w których imieniu feruje wyroki, że popełnione pomyłki rzeczywiście czegoś go nauczyły. I że czyni wszystko, co w jego mocy, by w przyszłości takie błędy ograniczyć do minimum.

Nasza współodpowiedzialność za wyroki karne

Z drugiej strony nie powinniśmy też pozostawiać wymiaru sprawiedliwości samemu sobie. Jeśli społeczeństwo w dalszym ciągu będzie w znacznej mierze przerzucać swoje nierozwiązane problemy polityczne, społeczne i ludzkie na sądownictwo, to temu ostatniemu grozi zapaść. Wymiar sprawiedliwości osiągnął już granice wydolności. Przy takim obciążeniu liczba błędnych wyroków i pomyłek sądowych może tylko wzrastać. Dlatego i pod tym względem ponosimy odpowiedzialność. Jako społeczeństwo musimy doprowadzić do zmniejszenia liczby problemów. Wówczas i wymiar sprawiedliwości będzie rzadziej popełniać pomyłki.

Może książka ta przyczyni się do rozbudzenia poczucia współodpowiedzialności każdego człowieka w sprawach wymiaru sprawiedliwości. Kiedy na sali sądowej zostaje orzeczony błędny wyrok albo przedstawiona fałszywa ekspertyza biegłego, a zwolniony na jej podstawie przedterminowo przestępca rychło po tym popełnia nowe zbrodnie, oby każdy mógł sobie powiedzieć, że nie jest winien tych pomyłek.

Ale to tylko połowa prawdy. Wszyscy ponosimy współodpowiedzialność za wyroki karne orzekane w naszym imieniu. To ciężkie brzemie. Ale nie możemy się przed nim uchylać.

Bibliografia

Książki

Arnau Frank, Die Strafunrechtspjlege in der Bundesrepublik. Desch Verlag, 1967
Bossi Rolf, Ichjordere Recht Heyne Verlag. 1977
Carter Rubin, The 16th Round Viking Press. 1975
Chaiton Sam, Swinton Terry, Hurricane Goldmann. 2000
Chamberlain Lindy, Heinemann William, Through my eyes. 1990
Comer Ronald J., Klinische Psychologie. Spektrum Akademischer Verlag, 2000
Ebermayr Erich, Sie waren unschuldig. Liibbe Verlag, 1965
Fuhrmann Manfred, Cicero und die rómische Republik. Artemis und Winkler, wyd. 4, 1997
Hirschberg Max, Das Fehlurteil in Strafprozess. Fischer Verlag, 1962
Jacta Maximilian, Beruhmte Strafprozesse, Frankreich. Goldmann, 1963
Jacta Maximilian, Beruhmte Strafprozesse, Amerika. Goldmann, 1964
Jacta Maximilian, Beruhmte Strafprozesse, Deutschlamd II. Goldmann, 1967
Jacta Maximilian, Skandale und Intrigen. Goldmann, 1971
Janka Renate, Lasst meine Tochter endlichjrei. Droemer Weltbild, 2002
Judex: Irrtilmer der Strafjustiz. Kriminalistik, 1963
King Gary C, An Early Grave. St Martins Press, 2001
Kunkel Jrg, Schuhbauer Thomas (ied.),/ustizirrtumf Campus Verlag, 2004
Kurreck Brigitte, Mord nach Paragraphen. Siidwestverlag, 1969
Mauz Gerhard, Die Cerechten und die Cerichteten. Ullstein Verlag, 1968
Mauz Gerhard, Diejustiz vor Cericht. Goldmann Verlag, 1993
McFarland Gerald, The Counterfeit Man. University of Massachusetts Press, 1990
Meter Peer, Cesche Gottfried - ein langes Warten aufden Tod. Lilienthal, 1995
Michaelis Hildegard, Recht muss Recht bleiben. Econ Verlag, 1961
Moor Paul, fiirgen Bartsch, Opfer oder Tdter. Rowohlt Verlag, 1991
Moulton Sherman R., The Boom Mystery. Vermont Historical Society, 1937
Murakami Peter und Julia, Lexikon der Serienmrder. Ullstein Yerlag, wyd. 7, 2001

Otto Hans-Dieter, Das Lexikon der fustizirrtiimer. Ullstein Verlag, wyd. 2, 2004
 Pfeiffer Hans, Mórderische Arzte. Heyne Verlag, wyd. 2, 2003
 Reynolds Quentin, Courtroom. Farrar, StrauB & Co.
 Ronge Paul, Im Namen der Gerechtigkeit. Kindler Verlag, 1963
 Riickert Sabine, Tote haben keine Lobby. Ullstein Verlag, wyd. 2, 2002
 Shears Richard, Nelson Thomas, Azaria. 1982
 Spargo John, The Return of Russell Colvin. Historical Museum and Art Gallery of Bennington, Vermont, 1945 Spitra Helfried (red.) Die groj&en Kriminalfdlle. Campus Verlag, wyd. 2, 2001 Stemmler Robert A. (red.), Todesurteil. „Der neue Pitaval“, Desch Verlag, 1964 Stemmler Robert A. (red.), Raub. „Der neue Pitaval“, Desch Verlag, 1964 Stemmler Robert A. (red.),/ustizirtum. „Der neue Pitaval“, Desch Verlag 1965 Stemmler Robert A. (red.), Jugendkriminalitdt. „Der neue Pitaval“, Desch Verlag, 1967 Stemmler Robert A. (red.), Hexenjagd. „Der neue Pitaval“, Desch Verlag, 1969 Straß Gerhard, Der Verteidiger in der Wiederaufnahme. „Stratverteidiger“ 1999, s. 228 i nast. Wirth Ingo, Tote geben zu Protokoll. Weltbild Verlag, 2003 Young Norman H., Innocence Regained. The Federation Press, 1989
 Dzienniki i czasopisma
 1,2 Millionen Euro Jur Qualen, „Salzburger Nachrichten“, 22.07.2003
 A canadian tragedy, Anne Bayin, „CBC News Online“, listopad 1999
 A life regained, „The Patriot-News“, 22.11.2003
 Angeklagter Kannibale kann mit Freispruch rechnen, „Die Welt“, 10.06.2005
 Anklage schlussig, „Salzburger Nachrichten“, 6.11.2002
 Ausweitung der DNA-Analyse gefordert, „Die Welt“, 16.01.2005
 Barry pleadsguilty, „Providence Journal“, 7.01.2003
 Beamte im Visier der Justiz; „Salzburger Nachrichten“, 4.04.2003
 Bedauerlich, dass der wahre Tdter frei herumlduft, „Pirmasenser Zeitung“, 18.02.2002
 BGH nimmt Arzte in die Ffticht, „Hamburger Abendblatt“, 14.11.2003
 Bundesrichter kippen Kannibalen-Urteil, „Hamburger Abendblatt“, 23.04.2005
 Bush ist ein wahrer Glicksfall, „Die Tageszeitung“, 28.06.2001
 Carolin doch vor ihrem Tod vergewaltigt, „Hamburger Abendblatt“, 30.07.2005
 Chronologie eines versuchten Justizmordes, „Neues Deutschland“, 1.08.2001
 Confession had his signature, DNA did not, „New York Times“, 26.08.2002
 Convicted killer Jfeed as another man confesses, „Seattle Post-Intelligencer“, 23.11.2002 Danahm ich das Mes ser.....Hamburger Abendblatt“, 15.01.2004

Death is different, „New York Times", 10.04.2002
 Death Row Survivor, „New York Times", 12.04.2001
 Der Fali Armin Meiwes, „Hamburger Abendblatt", 5.01.2004
 Der Fali Harry Wozz, „Stuttgarter Zeitung", 21.10.2004
 Der Fali Heidegger, „Salzburger Nachrichten", 15.03.2003
 Der Schuss ist nach hinten losgegangen, „Spiegel Online", 30.01.2004
 Der wahre Täter stand schon vor Gericht, „Süddeutsche Zeitung", 26.08.2003
 Des Schuspielerjalsches Geständnis, „Süddeutsche Zeitung", 25.08.2003
 Die Haft nach der Haft, „Hamburger Abendblatt", 11.03.2004
 Die Last des eigenen Lugengebirges, „Süddeutsche Zeitung", 2.09.2003
 Die Logik des Tötens, „Spiegel", 51/2003, 15.12.2003
 DNA-Analyse: Wunder darf man nicht erwarten, „Frankfurter Allgemeine Zeitung",
 18.01.2005 DNA eines Arizona Inmate after 10 years in prison, „The Arizona
 Republic", 9.04.2002 DNA leads to release of Arizona convict, „Seattle Post
 Intelligencer", 8.04.2002 DNA test in, Laughman may be freed, „The Patriot-News",
 11.11.2003 DNS-Test rettet Todeskandidaten, „Frankfurter Allgemeine", 4.01.2001
 Doppelmord: Es drohen zwölf Jahre Haft!, „Hamburger Abendblatt", 8.04.2005 Ein
 Gesinnungsgenosse, bereit zum Terror, „Hamburger Abendblatt", 20.08.2005 Ein
 (fast) perfekter Mord, „Hamburger Abendblatt", 8.01.2004 Ein totes Kind im Tal des
 Glücks, „Tagesspiegel", 19.07.2000 Enttäuschung nach Mzoudi-Freispruch,
 „Tagesspiegel", 7.02.2004 Erneut am Ort der Bluttat, „Salzburger Nachrichten",
 1.04.2003 Er soll nie wieder freikommen, „Hamburger Abendblatt", 30.06.2005 Er
 war absolut emotionslos, „Stuttgarter Zeitung", 10.06.2005 Fali Engelbach: Haarkann
 nicht entschlossen werden, „Die Rhein-pfalz", 11.12.2002 Frage der Geständnisse,
 „Salzburger Nachrichten", 20.03.2003 Freedom boy sentenced to life, „Irish
 Independent", 2.01.2004 Freeing Anthony Porter, „Focus International", 1999, vol. 5.
 nr 1 Freispruch Jur Schauspieler Günther Kaufmann, „Die Welt", 27.01.2005
 Freispruch Jur Kaufmann, „Hamburger Abendblatt", 27.01.2005 Freispruch kam 53
 Jahre nach dem Tod durch den Strick, „Westdeutsche Allgemeine", 12.06.2003
 Freispruch rechtskräftig, „Salzburger Nachrichten", 20.05.2003 Freispruch! Richter
 wird um Verstandnis, „Hamburger Abendblatt", 6.02.2004 Gericht wirft Kaufmann
 Mordkomplott vor, „Hamburger Abendblatt", 23.11.2004 Günther Kaufmann
 widerruft Geständnis, „Süddeutsche Zeitung", 3.09.2003 Günther Kaufmann von
 allen Vorwürfen freigesprochen, „Frankfurter Allgemeine Zeitung", 26.01.2005

Haftling zu klugjur Cnade, „Hamburger Abendblatt", 8.08.2005
 Harry Worz gibt den Kampf nicht auf, „Sudwestpresse", 16.05.2003
 Hiljlose Heljer, „Berliner Zeitung", 18.08.1999
 How justicejailed Eddie Joe Lloyd, „Detroit Free Press", 24.10.2003
 I had nothing... The World I left no longer existed, „St. Petersburg Times", 4.07.1999
 Im Haus der Weggeschlossenen, „Hamburger Abendblatt", 6.06.2005
 Im Zweifeljur Mzoudi, „Spiegel Online", 5.02.2004
 Im Zweifeljur das Leben der Kinder, „Hamburger Abendblatt", 25.07.2005
 Im Zweifelgegen die Härte, „Tagesspiegel", 6.02.2004
 Intelligentgenugjur die Hinrichtung?, „Hamburger Abendblatt", 17.02.2005
 Irishman's \$ 1/4m bailjur murder suspect, „Sunday Independent", 28.12.2003
 Ist das wirklich Peggys Mórder?, „Welt am Sonntag", 2.05.2004
 Judge throws out Porters murder conviction, „Chicago Tribune", 11.03.1999
 Justicejur Drumgold, „The Boston Globe", 17.05.2003
 Kann er dem Todes-Stuhl noch entritten?, „Hamburger Abendblatt", 30/31.07.2005
 Hannibale" soli Cousinegetötet haben, „Hamburger Abendblatt", 10.06.2005
 Katastrophe im Rechtsstaat, „Salzburger Nachrichten", 17.05.2003
 Key prosecution witness in Moore case recants testimony, „Portsmouth Herald",
 30.05.2003 Killing justice with kindness is a dead loss, „Irish Independent",
 27.09.2003 Kripo-Ermittlungen im Zwielicht, „Badisches Tagblatt", 7.04.2001
 Lebenslangjur Anna Lindh's Mórder, „Hamburger Abendblatt", 24.03.2004 Leaders
 Askjur Innocence Panel in Massachusetts, „The Boston Globe", 11.11.2003 Liebe,
 Liigen, Tod, „Spiegel", Heft46, 10.11.2003 Lionel Tate signs agreement, „The Miami
 Herald", 4.01.2004 Man to bejreed on murder rap, „Pawtucket Times", 5.11.2002
 Mildejur den Kannibalen, „Hamburger Abendblatt", 31.01.2004 Mit der Bluttat nichts
 zu tun, „Salzburger Nachrichten", 18.03.2003 Monstrós, diabolisch, böse, „Spiegel",
 Heft 27, 1998, s. 123 i nast. Mórdergefunden - nach 24 Jahren, „Hamburger
 Abendblatt", 5.04.2005 Motassadeaj: Jetzt geht der Process vorn vornelos,
 „Hamburger Abendblatt", 5.03.2004 Motassadeajrei - aber ist er unschuldig?,
 „Hamburger Abendblatt", 8/9.04.2004 Mzoudi- ein Freispruch zweiter Klasse,
 „Hamburger Abendblatt", 6.02.2004 Mzoudi will nach Marokko zuruck, „Hamburger
 Abendblatt", 10.06.2005 Nach 41 Jahren - ein Mordfall bewegt Amerika,
 „Hamburger Abendblatt", 14.06.2005 N.C. man acquitted oj murder, „Charlotte News-
 Observer", 18.02.2004 Neue Hoffnungjur Amerikas Todeskandidaten, „Stuttgarter
 Nachrichten", 4.09.2003 Neue Spur im Mordfall Sedlmayr, „Berliner Morgenpost",
 18.12.2004 Neun tote Babys - und keiner hafs bemerkt?, „Hamburger Abendblatt",
 4.08.2005

Polizist im Zeugenstand, „Stuttgarter Nachrichten“, 29.06.2005
 Cudlgeister der Justiz?, „Die Zeit“, Archiv 18/2001
 Schily: DNA-Analyse bei ermittlungsdienstlicher Behandlung, „Die Welt“,
 19.01.2005
 Schusswaffe unbekannt, „Salzburger Nachrichten“, 27.07.2002
 Scott Hornoffs conviction of murdering, „Justice Denied Magazine“, 3.03.2003
 Sedlmayr-Mord: Ratsel um Fingerabdruck, „Hamburger Abendblatt“, 14.10.2004
 Sedlmayr-Mord: Kein neuer Prozess, „Hamburger Abendblatt“, 16/17.04.2005
 Sometimes love goes bad, „Las Vegas Review-Journal“, 21.05.2000
 Take it from one who knows, „St. Paul Pioneer Press“, 3.05.2002
 Tcacimord: Keine Wiederaufnahme, „Salzburger Nachrichten“, 9.07.1997
 Taxlermord-Prozess, „Salzburger Nachrichten“, 12.05.2003
 The Lionel Tate Case, „St Petersburg Times“, 30.12.2003
 The Rescue of Anthony Porter Innocent on Death now, „Revolutionary Worker“,
 21.02.1999 The Rubin Carter Case, „National Press“, Canada, 27.11.1999 The Shawn
 Drumgold Case, „Greater Boston“, 26.06.2003 Todeskandidat durch DNS-Analyse
 entlastet, „Frankfurter Allgemeine“, 21.08.2001 Tödlicher Rosenkrieg, „Pirnsener
 Zeitung“, 19.09.2001
 Twice wrongly convicted of murder, „Justice Denied Magazine“, Vol. 2. Issue 9, 2002
 Unschuldiger vier Jahre in Haft?, „Hamburger Abendblatt“, 31.05.2005 Urteil gegen
 Peggys Mörder ist rechtskräftig, „Frankfurter Rundschau“, 28.02.2005 Yerbreitete
 Zweifel an der Todesstrafe in den Vereinigten Staaten, „Neue Zürcher
 Zeitung“, 19.12.2000 Verfassungsgericht: Acht Jahre U-Haft sind zuviel,
 „Hamburger Abendblatt“,
 1.10.2005 Von Zeugen entlastet, „Salzburger Nachrichten“, 26.03.2003 Wende im
 Totschlag-Prozess?, „Pirnsener Zeitung“, 5.02.2002 Wenn ein Mörder laut denkt,
 soli die Polizei weghören, „Hamburger Abendblatt“,
 11.08.2005 Who killed Edna Laughman?, „The Patriot-News“, 1.06.2003
 Widersprüche nicht aufgeklärt, „Salzburger Nachrichten“, 19.03.2003 Worz hofft auf
 Neuauflage, „Pforzheimer Zeitung“, 7.04.2001 Zehn Jahre Haft für Doppelmord,
 „Hamburger Abendblatt“, 19.04.2005 ZMKammer weist Klage gegen Harry Worz ab,
 „Pforzheimer Kurier“, 7.04.2001
 Źródła w Internecie

www.abcnews.go.com/sections/2020/US www.archives.cbc.ca

www.courttv.com. trials
www.crimelibrary.com/notorious_murders
www.gcadp.org
www.hehove.de/irrtum
www.lawbuzz.com/jusitce/hurricane
www.law.northwestern.edu/depts/clinic/wrongful/exonerations
www.mirrorimage.com/ai/actionteams/dp/mistake.htm
www.mumia.de/doc/aktuell/de.html
www.richard.clark32.binternet.co.uk
www.stephen-stratford.co.uk
www.trance.psy-knowhow.de/mc4wv.htm
www.tk-doku.com/harry
www.webamnesty.org/library/Index
www.ydr.com/page/krone

Spis treści

1. „IN DUBIO PRO REO!”	7
Helene Gillet i sąd Boży (Francja, 1624-1625).....	7
Eliza Fenning i feralne kluski (Anglia, 1815)	13
Niesprawiedliwość w cesarstwie? Historia sprawy Carla Haua (Niemcy, 1906-1924)	17
Granice prawdy	19
Listy miłosne jako dowód. Sprawa Edith Thompson (Anglia, 1922-1923) . .	25
„Let him have it, Chris!”. Sprawa Dereka Bentleya (Anglia, 1952-1998) ...	27
Wolność dla Debry Jean Milkę? (Stany Zjednoczone, Arizona, 1989-?)	31
Niedostateczność ludzkich zdolności poznawania	43
Człowiek, który zabijał oczami (Dania, 1947-1957).....	44
„Zawsze jest lepsze wyjście niż zabójstwo!”. Sprawa Ursuli E. (Niemcy, 1982-1986)	53
Potrójne morderstwo w stadninie Bosenhof (Niemcy, 2001-2003).....	59
2. UNIEWIANNIENIA	61
Morderstwo doskonałe? Sprawa dr. Johanna Sandnera (Niemcy, 1875-1876)	62
Germaine Huot, „la maitresse elle-meme” (Francja, 1933-1934).....	70
3. JEDNOTOROWE, PROWADZONE NIEWŁAŚCIWIE I NIEZGODNIE Z PRAWEM ŚLEDZTWA.....	74
Tajemnica Beernem (Belgia, 1926-1929).....	76
Brak motywu. Sprawa Philippa Halsmanna (Austria, 1928-1930)	78
„Cameo Cinema Case” (Anglia, 1949-2003)	83
Morderstwo w lombardzie (Walia, 1952-1998)	85
Reinhard Meitz i zepsute nożyczki (Niemcy, 1954-1961)	86
Zabójstwo policjantów na autostradzie (Stany Zjednoczone, Floryda, 1976-1992)	94
„Anioły celi śmierci”. Sprawa Anthony'ego P. (Stany Zjednoczone, Illinois, 1982-1999)	97

Strzelanina w Roxbury. Sprawa Shawna D. (Stany Zjednoczone, Massachusetts, 1988-2003).....	103
Kłamstwo jako dowód winy. Sprawa Scotta H. (Stany Zjednoczone, Rhode Island, 1989-2003).....	104
Morderstwo taksówkarki z Salzburga (Austria, 1993-2003).....	110
Sprawa „czwórki z Chengde" (Chińska Republika Ludowa, 1994-2003) ...	115
Niewłaściwy człowiek? Sprawa Harry'ego W. (Niemcy, 1997-?)	117
4. PROKURATORZY BEZ SKRUPUŁÓW.....	126
Bomba w San Francisco. Sprawa Mooneya i Billingsa (Stany Zjednoczone, Kalifornia, 1916-1939)	128
Kirk Noble B. i zamordowana dziewięciolatka (Stany Zjednoczone, Maryland, 1984-2003)	134
Tajemnicza śmierć multimilionera (Stany Zjednoczone, Nevada, 1998-2004)	135
5. NIEDOSTATECZNA OBRONA	142
Dobry czy zły adwokat	144
Niedostateczne kwalifikacje obrońców z urzędu.....	144
Przykłady złej obrony.....	145
6. FAŁSZYWE PRYZNANIE SIĘ DO WINY	147
Morderstwo bez trupa (Stany Zjednoczone, Vermont, 1812-1820)	151
Ojcobójstwo? Sprawa Madame Gardin (Francja, 1861)	155
Okrutny mord w Allgau. Sprawa Johanna Lettenbauera (Niemcy, 1947-1965)	156
Eddie Joe L. i pismo Boże (Stany Zjednoczone, Michigan, 1984-2002)	162
Barry L. i zamordowana staruszka (Stany Zjednoczone, Wisconsin, 1987-2003)	167
Morderstwo uczennicy w Górnej Frankonii. Sprawa Ulwiego K. (Niemcy, 2000-2004)	169
Jego najgorsza rola. Sprawa Giinthera K. (Niemcy, 2001-2005)	172
7. NACISK OPINII PUBLICZNEJ	178
Paweł Gorgułow i śmierć prezydenta (Francja, 1932)	180
„Gdzie są dzieci?". Sprawa Alice C. (Stany Zjednoczone, Nowy Jork, 1965-1977)	188
Proces polityczny. Sprawa Mumii Abu J. (Stany Zjednoczone, Pensylwania, 1981-?)	192
„Memphis Three" (Stany Zjednoczone, Arkansas, 1993-?)	199

8. WPŁYW SUGESTII MEDIÓW.....	203
Skandal w sprawie Wilmy Montesi (Włochy, 1953-1957).....	204
„Bogaty lekarz i zabójcza blondynka”. Dwa wyroki na Verę Bruhne (Niemcy, 1960-1979)	207
9. „NIESZCZĘŚCIE” NA ŁAWIE ŚWIADKÓW.....	219
Joseph Lesurques i siedmiu świadków (Francja, 1796) . . . '.....	222
Fałszywa trójka z Delmenhorst (Niemcy, 1913-1929).....'	224
Hans Burkert i morderstwo w komorze celnej (Niemcy, 1946-1952).....	230
„The Hurricane”. Sprawa Rubina Cartera (Stany Zjednoczone, New Jersey, 1966-1988)	237
Kanadyjska tragedia. Sprawa Davida M. (Kanada, 1969-2004)	243
Zemsta wuja. Sprawa Wolfganga J. (Niemcy, 1985-1988)	250
Bez współnika. Sprawa Josepha B. (Stany Zjednoczone, Illinois, 1988-1994)	251
10. POMYŁKI I KŁAMSTWA BIEGŁYCH SĄDOWYCH.....	253
Sprawa Madame Druaux (Francja, 1877).....	256
Bezsensowne alibi Harry'ego L. Hoffmana (Stany Zjednoczone, Nowy Jork, 1924-1929)	258
Tragedia rolnika Bernarda (Niemcy, 1929).....	267
Czwarty strzał. Sprawa dr. Ettore Grandę (Włochy, 1938-1950)	269
Pomyłki w sprawie Rolanda S. (Niemcy 1971-1988)	275
Tajemniczy dingo (Australia, 1980-1988)	280
Morderca z krzywym zębem (Stany Zjednoczone, Arizona, 1991-2002) . . .	288
11. BRAK ZDOLNOŚCI ROZPOZNANIA ZNACZENIA CZYNU.....	292
Odrębne stanowisko prawa anglo-amerykańskiego	296
Problematyka kanibalizmu	298
Gesche Gottfried, bremeńska oblubienica diabła (Niemcy, 1813-1831)	304
Morderstwa na tle seksualnym Ludwiga Tessnowa (Niemcy, 1901-1904) . .	309
Siła pieniądza. Sprawa Harry'ego Thawa (Stany Zjednoczone, Nowy Jork, 1906-1915)	311
Peter Kiirten, „wampir z Dusseldorfu” (Niemcy, 1929-1931).....	318
Morderca dziewczynek Thomas Straffen (Anglia, 1951-1952)	320
Heinrich R, „potwór ze Szwarcwaldu” (Niemcy 1959-1960).....	325
Jurgen Bartsch, „bestia z Langenbergu” (Niemcy, 1962-1971)	327
Śmiertelne chwytły zapaśnicze. Sprawa Lionela T. (Stany Zjednoczone, Floryda, 1999-2004).....	330
	382

12. INERCJA WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI.....	334
Trudności ze wznowieniem postępowania" .	335
Testy DNA jak@ „nowy środek dowodowy"	337
Dwa odrębne postępowania.....	338
Sprawa Alberta Ziethena (1883-1903).....	341
„Piękna winowajczyni", Margarethe Wolsiffer (1948-1965)	344
Sprawa Waltera S. (1993-2002)	346
Zabójstwo właściciela pizzerii z Pullenbach (1996-2003).....	347
Mord rodzinny z chciwości? Sprawa Petera E. (1999-2002)	349
13. „SPRAWA WSZYSTKICH PORZĄDNYCH LUDZI!"	350
Walka o prawo....."	350
Sumienie sędziów.....	351
Ekspertyzy psychologiczne jako źródło błędów.....	352
Postpenalne odosobnienie zapobiegawcze	354
Wysoka liczba błędnych wyroków.....	354
Wstrzymywanie wydawania sprawiedliwych wyroków.....	355
Upředzenia i skandale dochodzeniowe.....	356
Przedłożenie wszystkich aktów śladów dowodowych.....	357
Druga instancja dla zbrodni głównej?	357
Opieszałość wymiaru sprawiedliwości.....	358
Wykształcenie i obciążenie pracą sędziów	359
Niekorzystne skutki działania sędziów niezawodowych.....	360
Model anglo-amerykański?.....	361
Kontrola „trzeciej władzy".....	362
Obywatel podporządkowany prawu i wymiar sprawiedliwości bliski obywatelowi	362
Czy społeczeństwo potrzebuje przestępcy?.....	364
„Lud żąda głowy!"	365
Wymiar sprawiedliwości nie powinien stawać się mordercą	366
„Śmierć na raty".....	370
Zadośćuczynienie pogłębia zaufanie do wymiaru sprawiedliwości	371
Sądownictwo karne musi się przyznawać do błędów	372
Nasza współodpowiedzialność za wyroki karne.....	373
Bibliografia	374

